

**SIMON BECKETT**

**NIESPOKOJNI  
ZMARLI**

Piąta część serii z Davidem Hunterem

**NIESPOKOJNI  
ZMARLI**  
SIMON BECKETT

Przełożył Sławomir Kędzierski

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2017

## Rozdział 1

Ciało ludzkie składa się w sześćdziesięciu procentach z wody i samo z siebie nie unosi się na powierzchni. Pływa, dopóki w płucach jest powietrze, a potem, w miarę jak się ono ulatnia, zaczyna stopniowo opadać na dno. Kiedy woda jest bardzo głęboka lub zimna, pozostanie tam, ulegając w ciemności powolnemu rozkładowi, który może trwać latami.

Jeżeli jednak woda okaże się na tyle ciepła, by bakterie mogły żywić się i mnożyć, proces rozkładu będzie trwał. We wnętrzościach wytworzą się gazy, zwiększając wyporność ciała, aż w końcu zaczną znowu unosić się ku górze.

I zmarły dosłownie powstanie.

Ciało będzie dryfować na powierzchni wody lub tuż pod jej taflą twarzą do dołu, ze zwisającymi rękami i nogami. Po jakimś czasie w końcu się rozpadnie, w makabryczny sposób odwracając proces powstawania w owodniowym mroku macicy. Najpierw odpadną jego końcowe części, palce, dłonie i stopy. Potem ręce i nogi, a na końcu głowa, wreszcie zaś pozostanie sam korpus. Gdy ulotni się reszta gazów wytworzonych przez proces rozkładu, również i on powoli zatonie po raz drugi i ostateczny.

Woda może także spowodować inną przemianę. W czasie rozkładu tkanek miękkich podskórna warstwa tłuszczu zacznie ulegać rozpadowi, pokrywając niegdyś żywe ludzkie ciało grubą, mazistą warstwą. Znana jako adipocera, albo – jeżeli chcemy użyć bardziej obrazowego określenia – tłuszczowosk, ta biaława substancja ma także mniej makabryczną nazwę.

Mydło.

Opatulone w brudnobiały całun tkanki i narządy wewnętrzne są chronione w czasie, gdy zwłoki odpływają w ostatnią, samotną podróż.

Chyba że przypadek wydobędzie je po raz kolejny na światło dnia.

\* \* \*

Byłem w fatalnym nastroju, zanim jeszcze odkryłem perforację.

Czaszka należała do młodej kobiety, o czym świadczyła bardziej subtelna budowa. Kość czołowa była wysoka i gładka, bez wydatnych łuków brwiowych, a niewielki guzek wyrostka sutkowego pod otworem słuchowym sprawiał wrażenie zbyt delikatnego jak na mężczyznę. Takie rzeczy same w sobie nie miały decydującego znaczenia, ale występując wspólnie, dawały mi w kwestii płci pewność. Do chwili śmierci wszystkie zęby stałe zdążyły się wyrznąć, co świadczyło, że zmarła miała ponad dwanaście lat, ale niewiele więcej. Brakowało wprawdzie dwóch zębów trzonowych i górnego siekacza, lecz zapewne wypadły po zgonie, bo wszystkie pozostałe były zdrowe i prawie niestarte. Nie

potrzebowałem reszty szkieletu, aby orzec, że dziewczyna, nim zginęła, ukończyła czternaście–piętnaście lat.

Mówię „zginęła”, ponieważ przyczyna śmierci była aż nadto oczywista. Z tyłu czaszki, niemal dokładnie pośrodku kości potylicznej, znajdował się otwór o długości mniej więcej dwóch i pół centymetra i szerokości dwunastu milimetrów. Od ostrych krawędzi otworu rozchodziły się linie pęknięć, co wskazywało, że w chwili gdy nastąpiło obrażenie, kość była „młoda” i żywa. Jeżeli uraz by powstał po śmierci, kiedy kość była już sucha i krucha, wyglądałoby to inaczej. Podnosząc czaszkę po raz pierwszy, z zaskoczeniem usłyszałem dobiegający z jej wnętrza niemal melodyjny grzechot. Początkowo pomyślałem, że to fragmenty kości wciśnięte do wnętrza mózgowiczaszki przez przedmiot, który zabił młodą ofiarę, ale wsłuchując się w dźwięk, uznałem, że obiekt w środku jest na to zbyt duży i solidny. Prześwietlenie potwierdziło moje przypuszczenia: wewnątrz czaszki dziewczyny kołatał się wydłużony, symetryczny kształt.

Grot strzały.

Nie sposób było stwierdzić dokładnie, jak stara była czaszka ani jak długo spoczywała w ziemi smaganego wiatrami northumberlandzkiego wrzosowiska. Z akceptowalną dozą prawdopodobieństwa można było jedynie powiedzieć, że dziewczyna nie żyła od ponad pięciuset lat, wystarczająco długo, aby promień strzały zmurszał, a kość pociemniała, nabierając koloru ciemnego karmelu. Nigdy nie dowiemy się o niej niczego, ani kim była, ani dlaczego zginęła. Lubię myśleć, że temu, kto ją zabił – kiedy była odwrócona albo uciekała – wymierzono jakąś sprawiedliwość za tę zbrodnię. Tego jednak także się nie dowiemy.

Kiedy pakowałem czaszkę, starannie owijając ją w bibułkę przed ponownym umieszczeniem jej w pudełku, grot przesuwiał się, lekko postukując. Podobnie jak w przypadku innych historycznych szczątków kostnych wykorzystywano ją na wydziale antropologicznym uniwersytetu do szkolenia studentów, przy czym ta makabryczna osobliwość była wystarczająco stara, by w gruncie rzeczy nie wywoływać już odruchu protestu. Przywykłem do tego – Bóg mi świadkiem, widziałem już gorsze rzeczy – lecz to konkretne memento mori zrobiło na mnie szczególnie przejmujące wrażenie, być może z powodu młodego wieku ofiary lub brutalności, z jaką odebrano jej życie. Bądź co bądź była kiedyś czyjąś córką. A teraz, całe wieki później, wszystko, co pozostało z tej bezimiennej dziewczyny, mieściło się w kartonowym pudle stojącym w laboratorium.

Wstawiłem pudło do stalowej szafy, gdzie dołączyło do reszty. Rozcierając zeszywniały kark, przeszedłem do gabinetu i włączyłem komputer. Kiedy logowałem się do poczty, jak zwykle pojawiło się mimowolne oczekiwanie na coś nowego i jak zwykle zastąpiło je rozczarowanie. Były tam jedynie banalne drobiazgi akademickiego życia – pytania studentów, notatki służbowe od kolegów i od czasu do czasu propozycje, których filtr antyspamowy nie zdołał odsiać. Nic

więcej.

Tak było od miesięcy.

Jeden e-mail był od profesora Harrisa, nowego szefa antropologii, i przypominał mi, że mam skontaktować się z jego sekretarką, która umówi nas na spotkanie. „W celu omówienia opcji dotyczących pańskiego stanowiska”, napisał dyplomatycznie. Czytając to, poczułem skurcz w żołądku, choć w zasadzie nie byłem zaskoczony. W każdym razie był to problem na następny tydzień. Wyłączyłem komputer, odwiesiłem kitel i włożyłem marynarkę. Przy drzwiach wyjściowych minęła mnie magistrantka.

– Dobranoc, doktorze Hunter. Życzę miłego weekendu – powiedziała.

– Dziękuję, Jamilo. Nawzajem.

Myśl o przedłużonym weekendzie jeszcze bardziej popsowała mi nastrój. Nierozsądnie przyjąłem zaproszenie przyjaciół, aby spędzić go w ich domu w Cotswold. Było to wiele tygodni temu i wówczas perspektywa wyjazdu wydawała się wystarczająco odległa w czasie, żeby się nią nie martwić. Teraz nie myślałem już o tym tak optymistycznie, tym bardziej że miało być tam wielu gości, których nie znałem.

Już za późno na żale, westchnąłem w duchu, wsiałem do samochodu, machnąłem przepustką przed skanerem i czekałem, aż podniesie się szlaban na parking. Wiedziałem, że codzienna jazda na uniwersytet, zmaganie się z ruchem ulicznym w Londynie i korkami zamiast korzystania z metra jest głupotą, lecz trudno mi było pozbyć się tego nawyku. Jako konsultant policji przywykłem, że wzywa się mnie, często z bardzo krótkim wyprzedzeniem, do różnych miejsc w kraju, gdzie znaleziono jakieś ciało. Zachowanie możliwości szybkiego wyjazdu było sensowne, tyle że wcześniej – zanim zostałem nieoficjalnie umieszczony na czarnej liście. Teraz jazda samochodem do pracy w coraz mniejszym stopniu sprawiała wrażenie niezbędnej rutyny, a coraz bardziej przypominała zaklinanie rzeczywistości.

Po drodze do domu zatrzymałem się przy supermarkecie, żeby kupić różne rzeczy, które, jak pamiętałem, gość powinien przywieźć ze sobą. Wyruszałem dopiero rankiem, musiałem więc mieć także coś na dzisiejszy obiad, ale błąkałem się między regałami bez szczególnego entuzjazmu, nie mogąc przełamać odczuwanej od kilku dni wynikłej ze znużenia apatii. Kiedy dotarło do mnie, że rozglądam się po dziale z gotowymi daniami, dałem sobie mentalnego szturchańca i ruszyłem w ciekawsze alejki.

W tym roku wiosna się spóźniła i zimowe wiatry oraz deszcze utrzymywały się do późnego kwietnia. Zachmurzone niebo w niewielkim stopniu pozwalało zauważyć, że dni stają się dłuższe, i gdy skręcałem w ulicę, przy której mieszkałem, zaczął już zapadać zmrok. Zaparkowałem samochód, wyciągnąłem z bagażnika torby z zakupami i ruszyłem w stronę mieszkania. Zajmowałem cały

parter dużego, wiktoriańskiego domu, dzieląc niewielki hol wejściowy z mieszkaniem na górnym piętrze. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem ubranego w kombinezon mężczyznę majstrującego coś przy frontowych drzwiach.

– Dobry wieczór, szefie – powitał mnie wesoło. Trzymał w dłoni hebel, a z otwartej torby przy jego stopach wysypywały się różne narzędzia.

– Co się dzieje? – zapytałem, widząc gołe drewno wokół zamka i wióry na podłodze.

– Pan tu mieszka? Ktoś usiłował się włamać. Pańska sąsiadka nas wezwała, żebyśmy to naprawili – zdmuchnął wióry z krawędzi drzwi i znowu przyłożył do niej hebel. – W tej dzielnicy nie należy zostawiać domu bez zamknięcia.

Przestąpiłem torbę z narzędziami i poszedłem zasięgnąć języka u sąsiadki. Wyjątkowo atrakcyjna Rosjanka, która – o ile mogłem się zorientować – pracowała w biurze podróży, mieszkała na górnym piętrze zaledwie od kilku tygodni. Rzadko rozmawialiśmy, ograniczając się do wymiany uprzejmości, i nigdy nie zaprosiła mnie do siebie.

– Był popsuty, kiedy przyszłam do domu – wyjaśniła, gniewnie potrząsając głową, wysyłając tym ruchem ku mnie falę piżmowego zapachu perfum. – Jakiś wszawy ćpun usiłował się dostać do środka. Kradną wszystko.

Dzielnica nie była zbyt ekskluzywna, niemniej problemy z narkotykami nie były w niej bardziej uciążliwe niż gdziekolwiek indziej.

– Drzwi wejściowe były otwarte?

Sprawdziłem moje, ale były nienaruszone. Nic nie wskazywało, że ktoś usiłował się włamać. Sąsiadka pokręciła głową, znów wprawiając w ruch gęste, ciemne włosy.

– Nie. Tylko uszkodzone. Drań się spłoszył albo zrezygnował.

– Wezwała pani policję?

– Policję? – parsknęła lekceważąco. – Tak, ale się nie przejęli. Zdjęli odciski palców, wzruszyli ramionami i poszli. Lepiej wstawić nowy zamek. Tym razem solidny.

Powiedziała to z naciskiem, jakby nieskuteczność starego zamka była moją winą, potulnie więc się wycofałem i zszedłem na dół, gdzie ślusarz kończył pracę.

– Zrobione, szefie. Trzeba będzie jeszcze pociągnąć farbą, żeby odsłonięte drewno nie spaczyło się na deszczu. – Uniósł brwi, trzymając w dłoni dwa komplety kluczy. – Kto płaci rachunek?

Spojrzałem w górę, na drzwi sąsiadki. Były zamknięte.

– Przyjmuje pan czeki? – westchnąłem.

Po odejściu ślusarza poszedłem do domu po śmietniczkę i zmiotkę, aby uprzątnąć z holu wióry. Jeden z nich utkwiał w rogu. Pochyliłem się, żeby go zamieść, a kiedy spojrzałem na swoją dłoń na tle czarnych i białych kafelków, nagle déjà vu spowodowało, że zakręciło mi się w głowie.

Wyprostowałem się z łomocącym sercem, w przebłysku myśli widząc się leżącego na podłodze holu z nożem wbitym w brzuch wśród krwi rozlewającej się po szachownicy kafelków. Zmusiłem się do głębokich oddechów, starając się opanować ciekący po mnie lepki pot.

Ale już mi przechodziło. Chryste, pomyślałem słabo. Skąd się to wzięło? Minęło wiele czasu, od kiedy napad przypominał mi się regularnie, i to wspomnienie pojawiło się bez ostrzeżenia. Nawet rzadko o tym myślałem. Wiele wysiłku kosztowało mnie zapomnienie tamtego wydarzenia i chociaż pozostały fizyczne blizny, myślałem, że rany psychiczne już się zagoiły.

Najwyraźniej nie.

Trochę jeszcze dygocąc, wysypałem zawartość szufelki do kubła na śmieci i wróciłem do mieszkania. Znajoma przestrzeń wyglądała tak samo jak wtedy, gdy wychodziłem rano. Nierzucające się w oczy meble w saloniku o sensownych wymiarach, kuchnia i mały prywatny ogród na tyłach. Było to idealnie nadające się do zamieszkania miejsce, ale teraz, z tkwiącą wciąż w pamięci jeszcze świeżą retrospekcją, uświadomiłem sobie, jak niewiele związanych z nim wspomnień było szczęśliwych. Podobnie jak w przypadku jazdy samochodem do pracy, jedyną rzeczą, która mnie tu trzymała, był nawyk.

Być może przyszła pora na zmianę.

Apatycznie rozpakowałem zakupy, a potem wziąłem z lodówki piwo. Prawdę mówiąc, wpadłem w rutynę. A zmiana miała nastąpić bez względu na to, czy tego chciałem, czy nie. Chociaż byłem zatrudniony przez uniwersytet, większość mojego czasu pracy zajmowały konsultacje dla policji. Jako antropolog specjalizujący się w medycynie sądowej, byłem wzywany, kiedy znalezione ludzkie szczątki były w stanie zbyt daleko posuniętego rozkładu albo rozczłonkowane. Była to wysoce specjalistyczna dziedzina, którą zajmowali się najczęściej wolni strzelcy, tacy jak ja, pomagający policji zidentyfikować to, co zostało ze zwłok, oraz określić czas i przyczynę zgonu. Gruntownie zapoznałem się ze śmiercią w jej wszystkich drastycznych, okrutnych szczegółach, płynnie czytając język kości, rozkładu oraz gnicia. Według standardów większości ludzi było to makabryczne zajęcie i bywały momenty, gdy sam się z tym zgadzałem. Wiele lat wcześniej, po utracie żony i córki w wypadku samochodowym, porzuciłem całkowicie tę pracę. Wróciłem do mojego pierwotnego zawodu lekarza rodzinnego, zajmującego się sprawami żywych, a nie umarłych.

Cóż, nie trwało to długo. Z tych czy innych względów znowu wróciłem do dawnej specjalności. I byłem w niej dobry.

Albo raczej tak wyglądały sprawy do czasu, kiedy minionej jesieni poproszono mnie, żebym wziął udział w dochodzeniu. Po jego zamknięciu dwóch funkcjonariuszy policji nie żyło, a oficer wysokiej rangi został zmuszony do złożenia rezygnacji. Chociaż nie była to moja wina, stałem się mimowolnym

katalizatorem skandalu, który wybuchł później, a nikt nie lubi ludzi przynoszących kłopoty. A już na pewno nie policja.

I nagle zlecenia się skończyły.

Jak było do przewidzenia, na uniwersytecie doszło do efektu domina.

Formalnie byłem tylko współpracownikiem zatrudnionym na umowie odnawialnej, nie etatowcem. Takie rozwiązanie dawało mi wolną rękę w udzielaniu konsultacji policji i pozwalało wydziałowi czerpać korzyści z takiego układu. Wszystko grało, ale współpracownik pracujący przy głośnych dochodzeniach związanych z morderstwami był całkowicie kimś innym niż taki, który nagle stał się persona non grata dla wszystkich instytucji policyjnych w kraju. Do końca mojego kontraktu zostało zaledwie kilka tygodni, a nowy dziekan antropologii stwierdził jasno, że wydział nie będzie dźwigał niepotrzebnego balastu.

Było oczywiste, że to mnie tak postrzegali.

Z westchnieniem opadłem na fotel i pociągnąłem łyk piwa. Ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę, to weekendowe przyjęcie, ale Jason i Anja byli starymi przyjaciółmi. Jego znałem od czasów akademickich, a na jednej z ich imprez poznałem żonę. Podobnie jak było ze wszystkim innym, pozwoliłem więzom przyjaźni osłabnąć, gdy opuściłem Londyn po śmierci Kary i naszej córki Alice, i nigdy w pełni nie zająłem się ich odtworzeniem po powrocie.

Jason odezwał się do mnie na krótko przed Bożym Narodzeniem, kiedy przeczytał moje nazwisko w doniesieniu prasowym o spapranych dochodzeniach. Od tej pory spotkałem się z nimi kilka razy i z ulgą stwierdziłem, że nie było to dla mnie krępujące, czego się obawiałem. Przeprowadzili się po tym, jak utraciliśmy ze sobą kontakt, dzięki czemu przynajmniej zostały mi oszczędzone gorzko-słodkie wspomnienia związane z ich starym domem. Teraz mieszkali w przyprawiającym o cenowy zawrót głowy domu w Belsize Park i mieli drugą rezydencję w Cotswold.

Tam właśnie miałem jechać jutro rano. Dopiero kiedy przyjąłem zaproszenie, dowiedziałem się, że ukrywa haczyk.

– Zapraszamy parę innych osób – oznajmił mimochodem Jason – a wśród nich kogoś, kogo Anja chce, żebyś poznał. To prawniczka karnistka, powinniście więc łatwo się dogadać. Sam wiesz, sprawy policyjne i takie tam. Przy tym jest singielką. No dobra, rozwódką, na jedno wychodzi.

– A więc w tym rzecz. Chcecie mnie z kimś wyswatać?

– Nie ja, lecz Anja – wyjaśnił cierpliwie. – Przecież nie skonasz od samego poznania atrakcyjnej kobiety, prawda? Jeżeli ci się spodoba, to super. A jeżeli nie, to co się stanie? Po prostu przyjeźdź i zobacz, jak będzie.

W końcu się zgodziłem. Wiedziałem, że on i Anja mają dobre zamiary, a prawdę mówiąc, mój towarzyski kalendarz nie był zbyt przepełniony. Teraz jednak perspektywa spędzenia długiego weekendu z obcymi ludźmi wydawała mi



się koszmarnym pomysłem. Cóż, już za późno. Lepiej postaraj się dobrze bawić.

Wstałem ociężale i zacząłem robić sobie coś do jedzenia. Kiedy zadzwonił telefon, pomyślałem, że to Jason chce sprawdzić, czy nie zamierzam w ostatniej chwili się wykręcić, i przez moment nawet mnie to kusiło, dopóki nie zobaczyłem, że wyświetlony numer nie należy do niego. Niewiele brakowało, a bym go nie odebrał, uznając, że to znów jakieś telefoniczne naciągactwo. Zadziałały jednak dawne nawyki i mimo wszystko podniosłem słuchawkę.

– Czy doktor Hunter?

Mówił mężczyzna i sądząc po głosie, był za stary na telemarketera.

– Tak. A z kim rozmawiam?

– Jestem detektyw inspektor Bob Lundy z komendy w Essex. – Mężczyzna mówił bez pośpiechu, niemal powolnie i z wymową typową bardziej dla północy niż okolic ujścia. Lancashire, pomyślałem. – Czy nie przeszkadzam?

– Nie, wcale nie. – Odstawiłem piwo, zapominając o jedzeniu.

– Przepraszam, że zakłócam panu weekend, ale otrzymałem pańskie nazwisko od głównego inspektora detektywa Andy’ego Mackenzie z policji w Norfolk. Pracował pan z nim kilka lat temu przy dochodzeniu w sprawie morderstwa?

Ton sugerował pytanie, ale zupełnie dobrze pamiętałem Mackenziego. Byłem wówczas lekarzem rodzinnym i seria morderstw zmusiła mnie do powrotu do sądownictwa. Mackenzie był wtedy detektywem inspektorem, a nasze relacje nie zawsze się układały. Doceniłem więc, że obecnie wspomniał o mnie, choć starałem się nie wiązać z tym zbyt wielkich nadziei.

– Zgadza się – przytaknąłem. – W czym mogę pomóc?

– Otrzymał miś meldunek o dostrzeżeniu ciała w rozlewisku ujścia, kilka mil w górę wybrzeża od wyspy Mersea. Dziś w nocy nie możemy wiele zrobić, lecz potrafimy dość dobrze przewidzieć, gdzie może osiąść na brzegu. Tuż po świcie zacznie się odpływ i kiedy tylko będzie dość jasno, zaczniemy poszukiwania oraz operację wydobycia zwłok. Wiem, że to mało czasu, ale czy zdołałby pan spotkać się tam z nami jutro rano?

Przez chwilę, ale tylko chwilę, pomyślałem o przyjęciu u Jasona i Anji. Zrozumieją.

– Chce pan, żebym był przy wydobyciu?

Pracowałem przy utonięciach, tylko jednak wtedy, gdy szczątki były w stanie daleko posuniętego rozkładu. Nie ma potrzeby zatrudniania antropologa z medycyny sądowej w przypadkach niedawnych utonięć, kiedy zwłoki są względnie dobrze zachowane. O ile nie chodziło wręcz o fałszywy alarm wywołany przez pływającego worek na śmieci czy tłumoczek z odzieżą, co się nieraz zdarzało. Tak więc, jeżeli nie miały miejsca jakieś wyjątkowe okoliczności, zazwyczaj nie wzywano mnie przed wydobyciem zwłok i poznaniem ich stanu.

– Tak, jeżeli mógłby pan przyjechać – powiedział Lundy. – Paru niedzielnych żeglarzy dostrzegło ciało dziś późnym popołudniem i zamierzali wciągnąć je na pokład, dopóki nie podpłynęli na tyle blisko, by poczuć zapach. Wtedy zmienili zdanie.

I bardzo dobrze. Są sposoby odróżnienia obrażeń powstałych po śmierci od zadanych przed zgonem, lecz lepiej unikać takich sytuacji. Zwłoki są również materiałem dowodowym, te zaś w stanie rozkładu łatwo uszkodzić podczas nieodpowiedniego obchodzenia się z nimi. A coś takiego mogłoby się tu zdarzyć, skoro zaczęły już cuchnąć.

– Czy są jakieś przypuszczenia, kto to może być? – zapytałem, szukając papieru i pióra.

– Mniej więcej sześć tygodni temu zaginął pewien miejscowy – odparł Lundy i gdybym nie był tak zaaferowany, być może zastanowiłoby mnie wahanie w jego głosie. – Uważamy, że jest spore prawdopodobieństwo, że to właśnie on.

– Te zwłoki dość długo dryfowały w ujściu, zanim je znaleziono – skonstatowałem.

To było jasne, skoro żeglarze zdołali je poczuć. Nie było niczym niespotykanym, że ludzkie szczątki unosiły się na wodzie przez kilka tygodni, a nawet miesięcy, ale zazwyczaj działo się tak na głębszych wodach lub na morzu. W ujściach występują pływy mogące osadzać ciało przynajmniej dwa razy dziennie na brzegu, gdzie byłoby wystawione na działanie powietrza. Oczekiwałbym zatem, że powinno być dostrzeżone wcześniej.

– Ale nie to – oświadczył Lundy. – Na wodach zalewu nie ma już zbyt wielu łodzi. Kiedy pan przyjedzie, przekona się pan, dlaczego. Cały rejon jest dość niedostępny.

Gryzmołem w notesie, starając się zmusić odporne pióro do pisania.

– Czy w zniknięciu tego człowieka jest coś podejrzanego, o czym powinienem wiedzieć?

Chwila wahania.

– Nie mamy powodu uważać, że związane są z tym jakieś inne osoby.

Odłożyłem pióro, wyczuwając ostrożność w głosie inspektora. Jeżeli nie był z tym związany nikt postronny, pozostawał jedynie wypadek albo samobójstwo, a z reakcji Lundy'ego można było wywnioskować, że chodzi o to drugie. Może to i tragiczne wydarzenie, lecz normalnie nie było powodu, aby udzielać tak wymijających odpowiedzi.

– Czy jest coś drażliwego w tej sprawie? – zapytałem.

– Właściwie nie nazwałbym tego drażliwym. – Lundy mówił tonem kogoś, kto starannie dobiera słowa. – Powiedzmy tylko, że jesteśmy pod presją i musimy pilnie ustalić, czy są to zwłoki osoby, o której myślimy. Bazę zakładamy w starym przedsiębiorstwie połowu i przetwórstwa ostryg, lecz trudno ją znaleźć. Prześlę

mailem wskazówki, ale dotarcie na miejsce może panu zająć dużo czasu. Nawigacja satelitarna nie jest zbyt przydatna w tych stronach.

Kiedy zakończył rozmowę, siedziałem jakiś czas, patrząc w przestrzeń. Najwyraźniej było w tym coś więcej, a inspektor nie chciał tego omawiać przez telefon, nie potrafiłem jednak wymyślić, co to takiego. Samobójstwa są niestety dość pospolitym zjawiskiem, wobec którego policjanci zazwyczaj nie bywają tak powściągliwi.

„Przekona się pan jutro”, tyle usłyszałem. Jeżeli policja miała rację i było to ciało człowieka zaginionego od kilku tygodni, niemal na pewno znajduje się w stanie zaawansowanego rozkładu. Wydobywanie podatnych na uszkodzenia ciał z wody – zwłaszcza z morza – może być trudne i dlatego chcieli, aby na miejscu znalazł się antropolog z sądówki. I chociaż rozkładające się szczątki były w większym stopniu moją niż ich działką, zaskoczyło mnie, że wezwano mnie tak wcześnie. Zazwyczaj starszy oficer śledczy i anatomopatolog powinni sami zdecydować, jak najbezpieczniej zająć się gnijącymi zwłokami.

Niemniej jeżeli policja chciała mieć mnie na miejscu, nie miałem zamiaru się sprzeczać. Pomyślałem o proznej kolacji Jasona i Anji. Wydobycie zwłok nie powinno zająć całego dnia, tak więc fakt, że musiałem popracować, nie dawał mi uzasadnionego powodu, aby zrezygnować z wizyty. Z wybrzeża będę musiał jechać dłużej do Cotswold, lecz teraz perspektywa udziału w przyjęciu nie wydawała mi się już tak zniechęcająca.

Ożywiony po raz pierwszy od wielu tygodni, poszedłem przygotować się do wyjazdu.

## Rozdział 2

Wyruszyłem w drogę rankiem następnego dnia jeszcze przed świtem. Nawet o tej porze był spory ruch na drodze, a reflektory ciężarówek i wozów pracusiów dojeżdżających wcześniej do firm śmigwały po jezdni. Kiedy jednak wyjechałem z Londynu i ruszyłem na wschód, błyski świateł samochodów stawały się coraz rzadsze, drogi coraz słabiej oświetlone i w końcu, kiedy zatłoczone przedmieścia zostały z tyłu, gwiazdy rozbłysły jaskrawo. Przyćmiona poświata nawigacji satelitarnej dawała złudzenie ciepła, ale mimo wszystko tak wczesnym rankiem musiałem włączyć ogrzewanie. Zima była długa i chłodna, a wiosna, wbrew twierdzeniom kalendarza, istniała jedynie na jego kartach.

Obudziłem się obolały i niemrawy. Mógłbym przypisać to słabemu kacowi, gdybym poprzedniego wieczoru wypił więcej niż jedno piwo. Po gorącym prysznicu i szybkim śniadaniu poczułem się jednak lepiej i zbyt zaabsorbowałem mnie nadchodzący dzień, bym miał zwracać uwagę na samopoczucie.

Wczesnym rankiem na drogach było spokojnie. Moczary na wybrzeżu Essex znajdowały się niedaleko Londynu – płaskie, nisko położone pola i słone bagna, które toczyły, i niekiedy przegrywały, nieustanną bitwę z pływami i morzem – lecz ja tego odcinka południowo-wschodniego wybrzeża nie znałem zbyt dobrze. Stare przedsiębiorstwo połowu i przetwórstwa ostryg, skąd prowadzono poszukiwania, znajdowało się w miejscu o nazwie „ujście Saltmere”. We wskazówkach przesłanych mailem inspektor Lundy ponownie przestrzegwał, abym przewidział dużo czasu na podróż. Uważałem, że jest przesadnie ostrożny, dopóki nie sprawdziłem usytuowania tego miejsca na mapie Google’a. Brzegi zalewu, ku któremu się kierowałem, otaczał labirynt wijących się kanałów i strumieni, określonych na mapie po prostu jako Backwaters. Na fotografii satelitarnej ciek wodne wyglądały jak naczynia włoskowate, które utorowały sobie drogę przez podmokły teren i wysychały podczas odpływu, odsłaniając czarne łachy mułu i rowy. Wtedy zrozumiałem, dlaczego Lundy kazał mi przeznaczyć więcej czasu na dojazd. Większość miejsc sprawiała wrażenie niedostępnych bezdroży i chociaż przez niektóre z większych cieków prowadziły groble, można było nimi przejechać tylko w czasie odpływu.

Poświata nawigacji satelitarnej przygasiała, w miarę jak niebo bezpośrednio przede mną rozjaśniało się coraz bardziej. Z jednej strony na jego tle rysowały się sylwetki rafinerii na wyspie Canvey, fraktalne, czarne kształty skrzące się światłami. Na szosie pojawiło się więcej samochodów, ale kiedy skręciłem w boczną drogę, ruch osłabł i niebawem znowu byłem sam, zmierzając ku zachmurzonemu świtowi.

Wkrótce wyłączyłem nawigację, kierując się wyłącznie wskazówkami

Lundy'ego. Otaczający mnie krajobraz był płaski jak kartka papieru zabazgrana zaroślami głogów, z widocznymi jedynie sporadycznie domami czy stodołami. Instrukcje inspektora poprowadziły mnie przez małe, posępne miasteczko Cruckhaven leżące blisko ujścia rozlewiska. Mijając pokryte tynkiem kamyczkowym parterowe domy i chaty, dotarłem do nabrzeża portowego, gdzie kilka pochyłonych pod różnymi kątami trawlerów i łodzi rybackich o brudnych kadłubach spoczywało na mulistych łachach, czekając na przyływ, który przywróci im wdzięk i sens istnienia.

Miasteczko wyglądało niezbyt zachęcająco i opuściłem je bez żalu. Droga dalej biegła wzdłuż rozlewiska, a jej asfalt nikał w miejscach, gdzie zmyły go przyływy i fale. Wyglądało na to, że stało się to niedawno. Mieliśmy kolejną niedobrą zimę, jeżeli chodzi o powodzie, lecz w Londynie, zaabsorbowany własnymi problemami, nie zwracałem uwagi na doniesienia mediów o sztormach na wybrzeżu. Widząc martwe wodorosty wyrzucone daleko na leżącą bliżej lądu stronę drogi, pomyślałem, że tutaj musiała to być smutna rzeczywistość. Kaprysy pogody i globalne ocieplenie przestają być tematem akademickich dywagacji, kiedy ich skutków doświadczają się na własnej skórze.

Jechałem drogą w kierunku szeroko otwierającego się w morze ujścia. Teraz, w czasie odpływu, z rozlewiska pozostała jedynie mulista równina upstrzona kałużami i strumykami wody. Zacząłem się już zastanawiać, czy przypadkiem nie minąłem miejsca, gdzie powinienem skręcić, kiedy wreszcie ujrzałem przed sobą na brzegu szereg niskich budynków. Przed nimi stały zaparkowane różne pojazdy policyjne, a gdybym miał jeszcze jakieś wątpliwości, ustawiona nieco dalej drewniana tablica głosiła: „Saltmere Oyster Co”.

Przy bramie stał policjant, który porozumiał się przez radio, zanim mnie wpuścił. Zatrzymałem się na popękany kawałek asfaltu obok innych samochodów i policyjnej przyczepy zaparkowanych za zrujnowanymi budynkami przetwórci ostryg. Kiedy wysiadłem z wozu, zeszywniały po jeździe, chłód poranka podziałał po ciepłym wnętrzu samochodu jak orzeźwiający prysznic. W górze rozbrzmiewały żalosne pokrzykiwania mew, czuć było odór gnijących wodorostów i ziemny zapach mułu. Odetchnąłem głęboko, rozglądając się wokół. Pozbawione wody rozlewisko wyglądało tak, jakby gigantyczna dłoń wygrzebała długą bruzdę w ziemi, pozostawiając jedynie muł i uwięzione w nim kałuże i jeziorka wody. Była w tym jakaś księżycowa posępność, lecz już zaczynał wracać przyływ – bez patrzenia widziałem w głowie strumyki pełną z powrotem kanałami wymytymi w dnie.

Zmieniający się wiatr przyniósł rytmiczne dudnienie silnika śmigłowca policyjnego albo straży przybrzeżnej i nawet z tej odległości mogłem dostrzec czarną kropkę krążącą nad zalewem. Wiedziałem, że aby dokonać wizualnego przeszukania akwenu, trzeba było maksymalnie wykorzystać światło dnia i niski

poziom wody, gdyż pływające zwłoki zazwyczaj nie wydzielają dość ciepła, by dać się dostrzec w podczerwieni, mogą też być trudne do wykrycia z powietrza, zwłaszcza jeżeli unoszą się tuż pod powierzchnią. Oznaczało to wyścig z czasem, trzeba było bowiem odnaleźć ciało, zanim wróci przypyływ i zabierze je znowu.

No to nie stój tak, śniąc na jawie, pomyślałem i ruszyłem w stronę przyczepy, gdzie powiedziano mi, że detektyw inspektor Lundy jest na nabrzeżu. Obszedłem szopy przetwórci ostryg i zobaczyłem rurowaty kształt RHIB-a – policyjnego pontonu hybrydowego<sup>1</sup> – czekający na przyczepce u szczytu betonowej pochylni. Zrozumiałem wtedy, dlaczego poszukiwania prowadzone są z tego miejsca. Pochylnia prowadziła do głębokiego kanału w mule, który rozpoczął się bezpośrednio przed nabrzeżem. Powracający przypyływ najpierw go wypełni, umożliwiając zwodowanie łodzi i wyprowadzenie jej na głębszą wodę bez oczekiwania, aż wypełni się cały zalew. Poziom przypyłwu jeszcze na to nie pozwalał, lecz wiry i drobne fale marszczące powierzchnię świadczyły, że nie potrwa to już długo.

Przy RHIB-ie stała grupa mężczyzn i kobiet trzymających w dłoniach parujące plastikowe kubki i rozmawiających po cichu. Kilka osób miało na sobie ubiory o niemal paramilitarnym wyglądzie – granatowe spodnie i koszule pod masywnymi kamizelkami ratunkowymi, które identyfikowały je jako członków służb policji morskiej – reszta zaś była po cywilnemu.

– Szukam detektywa inspektora Lundy’ego – powiedziałem.

– To ja – rzekł jeden z mężczyzn, odwracając się w moją stronę. – Doktor Hunter, nie mylę się?

Trudno wyobrazić sobie czyjś wygląd tylko po głosie, ale w przypadku Lundy’ego wszystko pasowało idealnie. Miał nieco ponad pięćdziesiąt lat oraz budowę podstarzałego zapaśnika, który zaczął tyć i może nie był już w formie, wciąż jednak zachował masę i mięśnie. Nastroszone wąsy nadawały mu wygląd przyjaznego morsa, a okrągła twarz z okularami w drucianej oprawce sprawiała wrażenie jednocześnie pogodnej i smętnej.

– Wcześniej pan dotarł. Znalazł nas pan bez trudu? – zapytał, ściskając mi dłoń.

– Cieszę się, że dostałem wskazówki – przyznałem. – Miał pan rację z tą nawigacją satelitarną.

– Pełno tu odnóg, dlatego nazywają to miejsce Backwaters<sup>2</sup>. Proszę ze mną, napijemy się herbaty.

Sądziłem, że wrócimy do przyczepy, lecz Lundy poprowadził mnie po spękany beton do swojego samochodu, sfatygowanego vauxhalla, który wyglądał na równie niezniszczalny jak jego właściciel. Otworzył bagażnik, wyjął z niego wielki termos i wlał parującą herbatę do dwóch plastikowych kubków.

– Lepsza od tych sików w przyczepie, może mi pan wierzyć – oznajmił,

zakręcając naczynie. – A może pan pije bez cukru? Ja lubię słodką.

Ja niezbyt, ale herbata była mile widziana. I bardzo chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o sprawie.

– Udało się? – zapytałem, dmuchając na gorący płyn.

– Jeszcze nie, ale śmigłowiec jest w powietrzu od świtu. Jednostka policji morskiej jest w pogotowiu, kiedy więc tylko dostaniemy wiadomość, możemy ruszać i wydobyć ciało. Starszy oficer dochodzeniowy, naczelna detektyw inspektor Pam Clarke, jedzie tu razem z patologiem z sądówki, ale otrzymaliśmy zgodę na wydobycie zwłok, jeżeli znajdziemy je przed ich przybyciem.

Zastanawiałem się, czemu jeszcze ich nie ma. Starszy oficer dochodzeniowy i anatomopatolog zawsze są obecni, kiedy zwłoki odnaleziono na lądzie stałym. Wtedy miejsce znalezienia uznawane jest za miejsce zbrodni i musi być tak traktowane. W przypadku wydobycia zwłok z morza nie zawsze było to praktyczne, ponieważ w wodzie przemieszczają się pod wpływem prądów i pływów. W takiej sytuacji priorytetem jest wydobycie ciała najszybciej jak to możliwe.

– Powiedział pan, że dość dobrze orientujecie się, gdzie może być ciało? – zapytałem.

– Tak sędzę. Zobaczono je w ujściu wczoraj, około piątej po południu. Według specjalisty od pływów, którego ściągaliśmy, była to mniej więcej pora zmiany kierunku pływów, mogło więc zostać dość szybko przemieszczone. Jeżeli zniosło je na morze, to tylko tracimy czas, ale uważamy, że wcześniej wyrzuciło je na stały ląd. Niech pan spojrzysz tam.

Skierował gruby palec w stronę odległego o jakąś milę ujścia. Mogłem dostrzec szereg długich garbów sterczących z mulistego podłoża jak niskie brązowe wzgórza.

– To Barrows<sup>3</sup> – wyjaśnił Lundy. – Łachy, dokładnie przecinające ujście. Wcześniej były mniejsze, ale cały ten region zamulało od chwili, gdy w górze wybrzeża zbudowali mające je chronić konstrukcje hydrotechniczne. Popieprzyło to prądy i teraz cały zmywany piasek ląduje prosto na naszym progu. Tylko łodzie o małym zanurzeniu mogą wchodzić i wychodzić w morze nawet przy wysokiej wodzie, jest więc pewna szansa, że zwłoki również nie przedostaną się przez mielizny.

Wpatrywałem się w odległe łachy.

– Jeżeli ma pan rację, to jak zamierzacie je wydobyć?

To było ważne, wtedy bowiem wkroczę, aby doradzać, w jaki sposób obchodzić się ze szczątkami, jeśli będą w stanie tak daleko posuniętego rozkładu, że powstanie niebezpieczeństwo, iż się rozpadną. Lundy dmuchał ostrożnie na parującą herbatę.

– Przekonamy się na miejscu, kiedy się tam dostaniemy. Rozważaliśmy

podniesienie ciała śmigłowcem, ale piasek jest zbyt miękki, aby na nim wylądować. Oznacza to, że trzeba by było opuścić co najmniej dwóch ludzi na łachę, a gdyby tam ugrzęźli, mielibyśmy kłopoty. Tak więc kiedy śmigłowiec je odnajdzie, łódź będzie najlepsza. Mamy nadzieję, że zostanie nam dość czasu, zanim przypląw znowu uniesie zwłoki. – Uśmiechnął się do mnie. – Spodziewam się, że wziął pan gumiaki.

Zrobiłem coś lepszego, nauczony wcześniej, jak wygląda odzysk ciała z wody, zabrałem ze sobą wodery. Z tego, co widziałem, operacja zapowiadała się na gorszą niż większość tych, w których brałem udział.

– Powiedział pan, że macie pewne podejrzenia, kto to może być?

Lundy siorbnał herbatę i otarł wąsy.

– Owszem. Trzydziestojednoletni miejscowy, Leo Villiers, którego zaginięcie zgłoszono miesiąc temu. Jego ojciec to sir Stephen Villiers...?

Wyraźnie umieścił na końcu znaczący znak zapytania, lecz nazwisko nic mi nie mówiło. Pokręciłem głową.

– Nie słyszałem o nim.

– Cóż. To rodzina dobrze znana w okolicy. Wszystkie ziemie tam dalej – wskazał gestem położoną nieco wyżej drugą stronę rozlewiska, gdzie zamiast słonych bagien oraz cieków wodnych były uprawne pola wyraźnie obramowane ciemnymi liniami żywopłotów – to posiadłość Villiersów. Właściwie jej część. Mają dużo ziemi również po tej stronie. Zajmują się rolnictwem, ale sir Stephen robi interesy różnego rodzaju. Olej łupkowy, wytwórczość. To przedsiębiorstwo połowu i przerobu ostryg też należy do niego. Wykupił je jakieś dziesięć lat temu, a potem zamknął. Wszystkich zwolnił.

– Musiało ich nieźle rąbnąć. – Zaczynałem rozumieć, skąd pochodziły naciski, o których Lundy wspominał w rozmowie telefonicznej.

– Nie tak bardzo, jak pan myśli. Ma plan zrobienia z tego mariny. Mówi o przebagrowaniu kanałów, zbudowaniu hotelu, przekształceniu całego rejonu. Co oznacza setki miejsc pracy dla tutejszych, a to by osłodziło gorzką pigułkę, jaką było zamknięcie zakładów. Obrońcy środowiska są jednak temu zdecydowanie przeciwni, dopóki więc trwają spory, trzyma firmę w stanie uśpienia. Stać go na prowadzenie długiej rozgrywki, a ma wystarczająco dużo politycznych wpływów, żeby w końcu wygrać.

Tacy ludzie zazwyczaj wygrywają. Popatrzyłem na muliste dno rozlewiska, na które powracał już przypląw.

– A jak wiąże się to z jego synem?

– Nijak. W każdym razie niebezpośrednio. Leo Villiers jest kimś, kogo można nazwać czarną owcą. Jedynek, matka zmarła, kiedy był dzieciakiem. Wykopali go z prywatnej szkoły wojskowej, a potem na ostatnim roku szkolenia wyleciał z uniwersyteckich kursów oficerskich. Ojcu mimo wszystko udało się



umieścić go w Królewskiej Akademii Wojskowej, tyle że jej nie skończył. Nie podano żadnego oficjalnego powodu, wygląda zatem na to, że tatuś pociągnął za sznurki, aby coś zatuszować. A potem pakował się w jeden skandal za drugim. Miał po matce fundusz powierniczy, nie musiał więc martwić się o utrzymanie i z wyraźną lubością szukał kłopotów. Przystojny gnojek, z dziewczynami obchodził się jak lis w kurniku, ale był przy tym wredny. Zerwał kilka zaręczyn i wplątywał się we wszelkiego rodzaju afery, od jazdy po pijaku po napady z bronią w rękę. Jego ojciec bardzo dba o dobre imię Villiersów, w związku z czym rodzinni prawnicy mieli pełne ręce roboty. Niemniej nawet sir Stephen nie był w stanie wszystkiego zatuszować. – Lundy spojrzał na mnie z niepokojem. – Oczywiście mówię to wszystko zupełnie prywatnie.

Staralem się nie uśmiechnąć.

– Nie pisnę ani słowa.

Z zadowoleniem kiwnął głową.

– W każdym razie, krótko mówiąc, przez jakiś czas wyglądało na to, że się uspokoił. Jego ojciec musiał również tak pomyśleć, ponieważ usiłował wprowadzić go do polityki. Mówiono, że będzie kandydował do parlamentu z okręgu, były wywiady w miejscowej prasie, wszystkie te rutynowe głupoty. A potem nagle się urwało, miejscowy oddział partii znalazł innego kandydata i Leo Villiers zniknął z horyzontu. Do tej pory nie zdołaliśmy się zorientować dlaczego.

– I wtedy właśnie zaginął?

Lundy pokręcił głową.

– Nie, to było dawno temu. Zaginął wtedy ktoś inny. Miejscowa kobieta, z którą miał romans.

Zdałem sobie sprawę, że wszystko źle zinterpretowałem. Nie chodziło tylko o zaginionego mężczyznę, a powściągliwość Lundy'ego nie wynikała jedynie ze strachu przed niełaską wpływowego ojca. Założyłem, że ofiarą jest Leo Villiers, lecz się myliłem.

Był podejrzanym.

– Wszystko jest ściśle poufne – powiedział Lundy, ścisząc głos, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć. – To nie ma żadnego bezpośredniego związku z dzisiejszą sprawą, ale lepiej, żeby znał pan całe tło.

– Sądzi pan, że Leo Villiers ją zabił?

Inspektor wzruszył ramionami.

– Nie znaleźliśmy jej ciała, więc nie możemy niczego udowodnić, ale stał się jedynym poważnym podejrzanym. Była fotografką, po wyjściu za mąż dwa albo trzy lata temu przeniosła się tu z Londynu. Emma Derby, efektowna, bardzo atrakcyjna. Raczej nie spodziewałby się pan tutaj kogoś takiego jak ona. Zatrudnił ją, aby zrobiła mu zdjęcia promocyjne, gdy wyglądało na to, że wejdzie w politykę, potem jako dekoratorkę wewnątrz w domu Villiersów. Zarówno jego gospodyni, jak

i ogrodnik, każde z osobna, twierdzili, że widzieli w jego sypialni częściowo ubraną kobietę, której wygląd pasował do rysopisu Derby.

Zacisnął usta z dezaprobatą, poklepał się po kieszeniach i wyjął opakowanie tabletek na nadkwasotę. Wycisnął kilka z nich z foliowego paska.

– Wygląda na to, że się pokłócili – oznajmił, gryząc tabletki. – Mieliliśmy kilku świadków, którzy słyszeli, jak na krótko przed zniknięciem wściekała się na jakimś eleganckim politycznym jublu i nazywała go „aroganckim, pierdolonym fiutem”.

– Przesłuchaliście go?

– Nic to nie dało. Zaprzeczył, że miał z nią romans, twierdził, że mu się narzucała, a on ją splawił. Przy takiej przeszłości jak jego trudno było uwierzyć w to, co mówił, zwłaszcza że na dzień, w którym zniknęła, nie miał alibi. Twierdził, że wyjechał, ale nie powiedział gdzie ani nie przedstawił niczego, co by potwierdzało ten fakt. Najwyraźniej coś ukrywał, lecz bez ciała i materiału dowodowego niewiele mogliśmy zrobić. Przeszukaliśmy rejon wokół miejsca zamieszkania Emmy Derby, to jednak głównie słone bagna i łachy mułowe, na które nie można wejść pieszo. Idealne miejsce, żeby pozbyć się ciała, przy tym piekielnie trudne do przeszukania, dlatego znalezienie tam czegokolwiek zawsze było wątpliwe. Prawnicy sir Stephena blokowali nas i grozili oskarżeniami o nękanie, gdy choćby krzywo spojrzeliśmy na Leo Villiersa. A potem on także zaginął i to właściwie tyle.

Pomyślałem o tym, co wczoraj wieczorem Lundy powiedział mi przez telefon.

– Mówił pan, że jego zniknięcie nie było podejrzane, ale ktoś taki musiał narobić sobie wrogów. A co z mężem Emmy Derby?

– Och, dobrze mu się przyjrzelśmy. Szczerze mówiąc, to niedobre małżeństwo. Nie było tajemnicą, że mieli trudne chwile, zanim jeszcze związała się z Villiersem, i mąż stał się oczywistym podejrzanym. Ale ma solidne alibi. Nie było go w kraju, kiedy zaginęła jego żona, a siedział w Szkocji, gdy zniknęła jej kochanek. – Przez twarz Lundy’ego przebiegł grymas. – To prawda, że Villiers miał wrogów, i śmiem twierdzić, że niewielu ludzi uroniłoby łzę po nim. Nie ma jednak niczego, co by sugerowało, że którykolwiek z nich był zamieszany w sprawę, ani nie ma też niczego podejrzanego. Pojawił się meldunek, że na krótko przed zniknięciem Leo ogrodnik wypłoszył z terenu posiadłości podejrzanego osobnika, ale może to był jakiś nastolatek.

Spojrzałem za budynki przedsiębiorstwa na muliste dno znikające pod powracającą wodą.

– Sądzi pan więc, że Villiers się zabił?

Ostrożność, z jaką inspektor rozmawiał przez telefon, zrodziła we mnie podejrzenie, że było to coś więcej niż wypadek. Lundy wzruszył ramionami.

– Był pod wielką presją, a wiemy, że w młodości miał za sobą przynajmniej jedną próbę samobójczą. Wciąż staramy się zdobyć jego dokumentację medyczną, ale z tego, co słyszeliśmy, wynika, że był to oczywisty przypadek depresji. Mamy też list.

– List pożegnalny samobójcy?

Zrobił urażoną minę.

– Oficjalnie tak go nie nazywamy. Sir Stephen nie dopuszcza, aby ktokolwiek sugerował, że jego syn się zabił, musimy więc postępować ostrożnie. A list znaleziono w jego koszu na śmieci, był to zatem albo brudnopis, albo Leo zmienił zdanie i postanowił go nie pozostawiać. Pismo było jednak na pewno jego. Napisał, że nie może tak ciągnąć dalej i nienawidzi swojego życia. Takie rzeczy. A gospodyni, która znalazła list, powiedziała nam, że zginęła także jego dubeltówka. Wykonana ręcznie przez firmę Mowbry and Son. Słyszał pan o niej?

Pokręciłem głową. Lepiej znałem się na skutkach postrzałów z dubeltówki niż na producentach tej broni.

– Jeżeli chodzi o dubeltówki na zamówienie, są tej samej klasy co purdeye. Piękne wykonanie, jeżeli ktoś lubi takie rzeczy, i wyjątkowo drogie. Ojciec Leo kupił mu ją, kiedy chłopak skończył osiemnaście lat. Musiała kosztować niemal tyle co mój dom.

Tańsza strzelba mogła być równie zabójcza, lecz zacząłem rozumieć, dlaczego wcześniej Lundy nie chciał zbyt wiele mówić na ten temat. Dla każdej rodziny samobójstwo było czymś ciężkim do strawienia, zwłaszcza w przypadku człowieka podejrzanego o morderstwo. Dla każdego rodzica byłby to cios podwójnie trudny do zniesienia, nic więc dziwnego, że sir Stephen Villiers nie przyjmował go do wiadomości. Tym, co różniło go od innych, był fakt, że miał dość pieniędzy i władzy, aby wymusić przyjęcie jego punktu widzenia.

Sytuacja mogła stać się paskudna, gdyby okazało się, że to zwłoki jego syna.

Odległy punkcik śmigłowca był nadal widoczny, lecz teraz wiatr przynosił do nas jego warkot. Wydawało się, że zawisł bez ruchu.

– Dlaczego uważa pan, że to raczej Villiers, a nie Emma Derby? – zapytałem.

– Ponieważ zaginęła siedem miesięcy temu. Nie wyobrażam sobie, by jej ciało pojawiło się po tak długim okresie.

Miał rację. Kiedy powietrze ujdzie z płuc, ciało zazwyczaj opada na dno do czasu, aż nagromadzi się w nim dość gazów gnilnych, żeby ponownie zapewnić mu pływalność. Potem będzie unosić się w wodzie do chwili, gdy się rozpadnie lub gdy gazy w końcu się ulotnią. W zależności od temperatury i warunków może to trwać kilka tygodni bądź dłużej, ale siedem miesięcy to zbyt wiele, zwłaszcza w stosunkowo płytkich wodach ujścia. Pływy, morscy padlinożercy i żarłoczne ptactwo dokonałyby dzieła o wiele wcześniej.

Mimo wszystko jednak było w tym coś, co nie do końca mi pasowało. Postarałem się przypomnieć sobie wszystko, co usłyszałem od Lundy'ego, próbując uporządkować fakty.

– A więc Leo Villiers zaginął dopiero sześć miesięcy po zniknięciu Emmy Derby?

– Mniej więcej, chociaż nie jesteśmy pewni, kiedy dokładnie. Istnieje dwutygodniowa luka pomiędzy momentem, w którym ktoś miał z nim jakiś kontakt, a chwilą, gdy zawiadomiono o jego zaginięciu, jesteśmy jednak niemal pewni...

Inspektor przerwał, gdyż od strony nabrzeża doleciał gwizd. Jeden z członków jednostki morskiej wyszedł z szopy zakładów, uniósł w górę kciuk, po czym wrócił do środka.

Lundy wytrząsnął ostatnie krople herbaty z kubka.

– Mam nadzieję, doktorze Hunter, że jest pan gotów zamoczyć sobie nogi – oznajmił, nakręcając go z powrotem na termos. – Wygląda na to, że śmigłowiec coś znalazł.

### Rozdział 3

Słone bryzgi siekły mnie w twarz, gdy RHIB przechylił się na burtę. Otarłem je grzbietem dłoni, drugą ręką trzymając się krawędzi siedzenia, gdy łódź podskakiwała i ślizgała się po wodzie. Ujście nie było zbyt wzburzone, ale szliśmy naprzeciwko przyływu i pod wiatr. Łódź dygotała, gdy jej dziób wbijał się w kolejne fale posyłające do otwartego wnętrza fontanny zimnej piany.

Było już całkowicie jasno, chociaż słońce, przesłonięte chmurami, widniało jako rozmyta poświata. Ostry zapach plastikowego kadłuba łodzi mieszał się ze smrodem spalin diesla i namoczonych w słonej wodzie lin. Sierżant z jednostki morskiej stał przy przyrządach sterowniczych i mocno trzymając niewielkie koło sterowe, bez trudu pokonywał fale. Siedziałem za Lundym i trzema innymi ubranymi w kamizelki ratunkowe funkcjonariuszami policji morskiej. W łodzi było tłoczno, nasza szóstka bowiem dzieliła ją z dwiema stertami aluminiowych segmentów do ułożenia kładki, dla zachowania równowagi rozmieszczonymi po obu burtach, oraz z noszami.

Rzuciło mną na siedzeniu, gdy łódź wcięła się dziobem w falę, a Lundy uśmiechnął się do mnie zza okularów pokrytych kropelkami wody.

– Wszystko w porządku? – zapytał, przekrzykując wiatr i ryk silnika. – Już prawie jesteśmy!

Kiwnąłem głową. Za młodu żeglowałem i normalnie taki pełen podskoków rejs nie zrobiłby na mnie wrażenia, lecz dziś od przebudzenia byłem nie w formie, choć starałem się to ignorować. Miałem na sobie jak inni kamizelkę ratunkową, tyle że jaskrawopomarańczową, a nie granatową policji morskiej. W sięgających do piersi woderach siedziało mi się niewygodnie, komfortu nie poprawiał też nieprzemakalny kombinezon, na który je włożyłem. Mimo to, patrząc na błotniste brzegi rozlewiska, wiedziałem, że niebawem będę zadowolony z tego ubioru.

Przyływ powracał z zaskakującą prędkością. Zanim przebrałem się i wziąłem przenośny zestaw sprzętu, sprawni goście z policji morskiej zdążyli zwolnić łódź z przyczepy i teraz spuszczała ją po pochylni. Kanał przy nabrzeżu był już prawie pełen wody, która omywała beton rampy, zakrywając powoli muł i kamyki dna.

– Nie będziemy mieli dużo czasu – ostrzegł mnie Lundy, gdy staliśmy przy pochylni. – Ze śmigłowca mówią, że zwłoki są częściowo wyrzucone na łacę piasku, lecz nie zostaną tam długo. Przyływ nadchodzi szybciej, niż człowiek może biec, będziemy więc musieli się pospieszyć.

I to bardzo. Wydobycie ciała, zanim powracający przyływ znowu je uniesie, będzie wyścigiem z czasem i zaczynałem mieć wątpliwości, czy moja obecność w ogóle jest tu potrzebna. W zasadzie antropolog sądowy bardzo się

przydaje, skoro jednak priorytetem jest jak najszybsze wydobyć szczątków, to Lundy i jednostka morska doskonale daliby sobie radę sami.

Mimo to dobrze by było zbadać szczątki *in situ*, nawet przy takim ograniczeniu czasowym. Patrzyłem nad tępym dziobem RHIB-a, gdy dotarliśmy na głębsze wody pośrodku ujścia i ruszyliśmy w stronę Barrows. Piaszczyste mielizny leżały prosto przed nami, tworząc naturalną barierę ciągnącą się niemal od brzegu do brzegu. Były oddzielone od siebie wzbierającym przyływem, lecz wciąż sterczały nad powierzchnią jak gładkie brązowe grzbiety stada wielorybów, które ugrzęzły na płyciźnie. Za nimi, w miejscu, gdzie ujście łączyło się z morzem, dostrzegłem wznoszące się nad wodą trzy dziwnie wyglądające budowle. Były za daleko, żeby dostrzec szczegóły, ale z kołyszącej się łodzi wyglądały jak kwadratowe pudła umieszczone na ustawionych w stożek palach. Jakby wieże wiertnicze, lecz wydawały się stać zbyt blisko brzegu.

Lundy dostrzegł, na co patrzę.

– To morski fort.

– Co takiego?

Musieliśmy przekrzykiwać hałas silnika.

– Morski fort Maunsella. W czasie drugiej wojny światowej armia i marynarka wojenna budowały je wzdłuż wybrzeża, żeby nie dopuszczać niemieckich okrętów do ujść rzek. To fort wojsk lądowych. Przedtem było siedem wież połączonych pomostami, teraz zostały tylko trzy.

– Wciąż są używane?! – zawołałem.

Lundy coś odpowiedział, ale słowa zagłuszył wiatr i silnik. Pokręciłem głową. Pochylił się bliżej.

– Powiedziałem, że tylko przez mewy. Żadne nie należą już do wojska. W latach sześćdziesiątych na niektórych zainstalowało się kilka pirackich radiostacji. Tu była jedna, a inne przy Red Sands i Shivering Sands w ujściu Tamizy. Tamte wieże jeszcze stoją, lecz większość pozostałych zniknęła. W kilka uderzyły statki i zostały rozebrane bądź się rozpadły. Jakiś czas temu krążyły pogłoski, że tę ktoś kupi i przerobi na hotel czy coś w tym rodzaju, ale nic z tego nie wyszło. – Lundy pokręcił głową na wspomnienie takiego szaleństwa. – Nie powiem, żeby mnie to dziwiło. Nie chciałbym tam mieszkać.

Ja też, ale zrezygnowałem z prób dalszego prowadzenia rozmowy. Niemal byliśmy już przy Barrows i zrobiło się cudownie spokojnie, gdy RHIB zmniejszył prędkość, aby wykonać podejście. Teraz można już było usłyszeć łoskot wirnika śmigłowca. Migając światłami pozycyjnymi, wisiał przed nami, utrzymując pozycję nad zwłokami.

Sierzant wprowadził RHIB-a między piaszczyste łachy. Wznosiły się wszędzie wokół nas jak maleńkie wyspy i fale omywały ich gładkie stoki. Niebawem wzbierający przyływ przykryje je znowu i zrozumiałem, co Lundy

miał na myśli, mówiąc, że Barrows uczyniły rozlewisko niemal niedostępnym. Było wystarczająco trudno przedostać się przez nie nawet wtedy, kiedy sterczały nad powierzchnią. Zakryte przez przypyływ mogły być niebezpieczne.

Znaleźliśmy się już niemal bezpośrednio pod śmigłowcem. Podmuch jego wirnika oszałamiał, szarpał nami i wygładzał powierzchnię wody.

– Jest tam.

Lundy pokazał coś przed nami, lecz jego krępa postać zasłaniała mi widok. RHIB zwolnił i wykonał zwrot, a ja po raz pierwszy zobaczyłem ciało. Odpyływ pozostawił je częściowo na błotnistym stoku łachy – przemokniętą kupkę ubrań spoczywającą tak nieruchomo jak to możliwe tylko w przypadku obiektów nieożywionych albo martwych. Leżało twarzą do dołu z głową najbliżej wody, a nogi i stopy tkwiły na zboczu mielizny, odchyłone od nas pod kątem. Kiedy patrzyłem, nieopodal zwłok przysiadła mewa, ale gdy podskoczyła bliżej, żeby sprawdzić, co to, straciła zainteresowanie.

To mi coś mówiło.

Lundy porozmawiał przez radio, a kiedy śmigłowiec wzbił się wyżej i odleciał pochylony w skręcie, uniósł dłoń w geście podziękowania. Po wyłączeniu silnika łodzi bezwładność szarpnęła nas do przodu i w powstałej nagle ciszy rozległo się stuknięcie, gdy dziób wszedł na brzeg. Skupiłem uwagę na zwłokach i zacząłem wysiadać z łodzi. Mielizna wyglądała dość solidnie, ale miała żelowatą, ziarnistą konsystencję mokrej zaprawy murarskiej i niemal straciłem równowagę, zapadając się w nią po kolano.

– Ostrożnie – powiedział Lundy, łapiąc mnie za rękę. – Lepiej poczekać, aż ułożymy płyty. Musi pan uważać z tym paskudztwem, bo inaczej ugrzęźnie pan po pas.

– Dzięki – odparłem z zakłopotaniem. Wyszarpnąłem stopę, w myśli gratulując sobie woderów. Teraz zrozumiałem, dlaczego policja nie chciała opuścić kogoś ze śmigłowca. W taki sposób ratownik nie zdołałby podnieść ciała, bo sam by ugrzązał całkowicie.

Funkcjonariusze policji morskiej zaczęli rozkładać płyty na mieliznie, tworząc kładkę do zwłok. Metalowe prostokąty zapadały się pod własnym ciężarem, wyciskając wodę wokół krawędzi. Wkrótce stały się zapaćkane i śliskie, ale były lepszym rozwiązaniem niż próba przejścia po mokrym piasku.

Podczas ich pracy nie ruszałem się z miejsca, patrząc tylko i odnotowując w głowie chaotyczne ułożenie kończyn zwłok. Odpyływ pozostawił je twarzą do dołu, w takiej samej pozycji, w jakiej unosiły się w wodzie. Miały na sobie długi ciemny płaszcz z ceraty albo innego wodoodpornego materiału, oblepiony mułem i wydęty wciąż uwięzionym pod nim powietrzem. Jedną ręką spoczywała wzdłuż ciała, a druga znajdowała się nad głową, jakby zatrzymana w połowie ruchu.

Dłoni i stóp nie było.

– Chciałbym się przyjrzeć, zanim je ruszymy – rzekłem do Lundy’ego, kiedy policjanci skończyli układać płyty. Skinął głową.

– Byle szybko. Za kilka minut wszystko będzie pod wodą.

Miał rację. Mimo wcześniejszych ostrzeżeń zaskoczyła mnie szybkość przyływu. Fale już chlupotały nam wokół butów. W czasie układania płyt poziom wody dotrzymywał kroku pracującym, sięgając już powyżej łąchy.

Uważając, aby nie poślizgnąć się na zabłoconym metalu, dotarłem ostrożnie do ciała sprawiającego żalosne wrażenie czegoś niepotrzebnego i wyrzuconego. Kolejna mewa skradała się do niego, podskakując i pozostawiając na mokrym piasku ślady przypominające groty strzał. Gdy podszedłem bliżej, zatrzepotała skrzydłami, wzbiła się w powietrze i odleciała, protestując skrzekliwie. Jeszcze więcej ich krążyło nad nami na tle nieba o barwie cynku, ale podobnie jak wcześniej ta pojedyncza, żadna nie zwracała uwagi na to, co leżało na mieliźnie. Mówiło to wiele o stanie zwłok, skoro bowiem nawet tak żarłocznym padlinożercy jak mewy nie interesują się nimi, stan rozkładu musiał być dalece posunięty.

Uzyskałem potwierdzenie chwilę później, gdy wiatr zmienił kierunek i ohydny odór gnijącego mięsa zagłuszył słony zapach morskiego powietrza. Zatrzymałem się w odległości kilku stóp i przyjrzałem się uważnie ciału. Chociaż leżało tak zwinięte, osobnik ten za życia musiał być ponadprzeciętnie wysoki. Prawdopodobnie mężczyzna, ale nie na pewno, równie dobrze mogła to być wyjątkowo rosnąca kobieta. Większość głowy zasłaniał długi płaszcz, zwinięty nad nią jak kaptur, i w rezultacie nad kołnierzem widać było tylko kilka rzadkich kosmyków włosów oblepionych piaskiem. Ramiona oraz nogi oplątane były wodorostami i wydawało się, że na całym ciele widać jakieś drobne ruchy. Sprawiało to wrażenie optycznego złudzenia, lecz w rzeczywistości były to łażące po nim małe skorupiaki, drobne kraby i owady wodne niemal niewidoczne na tle warstwy mokrego piasku.

Przykucnąłem, żeby lepiej się przyjrzeć. Z nogawek spodni sterczały tępe kikuty białych kości i chrząstek, a przedramiona kończyły się na przegubach. W nabrzmiałej tkance jednego z nich tkwił złoty zegarek. Na żadnej pobliskiej mieliźnie nie było widać brakujących elementów kończyn, ale zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Chociaż nie byłyby to pierwsze oglądane przeze mnie zwłoki, których dłonie usunięto, aby uniemożliwić identyfikację, nie dostrzegłem żadnych charakterystycznych uszkodzeń kości przegubów i kostek świadczących, że zostały odcięte. Pozbawione jakiegokolwiek ochrony ubrania dłonie i stopy po prostu odpadły po rozpadzie tkanki łącznej stawów.

Z kieszeni na piersi woderów wyjąłem aparat fotograficzny i zacząłem robić zdjęcia. Zorientowałem się, że Lundy podszedł do mnie, dopiero kiedy się odezwał.

– Może pan dostać kopie naszego wideo.

Obejrzałem się. Poruszał się cicho jak na tak dużego mężczyznę, nawet na



metalowych płytach.

– Dziękuję, ale mimo wszystko zrobię parę zdjęć.

W rezultacie, jeżeli coś przeoczę, będę mógł mieć pretensję tylko do siebie samego. Lundy stał, przyglądając się zwłokom.

– Wygląda na mężczyznę. Najwyraźniej był w wodzie przez dłuższy czas, skoro dłonie i stopy odpadły. Czy to by pasowało do czasu zniknięcia Leo Villiersa?

Czekałem na takie pytanie. Normalnie ocena czasu, jaki upłynął od chwili śmierci, była poniekąd moją specjalnością, ponieważ szkoliłem się na niezwyklej „trupiej farmie” w Tennessee, gdzie ludzkie zwłoki wykorzystywano w kontrolowanych doświadczeniach związanych z procesami rozkładu. Nauczyłem się wykorzystywać tę wiedzę w ustalaniu czasu śmierci denata przy uwzględnieniu działalności bakterii oraz stopnia zaawansowania procesu gnilnego, posługując się specjalnymi formułami podczas analizy rozpadu lotnych kwasów tłuszczowych ciała. Bez fałszywej skromności mogę stwierdzić, że równie dobrze jak większość entomologów sądowych znam cykl życiowy much plujek i sposoby, w jaki różne owady zasiedlają rozkładające się ciało. I chociaż nadal wolę nazywać to raczej doświadczeniem, a nie instynktem, od wielu lat zdolność precyzyjnej oceny takich rzeczy jest moją drugą naturą.

Ale to działa na lądzie. Tam leżące ciało pozostaje na jednym miejscu, natura natomiast współpracuje, czynnie zapewniając dające się zmierzyć kryteria.

W wodzie to co innego.

Choć nie brakowało wodnych padlinożerców, nie było żyjącego w tym środowisku odpowiednika muchy plujki, której cykl życiowy stanowił wygodny miernik pozwalający ustalić czas, jaki minął od zgonu. Ciało dryfujące w wodzie może się poruszać zdane na kaprysy pływów i prądów, zmieniając głębokość, a tym samym temperaturę. Woda słodka i słona są odmiennie same w sobie, różnią się warunkami oraz żyjącymi w nich stworzeniami, poddawane zaś pływom ujście takie jak to, w którym rzeka łączy się z morzem, było jeszcze czymś innym.

Spojrzałem na zwłoki. Poza węzłami stawów przegubowych dłoni i skokowych płaszcz zakrywał prawie wszystko. Mogłem jednak dostrzec wystarczająco dużo.

– W tych warunkach mogło to przebiec dość szybko, nawet o tej porze roku. Zapewne więc tak...

W ostatniej sekundzie powstrzymałem się przed dodaniem „ale”. Cztery do sześciu tygodni to wystarczająco długo, by dłonie i stopy odpadły na płytkich, poddawanych pływom wodach. Nie to mnie więc niepokoiło, ale nie chciałem nic mówić, dopóki nie zobaczę więcej.

Lundy patrzył na mnie przez chwilę, jakby czekając na dalszy ciąg. Kiedy milczałem, kiwnął głową.

– No dobrze, weźmy ciało na łódź.

Odsunąłem się na bok, przepuszczając dwóch funkcjonariuszy policji morskiej z noszami, którzy przeszli ciężkim krokiem po kładce. Sierżant szedł za nimi z workiem na zwłoki i złożoną plastikową płachtą.

– Jak mamy to zrobić? – zapytał jeden z policjantów, stawiając nosze i z obrzydzeniem spoglądając na leżące twarzą w dół zwłoki.

– Przetoczcie je na płachtę, a potem będziemy mogli przenieść to do worka – polecił sierżant. Odwrócił się do Lundy’ego, w ostatniej chwili przypominając sobie, żeby i mnie uwzględnić. – Chyba że macie panowie inne wytyczne?

– Jeżeli pozostanie w jednym kawałku, to nie – orzekł flegmatycznie Lundy.  
– Zgadza się pan, doktorze Hunter?

Nic nie wskazywało, żeby było wiele innych możliwości. Wzruszyłem ramionami.

– Tak, oczywiście. Byle ostrożnie.

Sierżant policji morskiej wymienił spojrzenia z jednym z członków swego zespołu, bez słów komentując moją radę. W chwili gdy rozwijano płachtę i rozkładano obok zwłok, przyплыw już omywał głowę denata. Wszyscy funkcjonariusze mieli nałożone maski, grube gumowe rękawice oraz sięgające do piersi wodery. Skończyłem ze zdjęciami i również założyłem maskę i rękawice, naciągając je na cienkie, z gumy nitrilowej, które już miałem na dłoniach.

– Okej, zgrabnie i ostrożnie. Podnieść i odwrócić na trzy. Raz, dwa...

Ciało poruszyło się ospale, gdy opuszczono je na czarny plastik. Powiew obrzydliwego, wilgotnego powietrza napłynął, gdy odessało się od mokrego piasku, przewracając na plecy. Jeden z policjantów odwrócił się, osłaniając przedramieniem nos.

– No fajnie.

Owinięta w długi płaszcz rzecz na płachcie nie przypominała już człowieka. Nic nie wskazywało na wiek, rasę czy płeć. Z czaszki zniknęła większość skóry i ciała, oczodoły były pustymi jamami. Wrażliwe kulki galarety i chrząstek były zazwyczaj jednymi z pierwszych celów padlinożerców. Pojawiły się nawet wczesne oznaki przeobrażenia woskowo-tłuszczowego – brudnobiałe złogi wyglądające, jak gdyby wosk z topiącej się świecy kapał na ocalałe tkanki. Była to karykatura twarzy – oczodoły zapchał piasek, a nos był kikutem obgryzionych chrząstek. Można się było tego spodziewać, biorąc pod uwagę czas przebywania zwłok w wodzie. Dolna jej część zniknęła całkowicie i tam gdzie powinny znajdować się usta, widniała ziejąca jama, odsłaniająca twardą chrząstkową tkankę w tylnej części gardła. Po dolnej kości szczękowej, czyli żuchwie, nie było śladu, a tylko parę roztrzaskanych pieńków zębów przypominało o górnej szczęce. W czasie przetaczania zwłok na płachtę głowa przechyliła się na bok i teraz, kiedy nie zakrywał jej kołnierz płaszcza, mogłem zobaczyć na potylicy coś, co wyglądało

jak rana wylotowa, wystarczająco duża, aby zmieściła się w niej moja pięść.

Lundy obejrzał ją beznamiętnie, a potem odwrócił się do mnie i zapytał:

– Jak pan sądzi, doktorze Hunter? Dubeltówka?

Zdałem sobie sprawę, że marszczę brwi. Podniosłem się.

– Na to wygląda – przytaknąłem. Uszkodzenia dolnej części twarzy sugerowały, że były efektem większego pola rażenia śrutówki, a nie karabinu czy pistoletu. – Coś tkwi w tylnej części gardzieli.

Nie dotykając ciała, pochyliłem się niżej, by lepiej się przyjrzeć. W zmiażdżonych kościach i tkankach tkwił jakiś przedmiot – mały brązowy krążek, zbyt regularny jak na naturalny wytwór.

– Przybitka z naboju śrutowego – powiedziałem, nie próbując jej wyjąć.

Co potwierdzało rodzaj broni. Właściwie nie stanowiłoby to istotnego utrudnienia, lecz było mało prawdopodobne, aby jakaś śrucina utkwiała w ciele. Śrut ze strzelby zaczyna się rozpraszać z chwilą opuszczenia lufy, a im dalej leci, tym większy jest rozrzut i większa zadana nim rana. Niewielka średnica śrucin sprawiła, że były ściśnięte i pozostawały blisko siebie, gdy przebijały otwór w potylicy. Sugerowało to, że wystrzelono je z małej odległości.

Bardzo małej.

– Wygląda na ranę kontaktową – powiedziałem. Wystrzał śrutówki oddany z odległości od jednego do dwóch centymetrów powoduje swego rodzaju efekt tatuażu, który w tym przypadku był wyraźnie widoczny. – Na tym, co zostało z zębów i kości, są zaczerwienienia, a na tkankach miękkich także sporo przypaleń. W chwili wystrzału wylot lufy był albo umieszczony w ustach, albo o nie oparty. Jestem zdziwiony, że z tej odległości przybitka z naboju również nie dokonała pełnej penetracji.

Lundy skinął głową.

– Czyli mogła być zadana przez samego denata.

– Owszem.

Rana kontaktowa mogłaby potwierdzać wersję samobójstwa, zwłaszcza w sytuacji użycia dubeltówki. Długość luf większości strzelb śrutowych powodowała, że nieporęcznie było je odwrócić i w tym położeniu dosięgnąć spustu, zatem kontakt zazwyczaj stawał się nie do uniknięcia. Z drugiej strony jednak nie oznaczało to, że nie mógł zastrzelić go ktoś inny.

Lundy musiał odczytać ton mojego głosu. Maską zasłaniała większość jego twarzy, ale w kącikach oczu pojawiły się typowe dla uśmiechu zmarszczki.

– Niech się pan nie martwi, nie mam zamiaru wyciągać pochopnych wniosków. Ale chyba nie mamy większych wątpliwości.

Nie mogłem się spierać z tą opinią. Człowiek zaginął razem z dubeltówką, teraz zaś znaleziono ciało z raną kontaktową zadaną z takiej broni. Wszystko wskazywało na to, że znaleźliśmy Leo Villiersa.

Nie odezwałem się.

Lundy przywołał skinieniem czekających policjantów.

– Dobra, zabierzcie to na łódź.

W trakcie naszej kilkuminutowej rozmowy poziom morza wyraźnie się podniósł i woda już omywała dolną krawędź plastikowej płachty. Podczas gdy Lundy zgłaszał, że wracamy ze zwłokami, wziąłem do ręki jeden jej róg, a funkcjonariusze z jednostki morskiej uchwycili pozostałe. Woda spływała strumykami z plastiku, gdy podnosiliśmy ciężar i opuszczaliśmy do leżącego na noszach worka na ciało.

Przynajmniej w tym mogę pomóc, pomyślałem. Poza tym nie było ze mnie zbyt wiele pożytku.

Po załadowaniu wszystkiego na RHIB zająłem to samo miejsce co poprzednio i silnik obudził się z rykiem. Niedawno wierzchołki mielizn były nad naszymi głowami, teraz jednak morze wezbrało tak, iż znajdowały się niemal na naszym poziomie. Spojrzałem za siebie i zobaczyłem, że woda już dotarła do miejsca, gdzie leżały zwłoki, wygładzając piasek i usuwając wszelki ich ślad.

Gdy łódź nabierała prędkości, Lundy trącił mnie w ramię i wskazał do tyłu, na skalistą mierzęję wychodzącą w zalew tuż za Barrows.

– Widzi pan tamten półwysep? To Willets Point, na którym mieszkał Leo Villiers.

W przeciwieństwie do większości okolicznych terenów cypel był gęsto zalesiony. Na występie skalnym stała samotnie, niemal zasłonięta drzewami duża, biała wiktoriańska willa. Wykuszowe okna nad niewielką przystanią wychodziły na morze, a widok z nich zakłócały tylko wieże morskiego fortu stojącego pół mili od brzegu.

– Dawniej był to letni dom rodziny, lecz potem stał pusty do czasu, kiedy kilka lat temu Villiers postanowił się do niego wprowadzić! – objaśniał Lundy, przekrzykując silnik. – Jego ojciec mieszka w Londynie albo w głównym domu niedaleko Cambridge, miał go więc cały tylko dla siebie. Niezła garsoniera, co?!

Rzeczywiście, ale w ostatecznym rozrachunku wielki dom nie przyniósł Villiersowi wiele dobrego.

– Wspomniał pan, że nie macie pewności, kiedy zniknął! – krzyknąłem. – Dlaczego?

Lundy pochylił się bliżej, żeby nie musieć krzyżeć.

– Zaginięcie zgłoszono dopiero miesiąc temu, ale w rzeczywistości ostatni kontakt miano z nim dwa tygodnie wcześniej. Wezwał do swojego domu lekarkę weterynarii, aby uspiła starego psa. Powiedziała, że był tym bardzo przygnębiony i od tamtej pory nikt go ani nie widział, ani z nim nie rozmawiał. Żadnych telefonów, maili, żadnej obecności w internecie, nic. Tak więc cokolwiek się zdarzyło, miało miejsce w tym dwutygodniowym przedziale czasowym. Nie

zawężiliśmy go bardziej, ale zapłata za wizytę pani weterynarz była ostatnim przypadkiem użycia jego karty kredytowej. Dlatego teraz uważamy, że cokolwiek się stało, zdarzyło się raczej sześć tygodni temu, a nie cztery, wtedy jednak nikt jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Nikt nie zauważył jego nieobecności przez dwa tygodnie? – Nie zdziwiłoby mnie to, gdyby chodziło o jakiegoś samotnego emeryta bez rodziny czy przyjaciół, lecz wydawało się zbyt długo jak na kogoś w wieku i o sposobie bycia Leo Villiersa. – A ojciec?

– Nie byli ze sobą blisko. Zdaje się, że istniało między nimi trochę napięcia, nie było więc niczym niezwykłym, że nie rozmawiali ze sobą tygodniami. Sytuacji nie poprawiła sprawa z Emmą Derby. Villiers nie miał kucharza, ale zatrudnił ogrodnika i gospodynię, która przychodziła raz na tydzień. Miała klucze, więc początkowo się nie przejęła, kiedy nie znalazła w domu śladu Leo. Kiedy jednak pojawiła się tydzień później, w domu był nieporządek, wszędzie butelki, brudne naczynia w zlewie, niedojedzone resztki. Już wcześniej robił bałagan, więc po prostu posprzątała i wyszła. Uznała tylko za dziwny pusty futerał dubeltówki, ponieważ Villiers nigdy jej nie brał. Nie lubił polować, stąd zaskoczenie. No a kiedy wróciła tydzień później, nadal go nie było, w domu wszystko wyglądało tak jak w chwili jej wyjścia i wtedy zdała sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Niczego nie tknięto, poczta wypełniała skrzynkę na listy, a futerał na mowbry'ego wciąż leżał otwarty. Samochód też był na miejscu, podobnie jak jolka, którą czasami pływał. Wtedy rozejrzała się dokładniej, znalazła list i nas wezwała.

– Nie zadzwoniła najpierw do ojca?

– Nie przypuszczam, aby sir Stephen był typem człowieka odbierającego telefony od personelu. Poza tym chyba uznała, że lepiej, jeśli wiadomość będzie pochodziła od nas. Zastrzelić posłańca i tak dalej. – Lundy zmieszał się, uświadamiając sobie, co powiedział. – Przepraszam. Źle dobrałem słowa.

– A co z dubeltówką? – zapytałem. – Nie było jej w domu?

– Nie i dlatego początkowo zastanawialiśmy się, czy nie jest w to zamieszana osoba trzecia. Gdyby zastrzelił się nad wodą, strzelba wpadłaby do niej razem z nim i znaleźlibyśmy ją w czasie odpływu. Ale nic z tego, czyli widocznie zrobił to gdzie indziej. Jego dom jest po drugiej stronie Barrows, skoro więc zwłoki znalazły się tutaj, wygląda na to, że popełnił samobójstwo bardziej w głębi łądu. Pewnie w Backwaters i dlatego tyle czasu trwało wyniesienie go przez pływy. Gdyby zrobił to przy brzegu, strzelba dawno by została znaleziona, a jego ciało zaczepiłoby o coś już wcześniej.

Cofnął się, dając mi możliwość przemyślenia tego, co powiedział. Leo Villiers zaginał co najmniej cztery tygodnie temu, najprawdopodobniej jednak bliżej sześciu. Zaczęłem kalkulować oglądany niedawno stan rozkładu ciała i ewentualne czynniki mogące na nie wpłynąć podczas dryfowania w wodach

zalewu. Chodziło głównie o temperaturę i padlinożerców, zarówno wodnych, jak i latających. Poza tym była też kwestia zasolenia wody i pływów, które dwa razy dziennie wystawiałyby je na działanie wiatru i warunków pogodowych.

Moje myśli przerwało słońce przebijające się przez lukę w cienkiej chmurze i złocące falującą wodę plamkami światła. Na brzegu pojawił się nagły rozbłysk, kiedy odbiło się w czymś – porzuconej butelce lub odłamku szkła. Potem znowu przesłoniła je chmura i rozbłysk się nie powtórzył.

\* \* \*

Łódź była odległym punktem ciągnącym za sobą biały ogon śladu torowego. Zza wydmy porośniętej ostrą trawą bagienną jakaś postać obserwowała ją przez lornetkę. Jej wzrok spoczywał na obiekcie umocowanym na rufie RHIB-a – długim czarnym kształcie na pomarańczowych noszach. Postać zaklęła pod nosem i opuściła lornetkę.

Schowała ją do futerału i odwróciła się.

## Rozdział 4

Przy szopach przetwórci czekał komitet powitalny. Gdy się zbliżyliśmy, dostrzegłem, że do policjantów, którzy tam zostali, dołączyły nowe osoby. Jedna miała na sobie gruby niebieski kombinezon i domyślałem się, że to wspomniany wcześniej przez Lundy'ego anatomopatolog. Druga – wysoka kobieta w jasnym płaszczu przeciwdeszczowym – musiała zatem być starszym oficerem dochodzeniowym Clarke.

Nie wiedziałem natomiast, kim są dwaj pozostali mężczyźni. Stali na drugim krańcu nabrzeża, nieco z tyłu i w pewnej odległości od reszty. Obaj mieli na sobie ciemne płaszcze i kiedy RHIB znalazł się bliżej, zobaczyłem, że jeden ma czapkę z daszkiem wyższego oficera policji.

– O Boże – mruknął Lundy na ich widok.

– Kim oni są? – zapytałem.

Detektyw inspektor spędził większą część rejsu z Barrows na dziobie łodzi, nie zważając na zimne bryzgi uderzające w niego za każdym razem, gdy RHIB ciął dziobem fale. Sprawiał wrażenie, że kołysanie i podskoki kadłuba nie były mu przykre, a wręcz przeciwnie, wyraźnie cieszył się, stojąc twarzą pod wiatr, jak pies z głową wystawioną przez okno samochodu.

Teraz westchnął z rezygnacją, jakby niedługi rejs łodzią był zbyt krótkim przerywnikiem. Zdjął okulary i zaczął wycierać z nich krople wody.

– Dryden, zastępca komendanta głównego. A z nim sir Stephen Villiers.

Odwróciłem się plecami do nabrzeża, rozumiejąc jego obawy. Nigdy nie słyszałem, żeby zastępca komendanta głównego asystował przy zwykłym odzyskaniu zwłok, a tym bardziej razem z rodzicem ofiary. Był to bardzo niefortunny pomysł, by narażać na niepotrzebny stres zarówno krewnego, jak i funkcjonariuszy policji muszących pracować pod taką obserwacją.

Podchodziliśmy do szop przedsiębiorstwa w ciszy przerywanej tylko krótkimi rozkazami sierżanta policji morskiej. RHIB zwolnił, dziób opadł na wodę, a silnik mruczał łagodnie. Fale omywały rurowaty kadłub, gdy łódź samym rozpędem pokonywała ostatnie jardy do brzegu. Woda w zalewie podniosła się wystarczająco, abyśmy mogli zacumować, zamiast korzystać z pochylni. Łódź stuknęła o nabrzeże, tuż obok znikających w wodzie betonowych schodów. Clarke i pozostali obserwowali w milczeniu, jak policjant w granatowej kamizelce wyskakuje na brzeg i zakłada cumę RHIB-a na metalowy pacholek.

– Pana kolej, doktorze Hunter – polecił Lundy. – Nasze zniesiemy na końcu.

Zdając sobie sprawę z powagi postaci spoglądających z góry, chwyciłem stopień i czując się niezgrabnie w woderach i nieprzemakalnym kombinezonie, podparłem się, wyłaząc z niestabilnej łodzi. Stopnie były śliskie, a mokry beton

zabarwiony zielono przez algi. Na górze zatrzymałem się, aby otrzeć ręce ze szlamu. Gdy kobieta w kremowym płaszczu przeciwdeszczowym i mężczyzna w kombinezonie podeszli do mnie, zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem ubłocony.

– Doktor Hunter? Jestem inspektor naczelna Pam Clarke. A to profesor Frears, anatomopatolog z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Clarke była wysoka, szczupła, o kręconych rudawych włosach, które choć usiłowała nad nimi zapanować, ściągając je w kucyk, fruwały w niesfornych kosmykach wokół jej bladej twarzy. Wiek Frearsa trudno było określić. Faliste włosy miał srebrzyste, ale twarz gładką, bez zmarszczek, mógł więc równie dobrze mieć czterdziestkę, jak być dobrze zakonserwowanym sześćdziesięcioletkiem. W połączeniu z rumianymi policzkami bon viveura nadawało mu to wygląd rozpustnego cherubina.

– Nie podam panu ręki – oznajmił wesoło, unosząc do góry dłonie w rękawicach. Popatrzył na mnie z namysłem. – Hunter, Hunter... Znam to nazwisko. Czy my się już spotkaliśmy?

– Nie sędzę.

– Cóż, tak mi przyszło do głowy.

Kiedy skierował uwagę na ładunek łodzi, zerknąłem na dwóch mężczyzn w ciemnych płaszczach na drugim końcu nabrzeża. Stali poza zasięgiem głosu, ale i tak dość niezręcznie było prowadzić tę rozmowę, zważywszy na obecność człowieka, który zapewne był ojcem ofiary. Sir Stephen Villiers wyglądał na ponad sześćdziesiąt lat. Ubrany był w ciemnografitowy płaszcz, pod nim nosił jasnoszary garnitur. Rozwiane, rzadziejące włosy miał również szare, a teraz także jego twarz przybrała szarawy odcień, blednący w miarę obserwowania procesu wyciągania noszy z łodzi. Nie było w nim na pozór nic, co wywierałoby większe wrażenie, ale w jakiś sposób zdawał się emanować o wiele większą władzą niż towarzyszący mu starszy oficer policji. Dryden, zastępca komendanta głównego, był zbudowany jak gracz w rugby. Miał twarz o kwadratowej szczęce, a spod lśniącego daszka czapki spoglądały głęboko osadzone oczy. Górował nad stojącym obok mężczyzną, lecz to ten niższy przyciągał uwagę.

Patrzyłem na całkowicie pozbawioną emocji twarz sir Stephena, a on być może wyczuł moje spojrzenie, bo nagle podniósł na mnie wzrok. Spojrzenie było obojętne, wyzbyte zainteresowania, jedynie rejestrujące moją obecność. Chwilę później znowu zaczął wpatrywać się w nosze, pozostawiając mnie z poczuciem, że zostałem pobieżnie oszacowany i natychmiast zapomniany.

Lundy też już wysiadł z łodzi i wspinał się po stopniach, sapiąc z wysiłku. Nosze podjęto z rufy i poniesiono w ślad za nim.

– Ostrożnie – ostrzegła Clarke, gdy wciągano je na nabrzeże. – Dobrze, postawcie tutaj.



Postępując z wysiłku, policjanci z jednostki morskiej opuścili ciężar i odstąpili od niego. Woda ściekała z noszy, tworząc kałużę na betonie. Frears podszedł do nich.

– No dobrze, co tu mamy? Zwłoki w stanie rozkładu, zapewne męskie. Rana postrzałowa głowy, jak sędzę? – Nie czekając na niczyją odpowiedź, skinął na sierżanta. – Zerknijmy na to, dobrze?

Clarke lekko zeszywniała. Chociaż nie spojrzała w kierunku, gdzie stał sir Stephen, było jasne, o co jej chodzi.

– Czy nie powinniśmy zabrać go do prosektorium?

– Ja też nie lubię pracować przed widzami, ale skoro już tu jestem, zamierzam zrobić, co do mnie należy.

Mówił uprzejmie, ale wystarczająco zdecydowanie, by zniechęcić obecnych do jakiegokolwiek wtrącania się do jego roboty. Z nieszczęśliwą miną Clarke krótko kiwnęła głową na sierżanta jednostki morskiej.

– Otwórzcie.

Po otwarciu suwaka nabrzeże owiał mdlący odór rozkładu. Białe ciało w środku wyglądało upiornie na tle czarnego plastiku. Jak topniejąca woskowa kukła.

– Podejrzewam, że porównanie z dokumentacją dentystyczną będzie wyzwaniem – stwierdził Frears, spoglądając na roztrzaskane pozostałości ust i dolnej szczęki. Przykucnął przy zwłokach. – Wygląd zewnętrzny sugeruje, że to mężczyzna, który znajdował się od jakiegoś czasu w wodzie. Rozchylcie bardziej worek, dobrze?

Sierżant pochylił się, żeby wykonać polecenie, i nagle zastygł. Przyjrzał się bliżej.

– Chwileczkę, tam coś jest... O Jezu!

Cofnął się gwałtownie, widząc nagły ruch wewnątrz odsłoniętego gardła. Coś zwinęło się w szczątkach ust, a potem wyskoczyło do przodu jak srebrzysty język. Węgorz wypełził na zewnątrz i spadł do worka na zwłoki.

– Wygląda na to, że mamy pasażera – stwierdził sucho Frears, lecz zauważyłem, że także się cofnął.

– Przepraszam – wymamrotał sierżant, lecz Clarke tylko machnęła niecierpliwie ręką, czerwieniąc się lekko.

– Nie stójcie tak, wyrzucie go.

Kiedy zabieraliśmy ciało, węgorz musiał się ukryć w głębi przelyku. Sierżant z miną świadcząca, że wolałby być gdziekolwiek indziej, tylko nie tu, poszperał obok ciała. Gdy wyciągnął rękę, trzymana w niej ryba wiła się jak wąż, okręcając się wokół obciążonej rękawicą dłoni i przegubu.

– Co mam z tym zrobić, sir?

– No cóż, wędzone są smaczne, ale sugeruję, żebyście go wyrzucili –

odparł Frears. – Chyba że przyda się panu, doktorze Hunter?

Na pewno nie. To nie były zwłoki znalezione na łądzie, gdzie stworzenia zamieszkujące szczątki mogą być źródłem informacji. Węgorz najwyraźniej urządził sobie bazę w wygodnym źródle pożywienia i pożerał rozkładające się tkanki albo przyciągane przez ciało drobniejsze stworzenia.

Z grymasem obrzydzenia sierżant strząsnął z ręki rybę, wrzucając ją z pluskiem do wody. Gdy Frears wrócił do badania zwłok, starałem się nie patrzeć na sir Stephena Villiersa. Widocznie ojciec denata chciał się tu znaleźć, a obecność u jego boku wyższego oficera policji wyraźnie świadczyła o jego wpływach. Niemniej nie był to widok, który członek rodziny powinien oglądać.

– Cóż, rany wlotowa i wylotowa są dość oczywiste – kontynuował Frears. – Sądząc z rozmiarów uszkodzeń, był to albo pocisk dużego kalibru, albo śrutówka. Strzał oddano z bliskiej odległości.

– Sądzę, że dubeltówka – wtrąciłem się. – W tylnej części tchawicy jest coś, co wygląda jak przybitka z naboju śrutowego.

– Rzeczywiście. – Frears zajrzał w głąb rany. – A pod nią coś jeszcze. Metal... jakby śrucina.

Wcześniej nie była widoczna. Węgorz, wypełzając na zewnątrz, musiał przesunąć zakrywającą ją przybitkę.

– Mogę zobaczyć?

– Zapraszam.

Odchylił się, żebym mógł zajrzeć do czegoś, co kiedyś było ustami. Widać było połyskiwanie czegoś okrągłego i lśniącego, co tkwiło w zmasakrowanych chrząstkach i kościach za brązową przybitką.

– Wydaje się trochę za duże na śrucinę – zauważyłem. – I wygląda bardziej na wykonane ze stali niż ołowiu.

– Mnóstwo ludzi używa obecnie stalowych śrucin zamiast ołowianych – oświadczył patolog, najwyraźniej nie lubiąc, by ktoś z nim dyskutował. – Może to być coś w rodzaju loftki dużego kalibru. Będę wiedział dokładnie, kiedy ją wyjmę.

– Czy z takiej odległości śrucina nie powinna przejść na wylot?

– Owszem, ale stalowe śruciny są o wiele twardsze od ołowianych. Częściej rykoszetują, może więc ta jedna odbiła się i utkwiała tutaj. W tej chwili jeszcze tego nie wiem – wyjaśnił z demonstracyjną cierpliwością. – W każdym razie, przechodząc bardziej do pańskiej dziedziny, doktorze Hunter, czy ma pan jakąś koncepcję, jak długo ciało przebywało w wodzie? Bo że najwidoczniej dość długo, aby utracić dłonie i stopy, to już wiemy.

Słowa „bardziej pańskiej dziedziny” powiedziane były znaczącym tonem. Rozumiejąc aluzję, wyprostowałem się i spojrzałem na namoknięte zwłoki.

– Trudno orzec – odparłem wymijająco, usiłując zdecydować, jak wiele mogę powiedzieć na tym etapie. – Dwa razy dziennie, przy odpływie, było

wystawione na działanie temperatury powietrza, zatem rozkładało się szybciej, niż gdyby przez cały czas pozostawało zanurzone. A w płytszych miejscach dłonie i stopy mogły wlec się po dnie, co przyspieszało wystąpienie uszkodzeń.

Frears uniósł brwi, demonstrując mi swoje zdziwienie.

– Rzeczywiście, zaczęło jednak powstawać przeobrażenie tłuszczowo-woskowe. A ten proces nie zachodzi z dnia na dzień.

– Nie jestem pewien, jak dalece możemy na tym polegać. Odzież mogłaby je przyspieszyć, zwłaszcza płaszcz. – Nie przeprowadzono zbyt wielu badań nad przeobrażeniami woskowo-tłuszczowymi, lecz z tego, co wiedziałem, kredowobiała substancja powstająca w czasie rozkładu podskórnej tkanki tłuszczowej tworzyła się szybciej w sytuacji, gdy ciało było zakryte. A naturalne włókna, takie jak bawełna w płaszczu typu prochowiec, zazwyczaj nasilały efekt bardziej niż materiały syntetyczne. – Wątpię, czy sześć tygodni jest realnym terminem. Nie w przypadku płycizn i pływów jak tutaj.

– Co więc panowie sądzicie? – wtrąciła się Clarke.

– Mam wrażenie, że doktor Hunter zdaje się mieć wątpliwości w kwestii okresu przebywania ciała w wodzie – wyjaśnił jej Frears.

Odpowiedziała mu cisza. Moje wątpliwości zaczęły narastać już wtedy, gdy Lundy powiedział mi o dwutygodniowej luce pomiędzy momentem, kiedy Villiersa widziano po raz ostatni, a zgłoszeniem jego zaginięcia. Przez cały ten czas musiałby uniknąć wszelkich kontaktów z osobami, które go znały, co oznacza, że cokolwiek się z nim stało, prawdopodobnie miało miejsce wkrótce po tym, jak uspio jego psa. To zaś, jak stwierdził Lundy, świadczyło, że śmierć nastąpiła raczej przed sześcioma, a nie czterema tygodniami.

Rzecz w tym, że nie sądziłem, aby te szczątki mogły przebywać w wodzie tak długo. Gdyby ciało dryfowało przez dodatkowe dwa tygodnie – czy choćby jeden – byłoby w jeszcze gorszym stanie niż obecnie. A więc albo Leo Villiers zdołał całkowicie odizolować się od świata na dwa tygodnie i dopiero potem się zastrzelił, co było możliwe, lecz mało prawdopodobne, albo nie były to jego zwłoki.

– Chcę faktów, a nie domysłów – warknęła Clarke, nie podnosząc głosu. – Jak szybko możemy potwierdzić, że to Leo Villiers?

– Cóż, sądzę, że dokumentacja dentyścyczna czy odciski palców raczej się nie przydadzą – odparł Frears, przeciągając samogłoski. – Zrobię, co w mojej mocy, ale zapewne będziemy musieli czekać na wyniki badań DNA. Chociaż...

Przerwał, słysząc kroki kogoś nadchodzącego po betonowym nabrzeżu. Odwróciłem się i zobaczyłem, że to sir Stephen Villiers. Zastępca komendanta głównego Dryden także szedł w naszą stronę, trzymał się jednak kilka kroków za starszym mężczyzną i miał minę, jakby wołał, aby go tu nie było. Clarke ruszyła naprzeciwko Villiersa, blokując mu dostęp do noszy stojących na betonie nabrzeża.

– Sir Stephenie, nie sędzę...

– Chcę zobaczyć syna. – Jego głos był suchy i beznamiętny, lecz brzmiało w nim niewzruszone poczucie władzy.

– Przepraszam, jeszcze nie wiemy, czy...

Villiers już ją mijał. Spojrzała błagalnie na Drydena, ale obojętna mina wyższego oficera wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie ma zamiaru się wtrącać. Clarke poczerwieniała, co przy rudawych włosach i bladej cerze było wymownym świadectwem jej stanu emocjonalnego. Milczała z zaciśniętymi wargami, gdy sir Stephen stanął nad otwartym workiem. Przez kilka sekund ciszę zakłócały tylko krzyki mew. Wiatr targał siwe włosy mężczyzny spoglądającego w dół na to, co leżało na betonowym nabrzeżu.

– Poznaję płaszcz. – Głos sir Stephena był równie beznamiętny jak jego wygląd. – To ten stary, od Colliera na Jermyn Street. Mój syn miał tam otwarty kredyt.

Clarke i Lundy popatrzyli na siebie. Frears ponownie zainteresował się zwłokami.

– Tu jest metka – powiedział, ostrożnie unosząc płaszcz, aby spojrzeć na podszewkę. – „Collier’s Krawiectwo na Zamówienie”.

– Zegarek także należy do niego. Wewnątrz znajdziecie dedykację. Matka kupiła mu go przed swoją śmiercią. – Sir Stephen uniósł głowę i spojrzał na Clarke z zimnym wyrazem twarzy. – Od samego początku mówiłem pani, że mój syn nie żyje, pani inspektor naczelna. Może teraz przyjmie to pani do wiadomości.

– Sir Stephenie, ja...

– Mój syn ewidentnie padł ofiarą wypadku z bronią. Nie potrafię zrozumieć, co można osiągnąć, przeciągając ten i tak już bolesny proces.

– Jestem pewien, że inspektor naczelna Clarke zadba, żeby oficjalna identyfikacja otrzymała priorytet – oświadczył Dryden. Jego obcesowy baryton był równie szorstki jak słowa. – Mam rację, pani inspektor?

– Oczywiście. – Clarke starała się zachować neutralny wyraz twarzy, lecz nie mogła powstrzymać rumieńca. – Doktorze Hunter, moglibyśmy przeprosić pana na chwilę?

Skinąłem z ulgą głową. Nie miałem niczego do roboty, dopóki ciało nie znajdzie się w prosektorium, i nie miałem ochoty uczestniczyć w dyskusji z ojcem denata. Lundy mówił, że sir Stephen Villiers odrzucił wszelkie sugestie, by jego syn mógł popełnić samobójstwo. Było to zrozumiałe, ale nie mogło zmienić faktów, w tym i tego, że chociaż zadana z bliskiej odległości z dubeltówki rana postrzałowa twarzy mogła być spowodowana w różny sposób, to nader rzadko powstawała na skutek wypadku.

Także z innego powodu byłem zadowolony, że mogłem odejść. Źle to zinterpretowałem. Jakkolwiek by nie oceniać sposobu bycia sir Stephena, to

rozpoznanie przez niego płaszcza oraz zegarka syna na dobrą sprawę rozwiewało wszelkie wątpliwości dotyczące tożsamości zwłok. Teraz moje wahania co do tego, jak długo przebywały w wodzie, właściwie traciły znaczenie. Być może za bardzo się starałem, pomyślałem ze zmęczeniem. Szukałem problemów, których nie było. I zacząłem zdawać sobie sprawę z prawdziwego powodu zaproszenia do wzięcia udziału w odzyskiwaniu zwłok. Policja morska nie musiała brać ze sobą antropologa sądowego. Moja obecność była jedynie odfajkowaniem sprawy, zadbaniem, aby wpływowy ojciec denata nie mógł ich oskarżyć o przeoczenie czegokolwiek.

Po prostu zabezpieczali sobie tyły.

Moje wodery z szelestem ocierały się o siebie, gdy schodziłem z nabrzeża i kierowałem się do mojego samochodu zaparkowanego za szopami. Teraz stało tam więcej wozów, a jednym z nich był szykowny czarny daimler z przyciemnionymi szybami. Mała szansa, by budżet policji albo wyposażenie anatomopatologa pozwalały na taki wydatek, musiał więc należeć do sir Stephena. Mężczyzna, którego uznałem za kierowcę, stał oparty o maskę z nogami skrzyżowanymi w kostkach. Miał na sobie elegancki, lecz funkcjonalny garnitur w kolorze zbliżonym do urzędowego ciemnoszarego oraz krawat, co sprawiało, że wyglądał jak umundurowany. Kiedy wyszedłem z za rogu, szybko opuścił dłonie, ale rozluźnił się na widok mojego kombinezonu oraz ubłoconych woderów i znów zaciągnął się papierosem, który właśnie miał wyrzucić. Sir Stephen najwyraźniej nie lubił pracowników palących w pracy.

– To on czy ona?

Spojrzałem na niego z zaskoczeniem.

– Słucham?

Patrzył na mnie przez dym wijący się przed jego twarzą. Nie było w nim nic niezwykłego. Przeciętny wzrost, przeciętna budowa ciała, zgrabnie przycięte ciemnoblonde włosy. Jediną charakterystyczną cechą były dzioby na policzkach, pozostałość po dawnym trądziku. Z daleka dałem mu około czterdziestu lat, ale gdy podszedłem bliżej, dostrzegłem oznaki starzenia – siwiejące włosy na skroniach, delikatne zmarszczki w kącikach ust i oczu. Bliżej pięćdziesiątki, pomyślałem.

Strząsnął popiół z papierosa.

– Ciało, które przywieźliście. To on czy kobieta?

Mówiąc „on”, miał na myśli syna pracodawcy. Musiałby być ślepy, żeby nie zorientować się, co robimy na nabrzeżu, i nie trzeba było geniusza, żeby domyślić się, że musiały to być zwłoki albo Leo Villiersa, albo Emmy Derby. Dostrzeżono je wczoraj, no i dziś pewnie cała okolica gadała tylko o tym.

Ja jednak nie miałem zamiaru podsycać żadnych plotek.

– Przykro mi. Nie mogę panu pomóc.

Uśmiechnął się blado.

– Okej. Tylko rozmawiamy.

Nie zwracając już na mnie uwagi, zaciągnął się papierosem, dalej obserwując węgiel szopy. Podszedłem do mojego samochodu, znowu wracając myślą do sceny na nabrzeżu, ale bez względu na to, jak wiele razy odtwarzałem w myśli jej przebieg lub analizowałem moje rozumowanie w sprawie czasu, który upłynął od momentu śmierci denata, nie zacząłem czuć się lepiej.

Otworzyłem bagażnik, przysiadłem na jego krawędzi, ściągając wodery, a następnie z wysiłkiem zdjąłem kombinezon. Pomimo chłodu byłem pod nim mokry od potu, wręcz w nim pływałem. Teraz, kiedy zwłoki już wydobyto, zdałem sobie sprawę, że jestem obolały i czuję się bardziej rozbity niż w najgorszej chorobie. W nadziei, że cokolwiek by mi zaczynało dolegać, wkrótce minie albo przynajmniej jeszcze trochę poczeka, wytarłem się ręcznikiem i wypłem łyk zimnej wody z jednej z butelek, które włożyłem do lodówki turystycznej. Był w niej także ser brie, kupiony jako prezent dla Jasona i Anyi, i widząc go, poczułem, jak upadam na duchu na myśl o czekającej mnie jeździe przez cały kraj aż do Cotswolds.

Skup się na robocie i przestań się nad sobą uzalać, skarciłem się w duchu. Dygocąc na zimnym powietrzu, zakręciłem butelkę z wodą. Właśnie wkładałem marynarkę, gdy zza szopy wyszli sir Stephen i Dryden. Widać rozmowa, którą Clarke chciała przeprowadzić na osobności, dobiegła końca. Energicznie uścisnęli sobie dłonie i każdy poszedł do własnego samochodu. Kierowca daimlera stał wyprostowany na baczność, a papieros zniknął bez śladu, kiedy z wyćwiczoną sprawnością otwierał tylne drzwi wozu. Sir Stephen wsiadł do środka, nie zaszczycając mnie spojrzeniem, podobnie jak jego szofer, po zamknięciu drzwi zajmujący miejsce za kierownicą. Silnik wielkiego wozu odpalił z niskim pomrukiem i daimler, chrzęszcząc oponami na pokruszonym betonie, ruszył w kierunku bramy.

Tymczasem od strony nabrzeża nadeszli ludzie z policji. Clarke skierowała się prosto do volkswagena, a za nią pojawił się Frears, który już zdążył zdjąć kombinezon i zmienił się w elegancika w dobrze skrojonym garniturze w prążki i jasnobrązowych półbutach. Wyglądał na dobrze odżywionego, co wcześniej maskował ubiór ochronny, ale anatomopatolog miał dość pewności siebie i tupetu, by nie psuć sobie humoru nadmiarowym sadelkiem.

Idąc do wyglądającego równie wytwornie jak on bmw, pomachał mi protekcjonalnie dłonią i zawołał:

– Spotkamy się na sekcji!

W odpowiedzi uniosłem rękę, czując się przy nim niechlujny i zaniedbany. Teraz pojawiły się nosze niesione przez dwóch funkcjonariuszy policji morskiej. Towarzyszący im Lundy odłączył się od nich, aby podejść do mnie, tamci zaś skierowali się do pozbawionej okien czarnej furgonetki.

– Przepraszam za tę sytuację. Nie spodziewałem się tu sir Stephena – powiedział.

– Wszystko w porządku?

Uśmiechnął się.

– Było to coś, co nazywają szczerą wymianą poglądów. Czyli on mówił, a my słuchaliśmy. W obecności zastępcy komendanta głównego inna opcja nie wchodziła w grę.

– Wcześniej Dryden chyba nie angażował się w dochodzenia?

– Teraz też się nie angażuje, przynajmniej oficjalnie. Jak jednak wspomniałem wcześniej, sir Stephen ma wielkie wpływy, w związku z czym nikt nie chce działać mu na nerwy. Pojawienie się tu komendanta miało mu udowodnić, że traktujemy sprawę poważnie. A także ustawić nas do pionu.

To na pewno się udało.

– Powiedział, że syn zginął w wyniku wypadku. Nadal nie może uwierzyć w inną możliwość, czy tak?

Lundy w zamyśleniu i z lekkim zakłopotaniem potarł brzuch. Komisarz wyraźnie ma problemy z żołądkiem, pomyślałem, przypominając sobie jego tabletki na nadkwasotę.

– Pańskie przypuszczenia są równie dobre jak moje, ale od chwili zaginięcia Leo jego prawnicy spadali na nas jak tona cegieł przy każdej sugestii, że to mogło być samobójstwo. Wie pan, jak dotrzeć do kostnicy? – uciął zdecydowanie dalszą rozmowę.

Przytaknąłem. Przed sekcją zespół policyjny powinien spotkać się z patologiem, technikami z prosektorium i różnymi specjalistami medycyny sądowej, takimi jak ja. Kostnica była w Chelmsford, dobrą godzinę jazdy stąd, ale kiedy tylko wydostanę się z labiryntu nad rozlewiskiem, nie powinienem mieć trudności z dotarciem na czas.

Po odejściu Lundy'ego przez kilka chwil starałem się pozbyć skurczów w karku. Uczucie, że coś zaczyna mi dolegać, powróciło i pojawiły się pierwsze oznaki bólu głowy. Starając się je zignorować, wrzuciłem zabłocone wodery i kombinezon do plastikowych worków na śmieci, a potem wcisnąłem je do bagażnika.

Zatrzasnąłem go i przystanąłem, by popatrzeć na rozlewisko. Przyptyw przemienił je dramatycznie i jałowe łachy mułu zastąpiła szeroka powierzchnia lekko wzburzonego morza, które prawie całkowicie zakryło Barrows, tak że tylko szczyty największych mielizn wystawały nad powierzchnię. Dalej w ujściu stały na szczydłowatych podporach trzy wieże porzuconego fortu morskiego.

Odwróciłem się, gdy zachrząściły za mną opony czarnej furgonetki firmy pogrzebowej zmierzającej do kostnicy. Za nią jechał, kołysząc się na wybojach, policyjny land rover, ciągnąc za sobą przyczepkę z RHIB-em. Gdy zniknęły,

znowu zapanował spokój. Jeszcze przez chwilę napawałem się przesyconym zapachem mułu i soli powietrzem, rozejrzałem się po raz ostatni wokół i uznałem, że choć tutejszy krajobraz trudno nazwać malowniczym, wciąż było w nim coś uspokajającego. Chciałbym zostać tu dłużej, ale byłem już ostatni. Na parkingu został tylko mój samochód.

Musiałem wręcz zmusić się do ruszenia z miejsca, lecz wreszcie wsiadłem do samochodu, przejechałem przez otwartą bramę, zatrzymałem się i wysiadłem, żeby ją zamknąć. Nie miałem czym jej zabezpieczyć, ale być może nie było takiej potrzeby. Szopy nie miały rozbitych okien ani pomazanych graffiti ścian, czego można byłoby się spodziewać bliżej miasta czy miasteczka, wątpilem też, by zostało w nich coś, co można by ukraść. Potencjalny wandal musiałby być bardzo znudzony lub zdeterminowany, żeby wlec się aż tutaj.

Wracałem drogą, którą tu przyjechałem, przejeżdżając przez to samo zaniedbane miasteczko, zdające się wyglądać jeszcze bardziej posepnie niż wcześniej. A potem zmieniłem trasę, ruszając skrajem obszaru nazywanego przez Lundy'ego Backwaters. Droga, którą jechałem, formalnie nie była jednopasmówką, lecz niewiele się od niej różniła, wijąc się meandrami, co wymuszał rozmokły teren. Po jej obu stronach rosły wysokie żywopłoty z głogu, skutecznie utrudniając dostrzeżenie tego, co kryło się za zakrętem. Bardzo uważałem, od czasu do czasu sięgając do wskazówek inspektora, aby sprawdzić, czy nadal jadę we właściwym kierunku. Trudno było mieć pewność, ale nie wyglądało też na to, żeby był tu nadmiar dróg nadających się do jazdy.

Mimo wszystko, w miarę jak jedno pozbawione cech szczególnych pole lub mokradło zlewało się z następnym, zacząłem się niepokoić, że gdzieś skręciłem nie w tę stronę. Poczuliłbym się pewniej, gdybym po drodze spotykał jakieś inne samochody, ale zostałem obdarzony niechcianym luksusem samotności. Sięgnąłem do włącznika nawigacji satelitarnej. Nawet gdyby z trudem radziła sobie z tutejszymi poplątanymi szlakami, mimo wszystko mogłaby dać mi jakieś pojęcie, gdzie się znajduję.

Bębniłem palcami po kierownicy, czekając, aż wirujący dysk zostanie zastąpiony przez mapę.

– No, dalej... – mruknąłem, wyciągając rękę, aby postukać w wyświetlacz. Nie spuściłem drogi z oczu na dłużej niż ułamek sekundy.

Kiedy spojrzałem na nią znowu, tuż przed maską miałem człowieka.



## Rozdział 5

Szedł środkiem drogi, odwrócony do mnie plecami. Wcisnąłem hamulec, jednocześnie obracając z całej siły kierownicę. Rozległ się przyprawiający o ból zębów zgrzyt, kiedy bok samochodu otarł się o żywopłot, a potem wóz ostro się zakolebał, wjeżdżając bocznymi kołami na trawiaste pobocze. Mężczyzna mignął mi za szybą i usłyszałem głucho łupnięcie. Poczulem mdłości, wewnętrzną pustkę, gdy walczyłem z samochodem łamiącym gałęzie, aby wreszcie zatrzymać się z poślizgiem na tłuczniu.

Rzuciło mnie na pasy, szarpnęło głową i w ułamku sekundy wstrząs odrzucił mnie do tyłu w fotelu. O Boże, pomyślałem tępo, odwracając się z łomoczącym sercem, by spojrzeć za siebie.

Mężczyzna stał na drodze.

Spodziewałem się zobaczyć zakrwawione ciało pośrodku jezdni albo odrzucone na żywopłot. Widok faceta wyraźnie całego i zdrowego miał ożywczy walor ulaskawienia. Rozdygotanymi rękami otworzyłem drzwi samochodu i wysiadłem na niepewnych nogach.

– Nic panu nie jest? – zapytałem.

Patrzył na mnie jak na powietrze wylupiastymi oczami, które mrugały w pociągłej, wychudzonej twarzy. Był wysoki, chudy jak szkielet, ubrany w stary, wytłuszczony brązowy płaszcz przeciwdeszczowy i gumiak. Siwiejące włosy miał zmierzwiłone, bladą twarz okalała nierówna, skołtuniona broda. Oburącz przyciskał coś do piersi, a kiedy odwrócił do mnie głowę, zorientowałem się, że to mewa.

– Nic panu nie jest? – powtórzyłem, robiąc krok w jego stronę. Cofnął się gwałtownie, wyraźnie spłoszony. Mimo swojego wzrostu miał w sobie coś bezbronno. Zatrzymałem się, unosząc do góry dłonie. – Już dobrze, chciałem się tylko upewnić, że nie został pan ranny.

Usta mężczyzny poruszyły się, jak gdyby chciał coś powiedzieć, a potem jego spojrzenie przesunęło się w bok i wciąż tuląc do siebie mewę, ruszył przed siebie.

– Nie, chwilkę... – zaprotestowałem, ale nie zwrócił na mnie uwagi. Cholewy gumiaków telepały się luźno na jego długich jak u bociana nogach, gdy człapiąc, minął mnie, jakbym w ogóle nie istniał. Jedyne niesiona przez niego mewa zdradzała jakieś zainteresowanie, odwracając głowę, by utrzymać mnie w polu widzenia, i mrugając jednym gniewnym okiem.

No dobra... Przyglądałem mu się, wciąż wstrząśnięty. Gdybym wszedł w zakręt nieco szybciej, walnąłbym go jak nic. Wybrał głupie miejsce na postój, lecz jego obszarpany wygląd i zachowanie sugerowały, że może mieć coś z głową. Niepewnie patrzyłem w ślad za nim. Po prostu odjechać było wbrew moim

zasadom, nie widziałem jednak innych możliwości. Nie był ranny i chociaż jego sposób wędrowania drogą zagrażał zarówno jemu, jak i innym kierowcom, nie mogłem zatrzymać go siłą. Poza tym chude jak patyki nogi całkiem sprawnie pokonywały przestrzeń i już zdążył zniknąć za następnym zakrętem.

Po raz ostatni popatrzyłem na pustą drogę i wróciłem do samochodu. Nie było poważniejszych uszkodzeń, tyle że podczas manewru cofania gałęzie głogu podrapały karoserię. Zaciskałem zęby, gdy skrobały po błotniku i drzwiach, starając się nie myśleć o lakierze.

Ruszając, spojrzałem na zegar na tablicy. Wciąż miałem dość czasu, aby zdążyć na odprawę, nie stać mnie jednak było na dalsze opóźnienia. Głowa mi pękała. Bolała już wcześniej, a wstrząsy wywołane gwałtownym hamowaniem dołożyły swoje. Otworzyłem okno w nadziei, że świeże powietrze pomoże mi dojść do siebie, i jechałem wolno, na wypadek gdyby obszarpaniec postanowił zrobić sobie postój na którymś z niewidocznych zakrętów. Zacząłem się już rozluźniać, sądząc, że poszedł na skróty przez jedno z pól, kiedy po minięciu kolejnego zakrętu nagle zobaczyłem go znowu.

Szedł środkiem drogi, prosto przede mną.

Och, na litość boską... Powoli podjechałem do niego od tyłu. Nie odwrócił się ani nie okazał cienia zamiaru zejścia mi z drogi. Po prostu włókł się apatycznie w jednostajnym tempie, tuląc do siebie mewę. Moja dłoń odruchowo przesunęła się na klakson, lecz go nie przycisnęła. Widać było, że gość jest w kiepskim stanie i nie chciałem go przestraszyć.

Pełzłem więc w żółwym tempie tuż za nim. Po chwili opuściłem szybę i wychyliłem głowę przez okno.

– Podwieźć pana?! – zawołałem. Było mało prawdopodobne, żeby szedł z daleka, powinienem więc zdążyć go podrzucić, jeśli mieszkał w pobliżu. To usunęłoby go z drogi i jednocześnie uspokoiło moje sumienie. Bardzo pryncypialnie, mruknął szyderczo mój wewnętrzny głos. Uciszyłem go, tłumacząc sobie, że jeśli dowiem się, gdzie mieszka, zawsze będę mógł później skontaktować się ze służbami socjalnymi. W chwili obecnej byłem potrzebny gdzie indziej.

Mężczyzna szedł przed samochodem, nie reagując. Zastanawiając się, czy może jest głuchy, zawołałem znowu. Tym razem lekkie poruszenie jego głowy w bok zdradziło, że mnie słyszy.

On po prostu nie zwracał na mnie uwagi.

Wbrew samemu sobie czułem narastającą frustrację. Spróbowałem inaczej.

– Może mnie pan przepuścić?! – krzyknąłem.

Znowu żadnej reakcji. Spojrzałem na lukę pomiędzy nim a żywopłotem, zastanawiając się, czy zdołałem się tamtędy precyzyjnie, szybko jednak dałem sobie z tym spokój. Droga była zbyt wąska, zresztą i tak próba przepchnięcia się obok pieszego nigdy nie jest dobrym pomysłem. Samochód rzeźił na pierwszym biegu,

ja zaś wbijałem wzrok w plecy dryblasza w brudnym płaszczu przeciwdeszczowym człapiącego drogą z tą idiotyczną mewą. Czując się lepki od potu i w kiepskiej formie, przygryzałem wargę, irytując się stratą czasu, zwłaszcza że tamten wyglądał, jak gdyby mógł wędrować tak całymi milami, a cała ta sytuacja nie byłaby dobrym usprawiedliwieniem, gdybym spóźnił się na odprawę.

Albo w ogóle się na niej nie zjawił.

Zastanawiałem się, czy nie wysiąść z wozu i nie spróbować przekonać go, by mnie przepuścił, ale choć siedziałem jak na szpilkach, wiedziałem, że byłoby to proszeniem się o kłopoty. Byłem tylko lekarzem rodzinnym, nie psychiatrą, a ten człowiek najwyraźniej miał problemy i chociaż wydawał się dość niegroźny, nie sposób było przewidzieć, jak zareaguje, jeżeli poczuje się zagrożony.

A wyraźnie widziałem oznaki, że się denerwuje. Zaczął iść szybciej, przekręcał głowę na bok, żeby zerknąć przez ramię. Cokolwiek z nim się działo, był bezradny i przerażony, ja natomiast wcale mu nie pomagałem, jadąc tak blisko za nim.

Z westchnieniem zwiększyłem zatem dystans, pozwalając samochodowi niemal się zatrzymać, by tamten mógł się oddalić. I co teraz? Nawigacja wreszcie złapała oddech i GPS zaczął próbować się zorientować, gdzie jestem. Lundy ostrzegał, żebym w tej okolicy na niej nie polegał, lecz nie potrzebowałem alternatywnej drogi, tylko objazdu, abym mógł wyprzedzić idącego drogą mężczyznę. Zbliżałem się do zjazdu, który wydawał się łączyć z tą drogą mniej więcej milę dalej. Wyprowadziłby mnie na słone bagna Backwaters, ale tylko na chwilę. Jedno było pewne – jeżeli czegoś nie zrobię, zdążę na czas.

Droga przede mną była pusta. Ruszyłem znowu, obserwując, jak oznaczająca moją pozycję strzałka na ekranie zbliża się do zjazdu. Nigdzie nie było widać wędrowca. Znowu zacząłem się zastanawiać, kim był, jaką miał historię i co robił z tą cholerną mewą? Była jakimś jego ulubionym zwierzątkiem czy po prostu znalazł rannego ptaka?

Niemal przegapiłem zjazd. Nie zauważyłem go, dopóki nie znalazłem się tuż przy nim. Była to właściwie tylko luka w żywopłocie, wąska ścieżka odchodząca od drogi pod kątem prostym. Głogi żywopłotu były tu rozrośnięte, ogradzały dróżkę po obu stronach. W nadziei, że nie napotkam innego samochodu, jechałem nią jakieś ćwierć mili. Asfalt był popękany, ze szczelin wyrastały jakieś zielska i trawa. Nie było ich tylko na dwóch równoległych koleinach wyjeżdżonych przez poprzednie pojazdy. Żywopłot prowadził mnie, nie pozwalając dostrzec, dokąd jadę. Według mapy jednak powinno być tu skrzyżowanie z odgałęzieniem prowadzącym w bok. Musiałem w nie skręcić i przejechać jakąś milę, po czym będę mógł wrócić na drogę, z której zjechałem. Uspokajałem się, że wciąż mam dość czasu, aby dotrzeć na odprawę, kiedy żywopłot się skończył i zobaczyłem, co znajduje się przede mną.

Rzeka.

Szeroki pas wody odcinający mnie od drogi po drugiej stronie. To nie rzeka, uświadomiłem sobie, lecz pływowy strumień. Musiał wpadać do ujścia, a teraz wypełniał go dodatkowo nadchodzący przypływ. Sięgał daleko w głąb lądu, ale woda pokryła już większą część jego mulistego dna. Trasa sygnalizowana przez nawigację satelitarną była w rzeczywistości wąziutką groblą, nierównym pasem naniesionych kamyków. W czasie odpływu przejechanie nią nie stanowiłoby problemu, teraz jednak jej fragmenty były już pod wodą, która na moich oczach zalewała pozostałą część.

Nie mogąc uwierzyć w ten najnowszy przejaw pecha, zakląłem i zatrzymałem samochód. Nie było dość miejsca, aby zawrócić, mnie zaś nie uśmiechała się jazda tyłem z powrotem do krętej szosy. Patrząc na szybko zalewaną groblę, nakazałem sobie wziąć się w garść. W tym miejscu strumień nie był bardzo szeroki i po drugiej stronie widziałem skrzyżowanie z drogą, która była moim celem. Woda pokrywająca groblę musiała być płytka i przeprawienie się nią nie mogło się zbyt różnić od jazdy po zalanej szosie. Niemniej wiedziałem, że ten stan nie utrzyma się długo. Jeżeli chciałem przejechać, musiałem zrobić to już.

No i co robić? Jechać czy zostać? Na dobrą sprawę nie miałem wyboru. Wrzuciłem bieg i ruszyłem groblą.

Kamyki zazgrzytały pod kołami, a potem ten odgłos zmienił się w syk rozbryzgów wody. Parłem naprzód powoli, lecz równomiernie, nie spuszczać wzroku z ledwie widocznego pasma grobli. W niektórych miejscach zniknęło całkowicie, musiałem więc jeszcze zwolnić i ufać, że nie ma zakrętów. Kostki moich zaciśniętych na kierownicy palców bieleły, gdy woda rozpryskiwała się na boki jak fala dziobowa. Ale przeciwległy brzeg był coraz bliżej i kiedy minąłem połowę odcinka, narastające we mnie napięcie zaczęło opadać. No, prawie na miejscu.

Samochodem szarpnęło, gdy przednie koło wjechało w zalaną dziurę.

Nie była głęboka, wcale jednak nie musiała. Przód samochodu opadł, zagłębiając się jeszcze bardziej w wodę, i niemal natychmiast silnik zgasł.

– O nie! – rzuciłem głośno, pospiesznie usiłując odpalić go znowu. – Nie, nie, nie...

Rozrusznik jęczał wystarczająco długo, aby wzbudzić we mnie nadzieję, ale potem umilkł. Przekręciłem kluczyk jeszcze raz, wciskając go mocno, jak gdyby mogło to coś pomóc.

– No dalej...!

Rozrusznik zachęcająco zajęczał i zdechł ponownie. Próbowałem znowu i znowu, lecz silnik nawet nie zamruczał. Siedziałem w zapadłej nagle ciszy, oszołomiony nową katastrofą. Drugi brzeg był w odległości niewiele większej niż parę długości samochodu. Gapiłem się na niego, a potem otworzyłem drzwiczki

i wyskoczyłem. Woda była przeraźliwie zimna i sięgała mi prawie do kolan. Przeląła się przez próg, przemoczyła mi buty i spodnie. Jej napór zaskoczył mnie i przypomniałem sobie, jak Lundy mówił, że przyptyw wzbiera szybciej, niż człowiek może biec.

Tyle że ja nie miałem zamiaru nigdzie biec. Szyba od strony kierowcy nadal była opuszczona, zatrzasnąłem więc szybko drzwi, by odciąć wodzie dostęp, i włożyłem do środka jedną rękę, chwyciłem kierownicę i wpierając ramię w słupek drzwi, zacząłem pchać. Wóz chybnął się do przodu i stanął. Koło wciąż tkwiło w dziurze. Klnąc, zaparłem się stopami w kamyki i napałem mocniej. Koło nadal tkwiło w dziurze, tym razem jednak byłem na to przygotowany i kiedy samochód odbił do tyłu, napałem znowu, wykorzystując ten impet, aby go uwolnić.

Tak! Auto niemrawo zaczęło toczyć się do przodu. Wciąż napierałem, woda sięgała mi do kolan, gdy z wysiłkiem usiłowałem posuwać się do przodu. Grobla stawała się coraz mniej widoczna, bo przyptyw pochłaniał coraz większe jej części, lecz ja uparcie kierowałem samochód w stronę miejsca, gdzie wychodziła na drugi brzeg. Prąd wody szarpał mnie za nogi, robiło się coraz głębiej i pchanie maszyny stawało się trudniejsze, niemniej z każdym przebytym jardem zbliżałem się do stałego lądu. Nabierałem już rytmu, kiedy samochodem znowu szarpnęło i stanął. Przytrzymałem się go, żeby nie upaść, i od razu zdałem sobie sprawę, co się stało. Koła wpadły w kolejną dziurę.

– Nie rób mi tego – jęknąłem błagalnie, usiłując rozkołysać wóz, żeby go uwolnić.

Tym razem nie miałem szczęścia. Cisnąłem całą siłą na samochód, stopy ślizgały mi się i zapadały w tłuczeń, kiedy usiłowałem go znowu rozbijać, lecz nawet nie drgnął. Dysząc ciężko, zrezygnowałem z prób, zrozumiałem bowiem, że nigdzie nie pojedzie, jeżeli nie usunę spod niego części kamieni. I tak byłem przemoczony po uda, więc zdjąłem płaszcz, położyłem go na dachu i zakasałem rękawy, a potem zanurzyłem ręce w lodowatej wodzie, usiłując wymacać dziurę, w której utkwilo przednie koło. Ostry tłuczeń i muszle drapały mi dłonie, przecinały moje pozbawione czucia palce, gdy usiłowałem po omacku coś wygrzebać.

Tylko marnowałem czas. Koło utkwilo zbyt mocno. Walnąłem pięścią w burtę samochodu, wyładowując frustrację, i usiłowałem przypomnieć sobie, czy w bagażniku mam coś, co pomogłoby mi w kopaniu. Wieko lodówki byłoby marną łopata, lepszą jednak niż gołe ręce. Trzymając się karoserii, aby nie spaść z grobli, przeszedłem z pluskiem na tył wozu, ale już otwierając kufer, wiedziałem, że nic to nie da. Woda wzbierała zbyt szybko i zrobiła się tak głęboka, że nie byłem pewien, czy w ogóle zdołam przepchnąć przez nią auto. Pozostawanie tu dłużej stawało się niebezpieczne.

Mimo wszystko wciąż nie byłem gotów się poddać. Przyплыw jeszcze nie sięgnął bagażnika. Otworzyłem go, nie zwracając uwagi na worek z woderami, których nie miałem czasu włożyć, i przyciągnąłem do siebie lodówkę. Właśnie zamierzałem zdjąć jej wieko, kiedy usłyszałem dźwięk, słaby, ale wyraźny – warkot silnika. Podniosłem głowę i zobaczyłem coś szarego przesuwanego się za żywopłotem rosnącym wzdłuż drogi nad strumieniem.

Nadjeżdżał samochód.

## Rozdział 6

Nie widziałem go wyraźnie przez krzaki, ale jechał szybko. Woda chlupotała mi wokół kolan, kiedy pospiesznie przedostałem się przed maskę mojego wozu. Gdy głęboki ryk wysokoprężnego silnika stał się głośniejszy, zacząłem gorączkowo machać.

– Hej! Tutaj!

Samochód był wystarczająco blisko, abym mógł dostrzec, że to jakiś 4x4. Nie było sposobu, by mnie nie zauważył, będzie mnie mijał w odległości rzutu kamieniem. Był to land rover defender, ciemnoszary metalik, i kiedy podjechał bliżej, zobaczyłem, że twarz kierowcy obraca się w moją stronę. Samochód zwolnił.

A potem przyspieszył i ruszył dalej.

– Nie! Co ty wyprawiasz!

Patrzyłem z niedowierzaniem, jak land rover jedzie dalej drogą. Jak, do diabła, mógł mnie nie dostrzec? Na szczęście, kiedy już uznałem, że sobie pojedzie, się zatrzymał. Przez kilka sekund stał tylko z pracującym silnikiem, aż w końcu szybko ruszył na wsteczny. Przejechał za zjazd prowadzący na groblę, lecz jedynie po to, żeby zakręcić i znaleźć się przodem do strumienia. Podskakując, zjechał po ścieżce prosto do wody. Bryzgi wystrzeliły w górę, gdy pełzył w moją stronę, i w końcu zatrzymał się w odległości kilku jardów. Silnik mruczał miarowo, a z pionowej rury przy kabinie unosiły się spaliny. Gdy wiatr rozwiął dym, zdałem sobie sprawę, że to chrapy.

Mężczyzna otworzył drzwi i zeskoczył do wody. Po jego stronie nie była tak głęboka jak w miejscu, gdzie utknął mój samochód, i wydawał się nie zwracać uwagi na to, że zamoczył dżinsy do kolan. Brodząc, przeszedł na tył land rovera, otworzył drzwi, wyjął coś ze środka i wrócił na przód.

– Łap.

Rzucił w moją stronę zwiniętą linę, trzymając jeden jej koniec. Lecąc, rozwijała się w powietrzu i chlupnęła w wodę parę centymetrów ode mnie. Pospiesznie złapałem ją, zanim zatonała, wróciłem do mojego wozu, gdzie macając w zimnej wodzie, odnalazłem zaczep pod zderzakiem i zawiązałem linę najlepiej, jak potrafiłem. Wyprostowałem się i zobaczyłem, że mężczyzna już umocował swój koniec liny do na wpół zatopionego haka holowniczego land rovera.

– Kiedy zacznę cofać, trzymaj się grobli! – zawołał. – Jeżeli zjedziesz z krawędzi, nie będę mógł cię wyciągnąć.

Popatrzyłem na pofalowaną wodę. Jasny pasek kamyków zniknął już prawie całkowicie.

– Nie widzę jej.

– Po prostu kieruj się na mnie. Mignę światłami, zanim ruszę.

Odwrócił się i wszedł do swego samochodu. Sięgnąłem przez otwarte okno i chwyciłem kierownicę. Łatwiej byłoby prowadzić wóz z siedzenia kierowcy, gdybym jednak teraz otworzył drzwi, całe wnętrze zostałoby zatopione. Silnik land rovera nagle ryknął, zwiększając obroty, i jego reflektory dwukrotnie mrugnęły. Lina wynurzała się z wody, powoli prostując, aż nagle się naprężyła, rozsiewając deszcz kropolek. Przez sekundę nic się nie działo, po czym lina zadrzała, samochodem szarpnęło i ruszył naprzód. Wbijałem spojrzenie w land rovera powoli wyjeżdżającego na tylnym biegu ze strumienia. Zaciskałem dłonie na kierownicy mocno aż do bólu, gdy 4x4 wycofywał się na brzeg.

I nagle mój samochód znalazł się poza groblą, podskakując na wybojach dróżki. Land rover dalej mnie ciągnął i odholował dość daleko, zanim się zatrzymał. Z mojego auta wypływały strumienie wody i gdy otworzyłem drzwi, zobaczyłem, że w miejscu na nogi jest mokro. Niemniej uszczelki drzwi powstrzymały najgorsze przecieki, a fotele były suche. Spojrzałem za siebie, na strumień. Falująca woda wypełniała go już od brzegu do brzegu i nie było widać najmniejszego śladu grobli.

Odwrociłem się na dźwięk trzaśnięcia drzwi wozu mojego wybawcy. Mężczyzna wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat, może więcej, jego rozczochrane ciemne włosy i szczecina na podbródku przyprószone były siwizną. Od nosa do kącików ust biegły głębokie bruzdy i podobnie jak zmarszczki na szerokim czole sugerowały skłonność bardziej do grymasu niezadowolenia niż uśmiechu. Nosił okulary w grubej, lecz eleganckiej oprawie, miał na sobie zamszową marynarkę włożoną na marynarski sweter i dżinsy. Wszystko było dość znoszone, ale marynarka wyglądała na drogą, a na boku oprawki okularów spostrzegłem dyskretne logo projektanta.

Wyciągnąłem rękę.

– Dziękuję, już myślałem, że...

– Człowieku, co ci, do diabła, odbiło?

Gwałtowność jego słów mnie zaskoczyła. Opuściłem dłoń, na twarz wypełził mi rumieniec.

– Nawigacja satelitarna pokazywała, że tu jest objazd. Był ktoś na drodze...

– Głupi pan jesteś czy ślepy? Widzisz pan to całe mokre coś? To nazywa się woda. Nie jeździ się groblą w czasie pieprzonego przypiływu!

– Przypiływu jeszcze nie było, a gdybym wiedział o dziurach, nie próbowałbym się przeprowiać. Tak czy owak jestem wdzięczny za pomoc.

Z trudem zmuszałem się do spokojnego tonu. Nie potrzebowałem, by ktoś mi mówił, że byłem głupi, i nawet jeśli miał u mnie dług, nie zamierzałem pozwolić, aby wrzeszczał na mnie jakiś zupełnie obcy typ. Zwłaszcza taki, który najwyraźniej długo i ciężko myślał, zanim postanowił zawrócić.



Patrzył na mnie wściekle i niemal mogłem wyczuć bijącą od niego chęć sprzeczeki. Nie mogłem uwierzyć, że tak go rozeźliło wyciąganie mojego wozu ze strumienia. Byłem jednak obolały, przemoczony do nitki oraz nieodwołalnie spóźniony na odprawę patologa i akurat teraz mało mnie obchodziło, jaki ma problem. Spokojnie popatrzyłem na niego, utrzymując złość na wodzy.

Po chwili odwrócił wzrok i odetchnął głęboko, jakby w ten sposób pozbywał się czegoś.

– No dobra, a w ogóle co pan tu robi? Spotykamy tu niewielu ludzi, którzy zapuścili się tak daleko.

Zawahałem się. Do tej pory kierowca sir Stephena Villiersa chyba nie pozostał jedyną osobą, która wiedziałaby o znalezieniu ciała, a jeżeli ten człowiek był stąd, nie mógł nie zauważyć policyjnego śmigłowca krążącego tu od świtu. Szczegóły mogły być zastrzeżone, lecz sama operacja odzyskiwania ciała raczej nie była tajemnicą.

– Pomagałem w operacji policyjnej – wyjaśniłem po chwili.

Jego spojrzenie nagle stało się bardziej przeszywające.

– Jest pan tu z powodu zwłok?

Znowu się zaczyna.

– Owszem, ale nie mogę o tym mówić, więc proszę nie pytać.

Musiało to zabrzmieć ostrzej, niż zamierzałem. Teraz to on wyglądał na zaskoczonego.

– Cóż, to przynajmniej uczciwe postawienie sprawy. To kim pan jest, jakimś policyjnym konsultantem?

– Antropologiem sądowym.

Nie zdradzałem żadnej tajemnicy, niemniej odniosłem wrażenie, że to mu wystarczyło. Westchnął.

– Przepraszam, że tak mnie poniosło. Jestem Andrew Trask.

Przedstawił się takim tonem, jakby powinno mi to coś mówić, ale nie mówiło, a gdyby nawet, to byłem zbyt spięty, żeby się tym przejąć. Ucisnąłem wyciągniętą dłoń.

– David. David Hunter.

Powiew wiatru uświadomił mi, jak byłem zmarznięty oraz przemoczony, i zaraz zdałem sobie sprawę, że Trask jest w nie lepszym stanie. Woda utworzyła kałuże wokół jego butów, a materiał dzinsów pociemniał aż do kolan. Spojrzał na mój samochód. Niemał widziałem toczący się w nim wewnętrzny spór.

– Nie będzie pan mógł wezwać pomocy drogowej.

– Mam ubezpieczenie – zaoponowałem, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Nie pierwszy raz trafiałem w związku z moją pracą na takie zadupie i byłem pewien, że w razie jakiejś awarii nie zostanę pozostawiony własnemu losowi.

– Nie, chodzi o to, że nie złapie pan zasięgu. Odbiór jest tu w kratkę.

– Przerwał i znowu odniosłem wrażenie, że stara się podjąć jakąś decyzję.  
– Zaholuję pana do mojego domu. To niedaleko i będzie pan mógł stamtąd zadzwonić – oznajmił w końcu.

– Byłoby wspaniale, dziękuję – powiedziałem, zaskoczony tą nagłą odmianą po jego wcześniejszej wrogości.

Rzeczywiście byłem wdzięczny za propozycję. Potrzebowałem wszelkiej możliwej pomocy, nawet gdybym musiał wykonać sekcję sam, nie oglądając się na odprawę.

Wzruszył ramionami z miną wskazującą, że znowu ogarnęły go wątpliwości.

– Nie mogę pana tu zostawić. Łatwiej będzie panu podać, jak tam dojechać, a mój syn dobrze sobie radzi z silnikami. Może będzie mógł pomóc.

– Nie, to zbyt cenne. I tak sprawiłem już panu wystarczająco dużo kłopotów.

Mówiłem prawdę, poza tym nie chciałem, żeby jakiś mechanik amator, choćby działający w najlepszych intencjach, jeszcze pogorszył sprawę.

Trask spojrział na mnie dziwnie.

– To chyba nie ma znaczenia, prawda?

W innej sytuacji zastanowiłbym się, co ma na myśli, lecz byłem zbyt zmęczony i zdołowany, aby się nad tym zastanawiać. Kiedy spojrział na strumień i się wyprostował, odniosłem wrażenie, że on także utracił część energii.

– No dobra, to ruszajmy – powiedział.

\* \* \*

W czasie gdy Trask zawracał land roverem, żeby można było zamocować linę do tylnego haka holowniczego, usiłowałem zadzwonić. Musiałem nie tylko porozumieć się z pomocą drogową, lecz także powiadomić Lundy'ego, że się spóźnię. Nie miałem pojęcia, jakie szkody słona woda mogła wyrządzić w moim samochodzie ani jak długo potrwa naprawa. Jeżeli jednak zajdzie taka potrzeba, będę musiał zostawić wóz tutaj i martwić się o niego później. Obecnie najważniejszą rzeczą było dostać się do prosektorium.

Trask miał rację, mówiąc, że nie złapię tu zasięgu. Szwendałem się z miejsca na miejsce, na próżno usiłując znaleźć jakiś wyższy punkt, lecz sygnału jak nie było, tak nie było. Denerwując się opóźnieniem, schowałem komórkę w chwili, gdy Trask skończył mocować linę do land rovera. Zanim wsiadłem do wozu, po raz ostatni spojrziałem na strumień. Był całkowicie zalany, znoszone niewidocznym prądem ptaki morskie kołysały się na niewielkich falach marszczących powierzchnię wody. Po grobli nie było już śladu, a sądząc po rozmytych miękkich brzegach strumienia i znakach pozostawionych przez normalny wysoki poziom przyływu, woda wciąż przybierała. Gdyby Trask mnie nie wyciągnął, mój samochód byłby już całkowicie zatopiony, wiele zaś oznak wskazywało, że pływ sięgał niekiedy jeszcze wyżej. Wzdłuż strumienia widniało pasmo martwej i mokrej roślinności, wyglądającej na pozostałość po niedawnej powodzi.

Okoliczne tereny leżały tak nisko, że niewiele było trzeba, aby je zatopić.

Holowanie trwało piętnaście uciążliwych minut. Ręce i nogi miałem zmarzniete i od góry do dołu mokre, a w butach chlupotało mi przy każdym ruchu. Droga wiała się pomiędzy mokradłami. Wyglądało na to, że było tu więcej wody niż ziemi, przeważały labirynty przypadkowych kanałów i zarośniętych trzcinami jeziorok na grząskich słonych błotach. Nazwa Backwaters dobrze tu pasowała.

Jadąc na holu za land roverem, widziałem stojące tu i ówdzie małe łodzie, ale większość z nich wyglądała na porzucone albo wciąż jeszcze zabezpieczone na zimę. Nie dostrzegłem wielu domów i większość z nich była starymi ruinami, rozsypującymi się w przesiąkniętym wodą krajobrazie.

Najwyraźniej jednak Trask nie był jedyną mieszkającą tu osobą. Minęliśmy zaadaptowany hangar na łodzie, stary, kamienny budynek wychodzący w głąb strumienia. Przed małym parkingiem widniało ogłoszenie „Domek letniskowy do wynajęcia”. Dla kogoś, kto chciałby w nim zamieszkać, byłoby to dość odludne, lecz na pewno spokojne miejsce. Ze swoimi strumieniami i kanałami połyskującymi w przyćmionym świetle słonecznym Backwaters niewątpliwie miało pewien smutny urok. Kiedy indziej ja sam mógłbym chcieć tu zamieszkać.

Otrząsnąłem się, nie był to bowiem odpowiedni moment na dekoncentrację. Głowa nadal mnie bolała, czułem się otepiały i zacząłem dygotać. Utrzymywanie samochodu na krętej drodze za holującym mnie land roverem wymagało wysiłku, poczułem więc ulgę, kiedy Trask wreszcie skręcił w bok i zatrzymał się na żwirowym podejździe przed kępą młodych drzew. Przez ich wciąż nagie gałęzie mogłem dostrzec wyglądający na współczesny dom nad strumieniem.

Dojechaliśmy.

Po upewnieniu się, że zaciągnąłem ręczny hamulec, wysiadłem sztywno z wozu. Zimne powietrze przenikające przez mokre ubranie przyprawiło mnie o dreszcze. Starając się nie zwracać na nie uwagi, rozejrzałem się wokoło. Stały tu jeszcze dwa inne samochody. Kabriolet mini cooper, zakryty plastikową plandeką, a zaparkowany na wzniesieniu, gdzie nie groziło mu zalanie, oraz kolejny defender, biały i stary, również ze sterczącą obok kabiny rurą chrap. Młody człowiek, pochylony pod uniesioną maską, wyprostował się, żeby spojrzeć na nas.

Trask wyskoczył z land rovera.

– Jamie, skocz do domu i przynieś ręcznik, dobra?

– Bo co? Stało się coś? – odpowiedział opryskliwie chłopak.

– Nieważne, po prostu go przynieś.

Westchnienie Jamiego wyraźnie świadczyło, co o tym myśli. Miał siedemnaście, może osiemnaście lat, był przystojny i niemal tego samego wzrostu co Trask. Podobieństwo rysów wyraźnie świadczyło, że to ojciec i syn, sądząc zaś z wyrazu twarzy młodego, temperamenty też mieli podobne. Chłopak wytarł dłonie w kawałek szmaty i cisnął ją na ziemię z irytacją, po czym bez słowa ruszył

w stronę domu.

Nawet jeśli Trask był zakłopotany, nie dał tego po sobie poznać.

– Jeżeli chce pan wezwać pomoc drogową, to tu powinien pan złapać zasięg.

– Dziękuję. Ładny dom – pochwalilem, spoglądając na budynek widoczny za kępą drzew. Obłożone cedrowym drewnem ściany nabrały srebrzystoszarego odcienia, zlewającego się barwą z pniami drzew, a pochyły dach pokryty był panelami słonecznymi. Stał nad szerokim rozlewiskiem strumienia i mogłem teraz dostrzec, że został wzniesiony na betonowych palach utrzymujących go nad powierzchnią gruntu. Najwyraźniej zaprojektowano go w sposób pozwalający wytrzymać powódzie, co wiele mówiło o tutejszej aurze.

Trask wyglądał na zdziwionego. Zerknął na dom, jakby zazwyczaj nie myślał o nim w ten sposób.

– Zbudowałem go dla żony – rzekł w końcu.

Oczekiwałem, że powie coś więcej, lecz wyglądało na to, że to cała informacja. Wyraźnie nie był zwolennikiem wylewności.

– Jaki tu jest adres? – spytałem. – Muszę go podać pomocy drogowej – dodałem, kiedy moje pytanie wywołało u niego zmarszczenie brwi.

– Creek House, ale kod pocztowy nie pomoże nikomu tu dotrzeć. Niech pan im powie, żeby pojechali szosą na Backwaters, a potem trzymali się strumienia, aż do nas dotrą. Jeżeli znajdą się na Willets Point, to będzie znaczyło, że pojechali za daleko.

To był cypel, na którym mieszkał Leo Villiers. Zdając sobie sprawę, że Trask mnie obserwuje, zachowałem obojętność.

– Dziękuję.

Spojrzał na moje mokre ubranie.

– Chciałby pan napić się czegoś gorącego, zanim ktoś po pana przyjedzie?

– Kawa byłaby idealna.

Trask kiwnął głową, odwracając się i ruszając w stronę domu. Nie mogłem mieć do niego pretensji, że nie zaprasza do środka ociekającego wodą obcego, chociaż byłbym wdzięczny za możliwość wysuszenia się i przebrania. Wziąłem ze sobą zmianę ubrań na pobyt u Jasona i Anji, ale przede wszystkim musiałem zrobić porządki w samochodzie. Tylko cud mógłby sprawić, że nie dotrę wyłącznie na odprawę patologa.

Zdając sobie sprawę, jak szybko upływa czas, zadzwoniłem do pomocy drogowej. Nie miałem szczególnej nadziei, że samochód techniczny dotrze tu w tempie ekspresowym, ale nawet ta drobna iskierka też została wkrótce zgaszona. Zaczynał się długi weekend i drogi pełne były wyjeżdżających ludzi. A ci ludzie mieli awarie. Pierwszeństwo przysługiwało samotnym kobietom, służbom medycznym oraz tym przypadkom, w których niesprawny samochód mógł spowodować wypadek, moja sytuacja zaś nie kwalifikowała się do żadnej z tych

okoliczności. Kiedy wyjaśniłem, że jestem w drodze na przeprowadzenie sekcji, znekany dyspozytor nie okazał zbyt wiele zrozumienia.

– Cóż, jak pan dotrze na miejsce, nadal będą martwi, prawda?

Powiedzieli, że spróbują wysłać mechanika za kilka godzin, chociaż nie mogą zagwarantować nawet tego. Naleganie nie miało sensu, dlatego najlepiej, jak potrafiłem, przekazałem szczegóły dotyczące miejsca, w którym się znajdowałem, i zakończyłem rozmowę. Chryste, ale się popieprzyło. Ból głowy stawał się coraz silniejszy. Rozcierając skronie, zadzwoniłem następnie do Lundy'ego. Nie marzyłem o tej rozmowie i poczułem coś w rodzaju ulgi, gdy od razu włączyła się poczta głosowa. Nie wdając się w detale, pozostawiłem wiadomość, że się spóźnię, ponieważ mój samochód się popsuł. Miałem nadzieję, że kiedy oddzwoni, będę miał lepsze wiadomości.

Po wyłączeniu telefonu dygotałem już cały. Był najwyższy czas zdjąć mokre ubranie, poszedłem więc wyjąć z bagażnika torbę podróżną. Przynajmniej woda nie dostała się do kufra, i to już było coś. Spodnie miałem przemoczone do połowy ud, nie chciałem jednak robić striptizu przed domem Traska i musiało tak zostać. Za to zmieniłem mokrą koszulę na gruby sweter, na który jeszcze naciągnąłem tylko trochę wilgotną marynarkę.

Potem mogłem wyłącznie czekać. Mimo świadomości, że chwytam się brzytwy, znowu włączyłem rozrusznik. Silnik zazgrzytał głucho i stanął. Następnym razem dźwięk był jeszcze słabszy. Poczekalem chwilę i wyciągnąłem rękę, aby spróbować raz jeszcze.

– Tylko pan pogorszy.

Nie usłyszałem, kiedy syn Traska podszedł.

– Nie przypuszczam, żeby zrobiło to jakąś większą różnicę.

– Może nie, ale i tak nie ruszy, dopóki nie wyschnie. Zalanie mu nie pomoże.

Rada nie była całkiem opryskliwa, ale też niezupełnie uprzejma. W wyblakłym podkoszulku i dzinsach rzeczywiście wyglądał jak młodsza wersja Traska, tyle że gibka i wysportowana. Na stopach miał coś w rodzaju neoprenowych butów surfingowych, które tłumili odgłos jego kroków. Trzymał w ręce grubo złożony ręcznik.

– Kawa w drodze.

– Dzięki. – Wziąłem ręcznik i osuszyłem dłonie i przedramiona. – Twój tata mówił, że znasz się na silnikach.

– Trochę. – Zerknął na mój samochód, który wyraźnie nie zrobił na nim wrażenia. – Jeżeli dostała się do niego morska woda, będzie pan musiał wszystko rozebrać i oczyścić. Olej będzie wymagał wymiany, może i paliwo. To kupa roboty.

Fantastycznie. Zastanawiałem się, czy zgodnie z sugestią jego ojca nie poprosić go, żeby jednak zerknął na samochód, ale nawet pomijając wyraźny brak

entuzjazmu z jego strony, wszystko wskazywało na to, że tak czy owak będę potrzebował doświadczonego mechanika.

– Jest tu w okolicy jakiś warsztat samochodowy? – zapytałem.

Pokręcił głową.

– Żaden, który mógłby się do czegoś przydać.

– A co z wynajęciem samochodu? Albo taksówki?

Jeżeli w pobliskim mieście był dostępny jakiś środek transportu, mógłbym przynajmniej dotrzeć do kostnicy. O samochód martwiłbym się później.

Parsknął tylko.

– Widział pan Cruckhaven?

Mógłbym zaproponować, że mu zapłacę, jeżeli mnie zawiezie, lecz jego zaczepna mina świadczyła, że to chybiony pomysł. Wyraźnie nie chciał być wmieszany w problemy obcego człowieka i nie mogłem mieć do niego o to pretensji. Gdy wrócił do domu, poirytowany zakląłem pod nosem. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie poprosić jego ojca, żeby zawiózł mnie do kostnicy, ale to też sobie wyperswadowałem. Niewiele brakowało, by ten zostawił mnie tkwiącego w strumieniu, a poza tym całe jego zachowanie świadczyło, że pomaga mi jedynie z łaski. Mogłem wyobrazić sobie reakcję Traska, gdybym zaproponował, by jeszcze bardziej zaangażował się w moje kłopoty.

Niemniej musiałem spróbować coś zrobić. Zasięg nie był dość silny, by próbować połączyć się online, w związku z tym zadzwoniłem do biura numerów i poprosiłem o podanie telefonów najbliższych warsztatów samochodowych. Co prawda syn Traska powiedział, że żaden do niczego mi się nie przyda, ale nic nie szkodziło zweryfikować tę informację. Jeżeli nawet w tym rejonie byli jacyś mechanicy, skorzystanie z ich usług byłoby szybszym rozwiązaniem niż czekanie na samochód techniczny.

Biorąc pod uwagę prześladowającego mnie pecha, nie miałem zbyt wielkiej nadziei, dlatego zaskoczyło mnie, gdy telefonista podał mi numer przedsiębiorstwa naprawy łodzi i samochodów w Cruckhaven, miasteczku, przez które przejeżdżałem. Może nie zdołają mi pomóc, warto jednak było spróbować. Kiedy wybrałem numer, usłyszałem szorstki głos mężczyzny:

– Coker, naprawy łodzi i samochodów.

– Popsuł mi się samochód. Czy zajmujecie się pomocą drogową? – zapytałem.

– To zależy, gdzie pan jesteś.

– W Backwaters. – Szybko wyjaśniłem, jak utknąłem na grobli. Usłyszałem prychnięcie.

– To nie było za mądre, co? Dobra, chyba dam radę to załatwić. Chwila, tylko wezmę pióro.

Nie mogąc uwierzyć, że okazało się to tak proste, zmówiłem w myśli

modlitwę dziękczynną. Teraz przynajmniej pojawiła się jakaś dodatkowa szansa, że dotrę w porę na sekcję. Odetchnąłem z ulgą, gdy mężczyzna odezwał się znowu.

– No dobra, dawaj pan. Gdzie pan jest w Backwaters?

– W miejscu, które nazywa się Creek House. To nowoczesny dom, niedaleko od starego hangaru łodziowego. Zna je pan?

Milczał przez chwilę.

– Tak, znam. Jest pan ich przyjacielem?

W głosie pojawiła się ostra nuta. Chciałbym móc sobie powiedzieć, że tak mi się tylko wydało.

– Nie, tylko właściciel mnie podholował. Proszę posłuchać, wiem, że mamy długi weekend, ale naprawdę bardzo mi się spieszy. Jak szybko będzie pan mógł przyjechać?

– Okazuje się, że wcale. Przykro mi.

Przez chwilę myślałem, że się przesłyszałem.

– Jak to wcale? Powiedział pan, że może przyjechać.

– A teraz mówię, że nie mogę. Mam to przeliterować?

Próbowałem uporać się z tą nagłą zmianą.

– Nie rozumiem. Jest jakiś problem?

– Tak, ma pan morską wodę w silniku.

W telefonie zapadła cisza.

Co u diabła?... Gapiłem się na komórkę, nie mogąc uwierzyć, że przerwał połączenie. Jego wrogość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba, bo zachowywał się zupełnie w porządku, dopóki nie powiedziałem o Creek House. Znowu puściłem wiazankę, przeklinając pech, który wrzucił mnie w sam środek jakiejś błahej waśni. Bez względu na to, co właściciel warsztatu miał za złe Traskowi, utraciłem właśnie ostatnią szansę wydostania się stąd.

Ból głowy sięgał aż po podstawę karku. Masując go, zamknąłem oczy, usiłując postanowić, co robić dalej. Podniecone szczekanie psa sprawiło, że otworzyłem je znowu. Ścieżką między drzewami nadchodziły kobieta i dziewczynka w towarzystwie brązowego kundelka, który podskakiwał wokół nich, wesoło ujadając. Dziewczynka niepewnie trzymała kubek poza zasięgiem hasającego wokół niej zwierzątka.

– ...rozlejesz! Niegrzeczna Cassie – mówiła, ale ton jej głosu raczej zachęcał pieska. Miała jakieś osiem lub dziewięć lat i jej układ kostny przypominał ojca i brata. Chociaż się śmiała, jej szczupłe rączki i ciemno podkrążone oczy świadczyły o jakichś ukrytych problemach.

Założyłem, że kobieta jest jej matką, lecz nie było między nimi narzucającego się podobieństwa. Szczupła i atrakcyjna, znacznie młodsza od Traska. Wyglądała na maksimum trzydzieści lat, miała ciemną skórę, sprawiającą wrażenie naturalnej karnacji, a nie opalenizny, i ciemne włosy zwyczajnie

związane z tyłu czarną gumką. Dżinsy miała spłowiałe i poplamione farbą, jej gruby sweter zaś sprawiał wrażenie co najmniej o dwa numery za dużego. W rezultacie wyglądała jeszcze młodziej i trudno mi było uwierzyć, że mogłaby mieć nastoletniego syna.

– Przyniosłyśmy ci kawę – oświadczyła dziewczynka. Matka zatrzymała się, a ona ruszyła ku mnie z oczami wbitymi w niesiony kubek.

– Dziękuję. Poczekaj, wezmę go. – Podeszedłem do niej szybko, rzucając w stronę jej matki uśmiech. Kobieta odwzajemniła go zgoła symbolicznie, ledwie wyginając na mgnienie oka wargi. Nie była konwencjonalnie ładna, miała bowiem zbyt wyraziste rysy, lecz niewątpliwie interesująca, a jej niezwykle zielone oczy wyglądały zdumiewająco na tle oliwkowej skóry. Przemknęło mi przez głowę, że Trask jest szczęściarzem.

– Tata mówi, że utknąłeś na grobli – stwierdziła dziewczynka, spoglądając na mój samochód.

– Tak było. Miałem szczęście, że znalazł się tam i mnie wyholował.

– Mówi, że zrobiłeś cholernie głupią rzecz.

– Fay! – skarciła ją matka.

– Ale tak powiedział.

– Miał rację – przyznałem z żalonym uśmiechem. – Więcej tego nie zrobię.

Córka Traska patrzyła na mnie badawczo. Kundelek położył się przy jej stopach, wywieszając jęzor w psim uśmiechu. Był bardzo młody, dopiero co wyrósł ze szczeniaka.

– Skąd jesteś? – zapytała.

– Z Londynu.

– Znam kogoś z Londynu. To tam, gdzie...

– Już dobrze, Fay. Daj panu spokój – przerwała jej matka. Spoglądała na mnie raczej chłodno, lecz nie wrogo. – Jak długo ma pan zamiar tu zostać?

– Nie wiem. Wygląda na to, że wybrałem wyjątkowo zły dzień na awarię. – Słaba próba żartu nie wywołała żadnej reakcji. Wzruszyłem ramionami. – Warsztat z Cruckhaven nie chce przyjechać, będę więc musiał czekać na pomoc drogową.

Zauważyłem, że wzmianka o warsztacie w Cruckhaven zrobiła na niej jakieś wrażenie, ale nie skomentowała tego.

– Kiedy kogoś przyślą?

– Nie potrafili powiedzieć. Mogę tylko obiecać, że przestanę wam przeszkadzać najszybciej, jak będę mógł.

Zielone oczy przyjrzały mi się bacznie.

– Mam nadzieję. Chodź, Fay.

Patrzyłem za nimi, kiedy szły z powrotem do domu. Szczupła i opanowana żona Traska opiekuńczym gestem położyła dłoń na ramieniu córki, a pies biegł przed nimi. No niech mnie, to było do bólu szczere, pomyślałem i zastanowiłem



się, czy mieszkańcy Backwaters zawsze są tacy w obejściu, czy też chodzi tu tylko o mnie.

Miałem jednak poważniejsze zmartwienia niż wrogość miejscowych, szybko więc wyparłem ten incydent z pamięci.

## Rozdział 7

Miękkie brzegi strumienia były zniszczone erozją. Pływy i prądy wspólnymi siłami wymyły szeroki łuk w piaszczystym gruncie, jakby wygryzając w nim dużą zatoczkę obrośniętą trzcinami i trawą bagienną. Tworzyła naturalne zakole, w którym na wolno poruszającej się wodzie unosiły się różne pływające śmieci. Kawałki drewna i gałęzie kołysały się pomiędzy przedmiotami wyrzuconymi przez ludzi: zabłoconym adidasem, głową lalki, plastikowymi butelkami i pojemnikami, krążąc w powolnym wirze.

W Backwaters było spokojnie. Świat wydawał się składać z mew, mokradeł i wody. I nieba. Płaskość terenu sprawiała, że robiło wrażenie ogromnego sklepienia, jeszcze bardziej podkreślając jego pustkę. Gdy spojrzałem za siebie, dom Traska był ledwie widoczny za oddaloną o kilkaset jardów kępą drzew. Po wypiciu kawy poszedłem na brzeg strumienia. Była tu ścieżka, właściwie pasek nagiej ziemi wijący się między sztywnymi, szorstkimi trawami. Wkrótce jednak zniknęła i przekonałem się, że nie można ruszyć się w żadnym kierunku, nie napotykając kolejnego wypełnionego wodą rowu lub rozlewiska. O wiele łatwiej byłoby poruszać się łodzią, wtedy jednak groziło zgubienie się w tym wodnym labiryncie słonych bagien i trzcin.

Patrzyłem, jak wirująca woda popycha namiękły but na piłkę tenisową, właściwie ich nie widząc. Byłem zbyt niespokojny, aby czekać na pomoc drogową w samochodzie. Nie rozmawiałem z Lundym, ale wiedziałem, że odprawa patologa musiała już się zacząć. Nie powinna trwać długo, a potem Frears przeprowadzi sekcję bez względu na to, czy tam będę, czy nie. Co zresztą robi niewielką różnicę. Wątpiłem, żebym mógł dodać coś do ustaleń, nawet gdybym był na miejscu. Nie miałem już złudzeń co do rzeczywistego powodu włączenia mnie w to dochodzenie, a moja obecność stała się jeszcze bardziej zbędna, gdy sir Stephen rozpoznał rzeczy syna. Tak więc potwierdzenie tożsamości i prawdopodobnej przyczyny śmierci wydawały się być formalnością bez względu na stan zwłok. Było tak, jak uważali wszyscy – być może z wyjątkiem jego ojca. Leo Villiers zabił porzuconą kochankę, Emmę Derby, a potem, nie wytrzymując stresu, się zastrzelił.

Dlaczego zatem wciąż czułem niepokój?

Spojrzałem na podmokły krajobraz. Niedaleko od miejsca, w którym stałem, sterczała na wpół zatopiona stara łódź, z dziobem wyciągniętym na brzeg i rufą zanurzoną w wodzie, spróchniała i w rozsypce. Obok niej na brzegu rosła, a właściwie obumierała wierzba. Dolna część jej grubego pnia była pokryta plamami, a z niższych gałęzi zwisały pasma martwej trawy i zielska, przypominając, że strumień nie zawsze był taki spokojny. Nietrudno było wyobrazić sobie, że ciało Leo Villiersa mogło pozostawać ukryte przez kilka

tygodni w niedostępnym labiryncie roślinności i wody, spoczywając na dnie jakiejś głębszej jamy, dopóki nie wypłynęło i pływ nie uniósł go do ujścia. Był to całkiem prawdopodobny scenariusz.

Może i tak, lecz ja wciąż uważałem, że w takich okolicznościach sześć tygodni to za dużo. Cztery by przeszło, ale nie sześć. Gdyby ciało pozostawało na dnie strumienia przez większość tego czasu, dwa razy dziennie podlegałoby działaniu pływów. Byłoby przesuwane i włączane po piaszczystym dnie, uderzając o duże i małe kamienie, jednocześnie będąc celem okolicznych padlinożerców, nie mówiąc o nieustającym wewnętrznym procesie rozkładu, przyspieszającym dalszy rozpad zwłok.

Mogłem sobie mówić, że lodowata woda oraz powietrze w zimowych miesiącach mogłyby je dłużej zachować, a szacunkowe określanie czasu od chwili śmierci najczęściej nie mogło być ściśle, zwłaszcza w takim jak tutaj środowisku, lecz takie argumenty nie czyniły różnicy w obliczu zasadniczego faktu.

Sześć tygodni to za długo.

No dobrze. W takim razie Villiers zamknął się, przez dwa brakujące tygodnie pił na umór. A potem poszedł gdzieś i się zastrzelił. Istniała taka możliwość. Chociaż miałem wątpliwości, czy ktoś pokroju Leo Villiersa mógłby odciąć się tak starannie od całego świata, że nawet nie wchodził do sieci, to przecież nie znałem go prawie wcale. Ludzie zaś potrafili zachowywać się nieprzewidywalnie nawet bez zamiaru popełnienia samobójstwa.

Mimo wszystko nie mogłem uwierzyć, że to coś wyjaśnia.

Chyba że dzieliłem włos na czworo, dopatrując się komplikacji tam, gdzie ich nie było. Przeszył mnie dreszcz, przypominając, że czas wracać. Z dala od domu zasięg był niepewny, a Lundy mógł próbować skontaktować się ze mną. Musiałem też sprawdzić, jak wygląda sytuacja z pomocą drogową, i koniecznie zadzwonić do Jasona, by powiadomić go, że nie zdołam dotrzeć na przyjęcie. To ostatnie uznałem za rodzaj pociechy.

Odwróciłem się i ruszyłem w stronę domu. Nieco poniewczasie przyszło mi na myśl, że spacer mógł nie być takim dobrym pomysłem. Pomimo zimnego wiatru i dreszczy silnie się pocilem, a ręce i nogi miałem jak z ołowiu. Powrót wydawał się trwać wieki. Wciąż musiałem szukać innej trasy, gdy stwierdzałem, że mam przed sobą kolejny wypełniony wodą kanał. Wydawało się, że droga powrotna jest o wiele dłuższa niż ta, którą szedłem w przeciwną stronę, i gdy wreszcie dotarłem w pobliże domu, czułem się wyczerpany i roztrzęsiony. Na wysypanym żwirze podjeździe obok mojego samochodu zaparkował jakiś inny, ale niestety nie była to pomoc drogowa. No bo raczej nie wysłali starego białego forda fiesty z jaskrawoczerwonymi rajdowymi pasami na masce i dachu.

Syn Traska znowu dłubał w silniku białego land rovera. Obok niego stała młoda blondynka, którą uznałem za właścicielkę fiesty, z założonymi na piersiach

rękami i mocno zaciśniętymi ustami. Wyglądała na wyrośniętą nastolatkę, ładną, ale z lekką nadwagą. Z daleka rzucał się w oczy jej krzykliwy strój – obcisła spódniczka, szpilki i mocny makijaż wydawały się bardziej odpowiednie na sobotnią noc.

Żadne z nich nie zauważyło, że nadchodzę, a ich głosy słyhać było wyraźnie na ścieżce przy strumyku.

– ...daj spokój, Jamie, czemu nie? – miała klasyczną wymowę z Essex. Chłopak odpowiedział, nie przerywając swojego zajęcia.

– Wiesz dlaczego.

– Przecież to było wieki temu. Przyszłam od razu, jak się dowiedziałam!

– To nie moja wina, ja nie...

Spostrzegł mnie i przerwał w pół słowa, jego rozmówczyni zaś odwróciła się i popatrzyła na mnie gniewnie, jakbym to ja był winien sprzeczce. Zdołałem uśmiechnąć się ze zmęczeniem, mijając ich w drodze do mojego samochodu. Ignorując moją obecność, dziewczyna zwróciła się do syna Traska, jak gdyby byli sami. Paznokcie dłoni miała jaskrawoczerwone, podobnie jak u palców stóp wystających z odkrytych z przodu pantofli.

– Daj spokój, Jamie, on się o niczym nie dowie.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Więc w czym problem? Nie zachowywałeś się tak.

Nie odpowiedział. Bardzo starałem się nie słuchać, ale i tak słyszałem każde słowo.

– Jamie, czemu nie chcesz ze mną rozmawiać? – Znowu nie odpowiedział. W przypochebnym tonie głosu dziewczyny zabrzmiały oskarżycielskie nuty. – Nie zachowywałeś się tak – powtórzyła.

– Stacey...

– No, nie byłeś taki. To nie moja wina...

– Jezu, odpuść, co?

Maska land rovera zatrzasnęła się z hukiem. Obejrzałem się i zobaczyłem, że syn Traska maszeruje w stronę domu, zostawiając dziewczynę samą.

– Jamie? Jamie! Dobra, to spierdalaj! – wrzasnęła dziewczyna w ślad za nim. Spomiędzy drzew dobiegło trzaśnięcie zamykanych drzwi domu. – Kutas!

Odwróciła się, zaczerwieniona i wściekła. Była bliska płaczu, lecz nagle zobaczyła mnie i się skrzywiła.

– Na co się, kurwa, gapisz?

Szarpnęła drzwi fiesty, gwałtownie usiadła za kierownicą i odpaliła silnik. Ruszyła, wyrzucając spod kół żwir, i przesadnie zwiększając obroty, pełnym gazem ruszyła w stronę drogi.

Nie tylko ja miałem zły dzień.

Ryk silnika ścichł w oddali. Jedynymi dźwiękami znów stały się plusk wody

w strumieniu i krzyki ptactwa morskiego. Sprawdziłem, czy w komórce nie ma esemesów. Nie było nic, ani od Lundy'ego, ani z pomocy drogowej. Już miałem ją schować, kiedy zadzwoniła.

To był komisarz.

– Właśnie odebrałem pańską wiadomość, doktorze Hunter. Dopiero wyszedłem z sekcji. A więc ma pan drobny problem?

Spojrzałem na rozległe połacie pól i wody, jakby mogły mi podsunąć jakieś nagłe natchnienie.

– Można tak powiedzieć.

Nie wdając się w szczegóły, wyjaśniłem, że mój samochód nigdzie nie pojedzie i nie mam pojęcia, ile czasu zajmie naprawa. Spodziewałem się irytacji, Lundy jednak pozostał przyjazny.

– Cóż, w każdym razie nie ma większego sensu, żeby teraz przyjeżdżał pan do kostnicy – oznajmił, gdy skończyłem. – Kiedy ja tam dotarłem, Frears był już gotów podsumować sprawę. Żadnych niespodzianek. Prawdopodobną przyczyną śmierci była rana kontaktowa głowy spowodowana strzałem ze śrutówki. Prześwietlenie nie wykazało żadnych uszkodzeń kości, które mogłyby sugerować, że to nie jest Leo Villiers. Zegarek miał na dekle dedykację od jego matki, a reszta ubrań pasuje do noszonych przez Villiersa. Jak dotąd nie możemy na pewno stwierdzić, że są jego, ale mają metki kosztownych firm, których produkty nosił. Tak więc dopóki nie otrzymamy wyników badań DNA, wszystko wskazuje, że mamy całkiem solidne ustalenie tożsamości.

– A co z tym kawałkiem metalu i przybitką tkwiącymi w gardle? – zapytałem, zerkając w kierunku domu, by upewnić się, że nikogo nie ma w pobliżu.

– Poszły do laboratorium. Ale miał pan rację, że ta śrucina czy coś innego jest stalowa, a nie ołowiana. Brak pewności co do jej rozmiaru, ponieważ jest mocno zniekształcona, wygląda jednak bardziej na śrut gruby niż ten drobny, na ptaki. – Usłyszałem, że pociąga nosem. – I tyle na ten temat. Jak powiedziałem, wszystko jest przyjemnie proste, więc nie sądzę, aby wiele pan stracił.

Ja też, lecz mimo wszystko powinienem tam być.

– Mój samochód powinien być gotowy do jutra, mógłbym zatem tam zajrzeć i rzucić okiem.

Nawet gdyby nie zreperowali mojego wozu, pewnie zdołałbym jakiś wynająć. Może nie będę w stanie dodać wiele do ustaleń Frearsa, ale chciałbym chociaż spróbować. Usłyszałem, jak komisarz odchrząkuje.

– Dzięki, lecz nie sądzę, by była taka potrzeba.

Słyszałem zakłopotanie w jego głosie. Wahałem się chwilę, zanim się odezwałem, wiedząc, że jeśli decyzja pochodziła od Clarke, to cokolwiek bym powiedział, nie będzie miało znaczenia.

– Okej – oznajmiłem w końcu, powstrzymując pragnienie, żeby upierać się

mimo wszystko. – Proszę dać znać, gdyby mnie pan potrzebował.

Lundy zapewnił, że nie omieszka, i się rozłączył. Schowałem komórkę. Cóż, odwaliłeś dzisiaj kawał dobrej roboty, Hunter, pogratulowałem sobie. Otworzyłem samochód, opadłem ciężko na fotel kierowcy i siadłem z nogami wyciągniętymi na zewnątrz. I to by było tyle. Nie mogłem uwierzyć, że dzień zaczął się tak obiecująco.

Patrzyłem, jak mewy wodują na powierzchni strumienia. Wciąż był wezbrany, maleńkie, przypominające zmarszczki fale omywały górną część brzegu, lecz za kilka godzin woda spłynie ze słonych mokradeł, które z powrotem staną się płataniną mulistych rowów i kanałów. A potem cały cykl powtórzy się znowu i znowu.

Byłem pewien, że gdzieś w tym wszystkim kryje się jakaś zrozumiała wskazówka, tyle że w tej chwili czułem się zbyt zniechęcony, aby ją docenić. Przebiegł mnie dreszcz i otuliłem się mocniej marynarką. Musi robić się chłodniej, pomyślałem. Znowu zadygotałem i nagle, jak gdyby moje ciało czekało, żebym zwrócił na to uwagę, zdałem sobie sprawę, że wcale nie czuję się tak dobrze. Byłem tak zaprzątnięty kwestią, jak by tu zdążyć na sekcję, że wyłączyłem wszystkie inne doznania. Uświadomiłem sobie, że dreszcze nie były spowodowane tylko zimnem. Miałem gorączkę. Dopiero teraz zacząłem czuć tępy ból w głowie i stawach. Gardło bolało, a węzły chłonne na szyi miałem opuchnięte.

Już od kilku dni czułem się kiepsko, dziś natomiast wstałem z uczuciem, jakbym miał kaca. Przemoknięcie w strumieniu na pewno mi nie pomogło, zresztą nawet wtedy nie miałem dość zdrowego rozsądku, aby zdjąć całą mokrą odzież. No i teraz – a to ci dopiero – zaczynało mnie brać przeziębienie. Dla większości ludzi nie byłoby to nic wielkiego.

Ale ja nie byłem taki jak większość ludzi.

W wyniku ataku nożem, którego ofiarą padłem we własnym mieszkaniu, nie tylko miałem bliznę na brzuchu, lecz także utraciłem śledzionę. Ponieważ mój system immunologiczny stał się mniej skuteczny, musiałem profilaktycznie brać antybiotyki codziennie – aż do końca życia. Przez większość czasu nie był to problem – przechodziłem przeziębienia czy inne choroby jak każdy inny. Niemniej zawsze istniało ryzyko, że infekcja przekształci się błyskawicznie w coś, co nazywa się gwałtowną infekcją po splenektomii – inaczej OPSI. To rzadki przypadek, kiedy jednak się zdarzy, będzie bardzo szybki.

I być może śmiertelny.

Wstałem i słabość nóg była kolejną oznaką mojej głupoty. Na litość boską, podobno jestem z zawodu lekarzem rodzinnym i powinienem mieć dość rozsądku, by nie lekceważyć sygnałów ostrzegawczych. A teraz zwykły, choć frustrujący dzień przekształcił się w coś całkiem innego.

Czułem się słaby, kiedy na niepewnych nogach poszedłem otworzyć kufer

samochodu. Moja praca często wymagała wyjazdów, czasami do miejsc jeszcze bardziej odludnych niż to obecne, zawsze więc miałem zapakowane antybiotyki ratunkowe. Amoksylicyna, antybiotyk o szerokim spektrum, działała o wiele silniej niż penicylina, którą brałem co rano. Żaden z tych leków nic by nie dał, gdyby przyczepił się do mnie jakiś wirus, pomogłyby jednak zwalczyć infekcję bakteryjną.

Popiłem ją wodą z butelki, wyjętą z zapasu, który również miałem w bagażniku, a potem zwałem się z powrotem na fotel kierowcy i zacząłem rozważać opcje. Gdyby wywiązała się OPSI, musiałbym iść do szpitala. Z drugiej strony złe samopoczucie może okazać się czymś nieistotnym, irytującym wirusem, dającym się zwalczyć bez ubocznych skutków.

Problem w tym, że była to wielka niewiadoma. W tym momencie nie czułem się aż tak chory, żeby zaraz gnać na izbę przyjęć, ale ten stan mógł szybko ulec zmianie. Zwłaszcza jeżeli jeszcze trochę posiedzę w mokrym ubraniu. No dobra. Szybko rozważyłem możliwości. Najwyraźniej powrót do Londynu nie był jedną z nich, podobnie jak dalsze siedzenie tutaj. Gdy wstałem, głowa pulsowała mi bólem. Poczekalem, aż przestanie mi się w niej kręcić, a potem ruszyłem wysypaną żwirem ścieżką między drzewami.

Z bliska dom Traska wyglądał jeszcze bardziej niezwykle – nowoczesny, lecz dzięki spatynowanym cedrowym ścianom wtapiający się w naturalne otoczenie. Betonowe pale, unoszące go nad poziom gruntu, czyniły go odpornym na powodzie, ale oznaczały także, że do drzwi frontowych musiałem wspiąć się po schodach. Czułem się słaby jak niemowlak, kiedy wreszcie dotarłem na ich szczyt. Zanim zastukałem do zaimpregnowanych olejem drzwi, musiałem trochę odczekać, by złapać oddech. Usłyszałem w środku szczekanie psa, a chwilę później Trask mi otworzył.

Nie wyglądał na uszczęśliwionego moim widokiem.

– Pomoc drogowa przyjechała?

– Nie, ja... nastąpiła zmiana planów. Czy w pobliżu jest jakiś hotel?

– Hotel? – powtórzył, jakby smakując jakieś egzotyczne słowo. – Nie mam pojęcia, ale nie sędzę.

– A pensjonat? Albo pub?

– Nic w promieniu wielu mil. A co? Niech mi pan nie mówi, że chce tu zostać na wakacje? – Popatrzył na mnie i jego irytacja częściowo ustąpiła. Zmarszczył brwi w inny sposób. – Wszystko z panem w porządku? Cholernie źle pan wygląda.

– Wszystko w porządku... to tylko wirus. – I zagrałem ostatnią kartę, ponieważ dalszych pomysłów już nie miałem. – Jadąc tutaj, mijaliśmy dom do wynajęcia na wakacje. Wie pan, kto jest właścicielem?

Gdyby okazał się nim ktoś miejscowy i był gotów wynająć mi go na kilka

nocy, wtedy mógłbym odpocząć do chwili, gdy antybiotyki zaczną działać. W jakimś stopniu zdawałem sobie sprawę, że głupio robię, zakładając, iż mi się nie pogorszy, ale nie chciałem zamieszania wokół swojej osoby. Uważałem, że dam sobie radę, jeżeli coś pójdzie nie tak.

Trask spoglądał na mnie niepewnie.

– Mówi pan o starym hangarze łodziowym?

Skinąłem z ulgą głową.

– Wie pan, do kogo należy?

– Jest nasz. – Wydawał się zbity z tropu. – Moja żona go odnawiała.

W innej sytuacji mógłbym się zorientować, że coś jest nie tak, ale teraz całą energię poświęcałem utrzymaniu się na nogach.

– Wiem, że się narzucam, ale czy mógłbym zostać tam na noc? – spytałem proszącym tonem. – Zapłacę za cały tydzień – dodałem, widząc jego niechęć.

Odwrócił wzrok i przesunął dłonią po włosach.

– Nie jestem... właściwie nie jest jeszcze gotów.

– To bez znaczenia. Wystarczy mi łóżko i jakieś ogrzewanie.

Trask wciąż wyglądał na niezdecydowanego, ale spojrział na mnie znowu i to, co zobaczył, musiało go przekonać.

– Proszę tu zaczekać. Pójdę po Rachel. Wie o domu więcej niż ja.

Zamknął mi drzwi przed nosem, pozostawiając mnie na progu. Czulem się zbyt paskudnie, aby się tym przejąć, założyłem więc, że nie był pewien, czy nie zarażę mu rodziny jakąś paskudną chorobą. Oparłem się plecami o ścianę, przykładając głowę do spatynowanych desek. Miałem wrażenie, że upłynęło dużo czasu, zanim drzwi otworzyły się znowu. Tym razem stanęła w nich żona Traska. Jej ładna twarz zastygła w niechętnym grymasie, a zielone oczy spoglądały na mnie chłodno.

– Andrew mówi, że chce pan wynająć hangar.

– Tylko na jedną noc.

– Paskudny przypadek męskiej grypy, co? – Podała mi kluczyki. – Proszę. Niech pan poczeka w samochodzie, a ja pójdę po rzeczy. Może pan włączyć ogrzewanie.

Zbyt wycieńczony, by czuć zakłopotanie, powlokłem się z powrotem ścieżką między drzewami do miejsca, gdzie stały land rovery. Żona Traska nie powiedziała, którym z nich pojedziemy, ale przy kluczykach był pilot, nie mógł to być zatem stary, biały defender. Wsiadłem do nowszego, szarego i zapuściłem silnik, z lekkim déj à vu wspominając samochód, którym kiedyś jeździłem. Czekaając, aż wewnątrz się nagrzej, wziąłem komórkę, żeby odwołać pomoc drogową. Bardzo nie chciałem sprawiać Traskowi i jego rodzinie dodatkowych kłopotów, lecz wyglądało na to, że nie mam wyboru.

Po telefonie do pomocy drogowej zadzwoniłem do Jasona, żeby powiadomić



go, iż nie zdołam dotrzeć do Cotswolds. Chowałem komórkę, kiedy pojawiła się żona Traska. Niosła kartonowe pudło i worki, w których, jak się domyślałem, były ręczniki i pościel. Odruchowo wysiadłem z samochodu, żeby jej pomóc, ona jednak szorstko pokręciła głową.

– Dam sobie radę.

No i dobrze. Gdy kobieta z irytacją wrzucała paczki na tylne siedzenia land rovera, ja na nogach jak z waty poszedłem do mojego wozu, żeby zabrać laptopa i torbę.

– Wszystko? – zapytała, gdy wróciłem. – To niech pan wsiada.

Ruszyliśmy, a mnie pomimo włączonego ogrzewania nadal trzęsło. Żona Traska się nie odzywała, ale demonstrowała niezadowolenie przy każdej zmianie biegu. Cisza narastała, aż w końcu musiałem coś powiedzieć.

– Przepraszam, że narażam panią na te wszystkie kłopoty. Jestem wdzięczny za to, co pani dla mnie robi.

– To dom letniskowy. Do wynajęcia.

Kolejna brutalna zmiana biegów. Spróbowałem ponownie.

– Słowo daję, że kiedy pytałem o hangar na łódzie, nie wiedziałem, do kogo należy.

– A robiłoby to jakąś różnicę?

– Po prostu... Miałem nadzieję, że przestanę państwu przeszkadzać.

– Taa... To nieźle panu wyszło, co?

Jej widziana z profilu twarz była gniewna i surowa. Nie miałem pojęcia, czemu jest taka wkurzona, lecz miałem dość.

– Proszę posłuchać... niech pani zapomni o hangarze. Po prostu... niech mnie pani gdzieś wysadzi.

– Zmienił pan zdanie?

Jezu.

– Po prostu proszę stanąć. Wsiądę tutaj.

Po obu stronach strumienia były tylko bagniska i pola, lecz nic mnie to nie obchodziło. Zmarszczyła brwi.

– To absurd. Nie mogę pana zostawić w środku niczego.

– W takim razie proszę mnie wysadzić tam, gdzie dostanę taksówkę. W mieście, gdziekolwiek. Wszystko jedno.

Zerknęła na mnie kątem oka. Usiłowałem przestać dygotać, ale nie mogłem.

– Nie wygląda pan dobrze – stwierdziła.

– Czuję się doskonale – odparłem, wiedząc, że okazuję głupi upór.

Żona Traska nie zareagowała. Zanim się odezwała, jechała przez chwilę dalej.

– Pana złe samopoczucie nie jest tylko przeziębieniem, prawda?

Zamierzałem odpowiedzieć, że to nie ma znaczenia, ale bardziej

zdroworozsądkowa część mojej osoby zdała sobie sprawę, że w chwili obecnej nie stać mnie na popisywanie się dumą.

– Mam problem z układem immunologicznym – przyznałem.

– Jaki?

– Nic zaraźliwego – zapewniłem, zgadując, o czym myśli. Nie chciałem wdawać się w wyjaśnienia, nie widziałem jednak sposobu, jak tego uniknąć. Do diabła z tym. – Nie mam śledziony.

– Cholera – powiedziała zaniepokojonym i zszokowanym tonem. – Nie powinien pan iść do lekarza?

– Ja jestem lekarzem. Jadę teraz na antybiotykach i po prostu muszę tylko gdzieś odpocząć.

Wyjaśnienie sprowokowało kolejne spojrzenie, tym razem sceptyczne.

– Przecież powiedział pan Andrew, że jest specjalistą medycyny sądowej.

– Bo jestem. – Wolałbym nie podejmować tego tematu. – Lecz kiedyś byłem lekarzem rodzinnym.

– Chyba niezbyt dobrym. O czym, do diabła, pan myślał, siedząc tam w mokrym ubraniu? Czemu pan nic nie powiedział?

Patrząc z perspektywy czasu, musiałem przyznać, że nie był to jeden z moich najlepszych pomysłów, lecz nie miałem siły na dyskusję.

– Wyjdę z tego – powtórzyłem słabo.

Spojrzenie żony Traska było wymowniejsze od słów.

– Mam nadzieję. Jesteśmy na miejscu.

Wjechała na wysypany żużlem parking i zaciągnęła ręczny hamulec. Hangar był małym budynkiem dolną częścią tkwiącym w wodzie strumienia; na kamiennych ścianach widać było brudną linię wskazującą, do którego miejsca sięga przypływ. Górna część była na poziomie brzegu. Po obu stronach drzwi znajdowały się małe okna, przypominające dom narysowany przez dziecko.

Żona Traska podeszła do hangaru, oparła pudło o ścianę i zaczęła przeglądać pęk kluczy.

– No, dalej, gdzie jesteś? – mruczała pod nosem. – Przepraszam, że musi pan czekać.

W końcu znalazła właściwy klucz i pchnęła drzwi biodrem. W środku czekała niespodzianka. Było to jedno duże pomieszczenie, bez ścianek działowych, urządzone jak kawalerka. Było w nim o wiele jaśniej, niż sądziłem, patrząc z zewnątrz. Nieotynkowane kamienne ściany pomalowano na białą, światło zaś wpadało przez znajdujące się na przeciwległej ścianie duże, łukowate okno wychodzące na strumień. Po jednej stronie urządzono niewielki aneks kuchenny, po drugiej, przy piecyku na drewno, stały sofa i fotel. Umebłowanie było w skandynawskim stylu lat sześćdziesiątych – proste linie i stonowane barwy – a większą część polakierowanych desek podłogowych przykrywał

ciemnoczerwony dywan.

Wszystko sprawiało wrażenie nowego i nieużywanego, tym bardziej że w powietrzu wciąż jeszcze unosił się słaby zapach farby. Pomieszczenie, choć małe, było jasne, przestronne i mogłoby pojawić się na stronach ekskluzywnego magazynu turystycznego. Jeśli, jak powiedział Trask, renowacją zajmowała się jego żona, to wykonała świetną robotę.

Postawiła pudło na blacie kuchennym.

– Nie spodziewaliśmy się, że ktoś tu zagości przed rozpoczęciem sezonu – oznajmiła, szybko pstrykając przełącznikami. Z grzejnika zamontowanego na ścianie zaczęło płynąć gorące powietrze. – Jeszcze niewykończone, ale powinno być panu dość wygodnie. Piecyk działa, gdyby go pan potrzebował. Nie ma wi-fi ani telewizji, lecz komórka w zasadzie łapie zasięg. Aha, łazienka jest tam.

Wskazała drzwi do wciśniętego w kąt małego pomieszczenia. Skinąłem głową, zauważyłem jednak, że czegoś brakuje.

– A gdzie jest łóżko?

Bąłem się, czy tej funkcji nie pełni mała sofa, ale żona Traska podeszła do fragmentu ściany wyłożonego grubo ciosanymi deskami, schwyciła skórzany pas, pociągnęła go i cały fragment ściany opadł, przekształcając się w składany tapczan.

– Ta-dam – oznajmiła bez entuzjazmu. – Przyniosę z samochodu ręczniki i pościel. Może pan spokojnie usiąść, a ja wszystko przygotuję.

Nie protestowałem. Fotel stał przy łukowatym oknie. Zapadłem się w niego, w głowie mi się kręciło i pomimo gorącego powietrza z grzejnika wciąż dygotałem. Czulem już gorączkę, byłem słaby i wszystko mnie bolało. Zobaczyłem za oknem, że poziom wody w strumieniu sprawiał wrażenie o wiele niższego, a gdy spojrzałem dalej, widziałem tylko pola, wydmy i wodę. Zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem, przyjeżdżając tutaj, zamiast poszukać raczej szpitala. Jeżeli mój stan się pogorszy, upłynie wiele czasu, nim dotrze do mnie jakaś pomoc. Będę zdany tylko na siebie.

Ale przywykłem do tego.

Wstałem, gdy wróciła żona Traska, lecz bezceremonialnie odrzuciła moją propozycję pomocy.

– Nie potrzeba, jestem dużą dziewczynką. – Naprawdę uśmiechnęła się do mnie. Był to trochę wymuszony, ale jednak uśmiech. – Powinien pan usiąść, zanim upadnie.

Miała rację. Poślanie łóżka nie zajęło jej wiele czasu. Potem wyprostowała się i rozejrzała.

– Okej, sądzę, że to wszystko. Zostawiłam herbatę, kawę, trochę zupy i parę innych rzeczy, nie powinien więc pan umrzeć z głodu. Potrzebuje pan czegoś jeszcze?

– Nie, dziękuję. – Chciałem tylko, żeby już wyszła, abym mógł zwalić się na

łóżko.

– Zabiorę pańskie buty. Mamy suszarnię, do której je wstawimy. Ktoś je panu jutro podrzuci. – Popatrzyła na mnie z wahaniem. – Jest pan pewien, że wszystko z panem będzie w porządku?

– Całkowicie.

– Zanotuję mój numer na wypadek... No, na wszelki wypadek. – Nagryzmołała go w wyjętym z jednej z szuflad kuchennych notesie, który mi podała. – Czy jest ktoś, do kogo mogę zadzwonić z wiadomością? Żona lub ktoś inny?

– Nie. Ale bardzo dziękuję.

Podeszła do drzwi z wciąż niepewną miną. Położyła dłoń na klamce, żeby je otworzyć, i nagle się zatrzymała.

– Proszę posłuchać, przepraszam, że byłam niemą. To był... dziwny dzień. Emocje trochę się rozprężyły. W nas wszystkich.

Gdybym nie był tak wykończony, mogłoby mnie zastanawiać, co to znaczyło.

– Nie ma o czym mówić. Jestem bardzo wdzięczny za wszystko, co pani i mąż dla mnie zrobili.

– Mąż? – Sprawiała wrażenie zdziwionej, aż nagle jej twarz straciła wyraz, kiedy zrozumiała, o co mi chodziło. – Ma pan na myśli Andrew?

Widząc jej minę, uświadomiłem sobie, że popełniłem straszny błąd.

– Przepraszam, myślałem...

– Andrew nie jest moim mężem. To mój szwagier.

Zaczerwieniła się. Podeszła do drzwi, w czasie gdy ja usiłowałem wymyślić, jak zgrabnie wybrnąć z tej sytuacji.

– Proszę dzwonić, jeżeli będzie pan czegoś potrzebował – rzuciła, nie patrząc na mnie, i wyszła.

Drzwi zamknęły się za nią. Spojrzałem na notes w mojej ręce, z góry wiedząc, co zobaczę. Nad numerem telefonu krągłymi literami napisała swoje nazwisko.

Rachel Derby.

## Rozdział 8

Następnego ranka obudziły mnie krzyki mew, tak głośne, jak gdyby ptaki znajdowały się razem ze mną w pokoju. Wyrwany z mocnego, głębokiego snu, poczułem na powiekach światło słoneczne i było to dziwne, ponieważ zawsze spałem przy zaciągniętych zasłonach. Próbowałem zignorować jedno i drugie, ponieważ sama myśl o porzuceniu kokonu nieświadomości była mi nienawistna, lecz w końcu otworzyłem oczy. Gapiałem się w nieznany, ostro sklepiony sufit o pomalowanych na biało krokwiach, nie mając pojęcia, gdzie się znajduję, aż nagle sobie przypomniałem.

A więc nadal żyję.

Leżałem przez chwilę, było mi wygodnie i ciepło pod kołdrą. Nie czując specjalnej potrzeby, by się ruszać, zacząłem ostrożnie sprawdzać, jak się czuję. Lepiej, uznałem. O wiele lepiej.

I byłem głodny.

To dobry znak. Poprzedniego wieczoru prawie nic nie jadłem. Kiedy Rachel Derby wyszła, przez chwilę rozważałem pomysł wzięcia prysznic, nie czułem się jednak na to dość silny. Wziąłem parę tabletek paracetamolu, aby zbić temperaturę, potem otworzyłem puszkę zupy pomidorowej, postawiłem ją do podgrzania na płytce elektrycznej i zdjąłem wciąż mokre spodnie. Zjadłem, ile zdołałem w siebie wmusić, trzęsąc się tak bardzo, że łyżka postukiwała o miskę.

Nie miałem apetytu, porzuciłem więc większość zupy, wczółgałem się do łóżka i naciągnąłem na siebie kołdrę. Byłem cały obolały i gdy wstrząsały mnie ataki dreszczy, znowu zastanawiałem się, czy w tym dniu usianym złymi decyzjami przyjazd tutaj, a nie do szpitala nie był tą najgorszą. Przez kilka godzin tylko drzemałem, dręczony gorączką, aż w którymś momencie zasnąłem normalnym snem.

Teraz, po spojrzeniu na zegarek i stwierdzeniu, że jest po dziesiątej, znów wgapiałem się w pomalowane na biało belki nade mną, słuchając odgłosów tupotania mew po dachu. Nic dziwnego, że brzmiało to tak, jakby były tu razem ze mną, bo praktycznie rzecz biorąc były. Dobiegał także inny dźwięk, którego zidentyfikowanie zajęło mi więcej czasu. Znajdowałem się na piętrze dawnego hangaru, nad przystanią z basenem i pomostami. Musiał nastąpić przyływ i to, co słyszałem, było łagodnym pluskaniem wody.

Ostrożnie usiadłem, opuściłem nogi na podłogę i odczekałem chwilę, zanim wstałem. Wciąż czułem się wyczerpany, lecz zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia. Okazało się, że infekcja jednak nie była początkiem zespołu chorobowego po splenektomii, a jedynie atakiem jakiegoś krótko działającego wirusa, którego pokonały albo antybiotyki, albo mój własny układ immunologiczny. O ile

w niczym nie przesadzę, za dzień lub dwa dojdę do siebie.

Teraz umierałem z głodu, a pociągnawszy nosem, stwierdziłem, że bardzo potrzebuję prysznic. Choć ssało mnie w żołądku, uznałem, że jedzenie sprawi mi więcej przyjemności, jeśli wcześniej się umyję. Łazienka była niewielka, ale funkcjonalna, podobnie zresztą jak reszta kawalerki. Stałem długo pod gorącymi strugami wody, rozkoszując się ich uderzeniami, dopóki nie poczułem, że nogi robią mi się miękkie. Czysty i ogolony włożyłem ubranie, które wziąłem na pobyt u Jasona i Anji, po czym zająłem się śniadaniem.

W lodówce było mleko, masło i jajka, a na blacie kuchennym pół bochenka chleba i nieotwarty słoik marmolady. W czasie gdy w imbryku gotowała się woda na kawę, z dwóch kromek zrobiłem tosty i usmażyłem jajecznicę. Zjadłem to łączywie przy niewielkim stole, po czym opieklek kolejnego tosta i posmarowałem go masłem i marmoladą.

Kiedy skończyłem, poczułem się lepiej niż od wielu dni. Zaparzyłem kolejną kawę, poszedłem z nią do okna i patrząc na morskie ptaki unoszące się na wodzie wypełniającej do połowy strumień, w końcu zacząłem analizować sytuację, w którą się wpakowałem.

Pod każdym względem było to imponujące pasmo pomyłek. Lundy powiedział mi, że Emma Derby, przypuszczalna ofiara Leo Villiersa, była mężatką. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że może nie nosić nazwiska męża. Nawet kiedy Trask mówił o swojej żonie, nie zdołałem tego skojarzyć, zakładając z góry, że ma na myśli Rachel.

Siostrę Emmy Derby.

Rozmiary mojej pomyłki były porażające. Nic dziwnego, że byli tacy spięci. Wczoraj Trask i jego rodzina musieli przeżywać wszelkiego rodzaju męczarnie. Nawet jeśli nie poinformowała ich policja, to i tak na pewno słyszeli, że w ujściu znaleziono zwłoki. I chociaż Emma Derby zaginęła zbyt dawno, aby mogło to być jej ciało, rodzina nie musiała myśleć tak racjonalnie. Wiedzieli przy tym, że jeżeli to nie ona, są to najprawdopodobniej zwłoki jej zabójcy.

Na dobrą sprawę Rachel poprzedniego wieczoru powiedziała właśnie coś takiego: „Mieliśmy dziwny dzień. Emocje trochę się rozpedziły. W nas wszystkich”. Skrzywiłem się na myśl o tym, jak bezduszny musiałem się jej wydać. Założyli, że jako konsultant policyjny wiem, kim są. A ja, zaślepiony własnymi problemami, zmusiłem ich, aby powiedzieli mi o tym wprost, i to po tym, jak wpakowałem się w sam środek życia pogrążonej w smutku rodziny.

Cóż, już się stało i nie mogłem tego zmienić, tylko co najwyżej przeprosić i zostawić ich w spokoju najszybciej, jak się da. Skoro jednak w niedzielę długiego weekendu mój samochód stał zepsuty przed domem Traska, łatwiej było tak myśleć, niż zrobić.

Skończyłem kawę i zadzwoniłem do pomocy drogowej. Jak powiedziała

Rachel, w hangarze był zasięg, choć słaby. Znalazłem miejsce przy oknie, w którym wydawał się silniejszy, kiedy jednak wybrałem numer i opcję „nie wypadek” z menu, okazało się, że przede mną jest kolejka. Czekać, aż ktoś odbierze, rozglądałem się po małym mieszkanku. Było proste, ale dobrze urządzone i w innych okolicznościach chętnie zatrzymałbym się tu na dłużej. Pomyślałem, że żona Traska wyraźnie była uzdolnioną projektantką, i w tej samej chwili dostrzegłem oparte o ścianę oprawione fotografie. Przypomniałem sobie, że Lundy wspominał coś, że była fotografikiem. Zaciekawiony postanowiłem obejrzeć prace i straciłem zasięg, gdy tylko odszedłem od okna.

Zadzwoiłem ponownie i znowu utknąłem w kolejce. Wspaniale. Ustawiłem telefon na tryb głośnomówiący, usiadłem na parapecie i zacząłem przeglądać fotogramy. Wyraźnie były przygotowane do zawieszenia na ścianach, nie sądziłem więc, by ktoś miał coś przeciwko temu, żebym je obejrzał. Było ich około tuzina, w różnych formatach, wszystkie czarno-białe. Na dole każdego zdjęcia był identyczny, ekspresyjny podpis: „Emma Derby”.

Były to najczęściej krajobrazy lub martwe natury. Wśród nich znajdowała się fotografia z hangarem i strumieniem, pełna nastrojowych cieni i z taflą ciemnej, odbijającej otoczenie wody. Na innej był fort morski, ciekawie podświetlony monochromatycznym zachodem słońca połyskującego na falach. Nie byłem ekspertem, niemniej wydawały mi się dość fachowo wykonane, choć może nieco stereotypowe. Szczególnie jedna – lśniącego chromami motocykla na piaskowej łasze – była w tak oczywisty sposób zaaranżowana, że wręcz w głos krzyczała: „plakat reklamowy”.

I tylko jeden portret. Atrakcyjnej kobiety o długich ciemnych włosach obramowujących jej twarz, uśmiechającej się do aparatu, nagiej pod kunsztownie udrapowanym białym materiałem. Tytuł napisany tym samym charakterem pisma głosił po prostu: „Ja”.

Było to pierwsze zdjęcie Emmy Derby, jakie widziałem. Nawet biorąc poprawkę na pochlebny charakter autoportretu, była bardzo ładna i świetnie o tym wiedziała. Trzeba było mnóstwa pewności siebie – albo próżności – żeby pozować w taki sposób. W jej spoglądających w kamerę oczach widniało wymowne samozadowolenie, uniesienie podbródka sugerowało arogancję. Wiedziałem, że taka pospieszna ocena jest nieobiektywna, lecz trudno mi było wyobrazić sobie tę emanującą pewnością siebie kobietę osiedlającą się dobrowolnie w takiej głuszy jak tutaj. Albo wychodzącą za Traska – pomyślałem – starszego mężczyznę z nastoletnim synem i małą córeczką. Lundy powiedział mi, że Emma Derby przeniosła się tu dwa lub trzy lata temu, kiedy wyszła za mąż, a więc nie była matką Fay i Jamiego. Inspektor twierdził, że było to trudne małżeństwo jeszcze przed jej romanssem z Leo Villiersem. Teraz zacząłem rozumieć dlaczego.

Przyłapałem się na tym, że wpatruję się w fotografię, szukając jakichś

podobieństw obu sióstr. Było coś w oprawie oczu, we wspaniałych ciemnych włosach, ale gdybym nie znał ich relacji rodzinnych, raczej bym nie zgadł. Rachel Derby nie była w oczywisty sposób atrakcyjna, ale nie przypuszczałem, by różnica polegała w tak wielkim stopniu na makijażu i oświetleniu.

I to kolejna pochopna ocena, uznałem. Mechaniczny głos z mojej komórki wciąż prosił, abym się nie rozłączał, dając mi czas na przejrzenie pozostałych zdjęć. Właśnie oparłem się znowu o ścianę, kiedy zastukano do drzwi.

Drgnąłem, bo poczułem się niezręcznie, jakby mnie przyłapano na myszkowaniu. Upewniwszy się, że fotografie się nie obsuną, poszedłem sprawdzić, kto przyszedł.

Przez chwilę czułem rozczarowanie, ujrawszy po otwarciu drzwi Traska. Miał na sobie tę samą sfatygowaną zamszową marynarkę co wczoraj, chociaż dzisiaj był gładko ogolony. Trzymał w jednej ręce moje buty, a w drugiej lodówkę turystyczną z mojego samochodu, chyba że miała bliźniaczkę.

– Mogę wejść?

Cofnąłem się, wpuszczając go do środka. Rozejrzał się po wnętrzu, jakby widział je pierwszy raz.

– Napije się pan kawy? – zaproponowałem.

– Nie, ja tylko na chwilę. Pomyślałem, że zobaczę, co z panem.

– Dziękuję, lepiej.

– To super. Proszę, przyniosłem to panu. – Podał mi buty i postawił lodówkę na podłodze. – Rachel wysuszyła je przez noc, ale pewnie będzie pan chciał je oczyścić. Jeżeli się tego nie zrobi, sól je przeżre.

– Dzięki. – Doceniałem jego gest, pomyślałem jednak, że w rzeczywistości przyszedł się upewnić, czy lokator przeżył noc. Nie mogłem go za to winić.

– Proszę posłuchać, chciałbym przeprosić za wczoraj. Nie miałem pojęcia, kim jest pan i pańska rodzina. Gdybym wiedział, nie stawiałbym pana w takiej sytuacji.

– Tak, słyszałem o tym. – Wzruszył ramionami. – Nie mógł pan wiedzieć. A ja nie powinienem zakładać, że pan wie.

Spojrzał na lodówkę i bruzdy na jego twarzy się pogłębiły. Lodówka była albo moja, albo identyczna i pomyślałem, że ma zamiar wyjaśnić, po co ją przyniósł.

– Jamie postanowił zająć się już naprawą pańskiego samochodu – powiedział zamiast tego. – Słona woda mogłaby zniszczyć silnik, gdyby została w nim dłużej. Normalnie najpierw bym zapytał, ale w tych okolicznościach pomyślałem, że lepiej od razu zacząć. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał o to pretensji.

Szczerze mówiąc, nie byłem pewien. Wczoraj syn Traska nie wydawał się palić do roboty. Poza tym, choć nie chciałem okazać się niewdzięcznikiem, jeżeli zadanie było tak skomplikowane, jak twierdził Jamie, myśl o nastolatku majstrującym w sercu mojego wozu budziła we mnie mieszane uczucia.



Starannie dobieierałem słowa.

– Sądziłem, że musi pójść do warsztatu. Naprawdę można naprawić go tutaj?  
– Mówi, że jeśli sól nie skorodowała za bardzo silnika, to powinien dać sobie radę. Niech się pan nie martwi, Jamie wie, co robi. Zbudował swojego land rovera, tego starego, białego, od zera. Oszczędzał i kupił go, kiedy miał piętnaście lat, a potem sam naprawiał i kupował części zamienne na szrotach i przez internet. Z pewnością potrafi rozebrać i oczyścić silnik.

Brzmiało to bardziej jak stwierdzenie faktu niż przechwałka. Żałowałem, że propozycja nie została przedstawiona wczoraj, lecz mieli wystarczająco dużo na głowie bez konieczności wyciągania mnie z kłopotów.

– Przecież wciąż mogę wezwać pomoc drogową – wahałem się. – Nie przypuszczam, by pański syn chciał zrezygnować z długiego weekendu.

– Nie będzie miał nic przeciwko temu. To jego hobby. Jeżeli spodoba się panu jego robota, zawsze może pan mu zapłacić. Ma zamiar iść w przyszłym roku na uniwersytet i przydadzą mu się pieniądze. – Trask skinął głową w stronę mojej komórki, wciąż rozbrzmiewającej cichą muzyczką. – Nie wygląda na to, żeby pańska pomoc drogową zjawiała się tu szybko.

Miał rację. Prawdopodobnie będzie miał mnie z głowy o wiele prędszej, jeżeli jego syn wykona naprawę, niż gdybym czekał na przyjazd samochodu technicznego. Przyszło mi jednak do głowy coś innego. Spojrzałem na leżące na blacie kuchennym kluczyki od mojego samochodu.

– Jak podniósł maskę?

– W taki sam sposób, jak otworzył kufer. Zostawił pan wóz niezamknięty.

Musiałem być bardziej nieprzytomny, niż sądziłem. Zapamiętałem moment wyjmowania torby z bagażnika w czasie, gdy Rachel pakowała rzeczy do land rovera, ale za nic w świecie nie mogłem sobie zwizualizować, czy potem zamknąłem samochód. Pospiesznie usiłowałem przypomnieć sobie, co było w kufrze – zabłocony kombinezon i wodery, a także walizeczka z moim sprzętem specjalistycznym. Nic tajnego ani drażliwego, niemniej normalnie nie popełniałem takich błędów.

– Dlatego to przyniosłem. – Trask zrobił ruch, jakby chciał trącić lodówkę stopą, ale się powstrzymał. Na jego i tak pochmurnej twarzy pojawiło się lekkie obrzydzenie. – Jamie poczuł zapach. Nie otwieraliśmy, ale nie chcę tego mieć przed moim domem.

Kiedy o tym wspomniał, sam go poczułem – ostry, amoniakalny odór wydobywający się z pudła. Pochyliłem się i otworzyłem zapięcia wieka, wtedy zaś smród buchnął z całą siłą, a Trask się cofnął.

– Wczoraj miałem pojechać do przyjaciół – wyjaśniłem, pozwalając mu zobaczyć ser i wino w lodówce. Umieszczony w niej lód w pakietach dawno się roztopił, co winu nie zaszkodziło, lecz dojrzałemu camembertowi i owszem.

Trask spojrział zaskoczony i się roześmiał.

– Jezu, a ja myślałem... sam pan wie co.

Domyśliłem się. Zważywszy na moje zajęcie pewnie doszedł do wniosku, że w lodówce muszą znajdować się jakieś makabryczne dowody rzeczowe. Po chwili rozbawienie minęło i jego twarz przybrała zwykły, surowy wyraz.

– Więc tak, wczoraj... no, jakby się nie dogadaliśmy. Jeśli o mnie chodzi, to nie ma pośpiechu z pańskim wyjazdem. Jamie ma nadzieję zrobić pański wóz do południa, tyle że nie będzie tego pewny, dopóki wszystkiego gruntownie nie obejrzy. – Wskazał ręką wewnątrz hangaru. – Nikomu pan tu nie przeszkadza. Jest przeznaczony na wynajem, jeśli więc będzie pan chciał zostać dłużej, to nie ma problemu.

– Dziękuję, ale wolałbym wrócić.

Kiwnął krótko głową i szorstkość wróciła.

– Jak pan chce. Jeżeli zmieni pan zdanie, propozycja będzie aktualna.

Dałem mu kluczyki, aby Jamie mógł odpalić silnik, a także numer komórki, żeby powiadomił mnie, co z samochodem. Spodziewałem się, że teraz odejdzie, ale się zatrzymał.

– Wcześniej dzwonił do mnie komisarz Lundy – powiedział, jak gdyby chciał pozbyć się tej informacji. – Nie że tak oficjalnie, tylko... z uprzejmości. Powiedział mi, że znalezione wczoraj zwłoki to niemal na pewno Leo Villiers.

Zatkało mnie, lecz po chwili uznałem, że nie ma w tym niczego specjalnie dziwnego, bo przecież Lundy mógł znać Traska od czasu zaginięcia Emmy Derby. Uspokojenie go nie było zapewne standardową procedurą, ale stanowiło bardzo ludzki gest. Komisarz wiele zyskał w moich oczach.

Po wyjściu Traska wyjąłem z lodówki zepsute ser i ostrożnie go obwąchałem, po czym uznawszy, że nic go już nie ocali, zawiązałem go w foliową torbę i wyrzuciłem do pojemnika na zewnątrz. Lodówka wciąż jednak cuchnęła i musiałem ją porządnie wymyć, by pozbyć się smrodu. Nawet po tak niewielkim wysiłku poczułem się słabo, zaparzyłem więc sobie kubek herbaty i usiadłem przy oknie. Pomyślałem o pomyłce Traska i uśmiechnąłem się znowu. Była całkiem zrozumiała, a ja nie mogłem mieć do niego pretensji, że nie chciał, by jakieś części ciała wały mu się przed domem.

Z własnego doświadczenia wiedziałem, jak to jest.

Coś szturchnęło moją podświadomość, ale niemal natychmiast się ulotniło. Po krótkim odpoczynku poczułem się lepiej i gdy wypilem herbatę i umyłem kubek, poszedłem obejrzeć przyniesione przez Traska buty. Nie były przeznaczone do moczenia w morskiej wodzie, lecz miały impregnowaną skórę i chociaż trochę zeszywniały, nadal nadawały się do noszenia. Właśnie miałem je odstawić, kiedy powróciło uczucie niepokoju, tym razem mocniejsze. Patrzyłem na buty, starając się zrozumieć, co mnie dręczy, i nagle to sobie uświadomiłem.

– Och, ty cholerny idioto – westchnąłem.

## Rozdział 9

W strumieniu było mniej wody niż wczoraj, kiedy szedłem wzdłuż brzegu. Chociaż nie mogłem tego sprawdzić, jego wygląd wskazywał, że do najwyższego poziomu przyływu nadal była godzina lub dwie.

Miałem nadzieję, że to wystarczy.

Zanim wyruszyłem z hangaru, próbowałem przewidzieć, czego mogę potrzebować. Aparat znajdował się w torbie podróżnej, miałem go więc ze sobą. Gorzej z resztą, bo nawet gdybym znalazł to, czego szukałem, nie mogłem z góry wiedzieć, jak łatwo będzie tego osiągnąć. Wodery wciąż spoczywały w samochodzie przed domem Traska, a po wczorajszym dniu nie zamierzałem znowu się moczyć. W kawalerce nie było nic, co mogłoby mi pomóc, ale oderwałem z rolki pod zlewem kilka plastikowych worków na śmieci i włożyłem do wymytej lodówki przenośnej. Pakiety chłodzące roztopiły się wcześniej, włożyłem je więc do małego zamrażalnika stojącego w części kuchennej, aby odzyskały funkcjonalność. A potem wyszedłem sprawdzić, co jeszcze zdołam znaleźć.

Schody prowadziły na molo przed hangarem. Widoczny w połowie ściany ślad przyływu pokazywał, dokąd zazwyczaj sięga woda – suche i blade kamienie ponad nim, ciemne i wilgotne poniżej. W tym momencie poziom strumienia nie był wysoki, sporo poniżej płaszczyzny mola. Wejście do basenu hangaru było z przodu – duży kwadratowy otwór wychodzący na strumień, zaopatrzony w mokre drewniane wrota zamknięte na zardzewiałą, lecz solidnie wyglądającą kłódkę. Nie miałem zamiaru przez nie wchodzić, w ścianie blisko dolnych stopni znajdowały się drugie, dużo mniejsze, drewniane drzwi.

Były zamknięte tylko pętlą z liny, nie sądziłem więc, żeby ktokolwiek miał pretensje, jeśli zajrzę do środka. Zawiasy zaprotestowały, gdy popchnąłem drzwiczki, za którymi powitała mnie zatechła, piwniczna woń wody i wilgotnych kamieni. Wejście było tak niskie, że musiałem dobrze się pochylić, by przez nie przejść. Jakoś się udało, ponieważ jednak po drugiej stronie poziom podłogi był niżej, to niewiele brakowało, a bym się przewrócił. W środku było zimno i ciemno, stanąłem więc na chwilę, aby dać oczom przywyknąć do półmroku. Smugi światła przedostawały się przez wrota we frontowej ścianie, a kiedy dodatkowo zostawiłem także otwarte drzwiczki, zrobiło się wystarczająco widno, abym mógł się rozejrzeć.

Przeróbki, które zmieniły górne piętro w kawalerkę, nie objęły dolnego poziomu. Stałem na wąskiej kładce – zbyt małej, aby uznać ją za pomost – ciągnącej się wzdłuż jednej ściany. W czasie przyływu dolny poziom zapewne był zalany, ale teraz w basenie widać było dno. Deski kładki były śliskie i zbutwiałe, zasypane różnymi starymi żeglarskimi śmieciami. Kanadyjka z dziurą w dnie

leżała na burcie, na wpół przysypana korkowymi pławami, rozpadającymi się kamizelkami ratunkowymi i poszarpanymi fragmentami starych koszy rybackich.

Miałem nadzieję, że znajdę tu bosak albo coś w tym rodzaju, lecz najbardziej przydatnym przedmiotem okazało się krótkie wiosło ze złamanym piórem. Dalekie od ideału, ale lepsze niż nic. Wyniosłem je na zewnątrz, z powrotem zamknąłem drzwiczki pętlą na hak, a potem wróciłem schodkami na górę, gdzie zostawiłem lodówkę.

Już ten mały wysiłek wystarczył, aby mnie zmęczyć. Odpoczywałem parę chwil, łapiąc oddech i patrząc na strumień wijący się wśród wydm i słonych bagien. Zastanawiałem się, czy dam sobie radę. Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu martwiłem się, że mogę wylądować w szpitalu, a teraz miałem zamiar tłuc się po bagniskach zalewanych przyplływami, najprawdopodobniej szukając wiatru w polu.

Trudno, sam byłem sobie winien. Chory czy nie, powinienem wczoraj rozpoznać to, co miałem przed nosem. Być może straciłem już swoją szansę, ale jeżeli będę dłużej zwlekać, stanie się tak na pewno.

Podniosłem lodówkę i ruszyłem brzegiem strumienia. Popołudnie było pogodniejsze niż wczoraj, lecz wisząca wciąż warstwa chmur nadawała niebu barwę skwaśniałego mleka. Właściwie nie było tu ścieżki, tylko wąskie pasmo błotnistej ziemi, na którym trawa bagienna i inne rośliny nie rosły aż tak gęsto, a wkrótce i ono zniknęło. Usiłowałem, idąc wzdłuż skraju wody, nie tracić z oczu strumienia, bardzo szybko jednak musiałem zacząć zwracać więcej uwagi na to, gdzie stawiam stopy.

Marsz stawał się coraz trudniejszy, gdyż pływy wyrzeźbiły w miękkim, piaszczystym gruncie mokradeł skomplikowaną sieć cieków wodnych ze strumieniem będącym jakby głównym pniem, od którego odchodziły boczne odgałęzienia, dzielące się na następne. Drogę przegradzały mi muliste jeziora i częściowo zatopione rowy. Niektóre były niewielkie, można było nad nimi przejść lub je przeskoczyć, inne musiałem omijać, licząc na to, że w końcu zdołam dotrzeć z powrotem do strumienia. W pewnej chwili, po zdającej się trwać wieki wędrówce wzdłuż jednego z kanałów w poszukiwaniu drogi na drugą stronę, zatrzymałem się, żeby odpocząć i rozejrzeć się w terenie. Płaska okolica pozbawiona była cech charakterystycznych poza piaszczystymi pagórkami porośniętymi ostrą trawą. Kępy trzciny zacieły granicę pomiędzy gruntem stałym i wodą, a kiedy się obejrzałem, ledwo mogłem dostrzec hangar.

Postawiłem lodówkę i zastanawiałem się, co robić dalej. Miałem nadzieję, że idąc wzdłuż strumienia w głąb lądu, w końcu dotrę do tego samego odcinka co wczoraj, gdy szedłem od domu Traska jego brzegiem w przeciwnym kierunku. Nie miałem jednak pojęcia, jak daleko to było, a teraz tak bardzo zboczyłem z kursu, że nie mogłem nawet dostrzec tego cholernego strumienia. Przyplływ znowu wracał na

słone bagniska, i to w takim tempie, że albo tu ugrzęzę, albo złamię kostkę.

Niechętnie rozważałem ewentualność powrotu, kiedy w pewnej odległości zobaczyłem na bagniskach jakąś postać. Początkowo była zbyt daleko, aby można było określić jej płeć, lecz gdy zbliżyła się bardziej, dostrzegłem, że to kobieta. Poczulem dziwne napięcie, rozpoznając, kim jest.

Rachel Derby szła w moim kierunku przeciwnym brzegiem zalanego kanału, który usiłowałem obejść. Z ramienia zwisała jej płócienna torba, taka typu zakupowego. Gęste, ciemne włosy zaplotła z tyłu w luźny warkocz i nawet w kaloszach, starych dzinsach i czerwonej nieprzemakalnej kurtce prezentowała się świetnie.

Zatrzymała się naprzeciwko mnie, patrząc z zaskoczeniem ponad wodą.

– Nie spodziewałam się tu pana spotkać.

– Byłem... Pomyślałem, że pójdę na spacer. – Zdając sobie sprawę, jak dziwnie muszę wyglądać, uniosłem złamane wiosło. – Pożyczyłem je z hangaru.

– Widzę. – Przeniosła spojrzenie na łódzkę. – Wybrał się pan na piknik?

– Eee, nie. Wiem, że wygląda to dziwnie...

– Ależ skąd. Jestem pewna, że złamane wiosło okaże się bardzo przydatne.

– Powiedziała to z kamienną twarzą, przez co poczułem się jeszcze bardziej głupio.

– Nie mam zamiaru pytać, co pan robi. To nie mój interes i jestem pewna, że ma pan dobry powód, żeby tu być. Czy jest pan jednak pewien, że da sobie radę? Ostatnim razem wyglądał pan okropnie.

– Czuję się o wiele lepiej – odparłem.

W zielonych oczach malował się sceptycyzm.

– Mam nadzieję, że pan wie, co robi. Za mniej więcej godzinę będzie wysoka woda i nie radziłabym spacerować tu w tym czasie. Jeżeli myśli pan, że teraz jest to paskudne miejsce, to proszę poczekać na przyływ.

Spojrzałem na jej kalosze i torbę, nie mając pewności, czy pomysł, który przyszedł mi do głowy, jest dobry czy zły.

– Jak dobrze zna pani okolicę?

– Wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, których jej części unikać. – Zmarszczyła brwi. – Bo co?

– Usiłuję znaleźć drogę do miejsca, gdzie doszedłem wczoraj. Nie było to daleko od waszego domu, pomyślałem więc, że idąc wzdłuż strumienia, zdołam tam dotrzeć. – Wzruszyłem ramionami. – Okazało się, że to nie takie łatwe.

– Witamy w Backwaters – powiedziała. Wydało mi się, że dostrzegam cień uśmiechu, lecz może tylko wyobraziłem go sobie. – A gdzie chciałby pan dotrzeć?

– Nie wiem dokładnie. Osypał się tam brzeg, a w mule leżała zatopiona łódź...

– W pobliżu uschniętej wierzby? Wiem, gdzie to jest. Niedaleko, ale jeżeli się nie wie, jak tam dojść, łatwo zablądzić, a to naprawdę kiepski pomysł, kiedy

wraca przyływ. Jeżeli wczoraj znalazł pan to miejsce, idąc od Creek House, czy nie lepiej byłoby poczekać, a potem spróbować z tamtego punktu wyjścia?

Pewnie tak, tylko że gdybym dłużej czekał, zniknęłyby wszelkie szanse na znalezienie tego, czego szukałem.

– Nie bardzo. Może mi pani wskazać drogę?

– Stąd? – W jej głosie zabrzmiała irytacja. – Nie jest pan w okolicy, gdzie można po prostu iść na spacer. Myślałam, że wczoraj to do pana dotarło.

Starąłem się opanować.

– Gdyby sprawa nie była ważna, tobym tego nie robił.

Pokręciła głową, albo pod wpływem frustracji, albo z podziwu dla mojej głupoty.

– Czy ma to coś wspólnego z moją siostrą? – zapytała nagle.

Dobre pytanie i odpowiedziałem dopiero po sekundzie lub dwóch.

– O ile wiem, nie.

Tylko tyle mogłem jej wyjaśnić. Sam zresztą wiedziałem niewiele i wszystko mogło się okazać wielką stratą czasu. Niemniej tak czy owak musiałem się dowiedzieć.

Rachel popatrzyła na słone mokradła, odsuwając z twarzy kosmyk włosów.

– Dobrze – oświadczyła po chwili. – Zaprowadzę pana.

\* \* \*

Szliśmy po przeciwnych brzegach kanału do miejsca, w którym się zwięzał. Był wciąż zbyt szeroki, żeby go przeskoczyć, ale przerzucone przez niego grube, omszałe deski tworzyły coś w rodzaju prowizorycznej kładki. Kiedy przechybotąłem się na drugą stronę, Rachel pewnym krokiem ruszyła z powrotem w kierunku strumienia. Nie było widocznej ścieżki, ona jednak wyraźnie nie miała problemu z wynajdywaniem drogi przez gęstą roślinność pokrywającą tę część mokradeł niczym zielony dywan.

Początkowo szliśmy w milczeniu. Właściwie nie było to niezręczne, przypominało bardziej szukanie bezpiecznego tematu do rozmowy. Rachel przerwała je pierwsza.

– I jak hangar?

– Świetny. Podoba mi się, bardzo fajne miejsce.

– Dzięki. Jeszcze nie jest całkowicie skończony. Wciąż zostało mi do zrobienia trochę różnych prac, zanim będzie można go wynająć na lato.

– Sama pani wszystko robi?

Wzruszyła ramionami.

– Dzięki temu mam zajęcie. Większość wykonano, zanim... zanim tu przyjechałam – lekko się zająknęła, ciągnęła jednak dalej. – Andrew jest architektem, zajął się sprawami konstrukcyjnymi, a moja siostra sporządziła projekty wnętrza. Wzięli podwykonawców do wszystkich większych prac,

pozostała więc tylko sprawa wykończenia. Kilka maźnięć pędzlem tu i tam, obrazy do zawieszenia. Takie rzeczy.

Trask powiedział, że zbudował Creek House dla żony, lecz nie wiedziałem, że jest architektem.

– Obejrzałem zdjęcia pani siostry. Mam nadzieję, że nie zrobiłem nic niewłaściwego.

– Po to są. Albo będą, kiedy je powieszę. Oprócz kilku starych, takich jak motocykl czy autoportret, wszystkie zrobiono w tej okolicy. Pojawił się pomysł, żeby sprzedawać je ludziom wynajmującym hangar, dlatego wszystkie są do kupienia. No, poza autoportretem. Miałam zamiar go zabrać. – W jej głosie zabrzmiała cierpka nuta. – Chociaż Emma nie miałyby nic przeciwko temu.

Dezaprobata sprawiała wrażenie podświadomej, lecz napomknienie o siostrze dało mi szansę na przejście do sprawy, którą chciałem poruszyć.

– Wie pani, co do wczorajszego dnia, to przepraszam, powinienem się zorientować...

– Niech się pan nie przejmuj. Zresztą to ja właściwie powinnam przeprosić, że tak dałam się panu we znaki. Poczułam się świniowato, kiedy okazało się, że pan nie... no wie pan.

– Nie symuluję?

Jej grymas był tylko częściowo udawany.

– No tak, coś w tym stylu. A mówiąc poważnie, jest pan pewien, że dobrze się czuje? Gdyby chciał pan odpocząć, to możemy zrobić postój.

– Nie, wszystko gra.

Usiłowałem powiedzieć to z przekonaniem, którego tak do końca nie miałem. Marsz po mokradłach dawał się we znaki, mięśnie nóg zaczynały protestować i na kilka minut chętnie odstawiłbym lodówkę. Nie przyznałbym się jednak do tego, nawet gdybyśmy mieli czas. Wczoraj zrobiłem wystarczająco kiepskie wrażenie.

– A więc był pan lekarzem rodzinnym? Dlaczego zmienił pan zajęcie? – zapytała.

Nie była to sprawa, w którą chciałbym się wgłębiać.

– Długa historia. Powiedzmy tylko, że jestem lepszy w tym, co robię teraz.

– A czy mogę chociaż zapytać, co się stało z pańską śledzioną? Stracił ją pan w wyniku wypadku samochodowego czy jakoś inaczej?

Wolałbym uniknąć i tego tematu, lecz gdybym nadal wykręcał się od odpowiedzi, mogłaby uznać, że ją splawiam, a tego nie chciałem. Usiłowałem coś wymyślić, by nie wypaść zbyt dramatycznie, aż w końcu uznałem, że najlepiej powiedzieć zwyczajnie, jak było.

– Dostałem nożem.

– Ta, jasne. – Cierpki grymas zniknął z twarzy Rachel, gdy spojrzała mi



w oczy. – Boże, pan nie żartuje?

Wydawała się autentycznie wstrząśnięta. Nie zamierzałem wdawać się w szczegóły, ale nagle stwierdziłem, że opowiadam jej o Grace Strachan. Jak zostałem włączony w sprawę, kiedy pozostawiła po sobie krwawy ślad na małej wyspie Hebrydów Zewnętrznych, i omal sam nie padłem jej ofiarą, gdy pewnego dnia zaatakowała mnie na progu mojego mieszkania w Londynie. Rachel słuchała, coraz bardziej marszcząc brwi.

– Po prostu przysłała do pańskiego domu i pchnęła nożem?! – zawołała po wysłuchaniu historii do końca. – Boże, co za suka!

Chciałem powiedzieć, że Grace była zaburzoną psychicznie ofiarą przemocy seksualnej, pomyślałem jednak, że nie warto.

– Pani tak mówi – skwitowałem krótko.

– Złapali ją, prawda? Siedzi w więzieniu?

– Nie. Ale od tamtej pory niczego nie próbowała. Policja uważa, że pewnie nie żyje. – Starczy tego, pora zmienić temat. – A co z panią? Nie mówi pani jak ktoś stąd.

– Pochodzę z Bristolu, ale zanim tu przyjechałam, mieszkałam w Australii.

– I co tam pani robiła?

Wzruszyła lekceważąco ramionami.

– Jestem biologiem morza. Badałam skutki zanieczyszczenia Wielkiej Rify Koralowej odpadami z tworzyw sztucznych, lecz obecnie jestem na swego rodzaju bezterminowym urlopie naukowym.

Zatrzymałem się, żeby wyszarpnąć but z zamulonej płataniny trawy bagiennej.

– Przyjazd tutaj musiał być sporą odmianą.

– Nie większą niż przemiana lekarza w antropologa sądowego – odparowała.

– Backwaters wcale nie jest takie złe. Lubię spokój i ciszę, a z punktu widzenia biologii morza to dość ciekawe miejsce. Oczywiście nie tak egzotyczne jak rafa i skłamałabym, mówiąc, że nie tęsknię za słońcem. Ale jest coś w tym miejscu. Ekosystemy są równie złożone jak wszystkie spotykane na rafie, są tylko nieco bardziej...

– Zamulone? – podsunąłem.

Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy zobaczyłem jej prawdziwy uśmiech, taki rozjaśniający twarz.

– Zdecydowanie. Nakładanie się na siebie ekosystemów wody słodkiej i morskiej jest naprawdę fascynujące. I nie chodzi tylko o kraby i małże. W ujście często wpływają fok, niekiedy aż do Creek House. Słyszał je pan tej nocy?

Nie słyszałem niczego od chwili pójścia do łóżka.

– Nie sądzę.

– Gdyby pan słyszał, toby zapamiętał. To hałaśliwe draństwo, nie sposób

zapomnieć ich odgłosów. Brzmiały jak pijane labradory. No i są też węgorze.

– Węgorze...

Zerknęła na mnie z rozbawieniem.

– Wiem, mają kiepską prasę. Ale są naprawdę unikalne, a wciąż niewiele o nich wiemy. Wie pan, że wszystkie wracają do Morza Sargassowego, by złożyć ikrę?

Popatrzyłem na nią, usiłując zorientować się, czy mówi poważnie.

– To prawda! – zapaliła się do tematu. – Każdy węgorz, którego się tu znajdzie, wylągl się w Morzu Sargassowym na Atlantyku, niedaleko Ameryki Północnej. Potem młode osobniki migrują dalej, od Europy po Afrykę Północną. Żyją w zalewach albo słodkowodnych akwenach do chwili osiągnięcia dojrzałości, a potem płyną z powrotem do Morza Sargassowego na tarło i cały cykl zaczyna się od nowa. Są niezwyklejmi stworzeniami i ich zbyt intensywne połowy, jakie teraz się prowadzi, są zbrodnią. Obecnie węgorze stały się zagrożonym gatunkiem, bo ich populacja spadła o dziewięćdziesiąt procent, ale nikt...

Przerwała i z zażenowaniem wzruszyła ramionami.

– No i widzi pan, co się dzieje, gdy się mnie podpuści? Jezu, węgorze i majsterkowanie. Jaka rozległość horyzontów.

– Obserwowała pani dziś węgorze? – zapytałem, odsuwając od siebie nagle wspomnienie tej ryby wypełzającej ze zmasakrowanych ust Leo Villiersa.

– Nie, chciałam trochę się przewietrzyć i pomyślałam, że zajmę się zbieractwem. – Otworzyła torbę i pokazała mi kilka pasemek lśniących wilgocią roślin. – Trochę za wcześnie na koper morski, lecz można go już znaleźć, jeżeli się wie, gdzie szukać. Rosną tu najrozmaitsze glony jadalne, są omułki, małże, kraby. W Backwaters jedno jest pewne. Nie umrze się tu z głodu.

Zatrzymała się i rozejrzała naokoło.

– W każdym razie lepiej przestanę pana zanudzać. Jesteśmy na miejscu.

Byłem tak pochłonięty naszą rozmową, że nie zwróciłem uwagi, gdzie się znaleźliśmy. A nieco przed nami butwiejące szczątki łodzi sterczały ze strumienia jak żebra wielkiej klatki piersiowej, za nimi zaś widniał sękaty pień wierzby, której martwe gałęzie przesuwwały się po wodzie.

– O to chodziło? – spytała Rachel.

Kiwnąłem głową.

– Dzięki za pomoc. Teraz już dam sobie radę.

Wyraźnie tego się nie spodziewała.

– A jak znajdzie pan drogę z powrotem?

– Poradzę sobie.

Wiedziałem, jak z tego miejsca wrócić do domu Traska, a stamtąd dotarłbym do hangaru drogą. Albo, co byłoby lepszym rozwiązaniem, jeżeli Jamie skończył naprawiać mój samochód, pojechałbym nim. Znowu zaczynałem czuć się

wykończony i nie chciałem ryzykować nawrotu. Poza tym byłoby lepiej, gdybym przy tym, co zamierzałem teraz zrobić, był sam, jeżeli bowiem znajdę to, czego szukam, Rachel raczej nie będzie się cieszyła, że tu jest.

Ona jednak miała inną koncepcję.

– Wie pan, że jeżeli coś było tu wczoraj, to nie znaczy, że jeszcze jest dzisiaj? Czegokolwiek pan szuka, jeżeli mogło unosić się na wodzie, zostało stąd uniesione Bóg wie gdzie.

Nie musiała mi przypominać.

– Wiem.

Rachel spoglądała na mnie z irytacją.

– Głupota. Gdyby mi pan powiedział, czego szuka, mogłabym pomóc znaleźć. Nie jestem idiotką. Wiem, że będzie to coś makabrycznego, lecz widziałam ataki rekinów i nie musi się pan martwić, że zwymiotuję albo zemdleję. I domyślam się, że ponieważ jest tu pan sam, a nie razem z policją, wciąż nie ma pan pewności, czy widział pan coś ważnego, czy nie.

– Nie, ale...

– Proszę posłuchać. Przez ostatnie kilka miesięcy dostawałam fioła, bo nie mogłam nic zrobić. Już pan mówił, że nie ma to nic wspólnego z Emmą, a więc jest możliwość, że wiąże się z Leo Villiersem. I jeżeli uważa pan, że może mnie zmartwić znalezienie jakiegoś kawałka tego skurwysyna, to zupełnie mnie pan nie zna.

Na jej policzkach wykwitły rumieńce, jak wczoraj, kiedy też się rozzłościła. Zdaje się, że to ja tak na nią wpływałem.

– Szukam adidasa – wyjaśniłem.

Patrzyła na mnie przez chwilę.

– No dobrze. Cóż, jestem rozzarowana.

Miałem nadzieję, że rzeczywiście. Na samo wspomnienie ogarniała mnie irytacja na moją głupotę. Wczoraj po południu stałem na brzegu tuż koło tego adidasa i patrzyłem, jak unosi się na wodzie razem z innymi śmieciami porwanymi prądem strumienia. Wtedy jednak za bardzo się martwiłem, że nie zdążę na sekcję, aby uświadomić sobie, co mam przed oczami.

Prawdę mówiąc, mogło to nie być nic ważnego, tylko stary adidas. Niemniej nie uzyskam pewności, dopóki go nie znajdę, i tu Rachel miała rację. Czy mi się to podoba, czy nie, nie miałem żadnego pojęcia o wodach Backwaters. Jeżeli chciałem mieć jakąś szansę odnalezienia buta, będę potrzebował jej pomocy.

– Co w nim takiego szczególnego? – zapytała, gdy szliśmy ku odcinkowi brzegu, na którym byłem wczoraj. – A może po prostu zbiera pan stare adidasy?

– Nie robię tego dla przyjemności. Jakiś czas temu była pewna sprawa w Kolumbii Brytyjskiej – zacząłem wyjaśniać. – Na odcinku wybrzeża morze wyrzucało obuwie. Sporo, może z tuzin w czasie mniej więcej pięciu lat. Były tam

trzewiki i temu podobne, ale przede wszystkim adidas. I we wszystkich nadal znajdowały się stopy.

Rachel się skrzywiła, niemniej nie wydawała się wstrząśnięta. – Milusie. I co to było, seryjny zabójca?

– Początkowo policja myślała, że właśnie tak albo że mogą to być szczątki ofiar tsunami w Azji. Okazało się jednak, że większość obuwia należała do ludzi, którzy skoczyli lub spadli z pewnego mostu w Vancouver. Ich zwłoki uniosło na morze i...

– I stopy odpadły – kiwnęła głową Rachel. Jako biolog morza wiedziała lepiej niż większość ludzi o wpływie wody. – A dlaczego nie zatonęły?

– Ponieważ miały wypełnione powietrzem gumowe podeszwy. – Zatrzymałem się, by otrzeć czoło. Ciało dawało mi do zrozumienia, że przesadzam, ale byliśmy już prawie na miejscu. – Żelówki nadawały im pływalność, a przyszwycy uniemożliwiały padlinożercom dotarcie do nich. Dryfowały setki mil, zanim prądy morskie wyrzuciły je na ten sam kawałek wybrzeża.

– I uważa pan, że w tym bucie nadal może być stopa Leo Villiersa?

Bardzo uważałem, aby nie wspomnieć o Villiersie ani jej siostrze, lecz Rachel nie była głupia.

– Nie wiem – przyznałem. – Równie dobrze może być to wyrzucony przez kogoś stary adidas. Ale rozmiar wyglądał na męski.

Normalnie nie wyciągałbym tak pochopnych wniosków – stopa kobiety może być równie duża jak mężczyzny. Nie było to jednak częste zjawisko i chociaż nie zwróciłem szczególnej uwagi na but, zapamiętałem, że był spory. O ile Emma Derby nie miała wyjątkowo dużych stóp, nie mógł należeć do niej i chciałem uspokoić Rachel, nie robiąc tego zbyt ostentacyjnie.

Od razu przejrzała moje zamiary i je uprzedziła.

– Proszę się nie martwić, moja siostrzyczka nie była kimś, kto używałby adidasów. Dobrze pływała, a gdyby biegła, zapewne nawet to robiłaby na wysokich obcasach.

Znowu w jej głosie pojawiła się nutka dezaprobaty, lecz nie miałem czasu zastanawiać się nad jej stosunkami z siostrą. Dotarliśmy do brzegu strumienia. Poziom wody był niższy niż poprzednio, ale wypłukana łukowata wyrwa pozostała taka sama. Pływały w niej kawałki drewna, plastikowe butelki i inne śmieci, dostrzegłem nawet tę samą co wczoraj głowę lalki.

Ale nie adidas.

– Jest pan pewien, że był tutaj? – zapytała z powątpiewaniem Rachel.

– Tak.

Popatrzyłem na mulisty skraj wody. Chociaż wiedziałem, że szansa, aby but wciąż się tu znajdował, była niewielka, bo szybko poruszający się przyływ

zapewne od tej pory poniósł go gdzieś dalej, poczułem przykre rozczarowanie. Ogarnęła mnie fala zmęczenia i gdyby nie było tu Rachel, zapewne klapnąłbym na lodówkę, żeby odpocząć.

– Zapewne pływ poniósł go w stronę ujścia, a nie w głąb łądu – odezwała się, marszcząc czoło. – Dalej zapadł się fragment brzegu. Może tam utknął.

Idąc brzegiem, nie rozmawialiśmy. Znowu zaczynałem czuć osłabienie. Najrozsądniej byłoby dać sobie spokój na dzisiaj, ale nie miałem takiego zamiaru. Po mniej więcej dziesięciu minutach doszliśmy do miejsca, gdzie brzeg się osypał, częściowo przegradzając koryto. Rachel zwolniła.

– To tutaj – oznajmiła. – Jeżeli tu go nie ma, może być wszędzie.

Mój optymizm zanikał razem z energią. Jeszcze nie zacząłem opieprzać się za zaprzepaszczenie szansy na zbadanie buta wtedy, gdy ujrzałem go po raz pierwszy, kiedy Rachel wyciągnęła rękę.

– A to tam to co?

Kiedy brzeg się zapadał, do strumienia osunął się też niewielki krzak. Splątane gałęzie pokryły trawy i zielska, a teraz zobaczyłem także zaczepione o nie coś jasnego. Adidas pływający na boku.

– To ten? – W głosie Rachel zabrzmiało podniecenie.

– Chyba tak.

O ile w pobliżu siebie nie pływały dwa, co było możliwe, ale mało prawdopodobne. Gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem, że to prawy but. Znajdował się w odległości zaledwie kilku stóp, zaczepiony o rozczapierzone gałęzie i obrócony ku nam podeszwą. Gdybym miał wodery, wydobyłbym go bez trudu, ale tak było to trudniejsze. Odstawiłem lodówkę i ostrożnie podszedłem do miejsca obsunięcia się brzegu. Buty zagłębiły mi się w piaszczystym mule, kiedy usiłowałem dosięgnąć adidasa piórem wiosła. Plusnęło w wodę tuż przed celem. Przysunąłem się nieco bliżej krawędzi.

– Niech się pan złapie.

Rachel podawała mi dłoń. Kiedy ją ująłem, była ciepła i sucha. Zacisnęła uchwyt, odchylając się do tyłu, żeby mnie utrzymać. Sięgnąłem wiosłem i znowu chybiłem, teraz tylko o włos. Następnym razem pióro zahaczyło o adidas, odsuwając go od gałęzi i kierując w stronę brzegu.

Przyciągnąłem but do siebie, Rachel puściła moją dłoń, ja zaś próbowałem nie zwracać uwagi na nagły brak ciepłego dotyku.

– Nie chciałabym psuć panu humoru, ale on nie wygląda na coś, w czym można by było zobaczyć Leo Villiersa za życia – powiedziała.

Pomyślałem to samo. Pokryty warstwą mułu adidas sprawiał wrażenie taniego i masywnego, zaprojektowanego bardziej z myślą o szpanowaniu na ulicy niż uprawianiu sportu. Nie pasował do mojego obrazu Villiersa, człowieka, który nosił ubrania szyte na miarę u krawców z St James i miał wykonaną na zamówienie

dubeltówkę wartą niewielką fortunę.

– Fioletowa skarpetka? – zapytała Rachel, pochylając się nad moim ramieniem, aby lepiej zobaczyć. – Na pewno nie Leo Villiersa.

Chociaż wiedziałem przez cały czas, że pewnie nic to nie da, poczucie zawodu odebrało mi resztki energii. Miałem właśnie pozwolić adidasowi odpłynąć, kiedy uświadomiłem sobie, że w wyrzuconym bucie nie byłoby skarpetki. I zauważyłem coś jeszcze.

Przesiąknięte wodą sznurowadła były zawiązane.

– Może wolałaby pani odejść – ostrzegłem. Ale było już za późno. Trącony adidas się obrócił, ukazując nam swoje wnętrze.

Znajdowała się w nim na wpół przesłonięta jaskrawą skarpetką blada kość i chrząstki kostki.

## Rozdział 10

– Powinien mnie pan wezwać.

W głosie Lundy’ego brzmiał raczej wyrzut, nie gniew. Byliśmy w aneksie kuchennym hangaru, kubki nietkniętej herbaty stały na blacie. Był ubrany bardziej elegancko niż poprzednio i zastanawiałem się, czy mój telefon nie zepsuł mu weekendu.

– I co mógłbym panu powiedzieć? – spytałem ze znużeniem. – Przecież mógł to być po prostu stary adidas. Chciałem tylko uspokoić sumienie. Zresztą i tak nie było dość czasu przed następnym przyływem, aby zorganizować poszukiwania.

Parsknął z niechęcią.

– Szkoda, że wczoraj nie pomyślał pan, żeby się tam rozejrzeć.

Dobrze o tym wiem, zirytowałem się w myśli. Kiedy tylko zobaczyłem, co tkwi w adidasie, stanąłem w obliczu trudnego wyboru. Chociaż bardzo nie chciałem się tym zająć – to była robota dla technika kryminalistycznego – przyływ wypełniał strumień w zastraszającym tempie. Gdybym nie zabrał go szybko, zrobiłaby to woda i nie chciałem ryzykować, że utracę go znowu.

W rezultacie, po zbadaniu sytuacji, użyłem worka na śmieci, aby wyjąć but, a potem wyrzuciłem worek na drugą stronę, zamykając go w środku. W tym miejscu nie miałem zasięgu i dopiero po powrocie do hangaru mogłem zadzwonić do Lundy’ego.

Inspektor był zaskoczony moim telefonem, a zwłaszcza wyjaśnieniem, gdzie się zatrzymałem. Trask widocznie nie wspomniał mu o tym w czasie wcześniejszej rozmowy, lecz jedynym komentarzem Lundy’ego było poirytowane sapnięcie. Powiedział, że zaraz będzie, i dodał, że powinienem zostać na miejscu.

I tak nigdzie się nie wybierałem. Wędrówka po mokradłach wiele mnie kosztowała i kiedy razem z Rachel dotarliśmy do hangaru, czułem się wykończony. Podczas gdy ona robiła herbatę, włożyłem zamrożone wcześniej pakiety z lodem do plastikowej torby, całość umieściłem w lodówce turystycznej i z ulgą opadłem na fotel. Widziałem, że Rachel chce mnie zapytać o znalezisko, ale się powstrzymała. I bardzo dobrze – i tak nie mógłbym jej nic powiedzieć.

Sam miałem więcej pytań niż odpowiedzi.

Lundy przyjechał nadspodziewanie szybko, przywożąc ze sobą dwójkę techników kryminalistycznych. Został ze mną, a Rachel zabrała ich na miejsce, gdzie znaleźliśmy adidas. Nie zaproponowałem im swojego towarzystwa, wiedząc, że już zmęczyłem się bardziej, niż powinienem, a zresztą przyływ i tak uniemożliwiłby ponowne przejście wzdłuż strumienia. Rachel powiedziała, że jest odcinek drogi biegnący wystarczająco blisko fragmentu strumienia, w którym

pływał adidas, aby mogli do niego dotrzeć, i cała trójka wyruszyła samochodem techników, zabierając ze sobą lodówkę i jej zawartość. Ledwie za nimi drzwi się zamknęły, Lundy odwrócił się do mnie.

– No dobrze, doktorze Hunter – powiedział, krzyżując grube ramiona na piersi. – Mógłby mi pan wyjaśnić, co się dzieje? – Odetchnął głęboko. – Chyba nie muszę mówić, jak niezręczna jest ta sytuacja, prawda? Rodzina Emmy Derby przeszła wystarczająco dużo bez wciągania jej w tę sprawę.

– Gdybym wiedział, że jej mąż nazywa się Trask, mógłbym lepiej się postarać, aby tego uniknąć – odpaliłem. – No dobra, spieprzyłem, przyznaję. Co innego jednak mógłbym zrobić?

Lundy przesunął okulary na czoło i pomasażował grzbiet nosa.

– Cóż, stało się, co się stało. Przynajmniej mamy stopę. Powiedział pan, że ma fotografie znaleźiska?

Nie miałem sposobności skopiować zdjęć zrobionych nad strumieniem do laptopa, odszukałem je więc w aparacie, który mu podałem.

– Będzie pan musiał przesłać mi je mailem – stwierdził Lundy, przeglądając obrazki na małym wyświetlaczu. – Nie robi wrażenia odciętej, prawda?

– Z tego, co mogłem zobaczyć, to nie.

Dobrze wiedziałem, że nie powinienem bezpośrednio badać znalezionej stopy, lecz teraz, powiększając fotografie na wyświetlaczu aparatu, mogłem zobaczyć ją dokładniej. W brudnej fioletowej skarpetce widać było kształt kości skokowej. Ryby, kraby i ptaki oczyściły ją z większości chrząstek, do których były w stanie się dostać, lecz kilka poszarpanych strzępków nadal zwisało z odsłoniętej kości. Poza drobnymi ubytkami spowodowanymi przez padlinożerców samo jej wgłębione lico było gładkie, bez żadnych widocznych śladów cięcia lub złamań spowodowanych przez czynniki zewnętrzne. Nawet widząc tak niewiele, byłem pewny, że stopa oddzieliła się w naturalny sposób, gdy tkanka łączna uległa rozkładowi.

Było to mniej więcej wszystko, co do czego miałem pewność.

– Wygląda na zbyt wielką jak na kobietę – orzekł Lundy, przesuważąc kolejną fotografię. – Sprawdził pan może, jaki to rozmiar?

– Nie, uznałem, że lepiej ją od razu zapakować i włożyć do lodówki. Wygląda na mniej więcej dziesiątkę, lecz to tylko przypuszczenie.

Jeżeli miało to coś znaczyć w sprawie, nie dał tego po sobie poznać.

– Ma pan jakąś koncepcję, jak długo mogła znajdować się w wodzie?

– Żadnej, poza oczywistą. Wystarczająco długo, by oddzieliła się od goleni, czyli o tej porze roku powiedzmy kilka tygodni. Bez zbadania nic więcej nie mogę stwierdzić.

– Czyli w przybliżeniu tyle samo czasu co znalezione wczoraj zwłoki.

– But osłaniał stopę, mogło więc to trwać trochę dłużej. Ale zapewne tak.



– I nie było nigdzie drugiej stopy? – Tylko spojrzałem na niego. Westchnął.  
– No dobra, cofam pytanie.

Gdyby tam była, już bym o tym powiedział. Stopy i dłonie nie odpadają w tym samym czasie i byłoby zupełnym przypadkiem, gdyby znalazły się w tym samym miejscu.

Lundy wrócił do zdjęcia, na którym widać było cały but. Wpatrywał się w nie z zaciśniętymi wargami.

– Pan to powie czy ja? – zapytałem.

Uśmiechnął się.

– Co?

– Z tego, co słyszałem o Leo Villiersie, to nie wygląda na obuwie, które by nosił.

– Co nie znaczy, że tego nie robił. Ludzie trzymają w szafach najprzedziwniejsze rzeczy.

– Fioletowe skarpetki?

– Przyznaję, że nie jest to rodzaj konfekcji, którą kojarzyłbym z Villiersem, ale mnie tam już nic nie zdziwi. Wciąż usiłujemy przekonać jego ojca, żeby przekazał dokumentację medyczną Leo, więc dopóki tak się nie stanie, równie dobrze możemy przyjąć, że był daltonistą. Poza tym nikt nie wie, w co był ubrany, kiedy zaginął. Nie pozwolono nam przeszukać domu, nie możemy więc stwierdzić, jakie rzeczy mogłyby tam być.

– Nie pozwolono? – spytałem zdziwiony. Nieudostępnianie medycznych danych, zanim ktoś został oficjalnie uznany za zmarłego, to jedno, ale nie mogłem zrozumieć, jak ktoś, kimkolwiek by był, mógł zabronić policji dokonania przeszukania. – A co ze sprawą zaginięcia Emmy Derby?

– Nie mieliśmy dość dowodów, by uzyskać nakaz. – Potrząsnął głową, zirytowany wspomnieniami. – Rzucili się na nas prawnicy jego ojca. Przeprowadziliśmy pobieżne przeszukanie po zgłoszeniu jego zaginięcia, aby upewnić się, czy nie leży martwy w jakimś nieużywanym pokoju albo gdzieś indziej. Nie mogli nam tego odmówić, najwyraźniej jednak ktoś do tamtej pory już dokładnie sprawdził dom. Gospodyni wyjaśniła, że posprzątała, zanim zdała sobie sprawę ze zniknięcia Leo, ale ktoś wyczyścił dom od strychu po piwnice.

– Czy coś takiego nie nazywa się utrudnianiem śledztwa?

Lundy wyjął z kieszeni nowe opakowanie tabletek na nadkwasotę i zaczął wyciskać je z plastiku. – Nie było niczego, co moglibyśmy komuś skutecznie zarzucić. Właściwie nie mieliśmy pojęcia, czego szukamy, może poza zwłokami Emmy Derby, nie mogliśmy zatem nikogo oskarżyć o niszczenie dowodów rzeczowych. Ale wracając do tematu, to tak po prawdzie nie wiemy wystarczająco dużo o Leo Villiersie, by twierdzić, że nie miał tanich adidasów i fioletowych skarpetek. Jeżeli zamierzał odstrzelić sobie głowę z dubeltówki, pewnie nie

przejmował się zbyt tym, co ma na stopach.

Zabrzmiało to tak, jakby usiłował przekonać sam siebie.

– Również z tego nie jest pan zadowolony, prawda? – powiedziałem.

– To bez znaczenia. – Rozgryzł z chrzęstem tabletki, jak gdyby wyrzucając to z siebie. – Szczerze mówiąc, wolę sądzić, że Villiers junior miał niesprecyzowany gust w kwestii obuwia, bo inaczej oznaczałoby to, że mamy gdzieś kolejne zwłoki bez stóp.

Istniała taka możliwość, lecz obecna chwila nie była najlepsza na jej zgłębianie. Miałem pewność, że Lundy też tak myśli.

– Kiedy Frears zamierza zbadać stopę? – zapytałem. – Chętnie bym sam na nią spojrział.

Lundy nagle zaczął sprawiać wrażenie skrępowanego.

– Dziękuję za propozycję, lecz raczej nie ma takiej potrzeby.

Usiłowałem ukryć rozczarowanie. Miałem nadzieję, że poproszą mnie o dokonanie jej oględzin. Nie dowiedzielibyśmy się z tego wiele, ale chciałbym mieć możliwość dokonania pomiarów i osobiście ocenić stan stawów. No i przy okazji, będąc w prosektorium, mógłbym, choć z opóźnieniem, spojrzeć na zwłoki, które odzyskaliśmy. Nieobecność podczas sekcji wciąż mi dokuczała. Nawet gdybym nie zdołał uzupełnić ustaleń patologa, przynajmniej mógłbym się przekonać, czy zrobiłem wszystko, co należy.

Teraz ta szansa zniknęła.

– Widzę, że Clarke jest na mnie zła – stwierdziłem.

Lundy westchnął.

– I bez tego sprawa jest wystarczająco skomplikowana. Inspektor naczelna nie chce żadnych dodatkowych problemów.

– A niby w jaki sposób umożliwienie mi zbadania stopy mogłoby ją skomplikować?

– Cóż, nie tylko nie był pan na sekcji, ale dodatkowo stał się pan gościem rodziny zaginionej kobiety i wziął pan jej siostrę na poszukiwania zagubionej części ciała. Nieźle jak na dwadzieścia cztery godziny, prawda?

W takiej interpretacji nie wyglądało to dobrze, ale obaj wiedzieliśmy, że to uczciwe przedstawienie sprawy.

– Pomijając fakt, że nie wiedziałem, kim są, już wcześniej oświadczył mi pan, że zostałem wyłączony z dochodzenia, zanim jeszcze pomyślałem, żeby się tu zatrzymać.

– Wiem. I bez pana nie znaleźlibyśmy tej stopy. Nie podważam tego. Szefowa jednak tak zdecydowała, więc... – Rozłożył ręce. – Śmiem twierdzić, że zmieni zdanie, kiedy się uspokoi. W przyszłości będą inne dochodzenia. Najlepszą rzeczą, jaką może pan teraz zrobić, to starać się nie zwracać na siebie uwagi.

Gdybym starał się być bardziej niezauważalny, chyba przestałbym istnieć.

Niemniej Lundy miał rację i antagonizowanie jego starszego oficera dochodzeniowego w niczym by nie pomogło.

Komisarz wypił łyk herbaty, zamykając temat.

– Jak długo ma pan zamiar tu zostać? – zapytał, odstawiając kubek.

– Wyjadę, gdy tylko mój samochód będzie gotów. – Spojrzałem na niego, unosząc brwi. – Czy to jakaś sugestia?

Zachichotał.

– Nie. Tylko uprzejma pogawędka. Szczerze mówiąc, dziwię się, że Trask w ogóle pozwolił się panu tu zatrzymać. Czy w ogóle próbował rozmawiać o tej sprawie?

Teraz zaczęliśmy dochodzić do sedna.

– Nie. Powiedziałem wyraźnie, że nie będę o niej mówił, i to jeszcze zanim dowiedziałem się, kim jest.

– No to pytał o nią czy nie?

– A pan by nie zapytał? – Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzałem. Poszukiwania stopy nie tylko mnie wymęczyły, lecz też poirytowały. Westchnąłem, przypominając sobie, że Lundy tylko wykonuje swoją pracę. – Myślałem, że lubuje się w makabrze, ale nawet gdybym wiedział, że Emma Derby była jego żoną, i tak nic bym nie powiedział. Sam pan dobrze o tym wie.

Lundy sprawiał wrażenie, że go to zadowoliło.

– No i dobrze, nie jestem jednak pewien, czy częściowo nie z tego powodu zgodził się wynająć panu ten dom. Wie pan, że to był ulubiony projekt jego żony? I jeszcze to nakłonienie syna do naprawienia panu samochodu. Istna ofensywa dobrej woli. Nigdy nie był zadowolony ze sposobu, w jaki prowadzimy sprawę, mógł więc pomyśleć, że nie zaszkodzi mieć po swojej stronie życzliwego konsultanta policji.

Nie uważałem, by określenie „dobra wola” pasowało do sposobu bycia Traska.

– Mam wrażenie, że niezbyt go pan lubi.

Lundy, marszcząc czoło, spoglądał w kubek. Przypomniałem sobie, że już nie uczestniczę w sprawie, nie mam więc prawa go wypytywać. Inspektor jednak po chwili wzruszył ramionami i wyjaśnił:

– Nie chodzi o to, czy go lubię, czy nie. Może być zgryźliwym sukinsynem, ale trudno nie współczuć jemu i rodzinie. W ostatnim roku mieli paskudny okres. Jakby nie wystarczyło, że jego żona zaginęła, to jeszcze okazało się, że miała romans... – Pokręcił głową. – Tę rodzinę prześladował paskudny pech. Pierwsza żona Traska zmarła wkrótce po urodzeniu dziewczynki, jakieś komplikacje poporodowe. Musiał sam wychowywać niemowlaka i młodego chłopca, a to nie mogło być łatwe. Potem spotyka wystrzałową młodą kobietę, taką w londyńskim typie, która sama wygrzebuje się z kłopotów, żeni się z nią i sprowadza ją na to

zadupie świata, że się tak z francuska wyrażę. Bóg raczy wiedzieć, co każde z nich myślało, trudno jednak zrozumieć, jak to w ogóle mogło działać.

– Wiedział o romansie z Leo Villiersem, zanim zaginęła?

– Mówi, że domyślał się, że się z kimś spotyka, ale nie wiedział z kim. To wyszło później, kiedy zdobyliśmy billingi połączeń telefonicznych. Było mnóstwo połączeń z numerem Villiersa, które urwały się na kilka dni przed jej zniknięciem. Potem wszystko dość wyraźnie wskazywało na jedno.

– Powiedział pan wczoraj, że w pewnym momencie podejrzewaliście Traska?

Uśmiech Lundy'ego pozbawiony był wesołości.

– Jest mężem, więc był pierwszy na liście. Ale to nie on, bo kiedy zniknęła, był w Danii na konferencji architektonicznej. Już gdy wyjechał, kilku świadków widziało ją albo z nią rozmawiało, a dwa dni później zniknęła z radarów. Jego syn i córka też byli nieobecni, dziewczynka na wycieczce szkolnej, chłopak w internacie, dlatego alarm wszczęto dopiero po jego powrocie pod koniec tygodnia.

Pomyślałem o pięknej i pewnej siebie kobiecie z oprawionej fotografii. Po śmierci Leo Villiersa tylko jakiś nadzwyczajny szczęśliwy przypadek może pozwolić poznać jej los. Śmierć to coś, z czym rodzinie trudno się uporać, ale gdy ktoś kochany po prostu znika, jest jeszcze gorzej. A jeżeli jej zabójca pozbył się ciała w Backwaters, do tej pory nie pozostało z niego nic, co dałoby się rozpoznać. Witalność, próżność, ambicja i wszystko, co czyniło Emmę Derby tym, kim była, dawno już przepadło. Stało się tajemnicą, z którą nawet nie zacząłem się godzić.

– Doktorze Hunter? – zapytał Lundy. – Dobrze się pan czuje?

Wziąłem się w garść. Nie zdawałem sobie sprawy, że odpłynąłem. Byłem bardziej zmęczony, niż sądziłem.

– Przepraszam. Zamyśliłem się.

Dopił herbatę i odstawił kubek.

– No dobra, lepiej sobie pójdę. Tego popołudnia powinienem być na przyjęciu urodzinowym wnuczki. Obiecała mi odłożyć kawałek tortu, lecz nie zapiera mi to tchu w piersiach.

– Dobrze rozumiem. – Uśmiechnąłem się, wspominając przyjęcia urodzinowe mojej córki. – Ile ma lat?

– Cztery, prawdziwa młoda dama. Ma na imię Kelly. Zawsze wie, jak mnie owinać wokół małego palca.

– Ma pan jakieś inne wnuki?

– Jeszcze nie, ale jakiś jest już w drodze. Moja córka Lee, mama Kelly, spodziewa się drugiego. – Pokręcił głową. – Wydaje się, że dopiero co sama zdmuchiwała urodzinowe świece. A pan? Czy pan... eee, czy ma pan jakieś plany po powrocie?

Dobrze wybrnął z sytuacji, ale wiedziałem, o co mu chodziło. Czy ma pan jakieś dzieci? – tak miało brzmieć pytanie. W porę ugryzł się w język, a więc albo dobrze odrobił pracę domową na mój temat, albo ktoś powiedział mu o mojej przeszłości. Zdażyłem się już przyzwycząić do tego pytania i chociaż zawsze było bolesne, już rzadko kiedy mnie zaskakiwało. Lundy wyglądał jednak na zawstydzonego. Jego i tak rumiana twarz zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Nie, nie mam planów – odpowiedziałem, starając się oszczędzić mu zakłopotania.

– Rozumiem. Cóż, jeszcze raz dziękuję. – Wyciągnął do mnie mięsistą dłoń.  
– Bezpiecznej podróży, doktorze Hunter.

\* \* \*

Po wyjściu Lundy’ego wylałem zimną herbatę i zrobiłem nową. Chociaż wciąż czułem się zmęczony, nie miałem dreszczy ani gorączki świadczących, że infekcja się rozwija. Niemniej wizyta inspektora przybiła mnie i przygnębiła. W gruncie rzeczy nie mogłem mieć pretensji do Clarke, że nie chciała, abym wrócił do dochodzenia – jak dotąd raczej nie okryłem się chwałą, lecz mimo wszystko czułem rozczarowanie. Bądź co bądź w jakimś stopniu zrehabilitowałem się, znajdując stopę – bez względu na to, czy w dyskusyjnych okolicznościach, czy nie. Wędrówka na mokradła mogła być nierozsądna, ale przynajmniej wracałem do Londynu z przekonaniem, że zrobiłem coś pożytecznego.

I warto było lepiej poznać Rachel. Miałem wrażenie, że gdy już oczyściliśmy atmosferę, dobrze się dogadujemy i mimo powodu mojej obecności tutaj lubiłem jej towarzystwo. Czułem, że ona odbiera to podobnie. No tak, nic nie pomaga lepiej się z kimś porozumieć niż wspólne znalezienie kawałka zwłok.

Piłem herbatę, siedząc w fotelu przy oknie i patrząc na ptaki pływające po wezbranym strumieniu. Tłumaczyłem sobie, że powinienem zadzwonić i dowiedzieć się, co jest z moim samochodem, uznałem jednak, że sprawa może jeszcze chwilę poczekać. Trask powiedział, że powiadomią mnie, kiedy będzie gotowy, zatem naprzykrzanie się im niczego nie przyspieszy.

Zresztą nie spieszyłem się z powrotem do Londynu. Perspektywa spędzenia końca długiego weekendu w pustym mieszkaniu kompletnie psuła mi humor. Mógłbym zawsze pojechać do Jasona i Anji, lecz byłaby to długa jazda i dotarłbym na miejsce wtedy, kiedy właściwie nie będzie już warto.

Zsunąłem się niżej w fotelu, wyciągając nogi, i patrzyłem, jak na zewnątrz mija popołudnie. Widziałem niewiele o Backwaters, ale podobało mi się tu. Nisko położone słone mokradła i wysokie niebo miały w sobie coś kojącego, skłaniającego do refleksji. Wydawały się bardzo oddalone od zgiełku londyńskiej metropolii, gdzie jedynymi skrawkami zieleni były parki otoczone arteriami komunikacyjnymi. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo uwięzłem w kieracie dojazdów i ruchu drogowego. Hangar łodziowy był dobrym miejscem pobytu

– skromny, lecz ze wszystkim, czego potrzebowałem. Będzie mi żal porzucić ten spokój i ciszę.

Czy tylko dlatego będziesz żałował, że wyjeżdżasz?

Nie zdawałem sobie sprawy, że się zdrzemnąłem, do chwili gdy obudził mnie odgłos samochodu zatrzymującego się przed budynkiem. Usiadłem, pocierając oczy, i spojrzałem na zegarek – odpłynąłem na ponad godzinę. Czułem się jednak lepiej, wciąż zmęczony, ale sprawnie myślący. Pomyślałem, że to pewnie Jamie przyprowadził mój wóz, i poszedłem do wejścia. Po drodze niemal się przewróciłem, zaczepiając stopą o coś pod dywanem. Zakląłem, pokuśtykałem do drzwi i właśnie otwierałem, gdy ktoś w nie zapukał.

Rachel stała na zewnątrz z uniesioną ręką.

– Och – sapnęła, zaskoczona.

– Przepraszam, myślałem, że to Jamie – oznajmiłem i poczułem się jak idiota, kiedy zdałem sobie sprawę, że mówię bez sensu.

– Co z pańską nogą? – zapytała, widząc, że utykam.

Wyprostowałem się, usiłując nie zwracać uwagi na ból w stłuczonych palcach.

– Nic takiego, po prostu zaczepiłem o coś pod dywanem.

– Oj, to moja wina, powinnam pana ostrzec – powiedziała, krzywiąc usta w wyrazie żalu. – W podłodze jest stara kłapa. Uchwyt trochę sterczy i grozi potknięciem. To jedna z tych ostatnich prac, które muszę jeszcze zrobić. Niczego pan nie złamał?

– Nie mogę ręczyć za uchwyt, ale stopa jest w porządku. – Uśmiechnąłem się do niej. Nawet gdyby było inaczej, nie miałem najmniejszego zamiaru się przyznać. – Jak poszło z technikami?

– Doskonale. Nie mieli zbyt wiele do roboty. Po prostu zrobili parę zdjęć miejsca, gdzie znaleźliśmy but, i właściwie na tym skończyli. Później podrzucili mnie do domu.

Zmieniła kalosze na inne buty, ale nadal miała na sobie tę samą czerwoną, nieprzemakalną kurtkę, a pod nią gruby sweter z wysp Aran i dzinsy.

– Może pani wejdzie? – zaproponowałem, cofając się od drzwi.

Pokręciła głową.

– Ja tylko na chwilę. Jadę zabrać Fay od przyjaciół, obiecałam jednak Jamiemu, że zajrzę tu po drodze. Dobra wiadomość jest taka, że pański samochód jest prawie gotowy. Wymienił olej, wszystko rozebrał, a potem wyczyścił i ponoć powinno już być w porządku. Powiedział, że ma pan szczęście, że to nie nowy samochód, bo tamte mają bardziej skomplikowane układy elektryczne i nie byłyby w stanie ich naprawić.

Usiłowałem wykrzesać z siebie demonstracyjny entuzjazm.

– Wspaniale.

– Niech się pan tak jeszcze nie cieszy. Zła wiadomość jest taka, że silnik potrzebuje nowych świec zapłonowych. Jamie ich nie ma, są więc dwie możliwości. Jakies dwadzieścia pięć mil stąd jest duży sklep z częściami samochodowymi, otwarty nawet w długi weekend, a Jamie jest gotów po nie pojechać, ponieważ uważa, że kiedy będzie je miał, uruchomienie samochodu nie zajmie mu wiele czasu. Mam wrażenie, że czuje się głupio, bo nie mógł skończyć pracy.

To nie była jego wina, dlatego nie mogłem się na to zgodzić, bo chłopaka czekałoby pięćdziesiąt mil jazdy tam i z powrotem, co gorsza w niedzielne popołudnie długiego weekendu. Gdy dotrze do bardziej ruchliwych dróg, na pewno natrafi na wzmożony ruch, a po powrocie będzie jeszcze musiał wymienić świece.

– A ta druga możliwość? – zapytałem.

– W Cruckhaven znajduje się stacja benzynowa, na której powinni je mieć. Jest miejscowa i teraz będzie zamknięta. Ale jutro rano ją otworzą i jeżeli nie ma pan nic przeciwko zatrzymaniu się tu na jeszcze jedną noc, Jamie raz-dwa skończy wtedy naprawę.

Byłem już tak pogodzony z myślą o wyjeździe wieczorem, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Bóg mi świadkiem, że po wędrowce po mokradłach nie bardzo czułem się na siłach, aby jechać z powrotem do Londynu, i rozsądnie byłoby odpocząć do jutra. Niemniej jeżeli nawet Clarke nie wściekłyby się do reszty moimi przedłużającymi się kontaktami z rodziną Emmy Derby, dostrzegałem także jeszcze jeden potencjalny problem.

– Ta stacja benzynowa nie nazywa się Coker's, prawda? – zapytałem, przypominając sobie próbę wezwania mechanika.

Rachel spojrzała na mnie czujnie.

– Nie. A dlaczego?

– Nieważne.

Przez chwilę sądziłem, że będzie naciskać, lecz ostatecznie zrezygnowała.

– Decyzja należy do pana, a ja i tak jutro rano jadę do Cruckhaven, mogę więc sama kupić świece, a pan będzie w stanie wyruszyć w porze lunchu. Wszystko zależy od tego, jak bardzo się panu spieszy.

Wcale, pomyślałem, wspominając czekające na mnie puste mieszkanie. Czuję, jak moja determinacja się rozwiewa.

– A co mówi pani szwagier?

– Jest mu obojętne. – Odgarnęła z czoła kosmyk włosów i natychmiast dostrzegłem, jak bardzo podobna jest do siostry. – Nikomu pan tu nie przeszkadza.

Znowu pomyślałem o rozmowie z Lundym. Powiedziałem mu, że zostanę do chwili, gdy mój samochód będzie naprawiony, ale nie mówiłem, kiedy może to nastąpić. Jeżeli Trask nie miał nic przeciwko temu, jeszcze jedna noc nie powinna sprawić szczególnej różnicy.

A poza tym i tak wykopali mnie już z dochodzenia.

– Czy mogę stąd dojść do Cruckhaven? – zapytałem, grając na zwłokę. I tak byłem wystarczającym obciążeniem dla rodziny Traska, nawet bez proszenia Rachel, by kupiła dla mnie świece.

– Tak, ale to prawie godzina drogi, w zależności od pływów. I to nie miałyby większego sensu, skoro i tak się tam wybieram. – Uśmiechnęła się nagle z odrobiną zakłopotania. – Czy poczułby się pan jakoś lepiej, gdyby pojechał ze mną?

Widziałem, że wciąż było wiele powodów, dla których nie powinienem. Stoczyłem krótkie, wewnętrzne zmagania.

– Chętnie się z panią zabiorę – powiedziałem.



## Rozdział 11

Tej nocy po raz pierwszy od wielu miesięcy się wyspałem. Pierwszą moją noc w hangarze też spałem jak zabity, ale wtedy był to sen spowodowany wyczerpaniem organizmu zwalczającego infekcję. Tym razem był głęboki i spokojny, o jakim niemal już zapomniałem.

Rachel obiecała przyjechać po mnie rano następnego dnia i wyszła, ja zaś usiadłem nękany wątpliwościami, czy postąpiłem słusznie. Było dopiero późne popołudnie i nie miałem żadnego pomysłu na spędzenie reszty dnia w domu pozbawionym internetu czy telewizji, a nawet muzyki i książek. I wszelkiego zajęcia. Zazwyczaj podczas pracy nad dochodzeniem spędzałem każdą wolną chwilę na przeglądaniu raportów i notatek ze sprawy, lecz tutaj nie mogłem tego robić, ponieważ, chociaż miałem laptopa, nie mogłem sprawdzić e-maili.

Tym razem jednak wewnętrzny przymus pracy, robienia czegokolwiek, nie dręczył mnie tak mocno jak zazwyczaj. Rachel zaproponowała, że przyniesie mi więcej jedzenia, o ile nie przejadły mi się zupa i jajka, lecz zostało mi dość prowiantu, żeby dotrzeć do rana. Nie pojawiła się potrzeba wychodzenia gdziekolwiek, a że nie miałem na to ochoty, nigdzie się nie ruszyłem. Zamiast tego okopałem się w fotelu i patrząc przez okno na powolny odpływ, starałem się nie doszukiwać ukrytych treści w niewinnej propozycji podwiezienia do miasta.

Burczenie w brzuchu kazało mi przygotować wczesną kolację złożoną z resztki zupy pomidorowej, omletu i tostu, dań niezbyt wyrafinowanych, a smakujących mi jak rzadko. W końcu, gdy z nieba zniknęły ostatki światła, ruszyłem na wieczorny spacer wzdłuż brzegu mulistego strumienia, tym razem kierując się do miejsca, w którym wpadał do rozlewiska. Marsz był o wiele łatwiejszy, niż kiedy rankiem szedłem w głąb Backwaters, mimo bowiem braku ścieżki grunt był bardziej suchy i solidniejszy pod stopami, mokradła zaś ustąpiły miejsca niskim, piaszczystem wydmom porośniętym ostrą trawą. Po jakimś czasie natrafiłem na zarośnięty wał, element systemu ochrony przed pływami, tak jednak zaniedbany, że mogły one docierać w głąb lądu. Wspiąłem się na szczyt i popatrzyłem na odsłonięte łachy mułowe zalewu. Dalej w głębi lądu widniało skupisko świateł, które moim zdaniem musiało oznaczać Cruckhaven, natomiast na morzu pobłyskiwały światła pozycyjne kontenerowców pełzających wolno wzdłuż ciemnego horyzontu.

Szedłbym dalej, wkrótce jednak miała zapaść ciemność, zawróciłem więc, czując dziwny i niepożądany niepokój, którego początkowo nie potrafiłem określić. Dopiero będąc już niemal przy hangarze, zdałem sobie sprawę, że widok rozlewiska przypomniał mi o Barrows, co z kolei przywołało myśli o zwłokach, które zabraliśmy z łachy piaskowej.

Próbowałem o tym nie myśleć, powtarzając sobie, że nie ma to żadnego związku ze mną. Nie podziałało. Chociaż nie uczestniczyłem już w sprawie, nie mogłem się powstrzymać od ciągłego jej rozważania. Właściwie zresztą niezupełnie z nią skończyłem, skoro Lundy prosił mnie, żebym wysłał mu mailem wykonane przeze mnie zdjęcia adidasa. Nie mogłem zrobić tego z hangaru, ale nic nie stało na przeszkodzie, by przekopiować je z aparatu na laptopa, razem z moimi notatkami na temat Barrows.

A że przy tym spojrzę na nie raz jeszcze, to chyba nic złego?

Po powrocie z przechadzki nastawiłem czajnik i podłączyłem aparat fotograficzny do przenośnego komputera. Postawiłem obok siebie kubek i ponownie obejrzałem zdjęcia adidasa. Na ekranie laptopa stały się wyraźniejsze, ale sama stopa, okryta w większej części butem, nie powiedziała mi wiele więcej ponad to, co już wiedziałem. Przez jakiś czas oglądałem jaskrawą, fioletową skarpetę, powiększając obraz, aby dokładniej przyjrzeć się tkaninie, bo choć niezbyt się na tym znałem, byłem niemal pewien, że zabłocony materiał wykonano raczej z włókien sztucznych, a nie naturalnych – albo poliestrowych, albo z jakiegoś innego syntetyku.

Miałem też wrażenie, że mignęło mi coś jeszcze, teraz zaś wyzbyłem się wątpliwości. Na podeszwie buta, prześwitując przez warstwę błota, widniał nadruk, którego wcześniej nie zauważyłem, bo litery były zbyt małe, żeby dostrzec je na wyświetlaczu aparatu. Znów zacząłem powiększać obraz i kontrast do chwili, aż mogłem je przeczytać. Trzy słowa nadrukowane lub wytłoczone w gumie podeszwy. Made in China.

Tanie adidas i kolorowa, syntetyczna skarpetka nie pasowały do obrazu Leo Villiersa, jaki zdążyłem sobie zestawić w głowie, ale teraz był to problem Lundy'ego. Mimo wszystko otworzyłem fotografie ciała leżącego na piaszczystej łąsce. Prawy staw skokowy sterczał z mokrej nogawki dżinsów, lecz nie na tyle, żeby cokolwiek zobaczyć. Przeszedłem do zdjęć głowy, której koszmarne obrażenia były tak paskudne, jak zapamiętałem. Otworzyłem obok następną fotografię, zastanawiając się, czy z rany wylotowej mógłbym coś wywnioskować na temat trajektorii strzału.

Były to jednak jałowe rozważania. Na tych kilku zdjęciach nie mogłem dostrzec nic, czego nie znalazłaby policja lub patomorfolog. Zmusiłem się do zamknięcia laptopa, zanim zbyt długo wciągnie, wiedziałem bowiem, że jedyną nagrodą będzie frustracja. Potem zrobiłem sobie kolejny kubek herbaty i siedziałem, nie zapalając światła i patrząc, jak noc zapada nad strumieniem.

Obudziłem się raz, wyrwany ze snu pomrukami i niesamowitymi, żalnymi odgłosami na zewnątrz. Foki, przypomniałem sobie na granicy snu i jawy. Rachel miała rację, pomyślałem, zapadając ponownie w głęboki sen. Rzeczywiście, brzmiało to tak jak banda pijanych labradorów.

Drugi raz obudził mnie dopiero budzik w moim telefonie. Od dawna nie czułem się tak wypoczęty, jedyną zaś pamiątką po wirusie był utrzymujący się ból stawów i wilczy apetyt. Wziąłem prysznic, ogoliłem się, a potem zrobiłem tosty z pozostałej części chleba i zjadłem ostatnie jajka. Nie wiedziałem, czy po kupieniu świec zapłonowych w Cruckhaven jeszcze tu wrócę, dlatego po umyciu naczyń spakowałem swoje rzeczy do torby.

Potem pozostało mi już tylko czekać, znowu więc usiadłem przy oknie, usiłując nie spoglądać na zegarek ani nie przyznawać sam przed sobą, jak bardzo zaczynam się denerwować. Podwozi cię, żebyś kupił części samochodowe. Przestań zachowywać się jak uczeń, tłumaczyłem sobie, lecz kiedy usłyszałem chrzęst żużlu pod kołami samochodu, zerwałem się jak sprężyna i o mały włos nie zawadziłem znowu o ukryty pod dywanem uchwyt klapy. Na koniec rozejrzałem się po pomieszczeniu z lekkim ukłuciem żalu, że to ostatni raz.

A potem chwyciłem kurtkę oraz torbę i pospiesznie wyszedłem na zewnątrz.

\* \* \*

Rachel stała pochylona przy otwartych tylnych drzwiach starego białego defendera i robiła miejsce na tylnych fotelach. Zobaczyłem tam pełno wrzuconego byle jak sprzętu sportowego i coś, co wyglądało na piankę do nurkowania. Syn Traska może i dobrze sobie radził z silnikami samochodowymi, ale najwyraźniej nie z utrzymaniem porządku.

– Dzień dobry – przywitała się Rachel, przesuwając na bok pudło pełne zwiniętych lin. – Przysięgam, że nie wiem, skąd Jamie zdobył połowę tych rzeczy. Dobrze, że pan nie widział, w jakim stanie jest jego pokój; zajrzałam tam raz i czym prędzej zatrzęsłam drzwi. Chce pan włożyć tu torbę? Jest już miejsce.

Miała na sobie dzinsy i czarny sweter, a na nim rozpiętą jasnobrązową zamszową kurtkę. Jeżeli zrobiła sobie makijaż, to tak dyskretny, że nie potrafiłem go dostrzec, włosy jednak związała staranniej niż poprzednio, odsłaniając więcej gładkiego czoła i zdecydowane rysy. Przyłapałem się na tym, że w myśli rozważam, czy może zrobiła to ze względu na mnie, i zaraz napomniałem się niezszyte, że bym nie był głupi.

Postawiłem torbę na podłodze, wciskając ją pod siedzenia, i usiadłem na miejscu pasażera obok Rachel.

– Zamknąłem drzwi – powiedziałem, podając jej klucze. – Siła przyzwyczajenia. Niedawno ktoś próbował się włamać do mojego mieszkania w Londynie, ale nie sądzę, żebyście tu musieli martwić się czymś takim.

– Żeby się pan nie zdziwił – odparła, zapuszczając silnik. – Krótco po moim przyjeździe tutaj była seria włamań. Między innymi do Andrew.

– Dużo zabrali? – Byłem zdziwiony, że złodziejom chciało się zapuszczać aż tutaj.

– Nic, czego nie można zastąpić, tylko komputery i takie tam rzeczy, tyle że

niezbyt dobrze wybrali moment. – Wspomnienia sprawiły, że jej twarz zastygła, gdy ruszała z miejsca. – Coś takiego sprawia, że zaczynamy zastanawiać się nad ludźmi, prawda?

Za kierownicą wielkiego samochodu Rachel wydawała się drobna, lecz dobrze sobie z tym radziła. Była kierowcą pewnym swoich umiejętności i sprawnie manewrowała oporną dźwignią zmiany biegów.

– Kiedyś prowadziłem takiego – oznajmiłem i dodałem, starając się poprawić jej nastrój: – Był dość stary, chyba jednak nie taki stary jak ten.

– Tak, Jamie mówi, że to jeden z pierwszych modeli. Znalazł go na złomowisku i praktycznie odbudował, korzystając z części zamiennych. – Trask powiedział mi mniej więcej to samo, ale wtedy nie doceniłem w pełni, jak wspaniałą robotę wykonał jego syn. Pomimo swojego wieku stary land rover był cudownie zrekonstruowany. Rachel z wysiłkiem zmieniała bieg, gdy zbliżyliśmy się do zakrętu. – Co pan o nim myśli?

– Podoba mi się – przyznałem. Jazda defenderem obudziła we mnie skojarzenia, niekoniecznie przyjemne, lecz nie z winy samochodu.

– Tak, to prawdziwy wół roboczy. Bez wspomagania kierownicy prowadzi się trochę jak czołg, ale na tych drogach jest z tym niezła zabawa.

– Jak rozumiem, chrapy też się przydają.

Uśmiechnęła się protekcjonalnie.

– Zwłaszcza kiedy jakiegoś mieszczucha zaskoczy przypływ.

– Auć.

– Niech się pan nie martwi, nie pan pierwszy i wątpię, czy ostatni. – Jej uśmiech zniknął, gdy zobaczyła coś przed nami. – No wspaniale!

Tyczkowata postać wlokła się, powłócząc nogami, środkiem drogi nad strumieniem, oddalając się od nas. Nawet od tyłu poznałem człowieka, którego omal nie przejechałem, spiesząc się do prosektorium. Zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na zbliżający się od tyłu wielki wóz.

– No, dalej, Edgar, złaż na bok – zżymała się Rachel, zwalniając prawie do zera.

– Zna go pani? – zdziwiłem się.

– Wszyscy go tu znają. Ciągłe to robi.

– Wiem, dwa dni temu sam omal go nie potrafiłem. – Wzruszyłem ramionami, gdy spojrzała na mnie. – Kiedy usiłowałem przejechać groblą.

– Co wówczas wydawało się dobrym pomysłem. – Opuściła szybę i wystawiła głowę na zewnątrz. – Edgar? Edgar, proszę, mógłbyś zejść z drogi?

Reakcja była taka jak wcześniej, gość włókł się, nie patrząc na boki, obszerny płaszcz plątał się wokół jego kolan, a zabłocone gumiaki kłapały rytmicznie o nawierzchnię.

– Co on niesie? – zapytałem, ramiona bowiem trzymał tak, jakby tulił coś do

piersi, ale od tyłu nie mogłem dostrzec, co to takiego.

– Bóg raczy wiedzieć. Zawsze ratuje jakieś stworzenia, nawet jeżeli tego nie potrzebują. – Znowu wychyliła się przez okno. – Rusz się, Edgar. Edgar!

Wychudzona postać dalej człapała drogą, nie okazując, że słyszy.

– Jasna cholera – mruknęła Rachel, zatrzymała samochód i wysiadła, a ja zaraz za nią. Facet nie wydawał się agresywny, lecz choć wyglądał jak szkielet, był od niej o wiele wyższy. I ode mnie, skoro już o tym mowa.

Zrównała z nim krok i zaczęła iść obok niego.

– To ja, Edgarze, Rachel.

Dopiero wtedy jakby dostrzegł jej obecność i bąknął, nie patrząc na nią ani nie zmieniając tempa:

– Spieszę się.

– Rozumiem, musisz jednak iść bokiem drogi, nie środkiem. Już ci o tym mówiłam. – Ton Rachel był przyjazny, ale stanowczy. – Co tam masz?

– Jest ranny.

Przynajmniej się do niej odzywał, czego nie zdołałem uzyskać w czasie mojego z nim spotkania. Mówił cicho, jak nieobecny duchem. Cofnąłem się nieco i szedłem z boku, niemniej wystarczająco blisko, by dostrzec kolczasty kłębek, który trzymał przy piersi. Jeź, bezwładny i nieruchomy. Przypomniałem sobie mewę, którą niósł w czasie poprzedniego spotkania.

– On nie żyje, Edgarze – powiedziała łagodnie Rachel. – Nic mu już nie pomożesz.

– Jest ranny.

Spojrzała na mnie, jakby pytała: „I co z tym zrobić?”

– No dobrze, Edgar. Ale musisz iść poboczem drogi. Z boku, rozumiesz? Nie środkiem. Inaczej potrafi cię samochód, jak niemal stało się wczoraj. Pamiętasz tego pana?

Spojrzenie wylupiastych oczu tamtego przesunęło się po mnie.

– Cześć, Edgar – powiedziałem.

Grdyka mężczyzny poruszyła się w górę i w dół, lecz był to jedyny znak, że dostrzegł moją obecność. Rachel gestem kazała mi zostać w tyle i powiedziała cicho:

– Lepiej będzie, jak pan tu zostanie. Nie lubi niczego nowego.

Spojrzałem na tyczkowatą postać przypominającą stracha na wróble.

– Jest pani pewna, że nic się nie stanie?

– Bez obaw, jest nieszkodliwy.

Zostałem z tyłu, podczas gdy ona przyspieszyła kroku, żeby go dogonić, ale trzymałem się dość blisko, na wypadek gdyby się omyliła. Wciąż nie wyczuwałem zagrożenia z jego strony, lecz strach sprawia, że ludzie stają się nieprzewidywalni. Chudy czy nie, gdyby się zdenerwował, mógłby niechcący zrobić komuś krzywdę.

Rachel jednak już sprowadzała go na pobocze, trzymając dłoń na jego brudnym rękawie. Mówiła do niego uspokajającym tonem, zbyt cicho, żebym mógł ją usłyszeć, i najwyraźniej zyskała pożądany efekt. Obserwując go, czy na pewno trzyma się pobocza, podeszła do mnie.

– No dobrze, jedźmy, zanim mu się odmieni.

Wróciliśmy do samochodu. Rachel ruszyła wolno, omijając chudzielca bezpiecznym łukiem.

– Nic mu nie będzie? – zapytałem.

– Tu nie ma wielu samochodów. Poza tym nawet gdybyśmy odwieźli go do domu, natychmiast by wrócił.

– Ma pani jakieś pojęcie, co z nim jest nie tak?

– Medycznie? Najmniejszego. Po prostu zdaje się nie uświadamiać sobie, co się wokół niego dzieje. Myślałam, że może to autyzm albo coś podobnego, lecz na pewno nikt nie wie. Wiadomo tylko, że ma jakąś manię na punkcie rannych zwierząt i ciągle jakieś ratuje. Bóg raczy wiedzieć, co robi z nimi wszystkimi.

Nie byłem psychiatrą, ale nawet jeśli jego przypadek ocierał się o autyzm, z tego, co widziałem, wynikało, że prawdopodobnie miał też inne problemy psychiczne.

– Gdzie on mieszka?

– W rozpadającym się domku w Backwaters. Kilka razy byłam w pobliżu i jest tam dość ponuro. Jeżeli uważa pan, że tu jesteśmy odcięci od świata, to powinien pan zobaczyć tamto miejsce.

– Mieszka sam? – zapytałem zdziwiony, Edgar bowiem nie wyglądał na kogoś zdolnego funkcjonować samodzielnie.

– Teraz tak. Podobno był jakimś pisarzem czy naukowcem. Miał żonę i córeczkę, aż pewnego dnia dziewczynka zniknęła. Wyszła i nigdy nie wróciła. Wszyscy uznali, że pewnie utonęła, ale żona obwiniła Edgara o jej śmierć i go rzuciła. Nigdy się z tym nie pogodził i teraz wędruje po Backwaters, szukając dziecka. Jeżeli wierzyć miejscowym.

Nie odpowiedziałem, wstrząśnięty upiornymi skojarzeniami z Emmą Derby. Jeżeli historia była prawdziwa, siostra Rachel nie pierwsza padła ofiarą Backwaters.

– Nie ma w tym żadnych powiązań z Emmą, jeśli tak pan to kojarzy – powiedziała, dobrze odczytując moje milczenie. – Tragedia, o ile w ogóle się zdarzyła, miała miejsce ponad dwadzieścia lat temu. A zresztą pewnie to tylko plotki. Ludzie myślą, że Edgar ma teraz hopla na punkcie ratowania zwierząt, ponieważ wcześniej nie ocalił córki, ale wydaje mi się to naciągany pomysł. Niektórzy nawet twierdzą, że sam ją zamordował, najlepiej więc traktować wszystko z rezerwą.

Dotarliśmy do granic miasta. Rachel umilkła, gdy mijaliśmy zniszczoną

przez czas i pogodę tablicę z napisem „Witamy w Cruckhaven”, pod którym ktoś dopisał sprejem: „A teraz wypierdalajcie”.

– Chwytny slogan – zauważyłem, by zmienić temat.

– Niech pan poczeka, aż zobaczy miasto.

Minęliśmy skupisko małych domów i wjechaliśmy na główną ulicę ze sklepami z cegły i kamienicami pokrytymi kamiennym tynkiem. Zatrzymała się przy betonowym nabrzeżu, z którego krawędzi sterczały krótkie metalowe polery przypominające skamieniałe pnie drzew.

– Tu Jamie zapisał, jakich świec pan potrzebuje – powiedziała Rachel, podając mi kartkę. – Stacja benzynowa jest trochę dalej na tej ulicy, nie zdoła jej pan przegapić. Ja muszę kupić tylko kilka rzeczy do jedzenia, spotkajmy się więc tu za, powiedzmy, pół godziny.

Powiedziałem, że dobrze, starając się nie poddawać nieoczekiwanemu rozczarowaniu. Zrugalem się w duchu: A czego się spodziewałeś? Że pójdzie z tobą, żeby potrzymać cię za rękę?

– A skoro już tu jestem, to czy w mieście mają coś godnego obejrzenia? – zapytałem.

– To zależy. Lubi pan galerie sztuki, muzea, wspaniałą architekturę i ciekawe dyskusje?

– Czyli powinienem przyjąć, że nie, prawda? – upewniłem się, patrząc przez okno samochodu na podniszczone przybrzeżne miasto.

– Obawiam się, że tak. Czymkolwiek zajmowano się w Cruckhaven, padło to na długo przed moim przyjazdem. Być może działa jeszcze furgonetka z rybą i frytkami, no i jest kawiarnia na nabrzeżu, która jakoś ciągnie. Jeżeli znudzą się panu widoki, to podają tam przyzwoitą latte.

– To może tam byśmy się spotkali?

Palnąłem bez zastanowienia, co, jak mi się wydało, zaskoczyło Rachel, nie tracąc więc czasu, skłamałem w duchu, że stawiam ją w kłopotliwej sytuacji, i już miałem zacząć wycofywać się z tego, kiedy dla odmiany ona mnie zaskoczyła.

– A postawi mi pan ciastko?

Udałem, że się zastanawiam.

– Chyba dam radę.

Uśmiechnęła się.

– Zatem do zobaczenia.

## Rozdział 12

Mało jest widoków smutniejszych od przemysłowego miasta, w którym już nic się nie produkuje, a Cruckhaven takie właśnie było. W długi weekend każda normalna nadmorska miejscowość wypoczynkowa pękałaby w szwach, tu zaś główna ulica świeciła pustkami, a połowa przedsiębiorstw w niewielkim porcie była zamknięta. Stary sklep z pamiątkami wyglądał na nieotwierany od lat, z witryną zaklejoną dla ochrony ekspozycji przed słońcem żółtym celofanem, którego rogi zdążyły się odlepić i zwisały żałośnie. Za szybą, pomiędzy linkami do połowu krabów, drobiazgami z muszli i wyblakłymi pocztówkami leżały martwe muchy, wzmagając wrażenie, że pewnego dnia właściciel zamknął interes i już nie wrócił.

W polu widzenia przewijało się trochę ludzi, ale niewiele. Umęczone młode matki z pustym, znękanym spojrzeniem popychały wózki, a kilku wyrostków siedziało z ponurymi minami na ulicznej ławce, taksując wzrokiem przechodniów niczym potencjalne ofiary. Kiedy poprzednio przejeżdżałem przez to miasto, byłem zaabsorbowany sprawą odzyskania zwłok i nie zwróciłem na nie szczególnej uwagi. Teraz dotarło do mnie w pełni, jakie to szare i ponure miejsce.

Doszedłem do nabrzeża, popatrzyłem w dół i zamiast wody ujrzałem tylko oleiste błoto, choć nie było jeszcze odpływu. Port był po prostu tak zamulony, że zarastały go rośliny i sztywne trawy. W głąb basenu wychodziło rachityczne molo sięgające nieco głębszej wody, na której kołysało się z wolna kilka niewielkich łodzi zacumowanych do pomostu, wszystko zaś razem sprawiało wrażenie tymczasowej, niedbałej prowizorki.

Przyglądałem się czarno-białym ptakom brodzącym w mule na smukłych niczym szczudła nogach i wspominałem słowa Lundy'ego, że ujście ulegało zamuleniu od lat, a tutaj było to wyraźniejsze niż dalej w głąb łądu. Za kilka lat port stanie się całkowicie niedostępny i wtedy Cruckhaven straci ostatni pretekst, by istnieć.

Nic dziwnego, że plany sir Stephena Villiersa, aby zbudować tu marinę, zyskały poparcie miejscowych. Po ujrzeniu tego człowieka nabrałem przekonania, że nie pozwoli, by coś stanęło mu na drodze, na pewno nie protesty jakichś zielonych. Usiłującym związać koniec z końcem miejscowym perspektywa nowych miejsc pracy i odrodzenia miasta musiała wydać się ostatnią deską ratunku. Pamiętałem jednak także niemal niedbały sposób, w jaki sir Stephen rzucił okiem na szczątki syna, i poczułem się rad, że nie muszę zawierzać swojej przyszłości komuś o tak zimnym i obojętnym spojrzeniu. Każdy układ z nim najprawdopodobniej okazałby się faustowskim paktem.

Zmitrężyłem na tych rozważaniach wystarczająco dużo czasu, zawróciłem



więc i ruszyłem ulicą w kierunku wskazanej mi przez Rachel stacji benzynowej. Dalej basen był mniej zamulony i w większości zapełniony lekko falującą wodą, na której kołysało się truchło martwej mewy z wydziobanymi oczami, co przypomniało mi Edgara włóczącego się w poszukiwaniu rannych zwierząt. Albo martwych, pomyślałem, przypominając sobie niesionego przez niego jeża, wyraźnie bowiem nie robiło mu to różnicy.

Miałem nadzieję, że opowiedziana przez Rachel historia o jego zaginionej córce była tylko miejscową legendą, ale też nie przypuszczałem, by całkowicie odbiegała od prawdy. Nawet jeżeli jej szczegóły zatarty się lub zostały wyolbrzymione przez upływ czasu, zniknięcie małej dziewczynki w tak małej społeczności ludzie musieli pamiętać nawet dwadzieścia lat później. I być może to, że ojciec wciąż usiłuje ją znaleźć, nie było wcale takie naciągane. Wspominając własne zachowanie po śmierci Kary i Alice, pomyślałem, że ja wówczas też mogłem nie w pełni zachować zdrowe zmysły. Żal jest niszczycielskim uczuciem, nawet gdy ma się wsparcie rodziny i przyjaciół, a co dopiero dla kogoś mieszkającego samotnie w tak odosobnionym miejscu jak Backwaters, komu mógł gruntownie naruszyć psychikę.

Tylko Bóg mógł tu pomóc...

Bez względu na to, co przydarzyło się Edgarowi, byłbym spokojniejszy, wiedząc, że opieka społeczna jest świadoma jego istnienia, odnotowałem więc w pamięci, żeby sprawdzić to po powrocie. Potem rozejrzałem się i zobaczyłem przed sobą szyld stacji benzynowej. A przed nią, po drugiej stronie ulicy, zauważyłem inny napis, większy i namalowany ręcznie na łuszczącej się drewnianej tablicy.

COKER

## NAPRAWY ŁODZI I SAMOCHODÓW

Poniżej mniejszymi literami napisano: „Ratownictwo, części zamienne i naprawy”. Z tym ostatnim toś, kolego, przesadził – pomyślałem.

Napis zdobił piętrowy budynek z prefabrykatów stojący na niewielkim nabrzeżu. Przy zatłoczonych kejach i na mulistym brzegu przy pirsie spoczywały łodzie różnej wielkości i o różnym stopniu zniszczenia, odsłaniając obrośnięte algami kadłuby. Przed budynkiem wśród kilku samochodów w różnych stadiach degradacji stała zabłocona półciągarówka.

Zatrzymałem się, patrząc na warsztat i zastanawiając się, czyby nie wejść i dowiedzieć się, z kim rozmawiałem – pewnie z Cokerem – ale właściwie po co? Widocznie miał jakąś urazę do Traska, na tyle poważną, aby zrezygnować z możliwości zarobku, choć na pierwszy rzut oka było widać, że interes nie kwitnie.

Miałem już odejść, gdy zza jednej z łodzi wyszedł mężczyzna w średnim wieku, na którego potężnym ciele ciasno opinał się niebieski, poplamiony smarem

kombinezon. Na brudnych blond włosach miał zsuniętą do tyłu równie zasmoloną bejsbolówkę, a w dłoni trzymał jakąś część silnika i wycierał ją zatłuszczoną szmatą. Przechylił głowę, z grubo ciosanej, tłustawej twarzy łypnęły na mnie pytająco chytre oczka.

– Mogę w czymś pomóc?

Chropawy głos był tym samym, który słyszałem w słuchawce.

– Nie, dziękuję.

– To co pana tak interesuje w mojej budzie? – Uśmiechnął się, ale niezbyt przyjaźnie. – Podziwia pan widok?

– Coś w tym rodzaju.

– Ta, ludzie zawsze to robią. Jak samochód? Nadal spieprzony? – Uśmiechnął się szerzej, widząc moje zaskoczenie. Skrzywiony siekacz nadawał mu nieco wilczy wygląd. – Mam dobry słuch do wymowy. I nie przyjeżdża tu zbyt wielu obcych.

– Ciekawe dlaczego.

Uśmiech nieco zbladł, lecz pozostał.

– Syn Traska go uruchomił, tak?

– Owszem. – Zastanawiałem się, czy po prostu nie odejść, ale w jakiś sposób sprawiało to wrażenie konfrontacji i wiedziałem, że nie powinienem pokazywać pleców.

Tamten kiwnął głową, powoli obracając trzymaną w szmacie część silnika.

– Tak pomyślałem. I zatrzymał się pan u nich?

– Bo co?

– Bo mógłby pan przekazać mu wiadomość. – Wykrzywił twarz, odrzucając wszelkie pozory. – Powiedz temu fiutowi...

Nie dokończył, bo drzwi budynku się otworzyły i stanęła w nich dziewczyna.

– Tato, nie mogę znaleźć...

Ta sama, którą przedwczoraj widziałem z Jamiem, dziś nie tak podkasana, ale i tak czerwone džinsy oraz obcisły sweter nie pasowały do tego złomowiska. Przerwała, ujrawszy mnie, i twarz jej znieruchomiła, zaraz jednak szybko podjęła:

– Eee... nie mogę znaleźć puszek z drobniakami. Wiesz, gdzie jest?

To była niezła próba wywinięcia się, lecz nie oszukała jej ojca, który zaczął zwężonymi oczami wodzić od jednego z nas do drugiego.

– Znasz go?

– Nie, jasne, że nie! – zaprzeczyła gwałtownie dziewczyna.

– To dlaczego masz minę, jakbyś go znała? – Jego córka zamrugnęła, otwierając usta, jakby miała nadzieję, że wytłumaczenie samo się wyartykułuje. Odwrócił się do mnie. – No to jak?

Za jego plecami dziewczyna posłała mi błagalne spojrzenie graniczące

z paniką.

– Co jak? – zapytałem.

– Nie bądź taki sprytny. Skąd się znacie?

– Nie znamy. – Nie było to do końca kłamstwo, bo choć mogłem ją wcześniej widzieć, to nie wiedziałem, kim jest. – Bo skąd?

– Nie jestem, kurwa, głupi. Gdzieś cię widziała.

Wtedy domyśliłem się, co się dzieje, i w pierwszym odruchu chciałem mu poradzić, żeby zapytał córkę, ale dziewczyna robiła wrażenie przerażonej. Bez względu na to, co jej ojciec miał do Traska, jego wrogość była tak silna, że córka drżała na myśl, co się stanie, gdy jej ojciec odkryje, że widziała się z Jamiem.

– Przedwczoraj tędy przejeżdżałem – odpowiedziałem. – Może mnie widziała.

– A co tu robisz?

– Nie twój interes – odpowiedziałem niedbale.

Teraz ja wpatrywałem się w niego i widziałem, że w miarę jak zastanawia się, kim mogę być, zaczyna mieć wątpliwości. Jego córka stała nieopodal, nerwowo obgryzając lśniący czerwienią paznokieć kciuka. Dobry moment, żeby odejść.

– Miło było poznać – rzuciłem wystarczająco ogólnikowo, by każde z nich mogło wziąć to do siebie.

Odwróciłem się i odszedłem.

\* \* \*

Stacja benzynowa znajdowała się nieco dalej na tej samej ulicy. Była mała, z dwoma dystrybutorami podającymi paliwo tajemniczej firmy, o której nigdy nie słyszałem, ale oprócz świec sprzedawano w niej też podstawowe artykuły spożywcze, mogłem więc kupić coś do jedzenia w miejsce tego przyniesionego przez Rachel do hangaru.

Kiedy wracając, mijałem warsztat, prawie spodziewałem się, że zostanę ponownie zaczepiony, nikogo jednak nie było widać.

Na nabrzeżu znalazłem bankomat i podjąłem kwotę wystarczającą, jak miałem nadzieję, na zapłacenie Jamiemu. Gdyby okazało się inaczej, musiałbym dosłać resztę po powrocie do Londynu. Myśl o powrocie przygnębiła mnie, dlatego czym prędzej ją odegnałem i poszedłem na spotkanie z Rachel.

Kawiarnia faktycznie nosiła rzeczową nazwę „Kawiarnia” wypisaną drukowanymi literami, na wypadek gdyby ktoś nie był pewien, lecz bardziej przypominała staroświecką herbaciarnię z ciastkami i kanapkami w szklanej gablocie na ladzie i obrusami w czerwono-białą kratkę na niewielkich stolikach. Był nawet dzwonek, który zabrzączał wesoło, gdy przekraczałem próg lokalu.

Rachel w środku nie było, jak zresztą nikogo innego – okazałem się jedynym klientem. Za ladą stała kobieta o ciepłym uśmiechu, choć wyglądająca na

zmęczoną. Zamówiłem kawę i poszedłem do stolika przy oknie. Chociaż czułem się o wiele lepiej, byłem zadowolony, że mogę usiąść po spacerze. Oglądany stąd port nie robił już tak ponurego wrażenia, bo nie było widać poplamionego ropą dna rozlewiska. Mogłem sobie wyobrazić, że dawno temu Cruckhaven mogło być miłym miejscem, zanim ujście zostało zamulone i woda zniknęła.

Czekałem, usiłując nie patrzeć na zegarek, kiedy jednak przestawałem świadomie starać się tego nie robić, zaraz na niego zerkałem. Rachel była spóźniona dziesięć minut, niewiele, lecz wystarczyło, abym już zaczął się martwić, że zmieniła zdanie albo wręcz zapomniała o naszym spotkaniu, gdy nagle zobaczyłem ją, jak szybkim krokiem idzie wzdłuż nabrzeża.

Niosła torbę na zakupy i wyglądała na zdenerwowaną, ale jej twarz się rozpuściła, kiedy spojrzała w okno i mnie zobaczyła. Dzwonek nad drzwiami zabrzączał znowu, gdy weszła do środka.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała zadyszana. – Hej, Debbie, jak leci?

– Och, da się przeżyć. – Kobieta za ladą chyba ucieszyła się na jej widok. – Mamy świeże bułeczki cynamonowo-pomarańczowe. Albo kawowe ciasto z orzechami, które upiekłam wczoraj.

Rachel zrobiła żartobliwie cierpiętniczą minę.

– Masz na mnie zły wpływ, wiesz? Co pan weźmie?

Spojrzała na mnie wyczekująco, siadając naprzeciwko, ja jednak nie za bardzo przepadałem za słodyczami.

– Dziękuję, pozostanę przy kawie.

– Weźmie ciasto – Rachel z uśmiechem zwróciła się do kobiety. – A ja poproszę bułeczkę i latte.

– W takim razie ciasto kawowe raz – uśmiechnąłem się.

– Nie może pan pozwolić, żebym jadła sama. – Rachel spojrzała na kobietę, która zaczęła robić latte, zagłuszając naszą rozmowę sykiem gorącej pary. – Zawsze staram się tu wpaść, gdy przyjeżdżam do miasta, bo Debbie w ubiegłym roku straciła męża, a ma dwoje dzieci i potrzebuje każdego możliwego wsparcia. Poza tym wszystko tu jest domowej roboty, nie mówiąc o tym, że wychodzi spod rąk mistrzyni w pieczeniu ciast.

– W porządku, poddaję się. Dostała pani wszystko, po co tu przyjechała?

– Tak, to tylko kilka rzeczy, które się nam kończyły. Ktoś zużył nam całe mleko i jajka.

– Więc dobrze, że ja też trochę tego kupiłem – oznajmiłem, unosząc torbę.

Parsknęła śmiechem.

– Mam nauczkę. A mówiąc serio, nie powinien pan brać sobie tego do serca, bo bardziej pasowała mi taka wymówka, żeby móc wymknąć się z domu na godzinę lub dwie. Nie zaszkodzi dać czasami wszystkim trochę luzu.

Była to jej pierwsza aluzja do napięcia, w jakim musiała żyć rodzina, ale zabrzmiała bardziej jak wygadanie się niż zachęta do podjęcia tematu, który szybko zmieniła.

– Dostał pan te świece?

– Tak. A także natknąłem się na człowieka w warsztacie remontowym przy marinie. Nazywa się Coker, prawda?

Spochmurniała.

– Co się stało?

Opowiedziałem jej, jak dzwoniłem do Cokera w sprawie samochodu i jak agresywnie się zachował.

– To nie moja sprawa, lecz odniosłem wrażenie, że on i pani szwagier nie darzą się szczególną sympatią.

– Można tak powiedzieć. – Rachel przerwała, ponieważ kobieta przyniosła kawę i ciasto. – Dziękuję, Debbie. Wygląda groźnie.

Miała rację. Patrząc na kawałek ciasta na moim talerzyku, zastanawiałem się, czy będę w stanie zjeść je całe. Uśmiech Rachel zniknął, gdy kobieta wróciła za ladę. Westchnęła i odwróciła się do mnie.

– Przepraszam. Nie miałam pojęcia, że już zetknął się pan z Darrenem Cokerem, bo ostrzegłabym pana, żeby trzymać się od niego z daleka. Prowadzi swego rodzaju wendetę, ale nie przypuszczałam, że pana też nią obejmie.

– Nie musi pani wyjaśniać. Mam tylko nadzieję, że nie spowodowałem jakichś kłopotów.

Uśmiechnęła się posepnie, mieszając kawę.

– Proszę się nie martwić. Nie można jeszcze bardziej pogorszyć tej sytuacji.

– Nie jestem tego pewien. Była tam też córka Cokera.

– Stacey? – Rachel podniosła wzrok, zapominając o kawie. – Skąd pan ją zna?

– Widziałem ją przedwczoraj koło domu. Poznała mnie i jej ojciec to zauważył.

– O mój Boże. Znowu przyszła zobaczyć Jamiego?

Miałem wrażenie, że zapuszczam się na bardziej mętne wody, niż zamierzałem.

– Niczego nie powiedziałem Cokerowi, a ona zaprzeczyła, nie sądzę jednak, żeby jej uwierzył. Pomyślałem, że powinna pani o tym wiedzieć.

Rachel zamknęła oczy i westchnęła.

– Tak, słusznie. Pewnie domyślił się pan, że Jamie miał romans ze Stacey. Byli jeszcze szczeniakami, ale sprawy przybrały paskudny obrót i... no cóż, powstały problemy. Ojciec zabronił jej spotykać się z nim, a szczerze mówiąc, Jamie i tak nie był nią zainteresowany. Ale Stacey nie jest kimś, kto godzi się z odmową.

– Trochę się tego domyśliłem.

Zareagowała uśmiechem, nieco wymuszonym. Trąciła bułeczkę widelczykiem.

– Nie mogę winić jej ojca, że stara się ją chronić. Jest jedyną córką Cokera, a Andrew nie jest zbyt taktowny, kiedy się zdenerwuje. Coker jednak mocno przesadził, zmieniając wszystko w jakąś absurdalną, rodową waśń, niczym Montekich i Kapuletich, tyle że ta jest jednostronna, a Stacey to nie Julia.

Zrobiła zdziwioną minę, kiedy się roześmiałem.

– Wiem, że wydaję się uprzedzona, ale wszystko stało się, zanim tu przyjechałam, i nie ma ze mną nic wspólnego. Po raz pierwszy dowiedziałam się o sprawie jakiś miesiąc po... po przybyciu, gdy natknęłam się w mieście na Cokera. Nie miałam pojęcia, kim jest, a on zaczął... zaczął mi wymyślać, powtarzając, że Andrew zasłużył na to, że Emma zniknęła, nazywając ją „zarozumiałą dziwką” i gorzej. Jak ktoś może mówić takie rzeczy? I to do kogoś, kogo nigdy dotąd nawet nie spotkał?

Na jej twarzy pojawił się rumieniec, lecz nie byłem pewien, czy jest bardziej zdenerwowana, czy zła.

– I co pani zrobiła?

– Powiedziałam mu, żeby się odpieprzył. – Wzięła widelczyk i wbiła go w bułeczkę. – Chyba podziałało.

Usiłowałem wyobrazić sobie siedzącą przede mną szczupłą kobietę stawiającą czoła wrzaskliwemu właścicielowi warsztatu i uznałem, że nietrudno było się wkurzyć.

– Powiadomiła pani policję?

– O tym? Nie, ale przesłuchiwali Cokera po zniknięciu Emmy z powodu kłopotów z jego córką i Jamiem. Bardziej rutynowo niż serio. Jest dupkiem, i to wszystko. – Kiwnęła głową w stronę mojego talerzyka, uśmiechając się cierpko. – Zapomniał pan o cieście.

Zrozumiałem aluzję i zmieniłem temat. Zaczęliśmy rozmawiać o rzeczach błahych, unikając czegokolwiek osobistego. Opowiedziała mi, że Cruickhaven było kiedyś kwitującym małym miastem portowym, czerpiącym korzyści ze znajdujących się niedaleko zakładów połowu oraz przeróbki ostryg i posiadającym własną niewielką flotę kutrów rybackich. Dlatego właśnie zmniejszające się zasoby rybne i zamulenie ujścia dotknęły miasto szczególnie boleśnie.

– Nie sądzę, aby początkowo ktokolwiek zdawał sobie sprawę, że muł jest takim problemem – ciągnęła, trzymając w obu dłoniach filiżankę z kawą. – Ponieważ nie działo się to z dnia na dzień, ludzie bagatelizowali sprawę, bardziej martwiąc się coraz gorszymi połowami niż portem, a kiedy dotarło do nich, co się dzieje, było już za późno.

– A nie można by go pogłębić?

– Owszem, ale jego stan jest taki, że byłoby to zbyt kosztowne. Jeszcze dziesięć lat i cały rejon będzie wyglądać jak Backwaters, albo łachy mułowe, albo słone bagna. To nie takie złe, jeżeli chodzi o środowisko naturalne, ale dla mieszkających tu ludzi oznacza powolną katastrofę. Na swój sposób jest gorsze niż powódź, ponieważ kiedy ta się kończy, ludzie mogą odbudować zniszczenia, nawet po czymś takim jak wielka powódź w rejonie Morza Północnego. Słyszał pan o niej?

Nie słyszałem. Moja znajomość historii była w najlepszym razie wyrwykowa, tymczasem każdy rok przynosił przygnębiające wiadomości o kolejnych społecznościach dotkniętych zatopieniami, choć najwyraźniej nie było to nic nowego.

– W latach pięćdziesiątych nastąpiła wielka katastrofa – zaczęła wyjaśniać Rachel, odstawiając filiżankę. – Przyływ sztormowy, który spowodował zatopienia tu i w Europie Północnej, zabił setki ludzi na wschodnim wybrzeżu i wyrządził poważne szkody. Zalało wyspę Canvey, a Cruckhaven niemal zmiotło z powierzchni ziemi. Miasto wprawdzie jakoś przetrwało, lecz bez portu trudno sobie wyobrazić, jak dojdzie do siebie.

– A co z budową mariny? Czy to by nie pomogło? – Dopiero gdy to powiedziałem, uświadomiłem sobie, że cokolwiek związanego z rodziną Villiersów nie jest najlepszym tematem do rozmowy. Jeżeli jednak jakoś uraziłem Rachel, nie dała tego po sobie poznać.

Westchnęła tylko głośno.

– Niech mnie pan nie wciąga w ten temat. No dobrze, gdyby zrobiono to we właściwy sposób, pewnie mogłoby ograniczyć szkody. Nie jestem fanatyczną ekolożką i wiem, że trzeba iść na kompromisy. I niby pomysł jest dobry, tyle że ten plan zasadniczo polega na wyburzeniu wszystkiego do gołej ziemi, zalaniu mokradeł betonem oraz asfaltem i zrobieniu z tego miejsca bajeranckiego akwaparku. A ponieważ wiedzą, że ludzie są zdesperowani, mydlą im oczy możliwościami zdobycia pracy i dobrobytem, aby móc ich poszczuć na każdego opornego. Dobry Boże, za każdym razem, kiedy słyszę nazwisko Villiers, jestem w stanie...

Przerwała, uśmiechając się z zażenowaniem.

– No cóż. Mniejsza z tym. Powinniśmy już wracać. Obiecałam Fay, że później z nią wyjdę, a ona nie lubi czekać.

Uśmiechnęła się znowu, zdradzając wyraźne przywiązanie do córki Traska, aż pomyślałem, czy nie właśnie dlatego pozostała tak długo z jego rodziną. Jednocześnie spostrzegłem też, jak się zasiedzieliśmy – zegar na ścianie za ladą pokazywał, że jesteśmy tu od ponad godziny. Kiedy wstaliśmy, miałem wrażenie, że uchodzi za mnie powietrze, niemniej wygrałem spór o to, kto zapłaci, i pogratulowałem właścicielce udanego ciasta, chociaż miałem wrażenie, że wciąż

oblepia mi zęby.

– Jakże ma pan teraz plany? Przypuszczam, że policja będzie chciała, aby pan obejrzał tę znalezioną stopę? – zapytała Rachel, gdy szliśmy do land rovera, i zaraz się skrzywiła. – Zabrzmiało dość upiornie, ale spokojnie, po prostu pytałam. Naprawdę nie chcę znać żadnych szczegółów.

– Nic więc pani nie grozi, ponieważ nie będę już przy tym pracował.  
Spojrzała ze zdziwieniem.

– Jak to? Sądziłam, że jest pan specjalistą w tego rodzaju sprawach.

– Mam wrażenie, że zdaniem policji zrobiłem już dosyć.

– Ale przecież gdyby nie pan, nawet by tego nie znaleźli.

Wzruszyłem ramionami, nie chcąc wdawać się w szczegóły.

– Czasami tak bywa.

– Czyli wraca pan bezpośrednio do Londynu?

– Kiedy tylko wóz będzie na chodzie.

Dalszą drogę do samochodu Rachel przeszła w milczeniu. Byłem zdziwiony łatwością, z jaką mi się z nią rozmawiało, i miałem wrażenie, że ona czuje to samo, lecz teraz pojawiło się między nami jakieś napięcie. Kiedy doszliśmy do land rovera, wyglądała na zatroskaną. Wyjęła kluczyki, otworzyła samochód i nagle się zatrzymała.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale...

Przerwał jej sygnał komórki. Czego mam źle nie zrozumieć? – zastanawiałem się nerwowo. Próbowałem gorączkowo wymyślić, co mogłem zrobić nie tak, podczas gdy Rachel kładła torbę na siedzeniu kierowcy, żeby odebrać telefon.

– Cześć, Andrew, właśnie miałam... Nie, dlaczego?

Zobaczyłem, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Cokolwiek usłyszała, nie było to dobre.

– Kiedy? – Słuchała dalej. – Dobra. Już jadę.

– Wszystko w porządku? – zapytałem, gdy wcisnęła telefon do kieszeni i przrzuciła torbę na tylne siedzenie.

– Musimy jechać.

Zanim obszedłem wóz, już była w środku i zapuściła silnik. Ledwie zdołałem wsiąść, a już zaczęła zawracać.

– Co się stało?

Twarz Rachel była blada i skupiona, lecz zgrzyt, z jakim wrzuciła bieg, zdradził jej emocje.

– Fay zaginęła.



## Rozdział 13

Rachel prowadziła, nie odzywając się do mnie prawie przez całą drogę do Creek House. No bo też niewiele miała mi do powiedzenia ponad to, że córka Traska wyszła godzinę temu po sprzeczce z bratem i nikt jej od tamtej pory nie widział. Ani jej psa.

– Ma pani jakiś pomysł, dokąd mogła pójść? – zapytałem.

Zwolniła, wchodząc w ciasny zakręt, ale niewiele. Jechaliśmy z powrotem inną drogą, szybciej, ponieważ niski poziom wody podczas odpływu pozwalał staremu defenderowi przejeżdżać przez wciąż zalane skrzyżowania.

– Pewnie na Backwaters. Znudziła się czekaniem na mój powrót i zaczęła marudzić, żeby Jamie popłynął z nią łódką. Był zajęty, więc wyszła nadąsana i wściekła.

Słyszałem w jej głosie samooskarżenie i sam też trochę czułem się winny. Gdybym nie zaprosił Rachel na kawę, byłaby już w domu. A Jamie pewnie był zajęty przy moim samochodzie.

– Czy robiła już coś takiego wcześniej?

– Tylko raz albo dwa. Andrew zabronił wychodzić jej samej, sam zakaz jednak nie zawsze skutkuje.

Poczułem się nieco mniej zaniepokojony. Zniknięcie dziewczynki wyglądało bardziej na napad złości niż coś poważniejszego.

Dotarliśmy do grobli i poznałem, że to ta sama, na której mój samochód utknął w czasie przyływu. Wciąż była częściowo zatopiona i widać ją było tylko jako jaśniejszy pas pod powierzchnią, lecz Rachel się nie zawahała. Wrzuciła niski bieg i wjechała do wody, pchając kołami spiętrzoną falę. Mimowolnie zeszytniałem, ale zaraz się rozluźniłem. Widać było, że jedzie tędy nie pierwszy raz, a dzięki chrapom stary land rover wydawał się przeprowiać bez problemu.

Wyjechawszy na drugi brzeg, znowu wcisnęła gaz. Przejechała obok hangaru i zajęło to o wiele mniej czasu, niż kiedy Trask holował mnie do Creek House. Jamie już biegł do land rovera, widząc nas wjeżdżających na wysypany żwirem podjazd. Mój samochód stał nieopodal. Nikt się nim nie zajmował, lecz maska wciąż była podniesiona. Rachel zaciągnęła hamulec ręczny i wyskoczyła z wozu.

– Wróciła?

– Nie. – Syn Traska był blady i zdenerwowany. Ledwie na mnie spojrział. – Tata szykuje łódź.

– Co się stało? – spytała Rachel, gdy szli w stronę domu. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, ruszyłem z nimi.

– Nic, ale znasz Fay. Obraziła się, kiedy nie zechciałem wszystkiego rzucić i zabrać jej na łódkę.

– Widziałeś, jak odchodzi?

– Nie, ale zaraz potem wyszedł tata i zapytał, gdzie jest. Nie było jej w domu ani w pobliżu i Cassie też zniknęła. Pewnie musiała sama wybrać się na Backwaters. Boże, co za rozpuszczona gówniara...

– Dość tego. – Kiedy wyszliśmy spomiędzy drzew, Trask wyłonił się zza węgła domu, zwijając nylonową linę. – Gdybyś miał do niej więcej cierpliwości, może nie zachowywałaby się w taki sposób.

– Chyba nie tylko ja? – mruknął pod nosem Jamie.

Ojciec zwrócił się w jego stronę, zaciskając mocno zęby.

– Coś powiedział?

– Nic.

Zacząłem bardziej niż kiedykolwiek czuć się jak intruz. Rodzinna awantura, więc co tu po mnie? Z całą pewnością nie byłem im potrzebny.

Niewiele mogłem w tej sytuacji poradzić, jednak zapytałem: – Mogę jakoś pomóc? – przede wszystkim po to, by osłabić napięcie.

Trask oderwał wreszcie wzrok od syna i zwrócił się do mnie:

– Nie, wszystko w porządku. Może pan...

W tym momencie wszyscy usłyszeliśmy ciche skomlenie psa i w chwilę później na ścieżce między drzewami pojawił się mały kundelek, mokry i zabłocony, jakby wpadł do strumienia, a kiedy się zbliżył, widać było, że kuleje. Na nasz widok zaskomlał głośniej i pokuśtykał ku nam, starając się nie stawać na przedniej łapie. W niektórych miejscach mokrą sierść pokrywało nie tylko błoto, ale też coś ciemniejszego.

– Krwawi! – krzyknęła Rachel, podbiegając do zwierzęcia i kucając przy nim. – Och, cała jest poraniona!

Suczka zaszczekała, machając ogonem, kiedy Rachel próbowała ją zbadać, lecz drżała żałośnie, a krwawe plamy na jej zabłoconej sierści były coraz wyraźniejsze.

– To wygląda jak ugryzienia. Coś musiało ją zaatakować – uznał Jamie.

– Mogę zobaczyć? – zapytałem.

Odsunął się na bok. Suka zaskomlała, gdy rozgarnąłem jej gęste futro, by lepiej obejrzeć rany, w większości płytkie skaleczenia o poszarpanych brzegach albo niewielkie nakłucia.

– Nie jest pogryziona – oświadczyłem. Zęby lub pazury bardziej uszkodziłyby skórę. Poczulem ulgę, widząc, że skaleczenia nie były równe jak cięcia nożem. – Ślady bardziej przypominają rany szarpane. Jakby w coś wpadła.

– W co? – zapytał Jamie takim tonem, jak gdyby to była moja wina.

Nie znałem odpowiedzi. Trask w każdym razie stracił zainteresowanie psem i ruszył w kierunku kępy drzew, skąd przybiegł kundelek, gdzie złożył dłonie przy ustach, wołając:

– Fay! Fay!

Żadnej odpowiedzi. Popatrzył na pustą okolicę i wrócił.

– Wezmę łódź na Backwaters. Jamie, pójdziesz wzdłuż strumienia w kierunku hangaru. Weź telefon i dzwoń natychmiast, jak coś znajdziesz.

– A jeżeli niczego nie...

– Po prostu zrób to!

– A co ze mną? – zapytała Rachel, gdy Jamie ruszył biegiem.

– Zostań tutaj. Jeżeli Fay wróci, daj znać.

– Ale...

– Bez dyskusji.

Już szedł szybkim krokiem, skręcając za róg domu, ja zaś poszedłem za nim.

– Jadę z panem.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Może będzie potrzebna, jeżeli jest ranna.

Spojrzał na mnie gniewnie, jakby gromiąc mnie za to, że wypowiedziałem głośno jego obawy, zanim jednak zdążył odpowiedzieć, dogoniła nas Rachel.

– On jest lekarzem, Andrew. Widziałeś Cassie.

Trask się zawahał, lecz zaraz krótko skinął głową. Dotarliśmy przed dom, którego ściana od tej strony była niemal całkowicie przeszklona. Wielkie okna wychodziły bezpośrednio na strumień, gdzie zobaczyłem unoszący się na wodzie pływający pomost z zacumowaną do niego małą łodzią z włókna szklanego z silnikiem przyczepnym. Pomost zakołysał się, kiedy Trask przebiegł po nim i wskoczył na jej pokład.

– Odwiąż linę.

Odcumowałem i wszedłem do łodzi. Zakołysała się i zielona woda zapluskala wokół jej pokrytego algami dna. Usiadłem na dziobie, a Trask zapuścił silnik, który ruszył z parsknięciem, wypluwając chmurę niebieskich spalin, dodał gazu i ruszyliśmy w górę strumienia.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że Rachel patrzy za nami, przykucnięta obok psa.

Trask milczał, gdy z warkotem sunęliśmy w głąb Backwaters. Trwający odpływ odsłonił oba błotniste brzegi, lecz pośrodku było wystarczająco dużo wody dla łodzi o niewielkim zanurzeniu.

Zauważyłem mewy krążące i nurkujące nad czymś tkwiącym w błocie, ale była to tylko plastikowa torba.

– Córka ma telefon?

– Nie – przerwał, więc pomyślałem, że tylko tyle usłyszę. Wpatrywał się przed siebie w strumień. – Powiedziałem jej, że jest za mała – dodał jednak po chwili.

Cóż można było na to odpowiedzieć? Jedyne sposob, by poprawić mu

samopoczucie, to odnaleźć Fay całą i zdrową.

– Czy dużo jest miejsc, w które mogła pójść?

Przeciął łodzią plamę zmarszczek na wodzie, jedyne świadectwo mielizny pod powierzchnią.

– Kilka, trudno jednak tam dotrzeć na piechotę. Więcej sprawdzimy łodzią.

Słone błota ustąpiły kępom wysokich trzcin. Teraz, w czasie odpływu, w niektórych miejscach sięgały ponad nasze głowy i łódź wydawała się poruszać kanałem między nimi. Co chwila Trask wołał córkę, przekrzykując warkot silnika, lecz jedynym odzewem był wrzask spłoszonych ptaków. Mijaliśmy rozstępy w trzcinach wyglądające z dala jak odnogi głównego strumienia, z bliska zaś okazujące się ślepymi zaułkami. Nic dziwnego, że tak niewiele łodzi zapędzało się w te miejsca, nie tylko niedostępne, lecz tworzące też istny labirynt kanałów i trzcin.

Od chwili gdy wyruszyliśmy, poziom wody wyraźnie opadł – teraz brzegi strumienia wznosiły się nad nami jak błotnisty kanion. Musieliśmy trzymać się samego środka kanału i było jasne, że nie zdołamy dotrzeć wiele dalej, bo prędzej czy później utkniemy na jakiejś płyciźnie. Kiedy dotarliśmy do miejsca, w którym strumień przedzielała długa mielizna, Trask ustawił silnik na luzie i przygryzając wargę, rozglądał się po biegnących w różnych kierunkach kanałach.

– Co się stało?

– Nie wiem, dokąd poszła z tego miejsca, a pływ zbyt się cofnął, żeby wszystko przeszukać.

Nagle wyłączył silnik. Łódź się zachybotowała, gdy wstał i zawołał w zapadłej znienacka ciszy:

– Fay!

Bez odpowiedzi. Jedynym dźwiękiem był plusk małych fal uderzających o kadłub dryfującej wolno wstecz łodzi. Trask z ponurą miną ponownie wykrzyknął jej imię, a potem wyciągnął rękę, by zapuścić silnik.

– Poczekaj – powiedziałem.

Miałem wrażenie, że usłyszałem coś, kiedy się poruszył. Zamarł, nasłuchując.

– Nic nie...

I znowu dobiegł mnie ten dźwięk. Przerażony, dziecięcy głos wołał:

– Tatusiu!

Traskiem szarpnęło jak napiętą struną.

– Już dobrze, Fay, już idę! – wrzasnął, odpalając silnik.

Kostki jego palców zaciśniętych na rumplu zbieleły, gdy skierował łódź w lewe odgałęzienie. Wzdłuż brzegów, niczym zepsute zęby, sterczały z błota przegniłe drewniane pale. Minęliśmy rozsypujące się resztki starej budy z blachy falistej, potem zakręt i zobaczyliśmy córkę Traska.

Łkając, leżała do połowy w wodzie, cała pokryta błotem, a wokół niej ze strumienia wylaniało się coś, co początkowo uznałem za jakieś wodorosty, odsłonięte przez odpływ. Potem zbliżyliśmy się i poznałem swoją omyłkę.

Strumień był pełen drutu kolczastego.

– Tatusiu, boli! – łkała Fay.

Wyskoczyliśmy z łodzi i z pluskiem ruszyliśmy przez zimną wodę.

– Wiem. Już wszystko dobrze, kochanie. Staraj się nie ruszać.

I tak nie mogła. Miała wolną tylko jedną rękę, drugą uwięził zardzewiały drut. Kolce wbiły się w materiał i ciało, a na pokrywającym je błocie widniały zacieki krwi. Widzieliśmy tylko jej ramiona i tors, najwyraźniej jednak drut omotał ją także pod wodą.

Jej buzia była blada, umorusana i zalana łzami.

– Cassie wskoczyła do wody i nagle zaczęła tak strasznie skomleć! Chciałam jej pomóc, ale sama się uwolniła, a ja wpadłam i... i...

– Ciii, już dobrze. Cassie nic nie jest, wróciła do domu.

Trask kucnął obok niej, ostrożnie obmacując drut. Był całkiem innym człowiekiem niż ten, którego znałem do tej pory. Delikatnym i czułym. Niemniej kiedy odwrócił się do mnie, zobaczyłem strach w jego oczach.

– Musisz trzymać drut nieruchomo, gdy będę ją uwalniał – powiedział cicho.

– Powinniśmy wezwać służby ratunkowe... – zacząłem, ale pokręcił głową.

– Dotarcie tutaj potrwa zbyt długo. Nie zostawię jej tak.

Wiedziałem, co czuje, bo gdyby to była moja córka, też nie chciałbym czekać. Wahalem się jednak, nie mając pewności, czy we dwójkę zdołamy ją uwolnić, nie powiększając obrażeń.

Trask już podjął decyzję, za to Fay zaczęła panikować, kiedy zorientowała się, co mamy zamiar zrobić.

– Nie, nie, nie! Nie chcę...!

– Ciii, musisz być dzielna. No dalej, pokaż, że jesteś dzielną dziewczynką.

Zacisnęła mocno powieki i odwróciła głowę, gdy jej ojciec zabrał się do pracy. Zdjąłem kurtkę i wiedząc, że będzie potrzebna później, rzuciłem ją na suchy brzeg, zanim do nich dołączyłem. Zdawałem sobie sprawę, że przemoczenie tak szybko po chorobie jest proszeniem się o kłopoty, lecz nie było wyboru. Twarz Traska była ponura i skupiona, gdy siedział w kucki po pierś w wodzie, wymacując kolce pod ciemną powierzchnią. Muł zasysał mi stopy, gdy starałem się sztywno trzymać druty, i chociaż zawczasu tak obciągnąłem rękawy koszuli, by okrywały dłonie, obaj wkrótce krwawiliśmy już w miejscach, gdzie ostry metal porozdzierał nam skórę jak papier.

Mimo wszystko mieliśmy szczęście, gdyby bowiem trwał teraz przypływ, sytuacja mogłaby stać się tragiczna. Unieruchomiony w czasie gdy Trask mozolnie uwalniał córkę, mogłem dokładnie przyjrzeć się drutowi. W tym miejscu strumień

był częściowo przegrodzony łąką i tworzył staw wyglądający na wystarczająco głęboki, by utrzymać wodę nawet w czasie odpływu. Na powierzchnię wyłoniło się tylko kilka pasm drutu, pociągniętych przez szarpiącą się dziewczynkę, przedtem więc były całkowicie zanurzone i sama myśl o idiocie, który go tu wrzucił, przyprawiała mnie o wściekłość.

Trask krzywił się z wysiłku, gdy jego dłonie i przedramiona błędziły po omacku pod wodą.

– Dobra dziewczynka. Już tylko jeden – powiedział córce i zerknął na mnie.  
– Bądź gotów odciągnąć drut.

Ramiona mu się naprężyły, dziewczynka zaś krzyknęła z bólu. A potem Trask podniósł ją do góry. Gdy się wyprostował, woda ściekała z obojga kaskadą. Byłem zaskoczony, ponieważ drut, który odciągałem na bok, aby Trask mógł wynieść córkę na błotnisty brzeg, okazał się zaskakująco ciężki i stawiał niespodziewany opór. Fay łkała, tuląc się do ojca, który szeptał jej coś do ucha, dodając otuchy. Drżała i krwawiła, lecz żadna z ran nie wyglądała na poważną. Dzięki Bogu, pomyślałem, puszczając drut.

Mała nagle spojrzała obok mnie i jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia. Obejrzałem się i zobaczyłem, że woda pośrodku strumienia burzy się, wirując, jakby pod jej powierzchnią kotłowała się wielka ryba, i nagle coś wypłynęło na powierzchnię.

Zaczepione o drut kolczaste ciało powoli wyłaniało się z wody z rękami i nogami zwisającymi jak u zepsutej lalki. Kiedy rozległy się krzyki Fay, blada głowa zwróciła ku niebu puste oczodoły.

A potem, jakby uciekając od dziennego światła, zwłoki zatonęły i woda zamknęła się nad nimi ponownie.

## Rozdział 14

Mewa śmieszka coś znalazła. Stała z przekrzywioną głową, jednym okiem spoglądając na muł, aż nagle dziobnęła mocno i po krótkiej, nierównej szarpaninie wyciągnęła z mułu małego kraba kieszeńca. Przebierał teraz odnóżami, leżąc na grzbiecie i demonstrując instynkt przetrwania nawet w ostatnich chwilach życia. Potem dziób mewy opadł, uderzając w niechroniony brzuch, i krab stał się kolejnym ogniwem łańcucha pokarmowego.

Odwróciłem wzrok, gdy mewa zabrała się do jedzenia. Stojący obok mnie na brzegu Lundy patrzył w dół na mokry tors zaczepiony na drucie kolczastym.

– A więc tak wygląda ta pańska dyskretna obecność?

Powiedział to bez szczególnej irytacji, ale obaj wiedzieliśmy, że to zupełnie co innego niż znalezienie adidasa.

To zmieniało wszystko.

Zwłoki zwisały z drutu kolczastego niczym brudne pranie, gdyż odpływ nie odsłonił ich jeszcze do końca, lecz od pasa w górę były już widoczne w całej swojej rozkładającej się okazałości. Ubrani w kombinezony policjanci i technicy kryminalistyczni stali na brzegu, czekając, aż woda opadnie na tyle, aby można było rozpocząć mało przyjemną operację wyciągania ciała. Dzięki odpływowi przynajmniej nurków policyjnych uznano za zbędnych – zanim tu dotrą, strumień będzie już tak płytki, że nie mieliby tu nic do roboty.

Teraz jednak zanosilo się na długie czekanie.

Kiedy udało nam się z Traskiem wypłatać jego córkę z drutu kolczastego, wróciłem do Creek House. Nie było sensu czekać na przybycie policji przy strumieniu, bo po pierwsze, ciało zatonoło znowu i nie mogło się nigdzie zapodziać, a po drugie, musiałem zmienić przemoczone ubranie. Dopiero pozbyłem się jednego zaziębienia, bo jak głupi nie zrobiłem nic, choć przemokłem do nitki, i teraz wołałem nie wystawiać szczęścia na próbę.

W drodze powrotnej sterowałem łodzią, podczas gdy Trask tulił córkę. Na miejscu nie byliśmy w stanie opatrzyć jej obrażeń, ale chociaż czekało ją zakładanie szwów, żadna z ran nie wyglądała na tak głęboką, żeby spowodować poważną utratę krwi.

O wiele bardziej niepokojące było ryzyko infekcji wywołanej skażoną wodą i rdzą. Rozkładające się zwłoki są siedliskiem wszelkiego rodzaju bakterii, w tym niektórych potencjalnie zabójczych. Mnie zaszczepiono przeciwko większości z nich z powodu mojej pracy, a poza tym i tak byłem na antybiotykach, Fay jednak będzie musiała zostać poddana kompletowi szczepień, podobnie jak jej ojciec. Obaj poraniliśmy sobie ręce drutem kolczastym, Trask o wiele bardziej niż ja.

Mimo wszystko jednak nie sądziłem, aby istniało większe zagrożenie dla

naszej trójki. Nie zetknęliśmy się bezpośrednio ze zwłokami, a zasolone wody strumienia były nieustannie odświeżane przez pływy. Dla córki Traska największym bezpośrednim zagrożeniem były szok i wychłodzenie, bo chociaż woda nie była tak zimna, jak by mogła, wiosna dopiero się zaczynała i temperaturze niechcianej kąpeli daleko było do letniej. Dałem Traskowi moją suchą kurtkę, by owinął w nią Fay, lecz niewiele więcej mogłem zrobić. Poza jednym drobiazgiem.

Trask wyglądał na oszołomionego i był blady, gdy zapuszczałem silnik i brałem powrotny kurs do domu, wyjaśniając, jak trzymać się głębszej wody pośrodku strumienia. Nic nie mówił, nietrudno jednak było zgadnąć, o czym myśli.

Wzdrygnął się zaskoczony, gdy dotknąłem jego ramienia.

– To był mężczyzna – powiedziałem cicho. – Rozumiesz? To był mężczyzna.

Na te słowa jakby zapadł się w sobie, a potem z wyraźnym wysiłkiem wziął się w garść, kiwnął głową i przytulił do siebie córkę, ja zaś dodałem gazu i łódź z warkotem ruszyła w dół strumienia.

Miałem nadzieję, że postąpiłem właściwie.

Prawdę mówiąc, nie sposób było odgadnąć płęć nieboszczyka na podstawie pobieżnego rzutu okiem i w normalnych okolicznościach nigdy bym nie wyraził tak kategorycznej opinii. Teraz jednak dziewczynka potrzebowała wsparcia ojca, a Trask wydawał się na skraju wytrzymałości. Nic dziwnego. Zaledwie dwa dni temu znaleziono ciało człowieka podejrzewanego o morderstwo jego żony. Musiał uporać się z wystarczająco wieloma problemami i nie potrzebował jeszcze zadrećzać się myślą, że dopiero co odnaleźliśmy jej szczątki.

Poza tym wypowiedziałem się raczej jako lekarz, nie antropolog sądowy. Jeżeli miałem rację, oszczędziłbym rodzinie wielu dni pełnego udręki oczekiwania. Jeżeli się myliłem... No cóż, wcześniej też popełniałem błędy, i to z gorszych powodów.

Gdy znaleźliśmy się z powrotem w domu, zadzwoniłem do Lundy'ego z informacją, co zaszło, i umówiłem się z nim przy strumieniu. Jamie zawiózł ojca i siostrę do szpitala. Zmieniłem ubranie na suche, które miałem w torbie, i opatrzyłem dłonie najlepiej, jak potrafiłem. Odzyskałem moją kurtkę, bo Fay zawinięto w koc, ale mokrą i brudną, zostawiłem ją więc w domu, przyjmując zaproponowaną mi przez Rachel starą kurtkę Traska i parę gumiaków w miejsce moich przemoczonych butów. W sumie nie czułem się źle, byłem tylko trochę roztrzęsiony, lecz przypisałem to adrenalinie, która miała pracowity dzień. Kiedy zorientowałem się, że Rachel zamierza jechać z poranionym psem do weterynarza, poprosiłem ją, by podrzuciła mnie możliwie najbliżej do fragmentu odcinka, gdzie znaleźliśmy ciało.

Okazało się, że można tam było dojść na piechotę, i to łatwiej, niż



przypuszczałem. Droga prowadziła przez mały most przerzucony zaledwie pięćdziesiąt jardów od miejsca, w którym Fay zaplątała się w drut kolczasty. Dla policji był to wygodny, charakterystyczny punkt zbiórki, a także swego rodzaju szlak – gruntowa ścieżka biegła od mostku do samego strumienia, stamtąd zaś było zaledwie kilka minut marszu brzegiem do rozlewiska, w którym zobaczyliśmy zwłoki.

Najpierw pojawiło się dwóch mundurowych. Jeden został przy moście, a drugiego zaprowadziłem nad strumień, gdzie wkrótce potem zaczęła się zbierać także reszta ekipy zajmującej się miejscem zbrodni. Zanim na miejsce dotarli Lundy i Frears, poziom wody opadł tak, jakby z dna wyciągnięto korek, odsłaniając kłęby drutu kolczastego sterczące nad powierzchnią jak zardzewiałe krzewy jeżyn.

Zwłoki wyłaniały się cał po calu, najpierw głowa, której czubek wynurzył się niczym spłaszczony dzwon meduzy, potem ramiona, pierś i ręce. Ciało było ubrane w grubą, skórzaną kurtkę mogącą wcześniej mieć kolor brązowy lub czarny, teraz jednak zbyt brudną i przemoczoną, by mieć co do tego pewność. Zwisało twarzą do dołu, jeden łokieć wygięty był w niewłaściwą stronę, a dłonie odpadły i z mankietów kurtki sterczały jedynie końcówki kości oraz chrząstek. Przechylona na bok głowa też wydawała się na granicy odpadnięcia i na miejscu utrzymywał ją bardziej drut kolczasty niż pozostała tkanka łączna.

Frears poczekał, aż poziom wody będzie wystarczająco niski, aby mógł obejrzeć ciało, i zaraz potem wrócił do prosektorium. Było oczywiste, że wyciąganie mogących się w każdej chwili rozpaść szczątków z drutu kolczastego będzie powolnym procesem, patolog zaś nie robił wrażenia grzeszącego cierpliwością. Zresztą jego dalszy pobyt był zbyteczny. Clarke coś zatrzymało w sądzie, ale Lundy był bardziej niż kompetentny, by nadzorować wydobycie, dopóki na miejsce nie dotrze nadkomisarz.

Ja też nie miałem powodu, by tu tkwić, zresztą jako świadek formalnie nawet nie powinienem. Skoro jednak nikt nie kazał mi się stąd zabierać, usiadłem na pobliskim wzgórku z wręczonym mi przez Lundy'ego plastikowym kubkiem kawy i obserwowałem, jak odpływ powoli ujawnia tajemnicę.

– To nie jest coś, co powinno oglądać dziecko – zauważył inspektor, gdy technicy zaczęli wchodzić do strumienia. – I kiepskie miejsce dla jej psa, by popływać. Myśli pan, że poczuł zapach?

– Prawdopodobnie.

Czekając, miałem czas się zastanowić. Zmysł węchu psa mógł okazać się wystarczająco czuły, aby wykryć ciało w stanie rozkładu, gdy odpływ sprawił, że znalazło się blisko powierzchni. Rachel powiedziała mi, że Trask kupił córcę psiaka dopiero po zniknięciu żony, a więc był u nich niecałe siedem miesięcy. Potem nastąpiła długa, mokra zima, która nie zachęcała do spacerów po Backwaters. Było więc możliwe, a nawet prawdopodobne, że wrażliwy na bodźce

młody pies aż do dzisiaj nie miał możliwości wycucia zagadkowego zapachu dolatującego z wody.

Technicy zaczęli forsować drut kolczasty, aby dostać się bliżej zwłok. Mieli grube rękawice i sięgające do pach wodery, lecz mimo wszystko nie zazdrościłem im zadania. Lundy odezwał się, nie odrywając od nich wzroku.

– Rozmawiałem z Traskiem, jadąc tutaj. Powiedział mi, że pańskim zdaniem to mężczyzna. – W jego głosie brzmiało zarówno pytanie, jak i wyrzut.

– Uznałem, że ma dość zmartwień, i nie chciałem, by musiał jeszcze zastanawiać się, czy to jego żona.

– A jeżeli pan się pomylił?

– Wtedy go przeproszę. Ale nawet jeśli to kobieta, nie przypuszczam, żeby była Emmą Derby.

Lundy skinął potakująco głową.

– Fakt, ja również.

Dolna część ciała była wciąż pod wodą, trudno więc było określić jego wzrost, lecz nawet uwzględniając wzdęcie i grubą, skórzaną kurtkę, nie ulegało wątpliwości, że miało szeroką pierś i ramiona. Kimkolwiek był denat, musiał zaliczać się do mocno zbudowanych osobników.

Co niekoniecznie oznaczało, że był mężczyzną. Określenie płci zwłok, szczególnie w stanie tak daleko posuniętego rozkładu jak te, poza prosektorium nie było wcale proste. Choć szkielety męskie i żeńskie mają charakterystyczne cechy, różnice między nimi są często niewyraźne. Na przykład szkielet młodego mężczyzny może na pierwszy rzut oka przypominać kościec dorosłej kobiety. Również nie wszyscy w pełni dojrzały mężczyźni odpowiadają tradycyjnemu stereotypowi, charakteryzując się długimi kośćmi, podobnie jak nie każda kobieta jest niższa i drobna.

Pewnego razu pracowałem nad sprawą związaną ze szkieletem kogoś o wzroście ponad stu osiemdziesięciu centymetrów. Czaszka miała mocną, kwadratową szczękę i wyraźnie uformowane łuki brwiowe, co ogólnie rzecz biorąc, dość wyraźnie wskazywało na mężczyznę. Policja uważała, że może nim być zaginiony ojciec dwójki dzieci, który zniknął półtora roku wcześniej, dopóki owalny wchód miednicy i szerokość większego karbu kulszowego nie ujawniły, że były to zwłoki kobiece. Dokumentacja dentystyczna pozwoliła zidentyfikować denatkę jako czterdziestosiedmioletnią nauczycielkę z Sussex.

O ile wiem, zaginionego mężczyzny nigdy nie znaleziono.

Mimo to i chociaż zwłoki wiszące na drucie widziałem tylko częściowo, zdawały się zbyt wielkie, aby mogły być tą szczupłą kobietą, której autoportret widziałem w hangarze.

Poziom strumienia spadł mniej więcej do najniższego punktu, przez co mielizna utworzyła skuteczną tamę, odcinając basen o długości jakichś dwudziestu

jardów i głębokości kilku stóp. Technicy kryminalistyczni zdołali unieść zwłoki tak, że woda sięgała im poniżej bioder, lecz stopy i większa część nóg nadal były ukryte pod powierzchnią.

Lundy, technicy i pilnujący miejsca zbrodni dyskutowali, jak najlepiej zdjąć ciało z drutów.

– Czy możecie wyciągnąć to wszystko razem? – zapytał inspektor techników taplających się w mętnej wodzie.

Jeden z nich, młoda kobieta wyglądająca beczłciowo i niepozornie w ochronnym kombinezonie, pokręciła głową.

– Za ciężkie. Myślę, że drut zaczepił o coś na dnie. Mamy zamiar spróbować najpierw wyciągnąć ciało.

– Dobra, ale uważajcie na kolce. Nie mam ochoty wypełniać żadnych protokołów powypadkowych.

Skwitowano to parsknięciem śmiechu. Lundy w zamyśleniu popatrzył na zwłoki.

– Jak długo pana zdaniem tu były? – zapytał.

Sam się nad tym zastanawiałem. Zanim wyciągając drut, ja i Trask je poruszyliśmy, były zanurzone w głębszej wodzie, odgradzonej mielizną nawet w czasie odpływu. Mogło to spowodować, że proces rozkładu przebiegał wolniej, niż gdy pozostawały wystawione na działanie światła słonecznego i powietrza, a utrzymywane w jednym miejscu przez drut kolczasty ciało nie uległo takiemu zniszczeniu jak przy wleczeniu go przez prądy pływowe.

Mimo wszystko jednak było zbyt wiele niewiadomych, aby przedstawić cokolwiek bardziej konkretnego niż przybliżoną ocenę.

– Trudno powiedzieć. Zaczęły się rozpadać i utworzyły się sporo tłuszczowosku. To powolny proces, a więc co najmniej kilka miesięcy.

– Mówimy na pewno o miesiącach, nie latach?

– Tak sędzę. – Gdyby rozkład trwał dłużej, głowa by odpadła. Bez względu na to, czy ciało było zanurzone, czy nie, wody strumienia były stosunkowo płytkie, ciepłe i nieustannie poruszały się w rytmie pływów. – Czy zaginął jeszcze jakiś miejscowy?

– Tylko Emma Derby, ją jednak możemy skreślić. A tak dla jasności, uważa pan, że to znajdowało się w wodzie dłużej niż ciało z Barrows?

Twarz Lundy'ego miała neutralny wyraz, lecz wiedziałem, o czym myśli. Znalezienie drugich zwłok tak szybko po pierwszych było potencjalną – i niepożądaną – komplikacją, zwłaszcza gdyby materiał dowodowy sugerował, że obie osoby zmarły mniej więcej w tym samym czasie.

Przynajmniej w tej kwestii mogłem go uspokoić.

– O wiele dłużej. Te są w o wiele gorszym stanie, mimo że rozkład pod wodą przebiega wolniej niż na powierzchni. Wiele jednak zależy od tego, jak długo

dryfowały, zanim tu utknęły.

– Jeżeli dryfowały.

Spojrzałem na niego.

– Myśli pan, że było inaczej?

Pokręcił głową.

– Pewności nie mam, lecz sprawiają wrażenie nieco za dobrze unieruchomionych.

Założyłem, że zwłoki zostały tu przyniesione przez pływy, i skupiałem uwagę raczej na ich stanie, a nie na tym, jak się zaplątały. Teraz bardziej zainteresowałem się zwojami drutu. Strzępy trawy i poszarpanego plastiku zwisały z nich jak sfatygowane serpentyny. Kolce pochwyciły zarówno odzież, jak i ciało, wbijając się w nie jak haczyki na ryby. Mogła do tego doprowadzić sama masa ciała, w miarę wzbierania i opadania strumienia coraz bardziej nadziewającego się na zardzewiałe kolce. Ale czy zwłoki mogłyby się zahaczyć w tak wielu miejscach? Albo tak bardzo zaplątać? Pasma drutu zaczęły, na pozór przypadkowo, nawet o plecy denata, co mógł, rzecz jasna, spowodować naturalny ruch wody w strumieniu. Nie tylko następujące dwa razy dziennie pływy, ale również burze i pływowe spiętrzenia wody były w stanie przesunąć zwłoki.

Teraz, kiedy Lundy zasiał we mnie ziarno wątpliwości, pojąłem, co miał na myśli. Wcześniej byłem wściekły na człowieka, który bezmyślnie, jak sądziłem, wrzucił drut kolczasty do strumienia.

Być może wcale nie było to takie bezmyślne działanie.

\* \* \*

Wydobycie ciała ze strumienia okazało się trudniejsze, niż ktokolwiek przypuszczał. Było w stanie zbyt daleko posuniętego rozkładu, by dało się je zdjąć z kolców jeszcze w wodzie, podjęto więc decyzję, żeby zamiast tego przeciąć druty nożycami. Lundy przedstawił mi to jako przyjęty plan, nie w formie konsultacji, lecz dopiero gdy przyznałem, że wygląda to na najlepszą metodę, powiedział technikom, żeby zaczęli.

Za każdym razem, kiedy drut ustępował pod nożycami, ciało opadało, a pozostałe jeszcze całe zwoje napinały się, wibrując jak trącone struny gitary. Trwało to ponad pół godziny, w końcu jednak ostatni drut pękł z brzęknięciem. Szczątki, z których końcówki drutów nadal sterczały jak grube włosy, położono na noszach i wyniesiono. Przesunąłem się na bok, gdy je stawiano na brzegu, z bliska czując znany odór rozkładu. W pobliżu kręciło się kilka much, ale ciało było w stanie, który nie odpowiadał nawet ich niewybrednym gustom.

Miałem wreszcie możliwość przyjrzenia się im dokładniej i nic, co zobaczyłem, nie podważało mego wcześniejszego zapewnienia Traska, że to mężczyzna. Dość potężny osobnik, może nie olbrzym, ale mający dobrze ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Typową dla motocyklistów kurtkę, której

metalowy suwak teraz zardzewiał, wykonano z grubej, ciemnej skóry, a wyciągnięta z czarnych dżinsów czarna koszula, brudna i podarta, opadała luźno na spodnie. Prawa noga była wygięta pod dziwnym kątem, a coś sterczało pod kolanem, pozwalając przypuszczać, że piszczel i kość strzałkowa goleni są zapewne złamane, podobnie jak lewy łokieć. Wcześniej spodziewałem się, że stopy odpadły, podobnie jak dłonie, i przyszło mi na myśl, że prawa stopa, znaleziona wewnątrz adidasa, mogła pochodzić z tych zwłok, a nie Leo Villiersa. Lundy nie powiedział na ten temat nic więcej, zatem sprawa taniego adidasa należącego do bogatego polityka, któremu się nie powiodło, nadal mnie męczyła.

Niemniej teraz, kiedy ciało wyłoniło się z wody, zobaczyłem, że nadal ma na nogach sięgające do połowy łydki skórzane buty, które mogły ochronić wrażliwe stawy skokowe i zapobiec odpadnięciu stóp, do czego by doszło przy innym obuwiu. Spojrzałem na nie, potem zaś znów na kurtkę, będąc o włos od uchwycenia na wpół ukształtowanej myśli.

Ale umknęła mi. Poza tym były bardziej oczywiste kwestie do rozważenia. Oczy zostały wyjedzone przez padlinożerców, z włosów pozostało jedynie kilka cienkich pasem nieokreślonego koloru. Na całej głowie i karku utworzyła się brudnobiała warstwa tłuszczowosku, nadając im wygląd części manekina. Nawet to nie mogło ukryć uszkodzeń twarzy, od czoła w dół porytej paskudnymi, równoległymi bruzdami po cięciach, które uszkodziły ciało i kości. Nos został zniszczony niemal całkowicie, ukośny cios usunął zęby i zuchwę. Cięcia były też zadane w poprzek gardła i w pierś. Rozdarły grubą skórę kurtki, odsłaniając sterczące pod nią żebra, a potem zanikały.

Spojrzałem na Lundy'ego, aby zorientować się, czy myśli to samo co ja. Były to drugie zwłoki znalezione w rozlewisku ujścia, których elementy twarzy pozwalające na identyfikację zostały zniszczone. Tym razem nie strzałem ze śrutówki, lecz uszkodzenia były równie duże.

– Wiem – odpowiedział na moje niezadane pytanie. – To niekoniecznie coś oznacza.

– Śruba łodzi – orzekł jeden z techników, potężny mężczyzna o czerwonej z wysiłku twarzy. – Widziałem już takie rzeczy. Trup pływa pod samą powierzchnią, łódź pędzi i trach!

Uderzył pięścią w dłoń. Lundy spojrzał na niego z dezaprobatą, a potem zwrócił się do mnie.

– Co pan myśli, doktorze Hunter?

– Możliwe – przyznałem. Uszkodzenia ciała mogły powstać po śmierci i na pierwszy rzut oka wydawały się odpowiadać równoległym cięciom zadanym przez śrubę małej łodzi. A przynajmniej na tyle, na ile mogłem to zobaczyć pod warstwą tłuszczowosku. Teoria ta miała jednak jeden mankament. – Nie jestem pewien, w jaki sposób śruba mogłaby w takim stopniu uszkodzić twarz – powiedziałem.

– Ciało pływałoby twarzą do dołu, a nie na wznak.

– Wiem, jak pływają zwłoki – burknął wielki technik. – Łódź musiała go najpierw przekręcić na plecy. Ma złamaną rękę i nogę, co dobrze wszystko tłumaczy.

Nadal nie byłem przekonany, lecz dalsza dyskusja nie miała sensu. Dopóki ciało nie zostanie porządnie zbadane w prosektorium, wszystko było tylko przypuszczeniami. I zrobi to ktoś inny, pomyślałem z goryczą. Lundy wyświadczył mi uprzejmość, pozwalając pozostać w czasie wydobywania ciała, ale nie liczyłem na to, że Clarke nagle zmieni zdanie i ponownie włączy mnie do dochodzenia. Była na mnie wystarczająco zła, zanim to się stało.

Nadkomisarz się nie pojawiła, tylko zadzwoniła do Lundy’ego akurat wtedy, kiedy szczątki ostrożnie wkładano do worka na zwłoki. Odszedł dalej brzegiem, aby odebrać. Słuchał, spoglądając na ciało i kiwając głową, a potem zakończył połączenie i wrócił do mnie.

– Dzwoniła szefowa. Zatrzymali ją w sądzie i przyjedzie prosto do prosektorium.

W czasie gdy rozmawiał, rozważałem swoje możliwości. Mogłem mieć ostatnią szansę wystąpienia w swojej sprawie. Może to nic nie da, lecz nie będę wiedział, jeżeli nie spróbuję.

– Będzie wam potrzebny antropolog sądowy.

Lundy uniósł brwi, ale przytaknął ruchem głowy.

– Pewnie ma pan rację. Jak pańskie ręce?

Zapomniałem o nich. Poruszyłem palcami obciążniętymi plastikiem i dopiero wtedy, kiedy o tym wspomniał, poczułem, że bołą.

– Są w porządku – odparłem, postanawiając nie przejmować się paroma rankami. – Proszę posłuchać, skoro już tu jestem, nie sądzi pan, że byłoby głupie, gdybym się im nie przyjrzał?

– To zależy od szefowej. – Sprawiał wrażenie rozbawionego. – Ale na pana miejscu nie używałbym słowa „głupie”.

Pozwoliłem, aby frustracja wzięła nade mną górę.

– Mimo wszystko chciałbym z nią porozmawiać.

– Wszystko zależy od pana. Może pan ją o to zapytać w kostnicy.

– W kostnicy...? – Oczekiwałem raczej, że mi odmówi albo mnie spławi.

– A więc... Clarke chce, żebym zbadał ciało?

– Nie wiem, nie powiedziała nic na ten temat. – Lundy spoważniał. – Jest coś jeszcze, o czym chcielibyśmy poznać pańską opinię.

## Rozdział 15

Kostnica mieściła się w niepozornym budynku sąsiadującym z głównym szpitalem. W recepcji powiedziano mi, w której sali prosektoryjnej mnie oczekują, a potem skierowano do szatni, gdzie odwiesiłem swoje ubrania do szafki, przebrałem się w czysty fartuch chirurga i wymieniłem pożyczone od Traska i Rachel stare gumki na nową parę białych gumowych pantofli operacyjnych.

Wciąż nie wiedziałem, co tu robię. Lundy powiedział mi tylko, że spotkam się tu z Clarke.

– Wtedy wszystko wyjaśni – oznajmił. – Lepiej, żeby pan pojechał bez jakichkolwiek uprzedzeń.

Zawsze próbowałem zachowywać taką postawę, ale nie naciskałem, czując, że niczego więcej się od niego nie dowiem. Inspektor nie pojechał ze mną, postanawiając pozostać na miejscu, dopóki reszta drutu kolczastego nie zostanie wyciągnięta ze strumienia. Na jego polecenie odwiózł mnie do kostnicy gadatliwy młody posterunkowy, bo mój wóz wciąż przecież czekał koło domu Traska na wymianę świec.

Clarke oczekiwała na mnie w sali prosektoryjnej. Przez bladą cerę pociągła twarz inspektora naczelnego wyglądała w ostrym świetle jak biała maska. Był z nią już umyty i ubrany do sekcji Frears, natomiast policjantka musiała zadowolić się fartuchem laboratoryjnym. Kiedy wszedłem, przerwali rozmowę. Automat powoli zamknął drzwi i chłodne klimatyzowane powietrze spowilo mnie jak zimny koc.

– O, Hunter, cieszę się, że pan dotarł! – wykrzyknął Frears jowialnie. Cherubinkowata twarz wyglądała dziwnie pod czepkiem chirurgicznym. – Tym razem bezpiecznie pokonał pan wodne zagrożenia?

– Nie ja prowadziłem – odparłem.

Zarechotał ubawiony.

– Jeżeli to pana pocieszy, kiedyś zdarzyło mi się coś podobnego. Załatwiłem na amen jaguara, którego wówczas miałem.

Uśmiechnąłem się uprzejmie, taksując wzrokiem pomieszczenie. Było dobrze wyposażone i nowoczesne. W sporej odległości od siebie stały dwa stoły prosektoryjne ze stali nierdzewnej. Na jednym leżały zwłoki częściowo przesłonięte postaciami patologa i nadkomisarza.

Na drugim na stalowej tacy spoczywała stopa.

Nastrój Clarke najwyraźniej nie uległ poprawie od czasu, kiedy widziałem ją na nabrzeżu przetwórci ostryg, być może jednak był to jej stan naturalny.

– Dziękujemy za przybycie, doktorze Hunter.

– Nie ma za co. Chociaż wciąż nie wiem, dlaczego tu jestem.

Niemniej zaczynałem się domyślać. Clarke odwróciła się do Frearsa,

pozostawiając mu dalsze wyjaśnienia. Podszedł do stołu ze stopą.

– Poznaje pan?

– Wprawdzie gdy widziałem ją ostatni raz, była w bucie, ale przypuszczam, że to ta ze strumienia.

– Może pan powiedzieć, co o niej sądzi?

Zaintrygowany pobrałem z dozownika parę nitrilowych rękawiczek i podszedłem do stołu, naciągając je na oblepione plastrami dłonie. Chociaż dzięki klimatyzacji było chłodno, czułem kwaśny odór przebijający się przez mocniejszy zapach antyseptyku. Stopa była duża, blada i rozdęta, pokryta charakterystyczną „skórą praczek”, typową dla obiektów długo przebywających w wodzie. Brudnobiała masa warstwy tłuszczowo-woskowej nabrała słabego fioletowego odcienia w miejscach, gdzie wchłonęła barwnik z jaskrawej skarpetki. Palce z żółtymi paznokciami przypominały obrzmiałe, albinotyczne rzodkiewki i były podgięte w bolesnym przykurczu znanym jako palec młotkowaty. Odslonięta powierzchnia stawu skokowego wyglądała jak splątana masa tkanki chrzęstnej i kości. Stanowiła jedyną część wystawioną na działanie warunków atmosferycznych oraz padlinożerców i chociaż powierzchnia kości skokowej – górnej części kostki łączącej się z kością piszczelową i strzałkową goleni – powinna być gładka i wypukła, ta była podrapana i dziobata.

– No i? – ponaglił mnie Frears.

– Na dobrą sprawę nie mogę powiedzieć niczego, czego już pan nie wie. Prawa stopa, na oko rozmiar dziesięć lub jedenaście. Prawdopodobnie dorosłego mężczyzny, choć nie można też wykluczyć kobiety z dużymi stopami. Normalnie nie spotyka się takich palców młotkowatych u młodych ludzi, co sugeruje, że należała do kogoś starszego. – Umilkłem, starając się wymyślić, co jeszcze dodać. Wzruszyłem ramionami. – To z grubsza wszystko, poza tym, że nagromadzenie się warstwy tłuszczowosku i fakt oddzielenia się stopy wskazują, że znajdowała się w wodzie przez dłuższy czas.

– Jak długi? – zapytała Clarke.

– Trudno określić na podstawie samych oględzin. – But mógł ją osłonić i być może przyspieszyć proces saponifikacji. – Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że co najmniej, ee, sześć tygodni. Ale mogło to trwać o wiele dłużej.

– Proszę dalej.

– Nie ma śladów urazu, a jedynie płytkie wgłębienia na kości skokowej, co odpowiadałoby uszkodzeniom spowodowanym przez warunki pogodowe i padlinożerców. Nie widzę żadnych śladów cięcia albo uszkodzeń, których bym się spodziewał, gdyby była odrąbana lub odpiłowana. Wygląda więc na to, że oddzieliła się w naturalny sposób. Czy mogę obejrzeć zdjęcia rentgenowskie?

Frears kiwnął głową.



– A mógłby pan najpierw zmierzyć staw skokowy?

Uśmiechnąłem się, zdziwiony, ponieważ była to czynność wręcz elementarna.

– Dlaczego? Nie zrobiliście już tego?

– Po prostu niech pan spełni mój kaprys, dobrze?

Patolog już się nie uśmiechał, Clarke od początku tego nie robiła, za to teraz oboje patrzyli uważnie, jak biorę z drugiej tacy suwmiarkę.

– Lepiej usunąć najpierw tkankę miękką – powiedziałem. – Mógłbym...

– Proszę zmierzyć staw tak, jak jest. Ma odsłonięte wystarczająco dużo kości.

Zaczęło robić się dziwnie. Rozsunąłem szczęki suwmiarki z zapasem, by objęły kość, potem zaś ostrożnie je zsunąłem, aż dotknęły powierzchni po obu jej stronach.

– Szerokość cztery i dziewięćdziesiąt sześć setnych centymetra – odczytałem pomiar z podziałki. Rozsunąłem szczęki instrumentu i zdjąłem go, aby zmierzyć długość kości.

– Proszę nie zawracać sobie tym głowy – powstrzymał mnie Frears, przechodząc do ciała na drugim stole prosektoryjnym. – A teraz, gdyby pan zechciał, byłbym wdzięczny za zmierzenie szerokości kości strzałkowej i promieniowej. Oczywiście prawej nogi.

Nawet gdybym się tego już nie domyślił, rana postrzałowa dolnej części twarzy potwierdzała, że to zwłoki z rozlewiska, tyle że pozbawione odzieży i umyte. Podobnie jak badana przed chwilą stopa, były mocno rozdęte i w dalece posuniętym stadium gigantyzmu gnilnego Caspra, a kończyny bez dłoni i stóp wyglądały jak nieopatrzone kikuty. Wystawiona na działania warunków pogodowych i padlinożerców czaszka błyszcząca kostną bielą i teraz, po usunięciu błota, uszkodzenia spowodowane wystrzałem ze śrutówki były jeszcze bardziej widoczne. Na piersi i torsie widniały zrobione w czasie sekcji nacięcia w kształcie litery Y, chociaż moim zdaniem organy wewnętrzne uległy zbyt silnemu rozkładowi, by dostarczyć istotnych informacji. W głębszych, chłodniejszych wodach mogłaby je zachować saponifikacja, lecz wątpię, żeby stało się tak w tym przypadku. Genitalia były w zasadzie zachowane w całości, ponieważ odzież ochroniła je przed insektami i padlinożercami, co przynajmniej uprościło określenie płci denata. Niemniej szczątki były w takim stanie, że wątpię, aby sekcja mogła przynieść więcej danych.

– Kiedy tylko będzie pan gotów – powiedział Frears z bladym uśmiechem.

Odłożyłem suwmiarkę na pierwszy stół i zmieniłem rękawiczki na nowe, aby nie przenieść materiału genetycznego ze stopy na ciało. Mało prawdopodobne zagrożenie, ponieważ dotykałem tylko suwmiarki, a nie samej stopy, lepiej było jednak nie ryzykować zanieczyszczeń krzyżowych.

Zwłaszcza jeżeli wszystko zmierzało w takim kierunku, jaki podejrzewałem.

Panewkę stawu skokowego oczyszczono z pozostałych strzępów tkanki, osłaniając końce obu kości. Grubsza piszczel normalnie opierałaby się na górnej powierzchni kości skokowej, natomiast smuklejsza kość strzałkowa sięgałaby niżej po zewnętrznej stronie. Wybrałem z tacki z narzędziami drugą suwmiarkę, tym razem przeznaczoną do części zewnętrznych. Podobnie jak w przypadku kości skokowej, starannie zmierzyłem połączenie piszczeli i kości strzałkowej. A później, dla pewności, powtórzyłem pomiar.

Odwróciłem się do Frearsa.

– Czterdzieści dziewięć i siedem dziesiątych milimetra.

Spojrzał na Clarke.

– Jak mówiłem. I tak pozostanie, bez względu na to, ile razy będziemy je mierzyli.

Clarke jakby go nie słuchała.

– Nie są dokładnie tej samej wielkości. Kostka jest nieco mniejsza – oświadczyła uparcie.

Frears zacisnął wargi, skrzyżował ręce na piersi, co sugerowało, że już to przerabiali, po czym spojrzał na mnie, unosząc brwi w niemej prośbie – teraz ty spróbuj.

– Zawsze są jakieś drobne różnice – zabrałem więc głos. – Tak samo jak lewa i prawa część ciała nigdy nie są identyczne. Gdyby różnica była większa niż kilka milimetrów, wówczas tak, prawdopodobnie oznaczałoby to, że pochodzą z innego ciała. Jedna dziesiąta milimetra jest jednak bardzo ścisłym dopasowaniem.

– A więc pańskim zdaniem stopa zdecydowanie należy do tego ciała?

– Nie mogę powiedzieć „zdecydowanie” bez dalszych badań, lecz na podstawie tego, co zobaczyłem do tej pory, wydaje mi się to bardzo prawdopodobne. – Chociaż nie można całkowicie wykluczyć możliwości, że dwóch różnych ludzi będzie miało identyczną szerokość stawu skokowego, szansa, że również zwłoki obydwu zostaną znalezione w tym samym akwenu była, ostrożnie mówiąc, niewielka. Spojrzałem na stopę. – Domyślam się, że macie państwo powód sądzić, że nie należy do Leo Villiersa?

– Nie znamy ostatnich wymiarów jego ciała, ale nosił buty rozmiaru osiem, a ta ma prawie dwadzieścia osiem centymetrów długości, czyli rozmiar dziesiąty.

– Powiedziała to takim tonem, jakby uważała tę różnicę za osobistą zniewagę.

– Rozmiary butów mogą być różne – oświadczyłem, wchodząc w rolę adwokata diabła. Musiało tu chodzić o coś więcej niż niezgodność rozmiarów buta.

Clarke wyraźnie nie zamierzała zniżyć się do odpowiedzi, więc zrobił to Frears.

– Owszem, lecz Leo Villiers w wieku dziesiętnastu lat złamał podczas gry w rugby kości śródstopia prawej stopy. Pozwolono nam zobaczyć zrobione

wówczas zdjęcia rentgenowskie, na których widać, że druga i trzecia kość zostały paskudnie zmiżdżone. Na rentgenie tej tutaj są nienaruszone. Żadnych zrośniętych złamań, żadnych deformacji. Nic.

– Starczy, Julianie. Jestem pewna, że doktorowi Hunterowi nie trzeba tego tłumaczyć – wtrąciła się Clarke z irytacją.

I rzeczywiście, ale teraz przynajmniej rozumiałem powód jej złego humoru. Różnica w rozmiarze buta mogła nie być decydująca, lecz kości nie kłamały. Miały to do siebie, że zrastając się po złamaniu, tworzyły w jego miejscu zgrubienie, będące rodzajem świadectwa widocznego na prześwietleniu zrobionym nawet wiele lat później. Skoro więc stopa pochodziła ze szczątków znalezionych na Barrows, było na to tylko jedno wytłumaczenie.

Leżące przed nami ciało nie było zwłokami Leo Villiersa.

– Czy sekcja coś wykazała? – zapytałem, na chwilę zapominając o zakłopotaniu, że ją przegapiłem.

– Żadnej dymiącej broni, jeśli o to panu chodzi. Oczywiście poza tą, która odstrzeliła mu potylicę. – Frears wyraźnie odzyskał swój specyficzny humor. – Brak piany w drogach oddechowych lub płucach wskazującej na utopienie, możemy zatem, jak sądzę, bezpiecznie założyć, że kiedy wpadał do wody, był już martwy. Rana wlotowa świadczy, że strzał oddano z przyłożenia albo diabelnie małej odległości. Są osmalenia prochowe na pozostałości dolnej szczęki, a rana świadczy, że śruciny były silnie skupione. Żadna nie pozostała w ciele, ponieważ jednak przy tej odległości nie było żadnej różnicy w rozproszeniu, nie mogę stwierdzić, czy był to śrut na ptaki, czy gruby.

– Lufa nie znajdowała się w ustach? – upewniłem się.

Patolog uśmiechnął się chłodno.

– Nie, ponieważ wtedy, jak pan sobie doskonale zdaje sprawę, z czaszki pozostałoby jeszcze mniej.

Ofuknąłem się ponieważ za to pytanie, bo rzeczywiście gdyby w chwili wystrzału wylot lufy śrutówki znajdował się za zębami, gwałtownie rozszerzające się gorące gazy dosłownie rozerwałyby głowę na strzępy.

– Czy to istotne? – zapytała Clarke.

– Zależy – odparł Frears. – Mam wrażenie, że doktor Hunter ma wątpliwości, czy rana była zadana przez samego denata. Sprawa zasięgu ręki, prawda, doktorze Hunter?

– Musiał odwrócić strzelbę, lecz nadal mógł dosięgnąć spustu – wyjaśniłem Clarke. – Jeżeli lufa była przyciśnięta do ust, oznaczałoby to, że musiał sięgnąć dalej, niż gdyby była w nie włożona.

– Czekamy na dane od rusznikarza o długości lufy – oświadczyła ze zniecierpliwieniem. – Zaginioną strzelbę wykonała na zamówienie firma Mowbry, będziemy więc od niej mieli także długość jego ręki.

– A co z trajekcją? – nie ustępowałem. Teraz stało się jeszcze bardziej oczywiste, że była płaska. Rana wylotowa znajdowała się w dolnej części czaszki, nie zaś w jej sklepieniu, co sugerowało, że śrutówka w chwili oddania strzału była ułożona prostopadłe do płaszczyzny twarzy, a nie oparta kolbą o podłogę i z lufą skierowaną ku górze.

– Wszystko wskazuje na to, że broń była przed nim – zaripostował Frears.  
– Co oznacza, że denat oddał strzał, raczej stojąc lub siedząc.

– Albo że zastrzelił go ktoś inny – dorzuciłem.

Dopóki uważaliśmy, że są to zwłoki Leo Villiersa, okrytego niesławą i będącego w depresji z powodu podejrzenia o morderstwo, samobójstwo było jedyną realną teorią. Jeżeli nie był to on, mieliśmy do czynienia z czymś całkowicie odmiennym.

– Powiedziałem, że rana mogła zostać zadana przez samego denata, a nie, że była – zirytował się Frears. – Wyniki nie są rozstrzygające i wyraźnie stwierdziłem to w protokole z sekcji zwłok. O czym by pan wiedział, gdyby tu wtedy był.

– No dobrze, idźmy dalej – rzuciła Clarke. – Co jeszcze mamy?

– A ten kawałek metalu tkwiący w podniebieniu miękkim? – zapytałem Frearsa. – Powiedział pan, że w ciele nie było śrucin, cóż więc to mogło być?

– Ach, to. – Zerknął na Clarke, która skinęła głową, na co podszedł do stołu, podniósł torebkę na dowody i wręczył mi ją ze słowami: – Jakiś pomysł, co to takiego?

Już wcześniej nie byłem przekonany, że to kawałek śrutu, teraz zaś mogłem zyskać w tej sprawie pewność. W torebce znajdowała się mała stalowa kulka o średnicy jakichś pięciu milimetrów i trochę zniekształcona z jednej strony. Nie, nie zniekształcona, poprawiłem sam siebie, oglądając ją pod światło. Coś zostało od niej oderwane.

– To zrobiony ze stali nierdzewnej piercingowy kolczyk do języka – oznajmiłem, oddając mu torebkę. Miałem już wcześniej do czynienia z biżuterią do ciała, badając, jak stalowe pierścienie, kołki i kolczyki przemieszczają się w zakopanych ciałach w miarę rozkładu tkanek miękkich.

Frears sprawiał wrażenie rozczarowanego.

– W zasadzie to tak zwana sztanga do języka, a właściwie jej część. Reszta musiała zostać wyrzucona na zewnątrz razem ze śrutem. Trudno sobie wyobrazić początkującego polityka, jakim był Leo Villiers, paradującego z czymś takim, prawda?

– Z tego, co wiemy, równie dobrze mógł postanowić zostać punkiem, zanim się zastrzelił – oświadczyła zirytowana Clarke. – Nie wiemy nawet na pewno, czy kolczyk był w języku. Równie dobrze mógł trafić do ust razem z innymi śmieciami podczas pobytu ciała w wodzie.

– Mało prawdopodobne... – zaczął Frears, ale Clarke ucięła, nie zamierzając

słuchać.

– Nie obchodzi mnie, czy prawdopodobne, czy nie. Muszę mieć pewność. Absolutną pewność. Mam na karku cholernego sir Stephena Villiersa, który jest przekonany, że to jego syn, i naciska na oficjalne potwierdzenie. Jeżeli będę musiała mu powiedzieć coś innego, to lepiej dla was, żebym tym razem miała cholerną rację.

– Czy jest coś jeszcze w jego dokumentacji medycznej? – zapytałem. Dzień wcześniej Lundy powiedział mi, że nadal nie dostali do niej dostępu, lecz widać zapoznali się ze zdjęciem rentgenowskim złamanej stopy. Gdyby sir Stephen Villiers w końcu udostępnił dokumenty medyczne syna, może znalazłoby się w nich coś, co by pomogło w identyfikacji.

Clarke fuknęła gniewnie.

– Nie wiemy. Sir Stephen zgodził się pokazać nam tylko rentgen, a i to przypominało wyciskanie krwi z kamienia. Informuję też pana, że aby dotrzeć do dokumentacji medycznej, musimy zdobyć nakaz sądowy, nie dostaniemy go jednak, jeżeli to nie jest ciało jego syna. Poza tym i tak nie wiem, czy mamy wystarczające podstawy prawne.

– Błędne koło – stwierdziłem. – Co może w nich być takiego, że jest ważniejsze od możliwości identyfikacji zwłok syna?

– Nie mam pojęcia i szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Sir Stephen dał jasno do zrozumienia, że będzie bronił dostępu do nich zębami i pazurami, więc i tak ze zdobycia nakazu na krótszą metę nie będziemy mieć pożytku.

– W takim razie będziesz musiała poczekać na wyniki testu DNA – oznajmił Frears. – Przykro mi, lecz niewiele więcej mogę zrobić.

Odpowiedziała mu cisza. Coś przyszło mi do głowy i odwróciłem się w stronę stołu prosektoryjnego, żeby jeszcze raz spojrzeć na stopę. Clarke musiała to zauważyć.

– Doktorze Hunter?

Myślałem jeszcze chwilę.

– Zakładam, że próbki DNA zostały pobrane zarówno ze stopy, jak i z ciała? Spojrzała na Frearsa, a ten wzruszył ramionami.

– Oczywiście, ale wyniki dostaniemy nie wcześniej niż za kilka dni. Przypuszczam, że inspektor naczelna Clarke wolałaby dowiedzieć się czegoś nieco szybciej.

Niedawno opracowano nową metodę analizy DNA, która, jak twierdzono, przynosiła wyniki w czasie kilku godzin. Mogłoby to zrewolucjonizować sprawę identyfikacji, dopóki jednak nie stanie się bardziej dostępna, musieliśmy polegać na starej, wolniejszej metodologii.

Albo na czymś mniej nowoczesnym.

– Zawsze pozostaje test Kopciuszka – powiedziałem.

Clarke patrzyła na mnie bez słowa. Frears zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

Spojrzałem na tępe wypukłości puszczeli i kości strzałkowej.

– Jest tu jakaś folia samoprzylepna?

\* \* \*

Znalezienie folii zabrało trochę czasu, ponieważ w normalnych okolicznościach nie miała zastosowania w tak nowoczesnym i dobrze wyposażonym prosektorium. Frears wysłał młodą asystentkę, która pomagała mu przy sekcjach, aby zdobyła gdzieś rolkę.

– Nie obchodzi mnie, skąd ją weźmiesz, może będziesz musiała ją ukraść ze szpitalnej stołówki. Po prosu ją znajdź i przynieś, jasne? – polecił.

Przeszliśmy do sali konferencyjnej, by tam poczekać, aż znajdzie się folia. Niebawem anatomopatolog przeprosił nas i poszedł zająć się jakąś nagłą sprawą, lecz w jego miejsce pojawił się Lundy, który zakończył nadzorowanie usunięcia drutu kolczastego ze strumienia i teraz zdawał relację Clarke. Na stole przed nami parowały kubki herbaty z automatu.

– Koniec drutu tkwił w kawale betonu. Sądząc z wyglądu, starym słupie z ogrodzenia – powiedział.

– Czy ktoś mógł to po prostu bez pomyślunku wyrzucić do strumienia? – spytała Clarke.

– Owszem, tylko kto mógłby zrobić coś takiego? W pobliżu nie ma żadnych ogrodzeń, a poza tym muszą być łatwiej dostępne miejsca do wyrzucania śmieci.

– Uważa więc pan, że ktoś użył go rozmyślnie do obciążenia ciała?

Sam się nad tym zastanawiałem od chwili, gdy Lundy zauważył, że ciało było zbyt ciasno oplątane, aby można było uznać, iż przypadkowo zdryfowało na druty. Inspektor w zamyśleniu gładził wąsy kciukiem i palcem wskazującym.

– Nie sądzę, żebyśmy mogli wykluczyć coś takiego – rzekł w końcu. – Znalezliśmy je przez absolutny przypadek. Strumień przegradza tam mielizna, zawsze zatrzymująca wodę. I niedaleko biegnie droga. Ktoś mógłby przywieźć tam zwłoki samochodem, owinąć je drutem kolczastym, by je obciążyć i mieć sporą nadzieję, że nigdy nie zostaną znalezione. A nawet gdyby tak się stało, sprawiałyby wrażenie, że zaplątały się przypadkowo.

Clarke objęła grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym i ścisnęła go rytmicznie. Niemal widziałem jej ból głowy.

– Doktorze Hunter, powiedział pan, że prawdopodobnie były w wodzie od kilku miesięcy.

– Na podstawie ich stanu i tego, co widziałem, tak.

– W takim razie to nie może być Leo Villiers?

– Nie wyobrażam sobie, żeby to był on – oświadczyłem. Villiers zaginął najwyżej sześć tygodni temu, zaawansowany stopień rozkładu szczątków zdjętych

z drutu kolczastego świadczył zaś, że przebywały w wodzie o wiele dłużej.

Stukanie od drzwi zasygnalizowało powrót asystentki, wróciliśmy więc do sali prosektoryjnej.

– Zakładam, że nie jest to standardowa procedura? – zapytał Lundy, naciągając rękawiczki chirurgiczne, w których jego grube palce wyglądały jak niebieskie kielbaski.

– Niezupełnie. Prawdopodobnie nie zostałaby zaakceptowana przez sąd, lecz powinna pozwolić dość dokładnie określić, czy stopa pochodzi z tego ciała, czy nie.

Lundy spojrział na nagie zwłoki.

– Jeżeli będzie pasować, włożymy kij w mrowisko.

Miał rację, ale nic nie mogłem na to poradzić. Asystentka, młoda Azjatka o imieniu Lan, podała mi folię samoprzylepną.

– Znalazłam tylko dwudziestometrową rolkę. Wystarczy?

– W zupełności – zapewniłem.

Medycyna sądowa stawała się coraz bardziej zaawansowana i technika systematycznie wypierała bezpośrednie metody, w jakich byłem wyszkolony. Gips używany do wykonywania odlewów został zastąpiony przez silikonowe zamienniki, skuteczniejsze i w mniejszym stopniu mogące uszkodzić kość. Teraz pracowano nad skanerami, które miały wkrótce i silikonowy uczynić przestarzałymi, pozwalając wykonać na drukarce 3D idealną kopię każdej kości.

Tu nie mieliśmy skanera ani drukarki 3D, a sporządzenie odlewów wymagałoby odpowiedniego oczyszczenia kości, co zabrałoby sporo czasu. Ponieważ Clarke chciała szybko dostać odpowiedzi, dzisiaj musiałem zadowolić się mniej wyrafinowanymi metodami.

W tym przypadku rolką taniej folii samoprzylepnej i pewnymi dłońmi.

Asystentka stała za Clarke, Lundym i Frearsem, który znowu do nas dołączył, wyraźnie zaintrygowana tym, co miałem zamiar zrobić. Nie była w tym odosobniona, pozostali też patrzyli w milczeniu, jak odrywam kawałek przezroczystego tworzywa i starannie wygładzam go na odsłoniętej powierzchni kości skokowej. Kiedy upewniłem się, że nie ma żadnych zmarszczek, owinąłem folią pozostałą część stopy.

– Muszę powiedzieć, że to trochę niekonwencjonalne – stwierdził Frears z rozbawioną miną. Wydawał się zadowolony obserwowaniem, chociaż pomyślałem, że mogło wynikać to nie tyle z zawodowej uprzejmości, ile z chęci zaasekurowania się – w razie gdyby coś poszło nie tak, zawsze mógłby umyć od tego ręce.

– Jest pan pewny, że tak można? – sceptycznym tonem zapytała Clarke. – Nie nastąpi zanieczyszczenie krzyżowe?

– Nie sądzę – odparłem ze wzrokiem wbitym w naciągniętą folię; powinna zminimalizować ryzyko, a już pobrano próbki DNA zarówno ze stopy, jak i z ciała.

Gdyby jednak potrzebne były kolejne, zawsze można było je wziąć z wnętrza kości albo z odsłoniętych powierzchni.

Tak czy owak nie sądziłem, by zanieczyszczenie krzyżowe DNA mogło stać się problemem. Owinięta plastikiem stopa przypominała kawałek mięsa na ladzie rzeźnika. Zostawiłem ją, przeszedłem do zwłok i zmieniłem brudne rękawiczki na nowe. Oderwałem z rolki kolejny odcinek folii i wygładziłem ją na końcówkach piszczeli i kości strzałkowej prawej nogi, a potem upewniłem się, że przylegają szczelnie do ich odsłoniętych powierzchni.

Cofnąłem się i przez chwilę patrzyłem, czy wszystko zrobiłem jak należy, by następnie znowu wziąć do ręki owiniętą folią stopę.

Bez ochronnej warstwy chrząstek nigdy nie udałooby się dopasować tak dokładnie stawu skokowego, jak było za życia. Niemniej chociaż folia samoprzylepna była kiepskim ich substytutem, obie części kończyny uściśniły się jak starzy przyjaciele. Lekko poruszyłem stopą, sprawdzając pełny zakres ruchów, lecz w gruncie rzeczy nie było żadnych wątpliwości. Nawet bliźnięta nie miałyby identycznych powierzchni panewek stawowych, ponieważ po jakimś czasie musiałyby powstać delikatne różnice, rozbieżności spowodowane przez normalne zużycie. Tu w kościach nie było niedopasowanych wypukłości, które by zakłóciły płynny ruch. Pasowały do siebie niczym części układanki.

Ponownie odłożyłem stopę. Zapadła cisza, aż wreszcie Clarke dała wyraz powszechnym odczuciom.

– No to dupa.

Wszyscy wiedzieli, o co jej chodziło. Jeżeli nie była to stopa Leo Villiersa, również zwłoki nie były jego. Zamiast jednego mieliśmy więc do zidentyfikowania zwłoki dwóch nieznanymi mężczyzn. A szczątki Emmy Derby wciąż znajdowały się nie wiadomo gdzie i czekały na odnalezienie.

– No cóż, można, jak sądzę, spokojnie stwierdzić, że nieco podważa to teorię samobójstwa – oznajmił Frears. W niebieskich oczach patologa błysnęły iskierki.

– Niemniej, patrząc na sprawę z jaśniejszej strony, nie będziemy musieli daleko szukać podejrzanego.



## Rozdział 16

Złapałem taksówkę, by wrócić na Willets Point. Lundy zaproponował, że może załatwić mi podwiezienie, wolałem jednak dotrzeć do domu na własną rękę. Nie pomyślałem tylko, że będę musiał wskazywać taksówkarzowi drogę. Był młodym człowiekiem i niepokoił się coraz bardziej, widząc, jak cywilizacja ustępuje płataninie cieków torujących sobie drogę przez płaskie mokradła.

– Słuchaj, koleś, jesteś pewien, że wiesz, dokąd jedziemy? Tam nic nie ma – powiedział nerwowo, gdy jednopasmowa droga przed przejazdem przez mały, garbaty most nagle zakreśliła ciasnym esem.

Miałem nadzieję, że tak. Pamiętałem niektóre fragmenty, lecz z Londynu przyjechałem inną trasą niż ta, którą teraz wracałem z kostnicy, a kiedy wcześniej wiozł mnie funkcjonariusz policji, nie zwracałem na nią większej uwagi. Poza tym światło dnia przygasało, a wezbrane przypiływem strumienie i kanały zmieniły krajobraz nie do poznania.

Ostatecznie uznałem, że mnie będzie łatwiej niż taksówce się cofnąć, jeżeli skręcę nie tam, gdzie trzeba, i oświadczyłem szoferowi, że ostatnie pół mili przejdę piechotą. Humor poprawił mu się jeszcze bardziej, kiedy dostał solidny napiwek, tak że pomachał mi radośnie, zawracając z trudem na wąskiej drodze i znikając w kierunku, z którego przyjechał. Stałem przez chwilę, dopóki warkot silnika nie zamarł w oddali, wsłuchując się w łagodny plusk wody na mokradłach, a potem ruszyłem pustą szosą.

Clarke poprosiła, żebym został na dłużej w prosektorium, zaraz po tym, jak ustaliłem, że pojedyncza stopa była częścią szczątków z Barrows.

– Jeżeli to nie Leo Villiers, chcę wiedzieć, kim on, u diabła, jest – oświadczyła, zanim Frears i Lundy wyszli. – Wiek, pochodzenie, wszystko, co pozwoli nam zawęzić identyfikację albo czas śmierci. Może pan w tym pomóc, doktorze Hunter?

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewnilem i zwróciłem się do Frearsa: – Czy znalazł pan w odzieży jakieś poczwarki muchy plujki albo osłonki po wylince?

– Nie, ale jeżeli zwłoki były w wodzie, żadnych bym nie oczekiwał.

– Ja też, ale w tym rzecz. Muchy plujki są niewiarygodnie uparte. Nawet w zimie niewielka ilość światła słonecznego może podnieść temperaturę w wystarczającym stopniu, aby je obudzić. Nie mogą jednak składać jajeczek pod wodą, dlatego chociaż w czasie odpływu ciało znajdowało się na powierzchni, żadne jajko nie przetrwałoby późniejszego zanurzenia. Czyli gdyby były jakiegokolwiek ślady działania much plujek, byłoby to świadectwo, że zwłoki pozostawały na powierzchni dłużej, niż wynosi odstęp pomiędzy pływami. W rezultacie proces rozkładu byłby znacznie wolniejszy, co wydłużyłoby czas od

chwili śmierci.

Jeżeli nie znajdę much, będziemy mogli przynajmniej ten szczegół wykluczyć – podsumowałem w myśli swój wywód.

Frears poszedł przeprowadzić sekcję zwłok z drutu kolczastego, a ja zająłem się własną makabryczną robotą. Już nie miałem żadnych poważniejszych wątpliwości co do tego, że Leo Villiers upozorował własną śmierć. Sprawa dotycząca samobójstwa nagle przekształciła się w dochodzenie w sprawie morderstwa i tym razem były zwłoki, które go z nim wiązały.

I nawet prawnicy ojca nie byli w stanie tego podważyć.

Optymistycznie uznałem, że zdołam dostarczyć Clarke więcej informacji o nieznanym mężczyźnie ubranym w odzież Leo Villiersa. Zacząłem od obejrzenia wykonanych przed sekcją zdjęć rentgenowskich. Palce młotkowate stopy z adidasa sugerowały, że jej właściciel był osobnikiem w starszym wieku, ale widoczne na zdjęciach stawy świadczyły o czymś innym.

Zastanawiałem się nad tym, badając rentgen stopy. Zwłaszcza drugi palec był paskudnie zniekształcony, a skoro powodem był nie wiek, wada musiała być wrodzona albo wynikać z wykonywanej pracy. Przyglądając mu się, uznałem, że najprawdopodobniej chodzi o tę drugą przyczynę, lecz by dowiedzieć się czegoś więcej, musiałbym zbadać same kości, a był tylko jeden sposób, żeby to zrobić.

Oczyszczenie rozkładających się ludzkich zwłok z wszelkich pozostałości tkanek miękkich trudno nazwać przyjemnym. Chroniony przez gumowy fartuch i takie same grube rękawice, usuwałem skalpelem i nożyczkami tkanki jak najbliżej kości, starając się ich przy tym nie uszkodzić. Gdy uzyskamy z nich możliwie jak najwięcej informacji, usunięte części zostaną przechowane razem z organami wewnętrznymi i resztą ciała w celu późniejszego pochówku lub kremacji.

Na stole prosektoryjnym pozostała upiorna, patykowata postać, przypominająca bardziej anatomiczną karykaturę niż istotę ludzką. Na tym jednak procedura się nie kończyła. Ostrożnie przeciąłem tkankę chrzęstną stawów, stopniowo rozbierając szczątki na części jak tuskę kurczaka. Oddzielone fragmenty ciała włożyłem do wielkich kotłów ze słabym roztworem detergentu, które ustawiłem w wyciągu laboratoryjnym, aby gotowały się na wolnym ogniu przez całą noc. Niekiedy taki sposób oczyszczania szkieletu jest czasochłonnym procesem, ponieważ zanim kości będą gotowe do badania, trzeba wielokrotnie moczyć je w ciepłym detergencie, a następnie w substancji odtłuszczającej. Niemniej w sytuacji, gdy szczątki były tak rozłożone jak tutaj, a zwłaszcza po długim zanurzeniu w wodzie, które i tak rozpoczęło ten proces, zabiegi takie nie były potrzebne. Do rana kości powinny być wystarczająco czyste, abym mógł je zbadać i – miałem nadzieję – przekazać Clarke więcej informacji.

Kiedy kotły zaczęły łagodnie wrzeć, nie miałem już nic więcej do roboty. Poszedłem odnaleźć Frearsa, ale Lan, młoda asystentka anatomopatologa,

poinformowała mnie, że już wyszedł. Najwyraźniej sekcja nie trwała długo, co zresztą mnie nie zdziwiło. Patolog niewiele mógł się dowiedzieć ze zwłok w stanie tak daleko posuniętego rozkładu jak te znalezione w strumieniu.

To była moja robota.

Byłem rozczarowany, że znów nie mam pojęcia, co ustalił Frears. Chociaż tym razem okoliczności były inne, ominęła mnie już druga sekcja. Westchnąłem zmęczony, lecz ciężar wydarzeń dnia poczułem dopiero, gdy zdjąłem odzież chirurgiczną i wymyłem się w szatni. Wydawało się czymś zgoła nierealnym, że rano piłem z Rachel kawę w Cruckhaven, a kiedy teraz mozolnie wlokłem się drogą, nogi jak z ołowiu przypomniały mi, że nie do końca doszedłem do siebie po infekcji.

Ucieszyłem się, gdy dotarłem do zjazdu na Creek House, chociaż myśl o ponownym spotkaniu Rachel wywołała nerwowość i oczekiwanie. Idąc podjazdem, wmawiałem sobie, że nie mam powodu do takich uczuć. Sfatygowany biały defender parkował przy kępie drzew, ale nie było szarego land rovera Traska. Mój samochód stał nieco z boku, stanowiąc dziwnie znajomy akcent w nieznanym otoczeniu.

Przeszedłem między drzewami i po drewnianych schodach wspiałem się do drzwi frontowych. Widziałem światło przez panel z matowego szkła, ciepłą, przytulną poświatę, i wiedziałem, że po wszystkim, co przeszła rodzina, jest to złudne wrażenie. Nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich Rachel.

Wyglądała na zmęczoną, jednak się uśmiechnęła.

– Cześć.

Bez pytania cofnęła się, dając mi przejść. Byłem w tym domu już wcześniej, zmieniając tu mokre ubranie, lecz wtedy nie przyjrzałem się wnętrzu dokładnie. Był to projekt o odwróconej funkcji pięt, z rodzinną łazienką na parterze. W korytarzu znajdowały się drzwi prowadzące zapewne do sypialni. Całość utrzymana była w skandynawskim stylu, niemniej wydawała się zbyt przytulna, aby nazwać ją minimalistyczną. Białe ściany przedpokoju nosiły brudne ślady po butach i oponach rowerowych, a na lakierowanej podłodze leżała nieporządna sterta różnych pantofli i kaloszy. Drewniane schody biegły na piętro, skąd dolatywały ciche dźwięki muzyki.

– Co z Fay? – zapytałem, gdy zamknęła za mną drzwi. Poczulem słaby aromat drewna sandałowego, zbyt delikatny na perfumy, pochodzący więc raczej z mydła lub szamponu.

– Protestowała przeciwko zastrzykom, a to dobry znak – powiedziała z uśmiechem. – Profilaktycznie zatrzymali ją na noc. Skaleczenia okazały się niegroźne, ale zrobili jej transfuzję krwi. Była też lekko wychłodzona. Andrew uważa, że jutro wróci do domu. Mogę zaproponować kawę albo coś innego?

– Nie trzeba, przyszedłem tylko zabrać swoje rzeczy. I oddać te pożyczone.

Wskazałem na kurtkę Traska i stare gumki, które wciąż miałem na nogach. Rachel spojrzała na nie i parsknęła śmiechem.

– Tak, chyba rozumiem, czemu chce się pan ich pozbyć. Może je pan po prostu zdejmie i wejdzie na górę na drinka? Andrew wciąż jest w szpitalu, a Jamie poszedł do kumpla, więc siedzę tu sama i miło mi będzie mieć towarzystwo.

Korytarz oświetlała tylko poświata z górnego piętra. Rachel miała na sobie czarny T-shirt, sięgający tylko do paska dżinsów i odsłaniający szczupłe, wciąż opalone ramiona. Na ustach błąkał się jej nieśmiały uśmiech, w oczach zaś widniała niepewność będąca odbiciem mojej własnej. Napięcie, które czułem, zniknęło.

– Brzmi nieźle – przyznałem.

\* \* \*

Spodziewałem się, że dzienna część domu będzie imponująca, lecz to, co zrobił tu Trask, przeszło moje oczekiwania. Całe górne piętro było jedną wielką otwartą przestrzenią poprzedzianą regałami z książkami, tworzącą wrażenie prywatności. Na pokrytej płytkami z łupku podłodze leżały różnego rodzaju dywany, a wyglądające na wygodne sofy i fotele ustawione były wokół pieca opalanego drewnem. Dużą część pokoju zajmowała otwarta na niego elegancka, nowoczesna kuchnia, oddzielona drewnianym barkiem od palisandrowego stołu z krzesłami z giętego drewna.

Największe wrażenie robiła szklana ściana biegnąca wzdłuż całej fasady domu, przy której łukowate okno w hangarze wyglądało jak lufcik. Wychodziła bezpośrednio na strumień, sięgając od podłogi do paneli sufitowych, i otwierała się na długi balkon. Za nim nie było nic poza ciemniejącym niebem nad mokradłami i strumieniem prawie niewidocznym w zapadającym zmierzchu.

– Wspaniały widok – powiedziałem.

Rachel rzuciła okiem na wielką szklaną ścianę, jakby była czymś, czego już nie zauważała.

– Andrew chciał, żeby to była charakterystyczna cecha domu. Sam wszystko zaprojektował, kiedy po raz pierwszy spotkał Gemmę, lecz nie sądzę, by wzbudził w niej taki sam entuzjizm. – Odniosłem wrażenie, że ugryzła się w język. – A co z panem? Żadnych problemów po ponownym zamoczeniu się w strumieniu?

– Nie, czuję się świetnie.

– A, żeby nie zapomniiała! Wyprałam pańskie ubranie. Kurtka wciąż jest wilgotna i dopóki nie wyschnie, musi pan używać tej Andrew.

– Dzięki – powiedziałem zdziwiony. – Nie musiała pani tego robić.

– Pan też nie musiał iść z Andrew, a poszedł. – Uśmiechnęła się lekko. – Będzie pan musiał chyba zainwestować w nową parę butów. Wyczyściłam je najlepiej, jak potrafiłam, ale okres ich świetności wyraźnie już przeminął.

Nic dziwnego. Przemokły drugi raz w ciągu paru dni.

– Z psem Fay wszystko w porządku? – zainteresowałem się, uświadamiając sobie, że nie widziałem nigdzie kundelka.

– Z Cassie? Raczej tak. Weterynarz musiał dać jej narkozę, aby ją pozszywać, i też musiała zostać na noc w lecznicy. – Rachel podeszła do dużego blatu kuchennego. – Och, i zanim zapomnę, pański samochód jest gotów. Jamie wymienił świece.

– Kiedy? – Biorąc pod uwagę wszystko, co się działo, byłem zaskoczony, że znalazł na to czas.

– Po południu. Zabrałam go ze szpitala w drodze od weterynarza. Szczerze mówiąc, sądzę, że był zadowolony, mając coś do roboty.

W zasadzie była to dobra wiadomość, ale nie ucieszyła mnie równie mocno jak dzień lub dwa temu. Teraz i tak będę spędzał dzień w położonej niedaleko kostnicy, tyle że będę dojeżdżał z Londynu. Podróż będzie trwała dłużej, ale nie było już powodu, żeby tkwić na miejscu.

– Czego się pan napije? Kawa, herbata, a może coś mocniejszego? – zagadnęła Rachel.

– Co? Och, tylko kawa, dziękuję.

– Jadł pan coś? Mogę zrobić kanapkę – zainteresowała się troskliwie. Nie jadłem nic przez cały dzień i jej propozycja obudziła mój drzemiący dotąd pusty żołądek, a ona uśmiechnęła się, widząc moją minę. – Przyjmuję to za zgodę.

Usiadłem na stołku przy blacie kuchennym. Na przeciwległej ścianie wisiała fotografia Emmy Derby z Fay i Jamie. W tle widać było London Eye<sup>4</sup>, a Fay i Jamie wyglądali na młodszych. Oboje byli roześmiani, natomiast macocha tylko uśmiechała się do obiektywu. Wyglądali naturalnie, lecz uśmiech Emmy był sztuczny, podobnie jak na autoportrecie w hangarze.

Rachel krzątała się, napełniając czajnik i wyjmując jedzenie z lodówki. Kiedy zaczęła kroić chleb, wyczułem w niej napięcie – i rzeczywiście, nagle przerwała, odkładając nóż.

– Muszę zapytać. Andrew powiedział, że słyszał od pana... że wczoraj znaleźliście mężczyznę. Nie kobietę. To prawda?

– Tak.

– A więc na pewno nie Emmę?

– Nie, zdecydowanie nie.

Odetchnęła i jej ramiona lekko się rozluźniły.

– W porządku, przepraszam, nie chciałam stawiać pana w trudnym położeniu. Po prostu... Czyli macie teraz dwa ciała? Co się, u diabła, dzieje?

– Nie wiem – odparłem, i to także była prawda.

Rachel kiwnęła głową ze smętnie dziarskim uśmiechem.

– Pieprzyć to wszystko, mam zamiar napić się wina. A pan? Byłoby nieuprzejmie pozwolić mi pić samej.

Pomyślałem o antybiotykach, ale tylko przez chwilę.

– Cóż, nie cierpię być nieuprzejmy.

Roześmiała się wspaniałym, głębokim śmiechem, który zabrzmiał jak wyraz ulgi. Nalałem wina w czasie, gdy przygotowywała kanapki. Zanim wypiliśmy, stuknęliśmy się kieliszkami.

– Boże, cały dzień na to czekałam – oświadczyła z westchnieniem, odstawiając kieliszek na granitowy blat, i znowu zajęła się robieniem kanapek.

– Wraca pan teraz do Londynu?

– Sądzę, że tak.

– Ale dalej będzie pan współpracował z policją? Mam na myśli tutaj?

– Pewnie bardziej w Chelmsford, ale tak.

Uważnie kroїła ser na kanapki.

– Gdyby pan chciał, mógłby pan nadal mieszkać w hangarze.

Było to tak nieoczekiwane, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Ee, ja nie...

– Nie, oczywiście – rzuciła pospiesznie. – Jestem pewna, że chce pan wrócić do domu. Po prostu pomyślałam, no wie pan, że traciłby pan mniej czasu. Wydaje się bez sensu jeździć taki kawał drogi.

Oczywiście. Wymyślałem różne powody, dla których nie powinienem tego robić, jednym z ważniejszych była reakcja Clarke i Lundy'ego. Niemniej minęliśmy już etap, kiedy miałyby to jakiegokolwiek znaczenie, i z całą pewnością bardziej sensowne było zatrzymać się gdzieś w pobliżu. Wiedziałem, że uzasadniam decyzję, którą już podjąłem, lecz wszystkie kontrargumenty wydawały się mniej istotne niż rumieniec rozlewający się po twarzy Rachel.

– Jest pani pewna, że nie będzie problemów?

– Oczywiście. Dlaczego miałyby być? – Rzuciła mi szybki uśmiech i poczułem jakiś ucisk w piersi, on zaś zaczęła układać kanapki na talerzach.

– Niech mi pan powie coś o sobie. Nie chciał pan, żebym zadzwoniła do kogoś, kiedy był pan chory, stąd wiem, że nie jest pan żonaty. Ale może w separacji, rozwiedziony...?

Poczułem, jakbym robił krok ze zbyt wysokiego stopnia.

– Wdowiec. Moja żona i córka zginęły w wypadku samochodowym kilka lat temu.

Starłem się, żeby mój głos brzmiał spokojnie. W dużej mierze zresztą te słowa przestały być tak wstrząsające, gdyż powtarzanie ich znieczuliło stare rany. Oczy Rachel rozszerzyły się z zaskoczenia, a potem wyciągnęła rękę i położyła mi ją na ramieniu.

– Przepraszam – powiedziała ze smutkiem, lecz bez skrępowania czy zakłopotania, którego się spodziewałem. Zatrzymała dłoń jeszcze przez sekundę dłużej, a potem ją cofnęła. – Ile lat miała twoja córka?

– Alice. Sześć – mówiąc to, nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu.

– Ładne imię.

Też tak uważaliśmy, wróciły wspomnienia. Pochyliłem głowę, a twarz Rachel złagodniała.

– Dlatego tak się starasz?

– Nie przy tobie.

– Twoja praca nie jest dla ciebie tylko zajęciem, prawda? Naprawdę cię obchodzi.

Przez chwilę toczyłem walkę ze sobą, aż w końcu wzruszyłem ramionami.

– Nie, chyba rzeczywiście nie jest tylko zajęciem.

Zapadła cisza, ale taka zwyczajna. Rachel podsunęła mi talerz z kanapkami.

– Powinieneś coś zjeść. – Uśmiechnęła się do mnie łagodnie.

Na zewnątrz niebo wciąż ciemniało, wypełniając pokój intymnym półmrokiem. Wkrótce nadejdzie pora zapalenia światła, Rachel jednak wyraźnie podobało się siedzenie w zapadającym zmierzchu. Sprawiała wrażenie młodszej, bardziej zrelaksowanej i nie sądziłem, żeby była to tylko kwestia oświetlenia.

Podniosła wzrok i zauważyła, że się jej przyglądam.

– Co? – zapytała, uśmiechając się z lekkim zdziwieniem.

– Nic. Po prostu zastanawiałem się, jak jest z tobą. Zamierzasz tu zostać czy wrócisz do Australii?

To nie było dobre pytanie. Odłożyła kanapkę.

– Nie wiem. Przypuszczam, że byłam trochę na rozdrożu, nawet jeszcze przed zniknięciem Emmy. Właśnie zerwałam siedmioletni związek. Był biologiem morskim, jak ja. I moim szefem, co sprawiało, że sytuacja okazała się... niezręczna.

– Co się stało?

– Och, to co zwykle. Dwudziestodwuletnia magistrantka, która lepiej wyglądała w bikini.

– Nie wierzę – powiedziałem bez namysłu.

W skąpym świetle dostrzegłem jej białe zęby, błyskające w uśmiechu.

– Dzięki, lecz muszę uczciwie jej to przyznać. Spotykałam bardziej moralne kałamarnice, ale wyglądała naprawdę dobrze w dwuczęściowym kostiumie. W każdym razie przyjechałam do Wielkiej Brytanii, żeby przemyśleć sprawy. Oczyszczyć umysł, zastanowić się, co mam zamiar robić. Jediną dobrą rzeczą, która z tego wynikła, jeżeli można to tak nazwać, okazało się to, że byłam tu, gdy Emma zniknęła.

Nastrój się zmienił, jakby owiał nas zimny przeciąg.

– Mieszkałaś z nimi?

– Nie, u przyjaciół w Poole. Ale przynajmniej byłam w kraju. Telefonicznie wciąż się zapewnialiśmy, że spotkamy się, kiedy znajdziemy chwilę czasu, nigdy

jednak do tego nie doszło. Wydawało się, że nie ma pośpiechu.

Jak zawsze.

– Powiedziałaś, że była od ciebie młodsza.

– O pięć lat. Szczerze mówiąc, nigdy nie byłyśmy ze sobą blisko. Zbyt się różniłyśmy. Ona zawsze była pewna siebie i towarzyska, no i miała talent do zjednywania sobie ludzi. Gdy zwróciła na kogoś uwagę, ten ktoś czuł się tak, jakby opromieniło go słońce. Inna sprawa, że zazwyczaj nie trwało to zbyt długo.

Roześmiała się z zakłopotaniem i odstawiła kieliszek.

– Oj, nie wiem, co mnie naszło. Wysłałam na wredną małpę.

– Nie, po prostu na siostrę.

– Ale z ciebie dyplomata. – Sięgnęła po butelkę i napełniła oba kieliszki.

– Nie, nie osądzaj Emmy źle. Potrafiła być urocza i wspaniale odnosiła się do Fay, choć nie była kimś, kogo nazwałbyś typem macierzyńskim. Emma właściwie nie rozumiała dzieci i stąd traktowała Fay bardziej jak nastolatkę. Młodszą siostrę. Fay ją uwielbiała. Dlatego ostatni rok był dla niej taki trudny. Pewnie trudniejszy niż dla innych.

– Dlatego zostałeś?

Przestraszyłem się, że może przekroczyłem jakąś granicę, bo Rachel początkowo nie odpowiedziała, obserwując swe palce obracające wolno nóżkę kieliszka.

– Tak, to zapewne jeden z powodów – rzekła w końcu – lecz przede wszystkim wydawało mi się niewłaściwe wyjechać, nie wiedząc nic o losie Emmy. Wszyscy myśleliśmy, że wkrótce czegoś się dowiemy, i dzień po dniu oczekiwaliśmy wiadomości od policji, że coś znaleźli, ale nigdy do tego nie doszło. A im dłużej to trwało, tym trudniej było po prostu powiedzieć: „Dobra, czekałam wystarczająco długo, wyjeżdżam”. Wiem, że Emma była dla Fay i Jamiego tylko macochą, więc tak naprawdę nie są moją rodziną, ale w obecnej sytuacji w jakiś sposób jednak są. Czy to ma w ogóle sens?

Patrzyła na mnie, czekając milcząco na słowa otuchy. Światło przygasło i jej zielone oczy wydawały się błyszczeć w półmroku pokoju.

– Moim zdaniem ma – powiedziałem.

– W mniejszym stopniu chodzi mi o Andrew i Jamiego, bo wiem, że potrafią dać sobie radę. Martwię się o Fay. Może gdyby mieszkali w mieście, gdzie wokół byłiby inni ludzie, i miała równych wiekiem przyjaciół, byłoby inaczej. Ale tu... tu nie ma dla niej nic.

Spojrzałem przez wielkie okno na spowity mrokiem krajobraz. Z nieba właściwie zniknęła już jasność i tylko falujące błyski na wodzie odróżniały czarny strumień od otaczających go mokradeł.

– To nie wygląda na miejsce, które wybrałaby twoja siostra – odezwałem się po chwili.



Wbiła wzrok w kieliszek.

– Myślę, że to dość ogólnie powiedziane. Poznała Andrew, kiedy jej przyjaciel budował nowy dom. Andrew był jego architektem, a Emma pomogła zaprojektować wnętrza. Zawsze uważała się za artystkę zajmującą się designem oraz fotografią, przy czym, między nami mówiąc, miała już za sobą próby sił w architekturze krajobrazu i malarstwie. Nieco wcześniej zerwała z chłopakiem, z którym była od dawna, jednym z tych superpewnych siebie facetów od mediów, sztuk walki i przetrwania. Uważał się za muzyka i filmowca, tyle że niczego specjalnego nie dokonał ani jako jeden, ani drugi. Prawdziwy dupek.

– Nie przepadałaś za nim, co?

– Jak na to wpadłeś? – Jej uśmiech szybko zgasł. – Pod wieloma względami byli bardzo podobni. Oboje ekstrawertycy, snujący wielkie plany, których nigdy nie zrealizowali. To był zawsze taki związek typu lubię cię – nie lubię i spotkała Andrew w czasie jednego z tych etapów na nie. Sześć miesięcy później się pobraли.

Rachel spojrzała na zdjęcie siostry z Jamiem i Fay, jakby wciąż usiłowała zrozumieć, co się stało.

– Myślałam, że padnę, kiedy dostałam zawiadomienie o ślubie. Nasi rodzice nie żyją, a my po ich śmierci nie utrzymywałyśmy żywych kontaktów. I nie chodziło mi o to, że wyszła za męża, bo Emma zawsze była impulsywna. Andrew po prostu nie robił wrażenia człowieka w jej typie, no i to przeniesienie się tutaj... – Pokręciła głową. – Emma musiała mieć wokół siebie ludzi, lubiła galerie i przyjęcia, a nie łachy mułowe i mokradła.

– Rozmawiałaś z nią o tym?

– Oczywiście, jestem jej starszą siostrzyczką. – W głosie Rachel słychać było uśmiech. – Oświadczyła mi, że zbyt obawiam się zmian i że zmarnowała dość życia na różnych „skurwieli”, z czym musiałam się zgodzić. Oświadczyła, że jest gotowa się ustatkować, a ten dom będzie salonem wystawowym dla niej i Andrew. On miałby projektować domy, ona ich wnętrza, umieszczając oczywiście na ścianach swoje fotografie. Wszystko miało być idealne, ale wtedy pojawił się Leo Villiers.

Przerwała i upiła łyk wina. Czekałem. W pogrążonym w mroku pokoju powstała atmosfera konfesjonau i czułem, że Rachel jest szczęśliwa, mogąc się przed kimś wygadać.

– Villiers zatrudnił Andrew, żeby wykonał dla niego jakąś pracę – podjęła. – Dostał ten uroczy stary dom nad rozlewiskiem. Przypuszczam, że jeszcze są gdzieś tu jego fotografie, które zrobiła Emma. Villiers chciał go wypatroszyć i urządzić na nowo, a ona przekonała Andrew, żeby pozwolił jej zaprojektować wnętrza.

Pamiętałem, że Lundy pokazywał dom Villiersów przy ujściu, duży wiktoriański budynek z wykuszowymi oknami wychodzącymi na morze.

– Powiedziała ci, że ma romans?

– Nie, lecz wiedziałam, że coś się dzieje. Telefonicznie zdradziła mi, że ona i Andrew mają problemy i zastanawia się nad odejściem od niego, domyśliłam się więc, że z kimś się spotyka. Nie chciała jednak wyjawić z kim i sprawy... trochę się zaogniły. Miałam kłopoty z własnymi relacjami i pewnie trochę przesadziłam, występując w roli potępiającej ją starszej siostry. Emma powiedziała, żebym pilnowała własnego nosa, i rzuciła słuchawkę. Wtedy rozmawiałam z nią ostatni raz.

Pomyślałem, że teraz rozumiem lepiej, dlaczego poczuła się zobowiązana zostać tu z powiększoną rodziną, którą ledwie знаła. Poczucie winy było silnym motywem, zwłaszcza w połączeniu z żalem.

– Czy Andrew coś podejrzewał? – spytałem. – Chodzi mi o romans.

– To nie było coś, o czym by mówił, a zwłaszcza ze mną. Pewnego razu przyznał się, że miał wrażenie, że coś jest nie tak, ponieważ Emma zaczęła nagle często wyjeżdżać do Londynu. Dopiero jednak później, kiedy policja powiedziała mu, że widziano niekompletnie ubraną Emmę w sypialni Villiersa i tak dalej, zdał sobie sprawę, z kim się spotykała. Boże, to było koszarne, bo Andrew pognął do domu Villiersa, by zrobić mu awanturę. Nikogo nie zastał, ale i tak postąpił głupio.

– Kiedy to się stało?

– Och, na długo przed zaginięciem Villiersa. I tak, policja o tym wie. – W głosie Rachel zabrzmiały cierpkie nuty, świadczące, że zdaje sobie sprawę, o czym myślę. – Andrew i Jamie strasznie się wtedy posprzeczali. Jamie oskarżył go, że jest egoistą i powinien myśleć o Fay. Miał rację, ponieważ Bóg raczej wie, co by się stało, gdyby Villiers był w domu. Minęły tygodnie, zanim znowu zaczęli ze sobą rozmawiać.

– To nie moja sprawa – powiedziałem ostrożnie. – Ale skoro Emma mówiła o odejściu, to czy nie mogła po prostu rzeczywiście odejść?

Rachel pokręciła głową.

– Też tak początkowo pomyślałam, lecz wówczas do tej pory ktoś by coś o niej usłyszał, bo jak już mówiłam, Emma potrzebowała widowni i odejście po cichu nie było w jej stylu. W złości wybuchła i trzaskała drzwiami, więc nie spakowałyby się ot tak po prostu i odeszła bez scen i awantur. I na pewno nie zostawiłaby wszystkich rzeczy. Zniknęła tylko jej torebka i aparat fotograficzny, nie wzięła żadnych ubrań, paszportu, nawet samochodu. Na zewnątrz stoi pod pokrowcem kabriolet mini cooper Gemmy, który policja znalazła porzucony w starej przetwórni ostryg, niedaleko stąd. Od tamtego czasu żadne z nas nie chciało nim jeździć.

Byłem zadowolony, że było już na tyle ciemno, by nie mogła dostrzec mojego zdziwienia. Nie było powodu, dla którego Lundy miałby o tym wspomnieć, lecz musiało to być nabrzeże, z którego rozpoczęto operację odzyskania zwłok.

Rachel z roztargnieniem bawiła się prawie pustym kieliszkiem.

– Nikt nie powiedział tego oficjalnie, ale pomyśleli, że musiała tam pojechać, aby spotkać się z Villiersem. Tyle że potem nikt nic nie wiedział, a teraz pewnie nigdy się nie dowiemy, ponieważ ten... ten pieprzony tchórz wolał się zabić, niż się przyznać.

Nie, pomyślałem, nie zrobił tego. Zabił kogoś innego, żeby tak wyglądało.

Bliskość między nami, jaką wcześniej czułem, zaczęła zanikać. Jej resztki ulotniły się, gdy na zewnątrz trzasnęły drzwi samochodu.

– Przyjechał Andrew – stwierdziła Rachel, prostując się, jakby przypomniawszy sobie, gdzie jest. – Robi się tu ciemno.

Wstała i włączyła światła. Zmierzch na zewnątrz poczerniał, strumień i mokradła zniknęły, gdy szklana powierzchnia okna zmieniła się w lustro odbijające wnętrze pokoju. Rozległ się dźwięk otwieranych drzwi frontowych, a potem na schodach zadudniły ciężkie kroki Traska.

Wyglądał na wykończonego, skórę na twarzy miał bladą, zmarszczki pogłębione i w ubraniu wciąż pogniecionym i poplamionym błotem wyglądał dziesięć lat starzej niż rano. Na mój widok się zatrzymał, jakby usiłując zrozumieć, dlaczego tu jestem.

– Jak się czuje Fay? – zapytała Rachel, gdy podszedł do zlewu.

– Śpi. Lekarze powiedzieli, że powinna być w wystarczająco dobrym stanie, by rano wrócić do domu. – Odkręcił kran i napełnił kubek; jego grdyka poruszała się w górę i w dół, gdy opróżniał go łapczywie. Potem usiadł z westchnieniem. – Gdzie Jamie?

– Wyszedł z Liamem i innymi. Nie powiedział dokąd.

Przez twarz Andrew przebiegł grymas irytacji, lecz wyraźnie nie miał dość energii, żeby ją podtrzymać. Zobaczyłem, że jego wzrok pada na kieliszki do wina i kanapki, wciąż leżące na talerzu. Rachel też to zauważyła i oczekiwałem, że zapyta go, czy wypije kieliszek, ale tego nie zrobiła.

– Chcesz, żebym zrobiła ci coś do jedzenia? – odezwała się cicho.

– Później sobie wezmę. Wizyta towarzyska, doktorze Hunter?

– Nie, przyszedłem zabrać rzeczy – odparłem, wstając. Trask sprawiał wrażenie, że ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, są goście. – Cieszę się, że z Fay wszystko dobrze.

– Ja też.

– David musi tu zostać jeszcze przez kilka dni – oświadczyła Rachel. – Powiedziałam mu, że może nadal mieszkać w hangarze.

W przekrwionych oczach pojawiło się coś w rodzaju zaciekawienia.

– Pracuje pan dla policji?

– Tylko rutynowe prace laboratoryjne.

Miałem nadzieję, że to odpowiedź wystarczająco nieprecyzyjna, aby go

zbyć. I rzeczywiście, skinął głową niedbale, jego zainteresowanie już się ulotniło.

– Niech pan zostanie, jak długo pan chce.

Zapadła krępująca cisza.

– Cóż, to ja już pójdę.

– Odprowadzę cię – powiedziała Rachel, kiedy skierowałem się w stronę schodów. Zaczęliśmy schodzić na dół, kiedy Trask zawołał:

– Doktorze Hunter! – Zatrzymaliśmy się, gdy stanął u szczytu schodów. – Jeżeli będzie pan w pobliżu jutro wieczorem, może pan wpaść na kolację. Jemy około siódmej trzydzieści.

Rachel wyglądała na równie zaskoczona jak ja. Zawahałem się, szybko rozważając, czy przyjąć zaproszenie, czy nie. Niemniej po wszystkim, co się zdarzyło, nie mogłem znaleźć żadnego powodu, aby je odrzucić.

– Z przyjemnością.

Po drugiej kąpieli buty zeszywniały, lecz nadal nadawały się do użytku. Rachel podała mi moją wciąż wilgotną kurtkę oraz świeżo wyprane ubranie, a jako bonus wcisnęła mi jedzenie, które odkupiłem im dziś rano. Wydawała się przygaszona i kiedy zamknęły się za mną drzwi, miałem nadzieję, że nie żałuje swej otwartości w rozmowie.

Noc szybko zapadała nad Backwaters, gdy ruszyłem przez kępę srebrnych brzoź. Ich białe pnie wyglądały upiornie w niemal całkowitej ciemności, a gałęzie kołysały się na wietrze przynosząc cichy plusk strumienia. Byłem w połowie drogi do samochodu, kiedy przypomniałem sobie, że nie wziąłem kluczyków, zawróciłem więc i stanąłem, bo drzwi frontowe się otworzyły i Rachel ruszyła między drzewami w moją stronę, trzymając kluczyki.

– Po to wracasz? – zapytała, podając mi je.

– Przydadzą się.

– Przydałby ci się też ten od hangaru. Oddałeś mi go dziś rano.

Zupełnie o tym zapomniałem. Zadowolony, że nie odjechałem, zanim to zauważyłem, czekałem, aż Rachel w zestawie kluczy na kółku odnajdzie ten właściwy.

– Przepraszam, gdzieś tu jest. Używałam dodatkowego kompletu Emmy i wciąż nie wiem, w którym pęku go umieściłam – wyjaśniła, wysilając wzrok w słabym świetle. – Dobra, mam.

Jej palce musnęły moje, gdy podawała mi klucz, przelotnie, lecz poczułem mrowienie jak przy leciutkim wstrząsie elektrycznym. Rachel stała na ścieżce z niepewną miną.

– Posłuchaj, to, co ci mówiłam...

– Nie martw się, niczego nie powiem – zapewniłem ją, rozczarowany, że uznała za konieczne mi o tym wspomnieć.

– Och, nie w tym rzecz – rzuciła szybko, wyciągając dłoń, by dotknąć

mojego ramienia. – Ja tylko... no cóż, chciałam podziękować. Normalnie tak się nie użalam, ale nie ma tu nikogo, z kim mogłabym porozmawiać.

– Nie użalałaś się. A ja z przyjemnością słuchałem.

Stała wystarczająco blisko, bym pomimo wieczornego chłodu mógł czuć ciepło jej ciała. Chwilo, trwaj.

– W takim razie w porządku. – Uśmiechnęła się na mgnienie i cofnęła. – Do zobaczenia jutro.

W takim razie w porządku, powtórzyłem w myśli. Patrzyłem za nią, gdy wracała do domu, do chwili, aż usłyszałem trzask zamykanych drzwi, a potem ruszyłem do samochodu. W środku było wciąż wilgotno i wiedziałem, że zapach stęchlizny utrzyma się niemal przez wieki, ale ledwo to zauważyłem, za to uświadomiłem sobie, że wciąż się uśmiecham. Silnik zapalił przy pierwszej próbie i odniosłem wrażenie, że samochód prowadzi się bardziej płynnie niż kiedykolwiek dotąd. Jamie wykonał świetną robotę. Zapisałem w pamięci, żeby mu podziękować – i zapłacić – kiedy jutro wieczorem przyjdę na kolację.

Myśl o Rachel nie opuszczała mnie przez całą drogę do hangaru. Parę razy dotknęła twojego ramienia, ale nie wyobrażaj sobie za dużo. Powinieneś skupić się na tym, co jutro masz do zrobienia w prosektorium. Nawet zakładając, że nie doszukuję się w tym zbyt wiele, czekał mnie pracowity dzień. I fakt, jak się okazało, był bardziej pracowity, niż oczekiwałem.

Następnego ranka policja znalazła grób koło domu Leo Villiersa.

## Rozdział 17

Lundy zadzwonił do mnie tuż przed lunchem. Spędziłem rano na opłukiwaniu rozczłonkowanego szkieletu z Barrows, który przez całą noc gotował się na wolnym ogniu w roztworze detergentu. Mimo że kości znajdowały się pod wyciągiem laboratoryjnym, w powietrzu unosił się zaskakujący zapach gotowanej wołowiny. Następnym krokiem miało być połączenie kości, pracochłonne zajęcie polegające na układaniu wszystkich dwustu sześciu pojedynczych elementów we właściwej pozycji anatomicznej do czasu odtworzenia całego szkieletu. Prawdopodobnie będzie to trwać dłużej niż zwykle, ponieważ czaszka została roztrzaskana wystrzałem śrutówki, lecz skoro Clarke niecierpliwie czekała na informacje, badałem powierzchownie niektórych najważniejszych kości zaraz po wyjęciu ich z kotłów. Miałem nadzieję, że będę w stanie do końca dnia przekazać jej przynajmniej wstępne podsumowanie.

Lan zastukała do drzwi sali prosektoryjnej, kiedy właśnie opłukiwałem miednicę.

– Doktorze Hunter, dzwoni inspektor Lundy.

Zostawiłem komórkę w szafce z pozostałymi rzeczami, bo nie chciałem, by coś mnie rozpraszało podczas pracy. Teraz z westchnieniem odłożyłem miednicę na tacę ze stali nierdzewnej, ściągnąłem rękawiczki i poszedłem odebrać telefon.

– Jak szybko może pan być w domu Leo Villiersa? – bez żadnych wstępów zapytał Lundy.

– A jak szybko mnie pan potrzebuje?

– Najlepiej już.

Clarke bez straty czasu uzyskała nakaz. Ponieważ było już wiadomo, że ciało w ubraniu Villiersa okazało się ciałem innego człowieka, były mocne podstawy do dokonania wszechstronnego przeszukania jego posiadłości. Z samego rana policja wkroczyła do wielkiego domu przy ujściu i pies wyszkolony do poszukiwania zwłok znalazł w ustronnej części posiadłości miejsce, które bardzo przypominało grób.

– Najpewniej coś tam zakopano – oświadczył Lundy. – Pies zareagował właściwie i można wyraźnie dostrzec zarys jamy. Ponowne ułożenie darni odwalono na odpięrz się, ale ziemia nie miała możliwości osiaść i wyraźnie widać kopczyk. Zaczęliśmy kopać, chcielibyśmy jednak, żeby był pan na miejscu, jeżeli coś znajdziemy.

Z jego słów wynikało, że grób musiał być stosunkowo świeży. Rozkład zakopanego ciała mógł trwać wiele lat, zanim ziemia nad nim osiadłaby do poziomu terenu, ale trawa i inne zielska potrzebowały o wiele mniej czasu, aby odrosnąć. Często powstawały widoczne różnice, w dużej mierze dlatego, że rośliny

żywiły się substancjami odżywczymi uwalnianymi przez zwłoki do ziemi. Jeżeli natomiast na przemieszczonej ziemi nic nie wyrosło, wskazywało to, że coś tam zakopano w zimie, już po zakończeniu ostatniej pory wzrostu roślin.

Zerknąłem w kierunku sali prosektoryjnej, gdzie czekały oczyszczone kości szkieletu. Wyjąłem z roztworu dopiero ich połowę, lecz pozostałym nie zaszkodzi, jeżeli poleżą w nim jeszcze trochę.

– Niech mi pan da godzinę.

Przed bramą zamykającą prywatną drogę na Willets Point stał młody posterunkowy i musiałem czekać, aż telefonicznie sprawdzi, czy może mnie przepuścić. Droga biegła przez las, potem zaś drzewa ustąpiły miejsca pejzażowym trawnikom, wyglądającym na niedawno skoszone, zapewne po raz pierwszy tej wiosny. Rosły na nich starannie dobrane drzewa – sekwoje, cedry i inne mi nieznane – a na gałązkach pięknych magnolii, które zaczynały kwitnąć, kremowo zakończone pączki sterczały jak świeczki.

Później droga okrążyła kępę rododendronów, ukazując ukryty za nimi dom Leo Villiersa. O ile było to odpowiednie słowo – może jeszcze nie dwór, lecz ten wiktoriański budynek wyglądał naprawdę imponująco. Podjazd okrążył go i prowadził na tyły, a dalej miałem niczym niezakłócony widok na ujście i otwarte morze. Było to urocze miejsce, oszpecone teraz gromadą zaparkowanych przed domem pojazdów policyjnych.

Podjeżdżając, zobaczyłem czekającego Lundy'ego. Kiedy wysiadałem, inspektor już szedł w moją stronę, spoglądając na zegarek.

– Doktorze Hunter, ma pan dobry czas.

– Po tej stronie nie było żadnej grobli.

Zaśmiał się cicho.

– Fakt. Odzież ochronna jest tam. Porozmawiamy, kiedy będzie się pan przygotowywał.

Podeszliśmy do furgonetki z pudłami pełnymi jednorazowych kombinezonów i innych akcesoriów używanych podczas policyjnych oględzin miejsca zbrodni.

– Clarke jest tutaj? – zapytałem, wybierając potrzebne mi rzeczy.

– Była, ale została wezwana gdzie indziej. Przepraszam, że przerwałem to, czym się pan zajmował w prosektorium, woleliśmy jednak, żeby był pan przy wykopywaniu.

Siadłem w otwartych tylnych drzwiach furgonetki, by naciągnąć biały kombinezon.

– Jakież poszlaki wskazujące, co jest pod ziemią?

– Jak dotąd nie, ale nie może być głęboko.

– A co z domem?

– Dość dziwnie. Wygląda, jak gdyby ktoś tu trochę sprzątnął. – Ton głosu

był żartobliwy, lecz w oczach inspektora nie było wesołości. – Miejsce zostało wyczyszczone już wtedy, gdy Villiers zginął, co zauważyliśmy, zanim prawnicy nas stąd wywalili. Tym razem jednak ktoś się bardzo postarał. Nie chodzi mi o codzienne odkurzanie i froterowanie, bo tu mi wygląda na przemysłowe sprzątanie. Cały dom cuchnie środkami wybielającymi i dezynfekcyjnymi.

Przerwałem w połowie naciąganie plastikowego kalosza i popatrzyłem na niego.

– Skoro był wyczyszczony po zniknięciu Villiersa, czemu teraz zrobiono to jeszcze raz?

– Właśnie, czemu? – Lundy uśmiechnął się cierpko. – Prawo tego nie zabrania, lecz dom rzekomo miał być zamknięty, od kiedy zginął. Jego sprzątaczką została zwolniona, ale ktoś najwyraźniej tu był. I to niedawno. Gdybym był cynikiem, powiedziałbym, że ktoś spodziewał się, że po znalezieniu ciała w rozlewisku przyjedziemy tu zrobić przeszukanie, i postanowił nie pozostawiać niczego przypadkowi.

– Sir Stephen? – zapytałem cicho, zaciągając suwak kombinezonu.

– Uważam to za bardziej prawdopodobne niż możliwość powrotu skądś Leo, żeby zrobić wiosenne porządki. – Lundy spojrzał na dom. – Wątpię, by sir Stephen osobiście złapał za mopa, ale można bezpiecznie założyć, że sprzątno na jego polecenie.

Zerwałem plastikowe opakowanie z nowej maski i naciągnąłem rękawiczki.

– Sądzi pan, że kłamał, rozpoznając zwłoki syna?

– Sądzę, że wie więcej, niż mówi. A w tej sprawie pańskie przypuszczenie jest równie dobre jak moje. – Lundy skinął głową. – Chodźmy, grób jest od frontu.

Krzyki mew towarzyszyły nam, gdy szliśmy wyłożoną kamieniami ścieżką wokół domu. Stał frontem w kierunku ujścia i tylko opadający w dół trawnik oraz drewniane moło oddzielało go od wody. Na końcu pomostu, gdzie było wystarczająco głęboko, cumowała niewielka łódka z silnikiem przyczepnym. Odpływ odsłonił jeziora wśród skał i niewielki półksiężyc piaszczystej plaży, lecz w czasie złej pogody fale musiały załamywać się na moło. Prosto od morza wiał wiatr, dzisiaj wystarczająco silny, by szarpać moim workowatym kombinezonem. Jediną rzeczą pomiędzy domem a odległą linią horyzontu był morski fort. Znajdował się w odległości mniej więcej ćwierci mili, a jego niezgrabne wieże sterczały z fal jak przerdzewiałe żurawie masztowe.

Byłem zaskoczony, że Villiers nie kazał go zburzyć, aby nie psuł mu widoku.

Po obu stronach portalu z drzwiami frontowymi umieszczone były wielkie okna wykuszowe. Zamiast pojedynczych szklanych szyb, osadzonych w drewnianych lub kamiennych framugach, okna miały lekko wypukłe panele, które nieco powiększały obraz, jak kuliste akwarium dla złotych rybek.



Dostrzegłem przez nie bezgłośnie poruszające się wewnątrz upiorne białe postacie techników z sądówki.

– Kiedyś była tu rodzinna rezydencja – wyjaśnił Lundy, gdy szliśmy przez trawnik w kierunku kępy rododendronów. – Stała zamknięta przez wiele lat, aż w końcu Leo postanowił się do niej wprowadzić. Oczywiście jego pierwszą decyzją było wypatroszenie połowy domu i jego „zmodernizowanie”. Powinien pan zobaczyć wnętrze. Wygląda jak z ilustrowanego magazynu.

– To ten projekt Emmy Derby?

Skinął głową.

– Mielibyśmy wszyscy o wiele mniej zmartwień, gdyby nie przyjęli zlecenia. No dobra, to właśnie tu coś znaleźliśmy.

Zatrzymał się kilka jardów od miejsca, w którym grupa techników kryminalistycznych w pobrudzonych ziemią kombinezonach klęczała wokół prostokątnej jamy koło krzewów, odgarniając ziemię łopatkami ogrodniczymi. Otoczona pomarańczowym sznurem dziura miała niewiele ponad metr długości oraz głębokość jakichś pięćdziesięciu centymetrów. Wydawała się zbyt mała jak na grób dorosłej osoby, co wcale nie oznaczało, że nim nie była. Znałem niejednego przypadek morderstwa, w którym zabójca przed pochowaniem ofiary złożył ją na pół, łamiąc przy tym kości i zrywając stawy.

– Macie coś? – zapytał Lundy.

Jeden z techników przerwał pracę, aby odpowiedzieć.

– Jeszcze nie, lecz nie sądzę, żebyśmy musieli jeszcze długo kopać. Jesteśmy wystarczająco blisko, by poczuć zapach.

W kombinezonie z kapturem i z maską na twarzy był całkowicie anonimowy, ale zapamiętałem jego głos znad strumienia. Był to ten masywny technik, który twierdził, że obrażenia twarzy zwłok na drucie kolczastym zostały spowodowane przez śrubę łodzi.

– Pamiętasz doktora Huntera z przedwczoraj? – przypomniał mu Lundy.  
– Ma nam pomóc.

– Alleluja! – burknął pod nosem tamten, ale odsunął się na bok, robiąc mi miejsce.

Zajmowałem się tym zbyt długo, żeby tracić energię na przepychanki. Ukląknęłam obok niego.

– Ziemia wygląda na dość miękką. Jak dawno pańskim zdaniem była rozkopana?

Technik parsknął pod maską.

– Góra kilka miesięcy. Może mniej. Ułożono na niej darń, lecz nie miała możliwości się zakorzenić. I nie było...

– Mam coś.

Powiedziała to inna technik, elektryzując resztę. Wszyscy obserwowali, jak

czubkiem łopatkę odgrzebuje coś w ziemi i przygląda się temu z bliska.

– Jakiś materiał. Może płaszcz.

Zerknąłem na Lundy'ego. Uniósł brwi, ale nie odzywał się, gdy odsłanianie coraz więcej obiektu. Już widać było kawałek ciemnego materiału, z którym pojawił się wyraźny odór rozkładu.

– Coś w niego owinięto – oświadczyła technik. – Chwileczkę... Och.

– Co znalazłaś? – rozgorączkował się Lundy, zaglądając obok niej do grobu.

– Futro. To zwierzę. – W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. – Wygląda na psa.

Napięcie zniknęło, jakby ktoś przekręcił przełącznik. Westchnienie Lundy'ego równie dobrze mogło oznaczać rozczarowanie, jak i ulgę.

– No dobra, obejrzymy resztę. I upewnijcie się, że niczego nie ma pod spodem. Niektóre chytre gnojki już wykręcały takie numery.

Ja też to wiedziałem. Inspektor skinął głową, dając mi znak, żebyśmy odeszli na bok. Ruszyłem, ściągając maskę, i stanąłem koło niego parę kroków od grobu.

– Beagle Villiersa – powiedział, patrząc na brudną białobrązową sierść odsłanianą przez techników.

Kiwnąłem głową, przypominając sobie, jak powiedział, że miejscowa weterynarka była ostatnią osobą, która widziała Leo Villiersa. Przynajmniej taką, o której wiedzieliśmy.

– Musiał naprawdę kochać tego psa, skoro sam go pochował – zauważyłem.

– Większość ludzi kazałaby weterynarzowi pozbyć się zwłok.

– O ile mi wiadomo, miał go od czasu, gdy był jeszcze nastolatkiem. Weterynarka powiedziała, że był „wyraźnie zrozpaczony”, kiedy psa trzeba było uspić. Tak silne emocje nawet ją zdziwiły, później jednak wydawało się to pasować do teorii o samobójstwie. Kropla, która przelała czarę i tak dalej. – Lundy spojrział na grób, jego wąsy obwisły, jakby na znak dezaprobaty. – Przynajmniej tej śmierci nie sfingował.

– Czy chce pan, żebym został, dopóki się nie upewnicie, że nie zakopano tu nic innego?

Pokręcił głową.

– Nie. Sądzę, że znaleźliśmy wszystko, co mieliśmy. Przepraszam za fałszywy alarm. Równie dobrze może pan wrócić do prosektorium. Im więcej dowiemy się o tym wyłowionym z rozlewiska, tym prędzej może wpadniemy na jakiś pomysł, co się dzieje.

Ściągnąłem rękawiczki, starając się nie zerwać razem z nimi plastrów. Niepotrzebnie się przebierałem, ale czasem tak bywa.

– Czy mógłby to być jakiś miejscowy?

– O ile wiemy, nie. Zgłoszono zaginięcie tylko dwóch osób z tej okolicy, Emmy Derby i Leo Villiersa, a wiemy, że to żadne z nich.

– Cóż, kimkolwiek był, miał mniej niż trzydzieści lat – oświadczyłem. – Palce na stopie wprowadziły mnie w błąd. Cokolwiek spowodowało ich młotkowatość, nie wiązało się z wiekiem. Na podstawie stanu obejrzanych kości powiedziałbym, że miał nieco ponad dwadzieścia, może około dwudziestu pięciu lat.

Specjalnie wybierałem kości wyjmowane z detergentu, skupiając się przede wszystkim na tych, które moim zdaniem mogły przekazać najwięcej informacji. Zakończenia żeber prawdziwych zmieniają się z wiekiem, podobnie jak powierzchnia uchowata stawu krzyżowo-biodrowego, w miarę upływu czasu stają się coraz bardziej nierówne i porowate. Na oglądanych kościach znalazłem pewne zgrubienia, lecz żadnej porowatości i chociaż dla potwierdzenia musiałem jeszcze przeprowadzić dokładniejsze badania, byłem pewien, że moja ocena nie odbiega zbyt od rzeczywistości.

– W takim razie sporo młodszy od Leo Villiersa – stwierdził Lundy. – Czy ma pan jeszcze coś, co mogłoby nam pomóc zorientować się, kogo szukamy? Wiek pomaga, ale na razie sytuacja wygląda tak, że nie wiemy nawet, czy był biały, czy czarny.

Pracowałem nad tym, niemniej ludzie po śmierci byli równie skomplikowani jak za życia. A wiadomo, że określanie pochodzenia jest trudne, nawet jeżeli szczątki są w lepszym stanie niż te. Kolor skóry może być mylący, poza tym i tak się zmienia wraz z rozkładem ciała. Śmierć wszystko równa, przemienia jasną skórę w ciemną i na odwrót. Są pewne charakterystyczne cechy szkieletu, które wskazują na takie czy inne tło genetyczne, lecz nawet one nie zawsze bywają jednoznaczne.

Te zwłoki były tego przykładem. Kiedy wszyscy uważali, że to Leo Villiers, przyjęto, że są zwłokami białego mężczyzny. Teraz tę pewność stracono, co tworzyło kolejny problem. Najwięcej charakterystycznych cech rodowych można znaleźć w czaszce, ale ta od ciała znalezionego na Barrows była poważnie zniszczona wystrzałem ze śrutówki. Nie tylko brakowało żuchwy, również szczeka poniżej jamy nosowej, w której normalnie tkwiłyby zęby, została zdruzgotana. Pozostały jedynie połamane pieńki tylnych trzonowców i puste zębodoły, za mało dla dentysty sądowego.

– Nie jestem w stanie określić rasy – powiedziałem Lundy’emu. – Mogę podać tylko wstępne wnioski, ponieważ obejrzałem jak dotąd tylko kilka kości. Pozostałość kości nosowej nie jest daleko wysunięta, co sugeruje przynależność do rasy czarnej lub żółtej. Z drugiej jednak strony oczodoły mają kształt bardziej kanciasty niż prostokątny lub zaokrąglony, co jest bardziej typowe dla rasy białej.

– Czyli może być rasy mieszanej?

– Może. Albo po prostu miał takie charakterystyczne rysy twarzy.

Lundy nadął policzki.

– Cóż, daje nam to nieco więcej poszlak. Chociaż jeżeli był rasy mieszanej...

– To co...? – spróbowałem go wysondować.

Inspektor pokręcił głową.

– Tylko głośno myślałem. Chodźmy, odprowadzę pana do samochodu.

Zdążyliśmy ująć zaledwie kilka kroków, gdy zadzwonił telefon Lundy'ego. Zatrzymał się, żeby go odebrać, i zobaczyłem, jak zmienia się wyraz jego twarzy.

– Chcesz powiedzieć, że są tutaj? – Cokolwiek usłyszał, to go nie uspokoiło. Jego silne ramiona obwisły. – O Chryste, no dobrze.

Wyłączył komórkę.

– Mamy towarzystwo.

\* \* \*

Sir Stephen Villiers nie był sam. Tym razem nie towarzyszył mu policjant wysokiej rangi, nadrobił to jednak asystą trzech prawników, dwóch mężczyzn w średnim wieku w drogich garniturach o klasycznym kroju oraz kobiety, której matowa czerń włosów zdradzała, że była wytworem chemii fryzjerskiej. Cała trójka szła nieco z tyłu, tworząc podświadomie szereg obronny – najstarszy prawnik tuż przy jego prawym ramieniu, a drugi mężczyzna i kobieta każde o pół kroku dalej za nim. Kiedy zmierzali ku nam przez trawnik, wyglądali jak stadko podążające za mamą kaczką, tyle że o wiele bardziej drapieżne.

Powiedziałem Lundy'emu, że wracam do kostnicy, spodziewając się, iż będzie chciał sam porozmawiać z ojcem Leo Villiersa. Inspektor skinął głową z roztargnieniem, lecz nagle przywołał mnie z powrotem.

– Wie pan co, doktorze Hunter, może zostanie pan jeszcze chwilę? Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, pańska obecność może być pomocna. – Gdy grupka była już blisko, przywołał na twarz przyjazny uśmiech. – W czym mogę pomóc, sir Stephenie?

– Gdzie jest pański starszy oficer?

Głos był lodowaty. Ojciec Leo Villiersa był ubrany tak samo nienagannie jak poprzednio – w ciemnoszary garnitur i popielaty kaszmirowy płaszcz. Wszystko w nim było idealne, od precyzyjnie wymanikiurowanych paznokci po przedziałek w nieco rzadziejących włosach. Fryzurę potargał mu jednak mocny wiatr wiejący od morza, a choć panował nad sobą, czuło się w nim ledwo powstrzymaną wściekłość.

– Nie ma jej w tej chwili – wyjaśnił Lundy. – Czy spodziewała się pana? Gdyby wiedziała o pańskim przybyciu, jestem pewien, że...

– Chcę, żebyście wynieśli się z mojej posiadłości.

Lundy uniósł brwi.

– Miałem wrażenie, że to dom pańskiego syna. Może jednak się myliłem...

Najstarszy prawnik wtrącił pospiesznie:

– Ten budynek i otoczenie stanowi część majątku Villiersów, a wasza tu

obecność jest ewidentnym i jednoznacznym nękaniami. Jeżeli nie odejdziecie, może zostać wniesione przeciwko wam oskarżenie o bezprawne wtargnięcie na teren prywatny i poczynienie niedozwolonych szkód.

– Cóż, niczego z tych rzeczy nie zrobimy – odparł spokojnie Lundy. – Mamy nakaz przeszukania posiadłości. Sądzę, że już go pan widział, ale jeżeli pan chce, mogę...

– Nie uznajemy prawomocności nakazu. Został wydany na podstawie całkowicie bezzasadnych przesłanek i nie mogę dostrzec żadnych innych jego motywów poza spowodowaniem zbędnych cierpień emocjonalnych mojego klienta.

Prawnik przemawiał ze znacznie większą bufonadą niż jego pracodawca, który wciąż spoglądał na Lundy'ego lodowatym wzrokiem, co na inspektora zdawało się nie robić żadnego wrażenia.

– Cóż, nic nie wiem o „bezzasadności” – odparł spokojnie. – Sądzę jednak, że ustalenia dotyczące zwłok o odstrzelonej połowie twarzy są wystarczającą podstawą. Tych, które miały na sobie zegarek i ubranie Leo Villiersa. – Lundy uniósł brwi, spoglądając na sir Stephena. – Pamięta pan, jak je pan zidentyfikował?

Sir Stephen wbił w niego wzrok.

– Oskarża mnie pan o kłamstwo?

– Broń Boże! – W ustach każdego innego mogłoby to zabrzmieć nieszczerze. – Kwestionujemy nie fakt, że rzeczy te należały do pana syna, lecz tożsamość zwłok. A sądziłbym, że jako ojciec powinien pan chcieć się dowiedzieć, o co tu chodzi.

– Nie ma czego się dowiadywać. Mój syn zginął w tragicznym wypadku, a jego ciało odnaleziono trzy dni temu. Widziałem je na własne oczy i aż do tej pory policja wydawała się również o tym przekonana. A teraz mam uwierzyć, że wasze wcześniejsze oceny były mylne? To zakrawa na niekompetencję.

– Nie sądzę, my tylko uwzględniliśmy nowe fakty. Obecny tu doktor Hunter jest antropologiem sądowym. Jeżeli zechce pan sobie przypomnieć, wyraził wówczas wątpliwość, czy ciało mogło znajdować się w wodzie wystarczająco długo, aby należeć do pańskiego syna. A teraz znalazł więcej dowodów, że nie należy.

Głowa sir Stephena odwróciła się i jego lodowate oczy spoczęły na mnie, a cała trójka prawników jak jeden mąż poszła w jego ślady. Serdeczne dzięki, Lundy, pomyślałem.

– Jakie dowody?

Zerknąłem na Lundy'ego, lecz ten stał z beznamiętnym wyrazem twarzy. No dobrze.

– Na ile możemy stwierdzić, prawa stopa znaleziona przez nas w strumieniu należy do ciała z rozlewiska. Ale pański syn podczas gry w rugby złamał kości śródstopia, dlatego powinny nosić ślady zrośnięcia, a tak nie jest. Skoro więc to nie

jego stopa, ciało również nie jest.

Sir Stephen przyglądał mi się z wyrazem twarzy, którym, właściwie go nie zmieniając, zdołał zasygnalizować mi lekceważenie.

– Powiedział pan, że stopę znaleziono w strumieniu.

– Tak...

– Czyli nie w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono ciało mojego syna. Nawet nie w rozlewisku.

– Nie, ale...

– W takim razie dlaczego uważa pan, że była jego? Czyżby do waszych rąk dotarły wyniki badań DNA popierające pana teorię?

Doskonale wiedział, że ich nie ma. Clarke musiała mu powiedzieć, że nadal na nie czekamy.

– Jeszcze nie, ale wykonane przeze mnie pomiary świadczą...

– Pomiary. – Pogarda w jego głosie aż cięła. Odwrócił się znowu w stronę Lundy'ego. – I takie są te pańskie dowody?

– Kiedy tylko dostaniemy wyniki DNA...

– Jestem pewien, że potwierdzą śmierć mojego syna. Teraz jednak ich nie macie, proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę? A więc wszystko to... – lekceważąco machnął ręką w kierunku domu – ...oparte jest na ustaleniach skompromitowanego eksperta sądowego o reputacji człowieka sprawiającego kłopoty.

Nie byłem pewien, czy bardziej oszołomiła mnie ta potwarz, czy fakt, że po odzyskaniu ciała zadał sobie trud zebrania informacji o mnie. Krew napłynęła mi do twarzy, kiedy szykowałem się do odpowiedzi, ale Lundy mnie uprzedził.

– Reputacja doktora Huntera nie ma tu nic do rzeczy, sir Stephenie. Nie wymyślił sobie złamanej stopy pańskiego syna, jedynie zwrócił uwagę na niezgodność pomiędzy szczątkami a jego dokumentacją medyczną. I przypominam, że poparły ją zdjęcia rentgenowskie dostarczone przez pana. Oczywiście gdyby pan rzeczywiście chciał posunąć dalej proces identyfikacji, zawsze może nam pan udostępnić pozostałą część dokumentacji medycznej. Ogromnie by nam pomogła.

Powiedział to swym zwykłym tonem, ale nikt się na to nie nabrał. W każdym razie nie prawnik sir Stephena, który nie kazał czekać na swą ripostę.

– Mój klient już określił swoje stanowisko w tej sprawie. Ta dokumentacja jest prywatna i taką powinna pozostać. Dla dobra współpracy został zrobiony wyjątek dla zdjęć rentgenowskich, lecz...

– W dokumentacji medycznej mojego syna nie ma niczego, co mogłoby przysłużyć się temu dochodzeniu. – Sir Stephen zignorował prawnika, jak gdyby go tu nie było. – Jeżeli policja ma podstawy uważać inaczej, proszę przedstawić mi stosowne dowody. Jeżeli nie, jestem przekonany, że są bardziej efektywne sposoby

wykorzystania czasu policji niż marnowanie go tutaj. I proszę być pewnym, że wspomnę o tym waszym przełożonym.

– Jestem przekonany, że pan to zrobi – zgodził się uprzejmie Lundy. – Zwłaszcza że jeden z nich już tu jest.

Inspektor detektyw naczelną szła szybko trawnikiem obok domu z kamiennym wyrazem twarzy i płaszczem łopoczącym wokół łydek. Lundy zacisnął wargi, widząc jej minę.

– Na dobrą sprawę może się pan zmyć – mruknął do mnie, gdy sir Stephen i jego świta ruszyli w stronę Clarke. – Zadzwoń później.

Gdy ją mijalem, naczelną inspektor zdawała się mnie nie widzieć, ale oboje mieliśmy ważniejsze sprawy na głowie niż świadczenie sobie uprzejmości. Twarz wciąż mnie paliła, kiedy szedłem ścieżką na tyły domu, gdzie stały zaparkowane samochody, wciąż wściekając się na sir Stephena Villiersa. Ze wszystkich zadowolonych z siebie, aroganckich... Chryste, co to za człowiek? Nawet nie spyta, czyje, zdaniem policji, są te zwłoki?

Albo dlaczego znaleziono je w ubraniu jego syna?

Przy plastikowych koszach na zużytą odzież ochronną szarpnąłem suwakiem kombinezonu tak mocno, że się zaciął. Mocowałem się z nim z pasją, klnąc pod nosem, aż papier ubioru się rozerwał.

– Zły dzień w firmie?

Do tej pory go nie zauważyłem. Stał oparty o smukłego czarnego daimlera i to bardziej samochód niż jego wygląd pobudził moją pamięć. Dopiero widok dziobatych policzków przypomniał mi kierowcę sir Stephena spotkanego przy przetwórci ostryg. Tego, który pytał o zwłoki w rozlewisku ujścia.

Znowu palił i wąska smuga dymu unosiła się z wypalonego do połowy papierosa trzymanego przy boku. Z miejsca, w którym stał, miał dobry widok na ścieżkę z boku domu i teraz rzucił na nią kolejne spojrzenie.

– Nie musi się pan obawiać, wciąż rozmawiają – uspokoilem go, a potem zacząłem wyplątywać się z częściowo rozpiętego kombinezonu.

Uśmiechnął się i podziękował mi skinieniem głowy, kolejny raz zaciągając się papierosem. Wyglądał na starszego, niż wcześniej myślałem, zdecydowanie bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki. Gdyby ponownie nie stał przy samochodzie, wątpię, czybym go poznał, bo nawet z tymi dziobami po trądziku nie wyróżniałby się w tłumie. Rysy miał sympatyczne, lecz nijakie, a starannie przystrzyżone włosy były nieokreślonego koloru i chyba rozjaśnione, a nie posiwiałe z wiekiem. Kiedy mu się teraz przyjrzałem, dostrzegłem, że jest smukły, ale muskularny, co, jakby się zastanowić, nie pasowało do jego siedzącego trybu pracy. W swoim granatowym garniturze z mocnej, syntetycznej mieszanki mógł być równie dobrze księgowym bądź pracownikiem służby cywilnej. No ale nie był żadnym z nich.

– Chyba nie następny, co? – zapytał, wskazując ruchem głowy działania

w domu.

– Następny kto?

Uśmiechnął się tylko na mój unik.

– Trup. Najpierw ten w rozlewisku, a potem wczorajszy. Wydaje się, jakbyśmy mieli ich w tej chwili pewną nadprodukcję.

– Jaki wczorajszy?

O ile wiedziałem, policja nie wydała komunikatu o znalezieniu drugich zwłok. Plotki musiały się rozejść, ale odludność Backwaters ograniczała ich zasięg lepiej niż wszelkie oficjalne starania.

Do kierowcy sir Stephena wyraźnie jednak dotarli, niemniej wzruszył ramionami i zaciągnął się papierosem.

– Nie ma sprawy. Nie proszę, żeby mi pan zdradzał jakieś tajemnice, tylko powtarzam, co słyszałem.

– A co pan słyszał?

– No cóż, jeżeli pan nie chce mi nic powiedzieć, to czemu ja miałbym mówić coś panu?

Uśmiechnął się, jakbyśmy wymienili prywatne żarciki, lecz jego otoczone drobnymi zmarszczkami oczy pozostały czujne i bystre. Wydmuchnął w bok, z dala ode mnie, obłoczek dymu.

– Tylko żartowałem. Wszyscy wiedzą, że wczoraj pojawiło się inne ciało. To jeden z dodatkowych przywilejów mojej pracy. Ludzie myślą, że jesteś częścią umeblowania, i zapominają, że masz uszy.

Wyglądało na to, że ktoś powiedział o znalezisku sir Stephenowi, a kierowca podsłuchiwał rozmowę. Ciekawe, czy informacja dotarła do jego pracodawcy oficjalnie, czy zawdzięczał ją przyjacielom na wysokich stanowiskach. Mozolnie ściągałem jednorazowy kombinezon, udając, że nie widzę, jak kierowca mnie obserwuje.

– Nigdy nie był inny.

Spojrzałem na niego, nie wiedząc, o kim mówi.

– Syn starego – wyjaśnił, uśmiechając się przez dym papierosowy. – Zawsze był dupkiem. Niektórzy ludzie nie doceniają tego, co mają.

Powiedział to tak bezceremonialnie, że nie wiedziałem, jak zareagować, ale też nie musiałem tego robić. Wydostałem się jakoś z kombinezonu, wrzuciłem go do kosza i wskazałem głową na dom.

– Chyba pański szef skończył.

Spojrzał szybko w bok i zobaczył sir Stephena i jego prawników wychodzących zza węgła budynku. Widocznie rozmowa z Clarke potrwała krótko. Na pozór bez pośpiechu kierowca stanął na baczność, a papieros zniknął jak za sprawą magii.

Nie chcąc mieć z nimi nic więcej do czynienia, odwróciłem się i odszedłem.





## Rozdział 18

Pracowałem w prosektorium aż do szóstej, a mógłbym i dłużej, lecz pamiętałem o zaproszeniu do Traska na kolację i chciałem wrócić do hangaru, żeby się przebrać. Zresztą i tak nie zostało mi wiele do zrobienia.

Spędziłem popołudnie, wyjmując kości z detergentowej brei, opłukując je, a potem układając na stole we właściwych miejscach do wyschnięcia. Oczyszczone ze wszystkich tkanek miękkich stały się kremowe i gładkie, od elegancko wygiętych żeber po misterne dyski kręgow. Były pozostałością po ludzkiej istocie, jej redukcją do najbardziej podstawowych składników mechanicznych; biologiczną rzeźbą, która nie dawała żadnego wyobrażenia o osobie, którą kiedyś tworzyły.

Ale przy pewnej dozie szczęścia powiedzą nam więcej o tym, kim były.

Składanie szkieletu szło mi coraz sprawniej, gdyż zasadniczo było powtarzaniem odmian tej samej układanki, w której części są znajome, choć za każdym razem inne. Poza zrozumiałym wyjątkiem czaszki szkielet był w dobrym stanie. Nie tylko nie nosił śladów gwałtownych obrażeń, lecz nie było też starych urazów, deformacji czy oznak pogorszenia stanu zdrowia wynikającego z chorób lub wieku. Najbardziej niezwykłą rzeczą było w nim to, że zupełnie niczym się nie wyróżniał.

Gdyby czas tak nie naglił, przystąpiłbym do badania dopiero po całkowitym złożeniu szkieletu, co i tak będę musiał zrobić ponownie przed napisaniem raportu. Niemniej w ten sposób już w czasie składania dobrze poznam jego stan i charakterystyczne fragmenty kości, co da mi jakiś obraz. Pod wpływem uspokajającego cichego pomruku wyciągu laboratoryjnego zdołałem stłumić wciąż tłący się gniew na sir Stephena i wykonywane czynności pochłonęły mnie całkowicie. Były to proste działania, powtarzane tyle razy, aż stały się czymś niemal w rodzaju medytacji, i gdy do drzwi zapukała asystentka z informacją, że dzwoni Lundy, byłem zaskoczony, jak szybko minęło mi popołudnie.

Pozostawiając salę prosektoryjną z jej woniami chemikaliów i gotowanego mięsa, poszedłem odebrać telefon. Lundy zaczął od przeprosin.

– Nie powinienem pakować pana w tę sytuację z sir Stephenem – oświadczył. – Sądziłem, że to coś pomoże, jeżeli dowie się o wszystkim z pierwszej ręki, powinienem jednak zdawać sobie sprawę, że również pana może wziąć na celownik.

– Bywało gorzej – uspokoiłem go. – Zdziwiłem się tylko, że zadał sobie trud, aby zbadać moją przeszłość.

Lundy zachichotał.

– Nie osiąga się jego pozycji, pozostawiając cokolwiek przypadkowi. Zaryzykuję twierdzenie, że wie, co każde z nas jadło na śniadanie, nie wyłączając

szefowej.

– Jak jej poszło? – zapytałem, pamiętając zaciętą minę Clarke idącej, by porozmawiać z sir Stephenem.

– Och, powiedziałbym, że był remis. Dyplomacja nie jest jej mocną stroną, ale nawet prawnicy sir Stephena nie mogą dyskutować z twardymi dowodami.

Miałem czas o tym pomyśleć, jadąc do kostnicy z domu Leo Villiersa. Z jakiegokolwiek punktu widzenia analizowałbym sytuację, postawa sir Stephena i tak wydawała się bez sensu.

– Jak pan sądzi, czemu on się tak upiera, że to zwłoki jego syna? Musi zdawać sobie sprawę, że wyniki badań DNA rozstrzygną wszystko, o co więc mu chodzi? Nie może to być tylko wyparcie.

Wiedziałem, że ludzie czasem nie potrafili zaakceptować śmierci ukochanej osoby, jednak nie na odwrót. Usłyszałem parsknięcie Lundy'ego.

– Może to myślenie życzeniowe. Doskonale wie, że to nie są zwłoki Leo, co sprawia, że jego syn stanie się osobą oskarżoną o morderstwo. Nie mamy tu do czynienia z przypadkiem takim jak Emmy Derby. Tym razem jest martwa ofiara i dowody wskazujące bezpośrednio na Leo Villiersa. Taki fakt na pewno nie wpłynie dobrze na jego reputację. Być może sir Stephen wolałby mieć martwego syna niż żywy kłopot.

Taka postawa wydawała mi się całkowicie niezrozumiała. Bez względu na wady Leo Villiersa i tego, kim mógł się okazać, nie mogłem pojąć, jak ojciec mógłby żywić podobne uczucia do własnego dziecka. Niemniej przypomniawszy sobie tego chłodnego, nienagannie ubranego mężczyznę, pomyślałem, że Lundy może mieć rację.

– Jest pan tam jeszcze, doktorze Hunter?

– Tak – wróciłem do rzeczywistości. – Czy w domu znaleźliście coś jeszcze?

– Właściwie nie. W grobie był tylko pies, a dom równie dobrze mógłby zostać wysterylizowany. W szafach porządek, w koszu żadnego brudnego prania. Jediną nową rzeczą w sprawie jest możliwość zaginięcia drugiej dubeltówki, nie tylko mowbry'ego.

– Możliwość?

– Wciąż usiłujemy to rozgryźć. Mowbry miał swoją szafkę w gabinecie Villiersa. Gospodyni, powiadamiając nas o zaginięciu chlebobawcy, wspomniała też, że szafka jest otwarta i pusta, dlatego wiedzieliśmy od razu, że dubeltówka zginęła. No ale kiedy w ubiegłym roku Leo kazał przebudować dom, zmienił pomieszczenie na broń w siłownię, a szafę ze strzelbami kazał przenieść do piwnicy wraz z innymi rzeczami, których nie chciał, i od tej pory nikt jej nie widział.

– Villiers miał własne pomieszczenie na broń? Myślałem, że nie lubił strzelać.

– Odziedziczył je razem z domem. Sir Stephen był znany jako zapalony strzelec i kiedy rodzina przyjeżdżała tutaj, miał zwyczaj organizować polowania. Poza dubeltówką Mowbry’ego cała reszta broni była stara i pochodziła właśnie z tamtych czasów. Szafa mogła pomieścić sześć sztuk, teraz jest w niej tylko pięć. Nikt, z kim rozmawialiśmy, nie wie, kiedy i dlaczego ta jedna strzelba przepadła. Może zresztą wiedzą, lecz nie chcą powiedzieć.

– Szafka była zamknięta?

Z tonu głosu wyczułem, że się uśmiechnął.

– Tak. Z tego, co wiemy, tylko Leo Villiers i jego ojciec mieli klucze, lecz gospodyni powiedziała, że w biurku był zapasowy komplet.

– I zniknął?

– Och, nie, wciąż tam jest. – Prawie widziałem, jak detektyw wzruszył ramionami. – Myślę, że strzelba się znajdzie. A jak u pana? Znalazł pan coś, co mogłoby nam powiedzieć, kogo wyciągnęliśmy z rozlewiska?

– Niezupełnie, poza tym, że nadal wszystko wskazuje na wiek około dwudziestu pięciu lat. Bardzo małe zużycie stawów, brak rzucających się w oczy wrodzonych uszkodzeń kości, a sam szkielet jest wyjątkowo proporcjonalny. Szerokie obojczyki i łopatki, dobrze rozwinięte żebra, wąskie biodra. Nie mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że był wysportowany, lecz górna część ciała miała klasyczny kształt litery V, więc zapewne miał też dobrą muskulaturę podtrzymującą kości.

– Czyli był dobrze zbudowany?

Nie zawsze prawidłowa struktura kości oznacza odpowiadającą jej budowę ciała. Ktoś może mieć szkielet sportowca, a jednocześnie być otyły albo niepełnosprawny, natomiast zwłoki wydobyte z wody były wzdęte i w stanie zbyt daleko posuniętego rozkładu, aby to określić. Niemniej na pewno należały do młodego człowieka i najprawdopodobniej aktywnego. A rozmiar odzieży, jaką miał na sobie, nie wskazywał na nadwagę.

– Chyba mogę to potwierdzić – rzekłem. – Jedynym wyjątkiem są palce młotkowate, lecz w przypadku kogoś w jego wieku zaczynam sądzić, że mogły powstać w wyniku powtarzających się obrażeń, na przykład niedopasowanych butów w młodości, chociaż wydaje mi się, że jak na taką przyczynę zmiany są zbyt poważne.

Lundy najwyraźniej przeprowadzał jakiś proces myślowy, bo przez chwilę w słuchawce zapadła głucha cisza.

– Pomińmy na razie tę kwestię. Powiedział pan wcześniej, że istnieje możliwość, by ofiara była rasy mieszanej. Nadal pan tak uważa?

– Wiem tylko tyle, ile powiedziałem panu wczoraj, a moja opinia opierała się jedynie na kształcie oczodołów. Nie jest to coś, co można z jakąkolwiek dozą pewności określić jednoznacznie. – Przypomniałem sobie, że Lundy interesował się

tą sprawą także przy domu Leo Villiersa, ale nie powiedział czemu. – A co, ma pan jakiś pomysł, kto to mógł być?

– Nie do końca. Pewnie to bez znaczenia, ale przyszedł mi na myśl widziany przez ogrodnika podejrzany osobnik kręcący się koło domu przed zniknięciem Villiersa. Dostrzegł go jedynie przelotnie, lecz stwierdził, że wyglądał na młodego i ciemnoskórego. „Jak imigrant albo uciekinier”, tak się wyraził. To byłby jakiś trop, tyle że populacja imigrantów w bezpośredniej okolicy nie jest zbyt liczna. Brak pracy, zakwaterowania, a gdyby ktoś zamierzał lądować tu łodzią, dalej wzdłuż wybrzeża znalazłby o wiele lepsze miejsca. Co więc uciekinier miałyby robić w tym miejscu?

– Przypuszcza pan, że tym intruzem mógł być ktoś mieszanej rasy?

– Niewykluczone. Tabloidy podburzyły wszystkich przeciwko imigrantom, a Cruckhaven raczej trudno nazwać wielorasowym. Być może ogrodnik wyciągnął pochopne wnioski.

Wspomniałem odwiedzone wczoraj miasteczko znajdujące się w stanie zapaści, zamknięte sklepy, objających się nastolatków i pomyślałem, że może mieć rację. Niemniej wciąż to wszystko wydawało mi się naciągane.

– Co nie znaczy, że chodzi o tę samą osobę, nie wyjaśnia też, co ten ktoś robił koło domu Leo Villiersa.

– Owszem, nie wyjaśnia – przyznał Lundy. – Niedawno była plaga włamań do położonych na uboczu domów, założono więc, że pewnie ktoś prowadził rozpoznanie. Villiers miał porządny system alarmowy i nie było już więcej doniesień o włamaniach, dlatego w tym czasie sprawa nie wydawała się istotna. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy myśleliśmy, że Villiers popełnił samobójstwo. Teraz jednak zaczynam się zastanawiać, czy nie ma w tym czegoś więcej.

Nie byłem w stanie wymyślić co, lecz jego słowa przypomniały mi o czymś innym.

– Rachel wspomniała w rozmowie, że do nich też się włamano. Wkrótce po zniknięciu jej siostry.

– Rzeczywiście, była taka sprawa – potwierdził z namysłem. – Jedną z pierwszych, skoro już pan o tym wspomniał.

– Sądzi pan, że jest między nimi jakiś związek?

Znów cisza. W słuchawce usłyszałem szeleszczący dźwięk. W pierwszej chwili pomyślałem, że szwankuje połączenie, nim dotarło do mnie, że inspektor właśnie gładzi sobie wąsy.

– Trudno teraz powiedzieć, ale coś mi się wydaje, że mamy tu cholernie dużo zbiegów okoliczności.

Rzeczywiście. Wyczułem, że Lundy zamierza skończyć rozmowę, rzuciłem więc pospiesznie:

– Chwilę pogadałem wczoraj przy domu z kierowcą sir Stephena. – Pokrótce

streściłem rozmowę. – Nie wyjaśnił wprost, w jaki sposób dowiedział się o drugich zwłokach, lecz dał do zrozumienia, że coś o tym usłyszał przypadkiem – dodałem.

– Cóż za niespodzianka – odezwał się cierpko Lundy. – Gdy weźmiemy pod uwagę, jakie nazwiska i adresy można znaleźć w notesie sir Stephena, wcale bym się nie zdziwił, gdyby wcześniej od nas wiedział, co się dzieje. Kierowca usiłował pociągnąć pana za język czy po prostu był ciekawski?

– Nie wiem, ale i tak nic mu nie powiedziałem. Myśli pan, że miał nadzieję przekazać, czego się dowiedział, sir Stephenowi?

W słuchawce usłyszałem parsknięcie.

– Powiedzmy, że nie sędzę, by sir Stephen był skłonny zatrudniać kogoś, kto nie wiedziałby, że ma nie puszczać pary z ust. Chyba że odpowiadałoby to szefowi.

Ja też tak nie sądziłem.

– Dlatego zdziwiłem się, że wyraził się o Leo Villiersie tak dosadnie. Nie wyobrażam sobie, aby sir Stephen był zadowolony, gdyby się o tym dowiedział.

– Ja też – orzekł z namysłem Lundy. – Okej, proszę zostawić to mnie.

Zakończyliśmy rozmowę. Lundy nie rozmawiał z Frearsem i nie znał rezultatów sekcji zwłok zdjętych z drutu kolczastego, które teraz miałem zbadać. Obiecał jednak wysłać mi mailem protokół, dzięki czemu będę mógł się z nim zapoznać, zanim sam zajmę się szczątkami.

Byłem ciekaw, co w nim znajdzie. A zwłaszcza zdjęć rentgenowskich.

Tego dnia oprócz ułożenia pierwszego szkieletu chciałem też rozczłonkować drugie zwłoki i zostawić je, by namokły. Zajęło mi to sporo czasu i kiedy zajechałem przed hangar łodziowy, był już zmierzch. Wyłączyłem silnik i siedziałem chwilę, napawając się ciszą. Hangar stał nad strumieniem, wtapiając się w otoczenie tak, że wyglądał w równym stopniu jak wydmy i trawa bagienna. Była to moja ulubiona pora dnia, długie chwile, gdy dzień przechodził z popołudnia w wieczór. Czuję się zmęczony, lecz w sposób będący rezultatem solidnej pracy, a nie choroby.

Wysiadłem z samochodu, przeciągnąłem się i poszedłem wyjąć z bagażnika zakupy, bo w drodze powrotnej wstąpiłem do supermarketu po dodatkowy prowiant. Skoro miałem pozostać tu jeszcze jakiś czas, na samych tostach i jajkach długo bym nie pociągnął. Wyjąłem torby, cofnąłem się, żeby zamknąć kufer, i omal nie wpadłem pod pędzący po wariacku samochód.

– Jezu!

Zachwiałem się, uderzony podmuchem wywołanym przez starego, białego forda fiestę z czerwonym rajdowym pasem na grzbiecie. Mignęły mi blond włosy kierowcy i wóz zniknął, a żółte światło jego reflektorów pochłonął roślinny tunel z głógów zrastających się łukiem nad drogą. Chryste! Patrzyłem za nim, wstrząśnięty unikniętym o włos wypadkiem, ale nie do tego stopnia, bym nie rozpoznał Stacey Coker. Prawdopodobnie nawet mnie nie zauważyła, a kiedy serce

przestało mi łomotać, uświadomiłem sobie, że nadjechała od strony domu Traska.

Co mogło tłumaczyć, dlaczego tak jechała.

Wszedłem do hangaru, wypakowałem zakupy i wstawiłem wodę na herbatę. Zrzuciłem buty, podszedłem do sofy, na której leżała moja torba podróżna, i zakląłem jak szewc, gdy uderzyłem gołą stopą w ukryty pod dywanem uchwyt klapy. Poniewczasie przypomniałem sobie ostrzeżenie Rachel, roztarłem bolące palce, znowu zakląłem i odchyliłem dywan, żeby mu się przyjrzeć.

Zobaczyłem gruby żelazny pierścień częściowo wpuszczony w drewno, lecz sterczący wystarczająco, by się o niego potknąć. Najwyraźniej była to kłapa załadunkowa obsługująca położony niżej pomost w czasach, kiedy hangar służył pierwotnym celom, a nie był eleganckim domkiem letniskowym. Gdy spróbowałem ją podnieść, zaskrzypiała, nawet jednak nie drgnęła, wyraźnie zamknięta lub zaryglowana od dołu. Pierścień uparcie nie dawał położyć się na płask, pomyślałem zatem, czy nie postawić na nim ciężkiej sosnowej skrzyni służącej także jako niski stolik. Dobry pomysł, lecz za bardzo wystawał, aby można było cokolwiek na nim postawić, ostatecznie więc się poddałem, ponownie zakrywając go dywanem.

Woda się zagotowała. Sprawdziłem czas i poszedłem zrobić sobie herbaty, zanim przebiorę się na proszoną kolację.

\* \* \*

Zaparkowałem na pokrytym żwirem placu tuż obok ścieżki prowadzącej do Creek House. Było ciemno, nawet bardziej niż przy hangarze, on bowiem, choć leżący na uboczu, znajdował się bliżej ujścia, gdzie docierała poświata typowa dla otwartej wodnej przestrzeni. Tu były tylko strumień i Backwaters, dlatego w bezksiężycową noc, taką jak ta, mrok stawał się naprawdę gęsty.

Przez kępę srebrnych brzoź przebijało światło z domu, lecz tak odległe, że jedynie podsycalo wrażenie ciemności. Korzystałem z latarki w komórce, starając się nie zgubić w jej świetle ścieżki między drzewami do chwili, gdy znalazłem się wystarczająco blisko domu, by przestała być potrzebna. Wyłączyłem ją, wychodząc spomiędzy drzew, i w tej samej chwili zza węgła wyłonił się Jamie. Wydawał się nieobecny duchem, a kiedy wyszedłem z cienia, dostrzegłem na jego twarzy zdenerwowanie.

– Cześć – odezwałem się.

Wzdrygnął się z zaskoczeniem, odwracając głowę w moją stronę.

– Oż kurwa!

– Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

– Ta, nie, ja tylko...

Sprawa miała wrażenie wytrąconego z równowagi i zakłopotanego.

– Twój tata zaprosił mnie na kolację...

– Aaa, tak. Jest w domu.

Zaczął mnie wymijać.

– Poczekaj chwilę. Jeszcze nie miałem okazji podziękować ci za naprawienie mojego samochodu – powiedziałem. – Wykonałeś świetną robotę.

Wzruszył ramionami, znowu wyraźnie skrępowany.

– Nie ma sprawy.

Wyraźnie nie miał ochoty rozmawiać, dlatego bez zbędnych słów wyjąłem z kieszeni kopertę z pieniędzmi, które pobrałem z bankomatu w supermarkecie, i mu ją podałem.

– Proszę. Mam nadzieję, że tyle wystarczy.

Jamie spojrzał na kopertę, marszcząc brwi, ale jej nie dotknął.

– Co to takiego?

– Twoje wynagrodzenie.

– Nie chcę żadnej forsy.

– Daję ci tylko tyle, ile bym zapłacił w warsztacie. A może nawet mniej – dodałem, myśląc o Cokerze. – Jeżeli w tym roku idziesz na uniwersytet, pieniądze pewnie ci się przydadzą.

Zacisnął mocno usta. Nawet w słabej poświacie padającej znad drzwi frontowych jego podobieństwo do ojca rzucało się w oczy.

– Nie wybieram się na studia.

Jego ojciec twierdził co innego, lecz Jamie nie byłby pierwszym nastolatkiem, który miał inne poglądy na swoją przyszłość niż rodzice, a ja nie miałem zamiaru w to się zagłębiać.

– W takim razie odłóż na chude lata. Albo na cokolwiek. Nie jest tego dużo, może ci jednak pomóc.

– Powiedziałem, że nie chcę forsy – powtórzył nieoczekiwanie ostrym tonem i zanim zdążyłem zareagować, odszedł w kierunku samochodów.

Zostałem z kopertą w rękę. No to dobrze ci poszło. Pomyślałem, że spróbuję przekonać jego ojca albo Rachel, by wzięli pieniądze dla niego. Po czym schowałem kopertę i wszedłem po stopniach, aby zastukać do drzwi.

Otworzył mi Trask z taką obojętnością w oczach, że aż się wystraszyłem, czy nie zapomniał o zaproszeniu.

– Mam nadzieję, że nie przyszedłem za wcześnie? – upewniłem się i zarazem przypomniałem.

– Nie. Oczywiście, że nie. Proszę. – Zamknął za mną drzwi. W korytarzu było mroczno, lecz na schody padała poświata z kuchni. – Właśnie coś kończę, ale Rachel już czeka na piętrze. Dołączę do was za chwilę.

Ruszył korytarzem w kierunku uchylonych drzwi, za którymi dostrzegłem deskę kreślarską z palącą się nad nią pojedynczą lampą. Niepewny, czy przyjmując zaproszenie, nie popełniłem błędu, ruszyłem na górę. Im byłem wyżej, tym kuchenne aromaty stawały się wyraźniejsze i zapach duszonego mięsa wywołał



nieprzyjemne skojarzenia z kośćmi gotującymi się w prosektoryjnym kotle.

Rachel krzątała się przy kuchni, a Fay siedziała na stołku barowym przy kuchennej wyspie i długą łyżką bez entuzjazmu mieszała coś w misce stojącej na granitowym blacie. Wyglądający żałośnie pies leżał u jej stóp. Wielkie połacie wystrzyżonej sierści odsłaniały gołe placki skóry i opatrunki, a na szyi miał ochronny kołnierz uniemożliwiający mu dotknięcie ich zębami.

Na mój widok uniósł łepkę, parę razy uderzył ogonem o podłogę, aż w końcu znowu legł płasko z tragicznym westchnieniem. Rachel odwróciła się od bulgoczących garnków, obdarzając mnie promiennym uśmiechem.

– Hej, nie słyszałam, jak wchodzisz. Kolacja będzie za jakieś piętnaście minut.

– Mogę w czymś pomóc?

Zdmuchnęła z twarzy kosmyk włosów, wyglądała na zgrzaną i zakłopotaną.

– Nie, usiądź sobie wygodnie.

Spojrzałem na córkę Traska. Była blada, z podkówkami pod oczami, na dłoniach i przegubach miała plastry, a pod jej bluzką z długimi rękawami mogłem dostrzec zarysy większego opatrunku.

– Cześć, Fay. Jak się czujesz?

Obojętnie wzruszyła ramionami.

– Dobrze.

– Dobrze, dziękuję – przypomniała upominająco Rachel, a Fay spojrzała na nią z kamienną powagą. – Usiłowaliśmy namówić lekarzy, żeby również jej założyli taki kołnierz jak Cassie, ale z jakiegoś powodu się nie zgodzili.

Fay obdarzyła ją spopielającym spojrzeniem, po czym wróciła do bełtania tego czegoś w misce. Rachel popatrzyła na mnie nad głową dziewczynki, wznosząc oczy do góry. Wyjąłem butelkę białego bordeaux, którą zamierzałem dać Jasonowi i Anji, dobrze schłodzoną po odstaniu swego w lodówce w hangarze.

– Mogę ją otworzyć?

– Tak, proszę. – Poruszyła ustami, bezgłośnie mówiąc „dzięki Bogu”.

– Tata nie pije wina – oznajmiła Fay, nie podnosząc głowy.

– On nie, ale ja tak – wyjaśniła Rachel. – A i doktor Hunter może będzie też chciał wypić kieliszek.

Przybrana siostrzenica spojrzała na nią z aktorskim zdziwieniem.

– Dlaczego? Nie ma żadnej specjalnej okazji.

– Niekoniecznie musi być. Niektórzy ludzie piją wino do posiłków.

– Chodzi ci o alkoholików?

– Nie, nie o tym mówiłam – odparła Rachel przesadnie cierpliwym tonem. –

Daj spokój, Fay, nie zaczynaj.

– Czego nie zaczynać?

– Dobrze wiesz.

– Nie, nie wiem.

Dziewczynka bezczelnie patrzyła na nią złośliwie niewinnym spojrzeniem. Rachel z irytacją pokręciła głową.

– No dobrze, nie ma sprawy. Możesz teraz przestać już mieszać psie żarcie i nakryć do stołu?

– Jestem zmęczona – oświadczyła Fay, bezceremonialnie odstawiając miskę na blat, by z głośnym tupotem zejść po schodach.

Gdy kroki dziewczynki ucichły, Rachel westchnęła.

– A nawet nie jest jeszcze nastolatką.

– Może być nadal roztrzęsiona po wczorajszym.

– Och, pewnie. Musisz jednak wiedzieć, że jej numery w stylu małej damy nie są niczym nowym. Teraz jednak wie, że może sobie pozwolić na więcej.

– Uśmiechnęła się ponuro. – Cieszysz się, że przyszedłeś?

Do tej pory tak, ale właśnie zacząłem myśleć, że może nie do końca. Niby zostałem zaproszony, lecz i beze mnie panowało tu wystarczająco duże napięcie.

– Zapomniałem przynieść kurtkę, którą mi pożyczyłaś – postanowiłem skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Nie szkodzi, jest stara. Po prostu zostaw ją w hangarze. – Ruchem głowy znacząco wskazała butelkę wina. – Korkociąg leży w szufladzie.

– Nie musisz otwierać jej z mojego powodu.

– Wcale nie dlatego. Nie zwracaj uwagi na małą. Ona... to po prostu Fay. Andrew już nie pije, nie przeszkadza mu jednak, jeśli piją inni. Emma z całą pewnością to robiła, a ja naprawdę, naprawdę lubię sobie wypić kieliszek. – Skrzywiła się. – Kurczę, teraz to zabrzmiała jak alkoholiczka. Ale mam jeden z tych dni.

Znalazłem korkociąg, otworzyłem wino i nalałem do kieliszków, które Rachel postawiła przede mną.

– Jesteś pewna, że w niczym nie mogę ci pomóc? – zapytałem, gdy opróżniła rondle.

– Nie, wszystko prawie gotowe, dziękuję. Chociaż mógłbyś włożyć psie żarcie do lodówki. Na blacie jest forma, przełóż je do niej.

Wskazała na miskę, w której Fay jakiś czas temu mieszała bez większego zapachu. Zawierała jakąś brązową breję, a obok stała forma do pieczenia. – To jest, eee, jakiś przysmak dla Cassie? – zapytałem niepewnie, przekładając ją łyżką do formy.

Rachel wybuchnęła śmiechem.

– Nie, to taki pudding na zimno. Pokruszone herbatniki, rodzyнки, roztopiona czekolada, taki deser do zrobienia naprędce. Nazywamy go tak żartobliwie w rodzinie, bo wygląda jak, no cóż...

– Psie żarcie?

Jej śmiech sprawił mi przyjemność.

– Smakuje lepiej, niż wygląda. Słowo.

Kroki na schodach zaanonsowały nadejście Traska. W jasnym oświetleniu zobaczyłem, że wygląda lepiej, niż kiedy poprzednio go widziałem, ale niewiele. Złachany sweter zastąpił wyblakłą czarną dżinsową koszulą, czarne spodnie były z tego samego materiału, a szpakowata szczecina zaczęła bardziej przypominać brodę. Na czoło miał zsunięte okulary.

Spojrzał na kieliszki z winem.

– To wygląda na dobry pomysł.

Spojrzała zaskoczona, ale podeszła do szafki i wyjęła jeszcze jeden kieliszek.

– Przepraszam, nie sądziłam, że też się napijesz.

– No cóż, mam ochotę.

Odwróciła się, gdy nalewał wino, lecz wcześniej dostrzegłem niepokój na jej twarzy. W domu było wino, Trask zaś wyraźnie nie miał nic przeciwko temu, aby inni pili. Niemniej był tu z tym jakiś problem i miałem nadzieję, że nie popełniłem mimowolnie jakiegoś błędu.

Trask upił łyk i z aprobatą skinął głową.

– Czegoś takiego nie kupi się w Cruckhaven.

– Nie, w Tesco.

– Ach, wydawało mi się, że poznaję *terroir*<sup>5</sup>.

Starał się być towarzyski. Zdałem sobie sprawę, że ostatnio raczej nie miewali goście na kolacji.

– Dziękuję za zaproszenie, jestem naprawdę zobowiązany.

– Niech pan przestanie się wygłupiać. Po wczorajszym przynajmniej tyle mogliśmy zrobić – oświadczył, chyba bez przekonania. Pociągnął łyk wina, a potem wziął butelkę i nalał nam do kieliszków. Również do mojego, zanim zdążyłem go powstrzymać. – A gdzie jest Fay? Myślałem, że miała pomagać.

– Pomagała. Po prostu musiała pójść do łazienki. – Rachel wstawiła opróżniony rondel do zlewu i zalała go wodą. Pewnie tylko dlatego, że wiedziałem, iż to niewinne kłamstwo, zdołałem wyczuć je w jej głosie, Trask jednak wyraźnie nie zwrócił na to uwagi.

– A Jamie?

– Wpadłem na niego na zewnątrz – powiedziałem odruchowo.

Twarz Traska zastygła.

– Co robił?

– Nie wiem – odparłem. Miałem nadzieję, że nie palnąłem tego nie w porę.

Spojrzał szybko na Rachel.

– Powiedziałem mu, że dziś wieczorem będzie jadł z nami. Lepiej, żeby gdzieś znowu nie poleciał.

– Nie poleci, pamięta o tym – odparła beznamiętnie, wyraźnie

przyzwyczajona do tego rodzaju mediacji. – Proszę, czy ktoś mógłby nakryć do stołu?

Wstałem, ale Trask powstrzymał mnie gestem ręki.

– Sam to zrobię. Ośmielę się przyjąć, że miał pan dziś wystarczająco dużo zajęć, doktorze Hunter.

Poczułem niepokój, słysząc aluzję do mojej pracy.

– Proszę mi mówić David – zaproponowałem, unikając odpowiedzi na pytanie.

Trask wziął z szuflady sztucce oraz trzciniowe podkładki i zaczął przygotowywać stół.

– Wiesz już, jak długo tu zostaniesz?

– Pewnie jeszcze kilka dni. Oczywiście jeżeli mój pobyt w hangarze jest jakimś problemem, mogę znaleźć inną kwatere.

– Gdyby był problemem, tobyś tam nie mieszkał. – Skończył nakrywać do stołu i ponownie napił się wina. Spojrzał na niemal pustą butelkę, podszedł do chłodziarki na wino i wybrał następną. – Jak przebiega dochodzenie?

Spojrzałem nerwowo na Rachel.

– Posuwa się do przodu.

– Aha, posuwa się. – Wyjął z szuflady korkociąg, ostrym czubkiem zdjął folię z szyjki butelki. – A co z tym kimś w strumieniu? Wiadomo już, kto to taki?

– Andrew, jestem pewna, że David nie powinien...

– A ja jestem pewien, że David może sam odpowiedzieć. – Wkręcił korkociąg w korek. – Jestem grzecznym chłopcem i w ogóle nie zapytałem o Villiersa. Sądzę jednak, że mam prawo przynajmniej zapytać, z czyimi zwłokami moja córka tkwiła w drucie kolczastym.

Korek wyszedł z cichym puknięciem. Trask postawił otwartą butelkę, spoglądając na mnie nieco wyzywająco. Rachel przyglądała mu się z niepokojem.

– Przepraszam, lecz nic na ten temat nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą, chociaż różnie można było interpretować to słowo.

– Twierdzisz, że policja nic ci nie powiedziała?

– Nie to, kim był.

Nadal nie miałem pojęcia o tożsamości denata, a więc moja niewiedza była autentyczna. Nie zdążyłem nawet przeczytać przesłanego mi przez Lundy'ego protokołu z sekcji. Trask nie robił wrażenia przekonanego, ale zanim zdołał zapytać o coś jeszcze, z dołu dobiegł odgłos otwieranych drzwi frontowych.

– To musi być Jamie. – W głosie Rachel zabrzmiała ulga. Podeszła do szczytu schodów i zawołała: – Jamie, możesz powiedzieć Fay, żeby przyszła? Kolacja gotowa.

Trask umilkł, gdy podeszliśmy do stołu. Rozlał resztkę przyniesionego przeze mnie wina do kieliszków Rachel i mojego. Dostrzegłem, że Rachel zerknęła

na niego z niepokojem, nie odezwała się jednak.

Zdałem sobie sprawę, że nie trzeba było przyjmować zaproszenia Traska. Przedłużenie pobytu w hangarze było zupełnie inną rzeczą niż wspólne zasiadanie z nim przy stole. Oczekiwałem zbyt wiele, licząc, że powstrzyma się od poruszania sprawy dochodzenia. Cóż, powinienem mieć dość zdrowego rozsądku, by przewidzieć, w jakiej znajdę się sytuacji. Wszyscy poza uczestniczącymi w śledztwie powinni wciąż wierzyć, że Leo Villiers nie żyje i to jego zwłoki policja wydobyła z rozlewiska. A teraz miałem siedzieć przy obiedzie z rodziną zaginionej kobiety, udając, iż nie wiem, że podejrzany o jej morderstwo wciąż żyje.

Gdzie ja miałem głowę?

Zauważyłem, że Rachel przygląda mi się, rozkładając talerze na stole, i zmusiłem się do uśmiechu. Byłem tu i teraz, musiałem więc po prostu postarać się jak najlepiej.

Fay weszła po schodach ze znudzoną miną cierpiętnicy.

– Gdzie Jamie? – zapytał Trask.

Jego córka z szurnięciem przesunęła krzesło po podłodze i opadła na nie ciężko.

– Powiedział, że nie jest głodny.

– Pójdę po niego – zaproponowała szybko Rachel, ale Trask już wstawał z zaciśniętymi ustami, z takim samym wyrazem twarzy, jaki wcześniej widziałem u jego syna.

– Nie. Rób, co robisz.

Patrzyła z niepokojem, jak zdecydowanymi krokami schodzi na dół. Fay była pochłonięta głaskaniem i mówieniem do psa, który przyszedł i położył się u jej stóp, ja zaś wstałem od stołu i podszedłem do wydymającej z piekarnika naczynie z zapiekanką Rachel.

– Chyba powinienem pójść – powiedziałem cicho.

Zerknęła na Fay, odstawiła naczynie i odwróciła się do mnie.

– Jeżeli teraz odejdziesz, będzie jeszcze gorzej.

Nie wiedziałem, jakim cudem.

– Przepraszam, w ogóle nie powinienem przychodzić.

– Cieszę się, że jesteś – odparła łagodnie.

Zielone oczy spoglądały na mnie i czułem, że coś się we mnie rozplątuje, jakiś węzeł tkwiący w mojej psychice od tak dawna, że przestałem go zauważać. Rachel wciąż patrzyła na mnie, gdy kroki na schodach zasygnalizowały powrót Traska i jego syna. A potem wzięła stosik talerzy ze stołu kuchennego i mi go wręczyła.

– Możesz?

Do diabła. Zastanawiając się, co właściwie robię, wziąłem od niej talerze i kiedy Trask z Jamiem weszli, rozstawiałem je na stole. Żaden z nich nie wyglądał

na zadowolonego, gdy w milczeniu zajmowali miejsca. Jamie nawet ostentacyjnie westchnął, siadając, i spojrzał na pochyloną siostrę głaszczącą psa.

– Wyglądacie tak, jakbyście brali udział w konkursie, które z was ma więcej opatrunków.

– Zamknij się.

– Uważam, że Cassie wygrała. Powinniśmy od teraz zacząć nazywać ją Frankencassie.

– Wcale nie.

– Ona żyje, panie! Szczeka!

– Przestań! To ty wyglądasz jak frankenstein!

– I oto jam stworzył psa! Powstań, Frankencassie, powstań!

– Zamknij się – powtórzyła siostra, ale oboje się śmiali.

– Starczy już, uspokójcie się – rzucił Trask i krótka chwila odprężenia minęła. Gdy Rachel stawiała na stole naczynie z zapiekanką, znowu panowała cisza.

Zgrzytanie łyżki brzmiało aż za głośno, gdy nakładała potrawę. Spojrzałem na wielkie okno i zobaczyłem, że noc ponownie zmieniała je w czarne lustro. Strumień zniknął za przyćmionym odbiciem pokoju, w którym jakaś inna piątka ludzi siedziała wokół identycznego stołu. Nie wydawali się z tego cieszyć, podobnie jak my.

– Mamy też pieczone ziemniaczki i brokuły – powiedziała zachęcająco Rachel, nakładając parujące danie z kurczaka na talerze i podając je każdemu po kolei.

Fay skrzywiła się.

– Nie cierpię brokułów.

– Bo odżywiają mózg, a ty nie masz mózgu. – Jamie wciąż mówił żartobliwym tonem, lecz tym razem siostra spojrzała na niego z gniewem.

– Jestem mądrzejsza od ciebie!

– Ta. Chyba ci się śni.

– Jestem! Skoro taki z ciebie mądrała, to dlaczego oblałeś próbne egzaminy?

– Dostyc tego – warknął Trask. – Fay, jedz swoje brokuły i przestań się popisywać.

– Ja się nie...

– Powiedziałem, dostyc!

Melodyjne pobrzękiwanie sztućców wydawało się podkreślać ciszę.

– Wyśmienite – pochwaliłem, niosąc kolejną porcję do ust.

Rachel uśmiechnęła się, bardziej wdzięczna za próbę podtrzymania rozmowy niż za komplement.

– Dzięki. W przepisie nazywają to strogonowem z kurczaka, to jednak tylko wymyślna nazwa dla zapiekanej potrawy z kurczaka i grzybów.

– Bardzo dobre – potwierdził zgodnie Trask i wyciągnął rękę, by nalać sobie znowu wina. Zobaczyłem, że Rachel go obserwuje, podobnie jak Jamie.

– Mogę wypić kieliszek?

– Nie.

– Dlaczego?

– Po prostu jedźmy obiad, dobrze?

– Nie rozumiem, dlaczego ja też nie mogę nalać sobie kieliszka wina. Mam osiemnaście lat i poza domem mogę bez problemu pić alkohol.

– Ale tu nie. Kiedy pójdziesz na studia, możesz zachowywać się, jak ci się podoba, ale do tej pory będziesz robił, co ci każę.

Twarz Jamiego spochmurniała.

– Powiedziałem ci, że nie wybieram się na studia.

Trask znieruchomiał, a potem znowu zaczął jeść.

– Nie zaczynaj wszystkiego od nowa.

– Nie zaczynam. Sam poruszyłeś ten temat.

– W takim razie skończmy go. Nie będziemy teraz prowadzić tej rozmowy.

– Doskonale. I tak nie ma o czym mówić. To moja decyzja i już ją podjąłem.

Fay żuła powoli, patrząc na ojca i brata wielkimi oczami.

– Nie chcę, żeby Jamie wyjechał z domu.

Brat uśmiechnął się do niej z wysiłkiem.

– W porządku. Nigdzie się nie wybieram.

– Nie wtrącaj się, Fay – upomniał ją Trask. – A ty, Jamie, nie składaj siostrze obietnic, których nie zdołasz dotrzymać. To nieuczciwe dawać jej nadzieję.

– A co ma do tego uczciwość? – zaprotestował Jamie. – To moje życie i mogę z nim robić, co zechcę!

– Jamie... – zaczęła Rachel, ale ani ojciec, ani syn nie zwrócili na nią uwagi.

– Nie możesz, jeżeli masz zamiar zachowywać się jak cholerny idiota! – warknął Trask. – Nie pozwolę ci zniszczyć wszystkiego dla jakiegoś szczeniackiego kaprysu!

– Och, bo jesteś takim ekspertem?! Nikt inny nie chciał tu przyjechać i zobacz, jak to się skończyło!

Krzesło Traska zgrzytnęło głośno na drewnianej podłodze, kiedy zerwał się na równe nogi. Odniosłem wrażenie, że gdyby jego syn nie siedział przy drugim końcu stołu, pewnie by go uderzył. Próbowałem wymyślić coś, co rozładowałoby sytuację, lecz nic nie przychodziło mi do głowy.

– No i co chcesz zrobić? Uderzysz mnie? – Jamie zbladł, a plamy na jego policzkach stały się jeszcze bardziej jaskrawe. – No, proszę, czemu...

– Przestańcie! – krzyk Rachel przedarł się przez gniew panujący w pokoju. – Na miłość boską, natychmiast... przestańcie!

Wszyscy spojrzeli na nią. Wbiła wzrok w stół, jej pierś unosiła się i opadała.

Napięcie rosło. Trask nabrał powietrza, żeby coś powiedzieć, ale w tej samej chwili z dołu dobiegło głośnie łomotanie.

Ktoś był przy drzwiach frontowych.



## Rozdział 19

Miałem wrażenie, że pękła jakaś bańka. Przez sekundę lub dwie nikt nie reagował, aż w końcu Trask się ocknął.

– Kto, u diabła?! – zawołał, odwracając się w kierunku schodów. Kimkolwiek ten ktoś był, bardzo mu zależało, bo łomotanie trwało, i to takie, że czułem, jak podłoga wibruje. Pies zaczął ujadać, potęgując hałas.

– Ja pójdę. Cii, Cassie – powiedziała Rachel, wstając.

Poirytowany Trask machnął ręką, każąc jej siadać.

– Nie, zostań. – Odniosłem wrażenie, że ruszając w dół, jest zadowolony z pretekstu. – Już idę! Idę!

Łomotanie nie ustawało. Rachel zwróciła się do Jamiego:

– Wszystko w porządku?

Skinął głową, ale wciąż był zaczerwieniony.

– Tak.

– Chyba wyłamią drzwi – zatrwożyła się Fay, oburzona i przerażona, uderzenia bowiem stały się jeszcze głośniejsze.

– Chryste, przecież powiedziałem, że idę! – doleciał z korytarza głos Traska. Hałas ustał, gdy otworzył drzwi frontowe. – No dobra, o co...

– Gdzie ten mały skurwiel?

Nastąpiło nagłe zamieszanie. Zerwałem się, kiedy na schodach zadudniły ciężkie kroki i do pokoju wpadł Coker.

Wyszmelcowany kombinezon oraz czapkę zastąpiły džinsy i koszula z krótkimi rękawami, opinająca się na bicepsach i brzuchu. Krzepki właściciel warsztatu z dzikim grymasem ruszył prosto na Jamiego.

– Ty mały kutasie, zabiję cię tu, kurwa, na miejscu!

Zastąpiłem mu drogę, unosząc ręce, żeby go zatrzymać albo uspokoić, lecz zmiotł mnie na bok. Nie zrezygnowałem, ale gdy chwyciłem go za ramię, poczułem siłę jego nabitego cielska.

– Spierdalaj mi z drogi!

Spróbował się wyrwać i – przypadkiem lub umyślnie – wyrznął mnie w twarz, aż zobaczyłem wszystkie gwiazdy, a nos eksplodował mi bólem. Niemniej uporczywie wisiałem na nim, usiłując go zatrzymać, czując bijący od niego odór smaru i potu. Jego mięśnie zaczęły napinać się pod warstwą tłuszczu, ale zamiast odrzucić mnie na bok, nagle się zatrzymał. Mrugając oczami, żeby odzyskać ostrość widzenia, zobaczyłem dlaczego.

Rachel obejmowała ramieniem Fay, drugą ręką trzymając za obrozę szczekającego psa, a przed nimi stał Jamie, blady, lecz zdeterminowany, z długą klingą ściskanego w ręce noża do chleba, wysuniętą w stronę Cokera.

– I co masz zamiar z tym zrobić? – uśmiechnął się szyderczo napastnik.

Ale już nie rwał się tak do przodu. Wciąż trzymałem go za ramię, nie mając pojęcia, co robić dalej, gdy Rachel wcisnęła obrożę psa w dłoń Fay i ruszyła na niego.

– Co się, u diabła, z tobą dzieje? Wiesz, co wyprawiasz?

Jej wściekłość zaskoczyła Cokera. Podbródkiem wskazał Jamiego.

– Jego zapytaj!

Jamie stał ze zmieszaną miną, aż nagle spojrzął za plecy Cokera i wyraz jego twarzy uległ zmianie.

– Tato? Nic ci nie jest?

Trask pojawił się na szczycie schodów wyraźnie wstrząśnięty i rozczochrany, ale bez żadnych obrażeń. Kiedy zorientował się w sytuacji, zacisnął mocno pięści.

– Masz pięć sekund, żeby stąd zniknąć, zanim wezwę policję.

Coker wyszarpnął ramię z mojego chwytu.

– Fajnie! Wzywaj! Powiedz im, co twój pierdolony synek zrobił!

– A co takiego zrobił?

– Próbował zgwałcić Stacey!

Jamie gapił się na niego z otwartymi ustami i nagle twarz mu poczerwieniała.

– Co? No nie, weź przestań!

– Zadzwoiła do mnie, była przerażona! – ryknął Coker. – Powiedziała, że narzuciła się jej od tygodni, nie słuchałeś, kiedy mówiła nie! A kiedy nie chciała zmienić zdania, próbowałeś zmusić ją siłą!

– Ja, zmusić ją? Żartujesz chyba, błagała mnie, żebym...

Krzyk Traska wciął się w ich głosy.

– Dosyć!

– Ale tato...

– Powiedziałem dosyć. I na litość boską, odłóż ten cholerny nóż! – Odwrócił się do Cokera. – Kiedy niby miało się to zdarzyć?

– Żadne niby, spotkała się z nim po pracy dziś po południu – warknął Coker.

– Zadzwoiła do mnie zapłakana. Kazała mi obiecać, że nie zawiadomię policji, nie chciała narobić temu małemu skurwielowi kłopotów!

Jamie podniósł ręce do góry.

– Och, daj spokój! Przyszła tu i chciała, żebym poszedł z nią jutro na jakąś głównianą imprezę, a kiedy powiedziałem nie, walnęła mnie w twarz i wyleciała stąd! Zwyczajnie robi ściemę!

– Powinna urwać ci jaja, a nie tylko dać po pysku! – Coker zaciskał pięści, lecz już się opanowywał. – Stacey nigdy by tu znowu nie przyszła, dobrze wie, że ma tego nie robić. Zadzwoiłeś do niej, udając, że masz jej coś ważnego do

powiedzenia. Namówiłeś ją, żeby spotkała się z tobą poza miastem, i rzuciłeś się na nią! Prawie zerwałeś z niej bluzkę!

– Tato, to bzdury!

– Jamie był przez cały dzień w domu – oświadczył z kamiennym spokojem Trask. – Nie wiem, co zrobiła twoja córka, ale mogę ci powiedzieć, że on nigdzie nie wyjeżdżał.

– A skąd wiesz? Cały czas miałaś go na oku, tak? – parsknął Coker. – Broniłś go wcześniej i robisz to teraz.

To nie był mój spór, nie mogłem jednak siedzieć cicho, skoro wiedziałem coś, czego oni nie wiedzieli.

– O której to było? – zapytałem.

Coker spojrział na mnie wściekle.

– A co tobie, kurwa, do tego?

– Biała fiesta z rajdowymi pasami omal mnie nie przejechała przed hangarem łodziowym mniej więcej godzinę temu – wyjaśniłem. – Jechała z tego kierunku, w stronę miasta.

Coker poruszał ustami, usiłując zrozumieć informację.

– Pieprzysz! Stacey za nic by tu nie przyjechała!

Zawahałem się, mimo to uznałem, że lepiej mu powiedzieć.

– Była tu też w weekend. Widziałem ją, kiedy czekałem na uruchomienie samochodu.

Gdyby Coker się tym zajął, sam mógłby ją wtedy zobaczyć, lecz wiedziałem, że lepiej o tym nie wspominać. Trask spojrział gniewnie na syna.

– Stacey tu była?

Coker nie dał Jamiemu szansy na odpowiedź, bo całą wściekłość skierował na mnie.

– Łżesz! Kryjesz ich!

– Na litość boską, dlaczego całkowicie obcy człowiek miałby coś zmyślać? – zapytał Trask. – A może byś trochę pomyślał o mojej córce? Dopiero dziś rano wyszła ze szpitala, a ty wpadasz do jej domu i grozisz?

Miałem wrażenie, że Coker do tej pory w ogóle nie zauważył Fay, bo wyraźnie się zawahał, gdy spojrział na przerażoną dziewczynkę, skuloną za Rachel, i zauważyłem, że nie uszły jego uwadze opatrunki na jej szczupłych rączkach.

Wciąż jednak nie chciał się wycofać i znowu zaatakował Jamiego.

– Stacey za nic by tego nie wymyśliła. Wiem, że coś jej zrobiłeś, ty mały skurwielu!

Odpowiedzią był gorzki śmiech.

– O taak, bo to taka...

– Jamie! – Trask spojrział ostro na syna, a potem znowu zwrócił się do Cokera. – Powiedziłeś, co chciałeś. A teraz wynocha albo wezwę policję.

Coker chyba poczuł się przyparty do muru, ponieważ znowu ogarnęła go wściekłość i wycelował gruby palec w Jamiego.

– Jeszcze raz zbliżysz się do mojej córki, a cię zabiję.

Przepchnął się obok mnie i z łomotem zszedł po schodach. Chwilę później trzasnęły drzwi wejściowe. Przez kilka sekund nikt się nie poruszył ani nie odezwał, aż wreszcie Trak zwrócił się do syna:

– Co zrobiłeś?

– Nic nie zrobiłem! Wiesz, jaka ona jest!

– Tak, wiem, a teraz pytam cię, co takiego zrobiłeś, że powiedziała ojcu coś takiego. Co jej nagadałeś?

– Nic, tylko... tylko nazwałem ją tłustą krową i powiedziałem, żeby się odpierdoliła i zdechła, jasne? Nie chciała zostawić mnie w spokoju! Chodzi mi o to, że normalnie nie przyjmowała żadnej aluzji i...

– Do mojego gabinetu.

– Tato, przysięgam...

– Już.

Jamie zwiesił ramiona, ruszając za ojcem ku schodom. Gdy mijiał stół, położył na nim nóż, który zagrzechotał na drewnianym blacie, wykonał powolny obrót i znieruchomiał.

\* \* \*

Rachel odprowadziła mnie do samochodu po nieco wymuszonej próbie namówienia mnie, bym został, ale oboje wiedzieliśmy, że lepiej będzie, jeżeli pójdę. Kiedy pakowała mi trochę jedzenia na wynos, udawaliśmy, że nie słyszymy podniesionych głosów dobiegających z gabinetu Traska. Gdy patrzyłem, jak przekłada potrawkę z naczynia do zapiekania do pojemnika na żywność, było mi żal, że okoliczności i sumienie zmuszały ją do pozostawiania z rodziną, z którą wiązała ją tylko wspólna tragedia.

Noc zrobiła się zimna, a powietrze wilgotne i pachnące mokradłami.

– Jak nos? – zapytała, kiedy szliśmy ścieżką wśród drzew.

Dotknąłem go na próbę. Wciąż był obolały po ciosie Cokera, ale nie krwawił.

– Będę żył.

– Dobrze wiedzieć. – Jej uśmiech zniknął. – Niezbyt spokojny obiad, co nie?

– To nie twoja wina.

– Nie, lecz wyraźnie wciągamy cię w nasze problemy. Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że między Jamie i Stacey coś było? Cóż, sprawa jest nieco bardziej skomplikowana.

Już się domyśliłem.

– Zaszła w ciążę?

Rachel kiwnęła głową.

– To było jeszcze przed moim przyjazdem tutaj. Jamie z nią zerwał, a Coker źle to przyjął. A potem Stacey oświadczyła, że jest w ciąży, i twierdziła, że z Jamiem. Mogło tak być, ale... jest sporo od niego starsza i powiedzmy, że nie był jedynym kandydatem na ojca. W każdym razie Coker wściekł się i całą winą obciążył Jamiego. Była potworna awantura, a Emma wywierała niezbyt uspokajający wpływ. Uważała Stacey za „tłustą dziwkę” i było to jedno z jej łagodniejszych określeń. Ostatecznie doszło do aborcji, ale pozostało sporo złej krwi, jak mogłeś zauważyć.

– Jak myślisz, co Stacey teraz zrobi?

– Mam nadzieję, że odpuści. Cieszę się, że ją widziałeś, ponieważ gdyby było to jej słowo przeciwko słowom Jamiego, sprawy mogłyby przybrać paskudny obrót. Pewnie zrobiła tak pod wpływem chwili i coś mi mówi, że kiedy Coker wróci do domu, Stacey tego pożałuje. – Wzruszyła ze zmęczeniem ramionami. – W każdym razie nie ma w tym żadnej twojej winy. Jamie nie powinien jej tego powiedzieć. Sądzę, że wszyscy jesteśmy zbyt spięci.

Spore niedopowiedzenie. Spędziłem tylko jeden wieczór z jej rodziną, a już czułem się jak przepuszczony przez wyżymaczkę.

– Przepraszam, że przyniosłem wino i skomplikowałem sprawy.

– Chodzi ci o Andrew? – Wzruszyła ramionami. – Normalnie nie ma z tym problemu. Nie jest alkoholikiem ani nikim w tym rodzaju, tylko po prostu zaczął więcej pić po zniknięciu Gemmy. Przestał, kiedy zdał sobie sprawę, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli.

– Tak jak wówczas, gdy pobiegł do Leo Villiersa, żeby zrobić mu awanturę?

– Co wcale nie pomogło i sam widzisz, jak wpłynęło na stosunki między nim a Jamiem. Są tacy do siebie podobni, że mają skłonność do grania sobie na nerwach. Było gorzej, kiedy Andrew pił.

Wyszliśmy spomiędzy drzew i zatrzymaliśmy się przy samochodzie. Rachel obejrzała się na dom – widoczny przez niewyraźnie majaczące drzewa czarny prostokąt z żółtymi plamami okien.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem.

– Ja? – Wzruszyła ramionami. – Tak, w porządku.

Nie zabrzmiało to przekonująco. Narastało we mnie napięcie i powiedziałem bez zastanowienia:

– Słuchaj, jeżeli jutro wieczorem nie masz nic do roboty, to może poszlibyśmy na obiad? Albo na drinka czy coś.

Zaskoczyło ją to, a ja poczułem ucisk w żołądku. Skąd mi to przyszło do głowy? Ledwie godzinę temu żałowałem przyjęcia zaproszenia Traska, a teraz namawiam Rachel na wspólne wyjście. Gdybym mógł, chętnie bym cofnął wypowiedziane słowa.

Nagle się uśmiechnęła.

- Chętnie, ale nie ma tu w okolicy zbyt wielu miejsc, gdzie można by pójść.
- W porządku. I tak był to zły pomysł.
- Wcale nie, pomysł jest w porządku i nie mówię, że nie chcę, ale że trzeba by jednak jechać wiele mil. – Zawahała się. – Jakbyś chciał, to mogłabym przygotować coś w hangarze.
- Ee. Tak, jeżeli jesteś pewna...
- Super, to może o siódmej?

Gorliwie przytaknąłem, że to świetna pora.

W efekcie wracałem do hangaru rozdarty między euforią a obawami. Powtarzałem sobie, że to tylko obiad, że Rachel prawdopodobnie cieszy możliwość wydostania się z Creek House na choćby jeden wieczór. Mimo wszystko wiedziałem, że potencjalnie jeszcze bardziej komplikuję sprawy, mocniej angażując się w rodzinne problemy Trasków.

Ale jakoś nie przejąłem się tym zbytnio, niezależnie bowiem od okoliczności nie pamiętałem, kiedy tak się czułem...

No cóż. Dawno temu.

Po powrocie do hangaru włączyłem grzejnik, gdyż nocny chłód dawał się we znaki, i postawiłem na stole wciąż jeszcze ciepłe naczynie z potrawką. Czując na plecach łagodny powiew ciepłego powietrza, włączyłem laptopa i jedząc, otworzyłem pliki przesłane mi wcześniej przez Lundy'ego. Do protokołu z sekcji zwłok z drutu kolczastego inspektor dołączył także fotografię wykonanej na zamówienie strzelby, która zniknęła razem z Leo Villiersem. Nie lubiłem broni palnej i nigdy nie byłem miłośnikiem strzelania, nawet sportowego, lecz musiałem przyznać, że był to piękny okaz rękodziela. Mowbry był bokiem: miał dwie lufy umieszczone jedna nad drugą, a nie obok siebie. Osadę wykonano z polerowanego mahoni, a metal miał kolor przydymionej głębokiej czerni, która wydawała się lśnić. Najbardziej charakterystyczne były umieszczone na bokach kolby srebrne plakietki ozdobione kunsztownymi spiralami i z wygrawerowanymi inicjałami Leo Villiersa.

Zastanawiałem się, czy człowiek leżący w kostnicy docenił piękno broni, która go zabiła.

Lundy dołączył do zdjęcia krótką notkę: „Dla pańskiej wiadomości – lufa 32 cale. Frears mówi, że za długa, aby denat z rozlewiska mógł odwrócić strzelbę i nacisnąć spust”. Jeżeli założymy, że strzał padł z będącej własnością Leo Villiersa i teraz zaginionej strzelby Mowbry'ego, wykluczało to jakąkolwiek możliwość samobójstwa. Chociaż od kiedy dowiedzieliśmy się, że nie jest to jego ciało, nie było żadnych poważnych wątpliwości w tej kwestii.

Przeszedłem do pliku z protokołem sekcji. Nie była to wymarzona lektura przy jedzeniu, lecz moja praca od dawna znieczuliła mnie na te sprawy. Mimo wszystko miałem problemy z koncentracją. Myślami wciąż wracałem do Rachel, aż

wreszcie jakieś słowa na świecącym monitorze przykuły moją uwagę. W chwili gdy zaczęło do mnie docierać, co czytam, odstawiłem na bok naczynie z kurczakiem. Złamania ręki i nogi, dostrzeżone przeze mnie, kiedy zwłoki wciąż wisiały na drucie kolczastym, nie były jedynymi urazami. Obrażeń było więcej. O wiele więcej, zdałem sobie sprawę, sięgając po pióro i papier. Dowiedziałem się, że dwa kręgi szyjne były złamane i świadczyło to jednoznacznie o użyciu wyjątkowo dużej siły. Prawa kość strzałkowa i piszczelowa nie tylko były złamane w połowie goleni, ale także pod kolanem. Również staw biodrowy tej samej nogi uległ poważnemu wywichnięciu, tak że kulista główka kości udowej została całkowicie wyszarpięta z panewki.

Postukałem się piórem w podbródek. Istniała możliwość, iż tak liczne obrażenia mogły powstać po uderzeniu ciała przez łódź, co tłumaczyłoby także rany twarzy wyglądające na zadane przez śrubę. Niemniej musiałyby to być naprawdę potężne uderzenie i pewnie więcej niż jedno, zważywszy na zakres obrażeń.

A potem zwróciłem uwagę na coś takiego, że gwałtownie wyprostowałem się na krześle.

Przeczytałem fragment jeszcze raz, a potem otworzyłem plik z prześwietleniami rentgenowskimi z sekcji. Skala koszmarnych uszkodzeń zadanych kościom twarzy ostrym narzędziem była doskonale widoczna nawet na widmowych, dwuwymiarowych obrazach. Śruba łodzi – jeżeli ona była tym narzędziem – spowodowała ogromne zniszczenia, bardzo komplikujące ewentualną rekonstrukcję.

Nie to mnie jednak tak zelektryzowało. Świat skurczył się do małego skrawka stołu oświetlonego przez poświatę ekranu laptopa, na którym powiększałem zdjęcia rentgenowskie czaszki. Zrobiłem zbliżenia jednego konkretnego obszaru obrażeń, zoszcząc się na ograniczenia płaskich zdjęć rentgenowskich, i nagle, zupełnie jak wówczas, gdy w łamigłówce pojawia się wzór, to zobaczyłem.

– Jak się tu znalazłeś? – zapytałem, wpatrując się w ekran. Zjedzona do połowy potrawka stała zapomniana na stole.

Byłem za bardzo podminowany, żeby się rozluźnić. W głowie wciąż miałem zamęt, gdy kładłem się do łóżka, i myśli o Rachel mieszały mi się z koncepcjami związanymi ze sprawą. Po raz pierwszy jakby pojawił się jakiś promyk światła, a sprawy zaczęły iść lepiej, zarówno w moim życiu, jak i w dochodzeniu. Powinienem być lepiej wiedzieć.

Stacey Coker nie wróciła do domu tego wieczoru.

## Rozdział 20

Jak powiedział mi później Lundy, Coker po wybiegnięciu z Creek House wrócił do domu, żeby zrobić awanturę Stacey. Żona rozwiodła się z nim wiele lat wcześniej i teraz mieszkał razem z córką w domu stojącym niedaleko stoczni remontowej. Kiedy przekonał się, że jej tam nie ma, próbował się do niej dodzwonić, lecz bez powodzenia. Potem otworzył sześciopak piwa i gotując się ze złości, siedział, czekając, aż wróci do domu.

Ale Stacey nie wróciła.

Początkowo Coker nie miał złych przeczuć. Nawet gdy telefonując do przyjaciół córki, nie mógł jej odnaleźć, był bardziej wściekły niż zaniepokojony, ponieważ nie pierwszy raz namówiłaby przyjaciół, żeby kłamali dla niej. Dopiero później, kiedy ich ciągle zaprzeczenia zaczęły brzmieć wiarygodnie, zaczął zdawać sobie sprawę, że tym razem sytuacja wygląda inaczej. Mimo wszystko przekonany, że córka z rozmysłem się przed nim kryje, zaczął jej szukać dopiero wczesnym rankiem następnego dnia.

Zaczął od dobijania się do drzwi przyjaciół Stacey, u których mogła się ukrywać, a potem przypomniał sobie, że widziałem ją przejeżdżającą koło hangaru. Z tego miejsca do Cruickhaven prowadziły dwie drogi. Jedna uchodziła tu za główną i nią Coker pojechał najpierw. Nie zobaczył na niej żadnego śladu córki i ruszył drugą. Wchodziła głębiej w Backwaters, była mniej dostępna, ale lepsza dla kogoś, kto nie chciał, by ujrano tak charakterystyczny samochód. Mniej więcej milę przed hangarem światła Cokera wydobyły z ciemności dziurę w żywopłocie rosnącym wzdłuż pobocza, którą omiótł wzrokiem, chcąc pojechać dalej, zanim jakieś przeczucie nie kazało mu się zatrzymać. Zostawił włączony silnik, dzięki czemu reflektory oświetlały dziurę, wysiadł i zobaczył niedawno złamane białe kikuty gałęzi. Strumień za żywopłotem był pełny i ciemny, dostrzegł jednak jaśniejszy kształt sterczący z czarnej wody.

Tylny zderzak i koło samochodu.

Do chwili przybycia policji pływ sukcesywnie ustępował i teraz nad powierzchnią widać było wszystkie cztery koła przewróconego wozu. Ślady opon na błocie świadczyły, że wypadła z drogi na zakręcie, dachując w czasie spadania w dół niezbyt stromego brzegu. Mały biały ford z jaskrawym czerwonym pasem wzdłuż maski zatrzymał się przewrócony do góry kołami w strumieniu, na dachu, lecz pochylony pod kątem. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, ale – jak Coker przekonał się osobiście, wskakując do wody – w środku nikogo nie było. W aucie znajdowała się tylko torebka z portfelem Stacey i jej prawem jazdy.

– Wygląda na to, że za szybko weszła w zakręt, straciła panowanie i stoczyła się z brzegu – wyjaśnił mi Lundy.



Siedzieliśmy w stołówce szpitalnej, przy stoliku znajdującym się w pewnej odległości od innych. Mogliśmy w ten sposób spokojnie porozmawiać, bo minęła już pora lunchu i połowa miejsc była pusta. Lundy zajrzał do kostnicy bez zapowiedzi, żeby opowiedzieć mi, co się stało. Wydawał się nieswój, kiedy stał przy stole prosektoryjnym, grzechocząc luźnymi monetami w kieszeni, w czasie gdy ja odcinałem rozłożone tkanki miękkie z drugiego ciała, a potem zająłem się przekrawaniem ścięgien łączących i chrząstek dużych stawów. To nietypowe, aby oficer policji przejmował się takimi sprawami, i inspektor nie przejawiał podobnych emocji w przypadku wcześniej odnalezionych zwłok. Teraz jednak wyraźnie poczuł ulgę, kiedy zaproponowałem, żebyśmy zrobili przerwę na lunch i poszli do mieszczącej się w budynku obok stołówki.

– Pas bezpieczeństwa był rozpięty, istnieje więc możliwość, że zdołała się z niego uwolnić i wypelzła na zewnątrz – wyjaśniał dalej, wsypując drugą torebkę cukru do polistyrenowego kubka z herbatą. – Zresztą może w ogóle go nie zapięła i wyrzuciło ją przez drzwi, gdy samochód dachował. W każdym razie przypuszczamy, że uniósł ją przyływ. W innym wypadku do tej pory byśmy ją znaleźli.

Wciąż usiłowałem pojąć tę nową tragedię. Tego ranka pojechałem do kostnicy bardziej bezpośrednią drogą i nie widziałem odgradzonego przez policję kawałka Backwaters, gdzie znaleziono auto Stacey Coker. W rezultacie nie wiedziałem, co się stało, do chwili pojawienia się Lundy'ego, który chciał wypytać mnie o zdarzenia wczorajszego wieczoru. Coker powiedział policji, że córka przejechała z dużą prędkością koło hangaru dla łodzi, i w ten sposób okazałem się ostatnią osobą, która widziała ją przed wypadkiem. I bardzo możliwe, że ostatnią, która widziała ją żywą.

– Jak szybko jechała? – zapytał Lundy.

Pamiętałem podmuch powietrza w chwili, gdy samochód przemknął obok, niemal mnie potrącając.

– Zniknęła w ułamku sekundy, trudno więc powiedzieć. Ale szybko.

Lundy z ponurą miną kiwnął głową. Wyglądał na zmęczonego, worki pod oczami miał większe niż zazwyczaj i niezdrową barwę twarzy. Nic dziwnego, był w końcu na nogach do późnej nocy.

– Pasuje. Pod każdym względem była trochę narwana, a właśnie miała awanturę z Jamiem Traskiem. Już miała pięć punktów karnych za nadmierną prędkość.

– I co teraz się dzieje?

Pomieszał herbatę plastikową łyżeczką.

– Ściągnęliśmy śmigłowiec i jednostkę morską, a piesze patrole przeszukują dostępne miejsca w Backwaters. Sam pan jednak wie, jak tam jest. Był odpływ, kiedy jej ojciec znalazł samochód, może więc być praktycznie wszędzie.

Mielibyśmy większe szanse na jej odnalezienie, gdyby odpływ wyniósł ją aż do zalewu, ponieważ prędzej czy później wyrzuciłoby ją na Barrows.

Mówił o zwłokach, nie o rannej osobie, która przetrwała wypadek.

– Według pana nie miała szansy na przeżycie?

– Szansa istnieje zawsze.

Ton jego głosu wyraźnie świadczył, jak mało jest to jego zdaniem prawdopodobne. Nawet gdyby Stacey zdołała wypełznąć z samochodu, a nie została z niego wyrzucona, nadal musiałaby walczyć w zimnej wodzie z prądem pływowym. Wciąż pamiętałem, jak silnie napierał, kiedy mój samochód utknął na grobli. A wtedy woda sięgała mi tylko do kolan i nie uczestniczyłem w wypadku. Oszołomiona i zapewne ranna, obciążona przemoczonym ubraniem i zdezorientowana w ciemności, miałaby trudności z dotarciem do brzegu.

Sam fakt prowadzenia tej rozmowy sugerował, że nie dotarła.

– A jak to przyjmuje Coker? – spytałem.

Lundy wydał wargi, wąsy mu się najeżyły i nim odpowiedział, upił łyk herbaty.

– Tak jak można było się spodziewać. Jeżeli Jamie Trask ma dość oleju w głowie, powinien trzymać się od niego z daleka.

Nie pomyślałem o tym, ale Lundy miał rację. Jamie nie był bezpośrednio odpowiedzialny za wypadek, niemniej nie przypuszczałem, by Coker tak się zapatrywał na sprawę.

Zamilkliśmy w stołówce pełnej odgłosów szczękających naczyń. Bez entuzjazmu przeżuwałem zwiotczałą kanapkę z serem, Lundy zaś zerwał celofan z zapakowanego kawałka ciasta owocowego. Już zjadł lunch, uznał jednak, że ma jeszcze miejsce na deser. Oczywiście aby dotrzymać mi towarzystwa, oznajmił z zakłopotanym uśmiechem.

– Dziwne miejsca – oświadczył ni z tego, ni z owego, rozglądając się po pustej w połowie sali. – Chodzi mi o szpitalne stołówki. Zawsze takie same, gdziekolwiek się pójdzie. Wszystko wydaje się zwyczajne, ale w rzeczywistości wcale takie nie jest, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

Na dobrą sprawę nie zastanawiałem się nad tym wcześniej, lecz kiedyś pracowałem oraz szkoliłem się w szpitalach i dzięki temu patrzyłem z nieco innej perspektywy.

– Ludzie muszą jeść.

– Chyba tak. – Skończył ciasto, a teraz z roztargnieniem odrywał kawałki polistyrenu z krawędzi kubka. – Jutro rano znowu mam tu być. W szpitalu, nie tutaj.

Spojrzałem na niego, zastanawiając się, czy tłumaczy to jego nastrój.

– Wszystko z panem w porządku?

Inspektor wyglądał na zakłopotanego, jakby żałował, że powiedział tak dużo.

– Och, to tylko rutynowa sprawa. Endoskopia. Uważają, że mogę mieć wrzód żołądka. Wiele hałasu o nic, ale sam pan wie, jacy są lekarze.

– Nieznośna z nas banda, co?

Zauważyłem, że Lundy bierze tabletki na nadkwasotę, lecz przypisywałem to niestrawności. Uśmiechnął się, przyznając, że zapomniał, iż sam byłem lekarzem.

– Jak panu idzie ze zwłokami ze strumienia? – zainteresował się, zmieniając temat. – Miał pan możliwość spojrzenia na protokół sekcji, który panu wysłałem?

– Tak, owszem. – Jak dotąd naszą rozmowę zdominowały wiadomości o Stacey Coker, nie miałem zatem możliwości poruszyć żadnej innej sprawy.

– W ciele jest o wiele więcej połamanych kości, niż mogłem się spodziewać.

– Czy te obrażenia mogły powstać w wyniku uderzenia przez łódź?

– Mogły, ale musiałyby rozwijać dużą szybkość lub być naprawdę spora, żeby spowodować tak liczne uszkodzenia ciała. Trudno sobie wyobrazić, żeby było to możliwe w Backwaters.

– Nie wiemy, skąd wzięło się ciało. Mogło zostać przyniesione z ujścia bądź z jeszcze bardziej oddalonego miejsca.

– I zachowało pływalność wystarczająco długo, żeby tak ściśle wplątać się w drut kolczasty?

Lundy z namysłem odłamywał kolejne kawałki z górnej części kubka.

– Wiem. Mało prawdopodobne, prawda? Trudno jednak sobie wyobrazić, żeby obrażenia twarzy spowodowało coś innego poza śrubą łodzi.

Być może.

Uniósł brwi.

– Znalazł pan coś?

– Możliwe – przyznałem. – Na zdjęciach rentgenowskich trudno dostrzec wystarczająco dużo szczegółów. Nie będę wiedział na pewno, dopóki nie zbadam samej czaszki.

– No dobrze, niech mnie pan informuje na bieżąco – wyglądało, jakby Lundy znowu stracił koncentrację. – A przy okazji, sprawdziłem kierowcę sir Stephena. Nazywa się Brendan Porter. Ma czterdzieści dziewięć lat, jeździ dla Villiersa, od kiedy miał dwadzieścia parę. We wczesnej młodości uwikłał się nieco w różne ciemne sprawy, ale zaciągnął się do wojska po skończeniu osiemnastki i wyszedł na prostą. Zastąpił stałego kierowcę sir Stephena podczas choroby i ostatecznie zajął jego miejsce. Wydaje się niezbyt tu pasować, ale jeżeli tkwi tutaj przez cały czas, musiał znaleźć sobie w tym miejscu jakąś niszę.

– Uważa pan, że miał nadzieję przekazywać dalej usłyszane ode mnie informacje?

– Jestem pewien, że tak, gdyby trafił mu się jakiś smaczny kąsek. Myślę, że gość ciągnął pana za język, bo po prostu jest wścibski albo chciał się zasłużyć u szefa. Być może liczył, że więcej pan powie, jeżeli będzie opluskwał Leo.

Przypomniałem sobie znaczący uśmieszek kierowcy, kiedy obrażał syna chlebobdawcy. Sprawdzał, jak zareaguję.

– Ryzykował, co? A gdybym wszystko powtórzył sir Stephenowi?

Lundy parsknął.

– Zaryzykowałby pan coś takiego?

Nie. Musiałem przyznać, że raczej nie. Skoro zaś ten cały Porter podejmował takie ryzyko, to albo był pewny swojego stanowiska, albo wisiało mu, czy je utrzyma.

– Wie, że znaleźliśmy drugie ciało?

– Niewiele mogliśmy na to poradzić. Ludzie zawsze będą gadać, a miejscowa prasa i tak już wywęszyła wszystko. Musiało się tak stać po tym, jak Trask zawiózł córkę do szpitala. Oficjalna wersja głosi, że znaleziono zwłoki nieznanego mężczyzny zmarłego w czasie poprzedzającym zaginięcie Leo Villiersa, czyli forsują koncepcję, że jest to przypadkowa śmierć, niezwiązana z żadnym innym dochodzeniem. Co zresztą może okazać się prawdą.

Spojrzałem na niego, a on się uśmiechnął.

– Wiem. Ja też nie wierzę w zbiegi okoliczności. Na tym etapie jednak lepiej nie robić za dużo fał. Poza sir Stephenem, który i tak nie chce nam wierzyć, wszyscy wciąż uważają, że w ujściu znaleziono ciało Leo Villiersa. Chcielibyśmy utrzymać tę wersję, przynajmniej do czasu uzyskania wyników badań DNA. Jeżeli Villiers nadal żyje, mamy większe szanse złapania go w sytuacji, kiedy uważa, że jest bezpieczny.

– Myśli pan, że nadal może być w okolicy?

Lundy się nachmurzył. Znowu zaczął odłamywać brzegi kubka.

– Wątpię, ale to możliwe. Narodowa Agencja do spraw Przystępności sprawdza dla nas hipotezę, że jest za granicą, lecz brak informacji o użyciu jego paszportu, co oznacza, że jeśli opuścił kraj, nie korzystał z żadnych punktów kontrolnych. Przynajmniej nie pod swoim nazwiskiem.

To niekoniecznie musiało coś znaczyć. Ktoś z pieniędzmi takimi jak Leo Villiersa i jego znajomościami zawsze był w stanie zorganizować sobie nową tożsamość, a wzdłuż wybrzeża nie brakowało położonych na uboczu ujść strumieni i zatoczek, gdzie łodzie mogły niepostrzeżenie zawijać i skąd wyruszać.

Niepokoilo mnie jednak coś jeszcze.

– Jeżeli Villiers zainscenizował własne samobójstwo, to cholernie ryzykował – zwróciłem uwagę inspektora. – Nie wiedział, ile czasu potrwa, zanim zwłoki zostaną znalezione, ani nawet czy w ogóle tak się stanie. Mogły być wyrzucone na brzeg w czasie kilku pierwszych dni, kiedy nadal moglibyśmy pobrać odciski palców, lub zanim utraciły stopy. Wtedy wiedzielibyśmy od razu, że to nie on.

– To prawda – przytaknął Lundy, kiwając wolno głową. – Tyle że nie wiemy wystarczająco dużo o zaistniałych wówczas okolicznościach. Może Villiers nie

myślał jasno. Niewielu ludziom udaje się zachować trzeźwość umysłu, kiedy właśnie kogoś zabili.

Dość prawdopodobna teza i już zdarzało mi się być tego świadkiem. Niewielu morderców zachowuje dość zimnej krwi – nie mówiąc nawet o posiadaniu specjalistycznej wiedzy – żeby wszystko zaplanować. W stanie podsycanego adrenaliną pobudzenia często zapominają o szczegółach, nawet oczywistych.

Po prostu nie byłem przekonany, że tak jest i w tym przypadku. Chociaż nie cierpiałem całej idei „instynktu”, zdawałem sobie sprawę, że doświadczenie potrafi stworzyć własną formę pamięci mięśniowej. Nasz umysł nieustannie przetwarza informacje, których nawet sobie nie uświadamiamy, i chociaż możemy tego nie uznawać, świadomość mimo wszystko może docierać do nas na poziomie podprogowym. Coś takiego czułem właśnie teraz. Nie byłem w stanie powiedzieć dlaczego, jeszcze nie, ale coś mi w tej sprawie nie grało.

– Naprawdę pan tak uważa? – spytałem.

– Ja? Nie ma znaczenia, co ja uważam. Jestem tylko inspektorem detektywem. – Zgarnął kopczyk pokruszonego polistyrenu na dłoń i wstał. – Jeżeli jednak moja opinia ma jakieś znaczenie, sądzę, że tylko ślizgamy się po powierzchni.

\* \* \*

Kiedy po całym dniu pracy opuszczałem kostnicę, zaczęło padać. W drodze powrotnej zatrzymałem się w supermarkecie i spędziłem w nim więcej czasu, niż planowałem, wybierając wino. Rachel nie powiedziała, co zamierza przygotować, ostatecznie więc kupiłem i czerwone, i białe, żywiąc nadzieję, że nie będzie to wyglądało, jakbym chciał ją upić.

Zanim dotarłem do Backwaters, deszcz się nasilił, a od morza wiał ostry wiatr, który hulając bez przeszkód po płaskiej przestrzeni, smagał wydmy i mokradła, kładąc szeleszczącą gniewnie długą trawę. Zaparkowałem przed hangarem, chwyciłem torby i wbiegłem do środka. Wziąłem prysznic i zmieniłem ubranie, starając się z całych sił nie zwracać uwagi na nerwowe skurcze żołądka. Nakrywając mały stolik przy oknie, uświadomiłem sobie, że w domu nie ma kieliszków do wina, i zupełnie poważnie zacząłem rozważać, czy nie wrócić po nie do sklepu, ale w końcu puknąłem się w głowę. Możesz użyć szklaneczek. Na litość boską, wyluzuj.

Przez chwilę siedziałem spokojnie, lecz w miarę upływu czasu nerwowość zaczęła podkradać się znowu. Zaczynałem się zastanawiać, czy nie powinienem upewnić się, że Rachel przyjdzie. Wiadomość o Stacey Coker musiała niezłe nimi wstrząsnąć – policja z całą pewnością pytała Jamiego o ich sprzeczkę, a Traska o Cokera wdzierającego się wieczorem do jego domu. W końcu postanowiłem nie telefonować, dać im nieco oddechu, i doszedłem do wniosku, że sama Rachel by

zadzwoiła, gdyby zmieniła zdanie.

Nie musiało minąć dużo czasu, abym znowu nie był taki pewny. Właśnie podjąłem decyzję, że poczekam jeszcze dziesięć minut, kiedy usłyszałem zatrzymujący się przed domem samochód. Otworzyłem drzwi w samą porę, żeby zobaczyć Rachel biegnącą od białego land rovera Jamiego. W jednej ręce niosła torby, a drugą trzymała nad głową połę płaszcza, osłaniając się przed deszczem. Cofnąłem się, żeby ją wpuścić.

– Cześć. Przepraszam za spóźnienie – oznajmiła bez tchu i zanim zamknęła drzwi, strząsnęła wierzchnie okrycie na zewnątrz. I dziś miała na sobie dzinsy, tym razem nowsze i mniej spłowiałe, a w dekolcie bluzki widać było cienki złoty łańcuszek przylegający do skóry. Poczulem lekki zapach perfum, delikatny i subtelny.

– Nie ma sprawy.

– Chciałam upewnić się przed wyjściem, że z Fay wszystko w porządku, a potem Andrew... W każdym razie trwało to dłużej, niż sądziłam.

Wziąłem od niej płaszcz i go powiesiłem, zastanawiając się, co niemal powiedziała o Trasku.

– Trzymacie się jakoś?

– Chodzi ci o tę sprawę ze Stacey? – Westchnęła. – Szczerze mówiąc, wszyscy wciąż są w szoku. Policja przyjechała wcześniej, żeby wziąć od Jamiego zeznania. Obwinia się, całkiem bezsensownie. Cóż, niewiele można powiedzieć, kiedy zdarza się coś takiego.

W każdym razie niewiele, co zmieniłoby sytuację na lepszą, sam o tym dobrze wiedziałem.

– Napijesz się wina? Jest pinot noir albo sauvignon blanc.

– Proszę o sauvignon. – Uśmiech był zmęczony i pełen wdzięczności. Zaczęła rozpakowywać torby. – Zrobiłam ciasteczka krabowe, mam nadzieję, że lubisz owoce morza. Na deser jest psie zarcie, ale przy tych wszystkich sprawach nie miałam szansy przygotować czegoś innego. Wczoraj wieczorem nie spróbowałeś ani trochę, możesz więc zrobić to teraz.

– Nie mogę się doczekać.

W jej śmiechu słychać było zmęczenie, lecz brzmiał prawdziwie.

– No dobrze, skoro tak, nie dostaniesz ani okruszka.

– Mówiłem szczerze! – zaprotestowałem, otwierając wino.

– Jasne. – Wzięła ode mnie szklaneczkę i wypila łyk. Westchnęła, a jej ramiona wyraźnie się rozluźniły. – Boże, tego mi było trzeba.

Ciągle była spięta i nie sądziłem, żeby jedynym powodem była córka Cokera. Wiedziałem jednak, że nie powinienem naciskać. Powie mi – albo i nie – w swoim czasie. Cokolwiek ją dręczyło, wydawała się usuwać to ze swoich myśli, przygotowując przyniesione jedzenie. Deszcz bębnił w okno, gdy jedliśmy

przy małym stoliku, lecz w blasku lampy wewnątrz było przytulne i ciepłe. Rozmawialiśmy o drobiazgach, unikając poruszania sprawy Stacey Coker czy siostry Rachel, odsuwając na później potrzebę mówienia o nich. Opowiedziała mi więcej o swoim wcześniejszym życiu, o słońcu, nurkowaniu na rafie koralowej. Bez skrępowania opisała dokładniej swoje relacje z biologiem morskim, zerwane po tym, jak przespał się z magistrantką.

– Z perspektywy czasu wydaje mi się to niemal śmieszne. Tego samego ranka, kiedy powiedziałam mu, co o tym myślę, kamera do zdjęć podwodnych utknęła między skałami na głębokości około czterdziestu stóp. Rick tak bardzo chciał zejść mi z oczu, że sam zaproponował, że po nią zanurkuje, chociaż zauważyliśmy w pobliżu żarłacza tygrysięgo. – Uśmiechnęła się złośliwie do wspomnień, tuląc w dłoniach szklaneczkę z winem. – Normalnie byśmy poczekali, ale mam wrażenie, że uznał żarłacza za mniejsze niebezpieczeństwo niż pozostanie ze mną w łodzi.

– Jesteś taka przerażająca?

– Mam swoje momenty. Rekin nie zachowywał się agresywnie, bo inaczej nie pozwoliłabym nikomu nurkować, ale byłam nieźle wkurzona na Ricka i zanim zszedł za burtę, wyniosłam na pokład wiaderko rybich flaków, po czym oświadczyłam, że kiedy będzie na dole, wrzucę je do wody.

– Wredny pomysł. – Zawahałem się. – Nie zrobiłaś tego, mam nadzieję?

– Nie, ale starałam mu z bużki tę jego zadowoloną minę.

Zebraliśmy nakrycia i zrobiłem kawę, a Rachel w tym czasie rozpakowywała deser. Popatrzyłem na psie żarcie.

– Przypomnisz mi, co w tym jest?

– Zasadniczo tylko przetworzony cukier i tłuszcze nasycone. Trzymaj.

Odcięła mały kawałek, który mi podała. Ugryzłem go ostrożnie.

– Boże, znakomite!

– A nie mówiłam? – Błysnęła uśmiechem.

Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy czułem się z kimś tak swobodnie. I nie chodziło o wino, ponieważ nie wypiliśmy go dużo. Niemniej kiedy umilkła, wyczułem delikatną zmianę w jej nastroju. Jeszcze zanim odezwała się znowu, wiedziałem, co będzie dalej.

– Przepraszam, że wcześniej byłam trochę nie w sosie – zaczęła. – No wiesz, kiedy przyjechałam.

– Nie zauważyłem.

Uśmiechnęła się cierpko.

– Ta, oczywiście. Miałam kiepski humor, bo dzisiejszy dzień to był koszmar. W nocy wciąż myślałam, że gdyby Coker przejechał inną drogą, mógłby wówczas znaleźć na czas Stacey. Możesz sobie wyobrazić, co musiał czuć, wiedząc, że gdyby wybrał inną trasę, jego córka nadal by mogła żyć?

Mogłem, aż za dobrze.

– Usiłowanie dostrzeżenia sensu w takich sprawach nic nie daje. To jak trafienie piorunem. Po prostu się zdarza.

– Wiem, ale ta wiedza nie pomaga. A popołudnie zakończyłam awanturą z Andrew. Chciałam go przekonać, że powinien zabrać stąd Fay, zawieźć ją gdzieś, gdzie będą dzieciaki w jej wieku. Gdzie jest trochę życia, na litość boską! Ja też chcę wiedzieć, co stało się z Emmą, lecz tego być może nigdy się nie dowiemy. No i jest też Jamie. Słyszałeś go ubiegłego wieczoru, jak mówił, że w tej sytuacji nie ma zamiaru iść na uniwersytet. Uważa, że musi zostać, aby opiekować się Fay. A także ojcem, chociaż nie przyznałby się do tego. Na swój sposób jest bardziej opiekuńczy niż Andrew, ale jeżeli tu zostanie, nie przyniesie to żadnemu z nich nic dobrego. Nie można zamrozić swojego życia na wieczność, czekając na coś, co w ogóle może się nie wydarzyć. Prędzej czy później musisz zrobić ruch.

– Mówisz o nich czy o sobie? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia. Chyba o nas wszystkich. – Rachel wpatrywała się w szklaneczkę z winem. – Andrew powiedział, że to nie moja sprawa i mogę wyjechać w każdej chwili. Oboje byliśmy wściekli i zdołowani, ale może on miał rację. Może pora, żebym się stąd wyniosła. Nie wiem, czy jeszcze robię tu coś dobrego. Może jestem dla niego tylko kolejnym przypomnieniem Emmy, a Bóg mi świadkiem, że ma ich wokół siebie wystarczająco dużo.

Nie mówiła tego z rozgoryczeniem, tylko z rezygnacją. Wiatr smagnął dom falą deszczu i zabrzmiało to tak, jakby na dach ciśnięto garść żwiru. Zorientowałem się, że patrzę na oparte o ścianę oprawione w ramki fotografie zrobione przez jej siostrę. Najbardziej rzucało się w oczy zdjęcie gęsi lecących na tle słońca zachodzącego nad Backwaters.

– Lepiej już skończę – oświadczyła, widząc, na co patrzę. Wstała i podeszła do zdjęć. – Nie wiem, czy są dobre, czy nie, chyba jednak szkoda tak je chować. Znasz się trochę na fotografii?

– Nie bardzo.

– Ja też. Emma miała zacięcie artystyczne, ale zawsze była niecierpliwa. Lubiała, żeby wszystko sprawiało wrażenie spontanicznego, lecz jeśli ujęcie jej nie odpowiadało, po prostu je aranżowała. Na przykład to z gęsiami odlatującymi w stronę zachodzącego słońca. Mówiła mi, że ustawiła aparat i rzuciła do wody kamień, żeby je spłoszyć. A to? – Wyciągnęła fotogram ze stojącym na plaży motocyklem, lśniąca maszyną wyglądającą dziwnie w tej scenerii. – Jakoś nie wyobrażam sobie, że został ot tak sobie zaparkowany na wydmie.

Coś poruszyło się w mojej podświadomości. Od czasu obejrzenia zdjęć pierwszego ranka nie myślałem o nich zbyt wiele. Wstałem i podeszedłem do Rachel, nadal przeglądającej kolekcję.

– Mogę spojrzeć jeszcze raz?



– Oczywiście – Rachel odsunęła się, robiąc mi miejsce. – Wiedz jednak, to nie była aluzja. Nie musisz niczego kupować.

Uśmiechnąłem się z roztargnieniem i wróciłem do zdjęcia motocykla.

– Kiedy je zrobiono?

– Nie wiem. Musi być jednym ze starszych, ponieważ mam wrażenie, że ten motor należał do jej byłego chłopaka. Wiesz, tego niedoszłego muzyka, o którym ci mówiłam. Lubił takie zabawki dla dużych chłopców. Harley-davidson albo inne takie.

– Czyli nie zrobiono go tutaj?

– Nie, chyba na jakiejś innej plaży. Emma nigdy nie była w tym miejscu, dopóki nie przyjechała tu z Andrew, a wtedy już zerwała ze swoim byłym. Czemu o to pytasz?

– Bez powodu.

Myślałem o namokniętej skórzanej kurtce motocyklowej i zwłokach zdjętych z drutu kolczastego. Jeżeli jednak była to stara fotografia, zrobiona gdzieś indziej, nie mogła mieć związku ze szczątkami, które znaleźliśmy w Backwaters. Już miałem zamiar odstawić ją na miejsce, gdy Rachel powstrzymała mnie, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Poczekaj chwilę.

Marszcząc brwi, patrzyła na fotografię. Ja też spojrzałem, lecz nie mogłem dostrzec, co zwróciło jej uwagę.

– Pewnie to nic – powiedziała z wahaniem. – Wiesz, chociaż zabrzmiało to głupio, tak naprawdę nigdy wcześniej nie przyglądałam się żadnemu z nich dokładnie. To były po prostu... zdjęcia Emmy.

Czekałem. Niemal niechętnie wskazała coś w tle fotografii motocykla.

– Nie jestem pewna... ale czy nie wygląda to jak fort morski? Ten przed ujściem?

Przyjrzałem się dokładniej. Coś tam było, stercząca z morza kanciasta sylwetka, zbyt jednak nieostra, aby ją rozpoznać.

– Możliwe. Ale równie dobrze może to być jakaś wieża wiertnicza albo dźwig.

Rachel nie odpowiedziała. Zaczęła przerzucać kolejne opracowane zdjęcia, aż zatrzymała się przy którymś z nich. Wyciągała je z trudem, przytrzymałem więc stertę, aby ułatwić jej wyjmowanie. Na drugim fotogramie znajdowała się mewa spoglądająca władczo na kamerę z kępy ostrych traw na piaszczystym grzbiecie.

– Tutaj.

Postukała w szkło. W tle znowu widać było coś, co wyglądało jak ta sama konstrukcja. Tu także znajdowała się daleko, lecz tym razem była wyraźniej widoczna.

Tworzące piramidę charakterystyczne podpory i przysadziste wieże fortu

Maunsella.

– Ujęcie jest pod nieco innym kątem, teraz jednak poznaję, co to za miejsce – stwierdziła Rachel. – Wydmy piaszczyste na końcu wału nadmorskiego. Dobrze widać z nich fort.

– Jesteś pewna, że to ten sam?

Lundy powiedział mi, że stare forty z drugiej wojny światowej były rozrzucone wzdłuż całego południowego wybrzeża, ale Rachel nie miała wątpliwości.

– Całkowicie. Bywałam tam dość często. I zobacz, zostały tylko trzy wieże, a jedna z nich jest częściowo zawalona. To ten sam fort. Jestem pewna. Cholera, nie mogę uwierzyć, że nie zauważyłam go wcześniej. Kiedy zobaczyłam motor, pomyślałam po prostu, że zdjęcie musi być stare!

Była zdenerwowana i nie było co się jej dziwić. Rachel już wiedziała, że siostra miała romans z Leo Villiersem. A teraz, jeżeli nie myliła się w sprawie motocykla, wszystko wskazywało na to, że Emma Derby spotykała się z byłym chłopakiem nawet po ślubie z Traskiem. Wiązały się z tym najróżniejsze nieprzyjemne konsekwencje, nie tylko dla rodziny. Mogły świadczyć, że w całą sprawę zamieszany jest ktoś jeszcze, o kim policja nic nie wie. Człowiek, który miał motocykl i mógł nosić ubiór motocyklisty.

Jak denat na drucie kolczastym.

Ale Rachel nic o tym nie wiedziała. I mimo wszystko mógł to być fałszywy alarm.

– Czy twoja siostra robiła zdjęcia cyfrowe, czy analogowe?

Większość fotografików używała obecnie aparatów cyfrowych i w zapisie zdjęć znajdowałyby się data wykonania filmu. Rachel pokręciła głową i powiedziała:

– Cyfrowe, ale utraciliśmy większość zdjęć Emmy, gdy w czasie włamania do domu skradziono komputer. Były tu tylko dlatego, że powiększała je, zanim zostały skradzione, i zakład fotograficzny wciąż ma te pliki w swoim systemie.

– Nawet jeżeli zdjęcie wykonano tutaj, wcale nie musi to być motor jej byłego chłopaka – powiedziałem, właściwie nie wierząc we własne słowa. – Znałaś go na tyle dobrze, żeby tak od razu rozpoznać jego maszynę?

– Nie, tylko jak wielu ludzi mogłoby mieć taki głupi motor jak ten? I kto chciałby, żeby zrobić mu zdjęcie na wydmie?! – Rachel wydawała się rozszalona. – A to jest właśnie to, co Mark chciałby zrobić. Bardzo by chciał, żeby jego cholerny symbol statusu został sfotografowany i oprawiony.

– Mark?

– Były Emmy. O Boże, jakie on miał nazwisko? Coś religijnego, Vicars albo Church. – Pokręciła głową. – Nie, Chapel. Tak, Mark Chapel<sup>6</sup>.

Zapisałem nazwisko w pamięci.

– Pewnie to bez znaczenia, ale wiesz, że musisz powiedzieć o tym Lundy’emu? – powiedziałem łagodnie.

– Rany boskie, chyba tak. Cholera! A właśnie pomyślałam, że nie może już być gorzej.

Sprawiła wrażenie tak nieszczęśliwej, że objąłem ją ramieniem. Wtuliła się we mnie, opierając głowę na moim ramieniu, a ja poczułem wyraźnie zapach i ciepło jej ciała. Uniosła twarz i spojrzała na mnie. Żadne z nas się nie odzywało, aż nagle uderzenie wiatru gwałtownie wstrząsnęło domem. Cała konstrukcja zadrżała, zaskrzypiała i ta chwila błyskawicznie minęła.

Rachel westchnęła, odsuwając się ode mnie.

– Robi się późno. Lepiej już pójde.

Nie miałem dość zaufania do własnego głosu, żeby się odezwać, gdy wkładała kurtkę. Wysłany mi uśmiech był zarazem kpiarski i pełen żalu.

– Dziękuję za obiad i... wiesz. Że słuchałeś.

– Zawsze kiedy zechcesz.

Otworzyła drzwi, a wtedy kolejny silny podmuch pchnął ich skrzydło, ciskając do środka zimne bryzgi. Wykrzywiła usta w grymasie niezadowolenia.

– Choć raz prognoza pogody się im udała.

– Poczekaj, wezmę płaszcz.

– Daj spokój. Nie ma sensu, żebyśmy zmokli oboje.

Nie nalegałem, wiedząc, że nie chce, bym jej towarzyszył. Stojąc na tle smolistej czerni otwartych drzwi, uśmiechnęła się do mnie raz jeszcze, a zacinający deszcz widniał za nią jak lśniące druty.

– No cóż. Dobranoc.

Odeszła. Słyszałem, jak jej kroki chrzęzczą na żużlu, lecz było zbyt ciemno, żeby ją zobaczyć. Zamknąłem drzwi i zanim szczęknął zamek, czułem napierający na nie wiatr. Stałem w zapadłej nagle ciszy, nie mogąc zdecydować, czy jestem na siebie zły, że poczułem pokusę, czy dlatego, że nic nie zrobiłem.

Z westchnieniem zebrałem kubki po kawie i zaniósłem je do zlewu. Gdy woda uderzyła o metalową miskę, wydało mi się, że usłyszałem coś na zewnątrz. Zakręciłem kran i wyteżyłem słuch. Tylko szalejący wiatr. Aż nagle, gdy znów sięgnąłem do kranu, rozległ się kolejny dźwięk, tym razem bardzo wyraźny. Krótki, szybko urwany krzyk.

Rachel.

## Rozdział 21

Ruszyłem biegiem do drzwi i otworzyłem je szarpnięciem, deszcz natychmiast uderzył we mnie, przylepiając mi koszulę do skóry. W smudze światła padającej ze środka dostrzegłem blady zarys białego land rovera z otwartymi drzwiami od strony kierowcy, ale światło w wozie się nie paliło.

– Rachel?! – zawołałem, wyężając wzrok w ciemności.

– Tu jestem, to...

Od strony drogi dobiegał odgłos szarpaniny i stłumione krzyki. Wzrok przyzwyczajając mi się do ciemności i kiedy biegłem w kierunku dźwięków, zdołałem dostrzec dwie postacie szamoczące się w mroku. Zanim do nich dotarłem, większa rzuciła się do ucieczki. Usiłowałem ją schwytać, gdy chwiejnym krokiem przebiegała obok mnie, lecz moje palce ześlizgnęły się po zatłuszczonym, mokrym materiale. Przez moment widziałem szalone oczy w wynędzniałej twarzy, potem mężczyzna wyrwał mi się i pobiegł w mrok. Poślizgnąłem się i opadłem na jedno kolano, a plaskające kroki ucichły w deszczu.

– David?

Podniosłem się, gdy Rachel podbiegła do mnie.

– Jestem tutaj. Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko... wszystko w porządku, tylko... – Jej głos drżał. – To był Edgar.

– Wiem – rzekłem, ocierając dłonie z błota. Poznałem tyczkowatego włóczęgę pomimo ciemności i byłem wystarczająco blisko, aby poczuć jego paskudny, zwierzęcy odór. To tyle, jeżeli chodzi o jego nieszkodliwość, pomyślałem. – Co się stało?

– Spłoszył mnie, kiedy wsiadałem do samochodu. Usłyszałam hałas, odwróciłam się, a Edgar był tuż obok, dlatego wrzasnęłam i być może go przestraszyłam, bo złapał mnie i zaczął bełkotać bzdury. Usiłowałam się wyrwać, a wtedy ty wybiegłeś.

Jej głos brzmiał już niemal normalnie.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem.

– Tak, nie ma sprawy, jestem tylko trochę wytrącona z równowagi. Nie sądzę, żeby chciał mnie skrzywdzić. Wydawał się bardziej przerażony niż kiedykolwiek.

Nie tylko on, pomyślałem, gdy tętno zaczęło mi zwalniać. Nie było śladu Edgara, lecz w panującej ciemności mógł stać w odległości dziesięciu stóp, a ja nie miałbym o tym pojęcia, ponieważ deszcz zagłuszał wszystkie dźwięki, które mógł powodować.

– Nigdy go takiego nie widziałam. Sądzisz, że wszystko z nim w porządku?

– spytała.

Dobre samopoczucie Edgara nie było dla mnie do tej pory priorytetem, miała jednak rację Nieważne, czy zamierzał ją skrzywdzić, czy tylko porozmawiać, nie powinien szwendać się po okolicy w taką noc. Dość już było tragedii. Wpatrywałem się w ciemność, w której zniknął.

– Wiesz, dokąd szedł?

– Nie, ale to nie był kierunek do jego domu. A mamy przyływ i jeżeli zabłąka się na mokradła, może się zrobić naprawdę kiepsko.

To przesądziło. Było wystarczająco trudno przebrnąć przez Backwaters w dzień, podczas odpływu. W nocy, przy wezbranych, wypełnionych po brzegi strumieniach i rowach, trudno było nawet o tym myśleć. Westchnąłem.

– No dobra, pójdę go poszukać.

– Idę z tobą.

– Nie ma potrzeby. Znajdę go.

– I co wtedy? Znowu wpakujesz się do strumienia? Nie wiesz, jak się tu poruszać. – Lekko stuknęła mnie w pierś, ale się uśmiechała. – Jesteś przemoczony. Idź włożyć kurtkę, a ja uruchomię wóz.

Nie spierałem się, tylko pobiegłem do domu, zdjąłem mokrą koszulę i naciągnąłem sweter, potem złapałem kurtkę i wyszedłem na zewnątrz. Rachel już zawracała, a smugi deszczu lśniły w świetle reflektorów niczym pasczki srebrnego staniolu.

– Często włóczył się po nocy? – zainteresowałem się.

Rachel zwolniła, dojeżdżając do zakrętu, i przyspieszyła dopiero, kiedy zobaczyła, że na drodze przed nami nie ma nikogo.

– Nie sądzę. Natknęłam się na niego raz albo dwa o zmierzchu, lecz nigdy tak późno. Backwaters jest wystarczająco paskudne w dzień i nawet Edgar nie wypuszczałby się tam po ciemku.

Teraz jednak wyszedł. W głowie zaczęła mi kształtować się jakaś myśl, na którą wcześniej powinienem wpaść, gdybym nie był tak rozkojarzony wszystkim, co się działo.

– Ludzie w okolicy wiedzą o Edgarze, prawda? – zapytałem. – Że błąka się po drogach?

– Wszyscy tu wiedzą wszystko o wszystkich – odparła sucho. – Edgar praktycznie jest elementem krajobrazu, nikt go już właściwie nie zauważa. Ale ludzie wiedzą, że muszą na niego uważać, gdy tędy jadą. Chyba że to jakiś obcy, jak ty, albo...

Urwała, jakby chciała coś dodać. Faktycznie, zaledwie kilka dni temu musiałem gwałtownie skrócić, żeby nie potrącić Edgara.

Gdybym jechał szybciej, mógłbym nie mieć aż tyle szczęścia.

Rachel nieco zmniejszyła nacisk na pedał gazu.

– Dobry Boże, chyba nie myślisz, że coś takiego przydarzyło się Stacey, prawda? Że niemal uderzyła w Edgara?

– Nie wiem – przyznałem.

Niemniej teraz, kiedy już wpadłem na taki pomysł, trudno było mi się go pozbyć. Lundy powiedział, że ślady opon świadczyły o gwałtownym skręceniu na łuku, i dlatego uznano, iż córka Cokera jechała za szybko i straciła panowanie nad wozem, co było zresztą prawdopodobne. Albo mogła wejść w zakręt i nagle zobaczyć przed sobą Edgara, a przy prędkości, z jaką jechała, kiedy ją widziałem, mogła nie mieć czasu, by pomyśleć, tylko zareagowała. Odruch, żeby gwałtownie skręcić, mógł być automatyczny.

– Powiedziałaś, że coś bełkotał. Pamiętasz co?

– Nie za bardzo. Chyba coś o światłach w wodzie. Albo na wodzie. Niewiele z tego zrozumiałam.

Wiedziałem, że słowa Edgara mogły nic nie znaczyć, będąc prawdopodobnie jedynie chaotycznym bredzeniem chorego umysłowo, i że przywiązywanie do nich wagi byłoby błędem, lecz teraz przyszło mi do głowy coś jeszcze. Wróciłem pamięcią do wczorajszego wieczoru, kiedy mały biały samochód przemknął obok mnie, uderzając podmuchem powietrza. A kiedy zniknął w półmroku, widziałem żółty blask oświetlający przed nim sklepiony nad drogą żywopłot z głógów.

Miał włączone reflektory.

Nie dane mi było zbyt długo łamać sobie nad tym głowy, bo długie światła land rovera wychwyciły przed nami postać Edgara.

Jak zwykle człapał środkiem drogi, szybko, z opuszczoną głową. Musiał zauważyć reflektory, ale jedyną jego reakcją było tylko głębsze wciągnięcie głowy w ramiona. Ton silnika opadł, gdy Rachel opuściła szybę i zwolniła, by jechać tuż za nim.

– Edgar? Zatrzymaj się, proszę. – Nie było reakcji, najwyżej lekkie przyspieszenie kroku. Rachel westchnęła. – Jasna cholera. I co teraz?

– Wsiądę.

Zatrzymała się, nie wyłączając silnika, ja zaś wyskoczyłem z wozu i mrugając na zimnym wietrze i deszczu, pospieszyłem za oddalającą się postacią widoczną w świetle reflektorów.

– Hej, Edgar. – Dogoniłem go i zacząłem mówić swobodnie i możliwie jak najspokojniej. – Wszystko w porządku?

Nic. Uporczywie odwracał wzrok; jego oddech parował w zimnym świetle reflektorów, proste mokre kosmyki oblepiały głowę, a woda ściekała po twarzy. Mimo deszczu długi płaszcz miał rozpięty i jego zatłuszczone ceratowe poły łopotały na wietrze jak puszczone luźno żagle.

Wyprzedziłem go i odwróciłem się, idąc przed nim tyłem, tak że reflektory pełną gębą za nami samochodu Rachel raziły mnie w oczy. Uniosłem dłonie

w geście, który w założeniu miał uspokoić Edgara, i ciałem zastawiłem mu drogę.

– Późno, żeby być na dworze. Dokąd idziesz?

Wystraszone oczy zerknęły na mnie i znowu umknęły w bok. Zwolnił, ale próbował mnie wyminąć, ja zaś cofałem się, usiłując zachować między nami taką samą odległość i nie zrobić wrażenia, że mu zagrażam.

– W samochodzie jest Rachel – tłumaczyłem mu. – Pamiętasz, że wcześniej przyszedłeś do niej? Chciałaby z tobą jeszcze porozmawiać. O światłach, które widziałeś.

Wreszcie jakaś reakcja. Stał i zorientowałem się, dlaczego Rachel wcześniej uznała go za podnieconego – był spięty, w jakiś sposób sugerujący zagrożenie, jak spłoszone zwierzę gotowe do ucieczki.

– Gdzie były te światła, Edgarze?

Jego wargi poruszały się bezgłośnie. Wydawał się spokojniejszy, wciąż jednak unikał kontaktu wzrokowego i rozglądał się na boki, jak gdyby szukając drogi ucieczki. Za jego plecami Rachel wysiadła z samochodu i podeszła, zostawiając pracujący silnik.

– Cześć, Edgar – odezwała się spokojnie. – Możesz nam powiedzieć, gdzie widziałeś światła?

Zerknął w bok.

– W wodzie.

– W wodzie? Chcesz powiedzieć, że były na wodzie, jak płynącej łodzi?

– W wodzie.

Rachel spojrzała na mnie i znowu wiedziałem, że myślimy o tym samym.

– Czy to były reflektory samochodu, Edgarze? Widziałeś samochód?

Jego głowa bujnęła się potakująco.

– Gdzie je widziałeś? – spytałem. W instalacji elektrycznej pod wodą szybko doszłoby do spięcia i reflektory by zgasły. Jeżeli więc Edgar widział samochód Stacey Coker, musiał tam być w chwili, kiedy auto wpadło do strumienia albo tuż potem.

Edgar nie odpowiedział, a jego oczy znowu zaczęły biegać we wszystkie strony. Rachel musnęła moją rękę, dając znak, żebym pozwolił jej zadawać pytania.

– W porządku, Edgarze. Nikt się nie gniewa, chcemy tylko czegoś się dowiedzieć o światłach. Kto był w samochodzie?

Złożył kościste dłonie i zgął się w pół, wciskając je między nogi jakby w jakiejś parodii modlitwy.

– Miała jej włosy.

Rachel zawahała się, zdezorientowana.

– Czyje włosy?

– Jej. Jak słoneczko.

Spojrzałem na Rachel pytająco, czy coś z tego rozumie. Bezradnie wzruszyła ramionami.

– Widziałeś ją w samochodzie, Edgarze? Co jej się przydarzyło?

– Nie jej. To nie była ona. – Pokręcił głową z coraz większym wzburzeniem.

– Muszę iść.

Ruszył niezdarnie przed siebie, lecz Rachel go zatrzymała, stając przed nim.

– Proszę, Edgarze, to ważne. Powiedz nam, co się z nią stało. Była ranna?

– Nie! Spała.

Przestępował z nogi na nogę, nieszczęśliwy i spięty.

– Gdzie spała? Gdzie jest, Edgarze? W twoim domu? Zabrałeś ją do swojego domu?

Ale Edgar nie chciał już mówić. Woda ściekała mu z czubka nosa, rzadkie włosy lepiły się do czaszki. Był cały przemoczony, a Rachel i ja znajdowaliśmy się w niewiele lepszym stanie.

– Odwieźmy go do domu – zaproponowałem. Myślałem, że będziemy mieli problemy ze wsadzeniem go do auta, on jednak, po chwilowym oporze, dość ulegle wgramolił się do środka. Kiedy ociekający wodą skulił się na tylnym siedzeniu jak żywy znak zapytania, wewnątrz land rovera natychmiast wypełnił jego odór.

– Sama nie wiem, co o tym myśleć – powiedziała Rachel, wrzucając bieg i włączając radio, by zagłuszyć naszą rozmowę. Buchnął niepasujący do sytuacji heavy metal, więc pokręciła gałką na desce rozdzielczej, aż zastąpiły go kojące dźwięki fortepianu. – To brzmiało, jakby mówił o zaginionej córce, a nie o Stacey, pomyślałeś o tym?

– Chodzi ci o te włosy jak słoneczko? Nie mam pojęcia, wiem tylko tyle, że zaginęła. Stało się to jednak wiele lat temu, a ona była małą dziewczynką. Chyba nie mógł myśleć, że Stacey to ona, prawda?

Byłem w rozterce, lecz przeczucie podnosiło mi włoski na karku. Poznałem Edgara w wystarczającym stopniu, by wiedzieć, że zachowuje się dziwnie, nawet jak na jego standardy. Nie był zaniepokojony, lecz wręcz przerażony, do tego stopnia, że w tak paskudną noc oddalał się od domu.

Cokolwiek się stało, nie było to nic dobrego.

Wycieraczki, popiskując jak metronom, przesuwwały się po przedniej szybie. Wyjąłem komórkę. Rachel spojrzała na mnie, gdy wybierałem numer.

– Do kogo dzwonisz?

– Do Lundy'ego.

Okazało się, że tylko próbowałem zadzwonić, bo sygnał zabrzączał, budząc nadzieję, i ucichł. Wciąż próbowałem, gdy Rachel pędziła przez mroczne Backwaters, zwalniając, aby przeskoczyć po kolejnym drewnianym mostku, a potem przyspieszając znowu przez błotniste kałuże na drodze. Byłem zadowolony, że uparła się, abyśmy pojechali razem jej wozem, bo land rover był



zbudowany z myślą o takich sytuacjach, a ja samodzielnie nigdy nie znalazłbym tu drogi.

Próbowałem połączyć się z Lundym do chwili, gdy Rachel zjechała z drogi na wyboisty trakt biegnący między przerośniętymi jeżynami, a kończący się przed zrujnowanym starym domem, którego widok nasilił dręczące mnie złe przeczucia. Był pogrążony w ciemności, wysoki, ceglany i nieforemny, z powybijanymi i zabitymi deskami oknami. Otaczały go wielkie stare drzewa o sękatych pniach i martwych gałęziach.

Rachel wyłączyła silnik i przez kilka chwil ciszę zakłócało jedynie bębnienie deszczu o dach samochodu. Potem odwróciła się na fotelu, by spojrzeć na Edgara, który nie poruszył się przez całą drogę i wyraźnie nie zamierzał zrobić tego teraz.

– Jesteśmy, Edgarze. Twój dom. – Nie było odpowiedzi. – No co ty, nie chcesz wejść do środka?

Pokręcił głową, obejmując się ramionami. Rachel spojrzała na mnie z niepokojem, a potem zwróciła się do niego:

– Dlaczego? Co się stało?

Edgar objął się jeszcze mocniej i opuścił brodę na piersi, aby nie patrzeć na pogrążony w mroku dom.

– Myślę, że powinien tu zostać – powiedziałem cicho, spoglądając na ciemny budynek. – Masz latarkę?

Była w mojej komórce, lecz nie świeciła zbyt jasno i czułbym się lepiej, gdybym miał pod ręką telefon gotów do użytku. Rachel pogrzebała w zagraconym schowku i wyjęła ciężką, pokrytą warstwą gumy latarkę. Nic nie powiedziałem, kiedy wysiadła z samochodu razem ze mną. Wiedziałem, że szkoda zachodu, żeby ją przekonywać, a poza tym nie chciałem zostawiać jej samej z Edgarem. Zamierzałem jej podsunąć, żeby zanim wejdziemy do środka, zablokowała drzwi land rovera, ale sama na to wpadła, Edgar zaś, nawet jeśli usłyszał szcęknięcie zamków w drzwiach i wiedział, co to oznacza, nie zareagował.

Bez reflektorów samochodu zrobiło się ciemno choć, oko wykol. Deszcz prawie ustał, wiatr jednak wciąż uderzał nieznośnymi porywami, szeleszcząc otaczającymi nas niewidocznymi liśćmi i trawami. Kiedy włączyłem latarkę, jej promień oświetlił płataninę cierni i zielska. Rachel wzdrygnęła się, gdy skierowałem go na mroczny dom.

– O Boże, naprawdę nie chcę tam wchodzić. Sądysz, że powinniśmy?

Ja też nie miałem ochoty, niemniej nie przypuszczałem, żebyśmy mieli jakiś wybór. Coś wypłoszyło stąd Edgara i jeżeli istniała choćby niewielka szansa, że Stacey Coker była w środku, nie mogłem tego zignorować ani czekać, aż przyjedzie policja. Jeżeli ją tu przyniósł, musi być poważnie ranna, inaczej do tej pory już by się z kimś skontaktowała. A w głowie wciąż dźwięczały mi słowa

Edgara.

Ona śpi.

– Mam zamiar rozejrzeć się w środku, ty możesz poczekać na zewnątrz – szepnąłem do Rachel. Pewnie nie było potrzeby, aby mówić cicho, ale jakoś tak wśród tych okoliczności wyszło.

Roześmiała się nerwowo i odpowiedziała, również niemal szeptem:

– Jasne, palę się, żeby sterczeć tu sama jak palec.

Kiedy szliśmy do drzwi frontowych, oświetlałem latarką zarośnięty ogród i promień światła wydobywał z mroku przedmioty tkwiące w trawie. Z ziemi sterczały w nieregularnych odstępach muszle, kamienie i kawałki drewna. Myślałem, że ustawiono je tam bez powodu, do chwili gdy zobaczyłem muszlę ostrygi wbity w wyglądający na świeży kopczyk ziemi. Zyskałem pewność, co to takiego, kiedy Rachel wyjaśniła:

– Pacjenci Edgara.

Przynajmniej ci, którym się nie polepszyło. Cmentarz zwierząt zniknął w mroku, gdy znowu skierowałem światło latarki na dom.

Drzwi frontowe, od dawna pozbawione resztek farby, wypaczone i rozłazące się, wisały krzywo we framudze. Klamka ze szczękiem opadła pod moją dłoń, kiedy spróbowałem je otworzyć. Nie były zamknięte, zaskrzypiały, obracając się na zardzewiałych zawiasach, i wionął zza nich amoniakalny odór zwierzęcych odchodów.

– O Boże – mruknęła Rachel, marszcząc nos.

Drzwi prowadziły do ciemnego korytarza. Poświeciłem na odpadające, pokryte pleśnią tapety i nagie deski pod nogami, pokryte starymi gazetami i stertami czegoś, co wyglądało jak kał. Miałem nadzieję, że zwierzęcy. Jedyнным meblem było rozpadające się krzesło.

– Stacey?! – zawołałem.

Nie było odpowiedzi, lecz usłyszałem słabe stuknięcia i trzepotania dobiegające z głębi domu.

– Czekał, spróbuję zapalić światło. – Rachel wyminęła mnie, aby sięgnąć do włącznika na ścianie, pstryknęła nim kilka razy, ale bez rezultatu. – Dobra, teraz ty.

Ostrożnie stawiając stopy, przekroczyłem próg i ruszyłem korytarzem, mając Rachel tuż za plecami. W środku smród był jeszcze gorszy, aż poczułem gniew i wstyd, że Edgara pozostawiono samemu sobie w takich warunkach. Trzymając w dłoni latarkę, której ciężar dodawał mi otuchy, podszedłem do najbliższych drzwi i je popchnąłem.

Ciszę rozdarł przeraźliwy wrzask.

Rachel złapała mnie za rękę i promień latarki zatańczył dziko, a w jej świetle z wnętrza zrobionej domowym sposobem klatki łypnęła wyniośle mewa.

– Jezu... – zaśmiała się nerwowo Rachel. Puściła moje ramię, pozostała

jednak blisko.

Przez otwarte drzwi oświetliłem dziwną scenę. Teraz można było zrozumieć, skąd wzięły się te dźwięki. Pomieszczenie było kuchnią, przynajmniej kiedyś. Zaskorupiały zlew niemal nikał pod brudnymi talerzami i puszkami po konserwach, ściany zaś były obstawione wznoszącymi się wysoko starymi klatkami na ptaki i akwariami, z których patrzyły na nas błyszczące oczy. Siedziały w nich głównie ptaki morskie, ale były też małe zwierzęta – gryzonie, króliki, jeż i nawet młody borsuk. Wszystkie były ranne, niektóre miały skrzydła albo łapy w łubkach. Z nieczynnego okopconego piekarnika, mającego zamiast drzwiczek płat siatki drucianej, obserwował nas lisek.

– Jak on może tak żyć? – zapytała Rachel szeptem. – Czy ktoś nie powinien o tym wiedzieć?

Widocznie nie. Zostawiając zwierzyniec Edgara w ciemności, wróciliśmy do korytarza. Poświeciłem dalej w jego głąb, zastanawiając się, czy teraz powinienem sprawdzić sypialnię na górze. Taka perspektywa nie budziła we mnie entuzjazmu.

– Poczekaj, poświeć jeszcze – odezwała się Rachel, wskazując ręką. – Tam, na podłodze.

W półotwartych drzwiach leżał przedmiot wydobyty snopem światła jak rekwizyt teatralny.

Damski but.

Spoczywał na boku, miał zerwany pasek, a jego biała skóra była poplamiona błotem. Rachel dyszała obok mnie szybko i nerwowo, podczas gdy ja znowu oświetliłem drzwi, usiłując dojrzeć przez szczelinę wnętrza pokoju.

– Stacey?

Bez odpowiedzi. Rachel trzymała się tuż za mną, kiedy poszedłem dalej korytarzem. Pomyślałem, że powinienem jej nakazać pozostać na miejscu, miałem jednak wątpliwości, czyby mnie posłuchała. Oparłem dłoń na płycie drzwi.

– Stacey? – zawołałem cicho znowu, pchając je ostrożnie.

W środku były kolejne klatki, lecz nie tak dużo i w większości puste. Na jednej ze ścian wisiał brudny kilim z pierwszym wersem hymnu *Wszystkie rzeczy piękne i promienne*. Wielka sofa Chesterfield stała odwrócona tyłem do drzwi i z jej popękanej skóry niczym dzikie pędy sterczały kępy włosów. Znad oparcia zwisała naga stopa. W świetle latarki jej paznokcie wyglądały jak pomalowane na czarno, ale widziałem je w dzień i byłem pewien, że są jaskrawoczerwone.

– Zostań tam – rzuciłem do Rachel.

Nie zaprotestowała, lecz nie robiłem tego, żeby ją oszczędzić. Nienaturalny bezruch stopy sygnalizował mi, co znajdę, i im mniej osób wejdzie do środka, tym lepiej dla śledczych.

Sam także nie chciałem tam się znaleźć, ale musiałem mieć pewność. Postąpiłem ostrożnie kilka kroków w głąb pokoju, aż mogłem zobaczyć całą sofę.

W świetle latarki córka Cokera leżała nieruchomo z rozrzuconymi w bok kończynami. Jej blond włosy otaczały nienaturalnie opuchniętą i ciemną twarz. Otwarte oczy były wytrzeszczone, jak gdyby się czemuś dziwiła, a ich twardówki były pełne popękanych naczynek krwionośnych.

Przeniosłem promień latarki, nie mogąc na to patrzeć. Kiedy znowu okryła ją ciemność, zrobiłem kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić, wstrząśnięty tym, co zobaczyłem. Wchodząc do domu, wiedziałem, że istnieje duża możliwość, że Stacey Coker nie żyje. Byłem na to przygotowany.

Ale nie na to, że będzie naga od pasa w dół.

## Rozdział 22

Stroboskopowe niebieskie migacze policyjne przesywały ciemność, rzucając błękitną poświatę na dolne części drzew otaczających stary dom. Policyjne samochody i furgonetki stały wzdłuż prowadzącej do niego gruntowej drogi wciśnięte w krzaki na poboczach, aby umożliwić swobodny przejazd innym. W ogrodzie, jeżeli można go było tak nazwać, ustawiono reflektory i po zniszczonych ścianach przesuwały się cienie ubranych na biało techników kryminalistycznych.

Siedziałem bokiem w otwartych drzwiach radiowozu, opierając stopy na mokrej ziemi. Deszcz przestał padać, lecz wilgotną świeżość powietrza zatruwały spaliny pojazdów i agregatów prądotwórczych. Biały land rover odjechał z Rachel za kierownicą, bo kiedy na miejsce dotarły większe siły policyjne, poproszono ją o udanie się do komendy w celu złożenia zeznań. Nie wiedziałem, czy Edgar nadal był tutaj, czy nie; ostatni raz widziałem go przeprowadzanego z land rovera do wozu policyjnego. Oczy miał przerażone i patrzył nierozumiejącym wzrokiem na jaskrawe światła oraz chaos, jaki ogarnął jego dom, a gdy mnie mijał, powłócząc nogami, usłyszałem ciche ciurkanie i zobaczyłem rozszerzającą się na jego kroczu wilgotną plamę. Nawet wiedząc, co zrobił, poczułem pewne współczucie.

Do chwili przypomnienia sobie ciała nastolatki leżącego na sofie.

Po wyjściu z dziennego pokoju nie podałem Rachel żadnych szczegółów, ale wystarczająco dużo odczytała z mojej twarzy. Poczulem ulgę, kiedy zostawiając za sobą nędzę i obrzydliwość tego domu, znalazłem się na dworze i twarz owionął mi powiew świeżego powietrza. Niemniej obrazy tego, co widziałem, wciąż trwały, wypalone w mojej pamięci. Najchętniej zostawiłbym Edgara zamkniętego w land roverze do chwili przybycia policji, ale z tym był mały problem – najpierw musiałem ją wezwać. Komórka działała tu kapryśnie jak zawsze, nie miałem więc pojęcia, jak daleko będziemy musieli odjechać, żeby złapać zasięg. Tak czy owak musieliśmy znowu wsiąść do samochodu i jechać do chwili uzyskania przeze mnie połączenia.

Jazda była pełna napięcia. Rachel prowadziła, a ja obserwowałem skuloną postać na tylnym siedzeniu, czekając, aż komórka ożyje. Edgar był dość spokojny, ale po tym, co widziałem, miałem wrażenie, że siedzi z nami nieobliczalne zwierzę, tym niebezpieczniejsze, iż wydawało się tak zwodniczo nieszkodliwe.

Nie odjechaliśmy daleko, gdy na wyświetlaczu pojawił się wskaźnik zasięgu. Zanim zadzwoniłem do Lundy'ego, razem z Rachel wysiedliśmy z wozu, nie chcąc rozmawiać w obecności Edgara. Choć było późno, Lundy odebrał telefon, lecz mówił zmęczonym głosem i westchnął ciężko, kiedy nie wdając się w szczegóły, powiedziałem mu, co się stało.

– O Chryste. Jak bardzo jest źle?

Zerknąłem na Rachel opartą o land rovera. Wyglądała na kruchą i zagubioną, wbiła wzrok w ziemię, a wiatr rozwiewał jej włosy.

– Bardzo.

Inspektor polecił, żebyśmy wrócili i nie wchodzili do domu, dopóki nie przyjedzie razem z ekipą. Wydało mi się czymś zupełnie naturalnym, że objąłem Rachel w talii, ona zaś bez słowa oparła się o mnie i staliśmy tak do momentu, gdy nadjechał pierwszy radiowóz. Lundy pojawił się pół godziny później, a do tej pory dom ogrodzono trzepoczącą na wietrze taśmą policyjną. Zatrzymał się przy nas, żeby zamienić kilka słów, i zapytał Rachel oraz mnie, jak się czujemy. Potem poszedł porozmawiać z technikami kryminalistycznymi i pozostałymi członkami zespołu zabezpieczenia miejsca zbrodni, by na koniec zniknąć w domu.

Wkrótce Rachel i ja zostaliśmy rozdzieleni. Nikt nie zasugerował, żebym ja także odjechał, chociaż właściwie nie było żadnego powodu, abym tu pozostawał. Cokolwiek się tu stało, antropolog sądowy nie mógł w niczym pomóc. Frears przybył na miejsce krótko po Lundym. Twarz ubranego w niebieski kombinezon patologa wyglądała na zapuchniętą i bladą, jakby dopiero co się obudził. Przechodząc obok mnie i naciągając rękawiczki, obdarzył mnie krzywym uśmiechem.

– Znowu ma pan pełne ręce roboty, co, Hunter?

Patrzyłem, jak także znika w domu. Minęło kolejne dwadzieścia minut i w drzwiach pojawił się Lundy, łatwy do rozpoznania po krępej sylwetce, jeszcze nim zsunął z głowy kaptur i zdjął maskę. Zatrzymał się, by porozmawiać z kierownikiem zespołu zabezpieczenia miejsca zbrodni, a ja stanąłem przy samochodzie policyjnym, kiedy skierował się w moją stronę.

– Miał pan rację. Wygląda na to, że została uduszona – oświadczył bez wstępów. Na czerwonej twarzy odcisnęły mu się głębokie bruzdy po masce.

Spodziewałem się tego, widząc przekrwioną twarz i oczy martwej dziewczyny.

– Od jak dawna nie żyje?

– Nastąpiło stężenie pośmiertne, a na podstawie temperatury ciała i zasinienia Frears ocenia, że zgon nastąpił pomiędzy dziewięcioma a dwunastoma godzinami temu.

Oznaczało to, że została zabita późnym popołudniem bądź wczesnym wieczorem. W czasie gdy ja denerwowałem się obiadem z Rachel, Edgar dusił nastoletnią córkę Cokera.

Lundy rozpiął zamek błyskawiczny kombinezonu, sięgnął do kieszeni po chusteczkę, wydmuchał hałaśliwie nos i dorzucił:

– Są też inne obrażenia. Ma stłuczenie prawej skroni i jeszcze więcej na torsie. Zapewne powstały w czasie wypadku, a nie tutaj.

Skinąłem głową. Została wyrzucona na zewnątrz podczas dachowania samochodu i obrażenia głowy odpowiadały uderzeniom o drzwi lub szybę wozu.

– Czy Frears uważa, że była napastowana seksualnie?

Wzruszył potężnymi ramionami.

– Nie ma żadnych widocznych obrażeń, które by na to wskazywały, ale na pewno będę wiedział dopiero po sekcji. Ze względu na dobro jej i rodziny mam nadzieję, że nie, ale taki był wyraźnie jego zamiar, bo inaczej pozostałaby całkowicie ubrana. – Lundy znowu westchnął i pokręcił głową. – Niech mi pan powtórzy, co się stało.

Zacząłem znowu opowiadać o spotkaniu z Edgarem, w tym również o jego podnieceniu i co powiedział, kiedy Rachel usiłowała go wypytywać. Wysłuchał mnie do samego końca.

– Jeżeli wyjechała zza zakrętu i zobaczyła przed sobą Hollowaya, to by tłumaczyło, dlaczego wypadła z drogi. A jeżeli widział w wodzie świecące reflektory, musiał być blisko. Nie działałyby długo.

– Hollowaya?

– Tak się nazywa. Edgar Holloway. – Lundy spojrzał na oświetlony dom. – To od nowa otworzy puszkę Pandory.

– Chodzi panu o jego córkę?

Uniósł brwi.

– Jak się pan o tym dowiedział?

Wyjaśniłem, że to Rachel wspomniała mi o zniknięciu dziecka Edgara, a inspektor potarł szczękę grzbietem dłoni.

– Kiedy to było? Jakies dwadzieścia parę lat temu. Sprawa Rowan Holloway była jedną z pierwszych, nad którymi pracowałem po przybyciu tutaj. Wywołała tu spore poruszenie. Dziewięciolatka w czasie ferii pewnego dnia wyszła i nie wróciła. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co z nią się stało, chociaż...

– Chociaż...?

Uśmiechnął się ze zmęczeniem.

– Właśnie miałem powiedzieć, że w pewnym momencie podejrzewaliśmy nawet jej ojca. Kiedy Rowan zniknęła, był w domu sam, zatem niejako automatycznie zaczęliśmy dokładniej mu się przyglądać. Będę musiał wykopać jego akta, lecz z tego, co pamiętam, oficerowie dochodzeniowi uznali go za dziwaka. Nawet wtedy był samotnikiem, unikał kontaktów z ludźmi. Jego żona pracowała w sklepie w Cruckhaven, a on, jak pamiętam, pisał podręczniki szkolne. Do biologii czy coś takiego. Nie zakazali córce samotnych spacerów po Backwaters i kiedy zaginęła, znaleźli się pod prawdziwym ostrzałem opinii publicznej.

– Czy Edgara kiedykolwiek oskarżono?

– Nie, nigdy nie było żadnych dowodów, a nauczyciele twierdzili, że

dziewczynka sprawiała wrażenie szczęśliwej. O ile pamiętam, potem miał jakieś załamanie, dochodzenie więc samoczynnie wygasło.

– Czy jego córka miała blond włosy?

– Skoro pan o tym wspomina, rzeczywiście. Niemniej przypuszczenie, że pomylił Stacey Coker z córką tylko dlatego, że miała „włosy jak słoneczko” czy coś w tym rodzaju, wydaje się naciągane. Rowan miała dziewięć lat, kiedy zniknęła, i teraz byłaby po trzydziestce.

– Nie jestem pewien, czy Edgar byłby zdolny do tak racjonalnego myślenia. Sam powiedział, że to nie była ona, czyli na jakimś poziomie zdawał sobie z tego sprawę. Było jednak ciemno i być może przede wszystkim zauważył blond włosy, a to mogło wystarczyć, żeby wyciągnął ją ze strumienia i przyniósł tutaj.

Lundy znowu sięgnął do kieszeni i wyjął opakowanie tabletek na nadkwasotę.

– Niewykluczone, ale tym niech się zajmą psychiatrzy. Hm, jeżeli przyjąć, że Stacey Coker przypominała mu córkę, cała ta historia wygląda jeszcze paskudniej, nie uważa pan?

Ta trudna do zaakceptowania myśl wisiała między nami przez kilka chwil.

– Wspomniał pan wcześniej o otwarciu puszek Pandory – odezwałem się w końcu. – Nie chodziło tylko o Rowan Holloway, prawda?

– Nie. – Rozgryzł parę tabletek. – Ludzie będą teraz pytać, dlaczego pozwolono Hollowayowi w taki sposób zniknąć z radaru. Służby socjalne będą musiały sporo wyjaśnić, ponieważ nie ma wątpliwości, że nie powinien być w taki sposób pozostawiony sam sobie. A poza tym nie wolno nam wykluczyć możliwości, że może okazać się odpowiedzialny za coś więcej niż tylko zniknięcie córki. Taka sprawa postawi na głowie dochodzenie w sprawie Emmy Derby.

Jezu. Potarłem oczy, zbyt zmęczony, by myśleć logicznie.

– Poważnie uważa pan, że mógłby mieć z tym coś wspólnego?

– Bóg raczy wiedzieć. Będziemy jednak musieli przeszukać każdy cal tego miejsca. Wewnątrz i na zewnątrz. – Pokręcił głową, wspominając muszle i kawałki drewna sterczące jak oznakowania w całym zarośniętym ogrodzie. – Nie powiem, że nie mogę się tego doczekać, lecz nie dowiemy się, czy nie ma tu ukrytych ludzkich szczątków dopóki nie przekopujemy całego tego obszaru. Było wystarczająco paskudnie z psim grobem koło domu Villiersa, a to tutaj wygląda jak cały cholerny cmentarz dla zwierząt.

Rzeczywiście miał rację. Pomijając plątaninę krzewów i wrzosców wymagających usunięcia, zakopane tu zwierzęce truchła będą wprowadzać w błąd psa używanego do poszukiwania ciał.

Napomknięcie o Emmie Derby przypomniło mi o czymś jeszcze.

– Czy Rachel wspominała coś o motocyklu?

– Mnie nie, ale nie widziałem jej, od kiedy pojechała złożyć zeznania. Jakim



motocyklu?

Wolałbym, żeby Lundy usłyszał o motorze od niej, musiał jednak o nim wiedzieć. Opowiedziałem mu o zdjęciu szpanerskiego motocykla na wydmie i o przypuszczeniu, że być może pojawił się ponownie dawny chłopak Emmy Derby.

– Zaraz, zaraz. Mówi pan, że zauważyła fort morski dopiero teraz? – zapytał, marszcząc brwi.

– Rozpoznała motor, lecz uznała, że musi to być stare zdjęcie. A fort trudno na nim rozpoznać. Można się zorientować, co to takiego, tylko z tego powodu, że widać go na innej fotografii zrobionej na plaży.

– I nie wie, kiedy mogło być zrobione?

Pokręciłem głową, ale i tak nie oczekiwałem ode mnie odpowiedzi. Przesunął dłoń po twarzy.

– Cudownie. Co jeszcze powiedziała?

– Nazwisko Mark Chapel. I tylko o tym, że siostra знаła go w Londynie, gdzie robił wideoklipy. A także że miał harleya, takiego jak na fotografii.

– Takiego czy tego?

– Nie wiem i nie chciałem zbyt natarczywie pytać. Wie już, że znaleźliśmy nowe zwłoki, a nie chciałem, żeby coś skojarzyła.

Na twarzy Lundy'ego malowała się konsternacja.

– Nie nadążam.

– Motocykl ze zdjęcia oraz kurtka i buty motocyklowe, które miał na sobie denat ze strumienia...?

Inspektor wreszcie załapał.

– Chryste, chyba zaczynam głupieć. No dobra, będę musiał sam obejrzeć to zdjęcie. Zobaczymy też, czego jeszcze możemy się dowiedzieć o tym całym Marku Chapelu. Może nic z tego nie wyniknąć, ale tak czy inaczej, musimy go sprawdzić.

Spojrzał nad moim ramieniem i wyprostował się, wyraźnie usiłując otrząsnąć z siebie zmęczenie.

– Jest szefowa.

Odwrociłem się i zobaczyłem Clarke idącą ku nam pomiędzy zaparkowanymi samochodami policyjnymi w rozpiętym jasnym płaszczu trzepoczącym na wietrze. Była zmęczona i nieco rozmemłana, lecz kiedy stanęła przed nami, okazała się przede wszystkim poirytowana.

– Frears nadal pracuje w domu, proszę pani – zameldował Lundy, wracając do formalnych relacji.

Ledwo skinęła mu głową, lecz całą swą niezyczliwą uwagę skupiła na mnie, patrząc gniewnie, z zaciśniętymi ustami, a jej kędzierzawe rude włosy zdawały się niemal pulsować pod przytrzymującą je czarną opaską.

– Proszę mnie oświecić, doktorze Hunter, czy może pan wyjaśnić, dlaczego

wszedł pan do domu, zamiast od razu nas wezwać?

– Wiedziałem, że może być w nim ranna dziewczyna, która potrzebuje pomocy.

– Uznał więc pan, że jest najbardziej odpowiednią osobą, aby jej udzielić?  
A nie, powiedzmy, pogotowie ratunkowe?

– Pogotowia tu nie było, a ja tak.

– Dlatego postanowił pan zapaskudzić miejsce zbrodni?

Moja cierpliwość zaczynała się wyczerpywać. Również byłem zmęczony i spędziłem minioną godzinę, przypominając sobie, co zrobiłem, a także zastanawiając się, czy mógłbym zapobiec któremuś z tych wydarzeń.

– Nie wiedziałem, że to miejsce zbrodni, dopóki tam nie wszedłem. Poruszałem się ostrożnie, niczego nie dotykałem i wyszedłem natychmiast, kiedy się zorientowałem, z czym mam do czynienia. I tak, bardzo mi przykro. Ale nie aż tak, jak by mi było, gdybym pozwolił jej umrzeć, bo stałbym przed domem i czekał, zbijając bąki.

Zdałem sobie sprawę, że podniosłem głos. Lundy poruszył się zakłopotany, Clarke zaś wpiła we mnie spod rudej grzywki zimne spojrzenie oczu okolonych bladymi rzęsami. Zaraz się zaczęło, pomyślałem.

Pod domem zaczął się ruch, bo wyniesiono na noszach czarny worek na zwłoki i ruszono z nim do czarnej furgonetki z kostnicy. Od powierzchni worka słabo odbijały się błyski policyjnych migaczy, co Clarke obserwowała przez chwilę i westchnęła:

– Muszę porozmawiać z Frearsem.

Lundy spojrzał na mnie ni to ostrzegawczo, ni to z wyrzutem i ruszył za nią. Kiedy szli w stronę oświetlonego rześście domu, rozległ się trzask podwójnych drzwi czarnej furgonetki, które zamknął głośno sanitariusz, odcinając widok wnętrza i ładunku karetki.

\* \* \*

Odwieziono mnie do hangaru, lecz było już po trzeciej, zanim poszedłem do łóżka. Jednak nawet wtedy nie mogłem zasnąć. Może działała moja wyobraźnia, ale wydawało mi się, że wciąż czuję zwierzęcy odór niemytego ciała Edgara Hollowaya. Za każdym razem, gdy zamykałem powieki, widziałem opuchniętą twarz Stacey Coker, jej koszmarnie nieruchome, przekrwione oczy. Leżałem, słysząc pierwsze hałaśliwe poszczekiwanie fok, a potem poranną wrzawę mew. Niebo już zaczynało jaśnieć, kiedy wreszcie zapadłem w niespokojny sen.

Wyrwał mnie z niego budzik, pozostawiając wrażenie, że w ogóle nie zmrużyłem oka. Po długim prysznicu i pospiesznie zjedzonym śniadaniu poczułem się bardziej zdolny do życia, spróbowałem więc dodzwonić się do Rachel, oczywiście bez rezultatu, bo przecież ona również późno poszła spać. Nie miałem pojęcia, o której wróciła, a rano czekało ją jeszcze zadanie nie do pozazdroszczenia

– poinformowanie o wszystkim Jamiego.

Pozostawiłem wiadomość, że mam nadzieję, iż u niej wszystko w porządku, i pojechałem do kostnicy. Nie zabroniono mi do niej wstępu i dopóki nikt tego jednoznacznie nie zrobi, zamierzałem zajmować się swoją robotą. Frearsa nie było widać, zatem albo całą noc przeprowadzał sekcję Stacey Coker, albo powinien się szykować, by zrobić ją rano.

Cóż, tego mu nie zazdrościłem.

Mogłem tymczasem pracować sam, bez żadnych przeszkód, co bardzo mi odpowiadało. Lan zaproponowała mi pomoc, lecz ją odrzuciłem, zapewniając, że dam sobie sam radę. Włożyłem ubiór chirurgiczny oraz gumowy fartuch i wkroczyłem w uporządkowany spokój chłodnej sali sekcyjnej, z czymś w rodzaju ulgi zamykając za sobą drzwi.

Całonocne gotowanie doprowadziło do końca proces rozpoczęty miesiącami zanurzenia w strumieniu. Wszystkie pozostałe tkanki miękkie odpadły już od kości i stawów denata z drutu kolczastego. Systematycznie wyjmowałem części szkieletu z obrzydliwej brei, w jaką zmienił się roztwór detergentu, opłukiwałem je i odkładałem, żeby wyschły. Miałem wreszcie możliwość obejrzenia końcówek żeber, powierzchni uchowatej i spojenia łonowego, co mogło dać mi jakieś wskazówki co do wieku tego osobnika w chwili śmierci. W czasie pracy starałem się nie myśleć zbyt wiele o byłym chłopaku Emmy Derby, właścicielu motocykla, wciąż bowiem mógł to być ktoś inny, a kurtka motocyklowa i buty stanowić tylko zbieg okoliczności.

Jeżeli tak nie było, wkrótce mieliśmy się tego dowiedzieć.

Kusiło mnie, żeby poświęcić więcej czasu na zbadanie widocznych wielorakich złamań, zwłaszcza lewej nogi, ale ta sprawa mogła poczekać. Jeżeli potwierdzi się to, co dostrzegłem na zdjęciach rentgenowskich, nie było wątpliwości, na co będę musiał przede wszystkim zwrócić uwagę.

Ostatecznych wyjaśnień miała dostarczyć czaszka.

Choć bardzo przydatne, zdjęcia rentgenowskie były tylko dwuwymiarowe i w przypadku rozległych obrażeń uszkodzenia mogły nakładać się na siebie, utrudniając uzyskanie wyraźnego obrazu tego, co się zdarzyło. Tak było i tutaj. Dzień wcześniej, przed włożeniem czaszki do roztworu, usunąłem już obluzowaną i poważnie uszkodzoną żuchwę. Jeszcze nim została do końca oczyszczona, mogłem dostrzec głębokie rozwidlenie w jej centrum, które u żywego osobnika mogło oznaczać, że miał dołeczek w podbródku. Odłożyłem ją na bok i skalpelem o wąskim ostrzu oddzieliłem czaszkę od kręgosłupa, po czym włożyłem ją do kotła, żeby się macerowała. Nie chciałem, by jakiegokolwiek małe fragmenty kości odłączyły się i pomieszały z innymi.

Teraz, podczas jej opłukiwania, zauważyłem, że technik kryminalistyczny miał sporo racji, twierdząc, że obrażenia mogła spowodować śruba łodzi. Jakież

szybko poruszające się obrotowe ostrze przeszło przez delikatne kości twarzoczaszki jak przez balsę. Było obrotowe, o czym świadczył kształt nacięć – płytkie na każdym końcu, lecz coraz głębsze w środku – i musiało wirować szybko, ponieważ nacięcia na kości miały czyste krawędzie z bardzo małymi ukruszeniami.

W sumie było siedem cięć biegnących przez twarz równolegle i mniej więcej poziomo. Jedno o długości kilku cali uszkodziło łuk brwiowy i nasion<sup>7</sup>, znajdującą się między oczodołami wklęsniętą część grzbietu nosa. Kolejne cięcie biegło tuż poniżej, rozcinając obie kości policzkowe. Niższe cięcia przebiegały znacznie bliżej siebie, miejscami zlewając się tak, że trudno było je odróżnić. Większość dolnej części nosa była połamana na kilka kawałków, natomiast szczeka górna poniżej nosa, tam gdzie powinny znajdować się w niej górne zęby, wydawała się całkowicie pokruszona. Teraz, gdy oglądałem te kawałki, dostrzegłem, że kości były niezwykle porowate i wyglądały niemal jak pumeks.

Uzyskanie dokładniejszego obrazu tego, co się stało, wymagałoby dokonania skrupulatnej rekonstrukcji. Wielu kości brakowało, luźne odłamki odpadły lub zostały porwane przez wodnych padlinożerców. Bardzo niewiele zębów pozostało na miejscach, a i te były pokruszone wirującym ostrzem.

Niemniej chciałem zbadać przede wszystkim same nacięcia. Wymieszałem porcję masy silikonowej i ostrożnie rozprowadziłem ją po dwóch najwyraźniejszych cięciach. Gdy odlewy wyschną, odwzorują wszystkie szczegóły, ujawniając wzór pozostawiony na kości przez ostrze. Pozostałem masę do zastygnięcia i zwróciłem uwagę na coś, co opadło na dno kotła. Była to pierwsza rzecz, którą zauważyłem na zdjęciach rentgenowskich, niemal ukryta wśród czarno-białej płataniny nakładających się na siebie obrażeń. Cienka, przypominająca liść kostka, z jedną nierówną krawędzią w miejscu odłamania od czaszki.

Wciąż ją oglądałem, kiedy drzwi się otworzyły i do środka bezceremonialnie wparował Frears.

– Dzień dobry, Hunter. Nie byłem pewien, czy jeszcze pana tu dzisiaj znajdę.

Odłożyłem płatek kości, zastanawiając się, czy Clarke powiedziała coś o odsunięciu mnie od dochodzenia.

– Dlaczego?

– Nie rób pan takiej poważnej miny! Żartowałem, choć za zdarzenia ostatniej nocy jakaś kara by się panu należała.

Miał rację, więc by zmienić temat, spytałem trochę nerwowo:

– Zrobił pan sekcję?

– Dziewczyny? Skończyłem przed lunchem. – Dzisiaj patolog wydawał się w lepszym humorze. – Pewnie może pan odgadnąć większość wyników. Zasinienia na szyi, zgnieciona tchawica i złamana kość gnykowa, wszystkie objawy

uduszenia. Inne obrażenia odpowiadają wypadkowi samochodowemu. Pęknięte żebra, otarcia, potłuczenia, mikropęknięcie czaszki, lecz bez wewnętrznego krwawienia. Pewnie miała paskudne wstrząśnienie mózgu, ale nie śmiertelne.

– Czy mogła być przytomna?

– Trudno powiedzieć. Wątpię, by mogła sama wydostać się z auta. Ale jeżeli pyta pan, czy była przytomna, kiedy ją duszono, to Bóg raczy wiedzieć. Nie ma jednak oznak walki, co sugeruje, że nie. – Wyjął z pudełka parę rękawiczek chirurgicznych i zaczął je naciągać. – W rzeczywistości w całej tej sprawie tylko jedna rzecz jest zagadkowa. Biorąc pod uwagę, że była rozebrana od pasa w dół, dość zadziwiające jest to, że nie ma żadnego świadectwa napaści seksualnej. Nic, co sugerowałoby gwałt albo choćby niedawną aktywność seksualną. Wydaje się, że nasz chłopak patrzył sobie, ale jej nie dotknął.

Przynajmniej tyle, chociaż była to raczej słaba pociecha dla rodziny Stacey Coker. Pomyślałem o żalonym draniu skulonym ubiegłej nocy na tylnym siedzeniu land rovera, przerażeniu, z jakim uciekał przed nami drogą. Jak Rachel uspokajała go niczym dziecko lub przestraszone zwierzę. Bez obaw, jest nieszkodliwy, przypomniałem sobie jej słowa.

Frears z trzaskiem skończył naciągać rękawiczki i podszedł do czaszki leżącej na metalowej tacy.

– No i jak panu idzie z naszym przyjacielem z drutu kolczastego? Widzę, że zrobił pan odlewy ran od śruby?

– Nie sądzę, żeby to ona je spowodowała.

Moje słowa zwróciły jego uwagę.

– Doprawdy?

– Narzędziem było coś, co obracało się bardzo szybko, ale nie śruba łodzi – wyjaśniłem. – W takim przypadku uderzałyby w kość pojedyncze ostrza. Te wyglądają, jakby zadał jej jakiś solidny dysk. Bardziej przypominają bruzdy niż cięcia.

– Ciekawe. Jak szybko zastygną odlewy?

– Powinny już być gotowe.

Podszedłem do czaszki i ostrożnie zdjąłem masę silikonową. Była już twarda i delikatnie wykonałem gumowe odciski. W przekroju cięcie było kwadratowe, jego boki tworzyły z płaskim dnem kąt prosty. Wewnętrzne powierzchnie były nierówne, z wyraźnymi śladami otarć.

Wziąłem macki i zmierzyłem szerokość jednego odlewu, a Frears w tym czasie badał drugi. Mruknął z zaskoczeniem:

– Nacięcie spowodowane śrubą powinno być gładkie, a to jest szorstkie jak dupa niedźwiedzia. Jakby przejechano po nim papierem ściernym. Jakies elektronarzędzie, jak pan sądzi? Może piła tarczowa?

– Myślałem raczej o szlifierce kątovej – odpowiedziałem, odkładając macki.

– Jej dyski mają powierzchnie ściernie, płaskie ostrza, a standardowa szerokość wynosi siedem milimetrów. Te rany są dokładnie takie.

– Widzę, że odrobił pan pracę domową. – Frears z namysłem skinął głową.  
– Tak, to pasuje. Rany na pierwszy rzut oka przypominałyby zadane śrubą łodzi, dzięki czemu nie można by ich automatycznie uznać za podejrzone. W każdym razie w takim miejscu jak Backwaters zwłoki mogły pozostać nieodnalezione przez wiele lat albo wcale. Chociaż narzuca się pytanie, jak dorobił się tych złamanych kości. A jeżeli skreślimy możliwość wypadku z łodzią, musimy wziąć pod uwagę to, że mógł żyć, kiedy ktoś popracował nad jego twarzą szlifierką kątową. Doprawdy, radosna myśl.

Też o tym pomyślałem. Kości po sekcji są suche i kruche, zatem reagują na obrażenia inaczej niż te ciągle żywe, czyli „zielone”. Myśl, że ktoś mógłby świadomie pobić innego człowieka tak brutalnie, żeby połamać mu kości, a potem jeszcze żywemu zmasakrować takim narzędziem twarz, mroziła krew w żyłach. Chociaż jednak nie miałem złudzeń w kwestii tego, do czego zdolni są ludzie, mimo wszystko nie sądziłem, by mógł tu zaistnieć taki scenariusz.

– Wątpię – uspokoilem Frearsa. – Jeszcze nie miałem okazji zbadać ich dokładnie, lecz piszczel i kość strzałkowa zostały złamane przez siłę poprzeczną. Coś unieruchomiło dolną część nogi, podczas gdy drugą część szarpnęło tak mocno, że spowodowało to nie tylko złamanie kości, ale także zwicnięcie stawu biodrowego. Nogę poddano ogromnej sile, o wiele większej, niż oczekiwałem w przypadku ataku pałką lub młotkiem. A poza tym denatowi skręcono kark. Dwa kręgi są złamane, czaszka jednak nie. Powstaje więc pytanie, w jaki sposób mógł uderzyć o coś tak mocno, żeby złamać kark, a jednocześnie nie odnieść żadnych obrażeń czaszki.

Patolog wziął do ręki czaszkę.

– Sądzi pan, że to mógł być upadek?

– Nie widzę innej przyczyny. Upadek z motocykla przy dużej prędkości albo uderzenie przez samochód mogłoby spowodować podobne obrażenia, lecz ani na ciele, ani na odzieży nie było otarć – wyjaśniłem. – Upadek jest bardziej prawdopodobny, a gdyby goleń w coś uderzyła lub zaczepiła w czasie spadania, siła bezwładności mogłaby ją złamać. Wszystkie pozostałe obrażenia spowodowała siła uderzeń. Przypuszczam, że padając, osłonił głowę przedramieniem lub całą ręką, ale szarpnięcie złamało mu kark.

Frears potakiwał, kiwając głową.

– A potem użyto szlifierki, aby ukryć jego tożsamość.

– Tak, sądzę jednak, że mogło być coś jeszcze. – Podniosłem kruchy fragment kości w kształcie liścia. – Co pan o tym sądzi?

Frears, marszcząc brwi, wziął go ode mnie.

– To lemiesz. I co z nim?

– Był wciśnięty w głąb czaszki.

– Nie ro... Och. – Wciąż trzymając kość, spojrział na czaszkę, a potem ruszył szybko do podświetlonej tablicy z zawieszonymi zdjęciami rentgenowskimi.  
– Jasna cholera.

Lemiesz jest cienką pionową blaszką kostną znajdującą się z tyłu nosa i dzielącą otwór nosowy na pół. Na zdjęciach rentgenowskich został zasłonięty bardziej rzucającymi się w oczy obrażeniami, ukryty za chaotyczną mozaiką połamanych kości. Niemniej wciąż można było go dostrzec – widmowy biały kształt, którego czubek nadal był wbity w płat czołowy rozkładającego się mózgu.

– Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, przyjąłem, że został pchnięty do góry przez wirujące ostrze lub dysk – wyjaśniłem Frearsowi. – Ale w takim razie przecięłyby także lemiesz, a nie wcisnęły go w głąb. Na pewno nie pod takim kątem do góry.

– Zgadza się. – Frears wydawał się zirytowany na samego siebie. – Nie wyobrażam sobie również, żeby do czegoś takiego doszło w wyniku upadku.

Ja też. Denat musiałby upaść twarzą do przodu, co spowodowałoby rozległe obrażenia, a tu nie widziałem żadnych ich oznak. Wbić lemiesz w płat czołowy mógł tylko potężny cios, zadany dokładnie pod kątem prostym. Co wskazywało na jakiś przedziwny wypadek.

Albo egzekucję.

## Rozdział 23

– Uderzenie nasadą dłoni.

Lundy przerwał, by wydmuchać nos. Było późne popołudnie, słońce od czasu do czasu wyglądało zza ciemnych chmur. Inspektor siedział na miejscu pasażera w moim samochodzie, wciąż sprawiając wrażenie nieco sennego po endoskopii. Zadzwoiłem do niego, by zdać relację z ustaleń dokonanych tego dnia, zupełnie zapominając, że mówił mi o czekającym go dzisiaj zabiegu. Już zacząłem opowiadać mu z zapalem, co odkryłem, kiedy przepraszającym tonem przerwał mi i wyjaśnił, że nadal jest w szpitalu i nie może swobodnie rozmawiać. Przed badaniami dostał środek uspokajający i został uprzedzony, że do końca dnia nie może prowadzić. Miała przyjechać po niego żona, ale nie dała rady być na czas, bo właśnie odbierała ich wnuczkę z jakichś przedszkolnych zajęć.

Z kostnicy do szpitala było parę kroków, ja zaś zrobiłem wszystko, co zaplanowałem na ten dzień. Oczyszczone kości ofiary z drutu kolczastego zostały opłukane i pozostawione do wyschnięcia, przy czym wstępnie obejrzałem najważniejsze, zwłaszcza te ze złamaniami lub uszkodzeniami. Postanowiłem odłożyć ich składanie na jutro rano, ponieważ brak snu i wydarzenia minionej nocy zaczęły dawać mi się we znaki. Lepiej było zostawić je w spokoju do czasu, aż będę w lepszej formie, niż pominąć coś z powodu przemęczenia.

Zaproponowałem więc Lundy'emu, że odwiozę go do domu. Nie miałem żadnych wiadomości od Rachel, choć jeszcze raz próbowałem się do niej dodzwonić. Nadal nie odbierała, a ja nie chciałem się jej naprzykrzać, wiedząc, że w następstwie morderstwa Stacey Coker ma wystarczająco dużo na głowie. Niemniej jej milczenie bardzo mi ciążyło i byłem zadowolony, że mogę zająć myśli czymś innym.

Czekający na mnie przed wejściem do szpitala Lundy wyglądał na zmęczonego, a gdy zapytałem go, jak poszło, odpowiedział tylko: „Och, w porządku”, z miną świadczącą, że nie ma ochoty rozmawiać natychmiast o swym zdrowiu. I rzeczywiście, zaraz zmienił temat, pytając, czy dowiedziałem się czegoś jeszcze ze szczątków.

Ożywił się wyraźnie, gdy powiedziałem mu o lemieszu i wyjaśniłem, jak tylko bardzo precyzyjny albo udany cios mógł spowodować takie obrażenia.

– Uderzenie nasadą dłoni? – byłem ciekaw jego opinii.

– Coś, co poznaje się w czasie nauki walki wręcz lub niektórych sztuk walki. Zamiast łamać sobie palce, waląc kogoś pięścią, uderza się go w twarz nasadą dłoni. – Wyciągnął rękę, demonstrując cios wysuniętą do przodu dłonią z palcami podwiniętymi tak, że przypominały nieco szpony. – Paskudne, jeżeli jednak chce się powstrzymać kogoś, żeby zbytnio nie brykał, załatwi to sprawę. Pokazał mi ten



cios i parę innych brudnych sztuczek były spadochroniarz, kiedy byłem w AT.

– Służył pan w Armii Terytorialnej?

– Było mnie wtedy o parę kilo mniej – powiedział ze śmiechem. – Musi pan zjechać z ronda trzecim zjazdem – przerwał nagle i pokierował mnie w boczną drogę.

Zapewnił mnie, że nie będę potrzebował nawigacji satelitarnej. Zjeżdżając w bok, nie musiałem bardzo nadkładać drogi, omijałem natomiast intensywny ruch.

– A więc uderzenie nasadą dłoni może spowodować takie obrażenia? – zapytałem, gdy tylko wydostałem się z ronda.

– Teoretycznie tak, lecz nigdy nie natrafiłem na coś takiego. Jest pan pewien, że ktoś po prostu nie uderzył go pałąk czy czymś takim?

Nie sposób było stwierdzić, czym uderzono denata, ale wątpiłem, by była to jakaś broń. Chociaż uszkodzenia dolnej części twarzy sprawiały, że pewności mieć nie mogłem, przedmiot o twardych krawędziach, na przykład cegła lub młotek, najprawdopodobniej zostawiłby ślady oddające jego kształt.

– Nie sędzę – odparłem z namysłem.

– W takim razie, skoro mówimy o pustych rękach, uderzenie nasadą dłoni wydaje się najbardziej prawdopodobne – stwierdził Lundy. – Ale żeby uzyskać taki efekt, trzeba uderzyć cholernie mocno i pod ściśle określonym kątem. Zazwyczaj skończyłoby się prawdopodobnie na rozkwaszonym nosie lub wybitych przednich zębach.

– Tym razem było to coś więcej niż wybite zęby. Wygląda na to, że kość górnej szczęki, bezpośrednio pod nosem, w istocie została wgnieciona – powiedziałem, zwalniając, kiedy ciężarówka wjechała mi przed nos bez użycia kierunkowskazów. – Brakuje dużej jej części z tego miejsca, a reszta sprawia wrażenie bardziej gąbczastej, niż powinna.

– Gąbczastej?

– Jest pełna drobniotkich otworków, jak ciasteczko „plaster miodu”. Przyczyną może być genetyczna wada kości albo jakaś infekcja. W każdym razie coś osłabiło strukturę w wystarczającym stopniu, aby uderzenie nasadą dłoni, zakładając, że z tym mamy do czynienia, wgniotło ją i wbiło lemiesz w mózg.

Lundy pokiwał z zamyśleniem głową.

– Czyli mamy do czynienia z prawdopodobną przyczyną śmierci, tak mam to rozumieć?

Omawiałem tę kwestię z Frearsem, nie doszliśmy jednak do żadnych wniosków.

– Trudno orzec na pewno – odpowiedziałem. – Obrażenie nie daje szans przeżycia, co nie oznacza, że rzeczywiście go zabiło. Jeżeli dobrze oceniam złamania, również sam upadek mógł okazać się śmiertelny. Przypuszczam, że pierwsze było uderzenie w twarz i dopiero po nim nastąpił upadek, ponieważ nie

miałoby sensu uderzać kogoś, kto odniósł już takie obrażenia. Ale nie mogę określić, ile czasu minęło pomiędzy jednym zdarzeniem a drugim.

– Mam tylko nadzieję, że miał szczęście i nie żył, gdy ktoś zabrał się ze szlifierką kątową do jego twarzy – skrzywił się Lundy. – Cóż, mimo wszystko można dostrzec w tym jakiś sposób logicznego myślenia. Zabijasz kogoś w walce, z premedytacją lub przypadkowo, a potem zacierasz ślady innymi obrażeniami. Starasz się, żeby śmierć wyglądała jak zderzenie z motorówką, i jednocześnie niszczysz wszystkie cechy identyfikacyjne. Potem oplątujesz zwłoki drutem kolczastym i zatapiasz w odludnej części Backwaters w nadziei, że kiedy je znajdą, uznają, że śmierć była wynikiem wypadku – rozmyślał głośno. – Teraz następny w lewo – rzucił.

Skreśliłem we wskazanym miejscu. Byliśmy obecnie w dzielnicy mieszkaniowej z przyjemnymi bliźniakami i wiśniami posadzonymi na zielonych trawnikach. Różowe kwiaty nadawały ulicy świąteczny wygląd, niczym dekoracja do ślubu.

Lundy gładził wąsy, co było oznaką, że się zastanawia.

– Co jeszcze zdołał pan ustalić?

– Niewiele. Miał sto osiemdziesiąt trzy, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i był w wieku od trzydziestu do trzydziestu czterech lat. To wszystko, co mogę na razie stwierdzić.

– Jakiś pomysł, jak długo ciało przebywało w wodzie?

– Pewnie kilka miesięcy, ale skoro nawet nie wiemy, czy pływało, czy było zahaczone na drucie kolczastym i zanurzone, określenie czasu może być tylko luźnym przypuszczeniem.

– Czysto teoretycznie założmy, że było umocowane do drutu kolczastego. Jak długo wtedy, według pana?

Zastanawiałem się chwilę, zanim odpowiedziałem.

– Pamiętając, że była zima, a potem chłodna wiosna, powiedzmy, że sześć do ośmiu miesięcy.

Lundy kiwnął głową.

– Emma Derby zaginęła właśnie około siedmiu miesięcy temu.

Ten fakt nie uszedł też mojej uwagi.

– Jakież sukcesy w tropieniu jej byłego chłopaka? – rzuciłem pytająco, wiedząc, do czego zmierza.

– Jeszcze nie. Przydzieliłem komuś tę sprawę, potem jednak musiałem iść i dać sobie wetknąć w gardło tę cholerną rurę. Nie miałem nawet możliwości obejrzenia zdjęcia tego motocykla, o którym mi pan powiedział.

– Nadal myśli pan, że Villiers mógł zabić Marka Chapela i Emmę Derby?

– W tej chwili wszystkie znaki na niebie i na ziemi na to wskazują. Oczywiście jeżeli się okaże, że Chapel żyje, wrócimy do punktu wyjścia. Ale

dodając do całej układanki dawnego chłopaka Emmy Derby, może wyjaśnimy parę rzeczy. Nie przypuszczam, by Villiers dobrze zareagował na rywala, mamy zatem podany jak na tacy potencjalny motyw morderstwa. A cios nasadą dłoni jest czymś, co mógł poznać w swojej wojskowej przeszłości. Nie trzeba lubić zabawy w żołnierzy, żeby zapamiętać, czego tam uczono.

Wskazał dom po drugiej stronie ulicy.

– Tutaj. Może pan zatrzymać się na podjeździe.

Podjechałem do krawężnika. Zostawiłem włączony kierunkowskaz i silnik, gotów ruszać dalej. Zapach kwiatów wiśni i mokrej trawy napłynął do samochodu, kiedy Lundy otworzył drzwi. Ale nie wysiadł.

– Dzięki za podwiezienie. Może wpadłby pan napić się czegoś? Żona jeszcze nie wróciła, będę więc mógł się dorwać do moich ciasteczek bez awantury.

– Nie, dziękuję. Lepiej już pojedę.

Nie chciałem zakłócać domowego życia inspektora i pomyślałem też, że po powrocie jego żona będzie chciała wypytać go o wizytę w szpitalu. Lundy jednak nie ruszył się z fotela.

– Prawdę mówiąc, byłbym wdzięczny, gdyby pan wszedł. – W niebieskich oczach za szklami okularów widać było troskę. – Jest coś jeszcze, o czym chciałbym porozmawiać.

\* \* \*

Dom nie był taki, jak oczekiwałem. Zbudowany po wojnie bliźniak został wyremontowany i powiększony. Ogródek od frontu został przekształcony w patio w śródziemnomorskim stylu, wewnątrz zaś było jasne i nowoczesne, z wygodnymi, choć współczesnymi meblami. Siedziałem w małej oranżerii, podczas gdy Lundy robił herbatę w sąsiadującej z nią kuchni. Machnięciem ręki zbył moją propozycję pomocy.

– Zabronili mi prowadzić samochód, ale nic nie mówili o nastawianiu czajnika.

Nie wydawał się spieszyć do zrzucenia tego, co leżało mu na sercu, postanowiłem zatem poczekać, aż zrobi to w wybranej przez siebie chwili.

– Jak Coker przyjął wiadomość? – zapytałem, gdy nalewał wrzątek do kubków.

– Jak można było oczekiwać. Pojechałem do niego w nocy i mu ją przekazałem. – Pokręcił głową. – Wolę nie myśleć, jak się dzisiaj czuje.

Nic dziwnego, że Lundy wyglądał na zmęczonego. Musiał wrócić do domu niemal o świcie.

– Czy ma jeszcze jakąś rodzinę?

– Syna w wojsku. Był za granicą, ale już wrócił do kraju. Przypuszczam, że po tym wszystkim wystąpi o dłuższy urlop.

Poczułem ulgę, że Coker ma kogoś. Niewiele mogło mu to pomóc, lecz i tak

było lepsze niż samotność.

– A co z Edgarem?

Lundy skrzywił się, niosąc herbatę i paczkę czekoladowych ciasteczek.

– Trudno wydobyć z niego coś sensownego i trzeba będzie poddać go pełnym badaniom psychiatrycznym. Z tego, co zdołaliśmy zebrać, wynika jednak, że miał pan rację i rzeczywiście był wtedy na drodze. Stacey Coker musiała ostro skrócić, żeby go wyminąć, zresztą same ślady opon świadczą, że wykonała gwałtowny manewr, i uderzyła się w głowę, gdy samochód wpadł do strumienia. Jesteśmy prawie pewni, że Holloway wyciągnął ją z wozu i zaniósł do swojego domu, ale potem sytuacja robi się dość niejasna.

– To znaczy?

Wsypał cukier do herbaty.

– Powstaje pytanie, dlaczego ratował Stacey i zabrał do domu, skoro miał zamiar ją zabić. Od początku mógł chcieć to zrobić, ale nie wydaje się prawdopodobne, aby był zdolny do takiego planowania. W rezultacie pozostaliśmy z teorią, że próbował udzielić jej pomocy i być może zaczęła mu się mylić z zaginioną córką, albo i nie. No i że kiedy zabrał ją do domu i zobaczył, jaka jest bezradna, zniecka go poniosło.

– Tak pan uważa?

Ułożył wargi w dzióbek, aby upić łyk herbaty.

– Całkiem możliwe.

– Ale?

– Jest kilka spraw, które do siebie nie pasują. Czy Frears mówił panu, że nie ma oznak molestowania seksualnego? – Otarł wąsy i odstawił kubek. – Cóż, to było zaskoczenie numer jeden. Kiedy znajduje się młodą kobietę, uduszoną i rozebraną od pasa w dół, zazwyczaj oznacza to jedno. I nawet gdyby Holloway jej nie napastował, powinniśmy znaleźć jakieś dowody tego, że ją rozebrał. Ale nie znaleźliśmy.

To zaskoczyło mnie bardziej niż informacja o braku molestowania.

– Zupełnie żadnych?

– Nie poniżej pasa. Były włosy Edgara na jej swetrze i odciski palców na zegarku, jedno i drugie zapewne powstałe w czasie, kiedy wyciągał ją z samochodu albo później niósł, i to wszystko. Chociaż dzinsy miała rozpięte, nie zerwane, nie było żadnych śladów ani na guziku, ani na zamku błyskawicznym. Poza tym złoty łańcuszek, który miała na szyi, został poskręcany i zbity w kłębek w czasie, gdy ją duszono, ale nie było na nim nawet fragmentu odcisku jego palca.

– Mógł włożyć rękawiczki – zasugerowałem, chociaż wątpię, czy Edgar byłby zdolny do zacierania śladów, nawet gdyby taki pomysł przyszedł mu do głowy.

– Jedyne rękawiczki, jakie znaleźliśmy, miał w kieszeni. Zaświniona para

rękawiczek z jednym palcem pokryta ptasim łajnem. Gdyby je nosił, jego ślady byłyby na całej dziewczynie.

Zaczęło się we mnie budzić nieprzyjemne przeczucie.

– Jak więc pan to wyjaśni?

– Nie wyjaśnię. Jeszcze nie. Są przecież jeszcze te otarcia na gardle. Widział pan, jak duże są dłonie Hollowaya? Kościste, ale wielkie. Jak łopaty. – Lundy podniósł dłoń, grubą i z krótkimi palcami. – Jego palce są o połowę dłuższe od moich, a znalezione otarcia mają zupełnie inny rozmiar. No dobrze, takie sprawy można różnie interpretować, niewykluczone więc, że zacisnął dłonie w pięści albo coś w tym rodzaju. Tak czy owak na razie pomiary sugerują, że udusił ją ktoś z o wiele mniejszymi dłońmi, niż ma Edgar.

Ktoś w rękawiczkach. Przeczucie stawało się coraz silniejsze.

– Skąd w domu Edgara wziąłby się ktoś inny? I po co by miał zabijać ranną dziewczynę?

– Sam tego nie rozumiem. – Lundy z roztargnieniem wyjął ciastko z opakowania i umoczył je w herbacie. – Ale jeżeli ktoś tam był, pewnie nie spodziewał się znaleźć na miejscu Stacey Coker i kiedy ją zobaczył, musiał przeżyć paskudny szok. Zwłaszcza jeśli była przytomna i zobaczyła tego kogoś.

Przemyślałem teorię dokładnie, analizując ją pod różnymi kątami. Wszystko wskazywało na jedno.

– Sądzi pan, że zabił ją Leo Villiers? Po to, by nikomu nic nie powiedziała?

Lundy skończył jeść ciastko i strząsnął z wąsów okruchy.

– Szczerze? Nie wiem. Wydaje mi się, że zaczynamy oskarżać o mnóstwo przestępstw człowieka, którego zaledwie kilka dni temu uważaliśmy za martwego. Fakt, to dziwne, lecz jeżeli mamy rację i rzeczywiście on nadal żyje, zdecydowanie jest najpewniejszym podejrzanym. Koncepcja, że osoba trzecia zabiła Stacey Coker, żeby ją uciszyć, ma więcej sensu niż pomysł, że Holloway wyciągnął ranną dziewczynę z samochodu, zatargał ją do swojego domu, a dopiero już będąc u siebie, udusił. Albo że zdjął z niej ubranie, nie molestując jej i nie pozostawiając żadnych śladów dla sądówki. Po prostu coś takiego nie mieści mi się w głowie.

Mnie również. Scenariusz Lundy'ego był cholernie prawdopodobny. Rozebranie Stacey Coker nadawało morderstwu pozory dokonanego na tle seksualnym. Edgar był tu idealnym kozłem ofiarnym. Nie tylko kilkadziesiąt lat temu podejrzewano go o przyczynienie się do zniknięcia córki, lecz także nie był w stanie wyjaśnić, a być może nawet zrozumieć, co się właściwie stało. Przyjęliśmy, że kiedy Rachel i ja go znaleźliśmy, uciekał od tego, co zrobił. Jeżeli jednak powrócił do domu i zastał uratowaną przez siebie dziewczynę martwą i do połowy naga, równie dobrze mógł uciekać od tego, co znalazł.

W tej łamigłówce wciąż istniały elementy, które nie pasowały. Mogłem uwierzyć, że Leo Villiers był w stanie upozorować własną śmierć po

zamordowaniu Emmy Derby, a być może również zabiciu jej byłego przyjaciela. Przyjmując takie założenie, nie trzeba było zbytnio się zmuszać do uznania, że zamordował także Stacey Coker, aby nie mogła ujawnić, że on jednak żyje. Niemniej nadal pozostawało jedno pytanie bez odpowiedzi.

– Co Leo Villiers mógłby robić w domu Edgara Hollowaya? – zapytałem.

Lundy podsunął mi ciastka i kiedy podziękowałem, sam poczęstował się kolejnym. Wyraźnie przełyk nie dokuczał mu zbytnio po zabiegu.

– Dobre pytanie. Kiedy przeszukiwaliśmy dom, w głębi jednej z szafek znaleźliśmy nabój do dubeltówki. Bizmutowo-cynowy śrut na ptaki numer pięć, ten sam rozmiar i marka co znalezione w domu Villiersa. Zapewne wypadł z pudełka i utknął w szczelinie.

– Tylko jeden nabój?

– Tylko jeden. Bez odcisków palców. Brak też jakiegokolwiek śladu dubeltówki, ale kurz w szafie był poruszony, jakby wyjęto z niej niedawno jakiś spory przedmiot. Przeszukaliśmy resztę domu, lecz będziemy musieli jeszcze zerwać podłogę i nawet nie zaczęliśmy w ogrodzie. Zresztą nawet jeżeli była tam strzelba, wątpię, by należała do Hollowaya.

Pomyślałem o zdewastowanym domu, niezamkniętych drzwiach frontowych i wewnątrz bez niczego, pomijając klatki z chorymi i rannymi zwierzętami.

– A więc Villiers używał go do... czego? Jako jakiejś meliny, żeby się w niej ukrywać?

– Możliwe, lecz nie ma żadnych śladów, że przebywał tam ktoś oprócz Hollowaya. I nikt o normalnym węchu nie wytrzymałby tamtego smrodu. Nawet nie wiem, jak Holloway zdołał przetrwać tak długo. Służby socjalne nie interesowały się nim, a w domu nie było żadnego zasilania. Miał generator na olej napędowy, ale nieużywany od Bóg wie jak dawna. No i pytanie, czym się żywił.

– Mógł zbierać. – Nie brakowało węgorki i owoców morza, a od Rachel wiedziałem o jadalnych wodorostach rosnących na słonych mokradłach. Edgar był przyrodnikiem i znał Backwaters lepiej niż ktokolwiek inny, na pewno więc wiedział, co jest jadalne.

– Pewnie tak, lecz w zimie miał niewiele do zbierania – zauważył Lundy.

– Jak przeżył cały ten czas? Kazaliśmy lekarzowi go zbadać i powiedział, że jest niedożywiony, uważa jednak, że od niedawna. Poza tym znaleźliśmy w domu porzucane puszki po konserwach, a skąd je brał?

Wciąż beształem się w myślach, że nie zdałem sobie sprawy z niedożywienia Edgara. Widziałem, jaki był chudy, powinienem więc rozpoznać objawy.

– Czemu Villiers miałby przynosić mu jedzenie?

– Wiem, że coś takiego nie pasuje do jego charakteru, lecz jeszcze mniej jest prawdopodobne, że Holloway sam chodził na zakupy. Może Villiers podrzucał mu czasem kilka puszek, aby go uszczęśliwić, podczas gdy sam używał domu do

chowania w nim różnych rzeczy, na przykład dubeltówki. Idealne miejsce, jeżeli się zastanowić. W samym środku niczego, nikt nie widzi, jak wchodzisz i wychodzisz, i nie mieszka w nim nikt, kto robiłby z tego aferę.

Miało to sens. I tłumaczyło, dlaczego Villiers przyszedł do domu Hollowaya, gdy była w nim Stacey Coker. Lundy dojadł ciastko i popił je łykiem herbaty.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która nie pasuje do tej teorii – powiedział, odstawiając kubek. – Czemu ktoś taki jak Leo Villiers miałby w ogóle mieć świadomość istnienia Hollowaya, a tym bardziej wiedzieć, gdzie mieszka? Czego tak bogaty facet jak on, z dostępem do poważnych pieniędzy i środków, szukał w jakiejś zapyziałej norze? A skoro o tym mowa, dlaczego nadal miałby tu siedzieć? Dlaczego nie wyjechał z kraju albo nie znalazł się do tej pory wiele mil stąd, gdzie nikt go nie rozpozna?

– Nie wiem. Dlaczego?

– Nie mam bladego pojęcia. – Wziął kolejne ciastko i przełamał je na pół. – To nie były retoryczne pytania, naprawdę nie mam pojęcia. I ta niewiedza mnie dręczy. Sądzę, że podchodzimy do tego z niewłaściwej strony. Słyszał pan o tych sztuczkach optycznych, kiedy rzeczy są tak ustawione, że pod określonym kątem wyglądają w określony sposób? Jak wtedy, gdy myślimy, że patrzymy na człowieka w klatce, a potem perspektywa się zmienia i uświadamiamy sobie, że tak naprawdę my w niej jesteśmy? Wszystko polega na punkcie widzenia i nie mogę pozbyć się wrażenia, że nasz jest niewłaściwy. Patrzymy ze złej strony.

Mówił, z roztargnieniem krusząc ciastko na małe kawałki, które rzucał na talerzyk. Jego zachowanie się zmieniło i nagle zacząłem być czujny.

– O tym chciał pan ze mną porozmawiać? – zapytałem.

Uśmiechnął się i zostawił resztki ciastka w spokoju.

– Mniej więcej – oznajmił, wycierając palce. – Robię coraz więcej dziur w mojej teorii, lecz zdałem sobie sprawę, że jedynym ciałem, którego nadal nie znaleźliśmy, jest ciało Emmy Derby. Jest w samym środku całej sprawy, skoro więc znaleźliśmy na drucie kolczastym zwłoki jej byłego, dlaczego jej również nie znaleźliśmy?

Mnie także to dręczyło. Miałem niemiłe przecucie, że wiem, dokąd wszystko zmierza.

– Mając dwa ciała, wiemy, że nie był to wypadek z łodzią. Ale nie mamy pewności, czy są to zwłoki Marka Chapela.

– Zgadza się – przyznał. – A gdyby okazało się, że to on, niektórych ludzi czekają kłopotliwe pytania. Leo Villiers może być w tej chwili głównym podejrzanym, co nie znaczy, że nie może stać się nim ktoś inny. Faktem jest, że jeśli tym denatem okaże się były przyjaciel Emmy Derby, będziemy musieli ponownie przyjrzeć się jej mężowi.

– Czy mi się wydaje, czy mówił pan, że Trask ma alibi? Ponoć oczyścił się

z podejrzeń?

– Mówiłem i ma. Ale to, że jest czysty w sprawie żony, nie oznacza wcale, że dotyczy to również przypadku jej przyjaciela. W każdym razie nie tego. Będziemy musieli z nim przynajmniej jeszcze raz porozmawiać. I pewnie z jego synem.

O Chryste. Jakby to napięcie w Creek House nie było wystarczająco wielkie...

– Dlaczego pan mi o tym mówi?

Lundy popatrzył na mnie znad okularów z wyrzutem.

– Nie jestem głupi, wiem, że przyjaźni się pan z siostrą Emmy Derby. Życzę powodzenia, bardzo ją podziwiam. Trzeba sporo wysiłku, żeby tak się zasymilować. Przypominam jednak, że wiązanie się z rodziną ofiary to zupełnie co innego niż utrzymywanie bliskich kontaktów z podejrzanymi.

– Trask nie jest jeszcze podejrzanym. – Sam usłyszałem, jak żałośnie zabrzmiały moje słowa.

– Nie, ale jego sytuacja może zmienić się dość szybko, gdy okaże się, że w kostnicy mamy zwłoki Marka Chapela – zauważył Lundy. – Jeżeli tak się stanie, będzie miał pan do czynienia z potencjalnym konfliktem interesów. Dla dobra rodziny, jak również pana samego, nie wspominając o śledztwie, może powinien pan pomyśleć o utrzymaniu pewnego dystansu, dopóki wszystko nie przycichnie. Przynajmniej powinien pan znaleźć jakieś inne zakwaterowanie. Pozostawanie w domu należącym do potencjalnego podejrzanego... Nie muszę panu wyjaśniać, jak niezręcznie może dalej wyglądać ta sprawa.

Nie musiał. Choć bardzo mi się to nie podobało, miał rację. Byłem wściekły, lecz bardziej na siebie, że nie dostrzegłem, co się szykuje.

– I tak mam tu już niewiele do roboty – stwierdziłem, czując gorycz w ustach. – Już za późno, żeby znaleźć coś na dziś wieczór, jutro jednak wrócę do Londynu.

Jazda do kostnicy będzie trwała dłużej, ale nie potrafiłem już udawać, że mam sensowny powód do pozostawania w Backwaters. W każdym razie nie z powodu tej sprawy.

Lundy pokiwał głową, teraz, kiedy jasno przedstawił, o co mu chodzi, czuł się wyraźnie zakłopotany. Obaj poczuliśmy ulgę, słysząc dźwięk otwieranych drzwi frontowych.

– Wróciły. – Wyprostował się i pospiesznie wrzucił do ust ostatni kawałek czekoladowego ciasteczka. Puścił do mnie oko. – Ani słowa żonie.

Zamykał właśnie opakowanie, gdy drzwi do kuchni się otworzyły i do środka wpadła mała trąba powietrzna.

– Dziadku, babcia powiedziała, że mogę...

Urwała na mój widok, a Lundy uśmiechnął się szeroko.



– Tu jesteś! Jak się ma moja duża dziewczynka?

Wnuczka uśmiechała się, zerkając jednak na mnie z onieśmieleniem. Miała ładną, figlarną buzię i strzechę potarganych włosów. Wciąż rozpromieniony Lundy pocałował ją w policzek i posadził sobie na kolanie.

– Kelly, to doktor Hunter. Pracuje z dziadkiem. Nie powiesz mu dzień dobry?

Dziewczynka oparła mu głowę o ramię, spoglądając na mnie spod długich rzęs.

– Dzień dobry.

– Zazwyczaj nie jest taka spokojna – powiedział Lundy, przytulając wnuczkę. Oficera policji zastąpił czuły dziadek. – Normalnie musimy rozdawać zatyczki do uszu.

– Załatwiłam prawie wszystko – oznajmiła jego żona. Weszła energicznie w ociekającym deszczem płaszczu i z torbami na zakupy w rękach. Była przystojną kobietą z krótko obciętymi blond włosami i o rzeczowym sposobie bycia. – Boże, co za pogoda! W jednej chwili słońce, w drugiej deszcz. A na jutro zapowiadają sztorm. Pan musi być doktor Hunter?

Uśmiechnęła się do mnie, zdejmując wilgotny płaszcz.

– Jestem David – przedstawiłem się, wstając, by pomóc jej z torbami. Lundy zrobił to samo, jednym mocnym ramieniem nadal obejmując wnuczkę. Jego żona machnięciem ręki kazała nam usiąść.

– Dziękuję, dam sobie radę – rzuciła i jednym tchem dodała: – A ja Sandra. Miło mi poznać.

– Doktor Hunter przywiózł mnie ze szpitala i wpadł na herbatę. – Lundy, siadając, zapoznał ją z sytuacją.

– I, jak sądzę, wyjadł też wszystkie słodczyce – stwierdziła, patrząc na niedojedzone opakowanie ciastek na stole i unosząc brwi.

Lundy zrobił urażoną minę.

– No cóż, byłoby niegrzecznie mu zabraniać.

– Widzi pan, co ja z nim mam? – Uśmiechnęła się, chociaż nie ukrywała niepokoju, gdy ponownie zwróciła się do męża: – Jak poszło?

– Och, świetnie.

Kiwnęła głową i wiedziałem, że sprawa jest zamknięta do czasu, aż sobie pójdę.

– Zostanie pan i zje coś z nami, Davidzie? Będzie nam bardzo miło – zapytała, rozpakowując torby.

– Dziękuję, ale właśnie zbierałem się do wyjścia. – Powiniennem zostawić ich samych, a poza tym musiałem mieć czas na przemyślenia. Odwróciłem się do Lundy'ego. – Dzięki za herbatę. I ciastka.

– Nie ma za co. Następnym razem niech się pan postara nie zjeść wszystkich.

– Wstał, z żartobliwym stęknieniem stawiając wnuczkę na podłodze. – Tak szybko rośniesz, że wkrótce nie będę mógł cię podnieść. Pomóż babci, gdy będę odprowadzał doktora Huntera.

– Powiedział, że ma na imię David!

– Jest dorosły i wolno mu mieć ich więcej. – Lundy wyszedł ze mną na korytarz. Wciąż wydawał się zakłopotany naszą wcześniejszą rozmową. – Ma pan jakieś plany na wieczór?

– Pewnie coś sobie upichcę i wcześniej się położę.

– Chyba dobry pomysł, zresztą dla wszystkich. – Zadzwoił monetami w kieszeni. – Dobrze się pan czuje?

– Doskonale. – Uśmiechnąłem się, mimo woli rozbawiony jego skrzepowaniem. – Niech się pan nie martwi, nie będzie żadnego konfliktu interesów.

– Dobrze słyszeć. To na razie, jutro porozmawiamy.

Jechałem z powrotem do hangaru zmęczony i przygnębiony. Już zacząłem się zastanawiać, czy dobrze zrobiłem, deklarując powrót do Londynu, ale pozostając dłużej w tym domku do wynajęcia, mógłbym postawić się w sytuacji nie do obrony. Nie mogłem ryzykować narażenia na szwank śledztwa, opowiadając Rachel o nowych ustaleniach, lecz ukrywanie ich przed nią wydawało się równie złe jak kłamstwo.

Niemniej nie miałem pojęcia, jaki powód wyjazdu jej podam, nie zdradzając jednocześnie, że coś jest nie tak. A może pochlebiam sobie, myśląc, że ją to obejdzie? Pewnie ma więcej powodów do zmartwień niż przejmowanie się człowiekiem, którego zna od zaledwie kilku dni.

Wciąż dręczyłem się tymi myślami, kiedy zadzwoniła. Zjechałem na pobocze, ukarany przeciągłym rykiem klaksonu samochodu jadącego za mną. Deszcz tłukł o przednią szybę, kiedy czekałem chwilę, nim odebrałem telefon.

– Davidzie, możesz rozmawiać? – Rachel sprawiała wrażenie przejętej i od razu zapomniałem o moim zdenerwowaniu.

– Stało się coś?

– Nic... nie wiem. Słuchaj, możesz przyjechać? – Ściszyła głos, jakby nie chciała, by ktoś ją usłyszał. – Coś znalazłam.

Rozdział 24

Gdy podjeżdżałem pod Creek House, przestało padać. Światło niemal zniknęło z nieba o kolorze spżu, a wicher z poprzedniej nocy przycichł do przelotnych powiewów bryzy. Pod jej podmuchami bagienne trawy szeleściły jak zakłócenia radiowe. Chociaż jeszcze nie było kulminacji przypływu, strumień przed domem wyglądał, jak gdyby miał zamiar wylać. Ptaki na jego pofalowanej powierzchni wiosłowały zaciekle błoniastymi nóżkami, walcząc z prądem. Wnosiło

to coś w rodzaju niepokoju do krajobrazu, poczucie melancholii.

Albo tkwiło to tylko we mnie.

Rachel nie chciała przez telefon powiedzieć nic więcej, nie miałem więc pojęcia, co znalazła. Moja wyobraźnia przyspieszyła, starając się wypełnić lukę i współzawodnicząc z poczuciem winy, które pojawiło się prawie zaraz po ostrzeżeniu Lundy'ego. Ostatecznie wszystko sprowadzało się do prostego wyboru. Co miałem postawić na pierwszym miejscu – moje dalsze zaangażowanie w dochodzenie czy prośbę Rachel o pomoc?

A teraz byłem na miejscu.

Szedłem pod ociekającymi gałęziami brzoź i wmawiałem sobie, że formalnie nie robię nic złego. Zwłoki z drutu kolczastego wciąż nie zostały zidentyfikowane i równie dobrze Mark Chapel mógł być gdzieś żywy i zdrowy. Dopóki nic nie zostanie udowodnione, Trask nie był formalnie podejrzany.

Jeszcze nie.

Z tymi argumentami wciąż dźwięczącymi mi głucho w uszach wszedłem po stopniach i zastukałem do drzwi frontowych. Wsłuchałem się w grającą gdzieś wewnątrz muzykę, aż nagle otworzył mi Jamie, który popatrzył na mnie tępo, po czym opuścił wzrok.

– Taty nie ma. Jest z klientem.

Oczy miał zaczerwienione. Po wszystkim, co się wcześniej stało, nie pomyślałbym, że aż tak przejmie się śmiercią Stacey Coker.

– Nie ma sprawy, przyszedłem zobaczyć się z Rachel – wyjaśniłem, czując ulgę, że Traska nie ma.

Jamie bez słowa się cofnął, wpuszczając mnie do korytarza. Muzyka bębniła w jednej z sypialni na parterze – sądząc po dźwięku, grała jakaś dziewczynska kapela. Chłopak zamknął drzwi frontowe i ruszył w kierunku, skąd słyhać było ryk decybeli.

– Fay, przycisz to! – Reakcji nie było. Podeszedł do drzwi i załomotał w nie.  
– Głucha jesteś? Powiedziałem przycisz!

Z wewnątrz dobiegła oburzona, choć niezrozumiała odpowiedź i natężenie dźwięków spadło.

– Tak, i ciebie też – rzucił Jamie w stronę zamkniętych drzwi, a potem odwrócił się do mnie. – Rachel pewnie jest na górze. Proszę wejść.

– Dziękuję. – Zawahałem się. – Przykro mi z powodu Stacey.

Najpierw sprawiał wrażenie zaskoczonego, potem niemal urażonego. Niechętnie skinął głową i zaczął się odwracać, aż nagle się zatrzymał.

– Co będzie z Edgarem?

– Nie wiem.

– Pójdzie do więzienia?

Zawahałem się, lecz uczciwe postawienie sprawy było lepsze niż uniki.

– Wątpię. Raczej umieszczą go w szpitalu psychiatrycznym.

Na pewno, obojętne, czy był winny, czy nie. Bez względu na to, jak wszystko się potoczy, wiele czasu minie, zanim znowu zobaczy Backwaters.

Dłonie Jamiego były zaciśnięte w pięści. Walczył ze sobą przez chwilę, sprawiając wrażenie, że jest na granicy łez.

– Czy ona... czy była, no wie pan...?

O mało nie powiedziałem mu, że nic nie wiem, że nawet nie uczestniczyłem w tym dochodzeniu. Ale i tak przekroczyłem już więcej granic, niż ośmielałem się przyznać...

– Nie sędzę – odparłem więc cicho.

Następne słowa jakby z niego eksplodowały.

– To moja wina. To wszystko moja wina.

– Nie możesz się oskarżać – zaprotestowałem, wiedząc, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Bez względu na wszystko, co ktokolwiek będzie starał mu się wmówić, w pamięci wciąż będzie widział Stacey odjeżdżającą po ich sprzeczce.

– Nie? Skąd może pan wiedzieć? – Otarł łzę z twarzy. – Kurwa! Gdybym mógł wszystko cofnąć...

Nie mogłem nic na to powiedzieć, puste frazesy zaś tylko by pogorszyły sytuację. Patrzyłem, jak Jamie idzie do swojego pokoju, po czym ruszyłem na poszukiwanie Rachel.

Zatrzymałem się na szczycie schodów, widząc, że kuchnia i przestrzeń mieszkalna były puste. W wielkim oknie od sufitu do podłogi widniało tylko jedno mroczne odbicie – moje.

– Rachel?

– Tu jestem.

Jej głos dobiegał zza stojących wolno regałów w drugim końcu długiego pokoju, za którymi, odgradzone od reszty pomieszczenia, znajdowało się niewielkie atelier. Rachel siedziała przy biurku ze szklanym blatem, wpatrując się w laptop. Poświata ekranu odbijała się ciepło w szybie wielkiego okna, wspólnego dla pozostałych części piętra. Kiedy podszedłem, wydało mi się, że jej uśmiech jest trochę niepewny.

– Nie słyszałam twojego wejścia – rzuciła.

– Jamie mnie wpuścił.

Po jej twarzy przebiegł cień.

– Bardzo przeżywa tę sprawę ze Stacey.

– A co z tobą?

– Och, wszystko w porządku. Sam wiesz. – Lekko wzruszyła ramionami. Miała na sobie spłowiałe dzinsy i zrobiony ściegiem warkoczowym obszerny sweter z podwiniętymi rękawami. Czarne włosy związała z tyłu gumką. – Szczerze mówiąc, jeszcze wszystko do mnie nie dotarło. Wejście do domu Edgara i...

i wszystko inne wydaje się trochę nierzeczywiste. Wciąż nie jestem w stanie uwierzyć, że mógł zrobić coś takiego.

Nie zrobił. Ale nie mogłem jej tego powiedzieć. Zamiast więc ją uspokoić, poskarżyłem się jak uczeń:

– Dzwoniłem do ciebie wcześniej.

– Wiem. Miałam zamiar oddzwonić, ale... – Wyraźnie czuła się nieswojo. – Słuchaj, może chcesz coś do picia? Właśnie zaparzyłam kawę, ale jeśli wolisz piwo albo wino...

– Kawa może być.

Poszedłem za nią do kuchni. Nalała z ekspresu do kubka parującą czarną kawę.

– Z mlekiem, bez cukru, prawda?

– Tak jest.

Dolała mleka i podała mi kubek. Popijałem gorący płyn, czując się coraz bardziej zaintrygowany, gdy podeszła do schodów i spojrzała w dół. Nadal grała muzyka, nikt się jednak na parterze nie kręcił. Zadowolona, poprowadziła mnie znowu za regały. Stanowiły skuteczną przegrodę, ukrywając nas przed oczami wszystkich wchodzących po schodach, lecz było w nich dość luk pomiędzy szeregami książek o architekturze i czasopismami, abyśmy mogli zobaczyć, kto się zjawił.

– Weź krzesło – poleciła Rachel, siadając za biurkiem. Przysunąłem politurowane krzesło stołowe. – Przepraszam za tę tajemniczość, po prostu chciałam porozmawiać z tobą sam na sam. Przyszłabym do hangaru, lecz Andrew pojechał do klienta w Exeter, a po tym, co się stało, pomyślałam, że byłoby niewłaściwie zostawić Jamiego samego z Fay.

– Rozumiem – powiedziałem i czekałem na ciąg dalszy.

Wzięła głęboki wdech, wpatrując się w ekran laptopa. Z miejsca, gdzie siedziałem, widziałem jedynie lśnienie ekranu, którego błękitna poświata odbijała się w oknie za plecami Rachel, tworząc w zamkniętej przestrzeni intymny, skłaniający do refleksji nastrój biblioteki.

– Powiedziałam policji o zdjęciu motocykla – oświadczyła. – Wiesz, tego, który mógł należeć do byłego Emmy, i o tym, że zostało zrobione w tej okolicy.

Nie odezwałem się, ale poczucie winy trochę się zmniejszyło.

– Zajęli się nim, zaczęłam jednak myśleć, czy Emma nie mogła mieć innych zdjęć kręcącego się tu Marka. Takich, których nie oprawiła. Pamiętasz, mówiłam ci, że w czasie włamania skradziono nam komputery? Była w nich zapisana większość fotografii Emmy, a nie mieliśmy dostępu do zapasowych kopii w sieci, bo Andrew nie znał hasła. Ale miała też kilka pudeł z odbitkami i dzisiaj rano zaczęłam je przeglądać. I znalazłam te.

Pchnęła ku mnie przez biurko zwykłą kartonową teczkę. Otworzyłem ją

i wyjąłem cienki plik błyszczących fotografii. Na samej górze leżało zdjęcie wysokiego mężczyzny w obcisłych czarnych dżinsach i podkoszulku. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, był przystojny i dobrze zbudowany, miał zmierzwione brązowe włosy i parodniowy zarost. Nawet na fotografii widać było jego tupet i więcej niż cień narcyzmu w nie tak znów niedbałej pozie, rękach założonych na piersi, aby podkreślić bicepsy, i uśmiechu do obiektywu.

– Mark Chapel – wyjaśniła Rachel. – Stara fotografia, widać zatrzymała ją na pamiątkę.

Chyba mógłbym zgadnąć, kto to taki. Chociaż ocena na podstawie fotografii nie jest łatwa, bez trudu mogłem oszacować, że miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Moją uwagę przykuł też zarosnięty podbródek. Mark Chapel miał silną, wyraźnie zarysowaną linię szczęki, nieco rozszerzoną przy kąciku podstawy i z głębokim, fotogenicznym dołkiem w środku.

Widziałem taki już wcześniej. Na zuchwie zwłok wydobytych ze strumienia.

Ze złymi przecuciami sięgnąłem po następną fotografię. Początkowo pomyślałem, że jest pomniejszoną kopią zdjęcia motocykla z hangaru. Była na nim ta sama lśniaca maszyna stojąca na wydmie, na wysokim niebie krzyżowały się smugi kondensacyjne. Potem przyjrzałem się dokładniej i uświadomiłem sobie, że nie jest tym samym ujęciem – smugi kondensacyjne były bardziej rozproszone niż na tamtym, również kąt widzenia odrobinę się różnił.

Przerzuciłem kilka następnych fotografii. Na każdej była nieco inna wersja tego samego planu zdjęciowego.

– Emma nazywała je odrzutami – wyjaśniła Rachel. – Dlatego właśnie wolała aparat cyfrowy od analogowego. Mogła robić tyle zdjęć, ile chciała, a potem obrabiać tylko najlepsze. Jeżeli spojrzysz na dwa ostatnie, zobaczysz wyraźniej fort morski.

Miała rację. Na dwóch ostatnich z serii ujęć motocykla w tle widniały trzy ocalałe wieże fortu morskiego wyłaniające się z fal jak w scenie z *Wojny światów*.

– Jesteś pewna, że to tutejszy fort?

– Tak. Sam popatrz.

Obróciła laptop, żebym mógł spojrzeć na jego monitor. Była na nim strona internetowa o fortach morskich Maunsella. Zawierała zdjęcie tego samego układu trzech wież, który zapamiętałem z rejsu na Barrows z Lundym, ale o wiele bardziej szczegółowe. Fort był niezwykłą konstrukcją, każda ze zrujnowanych wież stanowiła kanciastą, pudełkowatą strukturę umieszczoną na czterech pochylonych do wewnątrz nogach. Tylko jedna wieża zachowała się w całości, pozostałe dwie uległy częściowemu zniszczeniu w czasie minionych lat. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Ocalałe wieże fortu wojsk lądowych Maunsella przy ujściu zalewu Saltmere”.

– To ten sam, co tamten za motocyklem – stwierdziła Rachel. – I popatrz,

znalazłam również te.

Przerzucała zdjęcia z teczki, aż w końcu znalazła te, o które jej chodziło.

– Zobacz, na tym można odczytać numer rejestracyjny motoru. Pomyślałam, że dzięki nim policja będzie mogła ustalić, czy ten motocykl faktycznie należał do Marka. Nawet jeśli Chapel nie ma nic wspólnego z tą sprawą, na pewno będą chcieli z nim porozmawiać.

Byłem tego pewien, oczywiście jeżeli to nie jego rozkładające się szczątki znaleziono na drucie kolczastym. Rachel jednak nie знаła szczegółów tej sprawy. Dla niej zwłoki ze strumienia nie miały żadnego związku z jej zaginioną siostrą, a Mark Chapel nadal żył.

– Coś się stało? – zapytała teraz.

– Przepraszam, właśnie myślałem, że Lundy chciałby je zobaczyć.

Nie patrząc na nią, odłożyłem fotografie motocykla na bok i usiłowałem skupić się na pozostałych. Było ich około tuzina, wszystkie wykonane z morza i przedstawiające stojący na brzegu duży wiktoriański budynek z trzech stron otoczony drzewami. Punkt widzenia zdezorientował mnie na chwilę, aż nagle poznałem charakterystyczne wykuszowe okna domu Leo Villiersa. Zdjęcia były różne – poczynając od wykonanych ze znacznej odległości ujęć całego domu, kończąc na dużych zbliżeniach. Na niektórych widniał taras, lecz w większości były na nich poszczególne okna, przez które widać było wnętrza pokoi.

Rachel oparła się o moje ramię, żeby również się im przyglądać.

– Poznajesz? To dom Leo Villiersa.

Popatrzyła na mnie wyczekująco. Zaintrygowany, obejrzałem je ponownie. Na żadnym ujęciu nie było ludzi i robiły wrażenie pstrykniętych pośpiesznie, nie przypominając innych, wysmakowanych artystycznie fotogramów Emmy Derby.

– Przepraszam, ale nie łapię. Czy coś przeoczyłem?

– Nic w nich nie wydaje ci się dziwne?

Jeszcze raz przejrzałem zdjęcia, nie dostrzegając niczego więcej niż poprzednio. Wyglądały po prostu na dokumentację fotograficzną, wykonaną zapewne w czasie, kiedy Emmę Derby zatrudniono przy zmianie wystroju domu Villiersa.

– Nie, a powinno?

Rachel sprawiała wrażenie rozczarowanej.

– Jak myślisz, skąd je zrobiono?

Popatrzyłem znowu. Wszystkie zdjęcia ukazywały brzeg i wyraźnie wykonano je z morza.

– Przypuszczam, że z łodzi.

– Ja też tak początkowo myślałam. Ale zwróć uwagę na kąt. Znajduje się za wysoko. – W głosie Rachel brzmiało podniecenie. – Z łodzi się tego nie uzyska. A morze w pobliżu ujścia zalewu jest zbyt gęsto poprzedzielane piaskowymi

łachami, by coś większego mogło się zbliżyć na tyle, żeby zrobić takie ujęcia.

Miała rację. Wróciłem myślą do momentu, kiedy byłem przy domu podczas rozkopywania grobu psa, i usiłowałem wyobrazić sobie widok z morza. Nie trwało to długo.

– Uważasz, że zrobiła je z fortu morskiego? – zapytałem.

– Musiała. Nie ma tam nic innego poza wodą.

Twarz Rachel była zarumieniona. Wyglądała na zadowoloną z siebie. Znowu przyjrzałem się zdjęciu na stronie o forcie. Nawet ta wieża, która jeszcze była cała, sprawiała wrażenie upadającej, podobna do zardzewiałego wraku pokrytego plamami wyschniętej soli.

– Wygląda na kompletną ruinę. Czy wieże nie zostały zamknięte? – zapytałem powątpiewająco.

– Nie mam pojęcia – odparła Rachel. – Przypuszczam, że powinny, ale nigdy tam nie byłam. Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek tam zaglądał, a w każdym razie nie od czasów, kiedy w latach sześćdziesiątych działała tam piracka radiostacja.

– Czemu więc Emma miałyby się tam wybrać?

– Nie wiem. Może pojechała z Markiem Chapelem. Działał w biznesie muzycznym i historia z piracką radiostacją mogła go zafascynować. Rzecz w tym, że najwyraźniej tam była. Widziałeś zdjęcia. Z jakiego innego miejsca można było je zrobić?

Niczego nie mogłem zarzucić jej logice, tyle że zwyczajnie nie rozumiałem znaczenia tego odkrycia.

– No dobra, a więc robiła zdjęcia domu Leo Villiersa z jednej z wież. Czego to dowodzi?

Rachel pokręciła głową, z frustracją marszcząc czoło.

– Może nic, ale od czasu znalezienia tych fotografii nie mogę przestać o nich myśleć. Emma zawsze była impulsywna, gdzieś znikwała z aparatem, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera, i coś takiego byłoby w jej stylu. A jeżeli miała wypadek albo zdołała dostać się do środka i została tam uwięziona? Wiem, że brzmi to głupio, lecz policja nie znalazła żadnego jej śladu. Może właśnie dlatego?

Jej rozumowanie brzmiało sensownie, ale Rachel nie знаła całego obrazu. Z tego, co wiedziała, w zalewie znaleziono ciało Leo Villiersa. Nie miała pojęcia, że najwyraźniej sfingował własną śmierć i być może nawet zamordował Stacey Coker. A także że wszystko wskazywało na to, iż były przyjacieli jej siostry Mark Chapel również nie żyje, jego twarz zmasakrowano, ciało zaś wrzucono do strumienia w odległości niecałej mili od tego domu.

No i tyle, jeżeli chodzi o przekonanie Lundy'ego, że nie zajdzie żaden konflikt interesów.

Podniosłem głowę i doznałem wstrząsu na widok twarzy patrzącej na mnie



przez okno. Po sekundzie zorientowałem się, że to moja własna – odbicie mnie i Rachel w przyciemnionym szkle.

– Wspominałaś o tym komuś innemu?

– Jeszcze nie. Andrew nie było cały dzień, zresztą po co martwić go czymś, co może okazać się niczym ważnym. Niemal zadzwoniłam do Boba Lundy’ego, chciałam jednak mieć pewność, że nie dopatruję się w tym Bóg wie czego. Uważasz, że tak?

Nie, nie uważałem. Nie wiedziałem, jak obracający się w ruinę fort morski pasuje do tego wszystkiego, ale potencjalnie mogła to być kolejna poszlaka. I nie podobało mi się, że Rachel mi zaufała, a ja nie mogłem być z nią szczerzy.

– Sądzę, że powinnaś powiedzieć Lundy’emu – oznajmiłem.

– Myślisz, że potraktuje to poważnie? – zapytała niepewnie, znowu biorąc do ręki fotografie.

– Uważam, że musi o tym wiedzieć. – Odruchowo spojrzałem na zegarek, właściwie nawet nie widząc, która godzina. Po prostu musiałem coś zrobić. – No, pora na mnie.

Rachel była wyraźnie zaskoczona.

– Och, myślałam, że zostaniesz i zjemy coś razem.

– Dziękuję, ale lepiej nie.

– Coś się stało?

Patrzyła z niepokojem, zmusiłem się więc do uśmiechu, lecz wątpię, by wyglądał na przekonujący.

– Nie, mam... mam jeszcze sporo pracy.

Widziałem, że mi nie uwierzyła. Jej uśmiech był wyczekujący, jakby spodziewała się, że powiem więcej, a kiedy się nie odezwałem, zniknął.

– Cóż... dziękuję, że przyszedłeś.

Nienawidziłem tej sytuacji. I wiedziałem, że zaraz będzie jeszcze gorzej.

– Słuchaj, miałem zamiar ci powiedzieć... – No, wykrztuś to, dudniło mi w głowie. – Jutro wracam do Londynu.

– Jutro? Och. Rozumiem. – Patrzyła na zdjęcia z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Trochę nagle, prawda?

– Nie... no cóż, tak. Ale niemal zakończyłem tu wszystko i...

– I wyjeżdżasz. Jasne, nie ma sprawy.

– To nie tak.

– Nie musisz się tłumaczyć.

– Rachel...

– Odprowadzę cię.

Chciałem powiedzieć, że nie chcę odchodzić w taki sposób, że wciąż chcę ją widywać. Ale im więcej powiem jej teraz, tym gorzej będzie, kiedy dowie się, co przed nią ukrywałem. Zatem po prostu milczeliśmy, schodząc na dół, lecz gdy

otwierała drzwi, w jej oczach widać było ból i niezrozumienie, i gniew. Rozpaczliwie usiłując wymyślić, jak najlepiej wybrnąć z tej sytuacji, wyszedłem na wilgotne, nocne powietrze. Wiatr wciąż wiał w porywach, grożąc kolejnymi deszczami i niosąc słony zapach morza. Odwróciłem się.

– Do widzenia – powiedziała Rachel.

I zdecydowanie zamknęła drzwi.

\* \* \*

Idąc między drzewami, wciąż odtwarzałem w myślach naszą rozmowę, jakbym mógł w ten sposób zmienić jej wynik. Nawet zacząłem zadawać sobie pytanie, czy rzeczywiście muszę jutro wrócić do Londynu. W zasadzie Lundy nie zakazał mi dalszych kontaktów z Rachel czy Traskiem i jego rodziną, mógłbym zatem zaproponować kompromisowo, że wyprowadzę się z hangaru i znajdę sobie na miejscu inne lokum.

Niemniej przebywanie na kwaterze parę mil stąd nie zmieniłoby niczego, wciąż bowiem musiałbym ukrywać przed Rachel szczegóły dochodzenia. Cóż, w tej sytuacji faktycznie lepiej było na czas śledztwa zerwać z nią kontakt.

Tylko nie byłem pewien, czy potem zechce jeszcze w ogóle ze mną rozmawiać.

Zatopiony w myślach, niemal wpadłem na postać idącą z naprzeciwka wśród drzew. Trask zatrzymał się na ścieżce, wyraźnie równie zaskoczony moim widokiem jak ja jego. Przez ramię miał przewieszoną sfatygowaną skórzaną torbę, a pod pachą trzymał tubę na rysunki. Światło padające z domu sprawiało, że jego twarz wydawała się bardziej pobrużdżona niż zazwyczaj.

– Znowu tutaj? – zapytał, co zabrzmiało podejrzliwie.

– Przyszedłem zobaczyć się z Rachel.

– Aha. – Poprawił pasek torby na ramieniu. – Koszmarna historia z tą Stacey Coker. Absolutnie paskudna. Nigdy bym nie uwierzył, że Edgar Holloway jest zdolny do czegoś takiego. Co z jej ojcem?

– Nie widziałem go. – Nie chciałem być opryskliwy, ale im mniej powiedziałem komukolwiek, tym lepiej. – Po prostu wpadłem, żeby się pożegnać. Jutro wyjeżdżam.

Trask nagle spojrzał na mnie czujnie.

– Już skończyliście?

– Muszę wracać do Londynu – odpowiedziałem wymijająco. – W każdym razie dziękuję za holowanie. I pozwolenie na skorzystanie z hangaru. Nadal chciałbym uregulować rachunek.

Trask z irytacją machnął ręką.

– Chryste, nie przejmuj się tym. Nie po tym, co zrobiłeś dla Fay. Czy jest szansa, że kiedyś tu wpadniesz?

Pomyślałem o kilku rzeczach pozostawionych u Rachel.

– Nie wiem.

– No cóż... – Nie było już zbyt wiele do dodania. – Jeszcze raz dziękuję.

Żaden z nas nie wyciągnął ręki na pożegnanie. Trask skinął głową i poszedł ścieżką w kierunku domu, a ja ruszyłem w stronę samochodu. Chyba dobrze się stało, że spotkałem go przed wyjazdem, nie sądziłem jednak, że odczuwał przykrość, oglądając moje oddalające się plecy. Czasem spotykamy ludzi, co do których od razu mamy uczucie, że znaliśmy ich całe życie. O innych po prostu się ocieramy, niewiele czując i nie robiąc na nich większego wrażenia.

Szybko wróciłem myślami do Rachel. Prowadząc samochód, usiłowałem sobie tłumaczyć, że nie zaszkodzi nam, jeśli damy sobie trochę czasu. Wiele przeszła, a ostatnie kilka dni były tak naładowane emocjami, że moja zdolność oceny zapewne uległa wypaczeniu. Poza tym tak po prawdzie nic pomiędzy nami nie zaszło. Właściwie prawie się nie znaliśmy.

Przekonywanie samego siebie niewiele dawało. Mogłem nie dowierzać temu, co do niej czułem, ale cokolwiek to było, okazało się wystarczająco silne, żebym uznał się za drania.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, początkowo nie zauważyłem poświaty. Dostrzegłem ją na zakręcie – drżące światło w ciemności. Nie było odległe i nawet przy mojej ograniczonej znajomości Backwaters mogłem się zorientować, że jego źródło znajdowało się mniej więcej w okolicy domu Edgara, i początkowo uznałem to za znak aktywności nadal przeszukującej go policji.

Po chwili zorientowałem się, że nie było to równe i czyste światło reflektorów. Brudnożółto trzepotało na tle czarnej linii horyzontu. Spojrzałem na nie znowu, czując narastający niepokój. Policja nie pozostawiłaby miejsca zbrodni bez nadzoru. Na pewno nie przed zakończeniem pełnego przeszukania, a nie mogłem sobie wyobrazić, jak można było już zbadać gęstwinę zarośniętego ogrodu. Aż nagle poświata sięgnęła wyżej i wszelkie wątpliwości, czym jest, zniknęły.

Coś się paliło.

Nie byłem pewien, czy w ciemności znajdę drogę do domu Edgara. Poprzedniej nocy prowadziła Rachel, ja zaś bardziej uważałem na pokręconego gościa na tylnym siedzeniu niż na to, którądy jedziemy.

Niemniej nie było wielu dróg do wyboru, a luna stanowiła dobry drogowskaz. Na tle nocnego nieba wyraźnie widać było płomienie oświetlające okoliczne drzewa i wywołujące tańczące cienie. Potem skręciłem w wyboistą drogę gruntową prowadzącą do domu Edgara i pożar pojawił się prosto przede mną.

Dom stał w ogniu. Strzelały z niego iskry, a pióropusze brudnego dymu wzbijały się w nocne niebo. Jedno z sąsiednich drzew również się zapaliło i trzask płomieni ogarniających gałęzie brzmiał jak łamanie kości. Kawałek wciąż przywiązanej na jednym końcu taśmy policyjnej trzepotał wściekle we

wzbijającym się w górę prądzie rozgrzanego powietrza. Na końcu drogi stała zaparkowana policyjna przyczepa mieszkalna, a tuż za nią półciężarówka. W płasającym blasku ognia mogłem odczytać na jej burcie napis „Ratownictwo Morskie Cokera”.

Za nimi rysowały się na tle płomieni walczące postacie.

Żar uderzył we mnie, gdy wyskoczyłem z samochodu i pobiegłem w ich stronę. Przecisnąłem się obok półciężarówki i dostrzegłem krępą postać Cokera mocującego się z policjantem. Mówiąc ściśle, policjantką, która usiłowała obezwładnić szarpiącego się właściciela warsztatu dźwignią na rękę. Obok stał na czworakach inny mundurowy, potrząsając półprzytomnie głową, jego czapka leżała na ziemi. Podbiegłem, gdy Coker z twarzą lśniąca w świetle ognia od łez i sady odepchnął policyjną funkcjonariuszkę. Kiedy uniósł rękę, żeby ją uderzyć, złapałem go za ramię i usiłowałem odciągnąć.

– Dobra, już starczy! – krzyknąłem.

Wyszarpnął ramię, by zamachnąć się na mnie, stracił równowagę, lecz i tak trafił mnie w policzek. Trzymałem go nadal, usiłując oderwać od kobiety, kiedy coś wpadło na mnie od tyłu.

Wylądowałem na ziemi, przekonany, że Coker uderzył mnie jeszcze raz, ale był to policjant. Trafił ramieniem Cokera na wysokości pasa, oplatając go rękami jak atakujący rugbyista. Policjantka doszła tymczasem do siebie i gdy Coker zdzielił jej partnera, znowu złapała go za przedramię, wykręcając mu je za plecy.

– Odpierdolcie się! – ryknął, kiedy powalili go na ziemię. Wylądował z głuchym łupnięciem, nadal jednak walczył. Wstałem, lecz nim zdołałem pomóc interweniującej kobiecie, spojrzała na mnie ostro.

– Zostań, gdzie jesteś! – wrzasnęła, szukając czegoś przy pasie. Jeszcze raz założyła Cokerowi dźwignię, a policjant schwycił mocno jego wierzgające nogi.  
– Nie ruszaj się! Leż spokojnie, bo dostaniesz gazem!

Coker zaklął i nie przestawał się szamotać. Niemal się uwolnił, wtedy jednak kobieta z ponurą miną trysnęła mu w twarz krótkim strumieniem z pojemnika. Rozległ się rozdzierający wrzask i zwaliste ciało mężczyzny zaczęło miotać się jeszcze bardziej.

I nagle Cokerowi minęła chęć do walki. Oklapł i nie stawiał już oporu, gdy dwoje policjantów wykręciło mu ręce za plecy i skuło kajdankami. Zawodził na cały głos i przeżyłem wstrząs, kiedy zrozumiałem, że płacze.

– Zabił ją! Zabił moją Stacey!

Szerokie bary dygotały od łkań. Policjanci cofnęli się, dysząc ciężko. W pobliżu zobaczyłem leżący na boku duży pojemnik na paliwo i tkwiącą obok w błocie zdjętą zakrętkę.

– Dobrze się czujesz, Trevor? – zapytała partnera policjantka.

– W porządku. Ale nieźle mi przyłożył.

Wyglądał jeszcze jak nastolatek. Zorientowałem się teraz, że nie są to posterunkowi, lecz funkcjonariusze społecznego wsparcia policji. Pewnie uznano, że na takim odludziu po przeszukaniu domu nie ma niebezpieczeństwa, by ktoś spróbował zakłócić tu spokój.

W świetle ognia zobaczyłem krew spływającą po brodzie młodego funkcjonariusza. Wyciągnąłem z kieszeni chusteczkę higieniczną i podałem mu ją ze słowami:

– Proszę wziąć, jest czysta.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Kim właściwie pan jest?

Kiedy wyjaśniłem, wyraźnie się rozluźnili. Spazmy Cokera tymczasem ustały, ale płakał nadal. Wydawał się wyczerpany i jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z naszej obecności.

– Biedny sukinsyn – stwierdził PCSO<sup>g</sup>, kiedy opowiedziałem mu o jego córce.

– Tak, biedaczek – mruknęła kobieta, rozcierając ramię i spoglądając nieprzyjaźnie na leżącego.

Głośny łoskot zapadającego się dachu domu Edgara spowodował, że wszyscy troje wzdrygnęliśmy się gwałtownie. W powietrze wystrzeliły języki płomieni i rozrzucając iskry, uderzyły w nas podmuchem rozpalonego powietrza. Miałem nadzieję, że wszystkie zwierzęta zostały stąd zabrane, zanim Coker podpalił budynek.

– Oż kurwa – mruknęła funkcjonariuszka. – Dostaną szalu.

Poszła do przyczepy, żeby zadzwonić, a ja wróciłem do mojego samochodu, w którym, wyskakując z niego, zostawiłem włączone światła i otwarte drzwi. Mijając półciężarówkę Cokera, zerknąłem na jej tył. W świetle płomieni dostrzegłem mały przenośny generator, owinięty zwojami zatuszczonej liny i odcinkami łańcucha. Pobrudzona smarem plandeka częściowo przykrywała różne elektronarzędzia.

Jednym z nich była profesjonalna szlifierka kątowna.

## Rozdział 25

Lundy szturchnął stopą leżący w mokrej trawie kawałek osmalonego drewna. Poczerniałe, pozbawione dachu resztki domu Edgara rysowały się ponuro na tle szarego nieba. Z całego budynku pozostało niewiele poza ścianami. Większość górnego piętra spłonęła i teraz sterczała tylko ceglana skorupa bez okien.

Powietrze było przesycone odorem mokrej sadzy i spalonego drewna. Wysoki jawor koło domu nosił ślady ognia, połowa jego gałęzi została zwęglona. Od zgliszcz domu wciąż bił żar, a ziemię przed nimi pokrywały nadpalone śmieci. Lundy popatrzył na to wszystko i westchnął.

– Nienawidzę pożarów. Po strażakach i ogniu cholernie mało pozostaje dla nas.

Przynajmniej tutaj nie było nikogo w środku.

– Dużo zostało do przeszukania?

– Nie w domu. Właściwie z nim załatwiliśmy sprawę i czekaliśmy na więcej sprzętu, żeby zacząć oczyszczać ogród. Byłoby miło jednak zostawić go w jednym kawałku.

Coker wykonał dobrą robotę, niszcząc dom Edgara. Benzyna sprawiła, że straży pożarnej pozostało już niewiele do ratowania, choć mimo wszystko próbowała. Dwa wozy bojowe blokowały wjazd na drogę gruntową, a ich węże zalewały wodą płomienie. Potem strażacy zajęli się rozgrzebywaniem wyrzuconych na zewnątrz dymiących szczątków mebli i klatek, aby ogień nie zdołał wybuchnąć znowu.

W nocy Lundy'ego nie było przy domu Edgara. Uznałem, że nie ma sensu próbować do niego dzwonić. Nawet gdybym złapał zasięg gdzieś w pobliżu płonącego budynku, nie było potrzeby niepokojenia go w domu, skoro i tak miał wkrótce dowiedzieć się o pożarze. Na pewno chciałby usłyszeć coś o zdjęciu z Markiem Chapelem, ale nie było to aż tak pilne, by nie mogło poczekać do rana. Wtedy Rachel miałyby możliwość opowiedzieć mu osobiście o morskim forcie, pomyślałem więc, że lepiej będzie, jeżeli usłyszysz o tym od niej, a nie ode mnie.

Po złożeniu zeznań policji pozostawiłem strażaków wciąż usiłujących opanować pożar i pojechałem z powrotem do hangaru. Spałem kiepsko, lecz kiedy wstałem, jednego byłem pewien.

Nie mogłem wrócić do Londynu, nie porozmawiawszy wcześniej z Rachel.

Przemyślałem dokładnie, co mam zamiar powiedzieć, zadzwoniłem i poczułem narastające rozczarowanie, gdy od razu włączyła się poczta głosowa. Zacząłem przekazywać typowo nijaki komunikat i nagle przerwałem.

– Posłuchaj, bardzo przepraszam za wczorajszy wieczór. Wszystko jest

skomplikowane... ale naprawdę chcę cię znowu zobaczyć. Zadzwoń.

Kończąc połączenie, skrzywiłem się, myśląc: Cholerny idioto, czemu palnąłeś coś takiego? Ale już przepadło. W następnej kolejności miałem zadzwonić do Lundy'ego, ten jednak mnie uprzedził. Powiedział, że jedzie do domu Edgara obejrzeć szkody. Czy mogę się z nim tam spotkać?

– Wtedy może mi pan o wszystkim opowiedzieć – stwierdził.

Przyjechałem na miejsce jako pierwszy i policjant zatrzymał mnie przed świeżo rozwieszoną taśmą policyjną do przyjazdu Lundy'ego, który, wysiadając z wozu, sprawiał wrażenie przygnębionego i nastrój ten nie uległ zmianie, kiedy oglądał wypalony budynek.

– Czy w środku były jeszcze jakieś zwierzęta? – zapytałem.

– Nie. Wczoraj rano przyjechali ci od ochrony zwierząt i ci od ptaków i zabrali te z domu i te, które znaleźli rozproszone po ogrodzie. Powiedzieli, że najprawdopodobniej porozdzielał je, najbardziej chore trzymając w domu, a te, które były w lepszym stanie, na zewnątrz.

Nie wyglądało to na zachowanie kogoś, kto najpierw by uratował dziewczynę, a po przybyciu do domu zmienił się w szalonego mordercę.

– Co się stanie z Cokerem? Postawią mu zarzuty?

Lundy westchnął, znowu spoglądając na dom.

– Po tym, co zrobił, nie ma innej opcji.

– Są okoliczności łagodzące. Widziałem go, był w stanie jakiegoś histerycznego amoku.

– Nie zmienia to jednak tego, co zrobił. – Wzruszył ramionami, jak gdyby zdając sobie sprawę z nadmiernej ostrości swego tonu. – Jestem pewien, że zostaną uwzględnione, lecz nie możemy przecież zignorować czegoś takiego, bez względu na to, w jakim był stanie psychicznym.

– A szlifierka kątowa, którą widziałem w jego półciężarówce?

– W laboratorium nie mogli znaleźć na niej żadnych śladów krwi czy tkanki kostnej, a oczyszczenie takiego narzędzia, gdyby pociął nim czyjąś twarz, byłoby cholernie trudne. Zawsze pozostałyby jakieś mikroślady. Fakt, że Coker miał elektronarzędzia, o niczym nie świadczy. Ja też je mam. Przeszukamy jego warsztat, lecz wątpię, czy coś znajdziemy.

– Coś mówił?

– Tylko żałował, że Hollowaya nie było w domu. Jako ojciec wcale mu się nie dziwię. Problem w tym, że obwinia niewłaściwego człowieka.

Spojrzałem na niego.

– To już oficjalne?

– Jeszcze nikogo nie informujemy. Ale wiemy już, że ten, kto udusił Stacey Coker, miał mniejsze dłonie niż Holloway i był wystarczająco sprytny, żeby nie zostawić żadnego włosa ani odcisków palców. Edgar nie byłby w stanie być tak

przewidujący, poza tym psycholog nie uważa, aby w ogóle był zdolny do morderstwa. Przynajmniej nie teraz – dodał. – Jest jeszcze znak zapytania w sprawie tego, co się stało z jego córką, wątpię jednak, czy kiedykolwiek poznamy tę historię.

– To co teraz będzie z Edgarem?

Lundy zdjął okulary i potarł oczy.

– Przypuszczam, że zostanie umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. Nie jest w stanie radzić sobie sam, nie możemy więc po prostu go wypuścić. Zapewne nie zamordował Stacey Coker, lecz wypadek w ogóle by się nie zdarzył, gdyby nie włóczył się po drogach. Czyli dochodzi jeszcze ten szczegół. Bez względu na to, co pan o tym myśli, już tu nie wróci.

Spojrzałem na wypaloną skorupę, która od dziesięcioleci była domem Edgara.

– Co się stanie z tym miejscem?

– Tu zaczyna się robić ciekawie. Pamięta pan, jak zastanawiałem się, co może łączyć Hollowaya i Leo Villiersa? Nie mogłem zrozumieć, skąd Villiers mógłby w ogóle wiedzieć, że to miejsce istnieje, a tym bardziej czuć się na tyle pewnie, by trzymać tu swoją strzelbę. No cóż, sprawdziliśmy i wie pan co? Okazuje się, że dom jest częścią majątku Villiersów.

– Edgar był ich dzierżawcą?

Lundy uśmiechnął się i od razu zaczął bardziej przypominać dawnego siebie.

– W skład ich majątku wchodziły ziemie i nieruchomości rozsiane po całej okolicy, lecz nie miałem pojęcia, że ten dom także do niego należy. A im dalej, tym ciekawiej. Sir Stephen kilka lat wcześniej przekazał sprawy tutejszych dzierżaw synowi. Sympatyczny niezależny dochód i pewnie miał nadzieję, że dzięki temu syn bardziej zaangażuje się w prowadzenie interesów. Nie wypaliło, ale oznacza to, że Leo Villiers był właścicielem, a Holloway dzierżawcą.

Spojrzałem na poczerniały budynek, przypominając sobie jego fatalny stan i nędzę wewnątrz.

– Brał od niego za to czynsz?

– W tym rzecz. Nie brał. Holloway nie zgłaszał żadnych korzyści i nie miał żadnego dochodu, o którym byśmy wiedzieli. Nie płacił czynszu od Bóg wie jak dawna. Znaleźliśmy ranną mewę siedzącą na stercie wyciągów bankowych i według nich kiedyś otrzymywał honoraria za książki przyrodnicze. Tantiemy te jednak nie wystarczałyby do przeżycia i musiały się skończyć dawno temu. Założę się, że prawnicy rodziny spróbują nam wmawiać, że to była dobroczynność, ale nie wyobrażam sobie, by Villiers z dobroci serca pozwolił komuś mieszkać za darmo.

A więc nie miłosierdzie było powodem, że mieszkał tu samotnie, powoli przymierając głodem, podczas gdy jego psychika rozsypywała się razem z domem. Zastanawiałem się, czy po prostu wynikało to z bezduszności, czy też posiadanie



bezbronno go dzierżawcy, którego można było wykorzystywać, odpowiadało Villiersowi. Może nie robił Edgarowi fizycznej krzywdy, niemniej zmuszanie go do egzystencji w niemal zwierzęcych warunkach mogło sprawiać mu przyjemność. Zapewne nie było to najgorsze z przestępstw, ale moim zdaniem świadczyło o socjopatycznym braku empatii.

– Kiedy macie zamiar powiedzieć ludziom, że zwłoki z zalewu nie są zwłokami Villiersa? – zapytałem.

– Decyzja należy do szefowej. Są powody do wyciszenia sprawy, żeby informacje nie dotarły do Villiersa, lecz niedługo przestanie to być istotne. Po wszystkim, co zaszło, wkrótce muszą rozejść się wiadomości, a po historii ze Stacey Coker nie wiem, jak długo jeszcze uda się nam utrzymać wszystko w tajemnicy. Na pierwszym miejscu jest teraz znalezienie tego skurwysyna, zanim skrzywdzi kogoś innego. A poza tym – powiedział Lundy, spoglądając na zegarek – mówił pan, że ma coś o Marku Chapelu?

– Rachel znalazła jego fotografię zrobioną przez Emmę. Ma dołek w podbródku, taki sam jak na żuchwie zwłok znalezionych na drucie kolczastym.

– Widziałem ten dołek – przyznał inspektor. – Można w nim zaparkować motocykl.

– Udało się odnaleźć Chapela? – spytałem zaskoczony.

– Niezupełnie. Zaginął siedem miesięcy temu, mniej więcej w tym samym czasie co Emma Derby.

Chociaż się tego spodziewałem, ta zbieżność była niewygodna. Nie podobało mi się, jak to wszystko zaczęło wyglądać.

– To nie może być zbieg okoliczności.

– Nie – zgodził się Lundy. – Niestety, ponieważ mieszkał w Londynie, nikt tego nie powiązał. No i daty niezbyt do siebie pasują. Chapela widziano po raz ostatni w piątek, a Emma zniknęła w następny poniedziałek. Rok wcześniej wywalono go z obsady produkcji wideoklipów i wyłądownął w firmie robiącej krótkie filmy dla korporacyjnych stron internetowych. Takie z niskiej półki. Powiedział, że wyjeżdża na weekend, nie podając dokąd, a w poniedziałek w ogóle nie pojawił się w pracy. Nikt się tym specjalnie nie przejął, bo w tym czasie narzekał na problemy z zębami, no i wiadano, że policja zgłoszenie po tak krótkim czasie od zaginięcia potraktowałaby z pewną rezerwą. Tak czy owak minął kolejny tydzień, zanim zgłoszono jego zniknięcie. Szef martwił się tylko tym, że Chapel zabrał ze sobą sprzęt wideo. Już wcześniej groziło mu zwolnienie, kiedy więc nie pojawił się na planie, wszyscy uznali, że go zwędził.

– A jakie ten facet miał problemy z zębami? – zainteresowałem się, przypominając sobie badaną czaszkę.

– Nie mam pojęcia. To ważne?

– W szczęce zwłok znalezionych w strumyku kość przy zębach przednich

była porowata – wyjaśniłem. – Dlatego się złamała, kiedy został uderzony. Jeżeli Mark Chapel miał ropień albo infekcję, byłaby to kolejna poszlaka, że ciało ze strumienia jest jego.

– Gdybyśmy mieli jego dokumentację dentystyczną – powiedział Lundy tonem świadczącym, że nie wywarłem na nim szczególnego wrażenia. – W każdym razie zgranie czasowe zbyt pasuje, żeby je zignorować. Skoro Trask wyjechał w podróż, Emma mogła spotykać się z przyjacielem, nie obawiając się, że zostanie przyłapana. Chapel przyjeżdża swoim motorem, a potem zdarza się im to, co się zdarzyło.

– Skąd pan wie, że przyjechał na motorze?

Inspektor uśmiechnął się ponuro.

– Po tym, jak powiedział mi pan o zdjęciu motocykla, trochę pokopałem. Przed sześcioma miesiącami kilka mil stąd znaleziono w rowie spalonego harleya. Bez tablic rejestracyjnych i ze spiłowanymi numerami seryjnymi, lecz pasuje do opisu maszyny zarejestrowanej na Chapel.

Podobnie jak wgłębienie w zuchwie, samo w sobie nie było to dowodem. Niemniej zaczął pojawiać się obraz tego, co zdarzyło się byłemu chłopakowi Emmy Derby. A teraz przyszło mi do głowy coś jeszcze.

– Mogli się spotkać w hangarze dla łodzi – rzuciłem, zastanawiając się, czy rzeczywiście byłem jego pierwszym mieszkańcem. – Domek letniskowy stanowił ukochany projekt Emmy Derby, nie sądzę więc, by Trask zawracał sobie zbytnio nim głowę.

Lundy zastanowił się i wzruszył ramionami.

– Musieliby mieć nerwy jak postronki, żeby siedzieć tak pod nosem Traska, lecz Chapel musiał się gdzieś zatrzymać, a w okolicy nie ma wielu odpowiednich miejsc. Widział pan coś, co sugerowałoby, że tam mieszkał?

– Nie w mieszkaniu, lecz w przystani pod nim wala się mnóstwo rzeczy. – Byłem przez krótki czas w pełnym wody dolnym pomieszczeniu, kiedy szukałem czegoś, co pomogłoby mi w wyciągnięciu z wody adidasa. Wydało mi się, że są tam tylko stare żeglarskie śmieci, nie zwróciłem wtedy jednak na to zbytniej uwagi.

– Cóż, właśnie tam jadę. Mogę się rozejrzeć.

– Jedzie pan do hangaru?

– Mam się w nim spotkać z Rachel Derby. Zadzwoiła dziś rano i powiedziała, że znalazła trochę fotografii i chciałyby mi je pokazać, w tym te z motocyklem. Nie chce, żeby Trask o tym wiedział, dlatego spotka się ze mną właśnie w hangarze. – Uniósł brwi, widząc wyraz mojej twarzy. – Zakładałem, że pan wie?

Nie wiedziałem. Cóż, w końcu robiła tylko to, co jej poradziłem. Przecież nie miała żadnego obowiązku informować mnie o swoich zamierzeniach. Lundy patrzył na mnie pytająco.

– Nie rozmawiałem z nią od wczorajszego wieczoru – wyjaśniłem. – Powiedziałem, że wracam do Londynu.

– Aha. Cóż, przykro mi, jeżeli skomplikowało to sprawy, ale może tak będzie lepiej. Przynajmniej na razie. – Potarł grzbiet nosa ze zmieszaną miną.

– Czyli jedzie pan teraz do kostnicy?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, i nagle zmieniłem decyzję.

– Tak, ale najpierw przejadę się z panem do hangaru zabrać resztę rzeczy.

Lundy tylko kiwnął głową, chociaż kiedy się odwracał, miałem wrażenie, że lekko się uśmiecha.

– Tak tylko pomyślałem.

Ale nie odzywał się, kiedy szliśmy do drogi, gdzie zostawiliśmy samochody. Otworzył drzwi swojego i zatrzymał się z dłonią na klamce.

– Mogę o coś zapytać?

W pierwszym odruchu pomyślałem, że znowu będzie coś o Rachel. Potem zaś dostrzegłem niepokój w jego oczach i uświadomiłem sobie, że chodzi o coś innego.

– Oczywiście.

– Rano zadzwonili ze szpitala. Miałem spotkać się z konsultantem w sprawie wyników za parę tygodni, ale oni... hmm... chcą to zrobić wcześniej. Jutro.

– Odchrząknął. – Był pan lekarzem rodzinnym. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek robią coś takiego, kiedy... no wie pan... mają dobre informacje.

Zrozumiałem teraz, dlaczego był taki przygaszony.

– Przypuszczam, że to zależy od konsultanta. Mogło też się zdarzyć, że sprzęt był niesprawny i chcą powtórzyć badanie. Powodów może być mnóstwo.

Chciałem móc powiedzieć coś bardziej pokrzepiającego. Naprawdę nie wiedziałem, ale gdybym był Lundym, też bym się martwił.

– Tak właśnie myślałem. Pewnie wiele hałasu o nic. – Parsknął. Oficer policji powrócił. – No dobrze, do zobaczenia na miejscu.

\* \* \*

Przed hangarem nie było żadnego z land roverów, uznałem zatem, że Rachel jeszcze nie ma, lecz kiedy parkowałem, zobaczyłem ją czekającą przy drzwiach frontowych. Trzymała pod pachą tę samą teczkę ze zdjęciami, którą pokazywała mi wczoraj wieczorem. Wysiadłem z samochodu, rad z okazji porozmawiania z nią przed przyjazdem Lundy'ego.

– Cześć – odezwałem się ostrożnie. – Nie sądziłem, że już tu będziesz. Przyszłaś na piechotę?

– Przyplłynęłam łódką. – W innych okolicznościach pewnie bym się zastanowił, dlaczego zwyczajnie nie przyjechała wozem, teraz jednak miałem inne rzeczy na głowie. – Kiedy zobaczyłam, że nie ma twojego samochodu, pomyślałam, że może wróciłeś do Londynu.

– Nie, wyjadę później. – Wymuszona uprzejmość była czymś koszmarnym, ale nie wiedziałem, jak wybrnąć z tej sytuacji. – Nie musiałaś czekać na zewnątrz, mogłaś przecież wejść.

Wzruszyła ramionami.

– Pomyślałam, że tak będzie lepiej.

Zapadła cisza. Zerknąłem na drogę – ani śladu inspektora. Zamierzał próbować zatelefonować, lecz mówił, że będzie zaraz za mną. No dalej, nie stój tak, dźgałem się w myślach.

– Posłuchaj, jeżeli chodzi o wczorajszy wieczór...

– Nie ma problemu, nie musisz się tłumaczyć. Masz sprawy, które cię wzywają.

Nie wiedziała, jak daleko jest od prawdy. Obraz pustego mieszkania przemknął mi przez pamięć.

– Nie, to nie tak. Po prostu... sytuacja się skomplikowała. Ale chciałbym znowu cię zobaczyć. Po tym wszystkim.

Słyszając, jak mówię te słowa, miałem wrażenie nierzeczywistości. Sposób, w jaki Rachel na mnie popatrzyła, wskazał, że też ich nie oczekiwała. Powiedz coś, zaklinałem ją bezgłośnie. Cokolwiek. I wtedy, w chwili gdy już wydawało się, że to zrobi, samochód Lundy'ego zachrząścił na żużlu podjazdu.

Rachel po raz ostatni zerknęła na mnie z zakłopotaniem, kiedy czekaliśmy, aż inspektor wygramoli się z samochodu. Poruszył sztywno ramionami i pomasażował trzeszczący krzyż, spoglądając na ciemną ławicę chmur nad morzem.

– Trochę popada.

– Usłyszał pan to w kościach? – zapytała Rachel z uśmiechem.

– W Radiu Dwa, dla ścisłości. Na jedno wychodzi. – Uśmiechnął się również i skinieniem głowy wskazał teczkę. – To te zdjęcia?

– Tak. – Spojrzała na nią. – Czuję się trochę dziwnie z jej powodu. Andrew o niczym nie wie. Wydaje mi się czymś niewłaściwym działać tak za jego plecami...

– Nie chce go pani denerwować bez potrzeby. Nie ma w tym nic złego – stwierdził uspokajająco Lundy. – Może wejdziemy do środka i na nie zerkniemy?

Rachel i Lundy spojrzeli na mnie. Poczulem, że się czerwienię.

– Eee... po zamknięciu drzwi wrzuciłem klucz przez szczelinę na listy.

Poprzednim razem Rachel powiedziała mi, żebym tak zrobił, kiedy będę wyjeżdżał, a wychodząc na spotkanie z Lundym przy domu Edgara, nie myślałem, że tu wrócę. W rezultacie moje wyjaśnienie, dlaczego tu jestem, stało się dość nieprzekonujące, choć Lundy tylko spojrzął na mnie kpiarsko i tego nie skomentował.

– W porządku, mam zapasowy. – Rachel wyciągnęła ciężkie kółko z kluczami siostry i z brzękiem zaczęła je przeglądać jeden po drugim.

Puściłem oboje przodem, a Lundy pochylił się przy wejściu i podniósł wrzucony przeze mnie klucz. Odwrócił się w moją stronę, unosząc brwi.

– Mam go dać pannie Rachel czy może znowu pan tu wróci?

Uznałem, że im mniej powiem, tym lepiej, i wszedłem za nimi do środka. Przed wyjściem posprzątałem mieszkanie i zostawiłem koc oraz pościel złożone na sofie. Pojemnik Tupperware, w którym Rachel przyniosła deser, stał z boku i było w nim jeszcze kilka kawałków psiego żarcia. Nie skończyłem go, bo było dla mnie zbyt kaloryczne, lecz pomyślałem, że ten szczegół znajdzie się dość nisko na liście moich przewinień. Położyła teczkę na stole, Lundy zaś skierował się do oprawionych fotografii opartych o ścianę. Motocykl nadal był na przodzie.

– Jestem pewna, że jest Marka Chapela – oświadczyła Rachel, gdy mu się przyglądał. – A w tle może pan dostrzec fort morski. Na innych odbitkach jest wyraźniejszy.

Kiedy odwróciła się, aby otworzyć teczkę, Lundy dostrzegł moje spojrzenie i krótko kiwnął głową, potwierdzając, że motocykl odpowiada znalezionej przez policję spalonej maszynie. Podeszedł do stołu, na którym Rachel rozkładała mniejsze fotografie.

– Te zrobiono z plaży koło wału nadmorskiego – wyjaśniła, przekładając je w miarę mówienia. – Widać fort z trzema wieżami. Zdecydowanie to ten przy ujściu. A tutaj zdjęcia domu Villiersa. Emma musiała zrobić je z wież. Nie ma żadnego innego miejsca, z którego można uzyskać takie ujęcia.

Lundy przeglądał je z miną bez wyrazu.

– Ma pani jakieś teorie, dlaczego pani siostra miałyby je robić?

– Właściwie nie. Zmieniała wystrój domu, tam jednak chodziło tylko o wnętrza. Zresztą nawet gdyby chciała mieć widoki z zewnątrz, nie musiała jechać aż tam i robić je teleobiektywem. Mogła je wykonać z trawnika przed domem.

Lundy jeszcze raz przejrzał zdjęcia, potem złożył je starannie i umieścił ponownie w teczce.

– Mogę je wziąć? Zwrócimy wszystkie, kiedy tylko zrobimy kopie.

– Chyba tak, ale nie są moje...

– Proszę się nie martwić, przypilnujemy ich.

Rachel skinęła głową, lecz wciąż sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

– Co mam powiedzieć Andrew?

– Na razie nic. Lepiej, jeśli najpierw je obejrzymy. Nie ma powodu, aby bez potrzeby wyciągał pochopne wnioski.

Racja, szczególnie że może okazać się podejrzanym, pomyślałem. Nie cierpiałem ukrywania prawdy przed Rachel, a po jej następnych słowach poczułem się jeszcze gorzej.

– Macie zamiar porozmawiać z Markiem Chapelem?

Byłem zadowolony, że zapytała Lundy'ego, a nie mnie. Inspektor włożył

teczkę pod pachę.

– To zależy od inspektora naczelnego Clarke. Zanim pójdę, czy mogę zejść na dół i się rozejrzeć?

– Na dół hangaru? – Rachel ze zdziwieniem wzruszyła ramionami. – Jeżeli pan chce. Ale po co? Czego pan szuka?

– Och, niczego szczególnego. Po prostu chciałbym rzucić okiem, skoro już tu jestem.

– Paru policjantów sprawdziło to miejsce po zaginięciu Emmy. Nie ma tam niczego poza śmieciami.

– Mimo wszystko chciałbym zobaczyć.

Widziałem, że Rachel nie jest przekonana. Niemniej poczekała, aż Lundy zanieśie zdjęcia do samochodu, potem zaś zeszliśmy na brzeg strumienia po drewnianych schodach z boku hangaru, które trzeszczały, uginając się lekko pod ciężarem inspektora. Rachel dotarła tu tą samą łodzią, którą razem z Traskiem wyruszyliśmy na poszukiwania jego córki, zacumowaną na końcu mola, gdzie popychający ją prąd mocno napinał linę. Rachel stanęła na małym drewnianym podeście u dołu schodów koło drewnianych drzwiczek w ścianie hangaru i zdjęła z haka pętlę liny, która zabezpieczała je przed otarciem.

– To jedyne wejście? – zapytał Lundy, z powątpiewaniem patrząc na właz. Miał niewiele ponad metr wysokości i mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów szerokości i wyraźnie było widać, że będzie ciasno.

– Wrota główne są zamknięte na kłódkę. Nie mam klucza.

W jej głosie słychać było zdenerwowanie. Gdy Lundy pchnął drzwiczki, które odchyliły się do środka ze zgrzytem zawiasów, odwróciła się i popatrzyła na mnie. Z wyrazu jej twarzy wynikało, że wie, iż nie powiedziano jej wszystkiego, lecz wtedy rozległ się łomot i przekleństwo, a Lundy zniknął w otworze, skąd po chwili zadudnił głucho jego głos.

– Uch. Tu jest cholerny spadek.

– Przepraszam, powinnam pana ostrzec – powiedziała Rachel bez poczucia winy, odwróciła się ode mnie, pochyliła głowę i zgrabnie przemknęła przez małe drzwi w ślad za inspektorem. Wszedłem więc i ja, zatrzymując się w wilgotnym powietrzu, by oczy przywykły do ciemności. W mrocznym wnętrzu unosił się ten sam stęchły zapach wilgotnej ziemi i słonej wody, który zapamiętałem z pierwszego pobytu. Na ścianach tańczyły nieregularne plamy światła odbitego od kołyszących się fal. Zagracona różnymi żeglarskimi akcesoriami drewniana kładka biegła wzdłuż tylnej ściany i po obu bokach. Sieci, korkowe boje i dziurawa kanadyjka z włókna szklanego nadal leżały rzucone na stertę pod wilgotnymi kamiennymi ścianami. Zostałem przy włazie, a Rachel i Lundy ruszyli w stronę zamkniętych wrót.

– Niech pan nie idzie zbyt daleko – ostrzegła go. – Deski pomostu są

spróchniałe.

Zatrzymał się, wierząc jej na słowo. Obramowany smugami światła padającymi między deskami wrót Lundy rozejrzał się wokoło, a potem popatrzył na pofalowaną powierzchnię wody pluszczącej o ściany.

– Czy cała woda znika stąd przy odpływie?

Nagle zeszywnienie karku i ramion Rachel świadczyło, że zaczyna być zła. Potwierdził to ton jej głosu.

– A niby dlaczego miałyby nie znikać?

Wiedziałem, że Lundy, pamiętając o zatopionym ciele Marka Chapela, zastanawia się, czy coś może być ukryte pod wodą również wewnątrz hangaru. Ale kiedy byłem tu w czasie odpływu, szukając jakichś przydatnych mi w wyprawie na rozlewisko rzeczy, w mulistym strumieniu nie było nic złowrogiego poza kamieniami i brudnymi pasmami wodorostów.

– Pytam z ciekawości – odparł Lundy. Spojrzał na drewniany strop. Niczego tam nie było, grubo ciosane belki ledwie majaczyły w cieniu. – Możemy wrócić na zewnątrz?

Wycofałem się przez wąskie przejście na mały pomost, czując ulgę, że ponownie jestem na świeżym powietrzu, a kiedy z otworu wyłoniła się Rachel, ruszyłem schodkami w górę. Stałem jednak, kiedy zorientowałem się, że nie idzie za mną, lecz z zaciętą i rozgniewaną twarzą czeka na pomoście, aż wyjdzie Lundy. Inspektor wydostał się na zewnątrz ze stęknieniem.

– Nie mam do tego właściwej budowy – mruknął, zaczepiając linę o hak, by zamknąć z powrotem drzwiczki. Wyprostował się i odwrócił, chcąc iść dalej, ale zatrzymał się, widząc, że Rachel nie rusza się z miejsca.

– Co się tu dzieje? – zapytała.

– O co pani chodzi?

– O to, że czegoś mi pan nie mówi.

– Wie pani, że nie mogę wdawać się w szczegóły śledztwa. A teraz czemu nie...

– Nie pytam o szczegóły. Po prostu nie lubię być traktowana jak idiotka. Chciał pan tu zajrzeć z jakiegoś powodu. I wymigał się pan od odpowiedzi, kiedy zapytałam, czy macie zamiar porozmawiać z Markiem Chapelem. Jasne więc, że coś się dzieje. Nie jestem głupia.

Lundy westchnął.

– Wiem, że pani nie jest. Po prostu musi mi pani zaufać.

– Zaufać panu? To ja nadstawiam karku i robię coś bez wiedzy Andrew, a teraz nie może mi pan nawet powiedzieć dlaczego? – Łypnęła gniewnie w moją stronę, mnie również obejmując swoim oskarżeniem, zanim znowu zwróciła się do Lundy'ego. – Dlaczego tak niechętnie mówi pan o Marku Chapelu? Uważa pan, że miał coś wspólnego z tym, co stało się z Emmą?

– Nie, nic podobnego.  
– W takim razie co, na litość boską? A jeżeli nawet go nie przesłuchaliście, to skąd wiecie... – Urwała i jej oczy się rozszerzyły. – Coś się z nim stało, prawda? Lundy robił wrażenie zapędzonego do narożnika.  
– Jak powiedziałem, nie mogę wdawać się w szczegóły śledztwa...  
Krew odpłynęła z twarzy Rachel. Uniosła rękę do ust.  
– O Boże, ciało na drucie kolczastym splecione z Fay! Czy to był on? Mark?  
– Nic nie jest jeszcze potwierdzone – brnął dalej Lundy, Rachel jednak teraz wbijała spojrzenie we mnie.  
– Wiedziałaś, prawda? Dlatego tak się zachowywałaś wieczorem. Wiedziałaś!  
O Chryste, pomyślałem.  
– Nie mogłem nic powiedzieć. Bardzo mi przykro.  
– Zakazałem mu – wtrącił się Lundy. – Trwa dochodzenie, nie możemy...  
– Nie wierzę! – Rachel sprawiała wrażenie oszołomionej. – Co się z nim stało? Jezu, tylko nie mówcie, że Villiers zabił ich oboje?  
Lundy zdawał się walczyć ze sobą przez chwilę, a potem westchnął i wzruszył ramionami.  
– Nie wiemy.  
– No dobrze, jeżeli więc nie on... – Nagle do niej dotarło. – Och, nie, nie przypuszczacie chyba, że to Andrew...  
– W tej chwili nic nie przypuszczamy – wiał się uparcie Lundy. – Dopóki jednak nie wiemy, większość informacji musi pozostać ściśle tajna. Rozumie pani? Ale Rachel nie słuchała.  
– Niedobrze mi.  
– Chcesz usiąść? – zapytałem.  
Zbladła, jakby miała za chwilę zemdleć.  
– Nie, nie chcę usiąść, do cholery! – warknęła i znowu zwróciła się do Lundy'ego: – A co z fortem morskim? Co macie zamiar zrobić w tej sprawie? A może to też tajne?  
– Policja morska zapewne uda się tam i rozejrzy – odparł Lundy z miną człowieka tkwiącego w oblężonej twierdzy.  
– Kiedy? Dzisiaj?  
– Nie, nie wiem kiedy. Zresztą nawet jeżeli pani siostra dostała się tam...  
– Jeżeli? Widział pan zdjęcia!  
– ...nie mogę stwierdzić, czy ma to znaczenie. Być może myślała, że uda się jej złapać tam jakieś ciekawe ujęcia. A skoro potem zrobiła te odbitki, nie ulega wątpliwości, że stamtąd wróciła, więc nie ma potrzeby gnać tam na sygnale.  
Myślałem, że Rachel będzie się sprzeczać, bo stała twarzą do Lundy'ego z rękami założonymi na piersi i gniewnym rumieńcem na policzkach, ona zaś



powiedziała tylko:

– Bardzo dobrze.

Odwróciła się, weszła po kilku ostatnich stopniach na pomost i ruszyła do łodzi. Rzuciwszy Lundy’emu szybkie spojrzenie, pospieszyłem za nią.

– Dokąd się wybierasz?

– Domyśl się – odpowiedziała, nie zwalniając kroku.

Żołądek mi się ścisnął.

– Chcesz popłynąć do fortu?

Zdałem sobie sprawę, że dlatego wzięła łódź. Od początku zamierzała się tam wybrać. Nie odpowiadając, pochyliła się, by odwiązać cumę.

– Rachel, to jest... Słuchaj, możesz na chwilę przestać?

– Po co? Jestem już chora od tego czekania. Skoro nikt nie ma zamiaru czegoś zrobić, to ja się za to wezmę.

– Nie wiesz, w jakim stanie jest fort. Zakładając, że w ogóle się do niego dostaniesz.

– Jeżeli udało się to Emmie, mnie też się uda.

– Sama powiedziałaś, że mogła mieć wypadek. Dwie wieże już się zawaliły i nie ma żadnej gwarancji, że ta, która została, jest bezpieczna.

Nadal grzebała przy linie.

– Zaryzykuję. Jeżeli nie wrócę, ty i inspektor detektyw Lundy możecie wszcząć alarm.

– To... – chciałem powiedzieć głupie, lecz na szczęście ugryzłem się w język. – ...bardzo zły pomysł.

– Dlaczego? Fort jest opuszczony, prawo tego nie zabrania.

– Co nie oznacza, że powinnaś płynąć tam sama. Pomyśl o tym.

– Pomyślałam. Ale i tak to zrobię.

– W takim razie będę ci towarzyszył.

Znieruchomiała. W końcu spojrzała na mnie.

– Nie prosiłam cię o to.

– Nie, lecz już podjąłem decyzję.

Pomost zatrzęsł się pod ciężkimi krokami Lundy’ego. Jego skwaszona mina świadczyła, że słyszał naszą rozmowę.

– Chyba nie muszę mówić żadnemu z was, co o tym myślę?

– Nie. – Rachel szarpnęła ze złością cumę. – Wiem, że nikt poza mną nie uważa tego za ważne, ale znałam Emmę. Musiała mieć powód, żeby się tam wybrać, i chcę się dowiedzieć jaki.

Lundy westchnął z rezygnacją.

– Cóż, nie mogę was zatrzymać, wolałbym jednak, żebyście przynajmniej zaczekali. Prognoza pogody jest okropna.

– Pogorszy się dopiero później – zaprotestowała Rachel, buchtując cumę.

– Wróćę o wiele wcześniej.

Inspektor spojrział na wodę i pokręcił głową, jakby słuchał jakiegoś wewnętrznego głosu. Zrobił głęboki wydech.

– Och, niech to szlag trafi! – mruknął.

## Rozdział 26

Lundy zostawił mnie z Rachel, a sam zadzwonił do ludzi z zespołu dochodzeniowego, by poinformować ich, co ma zamiar zrobić. Wszedł na górę schodkami pod pretekstem szukania zasięgu, choć bardziej prawdopodobne było, że chciał porozmawiać bez świadków o zaistniałej sytuacji tak, żebyśmy nie mogli go usłyszeć. Jeszcze kilka godzin temu doceniłbym szansę pogadania sam na sam z Rachel, lecz teraz nie wiedziałem, jak zacząć.

– Przykro mi, że nie mogłem powiedzieć ci o Marku Chapelu – zacząłem, ponieważ wydało mi się to początkiem równie dobrym jak każdy inny.

Rachel siedziała w kucki przy małej szafce na rufie łodzi i grzebała w jej zawartości.

– Byłeś bardzo profesjonalny – odpowiedziała, nie podnosząc głowy.

Moja cierpliwość się wyczerpała.

– A czego się spodziewałaś? To dochodzenie w sprawie morderstwa, nie mogę tak po prostu udzielać informacji. Bez względu na to, jak źle się z tego powodu czuję.

– Jestem pewna, że okropnie.

– To bez znaczenia. Myślisz, że tak marzę o powrocie do Londynu?

Przerwała przeszukiwanie i spojrzała na mnie, trzymając w ręku sfatygowaną kamizelkę ratunkową.

– Więc dlaczego?

– Dlatego że wiem, jak trudno coś przed tobą ukryć. A ty co byś zrobiła, gdybym ci cokolwiek powiedział? Uświadomiłabyś Traskę, że twoja siostra mogła mieć romans nie tylko z Leo Villiersem, ale także z dawnym chłopakiem?

– Nie, oczywiście... – Urwała, żeby przemyśleć moje słowa. – Nie wiem, co bym zrobiła. Nigdy jednak nie uwierzę, że Andrew mógł zrobić coś złego.

Nie fatygowałem się zwracaniem jej uwagi na fakt, że wszyscy tak mówią. Nikt nie chce uwierzyć, że ktoś mu bliski mógłby być mordercą. Sam popełniłem ten błąd.

– Mam nadzieję, że nie – powiedziałem już nieco spokojniej. – Gdybym jednak ci powiedział, postawiłbym cię w niezręcznej sytuacji. O wiele gorszej niż ukrycie przed nim kilku fotografii.

Część jej gniewu zniknęła, kiedy zastanowiła się nad tym. Nawet leciutko się uśmiechnęła.

– I tak już w niej tkwię, prawda?

Pomost zatrzęsł się, sygnalizując powrót Lundy'ego. Inspektor wyglądał na nieco zmartwionego.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Nie mogę z nikim się porozumieć. Zostawiłem wiadomość, więc jeżeli będą chcieli mi coś przekazać, będą wiedzieli, gdzie jestem – oświadczył.  
– Zakładając, że zdołają się ze mną połączyć – dodał sucho.

Czekał na reakcję Rachel, lecz wyglądało na to, że już wzięła się w garść. Zmarszczył brwi, kiedy wyjęła kolejną kamizelkę ratunkową z szafki, i z niepokojem spojrzął na łódkę.

– Jest pani pewna, że jest dość duża, aby wyjść nią na rozlewisko?

Rachel położyła kamizelkę za sobą i zamknęła szafkę.

– Będzie dobrze. Pływałam nią w górę wybrzeża przy gorszej pogodzie, a fort nie jest daleko.

Lundy podrapał się z powątpiewaniem w brodę.

– Cóż, jeżeli nadal macie zamiar to zrobić, musimy przyjąć kilka podstawowych zasad. Jeżeli pogoda zrobi się wredna albo woda będzie zbyt wzburzona, wracamy. Tak samo po dotarciu do fortu. Kiedy będzie tam coś, co mi się nie spodoba, natychmiast zawracamy. Nadstawiam karku, dlatego nie chcę żadnych dyskusji. Jasne?

Rachel potulnie skinęła głową. Lundy parsknął, wyraźnie spodziewając się silniejszego oporu.

Przytrzymałem łódź przy pomoście, gdy niezgrabnie zajmował w niej miejsce. Obaj usiedliśmy na ławce pośrodku, Rachel zaś zajęła miejsce przy rumplu na rufie. Lundy jakoś wcisnął się w kamizelkę ratunkową, którą mu podała, i usiłował zapiąć taśmy na potężnym torsie, aż w końcu się poddał.

– Przypuszczam, że nie ma tam nic większego?

– Przykro mi, lecz wszystkie są w jednym rozmiarze, z wyjątkiem tej dla Fay.

Spojrzał na brzegi kamizelki zwisające po bokach jego brzucha i pokręcił głową.

– Chyba zwariowałem.

Niemniej kiedy ruszyliśmy, przestał się tym przejmować. Podczas gdy mała łódź nabierała szybkości, siedział z twarzą odwróconą pod wiatr i pomimo całej sytuacji wyraźnie dobrze się bawił. Potem zobaczyłem, że wkłada do ust kilka tabletek na nadkwasotę, i przypomniałem sobie o telefonie, który dostał ze szpitala. Przyszło mi do głowy, że może dlatego nie walczył bardziej, kiedy Rachel uparła się, by zbadać fort. Cała sprawa musiała jednak nie dawać mu spokoju. Może uznał rejs po morzu za pożądaną odmianę.

Rachel siedziała przy rumplu, włosy rozwiewał jej wiatr. Miała pod kamizelką ratunkową czerwoną wodoodporną kurtkę, w której widziałem ją pierwszy raz, i wydawała się już bardziej zrelaksowana, gdy sterowała łodzią wzdłuż strumienia w kierunku rozlewiska. Pochwyciła mój wzrok i się uśmiechnęła. Ostry wiatr tworzył drobne fale na powierzchni wody, odbierając jej

blask.

– Mówił pan coś o złej prognozie? – zapytałem Lundy’ego, przekrzykując warkot silnika.

Kiwnął głową.

– Podobno później ma się zrobić dość pochyło. Poza tym dziś w nocy jest pływ syzygijny, może więc być niewesoło. Trzeba będzie szybko wracać.

Po kilku minutach znaleźliśmy się w ujściu, przestrzeń stała się bardziej odsłonięta i zbite fale zrobiły się dłuższe i wyższe. Łódź dygotała, gdy z rytmicznymi łupnięciami uderzały w dziób, ciskając w nas krople zimnej wody, wyziębiające skórę i pozostawiające na wargach smak soli.

Wieże fortu morskiego znajdowały się na naszym kursie, lecz słaba widzialność nie pozwalała dojrzeć ich wyraźnie. Lekkie opary, bardziej przypominające smog niż mgielkę, przesłaniały wysokie konstrukcje, redukując je do majaczących w oddali szkieletowatych kształtów.

Łódź zmniejszyła prędkość, warkot silnika przycichł, kiedy weszliśmy między Barrows. Niskie, gładkie pagórki wystawały nad powierzchnią wokół nas niczym grzbiety wielorybów. Rachel manewrowała między nimi, wypatrując gładkich lub wzburzonych fragmentów wody, które mogły oznaczać skryte płycizny. Po wyjściu z wąskiej cieśniny znowu dodała gazu i musieliśmy mocno się trzymać, gdy łódź zaczęła natrafiać na coraz większe fale. Zbliżyliśmy się do ujścia zalewu i w odległości niecałych stu jardów na zalesionym cyplu pojawił się dom Leo Villiersa, połyskując mrocznie wypukłymi szybami wykuszowych okien wychodzących na otwarte morze.

Minęliśmy go i skierowaliśmy się poza rozlewisko, a przed nami z fal zaczęły wyłaniać się zniszczone wieże starego fortu morskiego. Z bliska te dziwaczne i odstrasające relikty minionego czasu wyglądały jeszcze bardziej niesamowicie. Wynurzały się z fal niedaleko od siebie, każda zaś była prostokątnym, dwukondygnacyjnym metalowym pudłem opartym na czterech pochylonych do środka podporach. Oplatała je porwana siatka sprawiających wrażenie cienkich i nietrwałych kładek oraz schodni, teraz poskręcanych i przerdzewiałych.

Najbliższa wieża wyglądała na najlepiej zachowaną, toteż Rachel skierowała się w jej stronę, ale Lundy pochylił się do niej.

– Najpierw obejrzymy inne! – zawołał, podnosząc głos, by przekrzyknąć silnik. – Miejmy je odfajkowane, zanim zajmiemy się tą.

Rachel zrobiła, co mówił, okrążając konstrukcje od zewnątrz, lecz już było jasne, że jeśli jej siostra fotografowała dom Villiersa z fortu, nie mogła tego zrobić z żadnej z dwóch wież stojących dalej w morzu. Pierwsza była właściwie pustą skorupą, osmaloną przez ogień, choć sądząc z pokrywającej ją warstwy rdzy, pożar zdarzył się dawno temu. Nie było dachu ani zewnętrznych kładek i drabinek, które

widziałem na zdjęciach w sieci. Cała struktura była całkowicie pusta wewnątrz i jakby dla unaocznienia w dziurę ziejącą w podstawie wieży wleciała mewa, pofrunęła w górę, migając za oknami bez szyb, i chwilę później wzniosła się nad pozbawioną dachu konstrukcją.

Drugą wieżę trudno byłoby już tak nazwać, gdyż całkowicie utraciła górną część, zachowując jedynie cztery patykowate podpory wychodzące z morza jak narożniki niedokończonej piramidy. Lundy zdjął okulary i otarł szkła ze słonego pyłu wodnego.

– Dobra, obejrzymy następną.

Rachel skierowała łódź w stronę ostatniej wieży. Nawet tutaj morze było zamulone i płytkie, pozwalając dostrzec blade dno w miejscach, gdzie wokół podpór utworzyła się mielizna, miejscami wystająca nad powierzchnię. Fale uderzały przez to w podpory, raz z jednej, raz z drugiej strony, szarpiąc nami, gdy podchodziliśmy bliżej. Rachel wprowadziła łódź pod wieżę i huk rozbijającej się wody stał się jeszcze głośniejszy.

Z bliska była większa, niż oczekiwałem. Rurowate podpory wykonano ze zbrojonego betonu, teraz paskudnie pokruszonego i poniżej linii wodnej obrośniętego wodorostami, które wiły się w wodzie jak zielone włosy. Co chwila rozlegał się dudniący huk, kiedy jakaś większa fala rozbijała się na pustych wewnątrz kolumnach.

Spojrzałem w górę, gdy przepływaliśmy pod wiszącym prawie dwa metry nad nami, majaczącym w półmroku spodem wieży. Tworzące go dźwigary były niebezpiecznie przerdzewiałe i upstrzone białymi plackami ptasich odchodów, których ostry amoniakalny odór łączył się z wonią wodorostów. Rachel dobiła do pomostu cumowniczego umieszczonego pomiędzy podporami fortu i szybko obłożyła cumę na pachółku. Fale szarpały łodzią, gdy wychyliła się, by uchwycić schodzącą do wody zardzewiałą drabinkę.

– Pójdę pierwszy – oznajmił Lundy. – Gdyby ktoś miał wlecieć do wody, to lepiej, żebym to był ja.

Wybrał odpowiedni moment i wspiał się na drabinkę, a z niej na stalową platformę. Otrzeptał dłonie z rdzy i tupnął w płyty, aż zadrzały i zaszczękały.

– Wydaje się dość solidna. Dobra, idziemy.

Rachel poszła następną, bez trudu wspinając się po drabince, ja za nią nieco może mniej zgrabnie, lecz udało mi się nie odpaść. Drabinkę pokrywała łuszcząca się rdza, platforma zaś była w niewiele lepszym stanie, ale Lundy miał rację – na oko nie groziło jej rychłe zawalenie. Za przykładem pozostałych zdjąłem kamizelkę ratunkową i rozejrzałem się wokół. Kolejna drabinka, robiąca wrażenie nowszej, prowadziła do wiszącej nad nami niewielkiej kładki, z której wiodły metalowe schody do wyglądających na masywne drzwi samego fortu. Innego wejścia nie byłem w stanie dostrzec.

– Spójrz – powiedziała Rachel, wskazując na linię brzegową.

Za pasem otwartego morza stał na wprost nas na skalistym cyplu pusty dom Leo Villiersa.

Wyjęła z kieszeni kurtki niewielką lornetkę i obejrzała dom, po czym podała ją Lundy’emu.

– Ten sam widok co na fotografiach.

– Zawsze przygotowana, co? – skomentował, podnosząc lornetkę do oczu. – Niedokładnie ten sam. Jesteśmy za nisko.

– W takim razie musiała robić zdjęcia ze środka. Chodźmy sprawdzić – rzuciła Rachel, znów niecierpliwa.

Lundy lustrował drabinę pnącą się ku dolnej powierzchni wieży.

– Nie wygląda to dobrze – oświadczył i urwał, bo zadzwoniła jego komórka.

Najwyraźniej byliśmy dość blisko brzegu, aby uzyskać zasięg. To niweczyło hipotezę, że Emma Derby mogła mieć wypadek i nie była w stanie wezwać pomocy. Komórka Lundy’ego odezwała się znowu i jej melodyjny sygnał wydawał się tu nie na miejscu. Wyjął aparat z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz.

– Muszę odebrać.

Przeszedł na drugą stronę platformy. Rachel odprowadziła go wzrokiem, po czym podeszła do drabinki i zaczęła się na nią wspinać.

– Rachel – odezwałem się zaniepokojony.

– Nie ma sensu sterczeć w miejscu.

Była już w połowie drogi do małego pomostu. Spojrzałem na Lundy’ego, spodziewając się, że zaprotestuje, lecz inspektor jakby tego nie widział.

Odwrócony do nas plecami stał z przechyloną głową, słuchając swojego rozmówcy.

Wspaniale. Westchnąłem i też zacząłem się wspinać, ciesząc się, że tę drabinę wykonano z lekkiego aluminium, a nie z rdzewiejącej stali. Lundy wspomniał, że oryginalne drabinki i pomosty usunięto, aby uniemożliwić ludziom dostanie się do fortów. Komuś jednak to nie przeszkodziło.

Zastanawiałem się komu.

Przez właz dostałem się na pomost, mniejszy od platformy i pokryty białym guanem. Wiatr był tu silniejszy, zimny i przenikliwy. Gdy się wyprostowałem, zobaczyłem, że Rachel już wspięła się po metalowych schodkach do drzwi wieży i sięga do klamki.

– Są zamknięte na kłódkę.

Z jednej strony poczułem ulgę, nie wiadomo bowiem, co mogło być w środku, a wciąż miałem w pamięci odnalezienie zwłok Stacey Coker. Jeżeli więc w wieży kryły się jakieś niespodzianki, lepiej, żeby odkryła je policja, a nie Rachel.

Niemniej jednak po pokonaniu całej tej drogi wiedziałem, że będę rozczarowany, gdyby okazało się, że teraz musimy zawrócić. Rachel z frustracją

walnęła pięścią w drzwi.

– Myślisz, że jest jakieś inne wejście?

– Wątpię. – Fort miał służyć do obrony wybrzeża, więc z założenia powinno być trudno dostać się do niego.

– Mamy coś, żeby rozbić kłódkę? – zapytała, gdy wszedłem po stopniach.

Mogłem sobie wyobrazić, co pomyślałby o tym Lundy.

– Nie, i nie sądzę, że powinniśmy się tak od razu włamywać.

Kłódka i kółka, przez które ją przeciągnięto, były nowe i wykonane z solidnej stali nierdzewnej. Wyglądały na zdolne wytrzymać wszystko mniejsze od młota kowalskiego.

Rachel zagrzechotała nimi z gniewem.

– Idiotyczne! Jak Emma dostała się do środka, skoro było zamknięte?

Nie wiedziałem, lecz zaczęło mnie to niepokoić.

– Zbierajmy się stąd.

Odwróciłem się, Rachel jednak przykucnęła, żeby obejrzeć zamknięcie, a potem sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła ciężki pęk kluczy siostry, przejrzała je, wybrała jeden i spróbowała otworzyć nim kłódkę.

– Co robisz?

– Wypróbuję zapasowe klucze Emmy. Musiała jakoś wchodzić do środka, a ja nie mam pojęcia, do czego są niektóre z nich.

– Powinniśmy wrócić do Lundy’ego – oznajmiłem ze zniecierpliwieniem, gdy zaczęła dopasowywać następny.

– Jeszcze tylko parę.

– Marnujesz...

Rozległo się szczęknięcie i kłódka się otworzyła. Siedząca w kucki Rachel posłała mi szeroki uśmiech.

– Ta-dam!

Poczułem ciarki na plecach. Nie byłoby sprawy, gdyby jej siostra tylko raz wybrała się do fortu, żeby zrobić zdjęcia, ale skoro zadała sobie trud zabezpieczenia wejścia do wieży kłódką – a nawet zainstalowała nową drabinę – to znaczy, że bywała tu częściej. A nikt nie zadaje sobie trudu zamykania takiego miejsca bez naprawdę ważnych powodów.

Na przykład chęci ukrycia czegoś przed wzrokiem niepowołanych.

Rachel już zdejmowała kłódkę z kółek, lecz nim zdążyłem coś powiedzieć, z dołu dobiegł przenikliwy gwizd. Podeszedłem do skraju schodów i zobaczyłem Lundy’ego stojącego z uniesioną głową i dwoma palcami w ustach, które wyjął na mój widok.

– Musimy się zbierać! – krzyknął.

– Jest tu coś, co powinien pan zobaczyć! – zawołałem. Za mną rozległ się zgrzyt zardzewiałych zawiasów. Obejrzałem się i ujrzałem, jak Rachel usiłuje



otworzyć ciężkie drzwi.

Z dołu znowu doleciał głos Lundy'ego.

– To niech zaczeka. Coś się kroi i muszę wracać.

Cokolwiek to było, musiało być ważne, ponieważ patrząc na stojącego na dolnej platformie inspektora, zdałem sobie sprawę, że wygląda na wstrząśniętego. Nie, nie wstrząśniętego. Oszołomionego.

– Dobra! – odkrzyknąłem i odwróciłem się znów w stronę Rachel. – Słuchaj, lepiej...

Na podeście było pusto.

Jasna cholera! Wbiegłem po schodach. Ciężkie stalowe drzwi były otwarte, odsłaniając ciemny korytarz z łuszczącymi się metalowymi ścianami, którego koniec nikał w ciemności. I ani śladu Rachel.

– Co się dzieje? – W odbijającym się od metalowego dachu głosie Lundy'ego brzmiała irytacja.

Odwróciłem się i krzyknąłem:

– Rachel weszła do środka!

Inspektor warknął głośno: – Jezu Chryste! – i jego kroki zadźwięczały na drabinie. Stąpnałem za próg, z zewnątrz bowiem nie mogłem sięgnąć wzrokiem w głąb mrocznego korytarza.

– Rachel?! – wrzasnąłem. – Rachel, musimy iść!

Gdzieś z głębi wieży dobiegła stłumiona odpowiedź, ale zbyt niewyraźna, żeby ją zrozumieć. Zakląłem, nie mogąc się zdecydować, czy iść za nią, czy zaczekać na Lundy'ego. Niemniej słysząc, jak ciężko wspina się po drabinie, uznałem, że to trochę potrwa, klnąc więc na głos, wszedłem głębiej.

W wieży było zimno, a lepkie powietrze pachniał ostro pleśnią i rdzą. W środku zorientowałem się, że nie jest tu tak ciemno, jak wydawało się, patrząc z zewnątrz. Mdłe światło sączyło się przez brązowe od brudu szyby prostokątnych okienek. Bardziej doświetlały wnętrza otwory po wybitych panelach, pozwalając dostrzec starą prądnicę tkwiącą jak wartownik u dołu kolejnych schodów, dalej zaś jakieś ledwo majaczące pomieszczenia. Powierzchnie pokrywały zacieki z soli, natomiast rozwijająca się pod nią korozja nadawała czerwonawe zabarwienie łuszczącym się metalowym ścianom i podłogom. Wyglądało to jak trójwymiarowy dagerotyp.

Okruchy rdzy i starej farby chrzęściły mi pod nogami, gdy ominąłem generator i ruszyłem po schodach.

– Rachel?

– Na górze.

Jej głos odbijał się echem, dobiegając z wyższej kondygnacji. Już zacząłem się tam wspinać, gdy hałas na zewnątrz zasygnalizował, że Lundy dotarł do pomostu. Chwilę później w otwartych drzwiach pojawił się on sam, zadyszany

i czerwony z wysiłku.

– Gdzie ona jest, do diabła?

– Na następnym poziomie. Drzwi były zamknięte na kłódkę, lecz jej siostra miała klucz.

– Niech to diabli! – Wiadomość nie zaskoczyła go tak, jak oczekiwałem. Pokręcił głową, dysząc ciężko. – Wszystko źle zrozumieliśmy. Wszystko.

– Co pan ma na myśli? – zapytałem, lecz tylko machnął ręką.

– Później. Znajdźmy ją.

Chwilę zamarudziłem, blokując ciężkie stalowe drzwi przy ścianie, by nie zamknęły się same, i pospieszyłem za nim. Nasze kroki dźwięczały na metalowych stopniach, kiedy wspinaliśmy się na poziom wyżej, gdzie znaleźliśmy następny korytarz prowadzący prosto i w bok. Przez otwarte drzwi widać było zdewastowane wnętrze. W pokoju pozostały tylko puste, metalowe regały, przewrócone ramy łóżek i połamane krzesła. Do ściany wciąż przytwierdzony był wyblakły plakat z puszczającą oko do obiektywu uśmiechniętą młodą kobietą w kostiumie kąpielowym. Zobaczyłem też drabinkę wiodącą na dach, ale prowadzący tam właz były zamknięty.

– Rachel? Gdzie jesteś?

– Tutaj! – Jej wołanie doleciało ze znajdującego się w dalszym końcu korytarza pomieszczenia z uchylonymi drzwiami. – Musisz to zobaczyć.

Na zazwyczaj łagodnej twarzy Lundy'ego malowała się wściekłość, kiedy z zaciśniętymi ustami ruszył przede mną w stronę dobiegającego nas głosu. Cokolwiek usłyszał przez telefon, wiadomość musiała niezłe go zdenerwować.

– To było cholernie głupie! – oświadczył, otwierając na oścież drzwi. – Powiedziałem, żeby nie...

Urwał.

Po mrocznej nędzy reszty wieży to pomieszczenie zaskakiwało. Przez okno wpadało światło słoneczne i poza pustymi metalowymi wspornikami wciąż umocowanymi do podłogi nie pozostały żadne ślady wojskowej przeszłości pokoju. Pod jedną ścianą zbudowano przeszkloną kabinę, w której na biurku stały dwa antyczne gramofony i pusty stojak mikrofonu, a zwisający plakat wciąż reklamował koncert dawno zapomnianej grupy The Kinks.

Wiedziałem, że w latach sześćdziesiątych w formie działała piracka radiostacja, ktoś jednak używał tego pomieszczenia o wiele później. Było urządzone bardziej jak nowoczesna kawalerka. Na zimnej metalowej podłodze leżał turecki dywan, przed przenośnym grzejnikiem gazowym stał składany stół i krzesła. Była też kuchenka kempingowa z nierdzewnej stali i zaimprovizowany futon z podwójnego nadmuchiwanego materaca ułożonego na drewnianym stelażu, a także inne domowe akcenty – akumulatorowe lampy przykryte barwnymi kawałkami materiałów, puste butelki po winie i tanie wydania książek

z pozaginanymi oślimi uszami na półce z cegieł i desek. Nad łóżkiem wydrukowane na komputerze szkarłatnymi literami hasło głosiło: „Jeżeli nie żyjesz własnym życiem, już jesteś martwy”.

Mimo wszystko ten pokój sprawiał wrażenie opuszczonego. Słona wilgoć w powietrzu pozwijała okładki książek, a skłębioną kołdrę na łóżku pokryła czarna wysypka pleśni. Z materaca częściowo uszło powietrze i teraz zwisał sflaczały ze stelaża.

– Nie ma jak w domu – cicho bąknęła Rachel.

Lundy rozejrzył się, rejestrując całość otoczenia wzrokiem.

– Dotykała pani czegoś?

Pokręciła głową, wciskając głęboko dłonie do kieszeni.

– Wszystko jest tak, jak znalazłam. Proszę spojrzeć przez okno.

Słysząc było ciche bębnienie deszczu uderzającego o metalowe ściany, kiedy zaś podszedłem z Lundy do okna, odniosłem wrażenie, że wieża kołysze się lekko pod uderzeniami wiatru. Szyba była o wiele czystsza od tych widzianych poprzednio, choć już zamglila ją nowa warstwa soli. Nie aż tak jednak, by przesłonić dom Leo Villiersa widniejący za pasmem morza.

– Z tego miejsca Emma robiła zdjęcia – oświadczyła Rachel.

Lundy bez słowa podszedł do łóżka z oklapniętym materacem. Przyjrzał się zapleśniałej kołdrze, a potem parsknął, widząc skręty rozgniecione na talerzyku odstawionym na zaimprovizowany regał.

– Pani siostra paliła trawkę?

– Nie, niczego nie paliła. Nie cierpiała papierosów.

Lundy się wyprostował.

– No cóż, ktoś tu lubił sobie zajarać.

– To pewnie Mark Chapel. Emma mówiła mi, że ćpa. – Rachel ze złością potrzęsła głową. – Takie miejsce to po prostu... cały on. Koczować w czymś takim, w starej radiostacji pirackiej. I ten kretyński slogan! Mój Boże, prawie słyszę, jak go wygłasza!

Gniewnie machnęła w stronę wydruku na ścianie. Teraz jednak uwagę Lundy'ego zwróciło coś innego. W kolanach mu chrupnęło, gdy pochylił się, żeby zbadać coś na podłodze.

– Co to takiego? – zapytałem.

– Wygląda na przykrywkę obiektywu – odparł, nie dotykając przedmiotu. – Z napisem „Olympus”.

– Ta sama marka co aparatu Emmy – powiedziała Rachel. – Chryste, mogłabym ją rozszarpać! Co sobie wyobrażała?

Inspektor zaczął wstawać, lecz nagle dostrzegł coś jeszcze. Podążyłem za jego wzrokiem i na zardzewiałej podłodze dostrzegłem zaschnięte plamy. Na tle skorodowanego metalu nie były zbyt widoczne i na pierwszy rzut oka mogły

pochodzić od wina lub kawy.

Ale wyraz twarzy Lundy'ego świadczył, że nie.

– O Boże, czy to krew? – jęknęła Rachel.

Lundy wstał sztywno, gdy kolejny podmuch wiatru uderzył w wieżę.

– Skończyliśmy. Zbierajmy się.

– Czy nie moglibyśmy tylko...

Głośne bum!, dochodzące z dołu, gdzieś z dolnego poziomu, wzbudziło echa w całej wieży. Wszyscy troje zamarliśmy, gdy jego rezonans przebiegł przez stalową konstrukcję i powoli wygasł.

Lundy spojrzał na mnie.

– Zaklinował pan drzwi?

Nie szeptał, lecz mówił cicho. Przytaknąłem ruchem głowy. Pamiętałem solidną masę stalowych drzwi i opór stawiany przez zardzewiałe zawiasy, kiedy dociskałem je do ściany. Były zbyt ciężkie, aby zamknąć się same z siebie, wiatr zaś musiałby być o wiele mocniejszy niż wiejący teraz, żeby je poruszyć.

– Może się obluzowały. – Rachel też mówiła przyciszonym głosem.

Ani Lundy, ani ja nie odpowiedzieliśmy. Cisza wewnątrz fortu stawała się coraz bardziej przytłaczająca i groźna. Inspektor zaczerpnął powietrza, jakby podjął jakąś decyzję.

– Zaczekajcie tutaj.

Podszedł do drzwi, a ja ruszyłem za nim.

– Idę z panem.

– Nie ma mowy. Zaryglujcie drzwi i trzymajcie zamknięte, dopóki nie wrócę.

Poruszając się cicho jak na tak potężnego mężczyznę, popchnął drzwi i zamknął za sobą z głuchym szcęknięciem, zanim zdołałem zaprotestować.

– Jeżeli drzwi były otwarte, może wiatr wwiął coś do środka? – zastanawiała się na głos Rachel. – Zła pogoda mogła nadejść wcześniej, niż zapowiadała prognoza.

Miałem nadzieję, że tak rzeczywiście było. Nasłuchiwałem, ale jedynym dźwiękiem był huk fal rozbijających się o podpory wieży i niskie zawrodozenie wiatru. Może Rachel miała rację, myślałem, wyęzając słuch. Wiatr narastał, a ja nie mogłem zablokować drzwi tak mocno, jak mi się zdawało. Lundy zresztą potrafił zadbać o siebie – oficer policji, rezerwista Armii Terytorialnej, raczej nie potrzebował niańki. I nagle, w jednym błysku otrzeźwienia, uznałem za absurdalne ukrywanie się tutaj w czasie, gdy Lundy samotnie sprawdza puste korytarze.

Podjąłem decyzję i ruszyłem w stronę drzwi.

– Co robisz? – zapytała cicho Rachel.

– Idę poszukać Lundy'ego.

– Powiedział, żeby czekać.

– Wiem, ale...

Gwałtowny grzmot, o wiele głośniejszy od poprzedniego, rozdarł ciszę i odbijał się echem od metalowych ścian. Tym razem nie był to jednak łoskot zatraskujących się drzwi – tego potężnego huku nie dało się z niczym pomylić.

Wystrzał z dubeltówki.

O Chryste. Chwytnąjąc za klamkę, poczułem w ustach kwaśny smak strachu. Wbrew poleceniu Lundy’ego nie zaryglowaliśmy drzwi, lecz nim zdążyłem je otworzyć, Rachel wcisnęła się przede mnie.

– Nie!

Sięgnęła nad głowę i zasunęła górny rygiel. Stała oparta plecami o drzwi, twarzą do mnie, i ciężko dyszała.

– Zejdź mi z drogi – powiedziałem.

– Nie pójdziesz tam.

– Muszę znaleźć Lundy’ego.

– I co zrobisz? – Była przerażona, ale zdecydowana. – To była strzelba, co na nią poradzisz?

Nie miałem odpowiedzi. Bóg mi świadkiem, bałem się tak samo jak ona, ale nie mogłem zostawić inspektora samego. Sięgnąłem do rygla.

– Zamknij za mną.

– Nie, nie wyj...

Za jej plecami rozległ się metaliczny szczęk i oboje umilkliśmy, patrząc, jak klamka opada w dół. Drzwi zatrzeszczały, kiedy ich krawędź naparła na ciężki rygiel właśnie zasunięty przez Rachel. Odruchowo już chciałem zapytać, czy to Lundy, lecz zaraz się powstrzymałem. Inspektor sam by to powiedział.

Ktokolwiek tam stał, nie był to on.

Rachel zaczęła cofać się od drzwi. Trzymałem dłonie na jej ramionach i poczułem, jak drgnęła, gdy coś w nie uderzyło. Górny rygiel jęknął, ale wytrzymał. Drzwi zadygotały pod kolejnym uderzeniem, Rachel zaś schyliła się szybko i zasunęła także dolny rygiel.

Drzwi zadrżały jeszcze dwukrotnie raz za razem, jakby ten ktoś na zewnątrz kopnął w nie z rozdrażnieniem.

Potem uderzenia ustały.

Rachel stała tuż przy mnie. Było nieznośnie cicho. Coś ostrzegło mnie przed tym, co się za chwilę zdarzy; gdy poczułem, jak nabiera tchu, obróciłem ją tak, żeby być między nią a drzwiami, i w tej chwili strzelba huknęła ponownie.

Tym razem zamknięta przestrzeń spotęgowała grzmot, stalowa wieża zadźwięczała niczym dzwon, a hałas uderzył w nas jak fizyczny cios. Przez kilka sekund, zbyt oszołomiony, by zareagować, stałem tylko z zamkniętymi oczami, osłaniając sobą Rachel i myśląc, że drzwi musiały ustąpić, że stare rygle nie mogły wytrzymać takiej siły. Odwróciłem głowę, aby spojrzeć, w każdej chwili

spodziewając się, że następny wystrzał rozerwie nas na strzępy.

Stalowe drzwi wciąż były zamknięte, rygle tkwiły na miejscu.

W uszach dzwoniło mi boleśnie, siarczany smród spalonego prochu wypełniał pokój. Rachel stała z pobladłą twarzą, gdy czekaliśmy, patrząc na drzwi. Nic się nie stało. Nie było nowych wystrzałów, kolejnych uderzeń. W uszach nadal mi dzwoniło, teraz jednak ten dźwięk zagłuszało łomotanie mojego serca.

– Odeszli? – szepnęła Rachel.

Nie miałem pojęcia. Ktokolwiek to był, mógł zrezygnować albo wciąż tam się czaić. Istniał tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Rachel próbowała mnie odciągnąć, kiedy odsuwałem górny rygiel.

– Co robisz?

– Nie mogę zostawić Lundy’ego.

Sięgnąłem do dolnej zasuw. Stalowa krawędź drzwi była zniekształcona w połowie ich wysokości, czyli strzał był wymierzony w pojedynczy zamek czy zasuwę, które powinny się znajdować w tym miejscu. Częściowo odsunąłem ostatni rygiel, pozostawiając w blokadzie prawie centymetr metalowej sztabki. Zatrzymałem się, nasłuchując jakiegokolwiek sygnału, że ktoś nadal jest na zewnątrz, w nadziei, że będzie dość głupi, by się zdradzić.

Nic się nie stało.

Odwróciłem się do Rachel.

– Bądź gotowa je otworzyć i zarygluj znowu, jak tylko wyjdę.

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nie, powinniśmy poczekać.

– Policz do trzech – poleciłem.

Zamknęła oczy i nagle mnie objęła.

– Bądź ostrożny.

Odliczałem bezgłośnie i w końcu skinąłem głową. Kiedy Rachel odciągnęła zasuwę, szarpnięciem otworzyłem drzwi i wypadłem na korytarz.

Był pusty.

W powietrzu wisiała niebieskawa mgiełka, odór spalonego prochu był tu o wiele silniejszy. Zorientowałem się, że Rachel nie zamknęła drzwi, tylko wyszła za mną, rozszerzonymi oczami wpatrując się w korytarz.

Pokręciła głową.

– Idę z tobą.

Nie było czasu na spory. Ruszyłem w dół schodów, starając się stąpać jak najciszej po metalowej podłodze. W połowie ciemnego korytarza przystanąłem, by upewnić się, że wyjście na dach nadal jest zamknięte i zaryglowane. W tej samej chwili usłyszałem oddalający się warkot silnika.

Odpywała jakaś łódź.

Ale zamiast ulgi poczułem narastający niepokój.

– Lundy?! – wrzasnąłem. – Lundy!

Krzyk odbił się echem w ciszy, po czym usłyszałem cichy, chrypliwy dźwięk dobiegający od strony schodów. Podbiegłem i wtedy go zobaczyłem.

Lundy leżał w ich połowie, na plecach, z jedną nogą podgiętą pod siebie i ramionami wyprostowanymi wzdłuż boków. Cały przód ciała pokrywała krew, a w mdłym świetle zdawało się, że ma coś na brzuchu i piersi. Po chwili zorientowałem się, że to odsłonięte wnętrzości i żebra.

Schody były śliskie od krwi, która zaczęła już krzepnąć, zastygając w lepkich kałużach ściekających z jednego stopnia na następny. Ukłakłem przy inspektorze na ciasnych schodach, ledwie zdając sobie sprawę z obecności Rachel za moimi plecami.

– Lundy? Bob, Bob, słyszysz mnie?

Wciąż żył. Jego pierś unosiła się i opadała, ale z wielkim trudem. Dźwięk, który usłyszałem wcześniej, to był jego oddech – ciężki i świszczący. Miał zdziwiony wyraz twarzy, jego błękitne oczy za obryzganymi krwią okularami co chwila mrugały, kiedy patrzył nad siebie w ciemność.

– O Boże – westchnęła Rachel. – O Boże, spójrz tylko na niego!

Zerwałem z siebie płaszcz i zwinąłem go w rulon.

– Idź na zewnątrz – poleciłem jej, oburącz przyciskając zaimprovizowany tampon do straszliwej rany. – Złap zasięg i zadzwoń po pomoc.

– Czy nie powinnam...

– Zrób to. Już!

Wciąż przyciskając opatrunek, przesunąłem się w bok, by mogła obok nas przejść po schodach. Starła się nie wdepnąć w krew, a gdy mijała mnie ostrożnie, zauważyłem w widniejącej poniżej skrzepniętej kałuży odcisk buta.

Teraz jednak nie zaprzętałem sobie tym głowy. Zmieniając pozycję, aby dać nieco odpocząć rękom, nadal uciskałem ranę. Zwinięty płaszcz już nasiąkł, moje dłonie lepiły się od krwi. Wyływała wolniej, lecz wiedziałem, że to nie moja zasługa.

– Dobra, Bob – mówiłem do niego, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie i pewnie – Rachel poszła dzwonić po pomoc i teraz musisz tylko się trzymać, dopóki tu nie dotrą. Wszystko będzie dobrze. Chcę tylko, żebyś zachował przytomność i skupił się na moim głosie. Okej? Możesz to zrobić, Bob?

Lundy nie odpowiadał, wzrok utkwiał w jakimś punkcie w górze, tylko pierś wciąż powoli unosiła się i opadała. A ja mówiłem. O jego żonie, córce i wnuczce, o jej przyjęciu urodzinowym i wszystkim, co ślina przyniosła mi na język. Nie wiedziałem, czy mnie słyszy, ale mówiłem, bo czułem, że tak powinienem i że jedynie to mogę dla niego zrobić. Wciąż coś głądziłem, gdy wróciła Rachel i stanęła w milczeniu u dołu schodów, i nie przestałem nawet wówczas, kiedy szeroka pierś znieruchomiła, ciężki oddech ucichł i wiedziałem już, że mówię

tylko do siebie.



## Rozdział 27

Deszcz spływał z krawędzi morskiego fortu rozkołysanymi srebrnymi firankami. Co chwila wiatr zwiewał je pod tonący w półmroku spód wieży, a zimne bryzgi spływały za kołnierz i do rękawów, ziębiąc do szpiku kości.

Odplyw odsłonił mieliznę powstałą wokół wieży – gładką brązową wysepkę przy jednej z podpór. Upstrzona wodorostami i pordezwiąłymi puszkami, została zasiedlona przez dziesiątki małych bladych krabów, które wychodziły ostrożnie na dzienne światło i biegały szybko z uniesionymi szczypcami, pozostawiając na mokrym piasku łańcuszki śladów.

Obserwowałem je ze skraju pomostu do cumowania. Zaczynał wracać przyplływ i kraby znikwały, w miarę jak morze ponownie brało w posiadanie mieliznę. Żałowałem, że wkrótce przestanę je widzieć. Przyglądanie się im było pożądanym odwróceniem uwagi od tego, co działo się nad moją głową. Na ramionach miałem koc, zastępujący zniszczony płaszcz, który pozostawiłem w wieży. RHIB policji morskiej stał przy pomoście obok łódki, którą przyplłynąłem razem z Rachel i Lundym, podskakując na falach. Większa łódź motorowa, zakotwiczona nieco dalej na głębszej wodzie, kołysała się mocniej.

Podczas oczekiwania pod wieżą na przybycie służb ratunkowych Rachel ocierała łzy z twarzy.

– To moja wina. Nawet nie chciał tu przyjeżdżać.

Powiedziałem, że nie ma sensu się obwiniać, nie sposób bowiem było przewidzieć, co się stanie, wątpiłem jednak, by to coś dało. Szok był paraliżujący, a ja czułem się bezużyteczny, nawet nie mogąc jej objąć. Na rękach wciąż miałem zakrzepłą krew Lundy’ego, zimną i lepłą, i nie mogłem jej zmyć przed przybyciem policji. Będą musieli zbadać nasze dłonie, by ustalić, czy nie ma na nich osadów prochowych, zanim skreślą nas z listy podejrzanych. Stałem więc tak, czekając i starając się nie myśleć o krwi, która wysychała na mnie.

Najpierw przybyła szybka motorówka straży przybrzeżnej, przywożąc ludzi ze służb medycznych, którzy wspięli się po drabince do Lundy’ego. Ich pośpiech kontrastował z tym, jak wyszli wkrótce później – powoli, z pustymi rękami i pokonani. Kiedy czekaliśmy na policję, zaproponowali koce i gorącą kawę. Potem zjawiała się policja morska, funkcjonariusze z nieco znajomymi twarzami, zapamiętanymi z akcji w rozlewisku ujścia. Wreszcie większa jednostka policyjna, z której wyłonił się pozornie niekończący się pochód techników kryminalistycznych i personelu zabezpieczenia miejsca zbrodni. A może byli to ci sami ludzie, którzy wchodzili i schodzili.

Nie sprawdzałem tego.

Rachel zabrano na brzeg na przesłuchanie i złożenie oficjalnych zeznań. Nie

prosiłem o zgodę na pozostanie, lecz też nikt nie zasugerował, abym się stąd zabierał. Mogłem domyślić się dlaczego i teraz czekałem na pomoście, by nie plątać się nikomu pod nogami, i obserwowałem krzątające się kraby. Poczulem ulgę, gdy członek grupy z sądówki zdjął próbki z moich dłoni i mogłem wreszcie zmyć z siebie krew inspektora. Kucnąłem na skraju pomostu, zanurzyłem ręce w morzu i ścierałem jej zaschnięte pozostałości, pozwalając, aby unosiła je zimna, słona woda.

Było już popołudnie, kiedy motorówka straży przybrzeżnej wróciła z kolejnymi pasażerami. Stuknęła o pomost, ja zaś odwróciłem się i patrzyłem, jak wysiadają z niej Clarke i Frears. Mieli na sobie kombinezony, a inspektor naczelna wyglądała na wściekłą. Spojrzała na mnie, gdy wysiadała z motorówki, korzystając z pomocy funkcjonariusza policji, lecz bez słowa ruszyła prosto do drabinki. Za nią szedł patolog z nietypowo poważnym wyrazem twarzy. Zobaczył mnie i przystanął, jakby z wahaniem.

– Doktorze Hunter. Rad jestem, że nic się panu nie stało. – Spojrzał na wieżę i potrząsnął głową. – Cholernie paskudna sprawa.

Przytaknąłem ruchem głowy. Rzeczywiście.

Cholernie paskudna sprawa.

Wróciłem do obserwowania krabów na zmniejszającej się mieliźnie. Nad powierzchnią wystawał już tylko mały splachetek piasku, kiedy spadła na niego w poszukiwaniu pokarmu pierwsza mewa, w ciągu paru minut dołączyły do niej kolejne i ich krzyki rozbrzmiały wokół wieży. Wciąż oglądałem działania natury toczące się swoim trybem, gdy usłyszałem, że ktoś schodzi po drabince. Poczekałem, aż podejdzie do mnie, i odwróciłem się, stając oko w oko z Clarke.

Powieki inspektor naczelnej były zaczerwienione, a rude włosy bardziej potargane niż kiedykolwiek. Jej głos drżał lekko, przypuszczałem jednak, że to z powodu z trudem opanowywanej wściekłości.

– Co się tu, u diabła, stało?

Powtórzyłem wszystko raz jeszcze, choć wiedziałem, że na pewno już została poinformowana. Nie przerywała, lecz jej wargi zaciskały się coraz mocniej.

– Jezu Chryste – powiedziała, gdy skończyłem. – Jezu Chryste, co jest z wami, do kurwy nędzy! Kto wpadł na ten pomysł?

– Ja.

Widziałem, że mi nie wierzy. Zresztą może już wiedziała, bo Rachel na pewno nie oszczędzała się, składając zeznania. Ale nie miałem zamiaru wskazywać nikogo palcem. Nikt nie zmuszał Lundy'ego, żeby tu jechał. Ani mnie, skoro o tym mowa.

Clarke spojrzała na mnie ostro, a potem odwróciła wzrok na fale za zasłoną deszczu. Uwolnione pasmo rudych włosów trzepotało na wietrze.

– I nie widział pan, kto to był? Zupełnie nic?

– Silnik brzmiał, jakby to była mała łódź, ale tylko tyle mogę powiedzieć.

Westchnęła, z irytacją odsuwając z twarzy nieposłuszny kosmyk.

– Chryste, co za bajzel.

– A technicy? – zapytałem. – Mogą coś odczytać ze śladu buta?

– Niewiele. Jest tylko częściowy i nie ma wzoru na podeszwie ani cech nadających się do identyfikacji. Nie wygląda na startą, więc zapewne to but z gładką podeszwą. Większość powierzchni jest zbyt zardzewiała, by mogła zachować odciski palców, ale znaleźliśmy dwa wyraźne zestawy w pokoju i pięć na aluminiowej drabince. Zakładamy, że trzy z nich należą do was – pana, Rachel Derby i... inspektora Lundy'ego. Nie wiemy jeszcze nic o dwóch pozostałych, ale nie są świeże. Jeżeli macie rację w sprawie sytuacji tutaj, to przypuszczam, że należały do Emmy Derby i Marka Chapela.

Też tak sądziłem. Substancja potowo-tłuszczowa starszych odcisków wyschłaby pod wpływem warunków pogodowych i słonego powietrza. Wzięto ode mnie odciski palców, aby wykluczyć ślady pozostawione przeze mnie, i to samo zrobiono w przypadku Rachel, a nawet Lundy'ego. Jeżeli więc wszystkie pięć zestawów znalezionych przez policję zostało zidentyfikowanych, oznaczało to, że osoba, która wspięła się do wieży i zastrzeliła Lundy'ego, nosiła rękawiczki.

Podobnie jak zabójca Stacey Coker.

– Wiedział, że tu będziemy – powiedziałem.

– On? Myślałam, że nie widział pan, kto to taki.

Powstrzymałem gniewną odpowiedź. Miała rację i powinienem zdawać sobie sprawę, że nie mogę przyjmować żadnych założeń.

– No dobrze, w każdym razie ta osoba, kimkolwiek była, orientowała się, że tu będziemy.

– Tego nie wiemy na pewno.

– A niby z jakiego innego powodu miałyby się tu pojawić? Z tego, co widać, od wielu miesięcy w wieży nie było nikogo i nie może być przypadkiem, że ktoś zjawił się tu w tym samym czasie co my. I to z dubeltówką.

– Co więc chce pan powiedzieć? Że ktoś dał temu komuś cynk?

Jedynym człowiekiem, który mógłby powiedzieć komukolwiek, że wybieramy się do fortu morskiego, był Lundy. Zadzwoił, by powiadomić swój zespół, ale nie byłem w stanie uwierzyć, iż któryś z jego kolegów mógłby przyczynić się do zabicia inspektora.

– Może obserwowano fort, czekając na kogoś. Nie wiem. Po prostu nie wierzę, aby taki zbieg czasowy był przypadkowy.

– Też mi się to nie wydaje prawdopodobne – oznajmiła beznamiętnie Clarke.

– Ale alternatywa jest taka, że ktoś przybył tu, aby z premedytacją zabić inspektora. I dwoje cywilów, skoro się trafili. Co by na tym zyskał?

– Nie dopuściłby do odkrycia, co jest w środku.

– Nie na długo, bo zastrzelenie oficera policji w gruncie rzeczy przyniosłoby odwrotny skutek.

Jej głos ociekał szyderstwem, bo trafiła w sedno. Nawet gdyby mordercy udało się zlikwidować całą naszą trójkę, to gdyby Lundy nie zgłosił się na czas tam, gdzie go wezwano, cała wieża i tak by została rutynowo przeszukana. Zastrzelenie go jedynie zaogłuszyło sprawę.

– Nie twierdzę, że ma to jakiś sens – odparłem ze zmęczeniem. – Ale nasza łódź pozostała zacumowana na dole, a więc było oczywiste, że ktoś jest w środku. Jeżeli nie miał zamiaru nas pozabijać, po co włąził do wieży?

– Nie wiem, doktorze Hunter, rozumie pan? Gdybym wiedziała, cholernie mało brakowałoby mi do złapania tego skurwysyna! – Clarke przez chwilę tarła skronie, starając się opanować. – Niech pan posłucha. Wiemy, że ktoś ukrywał amunicję, a zapewne i dubeltówkę w domu Edgara. Może uznał, że teraz, kiedy Edgara już nie ma, musi znaleźć inne miejsce, i wpadł w panikę, kiedy zorientował się, że tu jesteście.

Przypomniałem sobie uparte próby sforsowania zaryglowanych drzwi. Nie wyglądało mi to na panikę, lecz nie było sensu drażnić tej sprawy. Clarke nie znała więcej odpowiedzi niż ja.

– A co z plamą na podłodze? – zapytałem. – Czy to krew?

Poryw wiatru chlusnął pod wieżę strugami deszczu, robiąc nam prysznic. Clarke wydawała się nie zwracać na to uwagi.

– Też tak sądzimy, wątpię jednak, czy wiele się z niej dowiemy. Pewnie jest Emmy Derby albo Marka Chapela, a przy tej rdzy i słonym powietrzu będziemy mieli szczęście, jeżeli dowiemy się, którego z nich.

– Uważam, że Marka Chapela.

Clarke spojrzała na mnie.

– Słucham?

Miałem dość czasu, żeby wszystko przemyśleć, gdy gapiłem się na kraby, by nie rozmyślać o Lundym leżącym w wieży.

– Wie pani, że na drucie kolczastym najprawdopodobniej było jego ciało?

– Otrzymałam informację – sarknęła ze zniecierpliwieniem. – Proszę dalej.

– Walnięto go tak mocno, że kawałek kości wbił się w jego mózg, a takie uderzenie prawdopodobnie zmiażdżyłoby mu nos. Krwawiłby. Może nie za obficie, jeżeli zmarł od razu, lecz to by mogło wyjaśniać plamę krwi w wieży.

– Twierdzi pan, że tu został zabity? Bardzo wiele pan odczytuje z jednego śladu.

– Nie tylko, bo szkielet Chapela nosi też ślady wielu innych obrażeń. Liczne złamania, jakich można spodziewać się przy upadku, a jedna kość biodrowa została dosłownie wyrwana z panewki stawowej. Coś takiego wymagałoby użycia ogromnej siły. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak powstały te wszystkie obrażenia,

dopóki tutaj nie dotarłem.

Wskazałem na przypominającą rusztowanie konstrukcję składającą się z pomostów i drabin prowadzących od wejścia do wieży.

– Tu jest wystarczająco wysoko – ciągnąłem dalej. – Najlepszym sposobem przemieszczenia zwłok z wieży na dół i do łodzi byłoby rzucenie ich z góry. Potoczyłyby się po stopniach, a gdyby stopa utknęła pomiędzy nimi, impet mógłby połamać kości i wywichnąć staw biodrowy.

Upadek tłumaczyłby także, w jaki sposób kręgosłup uległ złamaniu, chociaż czaszka nie doznała żadnych pęknięć. W czasie spadania głowa byłaby wykręcana i szarpana z wystarczającą siłą, by zniszczyć kręgi szyjne.

Umilkłem, Clarke zaś, marszcząc czoło, zastanawiała się, spoglądając na ociekający wodą spód wieży. Początkowo niepokoila mnie myśl, dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, aby przetransportować zwłoki aż do Backwaters, zamiast po prostu wrzucić je do morza. Niemniej powód łatwo dał się odgadnąć. Było stąd tak blisko do wybrzeża, że istniało spore niebezpieczeństwo, że zostaną wyrzucone gdzieś na brzeg. Ciało oczywiście można było obciążyć, lecz morze naokoło wieży było zamulone i sprawca nie mógł mieć pewności, czy odpływ nie odsłoni zwłok.

Wywożąc je do Backwaters, mógł spokojnie zakładać, że nigdy nie zostaną znalezione, zresztą nawet gdyby tak się stało, nie było żadnych przesłanek łączących je z fortem morskim. A przy tym, po usunięciu wszelkich rzeczy mogących zidentyfikować ofiarę – choć przeoczenie przykrywkę obiektywu i niewielkiej plamy na podłodze było grzechem niedbalstwa – nawet nie trzeba było usuwać z wieży śladów zamieszkania. Wyglądało to raczej na opuszczone obozowisko, a nie miejsce zbrodni, nie istniał bowiem żaden powód, by uważać, że Emma Derby i Mark Chapel kiedykolwiek tu byli.

A także nic, co wiązałoby z tym Leo Villiersa.

Spojrzałem nad morzem w kierunku domu na cyplu. Tu, z dołu, w porównaniu z widokiem z okna wieży wydawał się jakby mniejszy, rozmyty przez bryzgi wody i deszcz.

– Szantażowali Villiersa, prawda?

Gdybym nie był tak wyczerpany, nagłe znieruchomienie Clarke mogłoby mi dać znać, że coś jest nie tak.

– Dlaczego pan tak powiedział?

Byłem zbyt zmęczony na gierki.

– A o co innego mogłoby tu chodzić? Gdyby chcieli mieć tylko miejsce na spotkanie, mogli korzystać z hangaru, nie musieli pchać się aż do fortu morskiego. No dobra, Chapelowi być może podobała się historia z piracką radiostacją, ale chyba nie aż tak, żeby tu biwakować? I to dokładnie naprzeciwko domu Villiersa? Nie robili tego wszystkiego dla zabawy. Szpiegowali go.

Było to jedyne sensowne wytłumaczenie. Fotografie robione teleobiektywem

przez Emmę, nawet fakt, że Chapel zabrał z pracy sprzęt wideo, wszystko na to wskazywało. Para używała fortu jako kryjówki, miejsca do obserwowania domu Villiersa z dużej odległości. A on z tego powodu ich zabił.

Twarz Clarke przypominała maskę.

– A co według nich mogło być warte szantażu?

I tu całe moje rozumowanie brało w łeb. Bez względu na to, czy miał polityczne ambicje, czy nie, Villiers nie wyglądał na osobę podatną na szantaż. Wydawał się niemal kultywować swoją złą reputację, raczej afiszując się swymi wyczynami, a nie ich się wstydząc.

– Nie wiem – przyznałem. – Zniszczył wszystkie zdjęcia i materiały, które były w aparacie i kamerze. A wszelkie kopie zapasowe, jeżeli były, przepadły w czasie włamania.

– Włamania?

Wyraźnie była to dla niej nowość. Cóż, detektyw naczelnej pewnie nie opowiadano o drobnych przestępstwach.

– Traskom ukradziono komputery. Nie tylko im zresztą. W tym samym czasie była cała seria włamań.

– Kiedy to było? – spytała ostro.

– Wkrótce po zaginięciu Emmy Derby – odrzekłem, czując, że zmęczenie paraliżujące mój umysł zaczyna ustępować. – Jak pani myśli, dlaczego zostały ukradzione? Włamania miały być tylko przykrywką?

Clarke zignorowała pytanie.

– Czy mogłaby mieć jakieś inne kopie zapasowe?

– Nie sądzę. Rachel, jej siostra, powiedziała mi, że nie mieli hasła do żadnego dysku sieciowego.

Jeżeli Emma zrobiła jakieś wydruki, nie trzymałaby ich w domu, gdzie mógłby znaleźć je mąż. Prawdopodobnie były w forcie z Chapelem, skąd Villiers zabrałby je razem ze sprzętem.

Najwyraźniej myśli Clarke biegły tym samym torem.

– Jasna cholera.

Do tej pory byłem otępiały. Od postrzelenia Lundy'ego miałem wrażenie, że jestem uwięziony w bańce, obserwowałem wydarzenia, nie czując, że biorę w nich udział. Teraz bańka pękła.

– Nie możecie dłużej tego wyciszać – powiedziałem drżącym głosem. – Ludzie muszą wiedzieć, że Villiers wciąż żyje.

Clarke patrzyła na smagane wiatrem morze.

– To nie takie proste.

– Dlaczego? Jezu Chryste, co jeszcze miałyby zrobić? – Nie obchodziło mnie, jak potężny jest sir Stephen Villiers, nawet on nie mógł dłużej nakładać wszystkim kagańca. – Już nie chodzi tylko o Emmę Derby. Z tego, co wiemy, zamordował

trzy, nie, cztery inne osoby! Zastrzelił oficera policji, na litość boską!

– Myśli pan, że trzeba mi o tym przypominać? – zachnęła się gniewnie. Nasze podniesione głosy przyciągnęły spojrzenia techników kryminalistycznych na górnym pomoście. – Znałam Boba Lundy’ego od piętnastu lat! Byłam na chrzcinach jego wnuczki i nie miej pan cienia wątpliwości, że poruszę niebo i ziemię, żeby złapać skurwiela, który go zastrzelił! Ale to nie był Leo Villiers.

Gapilem się na nią oszołomiony. Teraz dopiero przypomniałem sobie telefon odebrany wcześniej przez Lundy’ego i jak tłumaczył, dlaczego musimy wracać.

– Wszystko źle zrozumieliśmy. Wszystko.

– Skąd pani wie? – zapytałem, czując, jak mój gniew się ulatnia.

Clarke przez chwilę patrzyła na mnie wściekłym wzrokiem, a potem się odwróciła, potrząsając z irytacją głową.

– Ponieważ od rana siedzi w areszcie.

## Rozdział 28

Późnym rankiem kobieta pchnęła ciężkie szklane drzwi i weszła do budynku komendy policji. Młody posterunkowy za biurkiem rozmawiał przez telefon. Zerknął na kobietę, nie całkiem zawodowo oceniając, że wystrzałowca z niej sztuka, a potem gestem dał jej znać, że zaraz się nią zajmie. Kobieta czekała spokojnie, lecz kiedy rozmowa telefoniczna zaczęła się przeciągać, policjant dostrzegł oznaki nerwowości. I zniecierpliwienia. Jedną dłoń zacisnęła się na pasku torebki od Hermès'a tak mocno, że pobieliała, a długie palce drugiej wybijały nerwowy rytm na przedramieniu.

Młody posterunkowy wreszcie skończył rozmowę i zwrócił twarz w jej stronę. Kobieta była naprawdę atrakcyjna, w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat, wysoka jak modelka, z gęstymi, niemal czarnymi włosami i wspaniałą figurą. Ubranie miała świetnie skrojone i nawet dla niewprawnych oczu kosztowne, a chociaż nie znał perfum, których używała, ich zapach mu się podobał. Oparł się więc o kontuar, przywołując swój najlepszy uśmiech, i zapytał, w czym może pomóc.

Głos kobiety też zaskakiwał, był niski i miękki. I brzmiało w nim wahanie. Powiedziała, że chce rozmawiać albo z inspektorem naczelną Clarke, albo inspektorem detektywem Lundym. Tylko z którymś z nich, zaznaczyła, z lekką nutą stanowczości. Kiedy poprosił o więcej informacji, odmówiła, powtarzając, że będzie rozmawiała tylko z Lundym lub Clarke. To już nie brzmiało jak prośba, dlatego uśmiech posterunkowego nieco przybladł i przestał nonszalancko rozwalać się na kontuarze.

Stwierdził, że jest w niej coś znajomego, toteż wracając do formalnego zachowania, wziął do ręki pióro i poprosił o nazwisko. Gdy je wymieniła, pomyślał, że się przesłyszał. Poprosił, by powtórzyła, i tym razem wiedział, że się nie pomylił. Gapił się na nią przez chwilę z otwartymi ustami.

A potem złapał za słuchawkę.

Lundy był nieosiągalny. Jechał właśnie do Backwaters na spotkanie ze mną i mogło minąć sporo czasu, zanim wiadomość do niego dotrze. Na szczęście Clarke była już w centrali, przygotowując się do krótkiego zebrania w sprawach budżetowych, kiedy zaś, zdenerwowana i już w złym humorze, usłyszała od sierżanta detektywa, że ktoś pyta o nią w recepcji na dole, odpowiedziała zwięźle i dobitnie. Wtedy podał jej nazwisko gościa.

Clarke odwołała zebranie.

W kabinie obserwacyjnej przy pokoju przesłuchań Clarke wpatrywała się w monitor, na którym widać było kobietę siedzącą w pomieszczeniu. Starła się robić wrażenie spokojnej, niemniej zdradzał ją sposób bycia. Bębniła palcami po



stole, wierciła się na krześle i z niepokojem zerkała w kamerę wideo. Do tego czasu wiadomość się rozeszła i do kabiny zaczęli napływać inni oficerowie, by zobaczyć ją na własne oczy. Nie każdego dnia ktoś uważany za zmarłego wkracza do komendy policji, a z całą pewnością nie ktoś taki. Clarke w końcu otrząsnęła się z szoku i kazała wszystkim się wynosić, oczywiście poza ludźmi bezpośrednio związanymi z dochodzeniem. Potem przez kilka chwil zbierała się w sobie, aż wreszcie wyprostowana ruszyła do pokoju przesłuchań.

Ciemnowłosa kobieta spojrzała czujnie na wchodzącą inspektor naczelną. Już się spotykały, chociaż Clarke nie zdołałaby rozpoznać siedzącej przed nią osoby nawet za milion lat. Teraz jednak wiedziała, kim jest, wiedziała, czego szukać, i nie miała wątpliwości. Mimo wszystko trzeba było załatwić tę sprawę w sposób formalny.

Kobieta uniosła podbródek, gdy Clarke poprosiła ją o podanie nazwiska. Jej spojrzenie było mieszanką nerwowości i wyzwania.

– Nazywam się Lena Merchant – odpowiedziała. – A wcześniej Leo Villiers.

\* \* \*

Oszołomiony patrzyłem na Clarke, zapominając o zimnie i deszczu.

– Mówi pani serio?

Palnąłem bez sensu, nieco ogłupiały, lecz sama inspektor naczelną wyglądała, jakby miała trudności z uwierzeniem.

– Całkowicie. Villiers jest transpłciowy. Właśnie tę wielką tajemnicę ukrywał. Wciąż czeka na operację, ale jest to stadium przejściowe, tak to chyba nazywają. Spędził ostatnie kilka tygodni w prywatnej klinice w Sussex. Kryjówce dla ludzi mających problemy z tożsamością płciową, pragnących prywatności i przestrzeni dla siebie. Takich, których na to stać – dodała, wracając do dawnej zjadliwości.

Zmagalem się, aby to sobie przyswoić.

– Był tam przez cały czas? Od kiedy zniknął?

– Na to wygląda. Zerwał wszelkie zewnętrzne kontakty, wobec czego nie miał pojęcia, co się dzieje. Był tam także, kiedy zaginęła Emma Derby, dlatego nie chciał przedstawić alibi. Nie mógł go ujawnić, bo wtedy musiałby zdradzić, że jest osobą transpłciową, a jeszcze nie był na to gotów. Zapewne jeszcze długo by nie wyszedł z ukrycia, gdyby wczoraj nie przeczytał miejscowej gazety, w której podano, że w ujściu znaleziono jakoby jego zwłoki.

Chryste. Lundy miał rację, że Villiers gdzieś się ukrywa – tyle że z zupełnie innych powodów, niż wszyscy myśleli.

– Wierzy mu pani? – zapytałem, wciąż nie do końca przekonany.

Clarke zastanawiała się, nie zwracając uwagi na rudy kosmyk trzepoczący na jej policzku.

– Jeszcze musimy to wszystko zweryfikować. Ale tak, wierzę. Klinika

potwierdziła jego historię, a on sam zgodził się ujawnić nam swoją dokumentację medyczną. Nic dziwnego, że jego ojciec nie chciał, by ktokolwiek ją zobaczył. Wszystko tam jest, od wielu lat. Villiers został skierowany do psychiatrii po nieudanej próbie samobójczej i okazało się, że zawsze czuł się kobietą, lecz nie chciał się do tego przyznać, nawet przed samym sobą, za co na dobrą sprawę, jeżeli wziąć pod uwagę jego historię rodzinną, nie mogę go ganić. Nie zmienia to faktu, że był dupkiem, pozwala jednak zrozumieć dlaczego.

Owszem. Miałem do czynienia z transpłciowymi pacjentami, kiedy przygotowywałem się do pracy lekarza rodzinnego. Fakt, że ktoś mógł się urodzić z tożsamością seksualną niezgadającą się z jego płcią biologiczną, był dobrze znany w medycynie, niemniej społeczeństwo dopiero zaczynało się z tym oswajać. Teraz tolerancja była większa, ludzie jednak nadal woleli utrzymywać taki problem w tajemnicy.

Nowa wiedza stawiała w zupełnie innym świetle sposób zachowania Leo Villiersa. Ostentacyjne uganianie się za kobietami teraz zaczęło wyglądać na desperacką próbę wyparcia. Pijaństwo i depresja, nawet rzekomy list samobójczy, też nabrały całkowicie innego znaczenia.

Jak powiedział Lundy, wszystko było kwestią perspektywy.

– Dlatego właśnie go szantażowano – domyśliłem się.

Clarke kiwnęła głową.

– W ubiegłym roku dostał zdjęcia. Ktoś zrobił mu je przez okno. Jak się przebiera, robi sobie makijaż, nakłada perukę, przymierza suknie. Dołączono do tego anonimowy list z informacją, że jest też film wideo i wszystko zostanie wrzucone do internetu, jeżeli w ciągu tygodnia nie zapłaci pół miliona.

– Nie wiedział, kto mu to przysłał?

– Nie, ale podejrzewał, że maczała w tym palce Emma Derby. Była fotografem i miała dostęp do jego domu, gdy projektowała wnętrza. Villiers miał garderobę, w której trzymał kobiece ubrania, i pewnego dnia przez nieuwagę zostawił ją niezamkniętą. W domu była wtedy Derby, dlatego uważa, że musiała ją znaleźć i dodać dwa do dwóch. Sądzę teraz, że mówił prawdę, zaprzeczając ich romansowi. Choć ona najwyraźniej coś w tej sprawie próbowała, miała więc dobry powód, aby mu zaszkodzić.

Pomyślałem o tym, co Rachel mówiła mi o swojej siostrze, przypomniałem sobie wystudiowany autoportret w hangarze. Emma Derby zapewne poczuła się upokorzona odrzuceniem przez Leo Villiersa, co stawiało w zupełnie innym świetle lodowatą atmosferę i publiczne awantury, o których wspominali świadkowie. Nie chodziło o koniec romansu, tylko o odrzucenie propozycji jego nawiązania.

– A co z półnągą kobietą, którą sprzątaczką widziała w jego sypialni? – zapytałem, właściwie wiedząc, co mi odpowie.

– To był on. A raczej „ona”. – Clarke pokręciła głową. – Zaczął być

nieostrożny. Przekonywał się już, że cały ten cyrk trudno podtrzymać, a kiedy zaczęto go szantażować, wpadł w panikę. Nie miał takich pieniędzy, zatem właściwie po prostu uciekł. Pojechał do kliniki, żeby spróbować podjąć decyzję, czy chce przemianę, czy nie. Ostatecznie uznał, że nie czuje się gotowy, aby poddać się, że powiem obrazowo, ostatecznemu cięciu, i wrócił do domu, spodziewając się, że gówno trafi w wentylator. Co też się stało, ale nie w taki sposób, jak oczekiwał.

Usiłowałem sobie wyobrazić tę sytuację. Villiers zamienił jeden koszmar na drugi. Zamiast ujawnić skrywaną tajemnicę, stał się głównym podejrzanym w sprawie zaginięcia Emmy Derby. I nie mógł udowodnić niewinności, nie ujawniając jednocześnie swego sekretu. Po raz pierwszy poczułem coś, w co nie byłbym w stanie uwierzyć – że Leo Villiers wzbudzi we mnie pewien stan emocji.

Współczucie.

– Dlaczego więc tak długo zwlekał z powrotem do kliniki? – zapytałem.

– Był w paskudnych tarapatach – oznajmiła po prostu Clarke. – Nie miał pojęcia, co się dzieje, a teraz pojawiły się jeszcze wszystkie te pytania i wytykające go palce, z którymi musiał sobie poradzić. Faszzerował się prochami uspokajającymi, dużo pił i mówi, że rzeczywiście zastanawiał się nad samobójstwem. Przynajmniej w jednej sprawie mieliśmy rację. Czarę goryczy przepełniła śmierć jego psa.

– Psa?

– Wiem. – Clarke uśmiechnęła się lodowato. – Uwierzy pan, że niemal się popłakał, tylko o tym opowiadając. Dostał go jako szczeniaka, kiedy był na życiowym zakręcie, i jak mówi, było to jedyne stworzenie, które nie dbało o to, kim lub czym jest. Powiedział, że gdy musiał kazać go uśpić, coś w nim pękło. Został tylko po to, żeby go pogrzebać, a potem po prostu odszedł. Dosłownie. Wsiadł do pociągu i wszystko zostawił. Dom, samochód, wszystko. Mówi, że nie chciał już mieć z tym nic wspólnego.

Kiedy Clarke relacjonowała zeznania Villiersa, w jej głosie pobrzmiwał niejaki sceptycyzm, lecz w tym nowym kontekście jego reakcja wydawała się nietrudna do zrozumienia. Niekiedy jakiś finalny stres powoduje, że wszystko się wali. Chociaż nasze sytuacje były skrajnie odmienne, nietrudno mi było wyobrazić sobie, że życie stało się dla niego nie do zniesienia i jedynym sposobem ocalenia było zerwanie z nim całkowicie.

Kiedyś sam tak zrobiłem.

Mimo wszystko, chociaż tłumaczyło to, dlaczego rachunki bankowe i karty kredytowe Villiersa nie były używane od chwili jego zniknięcia, pojawiała się następne pytanie.

– Skoro nie używał swoich pieniędzy, w jaki sposób zapłacił za klinikę?

– Och, właściwie nie był bez grosza. – Clarke z irytacją odsunęła z twarzy

trzepoczący loczek. – Matka zostawiła mu fundusz powierniczy, dzięki któremu mógł się nie martwić, że umrze z głodu. Przed zamążpójściem nosiła nazwisko Merchant i odcinanie się od dawnego życia wyraźnie nie objęło tego szczegółu. To była jedyna rzecz łącząca go z ojcem, z którą nie chciał nic zrobić.

Wspominając sposób bycia sir Stephena, domyślałem się, że działało to w obie strony. Pomyślałem o lodowatym uporze, z jakim twierdził, że zwłoki znalezione w ujściu należą do jego syna. Lundy od samego początku twierdził, że ojciec Leo coś ukrywa, i teraz wiedzieliśmy co. Mój syn nie żyje, dobrze zapamiętałem te słowa.

W odczuciu sir Stephena zapewne tak było.

– Czy Villiers wie, kogo znaleźliśmy w jego ubraniu? – zainteresowałem się. Clarke z rozdrażnieniem kiwnęła głową.

– Dlatego wrócił. Anthony’ego Russela, dwudziestosześcioletniego byłego modela i tancerza. Półkrwi Indonezyjczyk ze strony matki, pracował w londyńskiej firmie, w której transseksualni mężczyźni i kobiety mogą przy drzwiach zamkniętych przymierzać ubrania. Był kolejną tajemnicą Villiersa. Zazwyczaj spotykali się w Londynie, niekiedy jednak przyjeżdżał na Willets Point. Miał mniej więcej te same wymiary co Villiers i w czasie pobytu często używał jego ubrań. Ale nie butów. Miał większe stopy.

I palce młotkowate, pomyślałem. Częsta dolegliwość tancerzy. Powiedziałem Lundy’emu, że moim zdaniem denat mógł być atletycznie zbudowany, lecz nie skojarzyłem tych faktów. Częściowo indonezyjskie pochodzenie zapewne tłumaczyło różnorodne cechy charakterystyczne czaszki, a być może także zeznanie ogrodnika, że widział na Willets Point podejrzanego typu. Nie był to włamywacz czy uchodźca, tylko kolejny element prywatnego życia Villiersa, który ten chciał zachować w tajemnicy.

Przyszło mi do głowy coś jeszcze.

– Czy Russel był daltonistą? – zapytałem, przypominając sobie krzykliwe fioletowe skarpetki.

– Nie mam pojęcia. A bo co?

– Tak sobie pomyślałem.

Clarke spojrzała na mnie dziwnie, ale mówiła dalej:

– Russel był jedynym człowiekiem, który wiedział, że Villiers jest transpłciowy. Pokłócili się, kiedy Leo powiedział mu, że ma zamiar dokonać przemiany. Najwyraźniej Russel miał kosztowne nawyki i lubił relaksować się prochami, zatem wizja Villiersa biednego i przemienionego była znacznie mniej atrakcyjna niż bogatego pozostającego w ukryciu. Villiers na zakończenie rzucił na ziemię klucze od domu i wypadł na zewnątrz, oświadczając Russelowi, że skoro tylko to go obchodzi, może sobie wziąć, co zechce. Nie oczekiwał, że jego słowa zostaną wzięte dosłownie, kiedy jednak przeczytał o zwłokach, domyślił się,

o kogo chodzi.

– Czy Villiers ma jakąś teorię, kto mógł go zabić?

– Nie, lecz Russel lubił zabawy z dubeltówką. Strzelał do butelek, do mew. Chociaż Villiers nie sądzi, by zastrzelił się umyślnie, mówi, że coś takiego mogło się zdarzyć, gdy był pijany bądź na haju.

– Pani też tak myśli? – chciałem się upewnić.

– Sądzę, że gdyby tak było, do tej pory znaleźlibyśmy już strzelbę. No i jestem daleka od uwierzenia, że cokolwiek w tej sprawie było przypadkowe – stwierdziła z goryczą.

Odgłos kroków kogoś schodzącego po drabince sprawił, że oboje się odwróciliśmy. Ale to był tylko Frears. Niezgrabny, w obszernym kombinezonie, anatomopatolog zszedł nieporadnie na dół i zbliżył się do nas. Wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

– To, czego się spodziewaliście – oznajmił bez typowej dla niego nonszalancji. – Pojedyncze trafienie ze śrutówki w brzuch i dolną część klatki piersiowej, rozległe obrażenia i utrata krwi. Wygląda na to, że zabójca zaskoczył go, gdy był w połowie schodów. Minimalny rozrzut, strzał nie mógł być oddany z odległości większej niż sześć, siedem jardów. Znalezione śruciny wyglądają na bizmutowy śrut na ptaki, zapewne numer cztery lub pięć. Niezbyt duże, ale z takiej odległości nie zrobiło to większej różnicy.

Znalezione naboje zawierały śrut na ptaki numer pięć i były raczej bizmutowe niż ołowiane, tak jak naboje w domu Leo Villiersa.

– Jeżeli to jakieś pocieszenie, wątpię, czy Lundy wiedział, co się stało – brzmiało to niemal jak przeprosiny. – Przy takim obrażeniu szok powoduje, że organizm wyłącza się niemal natychmiast. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że wystrzał nie zabił go na miejscu.

Jak na dany znak wokół nas zaczął się ruch. Przyglądaliśmy się w milczeniu, jak znoszą z wieży ciało Lundy'ego. Przywiązany do noszy worek na zwłoki opuszczono na górną kładkę. A potem jeden z funkcjonariuszy zszedł po drabince i przytrzymał nosze, by nie szarpał nimi wiatr, pozostali zaś powoli opuszczali je na linie na niższy poziom. Ruszyłem, żeby pomóc, lecz wokół drabinki było już tłoczno. Wyciągnięte ku górze ręce podtrzymywały nosze i wreszcie złożyły brzemień na platformie.

Clarke stała blada, z zaciśniętymi ustami, patrząc na zwłoki inspektora przenoszone do czekającej motorówki.

– Co teraz? – zapytałem ją, gdy Frears także zszedł do łodzi.

– Co teraz? – powtórzyła ponuro. – Teraz spotkam się z Sandrą Lundy. A potem będę dalej przesłuchiwać Leo Villiersa, czy też pieprzoną Lenę Merchant, czy jak tam jeszcze może się nazywać, żeby sprawdzić, czy wie coś więcej. Od samego początku poczyniono w tym śledztwie za dużo założeń, zwłaszcza na temat

roli Emmy Derby w całej tej sprawie. I skoro już o tym mowa, zaczyna mnie dziwić, że wciąż nie znaleźliśmy jej ciała. A po tym, co zaszło dzisiaj, niczego nie uważam za pewnik.

Kiedy dotarło do mnie znaczenie jej słów, poczułem przebiegający mi po grzbiecie dreszcz, który nie miał nic wspólnego z zimnem. Od samego początku zakładano, że zaginiona żona Traska padła ofiarą Leo Villiersa. Jeżeli myliliśmy się w tej kwestii, podawało to w wątpliwość także całą resztę. Wszystko zaczęło się od zniknięcia Emmy Derby, lecz spośród wszystkich ofiar jedynie jej zwłoki pozostawały podejrzenie nieobecne.

A co, jeśli siostra Rachel była winna czegoś więcej niż szantażu?

– Wyda mi pani teraz jakieś dyspozycje? – spytałem.

Clarke przestała patrzeć na motorówkę.

– Po złożeniu zeznań może pan wracać do Londynu.

– Do Londynu? – zdziwiłem się. – Nadal mam pewne rzeczy do ukończenia w prosektorium...

– Mogą poczekać. W chwili obecnej jest pan zbyt zaangażowany w tę sprawę i nie stać mnie na dalsze komplikacje wynikające z tego, że jeden z moich konsultantów uwikłał się w kontakty z rodziną ofiary. Nie po tym wszystkim.

– Ale jestem w stanie nadal...

– Ja nie proszę, doktorze Hunter – przerwała Clarke nieoczekiwanie surowym tonem. Westchnęła. – Proszę posłuchać. Doceniam pańskie starania i wiem, że chciałby pan złapać tego, kto to zrobił. Ale pan nie może. Musi pan od tej pory pozwolić nam samym załatwić tę sprawę.

Nie mogłem dalej się spierać. Gdy zobaczyłem zmęczenie na jej twarzy i przypomniałem sobie Lundy'ego, wszelkie argumenty utraciły sens.

Kiwnąłem głową.

– Dziękuję. – Odwróciła się, mówiąc na odchodnym: – Jeszcze jedno. Dopóki nie dowiemy się, co jest grane, będę wdzięczna, jeżeli nie spotka się pan z nikim związanym z tym dochodzeniem. Dosłownie z nikim, jasne?

Rude włosy trzepotały wokół jej twarzy, gdy wbijała we mnie spojrzenie, upewniając się, że wszystko zrozumiałem. Potem zrobiła zwrot na pięcie i pomaszerowała do motorówki.

Pode mną, na kurczącej się mieliźnie, mewy walczyły hałaśliwie o ostatnie z białych krabów.

\* \* \*

Pogoda była parszywa, gdy wieziono mnie na brzeg RHIB-em jednostki morskiej. Uderzenia wiatru pędziły deszcz niemal poziomymi falami, niemożliwymi do odróżnienia od bryzgów wzbijających się spod tępego dziobu. W otwartym kokpicie nie było żadnej osłony i dygotałem pomimo pożyczonej mi wodoodpornej kurtki. Była gruba, lecz jaskrawożółty plastik nie miał podszewki.

Funkcjonariusze jednostki morskiej byli uprzejmi, ale zdystansowani, mało mnie to jednak obchodziło. I tak nie miałem nastroju do rozmów.

Większa jednostka straży przybrzeżnej zabrała Clarke i Frearsa dalej w dół wybrzeża, do głębokowodnego portu, z którego zwłoki Lundy'ego mogły zostać przewiezione do kostnicy. RHIB skierował się do przystani przetwórnicy ostryg, gdzie zorganizowano punkt dowodzenia sytuacjami kryzysowymi. Za nami podskakiwała i kołysała się na holu mała łódka, którą Rachel, Lundy i ja wybraliśmy się do morskiego fortu.

Teraz zdawało się to wieki temu.

RHIB stuknął o nabrzeże, kiedy na zachmurzonym niebie coraz szybciej dzień zmieniał się w przedwczesny zmierzch. Wspiąłem się po tych samych stopniach co wtedy, gdy odzyskiwaliśmy ciało na Barrows. Było coś nierealnego w tym, jak znowu szedłem po upstrzonym kałużami betonie w kierunku policyjnej przyczepy, by złożyć oficjalne zeznania. Kilkakrotnie traciłem koncentrację i odbierająca je funkcjonariuszka musiała powtarzać pytania.

– Przepraszam, co? – zapytałem, uświadamiając sobie, że kolejny raz odpłynąłem.

– Pytałam, czy chce pan zobaczyć się z lekarzem. – Okrągła twarz młodej kobiety była profesjonalnie zatroskana. – Może pan odczuwać skutki szoku.

Zapewne miała rację, ale nie czułem takiej potrzeby. Jediną osobą, z którą chciałem się widzieć, była Rachel i wciąż nie wiedziałem, co z tym zrobić. Do tej pory mogli jej pozwolić wrócić do domu, nie sądziłem jednak, by pojawienie się w Creek House było dobrym pomysłem, chociaż Clarke nie zabroniła mi tego kategorycznie.

Niemniej bez względu na to, co powiedziała inspektor naczelna, nie mogłem wyjechać, nie porozmawiawszy z Rachel choćby telefonicznie. Wychodząc z przyczepy, wyjąłem komórkę i przeszedłem na zawietrzną przetwórnicy z zabitymi deskami oknami, żeby do niej zadzwonić. Po włączeniu się poczty głosowej zostawiłem wiadomość, żeby oddzwoniła, i starałem się wymyślić, co robić dalej.

Znowu ogarnęło mnie odczuwane już wcześniej otępienie. Wiedziałem, że Clarke będzie na mnie wściekła za próby skontaktowania się z Rachel, ale nie miało to teraz znaczenia. Obiektywnie rzecz biorąc, zdawałem sobie sprawę, że moje zawieszenie jest tymczasowe i pozostaje kwestią czasu, kiedy wszystko, co się zdarzyło, dopadnie nas znowu. Ale teraz działałem automatycznie, skupiając się wyłącznie na tym, co znajdowało się bezpośrednio przede mną.

W tej chwili problemem było, jak dostać się do hangaru, obok którego zostawiłem samochód. Żaden z policjantów sam z siebie nie zaproponował, że mnie podwiezie, a nie miałem zamiaru prosić ich o to w takim momencie. Stałem kilka minut w deszczu ściekającym po pożyczonej kurtce i patrzyłem tępo na wzburzoną powierzchnię rozlewiska, nim zdałem sobie sprawę, że odpowiedź mam

pod samym nosem.

Jeden z funkcjonariuszy jednostki morskiej właśnie odwiązywał hol małej łódki Traska od RHIB-a, ja zaś zaproponowałem, że odprowadzę ją do hangaru, skąd łatwo będzie można ją odebrać. Nastąpiła krótka dyskusja przez radio, policja jednak miała ważniejsze sprawy na głowie niż zwracanie łodzi właścicielowi.

– Jest pan pewien, że da sobie radę w tych warunkach? – zapytał sierżant jednostki morskiej, spoglądając na upstrzone białą fale.

– Muszę tylko dostać się do strumienia.

– Dobra, ale na pana miejscu zabrałbym się stąd jak najszybciej. – Zerknął na ponure niebo, woda spływała z jego żółtej kurtki. – Mamy pływ syzygijny i będzie gorzej, zanim się polepszy. Dostaliśmy polecenie zabrania wszystkich z fortu morskiego w czasie następnej godziny bez względu na to, czy skończyli, czy nie, a pan nie powinien być na wodzie dłużej, niż musi.

Odpowiedziałem, że nie mam takiego zamiaru, choć w gruncie rzeczy miałem gdzieś pogodę – żeglowałem już w gorszych warunkach, w dodatku będę szedł z pływem, a nie przeciwko niemu. Silnik zaskoczył przy drugiej próbie, lecz gdy tylko odbiłem od nabrzeża, poczułem napór prądu na łódź i mimo że spodziewałem się tego, szarpnęło mną jak diabli. Walczyłem z motorówką próbującą wyrwać się spod kontroli, aż zdołałem obrócić dziób i ruszyłem w górę rozlewiska w kierunku strumienia.

Kiedy znalazłem się na środku, zrobiło się łatwiej. Ujście było wprawdzie bardziej wzburzone niż kiedykolwiek, ale nie aż tak, by grozić zalaniem łodzi. Byłem zadowolony, że mam czym zająć myśli, a rytm szarych fal działał hipnotycznie. Kołysząc się wraz z ruchem łodzi, stwierdziłem, że nie myślę o niczym poza prostym zadaniem utrzymania dziobu na kursie. Nagle większa fala huknęła o kadłub i wzdrygnąłem się, gdy w głowie zadudnił mi echem strzał z dubeltówki.

Otępienie błyskawicznie minęło. Głęboko odetchnąłem powietrzem przesyconym zimnymi, słonymi kroplami i wreszcie dotarło do mnie w pełni znaczenie niedawnych zdarzeń. Miałem aż za dużo do przemyślenia. Rewelacje związane z Leo Villiersem, odsunięcie mnie od śledztwa i niepewność w stosunku do Rachel. Wszystko to stało się nieważne po zamordowaniu Lundy'ego. Myśl o tym wykańczała mnie fizycznie. Bez względu na to, co powiedziała Clarke, ktoś dostał się do fortu z zamiarem zabicia nas wszystkich. Ktoś, kto zamordował już cztery osoby, w tym przynajmniej dwie tylko dlatego, że znalazły się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. A teraz, kiedy Leo Villiers został wykluczony, nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, kto to zrobił.

Ani dłaczego.

Zdekoncentrowany, niemal przegapiłem ujście strumienia. Gdy zdałem sobie sprawę, jak szybko się zbliża, natychmiast skierowałem dziób w jego stronę, lecz



nie doceniłem siły pływ. Silnik zawył, gdy otworzyłem przepustnicę, robiąc ostrzejszy zwrot, by zrównoważyć napór nurtu, przez co fale zaczęły uderzać z boku. Złapałem za siedzenie, kiedy jakaś większa walnęła w burtę, wlewając do środka lodowatą wodę i prawie przewracając łódź, a po wyrównaniu motorówki rozejrzałem się wokoło i dopiero wtedy zauważyłem, jak bardzo pogorszyły się warunki. Rozlewisko było kłębowiskiem poszarpanych fal, już uderzających blisko szczytu brzegów. Najwyższy poziom przyływu miał nastąpić za dwie godziny i ponieważ przypomniałem sobie, co policjant z jednostki morskiej mówił o pływach syzygijnych oraz ostrzeżeniach przed powodzią. Byłem wtedy tak zaabsorbowany, że puściłem jego przestrogi mimo uszu, teraz jednak już nie mogłem ich zlekceważyć.

Ujście strumienia przesunęło się obok z niepokojącą prędkością. W żaden sposób nie mogłem do niego dotrzeć, nie wystawiając burty łodzi na pełną siłę fal, już wcześniej zaś niewiele dzieliło mnie od wywrotki. Ocierając z twarzy bryzgi wody, odwracałem dziób i wreszcie znowu podążałem z pływem. Już minąłem strumień, lecz nic nie mogłem na to poradzić. Spoglądając za siebie, usiłowałem ocenić rytm rozkołysu, aż w końcu ponownie dodałem gazu i położyłem motorówkę w ciasny zakręt. Zaczęła się kołysać i przechylać, gdy fale uderzały w jej burtę, ale wreszcie dziób wyszedł na kurs i łódź zaczęła iść prosto pod fale, w górę zalewu i w stronę strumienia.

Oznaczało to, że walczę przeciwko pełnej sile pływ i wiatru. Silnik pracował ciężko i wydawało się, że łódź ledwo posuwa się naprzód, uderzając raz za razem w fale. Przez pełne niepokoju minuty miałem wrażenie, że strumień wcale się nie zbliża, i pomyślałem, że nie będę miał wyboru i albo skieruję się dalej w głąb rozlewiska, albo spróbuję dobić do najbliższego brzegu. Kładzione wiatrem trawy porastające ujście strumienia jednak powoli się zbliżały i w końcu mogłem wprowadzić motorówkę na stosunkowo bezpieczne wody.

W miejscu zderzenia pływ i nurtu strumienia wciąż silnie kołysało, ale było to nic w porównaniu z tym, co działo się na otwartym rozlewisku. Poczułem sól, ocierając z twarzy deszcz zmieszany z wodą morską i oddychając z ulgą, gdy pływ niósł łódź w górę strumienia w głąb Backwaters. Kiedy już nie musiałem aż tak bardzo walczyć z łodzią, mogłem ocenić, jak nienormalnie wysoki jest poziom wody. Wezbrany strumień już przelewał się przez najniższe odcinki brzegów i zatapiał okoliczne pola. A przyływ wciąż trwał.

Chociaż wiedziałem, że ta część kraju jest podatna na zalania, czego ślady widziałem na drzewach i budynkach, to jednak nie zdawałem sobie wcześniej sprawy, jak szybko może nastąpić powódź. Pogoda nawet nie była jakoś szczególnie zła, a w porównaniu z atlantyckim sztormem, w jaki dostałem się kiedyś na Hebrydach Zewnętrznych, był to zaledwie mocniejszy wiatr. Ale Hebrydy były fortecami składającymi się z klifów i skał, natomiast tutejszy

położony nisko teren łatwo ulegał kaprysom pływów, bezbronny i podatny na zatopienia.

Jak teraz. Sterując małą łodzią w górę strumienia, ledwie mogłem się rozeznąć w otaczającym mnie krajobrazie. Piaszczyste pagórki były teraz miniaturowymi wyspami, długie trawy sterczały z fal. Robiło się też coraz ciemniej, gdy i tak skąpe już światło dnia tłumili ciemne chmury deszczowe.

Niemniej byłem coraz bliżej, wciąż nie mając pojęcia, co zrobię po powrocie do hangaru, i wtedy, jakby pod wpływem moich myśli, zadzwonił telefon. Zmniejszyłem obroty silnika i grzebiąc w kieszeni, pozwoliłem nieść się przyplywowi.

Dzwoniła Rachel.

– Dostałam twoją wiadomość – powiedziała głosem zanikającym z powodu złego odbioru.

– Chcę się dowiedzieć, co u ciebie. Wróciłaś do domu?

– Tak, po złożeniu zeznań złapałam taksówkę. Gdzie jesteś, ledwo cię słyszę?

Odwróciłem się plecami do wiatru, usiłując osłonić telefon przed podmuchami i deszczem.

– Na strumieniu. Odprowadzam łódkę.

– Dajesz sobie radę?

– Już prawie jestem na miejscu. – Przerwałem, by ominąć cały krzak, który musiał zostać zmyty z brzegu, teraz zaś spływał strumieniem. – Co chcesz, żebym zrobił z łodzią?

– Nie ma znaczenia, po prostu ją tam zostaw. – Miała zmartwiony głos. – Słyszałeś?

Przez chwilę byłem zdezorientowany, nie mogłem zrozumieć, dlaczego mnie pyta, skoro oboje byliśmy w morskim forcie. Aż nagle doszło do mnie, że nie mówi o zastrzeleniu Lundy'ego. Chodziło o coś innego.

– O czym?

Jej głos zanikł, a później powrócił wystarczająco głośny, abym mógł usłyszeć – ...policja zabrała Andrew na przesłuchanie.

O Chryste, pomyślałem. Clarke nie traciła czasu.

– Myślałem, że w tym czasie spotkał się z klientem? Tamten nie mógł potwierdzić, że był z nim?

– Klient odwołał spotkanie w ostatniej chwili i dlatego Andrew i tak pojechał do Exeter. Ale nie widział się z nikim i nie może tego udowodnić. Policja zabrała go w obecności Jamiego i Fay, na litość boską! Wiedziałaś?

– Nie, oczywiście, że nie – odparłem, poprawiając kurs łodzi.

– Tak jak nie wiedziałaś o Marku Chapelu, chcesz powiedzieć?

Patrzyłem na brudną wodę zbierającą się u moich stóp, zbyt zmęczony, by

odpowiedzieć. Rachel natychmiast ugryzła się w język i rzuciła:

– Przepraszam, nie powinnam tak mówić. Ja tylko... już w ogóle nie wiem, co się dzieje! Wciąż myślę o... o tym, co stało się wcześniej. A teraz jeszcze ta sprawa. To się chyba nigdy nie skończy.

Deszcz kapał mi z kaptura, spływał zimnymi strumykami w moim rękawie, gdy szukałem i nie zdołałem znaleźć odpowiedzi.

– Mam przyjechać?

– Nie, lepiej nie. Fay jest rozhisteryzowana, a Jamie wychodzi z siebie. Niemal stracił panowanie, kiedy policja zabierała Andrew.

– W takim razie jutro. Zadzwoń do ciebie.

Clarke dostanie furii, skoro jednak zostałem wyłączony ze śledztwa, to nie był jej interes. Zapadło milczenie. Myślałem, że straciłem zasięg, aż w końcu Rachel się odezwała.

– Co będziesz robił wieczorem?

Nie myślałem z aż takim wyprzedzeniem. Nie mogłem zmusić się, by wrócić do Londynu, ale też nie miałem już kluczy od domu. Zresztą nawet gdybym je miał, nie byłem pewien, czy mieszkanie uniknie zalania, jeżeli strumień będzie wzbierał tak szybko. W niektórych miejscach już przerwał brzegi i zaczął łączyć się w pojedynczy obszar zalewowy z mniejszymi kanałami i rowami. Popatrzyłem na rozlewające się wody, lecz pełny obraz przesłaniał deszcz oraz pogłębiający się zmierzch.

– Znajdę jakieś miejsce, żeby się zatrzymać.

– Okej, ale jeżeli sztorm się utrzyma, drogi wokół Backwaters będą nieprzejezdne. Uważaj.

Powiedziałem, że będę, i się wyłączyłem. Otarłem telefon z deszczu i schowałem go pod wodoodporną kurtkę. Przynajmniej Rachel, Fay i Jamie będą bezpieczni w Creek House, Trask przewidział w projekcie warunki takie jak teraz, więc betonowe filary powinny utrzymać dom bezpiecznie nad każdą powodzią.

Nie można było tego powiedzieć o mnie. Znowu zwiększyłem obroty silnika, chcąc jak najszybciej wydostać się ze strumienia i Backwaters. Nie odważyłem się jednak rozwijać zbyt dużej prędkości, żeby na coś nie wpaść. Po zalaniu brzegów przez strumień trudno było określić, gdzie biegnie jego koryto. Drzewa i żywopłoty wydawały się wyrastać z powierzchni rozlewającego się jeziora, z jednej strony zobaczyłem wodę płynącą po nisko położonym odcinku drogi niemal z taką samą prędkością co motorówka. Nie byłem pewien, czy zdążę w porę dotrzeć do samochodu, poczułem zatem ulgę, kiedy wreszcie zobaczyłem przed sobą znany kształt hangaru.

Pomost wciąż wystawał nad powierzchnię wody, ale ledwo, ledwo. Fale już przelewały się przez niego i przez dolne stopnie, sięgając do połowy drewnianych wrót zamykających wejście do przystani pod hangarem. Dobrze, że brzegi były tu

nieco wyższe, a poziom strumienia nie osiągnął maksimum, ponieważ mój samochód stał zaparkowany za budynkiem. Kiedy znalazłem się bliżej, ujrzałem, że wciąż jest poza zasięgiem wzbierającej wody, a zaraz potem zobaczyłem, że stoi tam również drugi wóz.

Nawet w słabnącym świetle poznałem smukły czarny kształt daimlera należącego do sir Stephena.

## Rozdział 29

Wyłączyłem silnik, pozwalając, by na ostatnich kilku metrach silny prąd poniósł mnie w stronę hangaru, i kadłub z włókna szklanego wyrznął w pomost z taką siłą, że aż zazgrzytały mi zęby. Zrzuciłem linę na pacholek, nim zniosło mnie dalej, a przed wyjściem z motorówki zawiązałem cumę, pozostawiając tyle luzu, żeby łódź nie zatonała, jeśli woda jeszcze bardziej by przybrała.

A przybierała, bo w ciągu zaledwie kilku minut cumowania zakryła pomost całkowicie. Hangar wyglądał, jakby obniżył się o połowę, i fale uderzały wysoko o jego kamienne mury. Gdy dotarłem do schodów, zobaczyłem, że drewniane drzwiczki stoją otworem, a lina, którą Lundy zrzucił na hak, by je unieruchomić, teraz kołysała się, gdy trzaskały szarpane wiatrem. Niemal przystanąłem, by znów je zabezpieczyć, lecz bardzo chciałem już znaleźć się na suchym lądzie, a przystań pod hangarem i tak była skazana na zalanie.

Poza tym byłem ciekaw, co tu robi sir Stephen.

Woda spływała mi ze spodni i butów, gdy wspinałem się po schodach. Co mogło być aż tak pilne, że sprowadziło tu ojca Leo Villiersa? Gdy dotarłem na górę, zobaczyłem jego kierowcę, Portera, idącego od hangaru w stronę wielkiego czarnego samochodu. Miał na sobie gruby płaszcz, głowę jednak odkrytą, najwyraźniej nie zwracając uwagi na pogodę. Wiatr i deszcz musiały zagłuszyć moje kroki, ponieważ nie zauważył mnie, dopóki się nie odezwałem.

– Szukał mnie pan?

Zaskoczony Porter odwrócił się, spojrzał na mnie bez wyrazu, wreszcie uśmiechnął się przelotnie.

– Skąd pan wyskoczył? Przestraszyłem się na śmierć.

– Przepraszam. W czym mogę pomóc?

Odrzucił papierosa trzymanego w stulonej dłoni. Niedopałek zasyczał na mokrym żużlu, gdy wskazał ręką daimlera.

– Sir Stephen chciałby zamienić słówko.

Nie miałem pojęcia, co ojciec Leo Villiersa chciałby mi powiedzieć, i na dobrą sprawę nie miałem ochoty z nim rozmawiać, ale raczej nie mogłem odmówić. W nadziei, że nie potrwa to długo, ruszyłem w stronę otwartych przez kierowcę tylnych drzwi wozu.

– Sir Stephen jest w środku.

Stał przy czarnej limuzynie w uprzejmej pozycji, ze złożonymi dłońmi w czarnych rękawiczkach. W butach chłupotało mi przy każdym kroku i zdawałem sobie sprawę, jak bardzo jestem przemoczony, jednakże niepokój, który zacząłem odczuwać, nie miał z tym nic wspólnego. Skąd sir Stephen mógł wiedzieć, że jestem w hangarze? Zwolniłem i spojrzałem na wyrzucony przez Portera

niedopałek.

Zatrzymałem się.

Kierowca stał cierpliwie przy otwartych drzwiach samochodu, a woda spływała po jego nieosłoniętej czapką głowie. Na ospowatej twarzy widniały ciemne plamki, jak po skaleczeniach przy goleniu. Spojrzałem na jego czarne skórzane rękawiczki, eleganckie czarne półbuty, teraz zabłocone i brudne. To były miejskie buty, takie, które mogły mieć gładkie podeszwy. Niepokój przeszedł w nagłe wrażenie chłodu.

– Doktorze Hunter? – Porter wciąż stał przy otwartych drzwiach samochodu. Odzyskałem głos.

– Myślałem, że sir Stephen nie lubi, jak pan pali.

Nadal uśmiechał się uprzejmie.

– I jestem pewien, że otrzymam za to naganą. A teraz, jeżeli pan pozwoli...

Nie mogłem dostrzec tylnego siedzenia samochodu, ponieważ zalane deszczem, przyciemnione szyby skutecznie kryły widok wnętrza. Spojrzałem w stronę hangaru. Framuga na wysokości zamka otwartych na całą szerokość drzwi została rozłupana.

Deszcz lał strumieniami, gdy Porter i ja patrzyliśmy na siebie na pokrytym żużlem placu. Wzruszył ramionami i zatrzaskał drzwi limuzyny z miękkim plaśnięciem.

– Warto było spróbować.

Serce mi łomotało. Nie miałem pojęcia, po co tu jest i czego chce, lecz zacząłem się domyślać jego roli w tym dramacie i całe zmęczenie nagle zniknęło. Wiedziałem też, że teraz, kiedy go widziałem, nie pozwoli mi po prostu odejść. Będę miał nie większą szansę niż Stacey Coker.

Albo Lundy.

Pomyślałem o łodzi zacumowanej do pomostu, zdążyłby mnie jednak złapać, nim zbiegłbym na dół, i nie miałem złudzeń, co się wtedy stanie. Mark Chapel był entuzjastą sztuk walki, młodszym i większym od bezbarwnego mężczyzny stojącego przede mną, a mimo to miał wbity w mózg kawałek kości.

Porter parsknął, kiedy dostrzegł, że zerkam w stronę swojego samochodu.

– Jasne, leć. Ja tu sobie zaczekam, aż go otworzysz.

Popatrzyłem na małe kropki krwi na jego ospowatych policzkach, usiłując sprawiać wrażenie równie nieporuszonego jak on.

– Nie najlepszy pomysł strzelać do stalowych drzwi. Miałeś szczęście, że nie straciłeś oka.

– Taa. Szczęściarz to moje drugie imię.

Zerknął za mnie, w kierunku schodów na pomost, jakby sprawdzając, czy kogoś nie przeoczył.

Niemal z roztargnieniem rozprostował zaciśnięte dłonie, naciągając

dokładniej palce skórzanych rękawiczek.

– Więc gdzie?

– Co gdzie?

– Słuchaj, miałem gówniany dzień i naprawdę nie jestem w nastroju. Po prostu powiedz mi, gdzie są.

Czułem się jak w jakimś surrealistycznym koszmarze.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Już się nie uśmiechał.

– Nie pierdol mi. Gdzie są pieniądze?

– Jakie pieniądze? Nic nie wiem...

– Słuchaj, głupi skurwysynu, daję ci szansę – warknął. – Pięćset kafli Villiersa schowanych w kredensie w domu Hollowaya. Gdzie są?

Nic z tego nie miało sensu. Była to taka suma, jakiej Emma Derby i Mark Chapel zażądali za fotografie. No ale według Clarke Leo Villiers nie zapłacił szantażystom.

Pomartwię się o to później.

– Dom spłonął...

– Wiem, że spłonął, wcześniej jednak pieniądze zniknęły! Ktoś je wziął, a Holloway nawet się nie połapał, że tam są. Jedyni ludzie, którzy byli tam przed policją, to ty i siostra Derby. Dlatego zapytam cię jeszcze raz. Gdzie jest ta pierdolona forsa?

– Policja przeszukała dom i musiała...

– Nie, policja była po mnie – przerwał z ostentacyjną cierpliwością. – Gdyby ją znaleźli, stary by się dowiedział i ja też. Spróbuj jeszcze raz.

Szok już mi mijał i zacząłem wszystko sobie układać. „Starym” musiał być sir Stephen. Nie wiedziałem, skąd pochodziły pieniądze, lecz najwyraźniej Porter ukrył je w domu Edgara, kiedy zaś przyszedł, by je zabrać, zobaczył, że zniknęły. Nie mogłem wiedzieć, kto je zabrał, ale wiedziałem, co Porter znalazł w domu zamiast nich.

– Warto było zabijać dla nich Stacey Coker? – zapytałem.

Jeżeli miałem jakiegokolwiek wątpliwości, rozwiały się, gdy przez twarz Portera przemknął wyraz czegoś, co mogło być wstydem.

– Zadałem ci pytanie.

– Zobaczyła cię po prostu i tak byś ją udusił?

– Ostatnia szansa. Będziesz gadał?

Ani śladu wyrzutów sumienia. Zacząłem powtarzać, że nie mam pojęcia, że nic nie słyszałem o żadnych pieniądzech. Niemniej wiedziałem, że gdyby nawet Porter mi uwierzył, nie mógł wypuścić mnie żywym, abym nie powiedział komuś, że go widziałem. Moje mięśnie zaczęły drżeć pod wpływem adrenaliny, gdy brała górę zwierzęca reakcja – walczyć albo uciekać. Pozostała mi jedna opcja.

Porter wzruszył ramionami i ruszył ku mnie.

– Dobra, sam tego chciałeś.

– W bagażniku samochodu.

Zatrzymał się, obserwując czujnie, jak szukam w kieszeniach kluczyków od auta. Wyjąłem je i uniosłem, pokazując mu, że trzymam je w ręku.

– Masz.

Rzuciłem je za mocno w nadziei, że nie zdoła ich złapać. Ale jego ręka wystrzeliła i pochwytiła kluczyki w locie. Spojrzał na mnie.

– Wszystko tam jest – zapewniłem.

Pomachał kluczykami w moim kierunku.

– Lepiej, żeby było.

Bardzo starałem się nie okazywać żadnych emocji, kiedy szedł do mojego samochodu i nie spuszczać mnie z oka, przycisnął pilota. Nawet nie drgnąłem, gdy szczęknęły otwierające się zamki drzwi. Wciąż mnie obserwując, Porter sięgnął do klapy bagażnika. Stałem nieruchomo, kiedy odskoczyła, a on uniół ją i zajrzał do środka.

Wtedy odwróciłem się i pobiegłem.

Pędząc po stopniach w dół, słyszałem, jak klnie. Łódź wydała mi się najrealniejszą szansą, szybko jednak uświadomiłem sobie mój błąd. Stawiałem na to, że starczy mi czasu, aby wskoczyć do niej i zwolnić cumę, nim Porter tam dobiegnie. Szybki prąd natychmiast by mnie uniół, a ja mógłbym zapuścić silnik. Zapomniałem jednak, że uwiązałem łódź tak luźno, by nie wciągnął jej wzbierający przyływ, i teraz, szarpana powodziowym nurtem, tańczyła na końcu liny jak zwierzę na postronku w odległości dobrych dwóch jardów od końca pomostu.

Poza zasięgiem.

Pomost był już całkowicie pod wodą i jedynie pachołki cumownicze zdradzały jego obecność. Gdy zbiegałem po grzechoczących pode mną stopniach, słyszałem kroki Portera pędzącego po brzegu nade mną. Nie miałem czasu przyciągnąć łodzi i odcumować jej, zanim mnie dogoni, pozostał mi więc trudny wybór – albo odwrócić się i stawić mu czoło, albo skoczyć w rwący strumień. Postanowiłem zaryzykować skok, kiedy coś stuknęło z boku. Niezamknięte drzwiczki w ścianie hangaru kołysały się na wietrze, co chwila odsłaniając ciemne wnętrze. Nie tracąc ani sekundy na myślenie, wskoczyłem do środka.

Z pluskiem wpadłem w ciemność i sięgającą pasa zimną wodę. Kładka była tu niżej niż na zewnątrz, a mała przystań została zalana. Gdy próbowałem zamknąć drzwiczki, nadbiegł Porter i rzucił się na nie, wciskając dłoń w szczelinę. Spróchniałe deski zatrzeszczały pod moimi nogami, gdy napałem ze swojej strony, usiłując nie wpuścić go do środka. Coś trąciło mnie w nogę i w słabym świetle zobaczyłem połamane wiosło, to samo, które wziąłem na wyprawę do Backwaters. Wyszarpnąłem je z wody i zacząłem dźgać złamanym końcem w obciążoną



rękawiczką dłoń, dopóki nie wyrwał jej ze szczeliny, klnąc głośno.

Drewniane drzwiczki się zatrzasnęły. Chwilę potem zadygotały, kiedy je kopnął, lecz zaparłem się o nie całym ciężarem i przyciskałem ramieniem deski do chwili, gdy kopniaki ustały.

W zapadłej nagle ciszy słyszałem pluskającą wokół mnie wodę i ciężki oddech Portera stojącego na zewnątrz.

– Bardzo, kurwa, sprytnie. I co masz zamiar teraz zrobić?

Sam chciałem wiedzieć. Drzwiczki otwierały się do wewnątrz, dopóki więc będę je trzymał, nie zdoła dostać się do środka. Ale ja nie mogłem wyjść. Dygocząc, rozejrzałem się. W szarym półmroku sączącym się pomiędzy deskami wrót widziałem żeglarskie śmiecie kołyszące się w zalanej przystani hangaru. Nie wyglądało na to, że któryś z tych gratów może się przydać. Odpychając dziurawą kanadyjkę, która trącała mnie jak uparty koń, wyciągnąłem z kieszeni komórkę. Mimo że kapąca z niej woda, spróbowałem ją włączyć, lecz wyświetlacz pozostał ciemny.

Zatem pomoc nie nadejdzie. Usiłowałem zachować spokój i przemyśleć możliwości. Poziom wody w przystani wydawał się już wyższy, taki sam jednak byłby na zewnątrz. Strumień był zimny, niemniej nie tak, by zagrażało to życiu, Porter zaś powinien się spieszyć, jeśli chciał uciec. Zamordował oficera policji, a pomimo wzbierającego przypływu czas działał na moją, nie jego korzyść.

Znienacka przypomniałem sobie coś i poczułem chłód nie pochodzący od wzbierającej wody.

Porter miał dubeltówkę.

– Jesteś tam jeszcze, Hunter, czy utonąłeś?! – zawołał z zewnątrz.

Oblizalem z warg słoną wodę. Strzelba musiała być w samochodzie. Nie wiedziałem, dlaczego jeszcze po nią nie poszedł, ale im dłużej będzie tu tkwił, tym lepiej. Zawołałem przez zamknięte drzwi:

– Porter, nie pogarszaj swojej sytuacji!

– Nie mam zamiaru. Jak tylko powiesz mi, gdzie jest forsa, pójdę sobie.

Znowu to samo. Oparłem głowę o twarde drewno.

– Zabiłeś oficera policji. Poważnie myślisz, że uda ci się daleko uciec?

– Martw się o siebie. Woda w środku musi już być całkiem wysoka. Założę się, że już chłodzi ci jaja.

Nasłuchiwałem, czekając na jakiś sygnał, że wraca po schodkach na górę. Jeżeli tak zrobi, nie będzie innego wyjścia, tylko rzucić się sprintem do łodzi.

– Wiesz, że Leo Villiers żyje?

– Nie pierdol!

Oczywiście, że wie, opieprzyłem się w duchu. Dlatego uciekał. Skoro Villiers nie tylko żyje, lecz jest niewinny, minie niewiele czasu, gdy policja zacznie szukać innych podejrzanych.

– Jak się dowiedziałeś? Powiedział ci jego ojciec?

– Co, że jego ciotowaty synalek się znalazł? Ta, myślałby kto, że zechce to rozgłaszać. – Roześmiał się ironicznie. – Nie, podsłuchałem, kiedy policja przybyła z czołobitną wizytą. Żeby powiadomić go czym prędzej, co się dzieje. Muszą dbać, by sir Stephen był zadowolony, no nie?

– Rozmawiał z nimi przy tobie?

– A niby czemu nie? Pracowałem dla niego wystarczająco długo.

Brzmiała w tym nutka goryczy, którą zanotowałem w pamięci. Chciałem, by nadal mówił, w nadziei, że z jego głosu wywnioskuję, gdzie przemieszcza się na zewnątrz.

– I w taki sposób dowiedziałeś się o naszej wizycie w morskim forcie?

– Jak mówiłem, zdziwiłbyś się, co można usłyszeć, kiedy traktują cię jak powietrze. – Słyszałem, jak brodzi w wodzie. – Słowo daję, dupa mi się ściagnęła, kiedy usłyszałem, jak mówi „morski fort”. Pojawiły się też wasze nazwiska, dlatego po odwiezieniu sir Stephena postanowiłem sprawdzić, co robicie.

– A potem co? Chciałeś nas zabić i postarać się, żeby wyglądało to na kolejny wypadek z łodzią?

Łagodne pluski sunęły w rytm kroków po pomoście, oddalając się od włazu i schodków. I strzelby.

– Nie zamierzałem nikogo zabijać, tylko odzyskać forszę. Chryste, myślisz, że chciałem tego wszystkiego?

– Czemu więc zastrzeliłeś Lundy’ego? – zapytałem, nie mogąc powstrzymać ostrego tonu.

– Jeżeli chodzi o inspektora, to nie miałem wyboru. Wyszedłem z za rogu i prawie wpadłem na niego. Myślałem, że jesteś tam tylko ty i siostra tej Derby. Tak to jest, gdy dosłyszysz tylko połowę rozmowy. – Jego głos znowu rozbrzmiewał bliżej. Porter wracał. – Słuchaj, sprawy wyrwały się spod kontroli. Jeżeli się poddam, wstawisz się za mną?

Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałem. Zawahałem się, drżąc w zimnej wodzie. Nie ufałem mu, lecz nie mogłem się zorientować, do czego zmierza.

– Dobra – powiedziałem ostrożnie. – Ale musisz...

Drzwiczki włazu zadrżały, niemal zbijając mnie z nóg. Rzuciłem się na nie całym ciałem; woda chlupotała i kłębiła się wokół mnie, gdy podparłem je ramieniem i wbiłem z powrotem na miejsce. Nie miał o co się zaprzec, żeby pchnąć je mocniej, więc po chwili zrezygnował. Deski zadygotały pod zadaniem bez przekonania uderzeniem.

– Daj spokój, to pieprzona głupota! – zawołał z rozdrażnieniem. – Po prostu powiedz mi, gdzie jest forsa, a pozwolę ci odejść.

– Na litość boską, nic nie wiem o pieniądzach! – krzyknąłem, wciskając pod

kątem złamane wiosło między deski kładki a drzwiczki, przy których stałem. Nie zatrzyma go na długo, ale może dać mi kilka sekund, jeżeli spróbuje znowu mnie dopaść. – A czyje są? Leo? Też go szantażowałeś?

– Nie jestem żadnym pierdolonym szantażystą! Gdybym chciał szantażować Leo, zrobiłbym to lata temu. – W głosie Portera zabrzmiała autentyczna uraza. – Próbowałem pomóc. Ta suka Derby i jej chłopak zrobili mu zdjęcia, kiedy był przebrany w swoje damskie ciuszki. Przyznam, że dobrze wyglądał w sukience, Leo jednak prawie się zesrał, kiedy je zobaczył. Dał w długą, a wtedy zaproponowali jego staremu, że sprzedadzą mu je za pół miliona. Pół miliona. Jezu, usiłowałem przekonać go, żeby nie płacił, ale nic z tego. Czy mógł dopuścić, by ktokolwiek dowiedział się, że jego syn i następca lubił przebierać się za lalkę Barbie?

Rozgoryczenie wróciło. Słyszałem, jak oddala się od wjazdu, i nerwowo spojrzałem na wrota wychodzące na strumień. Pionowe smugi gasnącego światła przenikały przez szczeliny pomiędzy deskami już wyżej niż do połowy przykrytymi przez fale. Rachel mówiła, że wrota są zamknięte na kłódkę.

Miałem nadzieję, że tak było.

– Zabiłeś ich i wzięłeś pieniądze? – zawołałem, chcąc skłonić Portera, by mówił dalej.

– Nie, przejąłem inicjatywę. – Oddychał ciężko, wciąż kręcąc się na zewnątrz i usiłując nie hałasować, gdy brodził w wodzie. – Chcieli, żeby zostawić pieniądze w przetwórni ostryg, lecz nie miałem zamiaru pozwolić, żeby jakimś cwaniaczkom przeszedł taki chamski numer. Nie po tym wszystkim, co zrobiłem dla cholernych Villiersów. Każdy idiota mógł się połapać, że zdjęcia zrobiono z fortu, dlatego kiedy zostawiłem pieniądze, wróciłem na Willets Point, poczekałem, aż popłyną łodzią do fortu, i ruszyłem za nimi jolką Leo, żeby zamienić słówko. Jak Boga kocham, chciałem tylko odebrać forszę i zobaczyć, co to za jedni. Może trochę napędzić im pietra, ale to wszystko.

Po jego głosie poznawałem, że wciąż zmienia pozycję, ale trudno było ustalić, gdzie jest. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego wciąż tu tkwi, zamiast iść po dubeltówkę. Jeden strzał przez drewniane drzwi i byłoby po wszystkim, on zaś zamiast tego skradał się, brnąc przez wodę i usiłując nie robić hałasu.

– I co się nie udało? – zapytałem, usiłując zorientować się, co robi.

– Ten jej pieprzony kochaś się nie udał – odparł wyraźnie zde gustowany Porter. – Każdy, kto miałby choć trochę rozumu, powiedziałby, gdyby go złapano: „Okej, nie ma sprawy”. Ale ten musiał się stawiać. Gadał różne gówna w stylu: „Nie zaczynaj ze mną, mam czarny pas”. Jakby to było jakieś pieprzone dodżo. No to go walnąłem.

– Nasadą dłoni? – upewniłem się. Zęby zaczęły mi szczekać.

Chwilę milczał, a gdy odpowiedział, w jego głosie pojawiło się zmęczenie.

– Tak. Pomyślałem, że złamany nos może go uspokoić, psując jego ładną buźkę. Nie zamierzałem zabijać jebańca, ale sam się o to prosił.

– Emma Derby też się o to prosiła?

– Zadajesz kurewsko dużo pytań.

– Co zrobiłeś z jej ciałem?

– Sam mi powiedz, skoro jesteś taki bystry.

Woda sięgała mi już do piersi i zdawała się jeszcze zimniejsza. Usiłowałem powstrzymać drżenie głosu.

– Uważam, że zabiłeś ją, zrzuciłeś zwłoki obojga z wieży, a potem zawiozłeś je łodzią na Backwaters.

– Taaa? – Był chyba rozbawiony. – Cóż, w połowie masz rację.

Nie rozumiałem, co miał na myśli.

– A co z sir Stephenem? Wie o tym?

Zaśmiał się sucho.

– Jezu, uważasz, że pozwoliliby mi zatrzymać forszę? Jednak nie jesteś taki bystry.

– Dobra, a co z włamaniami? To twoja robota? Ukradłeś komputery, żeby mieć zdjęcia?

Tym razem nie odpowiedział. Usiłowałem coś usłyszeć poprzez szczykanie moich zębów. No dalej, gdzie jesteś?

Za wrotami pojawił się cień, przesłaniając mdłe światło przenikające między deskami. Chwilę później rozległ się głośny klekot, gdy Porter szarpnął łańcuch z założoną na niego kłódką. Zakląłem, wściekły, że pozwoliłem Porterowi odwrócić moją uwagę, gdy on tymczasem skradał się pomostem do wrót. Porzuciłem stanowisko przy drzwiczkach i z pluskiem rzuciłem się w ich stronę, zapominając zupełnie, że jestem na kładce. Moja stopa zapadła się w pustkę i z całej siły szarpnąłem się tyłem na ścianę, by nie wpaść do głębokiej wody w środku przystani.

To mnie ocaliło. Gdy balansowałem, aby utrzymać się na zatopionej kładce, wrota przestały dygotać, a na zewnątrz rozległ się chlupot sygnalizujący, że Porter popędził do niepilnowanego wejścia. Zdałem sobie sprawę, że właśnie o to mu chodziło, zacząłem więc brnąć przez sięgającą mi do piersi wodę, lecz ciężka plastikowa kurtka działała jak kotwica, spowalniając mnie niczym w sennym koszmarze. Słyszałem, jak Porter, nie dbając już o pozory, hałaśliwie brnie przez wodę wzdłuż hangaru, po czym drewniane drzwiczki zadrżały, gdy uderzył w nie z całej siły, i oparły się o wiosło, którym je zaklinowałem. Wytrzymało tylko chwilę, nim pękło z trzaskiem, lecz to wystarczyło, bym zdążył podeprzeć drzwi ramieniem i wepchnąć je na miejsce. Deski wyrznęły mnie w ramię, gdy Porter ponownie w nie walnął.

– Skurwielu!

Uderzenia ustały. Słyszałem, jak Porter dyszy po drugiej stronie zamkniętego wejścia. Oparłem głowę o szorstkie, mokre deski, nie mogąc złapać oddechu i dygocząc z zimna. Byłem kompletnie przemoknięty, a poziom wody wciąż się podnosił. Ale Porterowi już trzeci raz niemal udało się mnie nabrać, teraz więc nie miałem zamiaru porzucać stanowiska przy drzwiczkach, dopóki nie będę miał pewności, że wreszcie poszedł.

– Słuchaj, to cholerna głupota – powiedział głosem ochryplym z frustracji.  
– Chcę tylko forszę. Powiedz mi, gdzie jest, a zaraz sobie idę.

Nie miałem już siły krzyczeć.

– Powtarzam ci, że nic nie wiem o żadnych pieniądzach. Ile razy byś mnie pytał, odpowiedź jest ta sama. Nie... wiem!

Po drugiej stronie zapadła cisza, lecz słyszałem, że wciąż tam jest.

– No to kij z tobą. Nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Usłyszałem, jak brnie przez wodę i zaczyna wchodzić po stopniach. Chryste, poszedł po strzelbę? Albo wymyślił jakiś inny podstęp? Co to miało znaczyć?

Jego głos dobiegł z góry, najwyraźniej wspiał się już na brzeg.

– Tylko dwoje ludzi miało szansę zabrać pieniądze z domu Hollowaya, zanim dotarła tam policja. Jeżeli ty nie wiesz, gdzie są, pozostaje tylko siostra Emmy Derby.

Rachel?

– Nie, czekaj! – zawołałem, ogarnięty nową falą strachu. – Ona nic nie wie! Poczekaj!

Jego kroki już jednak ucichły. Zacząłem otwierać drzwiczki, lecz nagle się zatrzymałem. Zakładałem, że Porter był na górze. A jeżeli nie? Nieważne, nie mogłem zostać tu dłużej. Chwyciłem złamane wiosło i otworzyłem drzwiczki, przygotowany na następny atak. Nic się nie zdarzyło. Wciąż ściskając resztki wiosła, zaryzykowałem szybko rzut oka na zewnątrz. Strumień był wezbrany i pędził szybko, ale w słabym świetle zmierzchu zorientowałem się, że nikt na mnie nie czeka. A potem zza krawędzi brzegu dobiegł mnie dźwięk.

Silnik samochodu.

Czyli Porter nie poszedł po dubeltówkę. Ale nie było czasu przeżywać ulgę. Nie teraz, kiedy był w drodze do Creek House. Woda spływała ze mnie, gdy zacząłem przeciskać się przez wąskie drzwi, gorączkowo próbując wymyślić, co robić dalej. Moja komórka była bezużyteczna, nie mogłem zatem ostrzec Rachel ani zadzwonić na policję, natomiast on miał kluczyki od mojego samochodu. I wtedy przypomniałem sobie zacumowaną do pomostu motorówkę. Jeżeli Porter ją przeoczył, zdołam dotrzeć do Creek House przed nim.

Byłem już w połowie na zewnątrz, kiedy zorientowałem się, że dźwięk silnika narasta, nie tak niski i potężny jak u daimlera, i nagle uświadomiłem sobie, dlaczego. Gdy opony zachrzęściły na żużlu parkingu nade mną, rzuciłem się do

tyłu.

A nade mną mój samochód przebił się przez drewnianą barierę.

## Rozdział 30

Wpadłem w lodowatą wodę, gdy ściana za mną zadygotała z potężnym, przeciągłym łomotem. Nic nie widziałem, nie słyszałem, nie mogłem oddychać. Szarpałem się, usiłując odbić się od czegoś i wypłynąć na wierzch, lecz utraciłem wszelkie wyczucie kierunku. Coś uderzyło mnie w głowę, gorączkowo więc pracując ramionami, odpłynąłem od tego przekonany, że wali się cała ściana, i nagle moja głowa wychynęła na powierzchnię. Zaczepiłem gwałtownie powietrza razem z haustem słonej wody i kaszląc, zacząłem walczyć o utrzymanie się na górze. Stopami nie dosięgałem dna, a ciężka kurtka wypełniona wodą ciągnęła mnie w dół. Pomieszczenie było pełne pyłu i wciąż rozchodziło się w nim echo uderzenia, ja zaś drgnąłem, gdy coś trąciło mnie w ramię. Obróciłem się i ujrzałem obły kształt przewróconej kanadyjki kołyszący się wolno za mną w kręgu wzburzonej wody.

Przerzuciłem przez nią rękę, z ulgą wczepiając się w gładki kadłub i dysząc ciężko, spojrzałem na miejsce, w którym stałem kilka chwil wcześniej. W gasnącym świetle sączącym się przez wrota zobaczyłem, że kamienna ściana jest obecnie wybrzuszona do wewnątrz.

A w otworze po roztrzaskanych drzwiach tkwił wklinowany błotnik samochodu.

Nadając nogami kierunek, podpłynąłem bliżej i spróbowałem wspiąć się z powrotem na zanurzoną kładkę, kiedy jednak oparłem się o nią całym ciężarem, spróchniałe deski oderwały się od uszkodzonego muru i zrzuciły mnie z powrotem w głęboką wodę. Znowu złapałem się kanadyjki. Widziałem dosyć – potrzebny byłby dźwig, żeby przesunąć mój samochód. Wejście było zablokowane.

Starłem się pokonać rozpacz. Woda sięgała już dużo wyżej niż połowa ściany i nadal przybierała. Jeżeli potrwa to dłużej, wkrótce cały dolny poziom zostanie zalany pod strop.

Ale zanim tak się stanie, Porter dotrze do domu Traska.

Znajdzie w nim nie tylko Rachel. Fay i Jamie też tam będą, a ponieważ Trask siedział w areszcie policyjnym, nie wierzyłem, by mieli cień szansy z kimś takim jak Porter. Ten drań zabił już ranną nastolatkę i na pewno nie pozostawi przy życiu innych świadków.

Tak mocno dygotałem z zimna, że z trudem myślałem. Cienie wewnątrz gęstniały coraz bardziej, zmierzch przechodził w noc i wkrótce miało zrobić się zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć. Przytrzymując się kanadyjki, dopłynąłem do wrót. Czuję, że jest mało prawdopodobne, abym zdołał je otworzyć, skoro nie udało się to Porterowi, niemniej musiałem spróbować. Kłódka i łańcuch były na zewnątrz, dlatego puściłem łódkę i pracując nogami, aby utrzymać się na wodzie,

przecisnąłem dłonie przez wąskie szczeliny pomiędzy deskami. Nieheblowane drewno zdarło mi skórę z kłykci, gdy zdrętwiałymi palcami szukałem kłódki. Była pokryta rdzą, gdyż nikt nie otwierał jej od lat. Puściłem ją i szarpnąłem skrzydło wrót najmocniej, jak potrafiłem, sprawdzając, czy jest jakaś szansa wyłamania przesiąkniętych wodą desek, lecz były zbyt solidne i bez łomu nie miałem nawet co próbować.

Odepchnąłem się i znowu wymacałem zbawczą kanadyjkę. Jeżeli miałem się stąd wydostać, to na pewno nie przez wrota ani przez drzwiczki. Pozostała mi ostatnia szansa.

O której Porter nie wiedział.

Było już zbyt mroczno, bym mógł dojrzeć strop, ale na pewno znajdował się poza zasięgiem. Dygocząc z zimna, rozglądałem się wśród pływających wokół śmieci, aż w końcu niedaleko dostrzegłem wiosło. Jego trzon złamał się ponownie, kiedy Porter usiłował sforsować właz, wciąż jednak było dość długie dla moich celów. Wypląnąłem na środek basenu, oparłem się jedną ręką o łódkę, wyciągnąłem wiosło w górę ku ukrytemu w cieniu stropowi i zacząłem na dotyk przesuwać piórem po deskach. No, dalej, gdzie jesteś? Poczulem szarpnięcie, gdy wreszcie o coś zaczepiło.

Rygiel w klapie prowadzącej na górę.

Kląłem, kiedy walnąłem stopą w jej pierścień ukryty pod dywanem, a teraz była moją jedyną nadzieją na wydostanie się stąd. Nie mogłem dostrzec, czy na ryglu jest kłódka, no i równie dobrze kłapa mogła zostać zabita gwoździami, ale innej drogi nie było.

Usiłowałem przesunąć rygiel wiosłem, lecz szybko zrezygnowałem. Było zbyt nieporęczne – musiałem zrobić to ręką. Usiłowałem go dosięgnąć, ale strop był poza moim zasięgiem. Pozostawała jedynie kanadyjka, tyle że w jej dnie ziała dziura większa od mojej pięści. Nie mogłem jej odwrócić, wtedy bowiem poszłyby pod wodę, musiałem więc wspiąć się na wierzch kadłuba. Niemniej to też nie było dobre rozwiązanie, bo przecież, jak tylko obciążę łódkę, woda wleje się przez dziurę i kanadyjka zatonie.

Sfrustrowany, walnąłem pięścią w wodę. Gdyby tylko było jeszcze coś przydatnego wśród pływających śmieci, ale w środku zrobiło się zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec. No, co tu jeszcze mamy. Kurtkę. Zachowałem ją mimo jej niewygodności, ponieważ, choć minimalnie, chroniła przed chłodem. Teraz najważniejsze było to, że gruby plastik nie przepuszczał wody.

Przebierając nogami, aby utrzymać głowę nad powierzchnią, zdjąłem ją, zwinąłem niezgrabnie przemarzniętymi rękami i wcisnąłem w dziurę w dnie kanadyjki. Korek był prymitywny, lecz stanowił najlepsze dostępne rozwiązanie. W nadziei, że wytrzyma wystarczająco długo, zacząłem wciągać się na przewrócony kadłub. Łódka wyslizgnęła się spod mnie. Wypluwając słoną wodę,



spróbowałem jeszcze raz. Kanadyjka zakołysała się, lecz tym razem zdołałem wciągnąć się na nią i usiąść okrakiem.

Teraz strop był zaledwie kilka centymetrów nade mną, za to łódka już zaczynała tonąć. Wijąc się niezgrabnie w ograniczonej przestrzeni, macałem na oślep po nierównym spodzie klapy, aż wyczułem zardzewiały rygiel. Schwyciłem go zdrętwiałymi palcami i usiłowałem przesunąć. Tkwił nieruchomo. Kanadyjka tonęła coraz szybciej, nie zwracając zatem uwagi na ostre krawędzie mocujących go klamer, zacząłem nim szarpać z całych sił.

Bez ostrzeżenia cofnął się, obsypując mi twarz płatkami rdzy. Nie miałem czasu się cieszyć – zaparłem się obiema dłońmi i pchnąłem. Łódka zanurzyła się głębiej, lecz klapa ani drgnęła. Zebrałem się w sobie i pchnąłem znowu. Tym razem lekko się poruszyła. Naparłem jeszcze raz. Klapa uniosła się trochę i mogłem teraz włożyć w szczelinę rękę.

Kanadyjka już tonęła pode mną. Podciągnąłem się do góry i wsunąłem w szparę drugie przedramię, a potem przecisnąłem przez otwór głowę i ramiona. Klape jednak przykrywał gruby dywan, teraz przyciskając ją do moich pleców, i musiałem sięgnąć po resztkę sił, by wciągnąć się całkowicie do mieszkania. Dysząc ciężko, leżałem z twarzą przyciśniętą do desek, a plamki światła iskrzyły pod moimi powiekami, gdy wdychałem ciężki zapach lakieru. Niczego bardziej nie pragnąłem, jak poleżeć sobie dłużej, lecz nie miałem czasu. Zmuszając się do ruchu, wypełzłem spod dywanu i wstałem chwiejnie. Mieszkanie było pograżone w mroku, toteż ociekając wodą i dygocząc z zimna, niepewnym krokiem uczącego się chodzić dziecka dotarłem do ściany i zacząłem wymacywać włącznik. Wszystko kazało mi ruszać natychmiast za Porterem, ale w takim stanie nikomu nie zdołałbym pomóc. Jeżeli jeszcze nie nastąpiło wychłodzenie, to na pewno niewiele do niego brakowało. Potrzebowałem ciepła i kalorii, i to szybko.

Zamrugalem, gdy zapaliły się górne lampy, oświetlając bałagan pozostawiony przez Portera. Szuflady i szafki zostały opróżnione, a ich zawartość rozrzucona, niemniej mimowolnie wyświadczył mi przysługę, przewracając na bok sofę, usuwając ją tym poza dywan. Gdyby nie to, wątpię, czy w ogóle zdołałbym otworzyć klape w podłodze.

Nie panując już nad dreszczami, niezdarnie zerwałem koszulę i energicznie wytarłem się ręcznikiem z kuchni. Torba podróżna z ubraniem na zmianę była zamknięta w bagażniku, lecz kurtka, którą pożyczyłem od Traska, nadal wisiała w szafie. Włożyłem ją na gołe ciało, wdzięczny za jej grubą, pikowaną podszewkę. Nie mogłem nic zrobić ze spodniami i butami, ale i tak miałem je znowu przemoczyć. Pojemnik Tupperware z deserem przyniesionym przez Rachel nadal stał na blacie, zerwałem więc pokrywkę i wepchnąłem do ust to, pozostało. Bogata mieszanka czekolady i węglowodanów smakowała cudownie, nie czas jednak było myśleć o jedzeniu. Zatrzymując się tylko po to, aby spośród porzucanych

sztućców wybrać kuchenny nóż, pobiegłem do drzwi.

Na zewnątrz zapadła już noc, deszcz ustał, a z przerw w poszarpanych chmurach wyzierały skrawki czystego nieba i gwiazdy. Ale wiatr nie osłabł jeszcze i zanim okrążyłem węgiel budynku, już słyszałem szum wezbranego strumienia. Mój samochód stał pochylony na brzegu przy hangarze wśród połamanych desek schodków i jego przód już znajdował się pod wodą. Strumień wystąpił daleko z brzegów, zmieniając mokradła i pola w pofalowane jezioro. Jedyne wyżej położony teren wokół hangaru nie był zalany, lecz i tu woda systematycznie się podnosiła. Jeżeli strumień nadal będzie przybierał, zatopienie go było tylko kwestią czasu.

Z ulgą zobaczyłem, że łódź wciąż była na miejscu; jej blady kształt tańczył na cumie, szarpany wzburzonym nurtem. Stopni nie było, dlatego przytrzymując się samochodu, zsunąłem się po brzegu do strumienia. Zimne fale uderzały o mnie, gdy brnąłem po zatopionym pomoście do motorówki, schwyciłem ociekającą linę, przyciągnąłem łódź do siebie i wgramoliłem się do środka. Węzeł cumowniczy był pod wodą, piłowałem go więc na oślepe nożem, aż puścił i łódź natychmiast zaczęła dryfować, na co pozwoliłem, usiłując zapaść silnik zdrętwiałymi palcami. Odpalił za drugą próbą. Otworzyłem przepustnicę do oporu, skuliłem się w kokpicie i ruszyłem z rykiem po wezbranym strumieniu.

Ale wiedziałem, że się spóźnię.

Porter powinien już dotrzeć do Creek House. Za dużo czasu zajęło mi wydostanie się z przystani pod hangarem, on zaś z całą pewnością wyciskał, ile się da, z wielkiego daimlera, pędząc po wąskich drogach. Nawet jeżeli dotrę do domu Traska, nie miałem pojęcia, co zrobię. Porter był kiedyś żołnierzem, a kuchenny nóż nic nie zdziała przeciwko strzelbie. Gdy zimny wiatr uderzał mnie w twarz, wciąż zastanawiałem się, dlaczego nie użył skradzionego mowbry'ego w hangarze. Miło byłoby uznać, że wrzucił strzelbę do morza po zastrzeleniu Lundy'ego, lecz to mogło być zgubne założenie.

Zza poszarpanych chmur wyłonił się księżyc, wydobywając z mroku sylwetki zatopionych drzew i srebrząc czarne wody. Nie sposób byłoby zgadnąć, w którym miejscu znajdują się brzegi, gdyby nie sterczące z fal kępy trzin i traw. Skupiłem się na prowadzeniu łodzi najgłębszą częścią kanału, z dala od pływających śmieci. Usiłowałem nie myśleć, co mogło zdarzyć się w Creek House, nie mogłem jednak poskromić wyobraźni. Nagle w opalizującym świetle księżycy zobaczyłem coś, co natychmiast rozwiało wszystkie inne myśli.

Powódź sprawiła, że charakterystyczne punkty terenowe stały się nierozpoznawalne, ale z jednej strony mogłem dostrzec długi, kręty żywoplot rosnący wzdłuż drogi.

A w zalany zagłębieniu tkwił wielki czarny daimler.

Niemal przewróciłem łódź, zrywając się na równe nogi, aby lepiej zobaczyć.

Drzwi od strony kierowcy były otwarte i małe fale omywały próg. Porter popełnił ten sam błąd co ja na grobli i albo źle ocenił głębokość wody, albo uznał, że samochód zdoła ją sforsować. Pomylił się.

Kierowcy nie było widać. Spojrzałem nieco dalej, w nadziei, że zobaczę go na drodze, lecz poza samochodem nie byłem w stanie niczego dostrzec w ciemności. A potem strumień odsunął się od drogi i straciłem ją z oczu.

Po raz pierwszy jednak od chwili wydostania się z hangaru zacząłem mieć nadzieję. Bez samochodu Porter utracił przewagę. Chociaż nie oszukiwałem się, myśląc, że zrezygnuje, teraz musiał przebrnąć resztę drogi przez zalane tereny na piechotę.

Wciąż istniała jakaś szansa.

Ścisnąłem mocniej manetkę gazu, jak gdybym mógł w ten sposób wycisnąć z silnika więcej mocy. Motorówka już pędziła tak szybko, jak mogła, ale nawet mimo pomocy nurtu wydawało się to nieznośnie wolno. Miałem wrażenie, że wieki całe nie ma wokół mnie nic poza zalaną równiną i ciemnością, gdy nagle przez zasłonę kołyszących się gałęzi zobaczyłem światła domu Traska.

Zaciskałem zęby, a łódź podążała nadal w tym samym jednostajnym tempie. Światła powoli rosły, stając się szerokim pasem okna sięgającego od podłogi do sufitu i mniejszym prostokątem, połyskującym złotem w jednej z sypialni na parterze. Stopniowo zacząłem rozróżniać kształty i kolory we wnętrzu. Ruch. Rozpaczliwie wyteżczałem wzrok, starając się dostrzec coś więcej, kiedy na zakręcie strumienia widok przesłoniła mi kępa drzew i dopiero po pełnej udręki chwili dom ponownie się wyłonił.

Fale rozbijały się wokół betonowych pali, ale budynek wznosił się bezpiecznie nad powodzią. Okno na piętrze zapewniało dobry wgląd w oświetlony pokój. Widziałem Rachel siedzącą na sofie z Fay, która wtulała się w nią spokojnie, słuchając, jak czyta jej książkę. W mniejszym oknie poniżej mogłem dostrzec Jamiego wpatzonego markotnie w monitor komputera.

Bezpieczni.

Dzięki Bogu, pomyślałem z ulgą. Obramowane ciemnością okna pokazywały jasno oświetlone wnętrza domu jak niemy film. Kiedy znalazłem się bliżej, mogłem dostrzec, jak Rachel bezgłośnie porusza ustami, czytając Fay. Na dole, w migoczącym świetle monitora, Jamie siedział z głową opartą na dłoniach.

Żadne z nich nie mogło mnie dostrzec, z własnego doświadczenia wiedziałem, że w nocy z tamtej strony szkło staje się lustrem, a podwójne szyby mogły całkowicie stłumić odgłos silnika motorówki. Każdy w środku był w stanie dostrzec tylko własne odbicie. Sterowałem w kierunku pływającego pomostu i zacząłem się zastanawiać, jak rozwiązę to wszystko. Nie chciałem tracić czasu na długie wyjaśnienia w sytuacji, kiedy Porter mógł czaić się w pobliżu. Przede wszystkim musiałem wyprowadzić wszystkich z domu najszybciej, jak to możliwe.

Resztą będę się martwić, gdy będą bezpieczni w łodzi i jak najdalej od tego miejsca.

Nagle zobaczyłem, że Rachel przerywa czytanie, spoglądając przez ramię na schody, i jednocześnie Jamie na dole też odwrócił głowę. Uświadomiłem sobie dlaczego i poczułem napływ chłodu.

Ktoś był przy drzwiach wejściowych.

Rachel powiedziała coś do Fay i odłożyła książkę. Zaczęła wstawać, ale w pokoju piętro niżej usta Jamiego poruszyły się, kiedy coś zawołał, podniósł się i wyszedł.

Żeby otworzyć drzwi.

– Nie! – wrzasnąłem. Motorówka zakołysała się, gdy zerwałem się, machając rozpaczliwie rękami. – Rachel! Rachel!

Nie mogła mnie zobaczyć ani usłyszeć. Byłem niewidoczny za ciemnym lustrem okna, sprowadzony do roli podglądacza. Bezsilnie patrzyłem, jak odwraca się, aby posłuchać czegoś na dole, i nagle zrywa się na nogi. Fay siedziała przerażona, a Rachel krzyknęła coś i pobiegła w stronę schodów, lecz zanim do nich dotarła, wpadł po nich Jamie, potknął się i runął na czworaki.

Za nim pojawił się Porter.

Mokry, oblepiony błotem kierowca krzyknął coś i machnął ręką w stronę Rachel. Zdezorientowana, pokręciła głową. Postąpił krok, dźgając palcem w jej kierunku. Zobaczyłem, że nadal nie ma strzelby, lecz jej nie potrzebował. Jamie rzucił się na niego i poleciał do tyłu, kiedy Porter uderzył go nasadą dłoni w twarz. Okna stłumiły krzyki Fay, gdy nastolatek potoczył się w dół po schodach.

Porter znowu odwrócił się ku Rachel. Stała przed Fay, przerażona, niemniej zdecydowana.

– PORTER! – krzyknąłem. – ZOSTAW JE W SPOKOJU, JESTEM TU!

Wiatr uniósł mój krzyk. Gdy motorówka pokonywała kilka ostatnich jardów do pomostu, zobaczyłem, jak Rachel chwyta lampę i rzuca nią w Portera. Na ścianie zatańczył zwariowany cień, gdy się uchylił i lampa rozbiła się bezgłośnie o ścianę. Rachel sięgnęła po wazon, ale Porter złapał ją za ramię, szarpnął w bok i uderzył w twarz. Osunęła się na kolano i zobaczyłem, że chwyta ją za włosy.

W tym momencie łódź minęła okno.

– NIE! – wrzasnąłem. Byłem na wysokości pomostu, jednak nie zwolniłem. Śruba ryła muł i żwir, kiedy skierowałem łódź wzdłuż ściany domu prosto na zatopiony brzeg. Przeniosła mnie kilka bezcennych jardów bliżej, nim utknęła. Obróciła się, stając, ja zaś wskoczyłem do sięgającej po kolana wody i z nożem zabranym z hangaru popędziłem po schodach bez żadnego planu, żadnego pomysłu, co robić dalej. Drzwi były otwarte, korytarz za nimi pogrążony w ciemności. Popchnąłem je i wbiegłem do środka.

Gdy dotarłem do pierwszych stopni schodów, rozległ się huk wystrzału ze

strzelby.

Uderzył we mnie jak fizyczny cios, aż zatoczyłem się, bo szok pozbawił mnie władzy w nogach. Nie, pomyślałem tępo, przecież Porter nie miał broni. A potem wbiegłem po schodach, wpadając do pokoju na górze.

I zatrzymałem się.

Leniwe pasmo dymu wciąż snuło się w powietrzu cuchnącym spalonym prochem i krwią. Rachel klęczała na podłodze, tuląc do siebie Fay. Ruszyłem w ich stronę, lecz zobaczyłem, że nie są ranne.

Tylko one.

Wystrzał śrutówki trafił Portera między łopatki, ciskając go na regały, i teraz kierowca leżał bezwładnie między rozrzuconymi książkami. Zacząłem iść w jego stronę, zobaczyłem jednak rozmiar rany w jego plecach i zdałem sobie sprawę, że nie ma po co. Spojrzałem na stojącego w pobliżu Jamiego, któremu krew ciekła z nosa, a udęczone spojrzenie było wymowniejsze od wszelkich wyznań. Wciąż trzymał dubeltówkę przy ramieniu, lecz nie stawiał oporu, gdy mu ją łagodnie odebrałem.

Fotografia przysłana mi przez Lundy'ego nie oddawała sprawiedliwości talentom rusznikarzy Mowbry'ego. Był to wspaniały przykład rzemieślniczego kunsztu. Dwie lufy umieszczone jedna nad drugą osadzono w miodowej barwy łożu z drewna orzechowego, z dekoracyjnymi srebrnymi wkładkami, na których widniały inicjały wygrawerowane zamaszystą kursywą: *LV*.

## Rozdział 31

Trzy tygodnie po powodzi Rachel zadzwoniła, twierdząc, że musimy porozmawiać. Nie powiedziała dlaczego, ale mogłem się zorientować, że coś jest nie tak. Jej głos brzmiał inaczej. Obco.

Wiedziałem, że będą to złe wiadomości.

Po moim powrocie do Londynu nadal się spotykaliśmy. Na początku były długie rozmowy przez telefon, potem, pewnego wieczoru, obiad w Chelmsford. Następnie przyjechała do Londynu na weekend. Po ponurym koszmarze ostatnich dni w Backwaters wydawało się, że nastął jeden z tych magicznych okresów, które czasami pojawiają się w naszym życiu – pozornie trwających bez końca, a jednak zbyt szybko dobiegających kresu. Wiosna szybko przechodziła w lato, jaskrawe światło słoneczne zapowiadało nowy początek po posępnych zimowych miesiącach. Kiedy żegnałem się wtedy z Rachel, wszystko wskazywało na to, że wkrótce przyjedzie znowu. Tym razem na dłużej.

I nagle coś się zmieniło.

Spotkaliśmy się w kawiarni w Covent Garden. Swoboda, jaką wcześniej czułem w jej obecności, dziś zniknęła. Patrzyłem, jak idzie przez salę w obcisłej sukience, która zastąpiła porozciągany sweter i džinsy, z gęstymi ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu. Wyglądała uroczo.

– Wracam do Australii – oznajmiła, wpatrując się w filiżankę z kawą. – Chciałam powiedzieć ci to osobiście, a nie przez telefon. Uważałam, że tak będzie uczciwiej.

Nie powiem, żeby jej słowa mnie zaskoczyły. Owszem, były ciosem, lecz nie zaskoczeniem. Mieszałem kawę, usiłując zyskać na czasie, by jakoś znieść nowinę.

– Trochę to nagle, prawda?

– Niezupełnie. Prawdę mówiąc, zbyt długo dreptałam w miejscu i muszę w końcu wrócić do własnego życia. Za wiele się tu zdarzyło. I wciąż myślę o Bobie Lundym. Nie mogę... – Przerwała i w jej oczach pojawiły się łzy. – Cholera. Nie chciałam, żeby zdarzyło się właśnie coś takiego.

Potrząsnęła głową i sięgnęła po papierową serwetkę, żeby gniewnie wytrzeć oczy.

– Nie możesz się obwiniać – powiedziałem, wiedząc, że nic to nie da. Rozmawialiśmy o tym już wcześniej, chociaż nie w taki sposób.

– Tak, ale gdyby nie ja, nigdy nie znalazłby się w tym cholernym miejscu. Gdybym nie była taką upartą krową, wciąż mógłby żyć.

– To, co stało się Lundy’emu, nie było twoją winą. Był policjantem, wykonywał swoją robotę.

I wiedziałem, że inspektor zawsze by tak postąpił, gdyby zaszła konieczność.

Tydzień po jego zamordowaniu pojechałem odwiedzić wdowę po nim. Kwiaty wiśni porastających ulicę w większości już opadły, ich delikatne płatki zmieniły się w brązową breję w rynsztokach. Sandra Lundy ze spokojną godnością zapytała, w jaki sposób zginął jej mąż. Powiedziałem, że chciał ocalić życie Rachel i mnie i że gdyby nie on, my także pewnie byśmy zginęli. Na chwilę zasłoniła ręką oczy, a potem się uśmiechnęła.

– To dobrze. Byłby zadowolony.

Nie wspominałem o telefonie ze szpitala, którym Lundy martwił się rankiem tego dnia, kiedy został zastrzelony. Być może w ogóle o nim nie wiedziała i nie wydawało mi się, by poinformowanie jej o tym w chwili obecnej miało czemuś służyć.

Rachel silnie przeżyła śmierć inspektora, niemniej w czasie kilku minionych tygodni wyglądało na to, że jakoś się z tym godzi. Z całą pewnością nie zdradzała zamiaru chęci powrotu do Australii. Nie mogłbym mieć do niej pretensji, gdyby tak postąpiła, chociaż wydawało mi się, że chodzi tu o coś więcej.

– Jest coś jeszcze, prawda? – zapytałem.

Odłożyła łyżeczkę i zaczęła poprawiać filiżankę i spodek.

– Odezwał się Peter.

– Peter? – spytałem, chociaż mogłem się domyślić, o kogo chodzi.

– Biolog morski, o którym ci mówiłam. Ten, z którym zerwałam.

– Gość od dwudziestodwuletniej magistrantki w bikini?

Żałowałem, że to palnąłem. W kącikach jej ust pojawił się cień uśmiechu, ale bardziej smutnego niż cierpkiego.

– Tak. Usłyszał o... tutejszych wydarzeniach. Była to sensacja nawet w Australii. Martwił się, chciał sprawdzić, czy wszystko u mnie w porządku.

– Podniosła wzrok. – Chce, żebyśmy spróbowali jeszcze raz.

Spojrzałem w okno kawiarni. Na zewnątrz kłębiły się niezliczone tłumy turystów, gdzieś niedaleko uliczny muzyk grał na gitarze jazzową wersję *What a Wonderful World*.

– A czego ty chcesz?

– Nie wiem. Ale byliśmy razem siedem lat. Nie wszystko było złe.

Dopóki nie spotkał kogoś innego, pomyślałem, tym razem jednak zatrzymałem myśl dla siebie. I bez tego było trudno.

– I co?...

Wzruszyła lekko ramionami.

– Powiedziałam, że będziemy mogli porozmawiać na ten temat, kiedy wrócę.

– A więc zdecydowałaś się wyjechać.

– M-muszę. Zbyt wiele się zdarzyło. Potrzebuję trochę czasu, żeby wszystko jakoś ułożyć. I nie wygląda na to, że jestem tu nadal potrzebna.

– Doprawdy? – Dłonie Rachel spoczywały na stole. Wyciągnąłem rękę

i położyłem ją na jednej z nich. – Nic, co powiem, tego nie zmieni, prawda?

Patrzyła na mnie długą chwilę, delikatnie głaszcząc kciukiem moją dłoń. A potem uściśnęła ją lekko i puściła.

– Przykro mi.

...*To, co naprawdę mówią, jest...* – Słowa gitarzysty zagłuszył syk kawy z ekspresu. Uśmiechnąłem się z przymusem i znowu wziąłem do ręki filiżankę.

– Kiedy wyjeżdżasz?

Jakby się trochę rozluźniła.

– Kiedy tylko wszystko tu się ułoży. Andrew znalazł mieszkanie w Chelmsford, z którego będzie mógł korzystać razem z Fay, dopóki sprawy nie wrócą do normy. To miłe miejsce, z dobrą szkołą niedaleko. Ma zamiar najszybciej, jak się da, wystawić Creek House na sprzedaż. Nie mogą tam zostać, nie po tym wszystkim, co się tam stało. Nie będzie im łatwo, ale może uda im się zacząć wszystko od nowa.

– Wygląda na dobry pomysł.

Z perspektywy czasu można było odnieść wrażenie, że jest coś niezdrowego w pięknym domu na skraju słonych mokradeł. Przy całej nowoczesnej architekturze i pracy włożonej przez Traska w projekt było to smutne miejsce. Dom sprawiał wrażenie, jakby został gwałtem narzucony krajobrazowi, a nie stał się jego częścią, i dotyczyło to także jego mieszkańców. Trask był skrupulatnym człowiekiem, lecz tak zajmowało go ochranianie rodziny przed Backwaters, że zapomniał, iż tragedia może zrodzić się również w jej wnętrzu.

Wierzyłem, że następnii mieszkańcy domu będą mieli więcej szczęścia.

Uliczny muzyk kończył piosenkę przy skąpych oklaskach. Ludzie zaczęli się rozchodzić, pochylił się więc, by policzyć monety w futerale gitary.

– Kiedy zamierzasz wrócić? – spytałem.

– Jeszcze nie wiem. Może sprawdzę, czy mój dawny etat jest wciąż wolny.

– Zawahała się. – Dasz sobie radę?

Odwróciłem się od okna. Tym razem uśmiechałem się bardziej naturalnie, miałem już przecież mnóstwo praktyki.

– Oczywiście. Doskonale.

Spojrzała na zegarek.

– Lepiej już pójdę. Chciałam po prostu zobaczyć cię znowu, wyjaśnić. I właściwie nigdy ci nie podziękowałam.

– Za co? – spytałem speszony. Nie mogłem dostrzec niczego, za co można mi było dziękować.

Rachel spojrzała na mnie nieco zdziwiona.

– Za znalezienie Emmy.

\* \* \*

Rankiem po śmierci Portera powódź ustąpiła, pozostawiając długie na mile



pasy mułu i kamyków. Pływowy wylew był nie do porównania z innymi, które w przeszłości nawiedzały wschodnie wybrzeże i z całą pewnością nie tak groźny jak sztormowy przypływ w 1953 roku. Ewakuowano kilkaset domów, kilka dróg stało się nieprzejezdnych, a wały nadmorskie zostały przerwane lub zmyte. Wszyscy jednak byli zgodni, że mogło być gorzej. Nikt nie zginął.

W każdym razie nie z powodu powodzi. Ubrany w następne pożyczone ubrania Traska i po raz drugi tego samego dnia owinięty w koc zostałem zbadany przez ratowników medycznych, którzy przyjechali do Creek House razem z policją. Najpierw zajęli się innymi, którzy potrzebowali opieki w większym stopniu niż ja. Po śmierci Portera prawie nie rozmawiałem z Rachel. Najpierw wezwałem policję, potem zaś sprowadziłem wszystkich na dół, jak najdalej od zakrwawionych szczątków człowieka, który wdarł się do ich domu. Rachel zabrała Fay do swojego pokoju, aby uspokoić rozhisteryzowaną dziewczynkę, ja zostałem z Jamiem. Bardziej chciałem się upewnić, że wszystko z nim w porządku, niż uniemożliwić mu ucieczkę, zresztą nie sądziłem, by chciał tego spróbować.

Nie miał nic do ukrycia.

Ratownicy zasugerowali, żebym pojechał do szpitala, lecz odmówiłem. Dobrze znałem objawy hipotermii albo powrotu infekcji, teraz zaś nie czułem żadnych. Dwa kubki gorącej, słodkiej herbaty i suche ubrania pożyczone z szafy Traska powstrzymały najsilniejsze dreszcze. Byłem wyczerpany, mogłem jednak odpocząć później.

Chciałem zobaczyć, jak to się skończy.

Clarke przyszła zobaczyć się ze mną zaraz po tym, jak złożyłem zeznania na komendzie policji. Wkroczyła do pomalowanego na beżowo pokoju przesłuchań z dwoma polistyrenowymi kubkami herbaty i podała mi jeden. Nie byłem pewien, czy jest to jakiś gest pojednawczy, ale i tak go przyjąłem.

– Jak się pan czuje? – zapytała, siadając naprzeciwko mnie.

Wzruszyłem ramionami.

– Nieźle, biorąc wszystko pod uwagę. A jak inni?

Inspektor naczelna sprawiała wrażenie zmęczonej, jej twarz była blada i wymizerowana po długiej nocy. Wiedziałem, że wyglądam nie lepiej.

– Rachel Derby ma parę siniaków. Dziewczynka przeżyła szok, ale wcześniej zwolniliśmy Andrew Traska, przynajmniej więc znowu z nią jest. Może później będziemy mieli do niego więcej pytań, ale w tych okolicznościach...

W tych okolicznościach wyrażenie zgody na połączenie małej dziewczynki z ojcem było ludzkim gestem. Tym bardziej że niedawno widziała, jak jej brat zabija człowieka.

– A Jamie?

– Ma złamany nos i kilka obluzowanych zębów, to jednak najmniejsze jego problemy. Jak dużo panu powiedział?

– Większość – przyznałem.

Kilka szczegółów sam byłem w stanie połączyć. Od chwili, w której zobaczyłem syna Traska z wykonaną na zamówienie strzelbą w rękach, wiedziałem, co to znaczy. Nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego Porter nie użył mowbry’ego w hangarze, a powód był prosty – nie miał go wtedy i nigdy wcześniej też. Broń była schowana w szafie Jamiego Traska od chwili, kiedy nastolatek przypadkowo zastrzelił Anthony’ego Russela.

Cała historia wyrwała się z niego, kiedy czekaliśmy na przyjazd policji. Wkrótce po tym, jak jego ojciec poszedł zrobić awanturę Leo Villiersowi, lecz nie zastał go w domu, Jamie zobaczył światło w domu na Willets Point. Wracał z domu przyjaciela i, jak twierdził, nie był pijany, choć też niezupełnie trzeźwy. Przekonany od dłuższego czasu, że Villiers jest odpowiedzialny za zniknięcie macochy, i bojąc się, że jeżeli czegoś nie zrobi, uczyni to jego ojciec, rozwścieczony Jamie postanowił wziąć sprawę w swoje ręce.

– Powiedział panu, że był zadurzony w Emmie Derby? – zapytała Clarke.

– Nie, sam się domyśliłem – odparłem. Gdy Jamie zaczął się otwierać, jego uczucia widać było jak na dłoni.

Clarke pokręciła głową.

– Podpuszczała go, od kiedy skończył szesnaście lat. Niezbyt poważnie, ale nastolatkom w tym wieku hormony padają na mózg. Powinna być mądrzejsza.

Tak, powinna. Przygnębiająco łatwo można było sobie wyobrazić, co się stało. Rachel powiedziała mi, jak gwałtownie Jamie zerwał ze Stacey Coker, jeszcze zanim dowiedział się, że jest w ciąży, i teraz stało się jasne dlaczego. Nie stanowiło tajemnicy, że w niedobranym małżeństwie jego ojca były rysy, pewnie więc Emmie Derby – próżnej, znudzonej, tęskniącej za miejskim życiem – zadurzenie nastolatka pochlebiało. Taka niewinna rozrywka.

Mogłoby na tym się skończyć, gdyby nie zaginęła. A kiedy chłopak uwierzył, że została zamordowana przez kochanka, jego zazdrość, poczucie winy i żal stały się toksyczną mieszanką.

Opowiadał, co się stało, głuchym, nosowym głosem, stłumionym przez paczkę mrożonego groszku, którą trzymał przy twarzy. Nabuzowany alkoholem i adrenaliną zaparkował na tyłach domu Villiersa i właśnie miał załomotać do drzwi, gdy usłyszał brzęk szkła tłuczonego na tarasie. Okrążył dom i zobaczył stojącego nad samą wodą mężczyznę w długim płaszczu z chroniącym go przed zimnem podniesionym kołnierzem. Za nim na tarasie walały się puste szklanki i butelki, niektóre rozbite, jakby używano ich jako celów strzeleckich. Niedaleko stała oparta o drzewo dubeltówka. Jamie wziął ją do ręki, bardziej zresztą, żeby utrzymać tamtego na dystans, niż z zamiarem jej użycia.

Mężczyzna usłyszał jego kroki i się odwrócił. Nawet w ciemności można było dostrzec, że to ktoś obcy. Spanikowany Jamie przysunął lufy do jego twarzy

i łamiącym się głosem zapytał, gdzie jest Leo Villiers.

Wtedy broń wypaliła.

– Wystrzał wrzucił Anthony’ego Russela tyłem do wody – wyjaśniła Clarke, upijając łyk herbaty. Skrzywiła się i odstawiła kubek. – Tej nocy był pływ syzygijny, który musiał przenieść zwłoki przez Barrows do rozlewiska, a nie na morze. Pewnie trafiły na obrzeża Backwaters i dlatego nie odnaleziono ich przez wiele tygodni.

Cztery, konkretnie mówiąc. Gdy ciało znalazło się w labiryncie strumieni i kanałów, opadło na muliste dno. Poddawane dwa razy dziennie działaniu powietrza i ptactwa morskiego, objadane przez wodnych padlinożerców, ostatecznie znowu wypłynęło na powierzchnię i zdryfowało ponownie do ujścia.

A potem Lundy zadzwonił do mnie.

– Co będzie z Jamiem? – zapytałem.

Clarke patrzyła markotnie w polistyrenowy kubek, jak Lundy zaledwie kilka dni wcześniej.

– W przypadku Portera była to samoobrona i nikt nie będzie go z tego powodu obwiniał. Nie możemy jednak przejść obojętnie nad tym, że mimo wszystko, przypadkowo czy nie, zastrzelił Anthony’ego Russela. Gdyby natychmiast zgłosił się do nas, moglibyśmy mu pomóc. Ale w tej sytuacji...

Wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że nic nie może zrobić. Bo tak było: Jamie zabił niewinnego człowieka i ukrył ten fakt, mimowolnie prowokując ciąg wydarzeń, które pochłonęły kolejne życia ludzkie. Czekala go kara pozbawienia wolności, a wszystkie plany studiów uniwersyteckich i normalnego życia zostały zniweczone. Jednak...

Jednak, gdyby nie strzelba, Porter najprawdopodobniej zabiłby Fay, Rachel, a także samego Jamiego. Byłem zbyt zmęczony, by zdecydować, czy był to szczęśliwy zbieg okoliczności, czy ironia losu.

– Znaleźliście strzelbę, której Porter użył w forcie morskim? – zainteresowałem się.

– Jeszcze nie, lecz nadal przeszukujemy jego mieszkanie. Był zakwaterowany w głównym domu sir Stephena Villiersa, może więc pan sobie wyobrazić, jak dobrze nam idzie – oświadczyła oschle. – Ale w jego koszu na śmieci było pudełko po nabojach. Bizmutowy śrut na ptaki numer pięć, tej samej marki, jakiej używał Villiers.

I ten sam rodzaj śrutu, jaki zabił Lundy’ego, pomyślałem. Cóż, Clarke nie trzeba było tego przypominać.

– Przyjmujemy w tej chwili, że Porter wziął broń i naboje z domu Leo Villiersa, kiedy sir Stephen wysłał go, żeby wyczyścił Willets Point – mówiła dalej. – Uważaliśmy, że z szafki na broń zniknęła druga strzelba, ale ponieważ Villiers w czasie remontu domu przeniósł zbrojownię do piwnicy, nie mogliśmy tego

stwierdzić na pewno. Wciąż usiłujemy odnaleźć tę brakującą dubeltówkę, przypuszczam jednak, że wrzucił ją do morza, wracając z fortu. – Inspektor naczelna spojrzała na mnie nad stołem, ostre górne światło podkreślało cienie pod jej oczami. – Miał pan szczęście.

Owszem, choć tak tego nie odbierałem. Jasne, wiedziałem, że w ciągu jednej doby dwukrotnie ledwie uniknąłem śmierci, lecz w natłoku sprzecznych emocji ta świadomość nie w pełni do mnie docierała.

Niemniej pomyślałem, że Clarke zapewne ma rację w sprawie strzelby. To samo przyszło mi do głowy, gdy Porter nie użył jej przy hangarze. Broń wiązała go z zabójstwem oficera policji, a poza tym po strzeleniu niemal z przyłożenia w pordezwiąła stalowe drzwi miał twarz upstrzoną rankami po odpryskach. Nawet jeżeli odbity przy wystrzale strumień gazów wylotowych nie uszkodził lufy, musiał uznać, że zatrzymanie broni jest zbyt ryzykowne.

Z perspektywy czasu mogłem teraz dostrzec, że przy hangarze Porter bardziej myślał o ucieczce niż o walce. Aż do tamtej chwili uważał, jak niemal wszyscy inni, że syn jego pracodawcy nie żyje. Taki stan rzeczy mu odpowiadał, ponieważ martwego Leo Villiersa łatwo było obciążyć zbrodniami samego Portera. Kiedy jednak Leo objawił się nie tylko żywy, ale także bezdyskusyjnie niewinny, sytuacja Portera nagle stała się o wiele bardziej niebezpieczna. Mogłem uwierzyć, że nie kłamał, mówiąc, że nie chciał niczego, co się zdarzyło. Chodziło mu tylko o pieniądze.

Co nie powstrzymało go przed zabijaniem każdego, kto stanął mu na drodze.

– W jego mieszkaniu znaleźliśmy nie tylko naboje. – Clarke wypiła kolejny łyk herbaty i mówiła dalej: – Był jak sroka, wszędzie miał mnóstwo skradzionych rzeczy. Nic dużego czy rzucającego się w oczy, najczęściej biżuteria i zegarki. Wciąż sprawdzamy dokumenty, ale sądzimy, że przynajmniej część z nich pochodzi z włamań, o których meldowano w ubiegłym roku.

– Podczas których zabrano komputery? – upewniłem się.

Clarke potwierdziła zdawkowym uśmiechem.

– Chyba miał pan rację, nazywając te kradzieże zasłoną dymną. Porter nie chciał, by wywnioskowano, że to Trask był konkretnym celem. Nie znaleźliśmy w jego mieszkaniu żadnych skradzionych komputerów, czyli musiał się ich pozbyć. Ale pod listwą przypodłogową ukrył pamięć USB. Wciąż przeglądamy pliki, lecz już teraz większość z nich wygląda na zdjęcia, którymi Emma Derby szantażowała Leo Villiersa. Jak się przebiera w kobiece suknie i maluje, wszystkie zrobione z dużej odległości przez okna jego domu. Jest też film, zapewne nakręcony kamerą wideo, którą Mark Chapel zabrał z pracy, jednak marnej jakości i niewiele na nim widać.

– Nie znaleźliście kamery?

– Jeszcze nie. Porter był zbyt cwany, by trzymać coś, co mogłoby go

powiązać bezpośrednio z Derby i Chapelem, ale musiał uznać, że warto zachować zdjęcia. Można się tylko zastanawiać, czy zamierzał kiedyś je wykorzystać.

Przypomniałem sobie słowa Portera: „Nie jestem żadnym pierdolonym szantażystą!”. Być może nie był, ale zostawił sobie możliwość skorzystania z tej szansy, gdyby zmienił zdanie.

– Powiedział mi, że nie miał zamiaru pozwolić, „by przeszedł im taki chamski numer” po tym wszystkim, co zrobił dla Villiersów – stwierdziłem. – Jak pani myśli, o co mu chodziło?

Znowu odstawiła kubek z cierpką miną.

– Nie jestem pewna. Najwyraźniej Leo i on nie darzyli się miłością, lecz w przypadku sir Stephena wygląda to na dziwny układ. Po co, kiedy dowiedział się, że zamierzamy dokonać przeszukania, miał wysłać kierowcę, aby oczyścić dom syna? Albo powierzyć dostarczenie szantażystom pół miliona funtów właśnie jemu, a nie jednemu z prawników czy grupie ochroniarzy?

– Porter pracował dla niego ponad dwadzieścia lat. Musiał mu ufać.

Clarke spojrzała na mnie sceptycznie.

– Sir Stephen nie sprawia na mnie wrażenia naiwnego, a Porter nie był kimś, kogo można by nazwać godnym zaufania. Wiemy, że przywłaszczył sobie pieniądze szefa, a w jego mieszkaniu były różne rzeczy, które naszym zdaniem podwedził z domu Leo Villiersa. Srebrne sztuce, złote spinki do mankietów, droga lornetka Zeissa i tym podobne. Jakim więc cudem bezwzględny biznesmen, jakim jest sir Stephen, mógł do tego stopnia ufać swojemu kierowcy o lepkich palcach?

Pomasowałem twarz, usiłując zebrać myśli. Clarke miała rację, coś tu nie pasowało. Nie mogłem się tylko połapać, w czym rzecz.

– A co mówi sir Stephen?

– Ma pan na myśli fakt, że jego pracownik okazał się wielokrotnym mordercą czy że jego syn wrócił z martwych jako kobieta? – Odsunęła kubek gestem, jakby to była jego wina. – Nie komentuje sprawy Leo, ale postawiłabym duże pieniądze, że już wcześniej dobrze o nim wiedział. Dlatego tak bardzo nie chciał uznać, że zwłoki są kogoś innego. Zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą wielką puszkę Pandory, i miał nadzieję utrzymać ją zamkniętą.

– A co z Porterem?

– Sir Stephen nie ma o nim zbyt wiele do powiedzenia. Jego prawnicy oznajmili nam, że ich klient był bardzo wstrząśnięty i że nie jest odpowiedzialny za samowolne działania swoich pracowników. Och, i zwrócili uwagę na fakt, że samochód sir Stephena został skradziony, w związku z czym sam jest ofiarą.

– Żartuje pani.

– Zapewniam pana, że nie żartuję. Zaproponowałam im numer telefonu Pomocy dla Ofiar i zabawne, ale nie skorzystali. – Pokręciła z obrzydzeniem głową. – Jeżeli chodzi o szantaż, niczego nie potwierdzają ani nie zaprzeczają.

Mam wrażenie, że nie chcą, aby ludzie dowiedzieli się, że sir Stephen uległ szantażowi, i dlatego próbują wszystko wyciszyć.

– Mogą to zrobić? – spytałem.

– Mogą spróbować. Poza słowami Portera nie ma żadnego dowodu, że Derby i Chapel szantażowali sir Stephena. A nawet to usłyszeliśmy drogą pośrednią.

Jezu. Szantaż czy nie, nie byłem w stanie poczuć żadnego współczucia dla ojca Leo Villiersa. Cała jego postawa, od prób użycia swoich wpływów do nacisków na policję po odmowę przyznania, że zwłoki nie były jego syna, oparta była na zastraszeniu i pogardzie. Ten człowiek uważał, że stoi ponad prawem, a ja czegoś takiego nie znosiłem.

– Jest jeszcze jedna sprawa – dodała powoli Clarke. – Królewskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami zabrało ptaki i zwierzęta z domu Hollowaya jeszcze przed pożarem. Kiedy jednak wczoraj po południu zaczęliśmy oczyszczać ogród, znaleźliśmy w zaroślach sportową torbę. Wygląda na to, że trzymano w niej chorą mewę lub coś w tym rodzaju, ale poza ptasim gównem była pełna pięćdziesięciofuntowych banknotów.

Wlepiałem w nią spojrzenie.

– Użył pieniędzy, żeby zrobić ptasie gniazdo?

W kącikach ust Clarke pojawił się słaby uśmiech.

– Wiem. Torba była blisko jednego z drzew, które zajęły się ogniem. Gdyby nie były takie wilgotne, pewnie wszystkie poszłyby z dymem. Trochę się przypaliły, lecz wygląda na to, że są tam prawie wszystkie. Pięćset tysięcy funtów jako podściółka dla tyłka mewy.

Chryste, pomyślałem sobie. Porter mylił się, zakładając, że Edgar w żaden sposób nie wykorzysta pieniędzy.

– I co się z nimi stanie?

– Cóż, dobre pytanie. Oczywiście jeżeli pieniądze należą do sir Stephena, powinny mu być zwrócone, razem z ptasim gównem i wszystkim. Ale w takim wypadku musiałby przyznać, że był szantażowany. Jeśli tego nie zrobi, nie będziemy mieli wyboru i uznamy je za własność Hollowaya.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, doceniając tę poetycką sprawiedliwość. Dla mnie była to także pewna ulga, bo chociaż nie chciałem się do tego przyznać, oskarżenie Portera tkwiło w moim umyśle jak cierń. „Jeżeli ty nie wiesz, gdzie jest forsa, pozostaje tylko siostra Emmy Derby”.

Clarke wstała, dając znak, że rozmowa dobiega końca.

– Sądzę, że załatwiliśmy już wszystko. Czuje się pan na tyle dobrze, żeby wracać do Londynu?

Przytaknąłem. Mój samochód nadawał się na złom, ale nadal miałem portfel. Mogłem wziąć taksówkę, dojechać do stacji kolejowej i za kilka godzin znaleźć się w swoim mieszkaniu. Nie było sensu zostawać tu dłużej, nawet gdybym miał gdzie

zamieszkać. Rachel miała obecnie wystarczająco dużo spraw na głowie, a ja potrzebowałem snu. Sama myśl o nim sprawiała, że czułem, jakby moje ciało było dwa razy cięższe, niż powinno.

Wstając i odsuwając krzesło, zadałem jeszcze jedno pytanie, na które nie znajdowałem odpowiedzi.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego Porterowi w ogóle przyszło do głowy, żeby schować pieniądze u Edgara. Skąd w ogóle o nim wiedział? I dlaczego pozwolono mu mieszkać bez płacenia czynszu w domu należącym do majątku Villiersa? Czy Leo, to znaczy Lena Merchant, coś wyjaśnił?

– Przepraszam, nie mogę o tym mówić.

Ton głosu Clarke stał się nagle oschły. Spojrzałem na nią, zaskoczony, że postanowiła milczeć na ten temat, skoro najwyraźniej nie miała oporów przed przedstawianiem innych aspektów sprawy. Ale ona także nie spała i nadal miała niesamowity bałagan do posprzątania. Być może uznała, że okazała mi dość uprzejmości jak na jedną noc.

Albo dzień, żeby być ścisłym. Straciłem rachubę czasu w pozbawionym okien pokoju, kiedy jednak wyszedłem z komendy policji, wstawał już szary świt. Było zdecydowanie za wcześnie, żeby dzwonić do Rachel, zresztą mój mokry telefon i tak nie działał. Clarke powiedziała, że muszą zatrzymać na jakiś czas moje torby i rzeczy osobiste z samochodu, pojechałem więc zamówionym wozem prosto na stację.

W pociągu drzemałem niespokojnie, a z dworca do mieszkania przemieściłem się taksówką. Powrót do zamętu i brudu Londynu wydawał się czymś nierealistycznym po pełnych trzcin pustkowiach Backwaters. Miałem denerwujące poczucie dezorientacji, gdy szedłem przez ogród znajomą ścieżką, aby otworzyć drzwi frontowe. Słodkawy odór świeżej farby zaskoczył mnie, aż wreszcie przypomniałem sobie próbę włamania. Miałem wrażenie, że przydarzyło się to komuś zupełnie innemu.

Wśród śmieciowej poczty leżał wrzucony przez sąsiadkę z góry zaległy rachunek od ślusarza. Rzuciłem go na stół kuchenny, czując się niespokojny i rozbity. W głowie szumiało mi z wyczerpania, ale osiągnąłem ten pełen rozdrażnienia, dręczący stan zmęczenia, który, jak wiedziałem, nie pozwoli mi zasnąć. Włączyłem telewizor nie dlatego, żebym miał ochotę na poranne wiadomości, lecz by rozpraszał ciszę, i nalałem wody do czajnika, aby zrobić kawę.

Kiedy się znowu odwróciłem, na ekranie był morski fort.

Ten nieoczekiwany widok tutaj, w moim mieszkaniu, sprawiał zgoła surrealistyczne wrażenie. Przez chwilę lub dwie myślałem, że mam halucynacje, gdy ujęcie ze śmigłowca pokazywało maleńkie, ubrane na biało postacie poruszające się pod wieżą. Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że zamordowanie

Lundy'ego było ważną informacją, jeszcze ważniejszą po śmierci jego zabójcy.

Wyłączyłem telewizor. Miałem wrażenie, że w pokoju zabrakło powietrza. Obraz Lundy'ego wykrwawiającego się na metalowych schodach wrócił do mnie tak wyraźnie, że niemal mogłem poczuć zapach krwi i spalonego prochu. Usiłowałem zająć się robieniem kawy, lecz dręczący niepokój nie mijał, będąc nie tylko przypomnieniem śmierci inspektora czy wynikiem wstrząsu wywołanego widokiem fortu. Wystarczająco dobrze znałem sposoby działania mojej podświadomości, aby pojąć, że wiadomości telewizyjne uwolniły coś, co przeoczyłem. Ale po prostu nie wiedziałem, w czym rzecz. No dalej, o co chodzi? Co takiego przegapiłeś?, poganiałem swe myśli.

Nalałem kawę, znowu wracając pamięcią do morskiego fortu. Wyobraziłem sobie stopnie drabinki, huk morza odbijający się echem pod wieżą. Fale łamały się na pustych w środku podporach, mewy szukały pożywienia wśród wilgotnych wodorostów na odsłoniętej mieliźnie...

I nagle wiedziałem. Odstawiłem kawę, przeklinając na głos. Jak tyle innych rzeczy, miałem to tuż przed moim nosem.

Kraby.



## Rozdział 32

Jednostka policji morskiej musiała czekać do następnego odpływu, zanim mogła wyruszyć do morskiego fortu. Clarke nie chciała, żebym się do nich przyłączył. Jej sceptycyzm ustąpił, gdy przedstawiłem swoje argumenty, trudniej jednak było przełamać jej opór.

– Musi pan trochę odpocząć. Do niczego się pan nikomu nie przyda, kiedy będzie pan na wpół śpiący, a przecież nie spał pan całą noc – argumentowała.

Ona też, lecz starczyło mi rozsądku, by zachować to dla siebie. Zapewniłem tylko, że czuję się dobrze, a poza tym zdołam przespać się kilka godzin przed ruszeniem w drogę powrotną, skoro z akcją trzeba poczekać. Wiedziała dobrze, podobnie jak ja, że jeżeli mam rację i znajdziemy to, czego się spodziewałem, będzie im potrzebny antropolog sądowy, i przecież z tego właśnie powodu na samym początku włączono mnie do dochodzenia.

W końcu Clarke ustąpiła, a kiedy skończyliśmy uzgadniać mój przyjazd, nastawiłem budzik i na całe dwie godziny wałęsałem się spać. Obudziłem się obolały i wcale niewypoczęty, na szczęście gorący prysznic oraz śniadanie pomogły i gdy złapałem pociąg, by wrócić do komendy policji na odprawę Clarke, czułem się znów jak człowiek.

Ponowny rejs do fortu omal nie zmienił tego poczucia. Łódź motorowa policji morskiej mozolnie przebijała się przez fale, wciąż wysokie po sztormie, i musiała zakotwiczyć w pewnej odległości od pomostu cumowniczego. Gdy przewożono nas pontonem, taśma policyjna rozpięta wokół drabinek i górnej kładki wibrowała na wietrze. Spojrzałem na piętrzącą się wysoko nade mną zardzewiałą wieżę, lecz dzisiaj nie miałem na górze nic do roboty.

Praca czekała mnie o wiele niżej.

Gdy dotarliśmy na miejsce, mielizna wokół wieży wciąż była pod wodą, zanim jednak zespół sądówki wysiadł i wyładował sprzęt, nad powierzchnią ukazała się gładka brązowa powierzchnia piasku. Powiększała się szybko i kiedy technicy kryminalistyczni stanęli na miękkim gruncie, pojawiły się pierwsze małe kraby.

Powinienem wcześniej ułożyć fragmenty układanki, ale kiedy wczoraj obserwowałem niewielkie skorupiaki, wciąż byłem w szoku po śmierci Lundy'ego. Mimo wszystko informacja zapisała się w mojej podświadomości i jak drzazga stopniowo przebijała się na wierzch, aż wreszcie można ją było uchwycić. Kraby są padlinożerne, zjadają martwe ryby, nawet gdy te są w stanie daleko posuniętego rozkładu. A skoro tak wiele skolonizowało mieliznę, oznaczało to, że pod jej powierzchnią musiało się znajdować bogate źródło pożywienia.

Na przykład ciało.

– Jest pan tego pewien, Hunter?

Frears stał obok mnie na platformie, patrząc, jak blade kraby uciekają przed łopatami techników niszczących ich schronienie.

– Tak – odpowiedziałem.

W normalnych okolicznościach mógłbym czuć trochę niepewności, czy jednak się nie myliłem i nie ściągnąłem tu na próżno tych wszystkich ludzi. Teraz jednak czułem spokojną pewność. Kraby stały się tym elementem, który pozwolił połączyć w jedną całość wszystkie kawałki układanki. „Cóż, w połowie masz rację”, kpił Porter, kiedy zapytałem go, czy ukrył zwłoki Emmy Derby w Backwaters, podobnie jak Marka Chapela. Wyruszając do fortu morskiego na konfrontację z nimi, musiał wziąć łódź Leo Villiersa. Widziałem ją, kiedy byłem na Willets Point, małą jolkę zacumowaną do drewnianego pomostu na tyłach domu.

Za małą, żeby pomieścić Portera i dwa ciała.

Pomyślałem, że pewnie nie zdawał sobie sprawy z tego błędu, dopóki nie zrzucił ich z wieży na leżącą blisko dwadzieścia metrów niżej platformę, a gdy to zrobił, nie miał już wyjścia. Nie był w stanie wnieść tak wielkiego ciężaru z powrotem po niemal pionowej drabince, dlatego kiedy zorientował się, że w łodzi nie ma miejsca na oba ciała, pozostało mu niewiele opcji. Gdyby pozwolił przypluwowi unieść jedno z nich, ryzykowałby, że zostanie wyrzucone na brzeg i znalezione. Niemniej odpływ mógł mu pokazać inną możliwość.

Zakopanie jednej z ofiar w mieliźnie.

Wybrał ciało Emmy Derby, bo było mniejsze, to logiczne. Czuł się zapewne odsłonięty na otwartej przestrzeni pod fortem, chciał więc jak najszybciej zniknąć z tego miejsca, a ona nie potrzebowała dużego grobu. Wątpiłem, by miał ze sobą łopatę, musiał zatem improwizować, nie potrzebował jednak kopać bardzo głęboko. Jedynie na tyle, żeby pływy nie odsłoniły tego, co tu ukryto.

Morska woda przesączała się do jamy, gdy technicy odrzucali piasek z tego, co zostało z Emmy Derby. Kraby nie próżnowały przez te wszystkie miesiące, kiedy leżała pod wieżą fortu. Większość odsłoniętej skóry i tkanek miękkich została zjedzona i pozostały tylko kości oraz chrząstki pokryte brudnobiałą warstwą tłuszczowosku. Chociaż unurzane w piasku włosy w większości wypadły, ich pozostałość oblepiona wokół pustych oczodołów i kości twarzy była nadal długa i ciemna. W niczym nie przypominało to pięknej i pewnej siebie kobiety, której zdjęcie widziałem w hangarze, ale nie miałem żadnych wątpliwości.

Znaleźliśmy siostrę Rachel.

Nie pojechałem na sekcję. Był to jeden z warunków postawionych przez Clarke, kiedy zgadzała się na moją obecność przy wydobywaniu zwłok. Mogłem obserwować i doradzać, jak obchodzić się z delikatnymi szczątkami, lecz nic poza tym. Chociaż bardzo nie chciałem tego przyznać, było to zapewne najlepsze dla mnie rozwiązanie. Trzymałem się resztkami sił, jadąc na adrenalinie, a jedno

i drugie się kończyło.

Tak więc powtórnie tego dnia wróciłem do Londynu. Spałem sześć godzin, po czym wstałem i wziąłem prysznic przed przygotowaniem późnej kolacji z tego, co przed wyjazdem zostawiłem w lodówce. Potem próbowałem zadzwonić do Rachel i jak tchórz poczułem ulgę, słysząc włączającą się pocztę głosową. Wiadomości o siostrze powinna przekazać jej raczej policja, a nie ja, lepiej zatem, że z nią nie porozmawiałem, dopóki ona i Trask nie zostaną poinformowani. Zastanawiałem się, czy spróbować znowu, kiedy zadzwonił telefon domowy.

Clarke chciała mi przekazać wyniki sekcji.

– Oczywiście żadnych odcisków palców, ale sprawdziliśmy dokumentację dentystyczną i porównaliśmy DNA – oświadczyła. Wciąż starałem się opanować zaskoczenie telefonem nadinspektor, nie spodziewałem się bowiem, że w ogóle przekaże mi jakieś informacje. – Poza tym odzież i biżuteria odpowiadają temu, co miała na sobie Emma Derby. Po tej sprawie z Leo Villiersem staram się nie wyciągać pospiesznych wniosków, ale tym razem, jak sądzę, możemy bezpiecznie założyć, że to ona.

– Jak zginęła? – zapytałem, masując dół pleców. Mięśnie nadal odmawiały mi posłuszeństwa po wysiłku, do jakiego je zmusiłem, usiłując uciec z zalewanej przez wodę przystani pod hangarem.

– Frears mówi, że została uduszona. Miała złamaną kość gnykową i kark, chociaż to ostatnie obrażenie mógł spowodować upadek. Podobnie jak wielokrotne złamania, takie same jak u Marka Chapela.

Ta sama przyczyna zgonu jak u Stacey Coker, kolejnego nieoczekiwanego świadka, którego Porter chciał uciszyć. Zabijał raczej z konieczności niż upodobania, przynajmniej więc śmierć przychodziła szybko, co było raczej niewielką pociechą dla rodzin jego ofiar.

– Wygląda na to, że również wczoraj Porter użył łódki Leo Villiersa, żeby dostać się do fortu – mówiła dalej Clarke. – Znaleźliśmy ją na rozlewisku, zapewne uniesioną przez pływ. Na trawniku przed domem Villiersa były też świeże odciski opon odpowiadające daimlerowi, a ślady świadczą, że wrócił do samochodu i odjechał w pośpiechu. Wątpię, aby w tych okolicznościach przejmował się cumowaniem łodzi.

– Zakładam, że w łodzi nie było strzelby?

– Nie, lecz znaleźliśmy ślady spalonego prochu na silniku. Przypuszczamy, że pochodzą z jego rękawiczek i że zapewne wyrzucił broń za burtę, kiedy wracał. Nic nie świadczy o tym, by w łodzi znajdowało się ciało Marka Chapela, można jednak przyjąć, że Porter ją wyczyścił. Poza tym po siedmiu miesiącach i tak nie mogliśmy oczekiwać zbyt wiele. – Przerwała na chwilę. – Ale znaleźliśmy ślady krwi. Jedne pasują do Portera i zapewne pochodzą z urazów jego twarzy powstałych podczas próby przestrzelenia stalowych drzwi. Drugie wyglądają na

pozostawione przez jego buty. Odpowiadają cechom krwi Boba Lundy'ego.

Oboje milczeliśmy przez chwilę, po czym Clarke odchrząknęła.

– Powiadomiliśmy rodzinę Emmy Derby. Trudne wiadomości na dodatek do całej reszty, ale miejmy nadzieję, że teraz jakoś uporają się z tą sprawą. Ach, i jeszcze jedno – dodała z ożywieniem. – Przypadkowo wysłaliśmy panu pewien e-mail. Będę wdzięczna, jeżeli go pan skasuje.

– Dobrze, tak zrobię.

Nie wyglądało to na pomyłkę, do jakiej Clarke dopuściłaby w normalnych okolicznościach, niemniej ostatnią dobę raczej trudno było nazwać normalną. Nie zastanawiałbym się nad tym dłużej, gdyby nie dodała:

– Wyobrażam sobie, że ktoś mógłby nie móc zasnąć tej nocy. Nie spodziewam się, aby ten mail w ogóle pana zainteresował, lecz wołałabym, żeby nie wspominał pan o nim nikomu.

Zerknąłem na komputer i obudziła się we mnie ciekawość.

– Nie, oczywiście, że nie.

– A więc wszystko jasne.

– Takie rzeczy się zdarzają – powiedziałem ostrożnie. – Na pewno go skasuję.

– Dziękuję, doktorze Hunter.

Rozłączyła się. O co tu, u diabła, chodzi? Zaintrygowany usiadłem do komputera. E-mail czekał w skrzynce wiadomości przychodzących i wysłano go zaledwie kilka minut temu. Nie miał podanego tematu, a jedynie załącznik. Zawahałem się, a potem go otworzyłem.

Była to kopia zeznań świadka. Kiedy zobaczyłem, kto nim był, nagle zapomniałem o zmęczeniu.

Zacząłem czytać.

\* \* \*

Leo Villiers właśnie skończył dziewięć lat, kiedy rodzice zabrali go latem do domu na Willets Point. Jeździli tam co roku na długie wakacje i według wszelkich standardów, na podstawie których Leo zwykł oceniać takie sprawy, był to zazwyczaj szczęśliwy okres. Dom stojący na cyplu, w odludnej okolicy zawsze był dla niego czymś w rodzaju azylu. Z dala od internatu i oceniających spojrzeń nauczycieli oraz stadnych nawyków innych chłopców Leo mógł przestać być tak czujny. Brak rówieśników wcale mu nie przeszkadzał, ponieważ dopiero w samotności mógł wreszcie być sobą. To przebywanie wśród innych ludzi sprawiało, że czuł się inny.

Ale ten rok był odmienny z powodu tego, co stało się w okresie Wielkiejnocy, kiedy ojciec przyłapał go na przymierzaniu ubrań matki. Leo wciąż wspominał tę scenę z zawstydzeniem. Nie robił tego pierwszy raz, lecz to, co można było uznać za dziecinadę, gdy był mały, teraz stawało się trudniejsze do

opanowania. Zamierzał spędzić w garderobie tylko kilka minut, niemniej własny widok w wielkim, sięgającym do podłogi lustrze był zbyt kuszący. Chociaż suknie były na niego za duże, osoba patrząca z lustra wydawała się prawdziwszym odzwierciedleniem tego, kim naprawdę był. To codzienny Leo był udawany.

Stracił rachubę czasu i go przyłapano. Nigdy dotąd nie widział ojca tak wściekłego. Było to przerażające, gorsze nawet od jego normalnego, chłodnego lekceważenia. Od tamtej pory nie wspomniano o incydencie, Leo jednak wiedział, że nie został on zapomniany. Nie był pewien, co dręczyło go bardziej – ledwie skrywany niesmak ojca czy bezgraniczne zdumienie malujące się na twarzy matki, kiedy na niego spoglądała.

Miał nadzieję, że wszystko ulegnie poprawie na Willets Point, ale tak się nie stało. Co gorsza, stały kierowca ojca poszedł do szpitala i na lato zatrudniono zastępcę – młodego człowieka z zaognionymi czerwonymi krostami trądziku na policzkach.

Nazywał się Porter.

Leo go nie lubił. Kierowca był zawsze uprzejmy, lecz jego uśmiech sprawiał wrażenie, jakby kpił z nich w duchu. Porter był żołnierzem i ojciec oświadczył, że Leo dobrze zrobi, jeżeli będą razem spędzali czas. Od tej pory musiał przebywać w towarzystwie nowego pracownika, kiedy ten tylko nie był zajęty zawodowymi obowiązkami.

Porter zwykle zabierał go na plażę koło wału nadmorskiego, gdzie siadał w słońcu i palił papierosy, jak gdyby Leo w ogóle nie istniał. Pewnego dnia na ich stałym miejscu czekała młoda kobieta. Porter, uśmiechając się, powiedział, żeby poszedł sobie na spacer i nie wracał przez godzinę. Leo poczuł ulgę, że znowu będzie sam, i chętnie spełnił jego polecenie.

Od tej pory stało się to normą. Leo nigdy nie pomyślał, by powiedzieć o tym ojcu, ponieważ taki układ bardzo mu odpowiadał. Zaczął z niecierpliwością czekać na codzienne wycieczki, w czasie których mógł być sam i chodzić, gdzie chciał.

W taki sposób poznał Rowan.

Pojawiła się pewnego popołudnia, kiedy Leo zostawił Portera i jego przyjaciółkę przy samochodzie i siedział na wydmach. Była zwyczajną piegowatą dziewczynką o włosach koloru słomy, w tym samym wieku co Leo. Początkowo rozmawiali nieśmiało, lecz skrępowanie szybko zniknęło i przekonał się, że Rowan jest lepszym towarzystwem niż chłopcy z internatu. Mieszkała w domku na Backwaters, który, chociaż wtedy tego nie wiedział, też należał do Villiersów. Jej matka pracowała w sklepie w Cruckhaven, ojciec zaś większość czasu spędzał w domu. Pisał książki przyrodnicze dla szkół, a kiedy Rowan była młodsza, w czasie wakacji zabierał ją na wyprawy w głąb Backwaters.

Powiedziała Leo, że teraz tak już nie jest, bo ojciec zachorował. Nie wiedziała, co mu jest, ale na długie okresy zamykał się w gabinecie i nawet gdy

z niego wychodził, rzadko się odzywał. Matka powiedziała Rowan, że musi zostawić go w spokoju. Teraz mogła więc spacerować, gdzie chciała.

Podobnie jak przez godzinę dziennie robił to Leo.

Po pierwszym spotkaniu widywali się każdego popołudnia. Leo nie wspominał o nowej przyjaciółce rodzicom, a tym bardziej Porterowi. Choć był tak młody, znał już wartość tajemnic. Rowan jednak powiedział o rzeczach, o których nigdy nie mówił głośno nawet do siebie. O tym, jak nienawidzi internatu i boi się ojca.

A pewnego popołudnia o przebieraniu się w suknie matki.

Twarz go paliła, kiedy to mówił, lecz Rowan nie widziała w tym nic złego. Wyjaśniła, że też lubi wkładać ubrania matki, i rozmawiali o tym, jak się wtedy czuli. Leo jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy.

Potem nie mógł sobie przypomnieć, kto wpadł na ten pomysł. Pamiętał tylko, że oboje byli nim zafascynowani. Następnego dnia, gdy Porter wyruszył w kierunku plaży, Leo zaraz po straceniu z oczu domu nerwowo polecił mu zatrzymać samochód. Kierowca odmówił i z krzywym uśmiechem zapytał, czemu niby miałyby to zrobić.

Uśmiech zniknął, kiedy Leo zagroził, że powie ojcu o paleniu papierosów i przyjaciółkach. Porter zatrzymał wóz na końcu wysypanego żwirem podjazdu i nie wyłączając silnika, odwrócił się na siedzeniu. „Lepiej niech mnie przez ciebie nie zwolnią, gnojku”, ostrzegł. Leo nic nie odpowiedział, lecz gdy wysiadł i patrzył za odjeżdżającym samochodem, przeżywał rzadko doznawane uczucie triumfu.

Stary drewniany domek stał na terenie posiadłości ukryty za kępą drzew. Niewiele więcej niż zwykła szopa, z zasnutymi pajęczyną oknami po obu stronach drzwi, był właściwie zapomniany i używany jedynie jako składzik. Leo zbadał go już wcześniej i wiedział, co jest w środku. Zdawał sobie sprawę, że rodzice będą wściekli, jeżeli dowiedzą się o jego samowoli, postanowił jednak na razie o tym nie myśleć. Otworzył drzwi kluczem ukrytym w skrzynce na kwiaty i wszedł do środka. W domku było gorąco i duszno, a zapach wyschniętego drewna sosnowego wiercił w nosie. Wnętrze wypełniały stosy pudeł, walizek i skrzyń. Zanim dotarła tam Rowan, zdenerwowana bliskością wielkiego domu, zdążył znaleźć walizkę pełną starych ubrań matki. W każdym razie uznał, że musiały być jej, chociaż sprawiały wrażenie szytych na kogoś szczuplejszego, niż była teraz. Barwne krótkie sukienki i spódnice pachniały starzyzną, lecz oni, nie zwracając na to uwagi, zaczęli je przymierzać. Najpierw sztuczną biżuterię i pantofelki, sandały na koturnach i jarmarczne koraliki. Potem bluzki, spódnice i sukienki. Choć małych rozmiarów, wciąż były na nich za duże, ale im to nie przeszkadzało.

Słońce sączyło się przez zakurzone muślinowe firanki i wydawało im się, że są w innym, prywatnym świecie. Leo kręciło się w głowie ze szczęścia, uczucia, które – kiedy był już starszy – usiłował bez powodzenia odzyskać za pomocą

alkoholu. Miał na sobie lśniąca w słońcu jaskrawoniebieską sukienkę. Rowan włożyła tworzącą komplet pomarańczową letnią bluzkę bez rękawów oraz minispódnicę i chichotała, wsuwając na dłoń bransoletki. Były plastikowe, ale grzechotały jak kościane, gdy uniosła rękę, aby zsunęły się z przegubu.

Nie usłyszał otwierających się drzwi, ujrzał tylko rozszerzające się oczy Rowan patrzącej nad jego ramieniem. W tej samej chwili odwróciło go szarpnięcie i zobaczył przed sobą twarz tak wykrzywioną, że początkowo nie poznał ojca. Ten zaś zaczął potrząsać synem, którego głowa latała w przód i w tył jak u szmacianej lalki, aż w końcu uderzeniem w twarz cisnął go na podłogę. Oszołomiony Leo dostrzegł pomarańczowy błysk, gdy Rowan skoczyła w stronę drzwi, lecz odruchowy cios zadany przez jego ojca rzucił ją na ścianę. Potem chłopiec został poderwany do góry i znowu nim potrząśnięto, jeszcze silniej niż poprzednio. Głowa go bolała, nic nie widział, ale pomimo wrzasków ojca usłyszał, jak drugi głos woła:

– O kurwa!

Chwilę potem Porter odciągnął Villiersa seniora od Leo, który upadł do tyłu na pudła, słysząc jedynie oderwane dźwięki. Uświadomił sobie, że jest na wpół wynoszony, na wpół wyciągany za drzwi i choć oszołomiony, dostrzegł na podłodze coś pomarańczowego. Zorientował się, że to Rowan, leżąca tam, gdzie upadła. Była całkiem nieruchoma, a nad nią, na krawędzi narożnej belki, widniał ciemny ślad. Na twardym drewnie wydawał się wilgotny i lepki, nie miał jednak pewności, bo potem drzwi się zamknęły i już jej nie widział.

Reszta była rozmyta i niejasna. Pamiętał tylko, że wpychano go do samochodu i ktoś ściągnął z niego niebieską sukienkę i wkładał mu jego własne ubranie tak brutalnie, że aż go bolało. Słyszał głos matki, pytającej, w jaki sposób przydarzył mu się tak głupi wypadek. Później poczuł, że jest owijany w zimne prześcieradła i zapada w sen w zaciemnionym pokoju.

Następnego ranka Porter odwiózł go z powrotem do głównej siedziby rodu pod Cambridge. Leo czuł mdłości i taki ból głowy, że cierpiał, gdy otwierał oczy. Po wielu latach już wiedział, że mogły to być objawy wstrząśnienia mózgu, wtedy jednak cieszył się z otępiałego stanu półświadomości, niepozwalającego mu myśleć jasno. Spał przez większą część podróży, lecz ocknął się w pewnym momencie i zobaczył przed sobą opalony kark kierowcy, czerwony nad wykrochmalonym białym kołnierzykiem. Zasnętymi ustami zapytał, gdzie jest Rowan.

Wróciła do domu, odparł Porter, nie odwracając głowy.

Nikt więcej nie powracał do tego incydentu, a wspomnienia Leo wkrótce stały się odrealnione i rozmyte. Wraz z upływem tygodni coraz słabiej pamiętał dziewczynkę, z którą zaprzyjaźnił się w lecie. Jeżeli przypadkiem pomyślał o niej lub o popołudniu w domku, czuł odbierającą oddech panikę. Łatwiej było w ogóle o tym nie myśleć.

W końcu przekonał sam siebie, że nic takiego się nie zdarzyło.

Minęły lata, zanim Leo Villiers znowu pojawił się na Willets Point. W tym czasie jego matka już nie żyła, a Porter w jakiś sposób został pełnoetatowym kierowcą ojca. Sam Leo wyrósł na buntowniczego i kapryśnego młodzieńca, uwikłanego w problemy mające naznaczyć całe jego dorosłe życie. Kiedy wyrzucono go z akademii wojskowej, zamiast wrócić do domu, postanowił odwlec nieuniknioną awanturę z ojcem i pod wpływem nie do końca zrozumiałego dla niego impulsu pojechał autostopem do domu na cyplu, w którym kiedyś spędzał letnie wakacje.

Było to jak powrót do ledwie pamiętanego snu. Dom stał zamknięty od lat. Domek zniknął – na jego miejscu rosła wielka magnolia. Niedawne deszcze strąciły płatki z przypominających świece pąków i trawa wokół drzewa upstrzona była brudnobiałymi cętkami. Widok z niezrozumiałych powodów budził w nim niepokój. Wydobywał niejasne wspomnienia, przypominające starą fotografię dostrzeżoną na dnie mętnego jeziora.

Dopiero lata później, kiedy kolejny, na wpół zrozumiały impuls kazał mu zamieszkać w swoim dawnym sanktuarium, usłyszał historię o tym, jak miejscowa dziewczynka, Rowan Holloway, pewnym letnim popołudniem wyszła z domu rodziców i nikt jej więcej nie widział.

\* \* \*

Dwukrotnie przeczytałem zeznania Leo Villiersa. A potem, tak jak prosiła Clarke, skasowałem mail i załącznik. Wyłączyłem komputer i pomasaowałem grzbiet nosa. Założyłem od razu, że seria tragedii na Backwaters miała miejsce niedawno. Ale wydarzenia, które mnie tu sprowadziły, były tylko ostatnimi konsekwencjami zbrodni, której korzenie tkwiły w przeszłości oddalonej o ponad dwadzieścia lat.

Czułem zmęczenie i odrazę. Porter był świadkiem, jak jego pracodawca zabija dziewczynkę, i uznał jej śmierć za szansę. Nic dziwnego, że został później zatrudniony na stałe. On i sir Stephen byli związani ze sobą tym, co zrobili, i chociaż Porter mógł nie uważać się za szantażystę, jego milczenie musiało mieć swoją cenę. Być może dlatego w taki sposób zareagował na Emmę Derby i Marka Chapela. Byli intruzami wkraczającymi na obszar zagarniętego przez niego terytorium i odpowiednio zareagował: „Nie miałem zamiaru pozwolić, żeby jakimś cwaniaczkom przeszedł taki chamski numer – oświadczył mi w hangarze. – Nie po tym wszystkim, co zrobiłem dla cholernych Villiersów”.

Ale właściwie co zrobił? – zastanowiłem się. Czy jego udział polegał tylko na siedzeniu cicho, czy też wykazywał swoją wartość w bardziej praktyczny sposób? Obowiązki Portera z całą pewnością nie ograniczały się do prowadzenia samochodu. Sir Stephen kazał mu oczyścić dom na Willets Point i usunąć stamtąd wszelkie obciążające dowody, a także dostarczyć szantażyście sportową torbę



pełną pieniędzy. Czy były inne specjalne zlecenia? Ciało Rowan Holloway nigdy nie znaleziono, lecz nie byłem w stanie sobie wyobrazić, że biznesmen w szarym garniturze sam brudził sobie ręce usuwaniem zwłok. Na pewno nie gdy miał kogoś, kto zrobi to za niego. Porter dowiódł znajomości Backwaters, ukrywając tam zwłoki Marka Chapela.

Być może nie były pierwsze.

Wstałem od biurka i zrobiłem sobie następną kawę. Mimo wszystko Leo Villiers nie pozostawał bez skazy. Może i był dzieckiem, kiedy jego ojciec zabił Rowan Holloway, ale milczał przez cały czas. W zeznaniach przyznał, że pozwolił Edgarowi mieszkać za darmo, próbując w ten sposób uspokoić swoje sumienie. Bez względu na to, czy miał dobre intencje, czy nie, w ten sposób jeszcze bardziej odizolował bezradnego człowieka. Posyłał mu co miesiąc paczki z jedzeniem i podstawowym zaopatrzeniem, co tłumaczyło, skąd wzięły się w domu Hollowaya puste puszki. Uruchomił tym jednak ciąg końcowych zdarzeń tej tragedii.

Kazał Porterowi je dostarczać.

Jeżeli miał nadzieję, że w ten sposób wywoła u kierowcy wyrzuty sumienia, tylko się łudził. Jedynie podarował mu kolejną okazję, podając jak na tacy kryjówkę – położony na uboczu dom z nieuskarżającym się na nic lokatorem. Teraz Porter już nie żył, a także pięć innych osób. A jedynym, który wyszedł ze wszystkiego bez szwanku, był człowiek, który zapoczątkował tragiczny łańcuch wydarzeń.

Sir Stephen Villiers.

Usiadłem z kawą, a potem wstałem i wlałem do niej trochę whisky. Istniała niska szansa, że zabójca Rowan Holloway stanie przed sądem za to, co zrobił. Chociaż nie wątpiłem w treść przeczytanych zeznań, bo dobrze zgadzała się z tym, co już wiedzieliśmy, niepotwierdzone wspomnienia z dzieciństwa nigdy nie wystarczą do postawienia kogoś w stan oskarżenia. Zwłaszcza takie, które były wypierane przez wiele lat. Czekaając zaś tak długo z ich ujawnieniem, Leo raczej nie zwiększył swojej wiarygodności.

Trudne do przełknięcia było to, że bez dowodów rzeczowych lub zwłok śledczy mogli co najwyżej ponownie spróbować przeszukać Backwaters, tyle że po śmierci Portera nawet nie było wiadomo, gdzie szukać. Mieliśmy szczęście z Markiem Chapelem, jeżeli można to tak określić, niemniej trudno było liczyć, że coś takiego zdarzy się jeszcze raz. Zakładając, że miałem rację i Porter ukrył ciało córki Edgara również tam, niewiele pozostałoby do odnalezienia po tak wielu latach oprócz kości pogrążonych w mule i błocie.

Mimo wszystko policja nie była w stanie zignorować oskarżeń pod adresem sir Stephena, tym bardziej że pochodziły od jego własnego syna. Śledczy mogli spróbować przesłuchać go w sprawie Rowan Holloway i kusilo mnie, żeby zapytać Clarke, co rozgrywa się za kulisami. Wiedziałem jednak, jak inspektor naczelna

zareagowałyby na takie wścibstwo, pozostało mi więc tylko sprawdzenie informacji medialnych w nadziei, że dowiem się z nich, czy sir Stephen został aresztowany lub oskarżony.

Nie było nic i nawet mnie to nie zdziwiło. Sir Stephen był wystarczająco bezwzględny, chroniąc rodzinne nazwisko, gdy podejrzewano jego syna. Teraz, kiedy stawką była jego własna reputacja, zapewne nie wahał się wykorzystać całą swoją władzę i wpływy. Przez kilka dni obserwowałem, jak wrzawa wokół zabójstw na Backwaters zaczyna przycichać bez żadnej wzmianki o sir Stephenie Villiersie czy jego młodziutkiej ofierze. Wiedziałem, że Clarke ta niesprawiedliwość musi doskwierać jeszcze mocniej niż mnie, lecz nikt nie mógł na to nic poradzić. O ile nie zdarzy się coś nieprzewidzianego, zabójca dziewięcioletniej dziewczynki pozostanie bezkarny.

I wtedy Leo Villiers ujawnił to wszystko publicznie.

Jego zeznania na policji były poufne i prawnicy sir Stephena zapewne nie pozostawili wątpliwości, co się stanie, jeżeli przecieknie z nich na zewnątrz choćby jedno słowo. Clarke, ujawniając mi je, podjęła ogromne ryzyko. Kiedy jednak jego rodzony syn przedstawił swoje oskarżenia w mediach społecznościowych, nawet cały zespół prawników sir Stephena nie mógł powstrzymać burzy, która się rozpętała. Dziedzic bogatego i potężnego człowieka nie tylko wrócił z martwych – wrócił jako kobieta i jakby tego było mało, oskarżał ojca, że ten dwadzieścia lat wcześniej zabił małą dziewczynkę.

Stara fotografia uśmiechniętej Rowan Holloway, uroczo szczerbatej małej blondynki, pojawiła się wszędzie, gdy wrócono do dawnej historii jej zaginięcia. Zgodnie z przewidywaniami sir Stephen ukrył się za plecami prawników, którzy odpierali pytania zapewnieniami o jego niewinności lub lakonicznym zwrotem „bez komentarza”. Sam biznesmen nic nie powiedział, lecz materiał filmowy pokazujący go zdążającego szybkim krokiem do samochodu – tym razem ciemnoszarego, a nie czarnego daimlera – mówił sam za siebie. Jego twarz sprawiała wrażenie wymizerowanej, jeszcze bardziej bezbarwnej niż wcześniej, błyski fleszy podkreślały zarys kości czaszki. Zanim odwrócił się plecami do kamer telewizyjnych, przyszła mi do głowy bardzo nieprofesjonalna i niesympatyczna myśl, że wygląda jak trup czekający na pochówek.

Okazała się prorocza. Nie poczułem ani zaskoczenia, ani satysfakcji, kiedy dowiedziałem się, że Stephen Villiers miał rozległy udar. Nic niezwykłego w przypadku popełnienia zbrodni. Świadomość takiego czynu odbiera niektórym ludziom zdolność do życia, a sir Stephen żył z nią dwadzieścia pięć lat.

Nie był jednak w stanie przeżyć myśli, że wiedzą o niej inni.

Syn zmarłego nie udzielał wywiadów, ja zaś starałem się unikać wypełniających merytoryczną próżnię sensacyjnych artykułów i spekulacji, bo nie podobała mi się atmosfera podglądactwa towarzysząca całej sprawie. Niemniej nie

sposób było całkowicie przed nimi uciec. Jedną migawkę pokazywano raz za razem. Kamera stała przed szklanymi drzwiami budynku, dobrze mi znaną komendą policji, w środku następował jakiś ruch, potem drzwi się otwierały i ktoś wychodził.

Leo Villiers był przystojnym mężczyzną, a Lena Merchant okazała się piękną kobietą. Była elegancka, dobrze ubrana, ze świetnie obciętymi, ciemnymi włosami średniej długości. Jak dotąd widziałem tylko zdjęcia Villiersa i czułem się dziwnie, patrząc na osobę, o której słyszałem i czytałem tak wiele. Natychmiast otoczyły ją mikrofony i kamery, oczekiwałem zatem, że przyspieszy kroku, by uniknąć natręctwa, lecz ona szła spokojnie przez kotłujący się tłum, z uniesioną wysoko głową, ignorując wykrzykiwane pytania. Nie było w niej zawstydzenia ani zakłopotania. Już nie.

W pełnym godności milczeniu przechodziła ze starego życia w nowe.

## Epilog

Włożyłem czaszkę do pudełka i roztarłem kark. Kręgi szyi zachrzęściły, gdy napięte mięśnie niechętnie oswajały się z myślą, że znowu trzeba pracować. Nie po raz pierwszy powtórzyłem sobie, że muszę zacząć nastawiać budzik, aby mi przypominał o robieniu przerw w pracy.

I nie po raz pierwszy wiedziałem, że tego nie zrobię.

Wstawiłem pudło do szafki pod stołem roboczym. Czaszka była historyczna, stanowiła relikwiarz archeologiczny znaleziony niedawno na równinie Salisbury. Miała ponad siedemset lat, a zdaniem archeologów jej uszkodzenie mogło być spowodowane toporem. Możliwe. W czternastym wieku ludzie nie byli mniej skłonni do zabijania się nawzajem niż obecnie, nie byłem jednak do końca przekonany co do narzędzia. Ranę zadało coś z krawędzią, lecz nie z ostrzem i o pewnej krzywiznie. Nie wyglądało mi to na topór. Chociaż nie mogłem

zdecydowanie wykluczyć broni jakiegoś innego rodzaju, widziałem już podobne obrażenia i miałem dość dobrą koncepcję, co mogło je spowodować. Uderzenie kopytem było mniej dramatyczne z historycznego punktu widzenia, choć nie mniej fatalne dla osoby, na którą spadło.

Niewątpliwie będę musiał ponownie zbadać czaszkę, ale w tej chwili nie było pośpiechu. Zachowywała swoją tajemnicę przez kilka wieków i jeden lub dwa dni nie sprawią tu żadnej różnicy. Poza tym był sobotni ranek i nie miałem rzeczywistego powodu, żeby być teraz w pracy. Poszedłem na wydział tylko dlatego, że nie miałem ochoty siedzieć w mieszkaniu. Czaszka stanowiła wygodny pretekst.

Niemniej myśli, które sprowadziły mnie tu przede wszystkim, wciąż czekały i nie mogłem sprawić, by przestały cisnąć mi się do głowy. Odruchowo spojrzałem na zegarek, zanim zdołałem się powstrzymać przed kolejnym sprawdzeniem czasu.

Jeszcze dwie godziny.

W weekendy uniwersytecka kawiarnia była zamknięta, zrobiłem więc sobie kawę w ciasnej wydziałowej kuchence. Nikogo oprócz mnie nie było. Korytarze stały puste i ciche, co zazwyczaj mi nie przeszkadzało, dzisiaj jednak ta pustka ciążyła.

Chociaż na uniwersytecie nie przyjęto mnie z fanfarami, mogłem wyraźnie odczuć, że sytuacja się zmieniła. Miałem szczęście i nie zostałem wymieniony w serwisach medialnych o wydarzeniach w Backwaters, co nie było niczym zaskakującym. Przy takim natłoku sensacji nikt nie zajmował się marginalnym udziałem w całej tej historii antropologa sądowego, i to mi odpowiadało. Nie cieszyło mnie zainteresowanie okazywane mi w ubiegłym roku, kiedy w związku ze sprawą w Dartmoor w doniesieniach pojawiało się moje nazwisko i zdjęcie. Moja praca powinna odbywać się za kulisami i wołałem, żeby tak właśnie się działo.

Z zawodowego punktu widzenia sytuacja uległa jednak zmianie. Moje związki z tak ważnym dochodzeniem policyjnym nie zaszkodziły reputacji wydziału antropologii sądowej i stosunek dziekana do mnie wyraźnie się poprawił.

– Dobrze widzieć pana z powrotem w grze – oświadczył radośnie Harris pierwszego dnia po moim powrocie. Niczego, co zdarzyło się w Backwaters, nie dało się choćby w dużym przybliżeniu określić jako „grę”, ale zrozumiałem, o co mu chodzi.

Powinienem czuć ulgę, że nie znalazłem się znowu jako petent na rynku pracy, lecz już nie wydawało mi się to ważne. Wypiłem łyk gorącej kawy i znowu spojrzałem na zegarek. Wpół do pierwszej.

Jeszcze godzina, nim samolot z Rachel wystartuje do Australii.

Po spotkaniu w Covent Garden, kiedy powiedziała mi, że wyjeżdża, widzieliśmy się jeszcze tylko raz. Było to na pogrzebie Lundy’ego, oficjalnej

uroczystości, gdzie policyjni dygnitarze oraz szeregowi funkcjonariusze składali hołd koledze poległemu na służbie. Posępny nastrój wydawał się nie pasować do pogodnego inspektora, którego znałem, i było pewną ulgą, gdy nieoczekiwanie został zakłócony. Biskup czytał fragment z Księgi Koheleta i kiedy zrobił przerwę po słowach „jest czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono”, ciszę przerwał głosik małej dziewczynki:

– Ale dziadek nienawidził ogrodnictwa!

Powaga zniknęła, a w kościele rozległa się salwa śmiechu. Pomyślałem, że Lundy’emu by się to spodobało.

Gdyby nawet pojawiła się okazja do rozmowy z Rachel, nie był to czas ani miejsce na osobiste spotkanie. Później jednak kilkakrotnie telefonowaliśmy do siebie i zacząłem odnosić wrażenie, że zaczyna mieć wątpliwości w kwestii wyjazdu. Powiedziałem jej, co czuję, i że chciałbym, aby została, zdając sobie jednak sprawę, że decyzja musi należeć do niej, oparłem się pokusie, by na nią naciskać.

Ostatecznie ją podjęła.

Nie chciała, żebym przyjeżdżał na lotnisko. Mogłem zrozumieć dlaczego, lecz mimo to byłem rozczarowany, że się tam z nią nie pożegnam. Ostatnia rozmowa była trudna dla nas obojga. Jej głos drżał, kiedy mówiła, że za jakiś czas przecież przyjedzie do Anglii na proces Jamiego, albo nawet i wcześniej. Ostatecznie oskarżono go o zamordowanie Anthony’ego Russela, niemniej istniała spora szansa, że kwalifikacja czynu zostanie zmieniona na zagrożone mniejszą karą zabójstwo w afekcie.

Ale oboje wiedzieliśmy, że proces rozpocznie się najwcześniej za wiele miesięcy, a do tamtej pory wiele może się zmienić. Rachel miała w Australii pracę zawodową, która polegała na badaniu środowiska Wielkiej Rafy Koralowej, a nie obserwowaniu życia węgorzy na błotach w Essex. Wracała też, aby naprawić zerwany związek z człowiekiem, z którym żyła i pracowała. On nawet surfował, niech go szlag.

O niczym takim jednak nie powiedziałem. Sytuacja i bez tego była dla nas wystarczająco trudna, pogodziłem się więc z nią i tylko poprosiłem Rachel, żeby dbała o siebie. A potem powiedzieliśmy sobie do widzenia i tym zakończyliśmy rozmowę.

Kawa była już zimna, zapomniana i niemal nietknięta. Wylałem ją do zlewu i zacząłem myć kubek. Gdy zadzwoniła komórka, miałem przelotną nadzieję, że może to Rachel, zobaczyłem jednak, że numer jest zastrzeżony. Czyli jakaś praca. Próbując ukryć rozczarowanie, odebrałem połączenie.

– Doktor Hunter? Mówi Sharon Ward. – Głos był znajomy, podobnie jak nazwisko, ale nie mogłem ich z niczym powiązać. – Inspektor detektyw Ward – dodała z wahaniem.

– Tak, oczywiście. – Przypomniałem sobie. Poznaliśmy się rok lub dwa lata temu, kiedy dosłownie na moim progu pojawiły się rozczłonkowane zwłoki.

– Czy dzwonię w niewłaściwej chwili? – zapytała.

– Nie, byłem tylko... – usiłowałem się pozbierać. – Co mogę dla pani zrobić?

– Muszę porozmawiać z panem o usiłowaniu włamania.

– Włamania?

– Do pańskiego mieszkania...

Uznałem wcześniej, że telefon musi dotyczyć jakiejś sprawy zawodowej. Wydawało mi się, że próba włamania miała miejsce wieki temu, i właściwie zupełnie o niej zapomniałem. Usiłowałem się skupić.

– Teraz rozumiem. Przepraszam.

– Czy możemy się spotkać?

– Oczywiście. Będę na miejscu cały następny tydzień, a więc właściwie w dowolnym dniu.

– Prawdę mówiąc, liczyłam, że zdołamy spotkać się wcześniej. Gdzie pan jest?

– W pracy. Na uniwersytecie. – Teraz mnie zaintrygowała. Inspektor policji nie kontaktuje się w sprawie nieudanego włamania, a tym bardziej po to, by o nim porozmawiać. Chyba że chodzi o coś jeszcze. – A dlaczego? Co się stało?

– Wolabym porozmawiać osobiście. Ile czasu zajmie panu dotarcie do domu?

– Będę za godzinę. – Zostawiłem wynajęty samochód pod domem, lecz w sobotę metro nie powinno być bardzo zatłoczone. – Proszę posłuchać, chciałbym wiedzieć, o co tu chodzi.

Milczała, we mnie zaś pojawiło się paskudne przecucie, że w tym i tak już złym dniu za chwilę wkroczę na niezbadany teren.

– Zidentyfikowaliśmy jeden z odcisków palców znalezionych na oknie od strony ganka. – Ward znowu przerwała na chwilę. – Należy do Grace Strachan.

Nazwisko niemal zadudniło w słuchawce. Poczulem rodzaj dezorientacji. Pozostając pod wrażeniem jakby nierzeczywistości, z daleka słyszałem głos inspektor.

– ...przepraszam, że nie skontaktowaliśmy się z panem wcześniej, ale przy cięciach budżetowych zwykle włamania są na końcu kolejki. Doktorze Hunter, jest pan tam jeszcze?

– Tak. – Byłem nieco zaskoczony, że mój głos brzmi tak spokojnie. – Jest pani pewna?

– Odcisk jest częściowy, ale zdecydowanie jej. Rzecz w tym, że zdjęto go z kawałka kitu, a znajdujący się w nim olej uniemożliwi datowanie. Nie wiemy więc, od jak dawna się tam znajdował. Możliwe, że pozostawiła go, gdy

zaatakowała pana, lecz nie możemy mieć pewności. Rozumie pan, że po tym, co stało się ostatnim razem, wolimy nie ryzykować. Dlatego chcę się zobaczyć z panem w mieszkaniu. Sądzę... no cóż, sądzą, że powinniśmy się zastanowić, jakie powinien pan podjąć środki bezpieczeństwa.

Wymamrotałem jakąś zgodę i opuściłem telefon. W uszach mi szumiało. Zdałem sobie sprawę, że dotknąłem blizny na brzuchu. „Po tym, co się stało ostatnim razem...”. Chodziło jej o to, że kiedy Grace Strachan pchnęła mnie nożem w drzwiach mojego mieszkania, niemal wykrwawiłem się na śmierć. To było jednak wiele lat temu. Od tamtej pory napastniczka nie dała znaku życia, w jaki zatem sposób mogła ponownie wrócić? Grace była psychopatyczną morderczynią, która uniknęła wykrycia tylko dlatego, że miała pomoc. Po tak długim czasie pozwoliłem sobie uwierzyć, że nie żyje.

Ale jeżeli nie...

Słabo pamiętałem powrót do mieszkania. Zjechałem schodami ruchomyi do metra wstrząśnięty, targany uczuciami, które, jak sądziłem, należały do przeszłości. Gdy wagon z dudnieniem mknął przez tunel, znów zerknąłem na zegarek – samolot Rachel powinien być już w powietrzu. Na dobrą sprawę poczułem ulgę, bo jeśli Grace Strachan znowu na mnie polowała, każdy blisko mnie był zagrożony.

Przynajmniej Rachel była bezpieczna.

Idąc od stacji metra, przyłapałem się na lustrowaniu ulicy w sposób, w jaki nie robiłem tego od lat. Przeszedłem alejką do domu i zatrzymałem się przy drzwiach frontowych. Drewniane elementy zostały pomalowane na nowo po wymianie zamka i naprawie uszkodzeń. Wszelkie odciski palców, jakie mogły się tam znajdować, zostały pokryte farbą, nie było więc sposobu stwierdzić, czy ten zostawiony przez Grace Strachan był stary czy nowy. Wmawiałem sobie, że mógł się tu zachować przez cały czas i wszystko jest fałszywym alarmem, lecz w głębi ducha w to nie wierzyłem.

Nie mogłem sobie na to pozwolić.

W mieszkaniu na piętrze nikogo nie było, kiedyś jednak będę w końcu musiał poznać nową sąsiadkę, do czego wcale się nie paliłem. Kiedy wszedłem do mieszkania, pokoje i meble wydawały mi się do gruntu znajome, a zarazem jakieś obce. Poszedłem do kuchni i nalałem wody do czajnika. Nie chciało mi się pić, pragnąłem tylko zająć czymś ręce i umysł.

Nietknięta kawa stygła, podczas gdy ja czekałem na przybycie Ward. Mimo że spodziewałem się jej przyjścia, dziarski dzwonek do drzwi aż mnie poderwał. Poszedłem otworzyć, lecz zatrzymałem się w holu z dłonią opartą o drzwi frontowe. Nie miały judasza. Sprzeciwiałem się jego zainstalowaniu, nie chcąc ulegać paranoi, teraz jednak nie widziałem, kto czeka na zewnątrz. Stałem w wyłożonym czarnymi i białymi kafelkami przedsionku ogarnięty poczuciem déjà

vu i w końcu otworzyłem drzwi.  
– Mogę wejść? – spytała Rachel.



## Przypisy końcowe

RHIB – rigid-hulled inflatable boat. Pneumatyczny ponton o kadłubie sztywnym, łączący cechy łodzi i klasycznego pontonu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)

Backwater – przeciwny prąd, lecz w przenośni też zaulek. [\[wróć\]](#)

Kopce. [\[wróć\]](#)

London Eye (Londyńskie Oko) albo Millennium Wheel (Koło Milenijne) – koło obserwacyjne (diabelski młyn) o wysokości 135 metrów w dzielnicy Lambeth w Londynie. [\[wróć\]](#)

Jedyne w swoim rodzaju połączenie warunków geologicznych (gleba) i klimatycznych nadające niepowtarzalny charakter produktom spożywczym, przede wszystkim winom, serom i kawie. [\[wróć\]](#)

Vicar: pastor, Church: kościół, Chapel: kaplica. [\[wróć\]](#)

Punkt kraniometryczny w środku szwu czołowo-nosowego. [\[wróć\]](#)

PCSO – police community support officer. Umundurowany członek cywilnego personelu wsparcia policji. Nie mają stopni policyjnych, w określonych sytuacjach posiadają jednak uprawnienia policyjne i pełnomocnictwa posterunkowych. [\[wróć\]](#)

